

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWEJ.

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH
HOFMANOWÉJ.

WYDANIE NOWE

pod redakcją

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

z dodaniem

ŻYCIORYSU I OBJAŚNIENÍ.

TOM IV.

ul. Nr 72

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KSIĘGARZY:

GEBETHNER I WOLFF.

MAURZYCY ORGELBRAND.

MICHAŁ GLÜCKSBURG.

G. SENNEWALD.

EDWARD WENDE.

1875.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Марта 1875 г.

Warszawa.—Druk J. Ungra.—Nowolipki Nr. 2406 (3).

1085
<http://rcin.org.pl>

POWIEŚCI HISTORYCZNE

PORZĄDKIEM CHRONOLOGICZNYM UŁOŻONE.

I.

Pielgrzymka do Sandomierza.

(R. 1398).

Długa, tęga zima, już blisko od czterech miesięcy polską ziemię ostrém berłem cisnęła; rzeki, góry, łąki, pola, odłogi, przyrodzenie całe smutne i nieczynne, białym całunem okryte, zmartwiało jakby w śmierci objęciach; nie było słychać wdzięcznego śpiewu ptasząt, wesołego bydła ryku, ani téż pastuszych fujarek: wrou niemiłe krakanie, wilków przeraźliwe wycie, jęczący świst wiatru, ta była jak zwykle jej harmonja; nie miało oko przechodnia gdzie spocząć, w co się wpatrzeć mile: najpiękniejsze okolice powab swój straciły; a kiedy w innéj porze kilkunastu koni, a często czterech dni było potrzeba, do przebycia dwudziestu siedmiu mil złéj między Krakowem i Sandomierzem drogi, wtedy na suwających się szybko za końmi saniach, téż samą przestrzeń niemal we dwóch odbywano dobach. Nie jeden przeto przedsiębrał długo odkładane w tę stronę odwiedziny krewnych lub przyjaciela, albo uczynionego ślubu dopełniał.

Kończyła się téż właśnie druga doba, jak w tym ostatnim, w tym pobożnym celu, w malowanój węgierskiej budzie, na kutyh saniach ustawionój, futrami i kobiercami wysłanój, jechały śpiesznie dwie niewiasty; barczysty, z tęgim karkiem, z długą brodą, w ciemnym kozuchu, czerwonym pasem przewiązany, w rogatój czapce na głowie, woźnica, sam jeden składał całą ich służbę; obie obwinięte były od stóp do głowy w jednake z szarego sukna habity, w białe welony, obie kryły ręce w szerokie zakonne rękawy, ale obudwóch postać, wiek, a nawet godność, nie zdawały się jednake. Starsza z nich lubo więcej otyła, mniej miała powagi, mniej miejsca w budzie zabierała; kiedy wiatr mocny wionął i odchylił niedźwiednią okrywającą nogi jój towarzyski w buciki z sobolami obute, kiedy jeden z czterech koni karych w poręcz zaprzężonych, zasypał ją odbitym podkową stwardniałym śniegiem, zasłaniała ją skwapliwie, strzepywała, ścierała ostrożnie odzież, a cały jój obchód i słowa, pełne były uszanowania i miłości.

„Wielki Boże! wyrzekła raz patrząc jój w twarz — gdybymci ja i one wieczne łyzy, z tych cudnych lic zetrzeć śmiała, a to nazawsze... Abyć na taki mróz nie płaczcie; rozbolą was oczy!“ „Jestże dla mnie ona życzliwa pora, kiedybym płakać nie miała? — odpowiedziała młodsza niewiasta z ciężkiem westchnieniem. „Czy zima, czy lato, brakłoż kiedy łez w mych oczach? Wy to wiecie najlepiej, wy, których po śmierci matki mojej, jakby drugą matkę kocham. Małożto podobało się Bogu spuszczać na mnie niedoli? Jakiż był dotąd cały żywot mój na téj ziemi? Wesołą i szczęśliwą wtedy mnie ludzie widzieli, kiedy młodziuchna, nieświadoma dziewczeczka, nie powstało mi myśleć, co to wesołość i szczęście? Wtedy zawsze obok tego, któregom z woli rodziców kochała jak brata i szanowała jak męża, czy zima, czy lato, śmiałam się, igrałam niewinnie i wesoło. Dwie stronnice Biblii do odczytania, parę przypowieści mędrca do nauki

i do przepisu, kądziel lnu białego lub wełny do wyprzedzenia, albo kwiatek do wyszycia w krosnach, oto był cały ciężar swobodnego umysłu. Czy chyba wtedy zasuly oczy, kiedy matka połajęła, lub ojciec spojrzęł surowo. Lecz z jego śmiercią cała radość ziemska przerwała się jako nie wąta, zwiędła jako kwiatek!... Musiałam porzucić miejsce rodzinne, matkę i siostrę; co więćej, musiałam najszczerzą miłość porzucić!... Ileżto dni, ileżto lat upłynęło, nim potrafiłam wyrwać z serca uczucie, które z tēm sercem urosło!...“

„Jednak pomyślnie wam to się udało — przerwała tu sędziwa niewiasta — i wielbili wszyscy wasze męztwo.“
 „Wszehmocnego Boga łaska ów cud sprawiła—odpowiedziała tamta—Jego silnėj pomocy wezwałam, bom znała dobrze, iż nie podołam sama... Nikt jednak tego nie wiedział, jak długo to serce rozdarte było, jak długo nie mogło przyjąć tego za pana, którego mu panem obrali... Kiedy nareszcie widok pomyślności, nadzieja przyszłego zbawienia tych licznych dziatek, których wola Nieba uczyniła mnie matką; kiedy spełniona dla nich ofiara, różne wyrządane im przysługi, miłość ich, zaufanie i miłość męża, widoczna jego poprawa, słodkim pokojem, owém podobieństwem tego szczęścia, którego wybrani w drugiem życiu używają, napełniać zaczęły duszę moję, złość ludzka, zazdrość, podejrzliwość, skłóciły tę błogę swobodę... Zaiste, była to zesłana od samego Boga kara i próba: bo nieraz dawniej myślałam w sobie: „*Nikt bardziej doświadczanym nie bywał nademnie!*“ a dopiero gdy ten cios ugodził, poznałam, że dawne niczēm były. Ani rozstanie się z matką i z siostrą, po tyle razy zwlekane, ani odrzucenie szczerėj miłości, ani przysięga dozgonnėj wiary niemitemu małżonkowi, ani nawet wieść pewna, iż inna zajęła serce, które tak długo mojem mieniłam, nic mi tak gorzkiem nie było, jak owo powątpiewanie o mojęj cnotcie... W rzeczonych przygodach, taż sama cnota osłoda mi była; wówczas i tę,

przynajmniej w oczach ludzkich, wydrzeć mi chciano. O! wówczas byłam jak owi ludzie, o których Prorok mówi: szukałam śmierci, a należeć jej nie mogłam; pragnęłam umrzeć, a śmierć uciekała przedemną. Jakażto była straszliwa godzina, kiedy w obliczu ponuro patrzącego męża, w obec panów radnych, uroczystą przysięgą cnotę moję stwierdzać musiałam!... ale kiedy wasz poczciwy Jaśko przyświadczył słowom moim, dobrowolną niespodziewaną przysięgą, zdało mi się, że otwarło się Niebo i słyszę głos anioła powołującego mnie do wybranych rzędu.“

„I nie jednoć mąż mój—odezwała się tamta—ale wszakże dwunastu powstało rycerzy, którzy dzielnym zwycięstwem przyświadczyli waszój cnocie, Pani; odszczekał i oszczerca potwarz swoje...“

„Tak, wrócił mi niewinność w oczach ludzi — odpowiedziała smutnie—ale pokój raz stracony już nie powróci!.. Od téj pory piąty rok mija, a mąż zawsze ponuro na mnie spogląda; nie tak są miłe uszom jego jak niegdyś bywały słowa i rady moje, nie tak rychły prośb skutek; gdy sam ze mną, milczy i wzdycha. Badałam go nieraz o przyczynę? długo nie odpowiadał i słowa; nareszcie pięć dni temu wyrzekł: „Potomstwa pragnę; póty szczęśliwym, pewnym nie będę, póki mi nie powijesz dziecięcia.“ Skoro to powiedział, natychmiast uczyniłam ślub wielki i rzekłam sama w sobie: Z jednym pachołkiem, w zakonnej odzieży, ubogo jako pielgrzymce przystało, pójdę pieszo do Sandomierza do kościoła Panny Maryi; i Tęj Matki Boskiej, której tam wnet zwiastowanie z odpustem obchodzą, błagać będę, żeby mi uprosiła dziecię u Dzieciątka swego. Ale pan mój nie pozwolił iść pieszo, ubogo i samój: kazał jechać i z wami; wiem ja to z téj świętej księgi, którą od dzieciństwa czytuję, że ojciec i mąż, mają prawo zmienić ślub niewiasty; usłuchałam więc z pokorą, uprosiłam przynajmniej, aby nie jechać dwornio, i nigdzie nie wydać godności; a on jakby bojąc się

zawsze przeniewierzenia i zdrady z mej strony, w tak świętej nawet podróży, widząc schadzke z dawnym kochankiem, dał mi za woźnicę zaufanego swego Litwina, zalecając mu pod utratą życia, aby miał baczną straż nademną, i ścisły z każdój sprawy mojej zdał mu rachunek. Gdym zaś na wyjeźdnem do jego komnaty poszła i rękę pocałować chciała, wyrwał mi ją silnie... Już drugi dzień temu, a jeszcze to wyrwanie czuję, jeszcze podejrzliwe jego wejrzenie widzę... i wy chcecie, żebym nie płakała?... Płakać, wynurzać się przed Bogiem i przed wami, czytać w tej świętej księdze, którą mądrzy i pobożni ludzie z umysłu dla mnie przełożyli, to jedyne pociechy moje, i podobno innych do śmierci już mieć nie będę...“

„A cóż nada w tak smutnej myśli odbyta pielgrzymka?— zapytała sędziwa niewiasta—Tenże Bóg co stworzył człowieka z niczego, nie byłzeby mocen pocieszyć go?“ „Nie wątpiłam o tej mocy Jego ani na chwilę — odpowiedziała młoda — ale wiecie dobrze, iż od czasu jak znikły jako sen nadzieje wieku mego wiosny, ja tu ciągle jakoby pielgrzymka żyję; i oddawna powstał głos w mej duszy, który i we dnie i w nocy mi powtarza: „*Nie długo ciebie na tej ziemi,*“ śpieszę więc ile tylko podolać mogę, z tém co wypełnić powinnam; a gdy mnie Bóg miłosierny do chwały swojej przyjąć raczy, zaiste, to com wycierpiała i cierpię, niczém mi się wyda... On sam widzi, że jeśli ten ślub uczyniła, jeśli go wypełniam, to dla męża, nie dla siebie; chciałabym żeby on w tej wierze świętej, którą najwięcej dla mojej przyjął miłości, wieczne i doczesne znalazł szczęście. Wychowana od kolebki w Chrystusa nauce, ja wiem dobrze, iż nie na ziemskich darach i powodzeniu całe szczęście ludzkie zawisło, ale on dopiero lat dwanaście jak chrześcianinem; mocarz co do wieku i rycerskiej siły, jeszcze dzieciątkiem jest w wierze: łagodnego, słodkiego pokarmu mu trzeba... O! gdybyć mnie wysłuchała ta Bogarodzica! Powić dziecię mężowi, a potem umrzeć; przejść do tego ży-

wota, gdzie łez i trosków nie ma; oto życzenia moje, cel tój świętój pielgrzymki...“

Tak i podobnie rozmawiając, jechały niewiasty i jechały spiesznie. Ale spieszniej jeszcze wiatr zgromadzał chmury; występowały jedna za drugą, jakby z nieprzebranych składów; coraz więcej zaciemniały światło dzienne, coraz grubszą i gęstsza powłoką niebo do ziemi zbliżały. Nareszcie śnieg padać zaczął; z razu pruszył tylko, lecz wnet w gęstych spuścił się płatach; wiatr coraz silniejszy całe tumany szronu z ziemi i z drzew zrywał, a kręcąc nim, pomiatał na wszystkie strony. Znikły z oczu pielgrzymek i przebytego Opatowa dzwonnice, i już dostrzegane przed chwilą Sandomierskie wieże, znikły i bliższe przedmioty; sam tylko odmęt, sama zamieć i mgła widocznymi były. Woźnica, to zwalniał krok koni, to znowu pospieszał; probował jazdy to w prawą stronę, to w lewą, a widać było, żadnej pewnym nie był: nachylała się nieraz ciężka buda, tak iż zdawało się że z sań się zsunie; zataczały się i sanie raz w tę, drugi raz w ową stronę. Niewiasty wołały na woźnicę że zbłądził, napominały by jechał pomału; starsza z nich więcej nierównie niżli siebie towarzyski swojej strzegła, od uderzenia chroniła; kiedy nagle, w jedném mgnieniu oka, buda podniosła się z tyłu w górę, stanęła: konie wpadły w śnieg, tak, że im tylko łby czarne widać było, woźnica padł na nie, a niewiasty uderzyły twarzą w usłaną na przodzie pościel, i podróżne sprzęty. Powstali jednak wnet wszyscy, prócz koni; starsza z niewiast strwożona wydobyła się z trudnością z budy, podając troskliwie rękę młodszej; woźnica sam stanąwszy na pewnym gruncie, chciał koniecznie wydobyć konie, wołał na nie, ciągnął, szarpał, bił, żegnał się, modlił, nic to wszystko nie pomagało; zdawało się owszem, że konie coraz głębiej się pograżają, i wnet pojazd za sobą pociągną. Widząc Litwin niebezpieczeństwo, a oraz i to, iż nie skutkowały jeszcze chrześcijańskie modły i znaki, jał wzywać Perkuna i da-

wnych bożków swoich. Więcej dotąd stroskane niżli przeleknione pielgrzymki, dopiero wtedy bać się zaczęły.

„Imieniem twego pana i mojem — wyrzekła młodsza jak tylko mogła najgłośniej — zakazuję ci wspominać tych bałwanów; ukorz się natychmiast przed tym Bogiem, któregoś znieważył, a który i ciebie i nas cudem tylko od zguby uchronił; wezwij opieki i litości téj potężnej Pani, do której kościoła dążymy!...“ Padł Litwin na kolana, twarzą w ziemię, lzy jego gorące i obfite zdawało się, że przenuktują śnieg gruby; a ta która do niego przed chwilą groźnym przemówiła słowem, ukląkłszy na ogromnym opodal leżącym kamieniu, mile, czysto i donośnie, złożywszy ręce, śpiewała pobożnie, co następuje:

Boga Rodzica
 Dziewica
 Bogiem sławiona
 Marja! u Twego Syna
 Hospodyna
 Matko zwolona
 Marja! ziśćij nam
 Spuśćij nam
 Kyrie Elejson, Twego Syna
 Chrzciciela zbożny czas.
 Usłysz głosy!
 Napęlnij myśli człowiecze!
 Słysz Modlitwę.
 Jenże Cię prosimy
 To dać raczy
 Jegoż prosimy...

Właśnie ciągnącym głosem te ostatnie słowa śpiewa, kiedy stojąca za nią towarzyszka, wyrzekła: „Darujcie pani, że pieśń nabożną przerwę, ale zda mi się, słyszę chrupanie śniegu pod stopami ludzkiemi, i głos mówiących; są blisko,

ale ich dla mgły i zamieci widzieć nie można“. Ucichła młodsza niewiasta z swym śpiewem, odsłoniła biały welon, narażając na śnieg i wiatr twarz anielską, i pilnie nadstawiała ucha; podniósł także woźnica swe czoło wstydem i zimnem rumiane: „Jak Bóg w niebie—powiedział cicho—tak prawda, że tu coś nadchodzi, byle nie złe jakie.“ Spojrzała na niego surowo cudna niewiasta, a wtém wyraźnie stapanie ludzkie słyszeć się dało, i te słowa: „Dyć wam powiadam, że w onęj stronie śpiew pobożny słyhać; pewnie najtutrzejszy odpust dąży do Sandomierza jakieś ubóstwo.“ „Ale tego zmyliła drogę, chudzina! — odezwał się drugi.“ „Czy to jedno nie czort—wyrzekł trzeci, który nas mami, i w one przepaści wciągnąć chce, boć ja teraz nic nie słyszę...“

Gdy tego domawiał, zbliżyli się już tak do podróźnych, iż się wzajemnie rozpoznać mogli. Trzej chłopkowie, z których jeden był już podeszły a dwaj młodzi, w białych kozuchach, w czarnych czapkach z barankiem i z uszami, w kurpie obuci, zobaczywszy niewiasty i powóz w tak niebezpieczném położeniu, zdziwili się mocno.

„Przebóg żywy!—zawołał najstarszy—a wielmożne państwo gdzie do licha wjechało? czy aniołowie tak utrzymali nad tym dołem tę budę? widząc ja tu, Boże mi przepuść, kieby żywego anioła?... tu jedno chrapy, doły przepadziste, a nieco dalej Wisła; śmierć pewna!... Zkądże to i dokąd z przeproszeniem wielmożne państwo chce jechać? „Jedziemy z Krakowa do Sandomierza na jutrzejszy odpust, uczynionego ślubu dopełnić — odpowiedziała młodsza z niewiast — ale przy onęj srogiéj zawierusze, woźnica zbłądził, wpadły konie w dół, a niemogąc wydobyć ich sami, wzywaliśmy pomocy Bogarodzicy; usłyszała te głosy, spuściła nam zbóżny czas, napełniła dobrą chęcią myśli wasze... Powiedźciez nam, poczciwi ludzie, gdzie jesteśmy i bądźcie nam przewodnikami do Sandomierza; zapłata was nie minie.“

„Człek pobożny nie pyta o zapłatę, kiedy widzi bliźniego w potrzebie—odpowiedział sędziwy kmiotek—jedno go jak może ratuje. O dobrą miłą jesteście od miasta, moje śliczne i wielmożne paniątka; daleko zboczyliście z gościńca, bliżej was wioska nasza. Jam w niej jest, nie wiem czy łaską czy karą Boga sołtysem, bo i ten urząd niekoniecznie od nahajów złęgo pana mnie broni; szukałem z synami konia z sutym rzędem, który dziś w nocy dziedzicowi czy uciekł czy skradziony? sto obiecał kijów, łaskawca, każdemu z dwunastu osadników, a mnie dwieście, jeśli go za tydzień nie dostawimy. Ale bierz go tam lichy na dziś (a bodajby na zawsze) i z koniem, trzeba tu o was, moje wielmożne państwo pomyśleć i wyciągnąć was z onój biedy.“ Tu zebrawszy drągi, bosaki, które mieli z sobą, wraz z Litwinem póty dźwigali, pracowali, aż nareszcie wydobyli konie i pojazd nieuszkodzony; wtedy sołtys, zdjąwszy czapkę skłonił się do nóg obudwom niewiastom, i tak powiedział:

„Moje wielmożne paniątka! Wrony na nocleg ciągną, dzionek już zapada, zawierucha zawsze straszna, do miasta nie dojedzicie; nakłońcie się raczej ku mojej chacie. Nie ma w niej onych wygod, do których pewnie nawykłyście w domu, ale najdziecie w niej ogień suty, piwo i mleko grzane, chleb, pocziwą niewiastę, dziątek gromadkę i serca otwarte. Jutro da Bóg doczekać ruszycie sobie dobrze przed świtem do miasta, i może jeszcze pierwszą mszę zdybiecie.“ —

„Z całej duszy przyjmujemy gościnne zaprosiny wasze—odpowiedziała młodsza z niewiast wsiadając do budy—prowadźcie nas, pocziwi ludzie.“ Wziął więc sołtys konie za cugle, jednemu z synów iść kazał naprzód z bosakiem; drugi wraz z woźnicą trzymał budę; i tak ostróżnie i pomału po długich i przykrych przeprawach, wyjechali nareszcie na równiejszą drogę, i wnet przed porządną chatą stanęli.

„Niewiasto! Regino!—zawołał sołtys w niskie stukając okno—miasto konia, patrzcie co my zdobyli.“ Wybiegła wnet

dorodna choć już nie młoda kobiéta, z nią dwie hoże dziewczuchy, i dziątek małych sześcioro; kłaniała się matka i dziewczuchy przybyłym gościom, dziatwa patrzyła na nich ciekawie.

„Zapewne wielmożne paniątka — rzekła gdy wysiadali — na jutrzejszy odpust dążą? uczynicież nam tę łaskę, przejdźcie w dobrej myśli próg nasz ubogi...“ A to mówiąc wprowadziła obie niewiasty do obszernej i porządnej izby, gdzie dużo bielizny i odzieży rozwieszonj i porozkładanej było. „Chciejcież rozgościć się — rzekła — siadźcie przy ognisku na ławie; i darujcie temu nieładowi — do dała zbierając na jeden stos rozrzucone rzeczy — ale to na jutrzejszy odpust ubiory. Ja sama iść nie miałam, jedno dziatki i starsze wnuki wysłać, ale pójdę, oną zgubę pańską u Matki Boskiej wybłagać, boć mi nasz pan gotów mojego, kijmi zabić...“ I to mówiąc otarła rękawem łzy gorzkie. „Niewiasto! nie płaczcie — zawołał sołtys — miejcie lepszą otuchę; walnie pierwsze kroki nasze ku temu szukaniu się powiodły; wyratowalim od zguby taką poważną i wielmożną panią i zapewneć jój córkę, tego żywego anioła, a zresztą, dyć wam mówiłem, że jeżeli wnet ten przekłety koń się nie znajdzie, ruszę do Krakowa, do królewskiego zamku. Do onego jeszcze (jak powiadają ludzie) dzikiego Litwina nie pójdę, ale pójdę do ślicznej naszej królowej i zaskarżę okrutnika. Wszak zarówno o jój cudności jako i o dobroci nagadać się świat nie może. Boć i na kiego licha byłaby wnuczką naszego ojca Kazimierza! Boże świeć nad jego duszą! — gdyby jego serca wylanego ku chłopkom nie miała, gdyby jak on sprawiedliwości w królestwie swém nie strzegła. Taka zacna wnuczka jako i dziać; jedno niewiasta, młoda, nie sama panuje, nie tyle co nasz Kazimierz sprawić może. A pamiętacie, co nam powiedział, na Najświętszą Pannę Gromniczną, ów pielgrzym z Wielkopolski tu przybyły. Król gdy raz przyjechał do Gniezna, kazał sobie stacye księżym poddanym dawać, którj gdy mu

nie chcieli dać, kazał brać dobytki ich. Aż go królowa zgromiła o to, mówiąc: że to nie w Litwie, bo tu obyczaju tego nie masz, aby kto co komu miał gwałtem brać. Tak, że kazał wszystko powracać ubogim ludziom, co było wzięto.“
Zaczem królowa westchnawszy rzekła: „*Tu się im dobytek wróci, ale płacz ich kto im nagrodzi* *); kiedyć nad Wielkopolanami taka była jój litość, cóż dla nas Sandomierzaków?“

W czasie téj mowy, niewiadomo czemu, obie grzejące się przy kominie pielgrzymki, odwróciły głowę, starsza by uśmiech ukryć, młodsza by łzę otrzeć nieznaicznie. Nie spostrzegł tego sołtys, a obracając się ku nim, powiedział jeszcze: „Zda mi się, jakobyście w onym zamęcie mówili, że z Krakowa jedziecie? po tych złocistych łańcuchach, kosztownych relikwiarzach, które u was na szyi widzę, lubo niby w zakonnych jesteście szatach; po onych cudnych srebrnych i złotych sprzętach, po téj bogatěj księdze, tych futrach i kobiercach, które ten brodacz wasz znosi a znosi, sądzę, iż nasza chata takowych gości jeszcze nie miała. Darujecie jednak to co powiem, wielmożne panie; oto powiedzcie nam godność waszą i czy znacie naszą królowę Jadwigę? — „Godność nasza—odpowiedziała młodsza—acz w oczach niektórych ludzi dosyć znaczna, w oczach téj Bogarodzicy do której dążymy, bardzo nikczemna; wyjawić jój jednak nie możemy. Królowę zaś znamy z bliska.“
„Jestże ona tak cudna i dobra jak ludzie powiadają? — spytała się skwapliwie Regina, garnek czystej wody wstawiając w ogień. „Jeszcze może cudniejsza i lepsza!—odpowiedziała starsza.—„Już cudniejszą od waszěj córy być nie może—wyrzekła Regina—osobliwie w téj chwili kiedy tak krasnym spłonęła rumieńcem... Ale powiedzcież mi, moje wielmożne, prawdaż to, że ono niebożatko nieszczęśliwe i przesładowane od tego dzikiego Litwina? Poganin on

*) Kronika Bielskiego str. 273.

chyba jeszcze w duszy, jeśli ma sumienie trapić niewiastę, z której ma wszystko; boć jabym zabić się dała, że ona mu wierną i jest i była: to zawsze miało być czyste, jak kryniczna woda, a pobożne kieby święta jaka...“ — „Za cnotę królowej i jabym śmierć poniosła—wyrzekła tu z żywością sędziwa niewiasta—co do jej nieszczęścia...“ — „Nie tak srogie jak mówią — przerwała jej młodsza — bo król przecież nie taki jak go malują: on dobre ma serce, pobożności wiele, lubo jeszcze nie taki okrzesany, jak polskie księżęta; ja przekonana jestem że do jej szczęścia, dziełek jedno nie staje; i wiecie co? dobrzy ludzie, pójdźmy jutro razem pie szo do Sandomierza, i razem błagajmy Bogarodzicy, żeby dla królowej dziecię u Dzieciątka swego uprosiła.“ — „Spełnimy to chętnie“ — odezwali się jednogłośnie wszyscy mieszkańcy chaty.— „Ale nic darmo—przydała Regina—wy za to proście Matki Boskiej za ona zgubą pańską; proście iżby mojemu, i całej tutejszej gromadzie sprawiedliwość oddano.“ Tu dopiero rozgadywać się zaczęli o niegodziwości pana tej wioski; o jego okrucieństwie, o niesłychanej pańszczyźnie, jaką mu odrabiać muszą.

„Przy takich swobodach — dodał sołtys — jakimi nasz ojciec Kazimierz wieś i miasta polskie obdarzył, przy takim handlu i tylu mieszkańcach, jacy teraz w Sandomierzu z łaski jego, my okoliczni kmiotkowie wnetbyśmy w pierze porośli; ale cóż kiedy nas ten niegodziwiec skubie a skubie, i zawsześwa goli. O! póki żył ten dobry król, który sam przez się skar gi chłopków przyjmował i rozsądzał, którego przeto *Królem chłopków* nazwano, ciężko on bywał karany za swoje przestępstwa: ale gdy miasto tego ojca, dostalim ojczyma w owym węgierskim Ludwiku, jał się mścić na nas niebożatkach i dotąd się pastwi; a my jeszcze nie śmieli zaskarżyć go przed Litwinem, boć podobne rzeczy w kraju jego, nie nowina.“

Zachęcały sołtysa obie niewiasty żeby się udał do królowy: trwała parę godzin ta rozmowa; sołtys i jego żo-

na, którzy dobrze pamiętali Kazimierza Wielkiego, lubo już lat ośmnaście od jego śmierci upłynęło, wiele o nim mówili, i nieraz w czasie tój mowy, anielski uśmiech twarz cudnej niewiasty rozjaśniał. Zjadła smacznie prostą wieczerzę, spała słodko w rogu izby na grochowinach, bogatym kobiercem przykrytych, lubo wierny panu swemu woźnica, przez noc całą w nogach jój łoża siedział; a pierwsza mowa, która gdy ocknęła się koło czwartej po północy, mile o jój obija się uszy, było szeptanie Reginy do męża: „I tój statecznej pani niczego, ale też ta młodsza, to nie paniątko, to istny anioł. Szkoda że ten uparty Litwin, jakby zaklęty, i słowa o ich nazwisku i godności wyrzec nie chce, jedno tak na nią patrzy jak żółw na jaja.“ Wstała z pośpiechem, a umywszy się na złotej miednicy drogiemi kamieniami wysadzanej, wypwszy gorącego piwa z podobnegoż kubka, ślubowała iż do samego wieczora nic więcej w usta nie weźmie; i wraz z towarzyszką swoją, z rodziną sołtysa i z brodatym woźnicą, który krok w krok szedł za nią, ruszyła w drogę.

Ustał był zupełnie śnieg i wicher, ale mróz wzmógł się nieco; gwiazd było miliony na niebie, lecz już bladły i nikły pomału; jedna tylko zawsze równym blaskiem jaśniała. Godło to było od wieków owęj Boskiej Dziewicy, do której świątyni pobożne grono dążyło; obróciwszy się więc ku niej odśpiewali Pozdrowienie anielskie, a potem zacząwszy różaniec, mówili go prawie do samego Sandomierza.—Wszedłszy bramą krakowską do tego miasta, wówczas zamożnością z najpierwszemi w równi w Polsce idącego, dwie pielgrzymki krakowskie zmieszane z tłumem, od nikogo nie poznane, cały poranek w kościele Panny Maryi na modlitwie strawiły. Tam młodsza z nich, obiecała Bogarodzicy złożyć na Jój ołtarzu świec dwieście jarzących i dziecię szczerokłote, właśnie w chwili kiedy pocziwa Regina ślubowała ze swojej strony sześć świec złotych, konia

i dziecię z wosku.—Po południu dwie pielgrzymki poszły do szpitala Śgo Ducha *), gdzie resztę dnia na usługę chorym, na opatrywaniu rannych strawiły. Gdy już wieczór się zbliżał, pomimo tego że strudzone były, że starsza wiele troskliwości o towarzyszkę swoją okazywała, a Litwin mruzczał pod nosem, wszyscy ruszyli pieszo do chaty sołtysa i zaszli szczęśliwie, nabożne pieśni śpiewając. Cudnej urody niewiasta szła pierwsza, i mimowolnie nikt w parze iść z nią nie śmiał; wyraz nadziejski piękną jej twarz krasiał, moc nadludzka pieśczoneму jej ciału siły dodawała. W chatce sołtysa czekał ją znowu ogień suty, smaczna wieczerza i sen słodki; aż ją budzić musiała jej towarzyszka nazajutrz....

Przy odgłosie błogosławieństw mieszkańców chaty, opatrzwszy ich hojnie, jak na polskie dusze przystało, dwie niewiasty wybrały się napowrót do stolicy; sołtys sam do walnego gościńca je odprowadził. W tydzień zaś, właśnie wtedy, kiedy Regina z płaczem wyprawiała męża do Krakowa, bo koń się nie znalazł, a pan batożników już miał przysłać, stawa przed ich chatą ten sam brodaty woźnica, te same cztery konie kare, ta buda węgierska, ale już na kołach, bo sanna znikła; siedzą w niej w miejscu dwóch niewiast, dwaj poważni panowie, i dąży za niemi dwunastu konnych. Pytają się o sołtysa, każą się prowadzić do dworu. Krótko mówiąc, po przyzwoitych badaniach i układach, wioska ta imieniem królowej Jadwigi kupioną została, i darowaną kapitule sandomierskiej; pana jej na sześć miesięcy do turmy skazano; nazwisko *Świątnik* wiosce nadane, a to z powodu, że jej włościanie żadnej z gruntów swoich nie będą mieli na wieki powinności, prócz wysyła-

*) Żegota kasztelan krakowski, w roku 1222 założył w Sandomierzu kościół i szpital Ś. Ducha, dla chorych i kalek ubogich. Już więc od sześciu wieków naród nasz ma zakłady dobroczynne.

nia kolejną co tydzień, czterech z pomiędzy siebie do Sandomierza, do kościoła P. Marji na *świętą* usługę. Ta zaś wieczna ulga (jak oświadczyli panowie) należy się gromadzie za wycierpiane uciemżenia, sołtysowi i jego rodzinie za wyrządzoną przysługę i uczynioną gościnność. Bo któż nie zgadł oddawna, że młodszą z pielgrzymek, niewiastą cudnej urody, była królowa Jadwiga; starszą, żona Jaśka z Tenczyna, kasztelana Woynickiego, gorliwego jej obrońcy. W piętnaście zaś miesięcy po odprawieniu tej pielgrzymki, leżało na ołtarzu Bogarodzicy, w Sandomierzu, dziecko szczerozłote; paliło się dwieście świec jarzących, ale w dni kilka potem w zamku krakowskim, wśród płaczu i modlitw ludu całego, leżało ciało nadobnej i świętej królowej z duszy wyzute i obok niej zmarłe dzieciątko... Zaledwie dwadzieścia ośm wiosen przeżywszy, nieśmiertelną zyskawszy sławę, powiła Jadwiga dziecko mężowi, a potem umarła, posiadała ten żywot lepszy, którego pragnęła. Zapewne nikt jej więcej nie płakał jak sołtys, rodzina jego, i wszyscy Świątnika mieszkańcy. Tam, dotąd jeszcze, choć już od śmierci tej królowej lat czterysta minęło, jeszcze jej pamięć błogosławią, tam w szczęściu i dobrém mieniu coraz liczniejszych osadników, trwa jej dobroczynność.

II.

Dwa poranki.

z roku 1471.

Jeszcze była noc głęboka, oświecały ją tylko gwiazdy iskrzące się na przezroczystém niebie i śnieg na ulicach i dachach od srogiego mrozu stężyły; jeszcze ubogi wyro-

bnik zapominał we śnie o zimnie i pracy, jeszcze milczały dzwony kościołów, a już na krakowskim zamku, w dwóch oknach przez zamarzniete drobne szybki migalo się słabe światło. W rogu długiej i wysokiej izby, na której nagich ścianach krzyż Zbawiciela, kropielnica srebrna i dyscyplin kilka wisiało, z łóżka żelaznego powstał był mąż blisko czterdziestoletni; skrzesał ognia, zapalił żółtą woskową świecę, ubrał się coprędzej w czarną odzież kapłańską, potarł palce o stężoną święconą wodę, namazał nią otwarte czoło, odmówił z pokorą i gorliwością krótką modlitwę, a stanawszy w środku komnaty, krzyknął wielkim głosem: „Dzieci, wstawajcie! niech będzie Bóg pochwalony!“ W mgnieniu oka z pod ściany przeciwległej ozwały się głosy młode, pełne, i odpowiedziały prawie razem:—„Na wieki.“—a czterech dziarskich chłopaków powstając co żywo na nogi, jęło się do ubioru. Najstarszy z nich mógł mieć lat 15, najmłodszy lat 10; spali pokotem, kolejną starszeństwa; dębowa podłoga, skóry niedźwiedzie, kożuchy zwinięte w trąbkę, łożem, posłaniem, przykryciem, wezłowiem im były. Pozdrowili z uszanowaniem kapłana, sobie nawzajem dobrego dnia życząc; przebaknąwszy coś o wznowionym mrozie, owinęli nogi szmatami, grube skórznie na wierzch wciągnęli, odzież spodnią parcianą przewiązali rzemiennym pasem, a potem z kolei szli do wielkiej marmurowej miednicy pod oknem w ścianę umocowanej. Tam każdy podawał głowę pod lejącą się za odkręceniem śrubki zimną wodę, zanurzał twarz i ręce w obmarzłym naczyniu, tarł kark i uszy pływającymi bryłami lodu, poczem, podskakując wesoło, biegał po izbie by mu prędzej oschły włosy, twarz i ręce i wyszła z nich kurzająca się para. — „Dosyć tego — zawołał kapłan, widząc, że najstarszy do psot się bierze i najmłodszemu kawałek lodu na kark za koszulę chce wpuścić — dosyć; kożuchy na się, i do pacierza.“ Chłopcy nie odrzekłszy i słowa, wzięli natychmiast leżące naposłaniach

zwinęte kozuchy, włożyli je na siebie, i uklękli w środku izby obróceniem twarzami ku krzyżowi. Klękł przed nimi kapłan, wszyscy złożyli dłonie i odmówili głośno i wyraźnie Modlitwę Pańską, Pozdrowienie anielskie, Skład wiary, Dziesięcioro przykazań, zanucili pieśń Bogarodzica, a nareszcie powtarzając po słowie za kapłanem, następującą modlitwę przed tron Przedwiecznego zanieśli:

„Najwyższy Boże Ojczy, który niezmierną mądrością i opatrnością swoją wszystko rządysz, umacniasz, ożywasz, uskramiasz i wzbudzasz, któryś jest Bóg jeden w Trójcy, prowadź nas przez nieobjęte miłosierdzie Twoje, wysługi i mękę Syna Twego, do siebie i do szczęśliwego końca. Spraw, aby Duchem Twoim natchnieni i oświeceni, abyśmy przyjmowali z korzyścią udzielane nam nauki, abyśmy stali się godni wysokiego przeznaczenia jakiegoś nam wydzielić raczył; a posłuszeństwem i pokorą w młodych latach nauczyli się jak w późniejszych być wolnymi i umieć rozkazywać i rządzić. Królu królów, racz błogosławić ojcu i matce naszemu, braciom i siostram, i całemu Chrześcijaństwu; osłaniaj je od pogan i bisurmanów. Daj wieczny odpoczynek duszom wiernych zmarłych dziada i stryja naszego Władysława i babom Jadwidze i Zofii. Amen.“

Kiedy tak się namodliwszy powstali w milczeniu i jeden tylko ze starszych chłopaków pozostał na klęczkach z oczyma wzniesionemi w górę, odgłos trąb myśliwskich, rzenie koni, psów szczekanie na podwórcach zamkowych słyszeć się dały; zaczęto drzwi przetwierać i wnet wszedł służbowy pacholik, a zabiérajac się do śpiesznego uprzątnienia izby i do rozpalenia ognia na ogromnym kominie, oznajmił, że król pan przed wyjazdem swoim na łowy, śniadać z królewiczami przybędzie.

Bo te chłopcy tak rano budzone, w zimnej izbie na twardym posłaniu śpiące, tak surowo chowane i tak posłu-

szne, byli to starsi synowie króla polskiego, Kazimierza Jagiellończyka: Władysław, Kazimierz, Jan i Aleksander, a kapłan wychowanie ich prowadzący, Jan Długosz (1). Mieli oni jeszcze rodzeństwa więcej, pięć siostr i dwóch braci; ale ci dwaj bracia, ów Zygmunt, później król tak wielki i Fryderyk w końcu życia kardynał, mieli dopiero, jeden rok czwarty, a drugi trzeci, i wraz z siostrami zostawieni byli staraniom macierzyńskim zacnej królowej Elżbiety. Od lat pięciu dopiero brał synów pod ścisły swój dozór król Kazimierz, tak słusznie od dawnych pisarzy chwalony za troskliwe wychowanie jakie dawał synom. Nie błyskał koło tych przyszłych monarchów żaden przepych: prostota największa w odzieży, w jadle, w całym obejściu równała ich z miernością obywatelskiego stanu; rozpasanych z powicia i picluch, krępował ojciec więzami wstydu, skromności, posłuszeństwa; zdrowie ich hartował i wzmacniał niewygoda, ćwiczeniami ciała, jak najprostszym ubiorem; różgi nawet używać zalecał; umysł zdobić kazał i wynosić, aby kiedyś zdołali stanąć w równi z najwyższem dostojenstwem jakie niemal każdego z nich, czekało (2). Sam nie mogąc tym wszystkim zachodom uczynić zadosyć, lub ich dopilnować, szukał pilnie zastępcy. Nie upatrywał on go za granicą, ani użył wędrowca nikomu w kraju nieznanego; nie chciał, żeby książąt dla Polski przeznaczonych obcy mistrz układał na wzór obcy, żeby wpajając w nich zagraniczne obyczaje, obmierzał im narodowe: wybrał więc rodowitego Polaka, dobre imie i zasługi mającego u swoich, uczonego i cnotliwego Długosza. Z namysłem poddał mąż sumienny barki swoje pod ten ciężar ogromny, ale raz przyjąwszy, umiał dźwigać go, jak przystało. Poświęcił się cały wychowankom swoim; w ich powodzeniu i cnotach los swój i chwałę założył; dzień i noc z nimi, nie spuszczał ich nigdy z baczego oka; sam najlepszy we wszystkim dawał im przykład, nie dopuścił się żadnej niesprawiedli-

wości; ale w nich nawzajem żadnego nie pominął błędu, ani ubliżenia sobie: królewicze zarówno z rodzicami kochali i szanowali nauczyciela, a królestwo oboje, jakby bratem go uważali. On zaś jednakową mając o książętach pieczę, trudnił się najwięcej najstarszym Władysławem; bo wiedział, że temu lada dzień różgę i księgi na berło i koronę zamienić wypadnie; a kochał najmocniej drugiego z rządu, Kazimierza. Trzynastoletni królewicz, posłuszny, łagodny, kochający, choć najdrobniejszego ciała, najcierpliwiej niewygody i zmartwienia znosił; a tak był dobrze z Bogiem, tak miły ludziom, tak zawsze na obecność Stwórcy pamiętał, iż powiedzieć o nim można było, iż całe niebo w duszy swojej nosi. Jego też, kiedy zatopiony w modlitwie nie usłyszał oznajmienia przybycia ojca, trącił zwolna kapłan i powiedział mu: „Powstań święte dziecko.“ Podziękował mu królewicz uściśnieniem kolan i wraz z braćmi stanął za stołem oczekując przybycia ojca.

Już zastawiono w srebrnych naczyniach litewski kapuśniak z wędliną i zrazy koronne z kaszą. Na pierwszym miejscu było kosztowne nakrycie dla króla, obok podobneż dla Długosza; przy nich gąsiorek wódki i jasne kołaczki, a na końcu stołu, cztery jednakie miski iłżeckie, łyżki drewniane i po kawale razowego chleba. Stali książęta jak wryci przy tych nakryciach swoich, czekając rychło król wejdzie; smaczny i ciepły zapach potraw rozchodził się po izbie: apetyt mieli niezmyślony, lecz czekali w milczeniu.

Wszedł nareszcie król Kazimierz, postawa jego była wspaniała, twarz czerstwa i wypogodzona, ubiór myśliwski. Kilku dworzan weszło za nim; pozdrowił Długosza z przyjaźnią i zapytał o synów. — „Zdrowi i posłuszni, odpowiedział Długosz.“ — A więc dobry dzień wam chłopcy, Bóg z wami.“ i pogłaskał łaskawie po głowach cisnących się do jego kolan. — „Mróz gracki, mówił dalej, uda się wytropić dzikiego zwierza; coby to za łowy dziś były w moich litew-

skich borach! wy koronni, to za ledwie gaje macie. Ale należy posilić się na drogę. Siadajmy. Chłopcy! jedźcie jak zawsze stojący; starzy mówią: wstępuje moc w nogi od takowego zwyczaju... Walny kapuśniak!... a jakie nauki tego roku przypadają?— „Będziemy mieli, miłościwy panie, raczej powtórzenie dawnych rzeczy, niżli udzielanie nowych; postępując ciągle, wypada niekiedy zatrzymać się i obejrzyć na przebytą drogę; będą badania o obce i postronne rzeczy, najwięcej atoli o własne; wznowimy pamięć królów naszych od początku.“— „W tém jak we wszystkiém trafiacie w myśl moją, księże kanoniku; krajowém ćwiczeniem sposobcie synów moich dla kraju. Niech ten naród zacny, do którego z prawa urodzenia należą, jak mnie już nie stanie, pod ich cieniem bezpiecznie spoczywa. Niech spełnią wszystko, co obiecywał niegdyś sławnéj pamięci stryj ich Władysław. Niech będą głośniejsi od ojca, jako już są uczeńsi.“ Na te słowa gdy królewicze zdziwienie okazali, król tak jeszcze mówił:— „Nie dziwujcie się słowom moim, synaczkowie, ani chełpcie niemi: jam rychło rodzica postradał (3), a za czasów moich Długosza nie było; mało czego mnie uczono, nad wami tylu mądrych mężów ślęczy: sromotą byłoby dla was, gdybyście dalej od ojca nie zaszli. A łacina, będzieli dzisiaj? — „Będzie, miłościwy panie; nie zaniedbuję jęj nigdy, bo cenię ją wysoko, a zawsze oporem idzie; paniętom nie zdaje się tyle potrzebną, kiedy słowiańszczyznę znają: jeden królewicz Kazimierz bierze się do nięj, gdyż radby jak najprędzėj czytać księgi święte.“—

„Chłopaczkowie—ozwał się tu król—idźcież za przykładem brata; wszystko czego was uczą potrzebném jest, a łacina po ojczystych rzeczach najpotrzebniejsza. Ba, i do ojczystych rzeczy się przyda, bo nasi mędrcomie nieinaczėj, jedno po łacinie piszą. Powiadam wam z doświadczenia, męka to sroga nieumiejętność tego starego języka, a jak młodość minie pojąć go nie łacno. Bym żył sto lat nie

zapomnę mianowicie jednej przygody, w której ślubowałem rok cały nie jeździć na łowy, byłem był mógł przebąknąć po łacinie. Król szwedzki, Karol, syn Kanuta, różnemi przygodami zmuszony był szukać u obcych schronienia. Otworzyć tedy kazałem nieszczęśliwemu królowi port gdański, dać mieszkanie w opactwie Oliwskim i jechałem tam dla poznania go i osłodzenia niedoli (4). Aż tu rozmówić się z nim ani podobna: on nie umie po polsku, ja nie umiem ani po szwedzku, ani po łacinie; musieliśmy zawsze mieć trzeciego, a dziwnie to rzecz przykra, zwłaszcza kiedy serca się porozumieją i jest ochota nikomu, tylko przyjacielowi się zwierzyć. Od tego czasu przysiągłem, iż wszyscy synowie moi, bym ich miał dziesięciu, muszą umieć po łacinie; a ponieważ jako królowi cały naród jest mi synem, przykazałem, ażeby żaden szlachcic do urzędu przypuszczonym nie był, jeśli łaciny nie umie. Kiedyć zaś urzędu takowym dawać nie pozwalał, toć tém słuszniej korony odmówić wypadnie — dodał król z lekkim uśmiechem; potem zapytał się jeszcze: — „A z mężów uczonych, którzy dziś przychodzą, czy Grzegorz z Sanoka (5), czy Wojciech z Brudzewa? (6).—, „Byli oba wczora, miłościwy panie; dziś przyjdzie tylko Jan Kanty (7).“—, „A, ten święty i czcigodny kapłan! nie przepomnijcie, księżę kanoniku, dać natychmiast znać królowej skoro tylko przyjdzie. Mój Zygmuntek już tam zapewne do téj nauki tęskni; rozkoszne też to i mądre dziecię. Oby tylko Bóg opatrzny chować nam go raczył!... ale komu w drogę, to czas. Bywaj zdrów zacny przyjacielu, drugi ojciec synów moich. Chłopak! słuchajcie go jak mnie samego; a za najmniejszą, broń Boże krnąbrnością, zaklinam was księżę nie szcędźcie różgi. Wszak wiecie moje zdanie: muzyki odgłos wdzięczniejszym mi nie jest, jak płacz chłostanych synów (8); muzyczny brzęk, a syn wczas karany pociechą będzie rodziców. Do zobaczenia!“

Wybrał się król, skłonił mu się Długosz upewniając, że wszystkich poleceń ściśle dopełni; skłonili się niżej jeszcze w milczeniu królewicze, a skoro służba po śniadaniu sprzątnęła, stół jadalny zamienił się w stół nauki, a izba w szkołę. Nie było w owym czasie do nabywania światła tyle pomocy i ułatwień ile jest dzisiaj; kart jeograficznych, globów ziemskich i niebieskich prawie nie znano; papier był rzadki i drogi, księgi jeszcze szacowniejsze, drukowane mało co upowszechnione były, a pisane zbyt wysoko płacone, aby w ręce dzieci oddane być mogły. Najwięcej też ówczesni mędrcomie i mistrze uczyli z pamięci i z własnych notat. Podobnie nauczał synów Kazimierza Długosz, a tém łatwiej mu to przychodziło, iż z młodych lat pisywał wiele, wiele podróżował i dzieje pilnie zgłębiał. Co on mówił, uczniowie pisali sobie jak umieli krędą białą na stole, odczytując po kilka razy. Po skończonej lekcji ścierał pokojowiec namazane litery i znaki, ale treść ich zostawała w trwalszej od tak ulotnego pisma pamięci. Owego poranku zasiedli więc królewicze z obu stron długiego stołu, na twardych dębowych ławach; Długosz zajął środkowe krzesło; kałamarz, pióro, pliki pergaminów, książek parę leżało przed nim; przeżegnał się: królewicze także znakiem krzyża poświęcili czoło, piersi i ramiona i zaczęła się nauka. Mistrz podobnie się pytał, uczniowie uważni i baczni prawie w tych słowach odpowiadali:

Długosz. Na wiele części świat dzielimy i jak nazwana każda?

Władysław. Na trzy części: zowią się Europa, Azja i Afryka (9).

Dł. Jak dawno Bóg świat stworzył?

Kazimierz. 5475 lat.

Dł. Jak są te lata wyrachowane?

Wł. Do narodzenia Chrystusa Pana trwał świat 4004 lat, od narodzenia Chrystusa jest 1471 lat, razem 5475.

Dł. W której części świata mieszkamy?

Aleksander. W Europie.

Dł. Jakie kraje względem naszego kraju postronnemi się zowią?

Kaz. Na dole czyli na południu Tatarzy, Tureckie państwa i Siedmiogrodzka ziemia; na lewo czyli na zachód Węgry, Czechy; na górze czyli na północ, Marchia Brandeburska, księstwo Pomorskie, wyżej jeszcze Kurlandya, Inflanty od kawalerów mieczowych dzierżone; na prawo czyli na wschód rzeczpospolita Pskowska, Wielkie Księstwo Moskiewskie i księstwa ruskie.

Dł. Polacy dawnym są ludem?

Al. Tyle dawnym, iż nie jest dobrze docieczony ich początek.

Dł. Co jednak pewnego o rodowodzie naszym?

Wł. Że równie jak Czechy, Rusie wszystkie, Syrbowie, Raguzanie i inni, pochodzą Polacy od Sławian.

Dł. Jak zowią pierwszego księcia Polskiego?

Kaz. Lechem, panować miał około roku 550 po narodzeniu Chrystusa.

Dł. Który książę przyjął wiarę chrześcijańską?

Jan. Mieczysław I-szy za namową żony swojej Dambrowki, księżniczki czeskiej. Umarł roku 992, panował lat 30, żył 61, pochowany w Poznaniu.

Dł. Który pierwszy tytuł króla zaczął nosić?

Al. Syn jego Bolesław Chrobry, który wiele krajów podbił i do Polski przyłączył. Umarł 1025, żył lat 58, panował 33, pochowany w Poznaniu.

Dł. Który król meztwem z dziecinnych lat do śmierci sływał?

Wł. Bolesław Krzywousty; to jedno zrobił złego, że państwo polskie podzielił: panował lat 37, żył 54, umarł 1139 roku.

Dł. Który król te podziały złączył i rozpoczął prawdziwą wielkość narodu naszego?

Kaz. Władysław Łokietek, mały wzrostem, wielki duszą. On zebrał pierwszy sejm porządny w Chęcinach, Krzyżaków zgromił, zawarł przymierze z Litwą przez ożenienie syna z księżniczką litewską. Umarł 1333 r., mając lat 73; grób jego jest w katedrze.

Dł. Jak się zwał ten syn i następca jego?

Jan. Kazimierz Wielki, *królem chłopków* zwany, gdyż kochał lud rolniczy; on zebrał statut Wiślickim zwany i Polskę z drewnianej murowaną zostawił, tyle pozakładał grodów i miast. Panował lat 37, żył 60, um. 1370 r. Do dziś dnia chłopki kiedy krzywdę mają, przychodzą do katedry i tam skargi swoje jakby żywemu zanoszą.

Dł. Kazimierz zostawiłli syna prawego?

Al. Nie: z trzech żon miał jedno trzy córki, ustał na nim dom Piastów na tronie polskim; obrał sam następcą sobie syna siostry swojej Elżbiety, Ludwika króla węgierskiego; ten wielki w kraju własnym, nie uzyskał téj sławy w polskim narodzie. Żył lat 56, panował 12; umarł r. 1382, pochowany w Białogrodzie.

Dł. Po śmierci króla Ludwika, kto u nas panował?

Wł. Córka jego Jadwiga, którą babą naszą nazywamy; pani wielkiej urody, enoty jeszcze większej; ona lubo miłowała z dzieciństwa Wilhelma księżęcia Rakuzkiego, przyjęła jednak za męża księżęcia Litwy, Jagiełłę, sławnej pamięci dziada naszego, który chrzest przyjął i połączenie dwóch narodów, Polski i Litwy sprawił r. 1386.

Dł. Czy długo razem panowali nad Polską i Litwą?

Kaz. Trzynaście lat: królowa Jadwiga pełna pobożności młodo umarła. Miała wtedy rok 28; zostawiła córkę, która krótko po niej żyła, a król Jagiełło miał jeszcze żon trzy; umarł bardzo stary, mając lat 86, roku 1434, pochowany w Krakowie.

Dł. Która była prawdziwą babą waszą?

Jan. Zofia księżniczka kijowska, matka króla stryja i ojca naszego ;była także bardzo pobożna i cnotliwa, umarła, jest temu lat dziesięć, r. 1461.

Dł. Po śmierci króla Jagiełły, kto królem Polski i księciem Litwy został.

Al. Syn jego starszy, a stryj nasz, sławny na zawsze Władysław.

Dł. Najstarszy z królewiczów, który imie jego nosi, opowie nam żywot jego i nieodżałowany koniec, tak jak go dla was napisałem.

Wł. Długo oczekiwany, rodzi się, kiedy już dziad nasz Jagiełło miał lat 76; dzień urodzin jego po całym kraju głośny, wszędzie z radością był obchodzony. Stryj jego, a dziad nasz drugi Witold, po ważnym nad Tatarami zwycięztwie przybywa do Krakowa na chrzciny jego, obdarza go wspaniale, kładzie w kolebkę z czystego srebra ulaną i daje mu sławy błogosławieństwo. Odtąd często do stolicy zagląda, sam uczy małego bratanka jeździć konno, bronią robić, bierze go do Litwy i sposobi na takiego, jakim sam był, rycerza. Władysław rośnie spiesznie dla sławy i słusznie, bo też i żyć miał spiesznie. W siódmym roku traci stryja i zostaje księciem Litwy, w dziesiątym traci ojca i zostaje królem Polski, w czternastym wezwany na tron węgierski, waha się, ale przyjmuje koronę, a w dwudziestym ginie. Na wiek tak krótki wielkich rzeczy dokonał. Wsparty radą matki swojej Zofii i Zbigniewa Oleśnickiego, mądrze rządzi, litewskie kłótnie uspokaja, z Krzyżakami pokój korzystny zawiera, w Węgrzech wojnie domowej koniec kładzie, wszędzie sobie serca zyskuje; nareszcie bój krwawy rozpoczyna z Turkami. Turcy lud niewierny, który zamiast Chrystusa syna Bożego, oszusta Mahometa wyznaje i półksiężycą w miejscu krzyża wynosi; Turcy, którzy nie syci posiadłościami w Azji, Europie gro-

zili, poznali rękę jego. Mając przy sobie wielkiego wodza Huniada, odniósł nad temi pohańcami świetne zwycięstwo nad rzeką Murawą, a oparłszy się o Macedońskie góry, zawarł z ich sułtanem Amuratem sojusz korzystny. Nieszczęściem przysiągł na krzyż Zbawiciela, na imie Boga Najwyższego, że tego sojuszu przez lat 10 dotrzyma. Aż tu Turcy rosną w potęgę; panowie chrześcijańscy jedno w Polsce i w Węgrzech widzą przedmurze swoje, w jednym królu Władysławie obrońcę — upatrują chwilę, i kiedy niewierni spór między sobą toczą; wszyscy młodego rycerza namawiają do nowego boju, sam Ojciec Ś-ty papież Eugeni uwalnia go od przysięgi—ale jak gdyby Bóg sprawiedliwy tego uwolnienia nie potwierdził, w pierwszej bitwie pod pamiętną Warną dziwów śmiałości dokazawszy ginie. Pohańce siekają go na miejscu, odcinają głowę i nawet zwłok jego nie mamy!... Stało się to nieszczęście r. 1444.

Dł. Co się działo po śmierci króla rycerza?

Kaz. Długo wierzyć jęj nie chciano i spodziewano się jego powrotu; nareszcie król, ojciec nasz, powołany został na tron i panuje szczęśliwie i chwalebnie rok 27-my.

Dł. Jacy monarchowie panują w innych znaczniejszych Europy państwach, na przykład w Czechach?

Jan. W Czechach jest właśnie w tój chwili bezkrólewie, umarł Jerzy Podiebracki i Czechowie starają się o króla. Naród to zacny i bratni z nami.

Dł. A w Węgrzech?

Al. Panuje Maciej Korwin od roku 1458; jest to syn owego wielkiego wodza Huniada i godzien ojca swego. Wojownik wielki i prawodawca; Turków gromi, kraj swój urządza, akademią w Budzie założył, prawa krajowe w jedno zebrał; zgoła jest jednym z wielkich królów dzisiejszego wieku. Miał lat 15 kiedy na tron wstąpił. Naród węgierski jest bitny, dzielny, szlachetny, sąsiaduje i kocha się z Polskim, lubo wojuje z nim niekiedy.

Dł. A w Niemczech?

Wł. Jest cesarstwo niemieckie i rzesza; nad cesarstwem panuje od r. 1442 Fryderyk III, spokojnym przeważany. Lubi on pokój aż do zbytku, z królem węgierskim haniebnym pokój zawarł; przeciw Turkom wojować nie chciał. Słynie jednak z rzadkiej dobroci serca i z obfitości w słowa dowcipne.

Dł. A we Francyi?

Kaz. Panuje od r. 1461 Ludwik XI, a chociaż nabożny, dowcipny i mądry, zły jest i okrutny. Buntował się przeciw rodzonemu ojcu, od czasu jak panuje wiele zbrodni popełnił, najgorszymi ludźmi się otacza, poczytych nie lubi; przecież mówią, że dla Francyi mądre ma widoki: uczony jest i księgi pisze.

Dł. Z innych książąt w tej części Europy panujących, który jeszcze godzien wspomnienia?

Jan. Karol Zuchwały, księżę Burgundyi, panuje od r. 1467; szczęśliwy wojownik, ale nieco okrutny: króla Francyi już nieraz upokorzył.

Dł. Ojciec Święty, głowa kościoła jak się zowie i gdzie mieszka?

Al. Paweł II, jest papieżem od r. 1464; mieszka w starodawnym Rzymie, we Włoszech.

Dł. We Włoszech jakie jeszcze rządy słyną?

Wł. Rzeczpospolita Wenecka pierwsze dziś państwo morskie, którego posłów widzieliśmy niedawno na dworze króla, ojca naszego, i księstwo Toskańskie, gdzie rodzina panująca Medyceuszów, z kupieckiego stanu wyszła, kunsztu i sztuki dziwnie rozkrzewia. Już Florencyę ich stolicę Nowemi Atenami zowią. Panuje dziś Wawrzeniec przeważany Wspaniałym i obiecuje wielkim być monarchą; ma dopiero lat 23.

Dł. A w Hiszpanii co właśnie w tym roku zaszło?

Kaz. Podobnie jak u nas przed 85-cio laty Litwa

z Koroną złączyły się ożenieniem króla Jagiełły z królową Jadwigą, tak tam Kastylia z Aragonem zjednoczone zostały zameżciem Izabelli z Ferdynandem i naród ten wielkiej nabiera powagi.

Dł. A w Portugalii?

Jan. Panuje od r. 1438 Alfons V, Afrykaninem przewany, bo wojnę prowadził w tój części świata i odkryto tam za jego panowania na korzyść jego krainę, gdzie złota jest wiele, Gwineję.

Dł. W Wielkiej Brytanii co się dzieje?

Wł. W Anglii panuje od r. 1461 Edward IV z domu Yorków, okrutny, dumny bez miary i przyjaciół rozpusty. W Szkocyi Jakób III, który rządzi od r. 1460, a ma dopiero lat 18; nie wiele o nim dobrego mówią: w ciągłych jest wojnach z Anglią.

Dł. A w Wielkim księstwie Moskiewskim?

Kaz. Panuje od r. 1462 Iwan III Wasilewicz, wojownik i zdobywca coraz potężniejszy.

Dł. A w państwie Tureckim?

Jan. Mahomet II dzielny niestety monarcha! syn owego Amurata II, za którego panowania król stryj nasz był zabity. Panuje on od r. 1451, i ciągle zwycięża. Do jego czasów Turcy Ottomanie w Azji się szerzyli; on wdarł się w Europę trzeciego roku po wstąpieniu na tron, na czele trzech kroć stotysięcznego wojska, obległ Carogród, stolicę cesarstwa Wschodniego i po 55-ciu dniach szturm wzięł to święte miasto, ten Rzym drugi; ostatni cesarz wschodni Konstanty Drakoses zginął na murach jego jako męczennik i bohater z bronią w ręku. Mahomet przezwał Carogród Stambułem; kościoły chrześcijańskie na meczety przerabia, święty znak krzyża zrzuca, a pogańskie księżycy stawia; ciągle państwo swoje rozszerza, Wenetów upokorzył, do napadu na Włochy się gotuje, całej Europie zagraża: radby wszystkie jój ludy pod chorągiew Mahometa zagarnąć.

Dł. Jak się wam zdaje, czy dokaże tego?

Wł. Nie. Węgry, Polacy będą ciągle przedmurzem Europy, obroną chrześcijaństwa. Pod tym puklerzem wzrosnie kościół prawy i świat zajaśnieje szczęściem i nauką.

Dł. Daj im Boże spełniać ciągle to piękne powołanie i nie przyjść samym ku szkodzie. A z jakim jeszcze azyatyckim państwem Polska ma stosunki?

Kaz. Z Persyą. Hussun Hussan król Perski przysłał posłów swoich do naszego ojca.

Długosz pochwaliwszy pamięć królewiczów i dobre rzeczy zrozumienie, chciał im jeszcze niektóre zapytania czynić względem obecnego stanu Polski, kiedy uchyliły się drzwi i wszedł zwolna człowiek w wieku już podeszłym. Włos jego był biały, twarz lubo poorana wiekiem i trudami, pogodna i miła; zdało się, że czoło jego jakimciś szczególnym blaskiem jaśnieje: odziany był płaszczem czarnym, który jakby umyślnie spuszczał, osłaniając nim nogi. Był to Jan Kanty. Przychodził on parę razy w tydzień uczyć królewiczów Pisma Świętego, a na tę naukę lubiła przychodzić i królowa z resztą dziatwy. Skoro też usiadł święty człowiek i ulubionego sobie królewicza Kazimierza do łona przytulił, Długosz wysłał jednego pokojowca dać znać pobożnej Elżbiecie, drugiemu kazał kilka polan do ognia przyrzucić, a sam z królewiczami przyrzadził przyzwoite dla wszystkich miejsca. Wnet otworzyły się podwoje: wszedł naprzód giermek królowej i z uszanowaniem złożył na stole dwie księgi bogato oprawne, owinięte w jedwabne szmaty. Były to biblie dwóch zacnych żon Jagiełły, Jadwigi i Zofii, na ich rozkaz i dla ich użytku po raz pierwszy na język polski przełożone i dokończone przez kilku świątłych kapłanów, w liczbie których był Andrzej z Jaszowic. Po śmierci tych dwóch monarchiń, te księgi dostały się w równie godne ręce królowej Elżbiety. Niegdyś księżniczka Rakuska, córka cesarza niemieckiego Alberta, od lat sie-

demnastu kochana i szczęśliwa Kazimierza żona, matka trzynastu dzieci, z których jedenaście chowało się pomyślnie, wzorem monarchiń, wzorem kobiet była. Zajęta mężem, domem, dziećmi, karmiąc sama potomstwo swoje, chowając synów do lat pięciu, córki do samego ich zameżcia, opiekunka wszelkiej niedoli, nie miała ani chwili czasu na mieszanie się w dworskie intrygi, lub dociekanie tajemnic rządu; to jedynie o nich wiedziała, czego jój król w zaufaniu udzielił: posad i dostojności nie rozdawała, czasem tylko wyprosiła od kary, lub pomoc wyjednała i zaspokojoną była zupełnie udziałem swoim i władzą. Malowało się to zaspokojenie na jój łagodnej twarzy, a powaga matki, ta przyrodzona niewiast powaga, wysokiej i udatnej kibici prawdziwie królewską dawała postawę. Gdy weszła w sobolich szatach, w zawijce na głowie, otoczona doganiającymi jój wzrostu córkami, z dwuletnim dziecięciem na ręku, z dwoma synkami czepiającymi się szat jój, gdy ją okrążyli czterej królewicze, młoda jeszcze zdawała się jak wspaniała róża, na około której mnogie wyrosły pąki i ścięga jeden drugiego, który rozwinie się prędkiej. Z uczuciem pogłaskała synów cisnących się do jój kolan, zowiąc każdego zdrobniałem imieniem; pozdrowiła uprzejmie Długosza, a spojrzawszy na płaszcz spuszczonego Jana Kantego, rzekła z nadobnym uśmiechem: „Zgrzeszyliście znowu po swojemu wielebny Ojce, już pewno trzewików niema.“ „Prawda, odpowiedział spuszczając oczy mistrz pobożny, wybaczcie miłościwa pani śmiałości mojej, że tak na zamek przychodzę, ale bałem się chybić godziny, wracając po inne obuwie do domu.“ „Komuż te trzewiki się dostały?“ „zapytała uprzejmie królowa.“ „Spotkałem tu już pod górą nieboże z pokalczonemi nogami; trudno było wytrzymać (10)... Ale dosyć o tém, czas wziąć się do nauki.“ Tu zbliżył się do stołu, wyjął szacowne księgi z ich opon jedwabnych i zaprosił obecnych. Królowa siadła obok niego, córki starsze koło

niój: mały Fryderyk trzymał się ciągle jęj sukni, a co czteroletni Zygmunt, to ten wraz ze starszém rodzeństwem zabrał się do pilnego słuchania. Owa roztropność, która później uczyniła go tak wielkim królem, objawiała się od pieluch uwagą i powolnością na słowa i nauki starszych, bo dzieci i młodzi powinni wiedzieć, że to sposób najpewniejszy nabycia wcześniej mądrości.

Kiedy tak wszyscy usadowieni, głębokie chowając milczenie, oczy w Jana Kantego wlepili, a małe dziecko, królowna Barbara usnęła na ramieniu matki, święty mistrz się zapytał: o kim była mowa przy ostatniej nauce?

— O Salomonie—odpowiedziało głosów kilka, a król Lewicz Władysław tak zebrał życie tego króla. Salomon król żydowski urodził się 1033 lat przed Chrystusem. Pobożnie wychowany przez ojca Dawida i matkę Bersabeję, dobrze był uczony przez proroka Natana. Gdy w 20-ym roku wstąpił na tron i Bóg ukazawszy mu się we śnie pozwolił mu żądać czego zechce, on prosił tylko o mądrość i wszystkie inne dobra przydane mu zostały. On kościoł wspaniały wystawił Bogu w Jerozolimie, miast kilka zbudował, handel rozkrzewił, pomyślność poddanych zapewnił, wielkie zebrał bogactwa, słynął daleko z potęgi i mądrości; ksiąg wiele napisał, ale w końcu życia rozmiłował się w obcych niewiastach: te go od Boga odwiodły i pozbawiły szczęścia i chwały.

Jan Kanty. Jakaż z życia tego nauka?

Kazimierz. Nie ufać nigdy sobie, wzywać ciągle Boga pomocy, gdyż On jeden w świętości utrzymać nas może.

Jan Kanty. A dla niewiast jaka szczególna z jego obłąkań przestroga?

Jadwiga. Kiedy nam Bóg przez miłość dał władzę nad mężczyznami, ku dobremu, nie zaś ku złemu téj władzy używać mamy.

Jan Kanty. Wybornie; a jakże to sposobie się macie ku podobnemu postępowaniu?

Zofia. Posłuszeństwem dla rodziców i starszych i zapatrywaniem się na matkę.

Pochwalili oba kapłani to zastosowanie królowny, a skromna i szczęśliwa Elżbieta rumieńcem wstydu i radości spłonęła. Jan Kanty zaś tak jeszcze się zapytał: „A mój Zygmuntek maluchny, co sobie o Salomonie rozważa?“ „Myśle—odpowiedział królewicz—żebym rad jak będę duży, być tak mądrym jak Salomon.

— Będiesz nim mój synu—odpowiedział Jan Kanty, kładąc święte i drżące ręce na złotą głowę dziecięcia, jedno ciągle słuchaj i módl się... a teraz paniątka moje przytaczam wam kilka zdań Salomonowych, moje do nich dołączając uwagi. Starsi królewicze niechaj je piszą i nauczą się na pamięć.

I. „Po zabawach poznać dziecię.“ Bawciez się uczciwie i przyzwoicie paniątka moje, aby poznał każdy, iżecie bogobojnie chowane dziateczki.

II. „W jaką drogę się puści młodzieniec, takięj choćby się starzał nie odstąpi.“ Błogosławciez miłosiernemu Bogu dziateczki moje, iż królewscy rodzice i pobożni mistrzowie na dobrej drodze od pieluch was stawiają; łącno wam będzie dojść do szczęśliwego końca, skoro zechciecie.

III. „Głupstwo przywiązane jest do serca dziecinnego, ale różga karania wypędzi je.“ Dziękujcie przeto ręce, która was chłosta i ćwiczy skoro zasłużycie; ten ból ciała, duszy zdrowie przyniesie.

IV. „Różga i karanie dają mądrość, dziecię na swawolę puszczone, zawstydzi Ojca i Matkę.“ Nie lepiejże dla was dziateczki moje, podźwigać teraz jarzmo posłuszeństwa i mieć niekiedy wolę skrępowaną, jak później być miasto chwały, sromotą Rodziców?

V. „Kto się Boga boi, ten czci Rodziców i jako pa-

nom służy tym, którzy go porodzili.“ Boga nie widzicie dziecięcki moje, ale dał On wam w miejsce swoje Rodziców, ich jako Bogów widocznych czcijcie i szanujcie, im nieście wszelką posługę, a Bóg, Ojciec wszystkich ludzi, poczyta wam uczynki wasze jako cnoty.

VI. „Błogosławieństwo Ojcowskie utwierdza domy dzieci, a przeklęstwo macierzyńskie wywraca podwaliny.“ Wszystko dobre spłynie na was za dobrém słowem Rodziców, wszystko złe spadnie na was jeśli ich zasmucać będziecie.“

VII. „Bezecną sławę ma syn, który nie szanuje Ojca; przeklęta od Boga córka, która drażni Matkę.“ Oto macie, dziecięcki moje, próbkę na dziś dostateczną mądrości Salomonowej; nauczcie się tych zdań na pamięć, ale nadewszystko według nich czyńcie. Jest to naigrawanie Bogu i ludziom powtarzać mądre i święte słowa, a według nich nie postępować. Jeszcze nieraz udzielę wam podobnych nauk, bo Salomon wiele napisał; dziś przeczytam wam o następcach jego.“ I przeczytał mistrz święty o podziale państwa żydowskiego na dwa królestwa, o słabych rządach Roboamasy Salomonowego, jak ojca nie w dobrem, tylko w złem naśladował.

„Miły Boże, przemówiła królowa, jakież święty obowiązek rodziców być we wszystkim dobrymi.“ „Zaiste, odpowiedział Jan Kanty, nędznemu człowiekowi snadno naśladowanie złego przychodzi.“ A rozmawiając jeszcze podobnie czas niejaki, skończył dnia tego naukę. Odszedł, a wraz z nim królowa z córkami i z młodszymi dziećmi. Długosz jeszcze godzin parę udzielał królewiczom łaciny, rachunków i pisania; potem na zakończenie poranku wyprowadził ich na przechadzkę i na różne ciała ćwiczenia. Wtedy bowiem nie zaniedbywano tych starań. Czerstwe zdrowie, siła mężka, śmiałość, zręczność, należały do pierwszych zalet młodzieńca. Mróz był trzaskający, krzatali się tém żywiej królewicze, to gonili się i ślizgali po zamarzłej Wiśle, to wdrapywali się

kto prędzej na stromą skałę Wawelu, to konno się ścigali, to bronią robili, ciężary dźwigali. W tych wszystkich ćwiczeniach Jan był najśmielszy, Władysław okazywał najwięcej sztuki i podstępny, Aleksander zręczności; co Kazimierz, to jedynie z posłuszeństwa do tych zabaw i igrzysk należał i nigdy nie ubiegał się o pierwszeństwo: już wtenczas widać było w potulnym królewiczu pokornego świętego, który krótki na tej ziemi żywot wyłącznie Bogu poświęci, a dla niebieskiej korony, koronę ziemską odrzuci (11).

Tak zszedł jeden poranek synom Kazimierza Jagiellończyka w r. 1471, takich pierwój nie mało spłynęło; ale następny, który tylko nawiasem opiszemy, okazał się zupełnie inny; nieraz wielkie w życiu odmiany jedna tylko dzieli chwila, i dziś nie przewidujemy bynajmniej co jutro z nami się stanie. Jeszcze królewiczowie nie ukończyli zabaw swoich, a król ich Ojciec właśnie powrócił z łowów, kiedy wjechali do Krakowa Czescy posłowie wzywając Kazimierza Jagiellończyka, aby raczył dać im starszego syna za króla. Starali się różni książęta o osierociały tron ich, a między nimi Albert elektor Saski; lecz oni widząc łaskawe monarchy polskiego rządu, troskliwe wychowanie jakie dzieciom dawał, jednego z nich królem mieć pragnęli. Kazimierz w samój sile wieku mając prócz Władysława pięciu jeszcze synów, z trudnością byłby upatrzył powód do odmówienia Czechom, tłómaczył się jednak Władysława młodością; królewicz miał dopiero lat piętnaście, ale posłowie przypomnieli, iż stryj jego młodziej jeszcze królować zaczął, a dwom królestwom dał radę: żądali także najrychlejszego spełnienia prósb swoich, bo kraj w zamieszaniu dłuższego bezkrólewia znieść nie mógł. Z żalem i z radością, z podobnym uczuciem jak kiedy matka córkę do ołtarza prowa-

dzi, król Kazimierz na poranek następujący, nakazał obrząd uroczystego, posłów Czeskich przyjęcia. W największej sali zamkowej, której modrzewie ściany kryły złotolite obicia, w bogatym krześle, na stopniach wschodniemi kobiercami wysłanych, pod wspianiałym baldachimem, zasiadł poważnie i otoczył się najpotężniejszym ze wszystkich orszakiem, rodziną. Po lewej ręce królewskiej stało różnego wieku pięć księżniczek nadobnych z mistrzynią im przydaną; najmłodszą z nich do kolan matki przywykłą, najstarsza Jadwiga za rączkę trzymała; po prawej ręce jaśniała królowa i sześciu synów, a zaraz przy stopniach tronu Długosz, Jan Kanty, Wojciech z Brudzewa, Grzegorz z Sanoka, Kallimach, Jan Wels i wszyscy zacni mężowie, którzy nauk swoich udzielali królewiczom. Przed tronem stali biskupi, hetmani, dworzanie. Wszyscy zacząwszy od króla, strojne szaty przybrali, a mianowicie młody Władysław, któremu z skarbcu królewskiego cały ubiór stryja przywdziano. W kształtnym i wysmukłym młodzieniaszku, w sukni karmazynowej białym atłasem podbitój, złotym pasem przewiązanój, w białym jedwabnym obuwiu, trudno było poznać wczorajszego chłopaka w skorzniach i w kozuchu; ale umysł jego nie był tak wesoły, jak kiedy za braćmi z bryłą lodu gonił, lub ślizgał się z nimi po Wiśle, chociaż w ogrzanej sali drzał cały i ręką o ojcowskie kolana opierać się musiał. Wtém weszli posłowie Czescy suto przybrani z wspianiałym orszakiem. Pierwszy, za którym według owczesnego zwyczaju karzeł niósł ogon bogatego płaszcza, powitawszy królestwo jak należało, wyrzekł mowę pełną szlachetnej powagi i pokory zarazem i podał na aksamitnej poduszce młodemu Władysławowi berło, miecz i koronę. „Kiedy miłościwy król mój ojciec—odpowiedział królewicz dosyć głośno—pozwała te znaki przyjąć, przyjmuję i będę chętnie królem waszym. Ale czy tym wielkim obowiązkiem podołam, nie wiem, bom jeszcze młody i niedoświadczony.“

„Temu niedostatkowi zaradzić można—rzekł tu król Kazimierz—mamy tu z łaski Wszechmogącego Boga, męża, który zastąpi, na czém tobie synu zbywa. Szanowny Długoszu, kononiku krakowski, chciejcie zbliżyć się i wysłuchajcie rozkazu króla i prośby ojca.“ Długosz ukryty za posłami czeskiemi, w długiej czarnej szacie z futrêm wystąpił zdziwiony. „Oto, mówił dalej król, raczcie jechać do Czech z synem moim i bądźcie mu przewodnikiem.“ Kiedy Długosz wymawiał się nieudolnością swoją i okazywał mało ochoty opuszczenia ojczyzny i młodszych wychowańców, Kazimierz Jagiellończyk te pamiętne powiedział słowa, przez dziejopisów naszych zachowane: „Dwóch ma Władysław ojców: mnie pierwszego, który go spłodziłem, a ciebie drugiego, któryś go wychował i oświecił. Zbyt srogą byłoby rzeczą, gdyby w jednym czasie obudwóch pozbawiony do nieznanego sobie narodu na trudną posadę jechał. Sam chętniebym go nie odstępował, gdyby stan królestwa i moje tu obowiązki dozwalały mi tego. Sądzę więc rzeczą przyzwoitą, abyś ty obudwóch miejsce zastąpił i teraz osobliwie nie opuszczał młodzieńca, gdy przy takowej zmianie położenia najwięcej zdrowej rady potrzebuje.“

Rozczulony Długosz tą mową raczej przyjaciela niż króla, już nie opierał się więcej i jeszcze tego dnia samego, po mszy przy zwłokach Ś. Stanisława odbytej, po błogosławieństwie rodzicielskiem na grobie Jagiełły daném, oba z młodym królem Czeskim ruszyli w drogę ku Pradze. Uczony Kallimach zastępował go przy królewiczach, a dopókiąd rozsądny przewodnik był przy Władysławie, dopóty król ten słuchając go tak wiernie, jak niegdyś w wysokiej izbie królewskiego zamku, rządził dobrze. Bo młodym koniecznie przewodnika trzeba i biada temu, który zbyt wczesnie słuchać nie ma kogo; ten nigdy prawdziwie wolnym nie będzie, temu do lat późnych namiętności rozkazywać będą.

OBJAŚNIENIA.

1. Ojciec Długosza odznaczył się na wojnie pruskiej za Władysława Jagiełły; później starostą korczyńskim został. Jan syn jego, a dziejopis nasz zwany był *senior* dla tego, że miał młodszego brata tegoż samego imienia i także kanonika krakowskiego; było podanie nawet, że wszyscy jego bracia, a było ich podobno jedenastu, imie Janów nosili. Jan Senior urodził się w Brzeźnicy, w Piotrkowskiem, roku 1415; uczył się w Korczynie, potem w Akademii Krakowskiej — skończył ją mając lat 17. Pod koniec swego tam pobytu stracił matkę — ojciec powtórnie ożeniwszy się, zupełnie go zaniedbał i młodzieniec ciężki niedostatek czas jakiś cierpiał. Wszedł w dom Zbigniewa Oleśnickiego, zajął się spisaniem dokumentów, przywilejów, praw i fundacji Biskupów krakowskich. Oleśnicki zaczął go do spraw dyplomatycznych używać; pośredniczył gorliwie w nabyciu księstwa Siewierskiego w Węgrzech, godził Huniada z przeciwnikami — wysłano go do Czech. Po śmierci Oleśnickiego zawistni chcieli go usunąć, ale łagodnością przetrwał wszystko. Tymczasem rozpoczęła się sprawa o Biskupstwo krakowskie. Król innego a kapituła innego Biskupa zamianowali. Długosz był po stronie kapituły — przed gniewem królewskim w Mielsztynie szukał schronienia. Tak bliskie później z dworem stosunki od wzajemnej więc niechęci się zaczęły i trzeba przyznać, że uczony kanonik dłużej ją w sercu zachował. Król po dwóch latach przywołał dobrowolnego wygnańca; zdolności jego ocenił, w różnych poselstwach za granicę wyprawiał; powierzył wychowanie królewiczów; w każdej ważniejszej sprawie rady jego zasięgał; posyłał do Jerzego Podiebrada, do Krzyżaków; później nigdzie już od synów puścić nie chciał i w zamku Lubelskim na czas jakiś z zupełną nad nimi władzą osadził. Gdy Czesi wzywali jednego z młodych owych książąt na tron, król Polski chciał tamecznych hussytów z Papieżem godzić. Długosz tak pięknie powierzone sobie rokowania prowadził, że mu arcybiskupstwo Pragskie ofiarowano — nie przyjął „bo mu bez swoich, jako mówił: „żyć było trudno.“ Po śmierci Podiebrada jednak kiedy Władysław królem Czeskim obrano, na prośbę ojca dłużej w tym kraju przy uczniu swoim pozostał. W sprawie Pomorza długo i czynnie pracował. Zrazu według zasad Oleśnickiego przeciwny był poddaniu się miast pruskich, ale wzięwszy się do rzeczy, pilnie zgłębił dzieje i postępowanie krzyżackie i przekonał się że Polska miała słuszość za sobą. Użyto go następnie do zawarcia ugody z Maciejem Korwinem. Odmawiał ciągle wyższych posad, by mógł spokojniej nad historją ojczyzną pracować;

uczył się po rusku, żeby kroniki Nestora i litewskie czytać; niemieckie kazał sobie tłumaczyć. Król po śmierci Grzegorza z Sanoka mianował go arcybiskupem Lwowskim. W Rzymie dwa lata się z zatwierdzeniem opóźniono i nim bulla przyszła, umarł r. 1480. Był ze wszelkich względów mąż w swoim czasie znamienity. Przywiózł z Włoch dzieła mało znanych autorów łacińskich; wspierał ubogą młodzież na akademii; bursy Jerozolimskiej przez Oleśnickiego fundowanej dokończył; gdy spłonęła, kosztem swoim odnowił; w Sandomierzu dom dla księży mansyonarzy zbudował; na najuboższych uczniów fundusz wieczysty zapewnił; inny znów fundusz zapisał na historyka, któryby dalej ciągnął dzieło jego Historii narodowej, na żądanie Oleśnickiego rozpoczęte, a do roku śmierci własnej doprowadzone. Tymczasem i to co zostawił, długo się wałało w rękopismach, gdyż panowie, których antenatów niekorzystnie wspominał, drukować pracy jego nie chcieli; w ogóle Długosz w dziele swoim bardzo się nieprzychylnym okazywał Litwinom i całemu domowi Jagiellonów. Jan Herburt, kasztelan Sanocki, przekazał cenny dla siebie rękopism Długosza synowi swemu, Janowi Feliksowi; ten z niego w Dobromilu wydał r. 1615. pierwsze 6 ksiąg, lecz umarł nim z resztą podążył. Moźniejsi klątwę wtedy na dzieło rzucili i jest rozkaz Zygmunta III wzbraniający dalej drukować, a co już ogłoszono spalić nakazujący. W sto lat później baron Henryk ab Huyssen, nauczyciel Aleksego, syna Piotra Wielkiego, biegły w literaturze polskiej, znalazłszy inny rękopism w bibliotece Wojciecha Dembińskiego, chorążego oświęcimskiego, wydrukował dwanaście ksiąg w jednym tomie r. 1711; później z biblioteki akademii dostał nieznaną księgę trzynastą i tę w drugim tomie z innymi rzeczami polskimi zamieścił. Historia narodowa znalazła nie bardzo szczęśliwych tłumaczy: Kłodziński przełożył ją z łaciny na język polski dla Zakładu Ossolińskich, Gustaw Borneman w Lesznie zaczął już zeszytami tłumaczenie swoje wydawać, ale że nie było czytelników, wydawnictwo zawiesił. Inne pisma Długosza są prócz tego: *Żywoty wszystkich Arcybiskupów i Biskupów korony polskiej rozdzielone podług różnych dyccezji*; *Żywot S-go Stanisława* na wyraźny rozkaz Oleśnickiego utożony; *Żywot S-tój Kunegundy, czyli jak ją nazywano S-tój Kingi, królowny Węgier, a żony Bolesława Wstydliwego*; *Liber Beneficiorum* t. j. księga fundacyi duchownych w dycyezji krakowskiej, nadzwyczaj ważna dla historii naszych kościołów, a nawet dla badań jeograficzno-dziejowych; *Opis chorągwi krzyżackich, ziem i powiatów, które znajdowały się w bitwie grunwaldzkiej r. 1410*; *Liber et Regestrum Regni et Regis Poloniae*; wydał ją w Poznaniu 1855 r. Tytus Działyński z biblioteki kórnickiej; *Księga aktów i świadectw wiarogodnych i znakomitych osób, że ziemia pomorska, chełmińska i michałowska należały i powinny należeć do Polski*. Dopełnienie

jěj stanowią *Przywileje*, jakeimi wywodzili Krzyżacy prawa swoje do Prus, Inflant, Rusi i Żmudzi. *O domach szlacheckich i herbach w Polsce*, dzieła tego ledwie ślad został.

Długo bardzo kraj nasz wspominając często sławnego dziejopisa, prac jego nie znał prawie; nakoniec w tych czasach Aleksander Przędziecki, jako członek Towarzystwa Naukowego Krakowskiego podjął myśl wydania wszystkich dzieł Długosza, według najlepszych źródeł oczyszczonych krytyką, z tekstem polskim obok łacińskiego. Dzieje tłómaczył profesor Mecherzyński, Żywoty Arcybiskupów, Józef Gacki, ex Pijar. Samego zaś Długosza biografia spisana była w XV wieku przez bezimiennego autora, jak się zdaje za jego życia jeszcze; domyślają się że to jakiś był Marek Bonfilio Włoch; G. Borneman przełożył ją na polskie.

2. Nie zawiódł się Kazimierz Jagiellończyk w nadziejach co do świetnego losu swoich synów: Władysław był królem Czeskim, później Węgierskim; Kazimierz za Świętego uznany; Jan, Aleksander i Zygmunt jeden po drugim w Polsce panowali; Fryderyk był kardynałem, córki też: Jadwiga, Zofja, Elżbieta, Anna, Barbara, wszystkie mężów znalazły, ledwie dorosły. Byli to książęta: Bawarski, Brandeburski, Lignicki, Pomorski, Saski.

3. Synowie Jagiełły i czwartej jego żony Zofii, księżniczki kijowskiej, dziećmi byli, gdy w r. 1434 umarł ich ojciec. Władysław miał lat 10, Kazimierz 7.

4. Działo się to roku 1457; kronikarze szwedzcy wspominają z wdzięcznością o uprzejmém ich króla przez Kazimierza przyjęciu.

5. Grzegórz z Sanoka, ubogie pacholę, własną pracą i zasługą wykierował się na profesora nauk wyzwolonych w Akademii krakowskiej, a później arcybiskupem Lwowskim, umarł r. 1477. Był to myśliciel, który o całe wieki epokę swoją uprzedził. W logice prostotę rozumowania zaprowadził; o wychowaniu dzieci miał pojęcia, które dziś dopiero czynniej stosować zaczynają; pierwszy u nas czystość i świetność językowi łacińskiemu przywracać zaczął, czytając i objaśniając na publicznych wykładach Wirgiliusza i innych klasyków, czém ściągał mnóstwo słuchaczy. Jemu jeszcze słuszna należy się chwała za to, iż mimo powszechnego poważania w jakim była za życia jego astrologia, śmiało przeciw niej powstawał, wykazując zwłaszcza szkodliwy jej wpływ moralny. Na nieszczęście własnych dzieł Grzegorza z Sanoka nie posiadamy; jest tylko mistrzowskiém piórem skreślony jego życiorys przez Kallimacha, który zdania jego, wyrażenia i zasady obszernie przytacza i rozwija.

6. Wojciech z Brudzewa najlepszym był wówczas matematykiem, głównie jednak sławnym jest jako nauczyciel Kopernika. Żadna szkoła euro-

pejska pod względem nauk matematycznych nie przewyższała w tej epoce akademii krakowskiej.

7. Jan Kanty, professor teologii i wykładowca Pisma Świętego w akademii krakowskiej, umarł r. 1473 mając lat 61. Kościół wielki go jako świętego, w Polsce jest szczególnym patronem uczącej się młodzieży.

8. O płaczu chłostanych synów od muzyki wdzięczniejszym, przytoczono tu istotnie własne Kazimierza Jagiellończyka słowa; czas późniejszy jednak słuszności ich nie potwierdził. Zbyt surowo trzymani królewicze, wyrosli na królów hulaków, którym zbytki i nadużycia śmierć przyspieszały. Jan Albrecht, Aleksander, Fryderyk w młodym wieku z tego pomarli. Władysław także starości nie doczekał. Zygmunt jedynie charakterem i nawet zdolnościami wśród braci celował, może dla tego, że się wychowywał prawdopodobnie stosowniej do rad Grzegorza z Sanoka, ten bowiem zawsze przeciw surowości i plagom powstawał, a łagodności i miłości dla dzieci się dopomina

9. Wiadomo, że Ameryka odkrytą dopiero została r. 1492, to jest w 21 lat później, od czasu, o którym tu mowa; niegdys uczono o trzech częściach ziemi, nie dawno o czterech, a teraz już wiemy o pięciu. Dziś skutkiem ogromnego postępu w naukach, sprawionego najwięcej za pomocą druku, dziecię uczyć się poczynające, ma o wielu rzeczach rzetelniejsze wyobrażenie jak niegdys najuczciwsi mężowie.

10. Jan Kanty, czyli właściwie mówiąc Jan z Kęt był tak miłośny, iż skoro biédnego zobaczył, co mógł zdejmował z siebie, a okrywał nagość jego. Nieraz boso, albo bez płaszczu do domu powrócił. Skarga żywot jego opisał.

11. Królewicza Kazimierza Węgrzy na tron wezwali, tak się jednak niepilnie do objęcia jego sposobili, że go chciwszy władzy brat Władysław król Czeski, ubiegł. Kazimierz modłom, postom i umartwieniom oddany, żył tylko lat 24. Wielbiony jest jako święty. Umarł w Wilnie i tam ciało jego spoczywa.

III.

Trzy Chwile.

(Między rokiem 1480 a 1522).

W tej nędznej i dziurawej sukmanie, którą zaledwie utrzymać może pasik niegdyś czerwony; w tej wydartej czarnej czapeczce, w owych skórzniach szerokich, zrudziałych wiekiem, przysiadłych i wykrzywionych od długiego używania; z tą niekształtną lutnią w ręku, otoczony prostactwem i miejskimi włóczęgami, jakiżto chłopczyna ulice Krakowa przebiega? Pomimo tak nikczemnych pozorów, kształt jego jest udatny i pełen wdzięku; twarz świeża dziwnie powabna, oczy śklnią się żywością i dowcipem, na ustach koralowych miły uśmiech igra, a pełne trafnych żarcików piosneczki i słowa sypią się z nich nieustannie. Jest to Erazm, Krakowczykiem przezwany, bo mówią, że w Krakowie się rodził; ubogi wprawdzie, co gorzej sierota, ale przecież wesoły i szczęśliwy. Nie wie on nawet z pewnością jakich miał rodziców? wie tylko, że od dzieciństwa żyje chlebem litości; nikt wychowaniem jego się nie trudził, nikt go niczego nie uczył; lecz on sam w pierwszych latach młodocianego wieku, odkrywszy w sobie nadzwyczajną do muzyki skłonność, wziął lutnię i brząkał, póki z jej strun wdzięcznych tonów dobywać nie zaczął. Przyciśniony potrzebą, dziś lubo nigdy nie miał mistrza, już do pewnej doskonałości doszedł w tej sztuce. Prostactwo słuchać go rade. Przebiega ulice Krakowa otoczony miejskimi chłopakami, chodzi od gospody do gospody; tu gra, tam śpiewa, żartuje wszędzie a pieśni, skoki i śmiechy wiernie mu towarzyszą. Tu kawał chleba, owdzie siera krajanke, tam czasem czeskiego dostanie, i ma potrzebom swoim zadosyć. Schodzą mu dni

szybko i wesoło bez trosk, bez żadnych na przyszłość żądań; codzień pod innym dachem spać się kładzie; marząc o nowój piosnce usypia, na żarty i płasy ochoczo z twardego łoża powstaje (1).

W tych bogatych i wspaniałych szatach, w tym złotym łańcuchu na którym wisi krzyż z drogich kamieni, w owój biskupiěj infule, z księgą w ręku, w obliczu Maksymiliana cesarza, wśród najznakomitszego w świecie zgromadzenia monarchów, książąt udzielnych, czoła uczonych i rzymskiego kościoła, jakizto mąż poważny, jedno z pierwszych miejsc zajmuje? W gmachach Augsburga zebrał się sejm rzeszy niemieckiej, zebrał się w ważnym celu; idzie o wybawienie całego chrześcijaństwa od coraz wzrastającej bisurmanów potęgi. Głowa kościoła Leon X i wiekopomny Zygmunt I król polski, chcąc wezwać i zachęcić wszystkich panów chrześcijańskich do pospolitego przeciw tym nieprzyjaciołom wiary ruszenia, jednozgodnie temuż samemu mężowi to chlubne i ważne dali zlecenie. Siedzi on w tém znakomitém kole, wszystkich oczy na niego zwrócone; powstaje nareszcie, a obracając się ku stronie cesarza, śmiało do niego i do sejmujących stanów przemawia. Niepospolita piękność rysów wspaniałej twarzy, okazałość postawy, szlachetność każdego ruszenia, wdzięk głosu, wyraz właściwy każdemu słowu nadany, moc, żywość, tak czucia jak myśli, zdobią mowę jego. Oto z niej ułomek:

„Nędzni na świat przychodzimy, kolebkę naszą niedołężność otacza. Pędzimy życie w nieprzebranych troskach, w niefolgującej bojaźni. Wiedniejemy, usychamy, ni-kniemy w oka mgnienu, podobni do przemijającego kwiatu. Ten dopiero wiek swój przeżył, który obiegłszy chwalebnie kres doczesny, zostawia po sobie przewaźnych dzieł i nauki nieśmiertelną pamiątkę; zniknąwszy z oczu obecnych, trwa, kwitnie w nieskończonych pokoleń umysłach i sercach. Śmierć zacna zdoła i wieńczy życie. To było owe staroży-

tnych hasło, które ich pobudzało całych siebie poświęcać ojczyźnie na ofiarę. Ale cóż odległych zasięgać przykładów? Ty sam, Najjaśniejszy Monarcho! ozdobiony wspaniałością umysłu, w poufałych rozmowach roztrząsając tę obecną chrześcijaństwa dolę, ilekroćże niepowtarzasz: „Słodsza śmierć spotkaćby mnie nie mogła, jak gdyby mi przyszło oczy zamknąć na placu zwyciężkim barbarzyńskimi trupy zasłanym!“ Czas już zaiste, czas może ostatni, po tylu rozmyślach, obradach i sejmach, ziścić nakoniec bohaterски zapal, szlachetne czucie mężnem przedsięwzięciem wynurzyć, wspaniałą stałość przewagami stwierdzić, przewidywane nieszczęścia odwrócić, przełamać i skruszyć orężem“ *).

Póki mówił, serca przytomnych wskrós przejęte, niejedno oko łąz rozrzewnienia zrosiły; gdy skończył, szmer pochwał dał się słyszeć. Ale któż to jest ten mąż znakomity, ten dzielny krasomówca? Jest to *Erazm*, dziś już nie Krakowczykiem, ale Vitellusem przezwany. Kiedy przed laty chodził po ulicach i gospodach Krakowa, brząkał na lutni i nucił piosnki swoje, postrzegł go razu jednego dworzanin królewicza Aleksandra, naówczas W. X. Litewskiego; podobało mu się granie i śpiew chłopczyny, więcéj jeszcze jego powabna uroda, i trafne na wszystkie zapytania odpowiedzi; wziął go do siebie i otworzył mu przystęp do swego książećcia. Królewicz polubił młodego Erazma, a widząc w nim wiele zdatności i dowcipu, łożył na jego ćwiczenie w naukach. Rozpoczął bieg ich młodzieniec, w sławnéj naówczas akademii krakowskiećj; a przyrodzone zdolności, usilną i niezmeńczoną pracą rozwijając, w lat kilka za rektorstwa Jędrzeja z Łabiszyna, stopień bakalarski

*) Ta mowa w łacińskim języku miana, drukowana w Augsburgu, przypisaną została przez wydawcę *Erazmowi z Rotterdamu*, jednemu z najznakomitszych owego wieku uczonych; omyłka ta nie mało dodaje sławy *Erazmowi z Krakowa*.

(magistra) otrzymał, a we cztery lata potém, za Jakóba z Gostynina, doktorski osiągnął. Wtedy opiekujący się nim zawsze królewicz, przeznaczając Erazma do duchownego stanu, wysłał go do Włoch. Tam zostawszy księdzem, i coraz większe postępy w naukach i krasomówstwie czyniąc, bawił właśnie w Bononii, kiedy opiekun jego po śmierci brata Jana Olbrachta, zostawszy królem polskim, obdarzył go szlachectwem i do powrotu do ojczyzny zachęcił. Wkrótce Erazm przezwany Ciołkiem *) (niewiadomo dobrze z jakich powodów), a z łacińska Vitellius, zawsze w łaskach u Aleksandra, otrzymał za pośrednictwem sławnego kancle-rza Tomickiego, kanonię krakowską (2), a postępując coraz wyżej, został niedługo biskupem Płockim, a nareszcie posłem do Rzymu. Po zejściu Aleksandra, następcą jego jeden z największych królów naszych, Zygmunt I, również jak brat na Erazma łaskawy, przedłużył jego urzędowanie w Rzymie, a jednomyślnie z Leonem X, mianował go posłem na sejm rzeszy niemieckiej. Erazm sławny u swoich i u obcych, wysoką nauką, dowcipem, wymową, darami królów polskich bogaty, wielkie piastując dostojęństwa i urzędy, w najwyższych u papieża łaskach, był zapewne na szczycie pomyślności.

Lecz na kogożto Zygmunt I, tak zażalony? (3) komużto przekupstwo wymawia? czyjeżto niegodziwe serce, zapomniawszy że w Polsce bić zaczęło, dobra osobistego, dobra innych krajów, z krzywdą sumienia i ojczyzny szuka? Do kogóżto kanclerz Tomicki pisze w tych słowach: „Chciejże Wasz Mość być mi wdzięcznym, a co téż dla mnie czynisz, nie waż na funty, bo prawdziwa przyjaźń cnotą nie pożytkiem się mierzy. Gdybym i ja także chciał liczyć, albo

*) Była już wtenczas w Polsce znakomita tegoż herbu rodzina. Od niej pochodzą Poniatowscy.

kłaść na szale moje przysługi, nie wiem któraby przegórowała? i ktoby z nas dłużnikiem został? Przeciw komuż ta wrzawa w sejmujących kole? Jakiegożto niecnego syna ojczyzny posłowie ziemiańscy domagają się ukarania, i żądają od króla, aby mu urząd i powagę odjął? Cóżto za mąż w śklnięcych się od złota ścianach, w pośród licznych i nadskakujących mu dworzan, otoczony wszystkiem co przepych dla zbytku wymyślił; nędzny, blady, z ciała opadły, z zmarszczonem czołem, z czarnym smutkiem na twarzy, niknie trawiony nieustanną gorączką, bezsenne noce, dni ponure pędzi? Ach! to jeszcze *Erazm!*... O! jakże mało ludzi ma siłę dostateczną do udźwignienia bez szwanku nagłego powodzenia i szczęścia? Pomyślność dla wielu największą bywa niedolą, bo choć ich napozór uszczęśliwia i wynosi, najczęściej upadła i gubi w istocie. Tak przynajmniej z *Erazmem* się stało. Był w nim dowcip i zdatność, ale nie było męztwa i cnoty; czémże miał dźwigać pomyślność? Dumni, chciwy coraz świetniejszych bogactw i urzędów, nie mogąc się już niczego więcej od królów polskich, nad to co od nich dostał spodziewać, na stronę obcych całą swoją przeniósł gorliwość; bo ztamtąd świetniejszego jeszcze oczekiwał losu; krzywo szły z uszczerbkiem Polski, wszystkie w Rzymie sprawy mu powierzone, a najmniejszą wygraną drogo nিকেzennikowi opłacać musiano. Niezdolny do szlachetnego wdzięczności uczucia, dla ojczystej ziemi która go wykarmiła, dla królów którzy go z gminu wynieśli, dla dobroczyńców swoich, żadnego nie zachował przywiązania. Nie lubił ani Polski, ani Polaków; nigdy powrócić do rodzinnego kraju nie chciał, a lubo miał dwór liczny i okazały, jednego tylko chował przy sobie rodaka *): zresztą sami go

*) Gamrata, później biskupa krakowskiego. Nizkością pierwszego stanu do pana swego podobny, w wyniesieniu jeszcze świetniejszy, naśladował go w postępach.

otaczali Niemcy. Dumą, nienasyconą chciwością bogactw i znaczenia trawiony, zawiedziona nadzieja zostania kardynałem i otrzymania znacznego od cesarza biskupstwa, o śmierć go przyprowadziły. Cieszymy się wszyscy, którzy nisko i w mierności idziemy, bo najczęściej to co się zbyt wyniesie, upada.

OBJAŚNIENIA.

(do powieści Trzy chwile).

(1) Erazm na nieszczęście wiedział z pewnością o swoich rodzicach, że to byli ludzie biedni i złego prowadzenia oboje; czuł jednak w sobie wyższe zdolności i od lat najwcześniejszych o przyszłej świętości swego losu nie wątpił. Trzeba to bowiem młodym czytelnikom pamiętać, że nauka wówczas choć rzadsza, dla ubogich jednak łatwiejszą niż dzisiaj, tańszą i przystępniejszą była. Czyto z Krakowa, czy z najodleglejszych kraju okolic, tysiące chłopców cisnęło się pod skrzydła akademii krakowskiej. Jedni w bursach bezpłatnie otrzymywali umieszczenie, jakoby dzisiejsze, nie pieniędzmi wprawdzie, ale zaopatrzeniem potrzeb, dozorem i wykładami pobierane stypendyum; inni gdziekolwiek, choćby po drwalniach lub na poddaszach, znalazłszy przygarnięcie, zawieszali garnuszek u pasa, obchodzili z nim stragany przekupek, domy kupców, rzemieślników, panów osiadłych w Krakowie i nigdy im ani gotowanej ani surowej stawy nie poskąpiono: przekupki zwłaszcza osobliwemi ich opiekankami były. Kiedy nadchodziły dni świąteczne, to śpiewali gromadnie wesołe kolendy, obnosili kurka wielkanocnego i zawsze się trochę grosza na opędzenie pilniejszych wydatków uciulało. Byłe z głodu nie umrzeć, byłe mieć czem grzeszne ciało przyodziąć, a po godzinach całych głosu Grzegorza z Sanoka lub Wojciecha z Brudzewa słuchać, to i więcej swobodne *żaki* nie pragnęły. Dobrze im było w grodzie Krakusowym; nikt się ich żebranią nie gorszył, owszem cała ludność stolicy największe współczucie okazywała biednym onym pacholećtom, co i niedostatku i łaski ludzkiej się nie wstydzili, a ile sił i zdolności im starczyło, do światła i nauki darły. Otóż Erazm był *żakiem* jak inni, chodził z garnuszkiem jak inni, tylko już mu

coś więcej jak innym po głowie się roilo. Raz jakiś pokojowiec drocząc się z wesołym i dowcipnym kwestarzem: „Dam ci z pańskiego stołu, rzekł do niego, tylko biskupem nie bądź,” Erazm śmiechem śmiech odparł, lecz nie chciał przyjąć podanego warunku i wołał z pustym odejść garnuszkiem.

(2) Otrzymanie kanonii krakowskiej nie tak łatwo przyszło Erazmowi, jakby się to z toku powieści zdawać mogło. Póki Aleksander ulubienca swojego coraz wyżej w kościelnych godnościach na Litwie posuwał, póty żadnej ku temu nie napotykał przeszkody; nikt się tam o szlachectwo Krakowczyka nie dopytywał, wola książęca bardzo wiele znaczyła i syn koronny bez żadnego zgorszenia proboszczem wileńskim został. Inaczej rzeczy poszły, gdy Aleksander krolem polskim obrany, chciał swego najmilszego sekretarza kanonikiem krakowskim mianować. Kapituła krakowska najznakomitsza w Koronie, zazdrośnie świetności rodowej swoich członków strzegła. Król prosił; kapituła osobiście przed nim stanęła, a mając wyraźne na poparcie swoich wymagań przywileje, zarzuciła nieszlachectwo Erazmowi. Od tej chwili rozpoczęła się niebezpieczna dla sumienia walka dumy uzdolnionego człowieka z przesądami jego współczesnych. Erazm stawiał na zamku krakowskim ośmiu świadków, którzy zaprzysięgli, że ojciec jego zawsze się uważał za szlachcica, a matka, babka i prababka szlachciankami były. Król przyjął te zeznania, zawyrokował: że Erazm, jako szlachcic ma prawo do wszelkich urzędów koronnych; gdyby zaś brak jaki w urodzeniu się okazał, on władzą swoją królewską znosi tę przeszkodę na wieczne czasy (1502). Udający się zrazu za Ciołka, do wyroku podał się Erazm jako współherbowiec Sulimy; Ciołka miano, w osobistém jedynie zatrzymując nazwisku, z łacińska wytłómaczył się Vitellius. Wbrew tedy kapitule został kanonikiem krakowskim, ale ściągnął na siebie niechęć wszystkich niemal prałatów. Nie sprzyjał mu prymas Jędrzej z Borzysławic, potem prymas Łaski szczerze go nienawdził. Ten ostatni przez królową Elżbietę wyrobił postanowienie, żeby plebejuszów do wyższych dostojenstw w kościele polskim nie dopuszczano, a przydatek o koniecznym z ojca i matki szlachectwie, wyraźnie przeciw Erazmowi był wymierzony. Nowa ustawa jednak na przyszłość dopiero króla zobowiązywała: co się pierwój dla Vitelliusa zrobiło, to już było nieodwołalne i gdy biskupstwo Płockie zawakowało, Aleksander bez niczyjego oporu mógł już Erazmowi je oddać. Następca Aleksandra, Zygmunt I-szy umiał także oceniać zdolności Vitelliusa; lecz przesady szlacheckie względnością dworu uspić się nie dały: biskupowi płockiemu ciągle jego liche pochodzenie wyrzucano. Łaski ciągle starał się go poniżyć, a ze swojej strony Erazm, im więcej upakarzany, tēm dumniejszy, na nikogo nie zważał.

Kiedy go Zygmunt w poselstwie do Rzymu wyprawił, zaczął się starać o kapelusze kardynałski i o odłączenie Płocka od archidiecezyi gnieźnień-

skie]. Łaskiemu się to w głowie pomieścić nie chciało, żeby ktoś i dotego nieszlacheckiego rodu, śmiał o purpurze kościelnej lub o niepodległości w Płocku zamysłać. W ogóle duchowieństwo koronne nie lubiło, żeby jego członkowie o rzymskie tytuły i łaski zabiegali; nie obyło się bez zwad i trudności, kiedy królewicz Fryderyk Jagiellończyk miał kardynałem zostać: można sobie wyobrazić, jaki hałas przeciw Vitelliusowi powstał. Sam król aż pisał do niego, żeby się o kardynałstwo nie starał, zakazywał przyjmować je, choćby mu ofiarowanym było; oczywiście jeszcze surowiej zakazywał, żeby względem usunięcia Płocka z pod władzy Gniezna, żadnego kroku nie czynił. Vitellius z urazą w sercu, przyrzekł jednak, że posłusznym będzie królowi. Wrócił do Polski przywiózłszy tylko jako dowód łaski papieskiej *breve*, na mocy którego miało być wolno Polakom jeść mięso we środę. W biskupstwie swoim rozumnie i użytecznie rządy kapłańskie sprawował; zakładał liczne szkoły ludowe, dbał o publiczną oświatę, uczonych mężów szanował, bo i sam nauką słynął: to też król Zygmunt widział, że nie wytrzęsie z rękawa drugiego Erazma, i gdy się tego okazała potrzeba, znowu go użył na poselstwo do Rzeszy niemieckiej i do Rzymu. Była to chwila druga, w powieści opisana, chwila istotnie najpiękniejsza w życiu Krakowczyka, gdy w Augsburgu zgromadzonych panów chrześcijaństwa, do wspólnej wojny przeciw groźnemu Turkowi powoływał.

(3) Okoliczności, które się na trzecią chwilę złożyły, możeby dzisiaj nietylko usprawiedliwieniem, ale i dowodem bystrzejszego umysłu ze strony Erazma zdawać nam się mogły. Prawda, że postępowanie jego jako posła nie zawsze zgodne było z poleceniami Zygmunta, ale kto wie, czyby się nie okazało zgodniejszym z interesami kraju, choć zapewne nie o sam kraj tylko pysznemu sercu chodziło. Kiedy śmierć cesarza Maksymiliana w niwecz obróciła zamachy przeciw Turkom, w Niemczech do nowej elekcji przystąpiono. Wybór chwiał się z równym prawdopodobieństwem pomysłnego skutku między Karolem królem hiszpańskim, a Franciszkiem I królem Francji. Nasz Zygmunt ciągle przez dom Habsburgski maniony, jak mu pierwój do Czech i Węgier drzwi na rozcież otworzył, a Bonę Sforcyę w nagrodę za to dostał, tak i teraz był po stronie Habsburga Karola. Papież Leon X, według Gwelfowskiej tradycji, lekając się zbyt potężnego Gibellina, życzył sobie Franciszka I, a choćby zresztą i samego Zygmunta. Biskup płocki zupełnie ku widokom papieskim się skłaniał, papież przeto wysoko ceniący jego zdolności i pewny życziwej dla siebie chęci, stręczył go królowi polskiemu na nowe do Niemiec poselstwo. Zygmunt dla tego właśnie, że go papież stręczył, zaczął Erazmowi niedowierzać. Ostrożny monarcha nie liczył na dalekich sprzymierzeńców i lękał się, by oprócz Turków nie miał jeszcze przeciw sobie

sąsiedniej Austrii: wyprawił też coprędzej Macieja Drzewickiego z Rafałem Leszczyńskim, żeby za Karolem głosowali. Zbudzona przy tym wypadku nieufność między królem a biskupem płockim, ciągle się już zajątrzała, chociaż król osiadłego w Rzymie nie przestał do spraw swoich, jako stałego posła używać. Przyszła pod ten czas właśnie ważna sprawa z krzyżakami i onato najwięcej *rozżaliła* Zygmunta. Leon X sprzyjał zakonowi Zygmunt powstawał przeciw niemu. Z początku Vitellius ani jednej, ani drugiej stronie narazić się nie chcąc, doradzał potwierdzenie wiecznego przymierza; w końcu jednak przewidując, jaki ta rzecz obrót weźmie, pisał do króla, żeby wcielił wielkie mistrzostwo do Korony, jak się to zrobiło w Hiszpanii z mistrzostwem Kalatrawy. Nie był to wcale zły pomysł, lecz król widział w nim tylko chęć ocalenia zakonu i dwuznaczne postępowanie biskupa; ostro go w listach swoich gromił, a na sejmach jeszcze ostrzej go potępiano za to, że starań swoich o wyzwolenie dyecezyi płockiej nie zaniechał. Górski jakiś przywiózł nawet prośbę ze zjazdu lubelskiego do króla, aby odwołał biskupa i urząd biskupi mu odjął. Zacny Tomicki oparł się gorliwie temu pchańbieniu Erazma, a jakkolwiek sam na jego obojętność się skarżył, wyrobił mu przeciw świeży zasitek pieniężny. Ta szlachetność jednego współziomka nie przejednała wszelako obrazonego na innych biskupa; istotnie zupełnie zubożył dla rodzinnego gniazda, do Rzymu, jakby do własnej ojczyzny się przywiązał i nazawsze we Włoszech zamieszkać postanowił. Tak się też stało; już nigdy do Polski nie wrócił; w męskim jeszcze wieku niezadługo po śmierci Leona X umarł i Ciołek, może z powietrza, może ze zgrzyoty. Pochowany w kościele Panny Maryi del Popolo.

Zawziętość przeciwników nie dała mu spokoju pod grobowym nawet kamieniem. Rzadko który z późniejszych pisarzy przychylnie wspomniął o jego nauce, zdolnościach, o hojności dla uczącej się młodzieży, lub szkółkach ludowych przez niego pozakładanych. Wapowski tylko, Nakielski i Janowski chwala go za to; inni wszyscy prawie wytykają tylko błędy, które popełnił, i z tego szydzą najwięcej, że miał ojcem szewca, a matką szynkarkę. Bezwątpienia, gdyby Erazm Krakowczyk równie prawością charakteru, jak zdolnościami umysłowemi mógł się poszczycić, nie byłby upadł pod niesłusznemi zarzutami, a na słuszne nie byłby zasłużył; lecz z drugiej strony, gdyby pycha możniejszych już wtedy dla własnej prywaty szlacheckich przesądów podburzać i wyzyskiwać nie zaczynała, kraj byłby wiele mógł korzystać z posług prawdziwie zdolnego *męża stanu*, a była to niezwykła dla niego kosztowność, nawet w tym wieku, który tyle innych wydał mu znakomitości.

(„Pani Hofmanowa była także echem uprzedzeń przeciw Erazmowi,
„napisała w Rozrywkach krótką powiastkę o nim i główny nacisk

„w charakterystyce Erazma kładła na jego niewdzięczność dla króla, „na jego niechęć dla Ojczyzny).“

Tak się wyraził Julian Bartoszewicz; zapomniał o tём, że pani Hofmanowa nie mogła jeszcze dla sprostowania swego poglądu, mieć ku pomocy przez niego samego z niestrudzoną skrzętnością nazbieranych szczegółów o każdej prawie wybitniejszej osobistości z dziejów naszych. Młodzi czytelnicy pism pani Hofmanowej, wiedzieć to jednak i pamiętać powinni.

IV.

P o j e d y n e k.

rok 1513.

Jeszcze pierwsze promienie wschodzącego słońca nie oświecały szczytów gór Karpackich, jeszcze spoczywał nie jeden robotnik pracą wczorajszą znużony; jeszcze spało rumiane dziecię na tkliwej matki łonie, a już był ruch na krakowskim rynku. Snuli się po nim różni ludzie z miejskiej straży i z służby królewskiej, wchodząc i wychodząc z ratusza; rozmowy ich były krótkie, lecz dobitne i głośne, cała postawa zajęta, a przed drzwiami Krysztoforu i przed kamienicą na rogu ulicy św. Floryana będącej, z dwóch stron przeciwnych, zbierały się coraz większe gromady dworskiej gawiedzi. Jedna w niebieskiej barwie ze złotem, przy coraz jaśniejszej zorzy, coraz bardziej się szkliła; druga w czerwonych ze srebrem ubiorach, z samych dorosłych ludzi złożona, coraz większe rzucała cienie. Obie groźne ku sobie zwracały spojrzenia; kilkunastu z nich rękę na szablach silnie opierało; inni ściskali pięście, ramionami ruszali, a śmiech szyderski, słowa przechwalania się

groźby, ostre przekąsy, z ust wszystkich naprzemian wychodziły. Niebiescy przymawiali drobną monetcie i odartym wąsom, czerwoni nie oszczędzali półksiężycu, gwiazdy a nawet wojewody godności; byłoby może przyszło do czynnej rozprawy, bo już wyzywali się zuchwalsi i występowali z grona, gdyby nie surowy głos jednego ze starszych miejscich: „Wiara! ani na krok z miejsca—zawołał groźnie biorąc się także do szabli — bo do turmy! Taki rozkaz miłościwego nam pana i króla, to pańska nie czeladzi sprawa.“

Tymczasem liczba snujących się po rynku co chwila wzrastała; już we wszystkich pałacach, kamienicach i domach odzywał się hałas odsuwanych ryglów i zawias, słychać było drzwi i okien skrzypanie; a gdy jasne czerwcowe słońce oświeciło w całym swym blasku kościoła Panny Maryi wieże, już nie tylko rynek ale i przyległe ulice, pokryte były tłumem ciekawego ludu; już wiele głów męzkich i niewieścich z okien wyglądało; już dziarskie chłopaki okoliczne dachy zalegały, a nie łatwo policzone rąk mnóstwo, pracą było zajęte. Jedni ustawiali w wielki czworobok znacznie dłuższy niż szerszy, ciężkie ławy; drudzy wznosili je mocując silnie coraz wyżej w około; ci sposobili jakąś wspaniałą stolicę: po pokrytych purpurą trzech schodach, po takichże dwóch krzesłach i baldachimie suto złotem ozdobnych, zgadłbyś że królewska zasiądzie ją para. Inni na wyniesieniu stołek ogromny stawiali, a przed nim stół czarnym sukniem okryty, srebrnym wizerunkiem Zbawiciela na krzyżu szacowny; inni jeszcze urządzali obok tronu dwa obszerne ganki. Ci osłaniając je złocistymi tkaninami, zdawało się, że chcą przyćmić spuszczone z okien różnowzore i bogate kobierce i makaty. Inni nareszcie, a w ich liczbie najwięcej było kobiet i dzieci, to wielkimi miotłami zgarniały piasek i śmieci z oznaczonego czworoboku, to lejąc wodę obficie, przymuszały wzniesiony kurz by opadł. Wkrótce zaczęli przeciskać się przez tłum dziel-

ni rycerze na koniach i piękne damy w kolebkach; znój niektórych rumaków, kurz na wielu ubiorach, dowodziły, że nie wszyscy w murach Krakowa ubiegłą noc przebyli.

Piérwszy który przybył z rycerzy, sam nie zasiadł, ale innym przybywającym wskazywał, gdzie zasiąść mieli; po jego wspaniałej postaci, po znaczącej i dumnej twarzy, po oczach na niego zwróconych, po uszanowaniu i uległości, z jakimi każdy pracujący go słuchał, poznać było łatwo męża będącego na miejscu i w żywiole swoim, i któremu dzień ten jakieś niezwyčajne nadawał znaczenie. Piérwsza z dam przybyłych, niemniej także uwagę powszechną na siebie zwróciła. Za jój zjawieniem się wiele nawet szeptów powstało, tak na rynku jak w oknach, zwłaszcza między płcią żeńską; a nie jedna niewieścia kibić wychyliła się z niebezpieczeństwem, byle ją ujrzyć na chwilę. Była téż to młoda i nadobna dziewica, lubo w dniu tym nie wydawała się taką. Ubiór jój był zaniedbany, postać schyłona, krok słaby; wspierać ją musiała sędziwa niewiasta jój towarzysząca, a łzy któremi dotąd przepełnione miała piękne ciemne oczy, zdawało się, że zmyły całą barwę świeżego niedawno lica: był to zawsze kwiat, ale kwiat, który wiatr nachylił i dęszcz znękał rześisty. — Ledwie zajęła na ganku jedno wprawdzie z miejsc piérwszych, ale z taką skromnością, że sądzić było można, iż to raczej z roztargnienia jak z umysłu czyni; ledwie kilka za nią przybyło świetniejszych niewiast, a każda z względnością na nią patrzyła, kiedy ukazała się zapewne z matką dziewica odmienniej wprawdzie twarzy, mniejszego wzrostu jak piérwsza, ale zupełnie ubiorem, smutkiem i łzami do niój podobna. Gdy wstąpiła na ganek w rzed piérwszy, gdy ujrzały się wzajemnie, naprzód, jakby dawnym wiedzione nałogiem, pozdrowić się chciały uprzejmie; ale w jednej chwili, wzdrygając się jedna nad drugą, cofnęły się w tył obie i oddaliły od siebie jak tylko mogły najwięcej — a jeśli potem spojrziała

która ukradkiem na drugą, natychmiast wzrok ich łagodny się zmieniał i odwracały się jakby od nienawidzonego wroga.

Gdy obecni śledzili w milczeniu, lecz pilnie, każde dwóch dziewic ruszenie, gdy na stołku przed stołem świętym godłem oznaczonym, zasiadł mąż tyle znaczący i czynny; gdy ławy zajęte zostały przez rycerzy, powagę sędziów mających; gdy wszystko było w pogotowiu i w porządku, ze strony zamku hałas i szmer wielki dał się słyszeć, lud zaczął dobrowolnie drogę wśród siebie otwierać i z ust do ust przechodziło to słowo: „Królestwo!“ Wszyscy w mgnieniu oka z miejsc powstali, znakomita para ukazała się wnet z licznym i wspaniałym dworem. Z jaką radością i uwielbieniem kochające dzieci dobrych i zacnych witają rodziców, z takimiż witali zgromadzeni wielkiego króla i piękną jego małżonkę. Łata monarchy połowy domierzały wieku; dopiero siedm z nich strawił na tronie, ale już mądrością, dobrym rządem, zwycięztwami uzyskał miłość swoich, obcych szacunek; a postać jego równie czerstwa jak wspaniała, długie jeszcze dni pomyślnych pasmo, szczęśliwej wówczas Polsce wróżyła. Postępowała obok niego młoda królowa: dopiero od roku korona jój skronie zdobiła, jednak już okazała się jój godną przymiotami serca, i miłość ludu zjednawszy.

Królestwo zasiedli przygotowaną sobie stolicę, dwór napełnił dotąd prózny ganek, każdy zajął miejsce swoje, wszyscy umilkli, wszystko ucichło, a król dotykając się berłem złotem czynnego i znakomitego męża, przemówił w te słowa: „Na dzisiejszą okoliczność dajemy moc i władzę zupełną, temu wielce nam miłemu panu Neptyckiemu, dworzaninowi naszemu; męża tego jako biegłego w onych rzeczach i rycerskiem rzemiośle, sędzią w obecnej mianujemy sprawie.“ — Skłonił się pokornie Neptycki, a obracając się ku dwom giermkom suto przybranym i zbrojnym, zawołał: „Czas, by przybyli.“ Ruszyli giermkowie ka-

ždy w inną stronę, jeden do Krysztoforu, drugi na róg Floryańskiej ulicy; gawieź dworska niebieska i czerwona, przed temiż domami ciągle stojąca, krążyć i szeptać zaczęła, w podobieństwie pszczoł roju, gdy go kto poruszy; oczy wszystkich to na ten, to na ów dom patrzyły: aliści razem w ich z trzaskiem otwartych bramach, ukazali się dwaj konni rycerze, i razem zgotowaną dla siebie drogą w ogromny czworobok wjechali. Rycerz z Krysztoforu był wzrostu średniego, twarzy bladój, pięknej i nieco drobnój; postawa jego raczej kształtna niż wspaniała, więcej zwiastowała zręczności jak mocy; ubiór jego był hiszpański, zbroja lekka, a koń arabski na którym siedział, jak oczy jego czarny i żywy. Rycerz floryański zupełnie inaczej wyglądał. Wzrostem i tuszą przechodził najokazalszych mężów; twarz jego była znaczna, wydatna, rumiana, oczy niebieskie wypukłe, postawa niemal olbrzymia; każde ruszenie znaczyło siłę: ubiór miał z tatarska, zbroję ciężką, a koń biały meklemburgski, który go dźwigał, równie jak on potężny i rosły. W tém jedynie dwaj rycerze podobni byli do siebie, że każdy z nich miał drzewiec w ręku, szablę u boku, mężtwo w oczach, śmiałość w ruszeniu, chęć zemsty w uśmiechu. Gdy oba na środku czworoboku stanęli gdy każdy z nich skłonił się królestwu, sędziemu, widzom, a podobno pierwój jeszcze wzrok rzucił na dwie zawsze smutne i stojące od siebie dziewice, Neptycki podał z powagą pargamin stojącemu opodal heroldowi, a ten wielkim i donośnym głosem, następujące odczytał pismo:

„Wszem w obec i każdemu komu o tém wiedzieć należy, wiadomo czynimy: Oto wielmożny i wielce miłościwy Spytko Tarnowski, wojewoda sandomierski, herbu Leliwa, i wielmożny wielce miłościwy Jan Pieniążek, herbu Odrowąż, mężowie równej sławy i równej rycerskiej dzielności, wiele bitew z nieprzyjaciołmi rzeczypospolitej odniósłszy, poróżnili się o pierwszeństwo w mężtwie i obrazili wzaje-

mnie. Łechtliwa jest u ludzi wojennych sława: krzywdę zmyć w krwi zawsze radzi, ci oba rycerze, oba mężowie wielcy, nie chcieli drugiemu nic tanięj dać; ani krewni, ani przyjaciele, ani senat, ani sam nawet majestat królewski, nie zdołał ich do żadnej nakłonić zgody; zaczem wyszedł dekret króla i pana naszego, aby oba na koń wsiedli, a kiedy nie chcieli radą i przyjaźnią, żeby drzewem i szablą nieprzyjaźń między sobą uprzątnełi, a w obliczu ukrzyżowanego Boga, w oczach króla, sędziego, rycerstwa i narodu, w szczególnym pojedynku pokazali, w kim dzielność większa, męstwo piérwsze i bardziej polskie? Przeto na dzieńznaczony, którym jest dzień dzisiejszy, przygotowało się i ułatwiło wszystko, jako w takowych razach należy i przystoi. Pan nasz i król miłościwy, Zygmunt piérwszy i najjaśniejsza małżonka jego, Barbara, raczyli przybyć; zebrało się rycerstwo, zacne białogłowy i lud mnogi. Wielmożny i wielce miłościwy pan Neptycki dworzanin króla jmci, jednogłośnie przyjęty sędzia pojedynkowych prawideł, otrzymał z rąk królewskich potrzebną władzę; wszystko co się stać miało i było powinno, stało się: teraz wy zacni rycerze, złożcie przysięgę zwykle używaną, a złożywszy ją przed tym Bogiem, najlepszym Sędzią spraw naszych, mierzcie się w zgotowanych dla was szrankach, ale mierzcie się jako rycerze, chrześcianie i Polacy; mierzcie się, jeżeli już żadnej między wami nadziei zgody nie ma.“

„Nie ma!“—krzyknęli oba, a za danym przez sędziego znakiem, zbliżyli się do wizerunku Ukrzyżowanego Zbawiciela, schylili czoła i wykonali przysięgę; potém ujrzawszy rzuconą przez Neptyckiego rękawicę, rozjechali się jak tylko mogli najdalej; podnieśli drzewce, ścisnęli konie, ruszyli pędem, i jeden na drugiego natarczywie uderzył: jęknęły dwie smutne dziewice; nie zbliżyło ich jednak to jednozgodne uczucie; a rycerze po kilkunastu razach pokruszyli w trzaski swe drzewce.

„Zawsześmy równi!“ zawołali oba stawając w środku czworoboku, twarzą do króla i do sędziego, „a tu jeden przemódz musi.“ „Mierzcież się dalej!“ powiedział sędzia. Jeszcze nie domówił, a w ich rękę już szable błysnęły. Tu nie jęk jeden, ale łkania dziewic słyszeć się dały; rycerze znowu przyskoczyli do siebie i mierzyc się zaczęli z większym nierównie zapałem. Lecz taka była w jednym zręczność, taka w drugim siła, w obu dwóch taka przytomność i mężstwo, że żaden żadnemu nic uczynić nie mógł. Napróżno silny i ogromny Pieniążek podnosił ciężką szablę i już zdawało się, że nią przeciwnika zgnębi; kształtny i zręczny Tarnowski wywijał się z pod ciosów jego, i pełzła w powietrzu moc cała. Napróżno zwinny i wprawny Tarnowski korzystał z nadzwyczajną szybkością i sztuką z każdego położenia wroga; potrafił on oddalać te razy swą siłą, lub znieść je, jakby nie czuł wcale. Trwała ta walka blisko dwie godziny, zmieniły się twarze i konie rycerzy; zbladły więcj jeszcze piękne lica Tarnowskiego, ale oczy większym zaiskrzyły się blaskiem; krew prawie trysnąć chciała z wspaniałego Pieniążka oblicza, oczy więcj na wierzch mu wyszły; okrył się białą pianą czarny arabczyk, pryskała z ust jego czerwonych; siwy rumak żółtą przybrał barwę, chwytał powietrze nozdrzami. Natężone ciekawością umysły obecnych, w niepewnym i tęsknym były oczekiwaniu; od króla siedzącego na tronie, do ulicznego chłopiątka, który dachu się uczepił, wszyscy wlepione oczy w dwóch zapaśników mieli; serca dwóch dziewic, zdawało się że nie ich życia przerwą, tak gwałtownie były; nikt końca tak równego pojedynku ani przewidywał, ani się spodziewał; kiedy nagle jakby wyższem oświeceni natchnieniem, wśród najzaciętszych razów, dwaj rycerze stanęli, cisnęli szable, zsiadli z koni, i rzucili się w objęcia jak dwóch przyjaciół po długim oddaleniu. „Jesteśmy równi sobie i bądźmy równi! — zawołali obadwa — zgoda! zgoda!“

„Zgoda—krzyknął z uniesieniem król i sędzia zdumiony; zgoda! powtórzyło rycerstwo, niewiasty i lud obecny; zgoda! odbiły mury miasta i epoki Wawelu. Zgoda! szepnęły dwie dziewice, a usta ich złączyły się w słodkiem całowaniu. W zażyłości od dzieciństwa, Barbara Szydłowiecka i Anna Fredrówna, dopiero od czasu poróżnienia się rycerzy, którym obiecane były, przestały się widywać; pole bitwy narzeczonych (w ich oczach pole śmierci), pierwszym było ich spotkanie miejscem; obecne, silniejsze uczucie w czasie walki, dawne uczucie przemogło; ale teraz już mu nie w sporze niestało, owszem złączyła je ściślej doznana i niespodziewana radość.

Radość ta była powszechna, równie jak i zdumienie; król podniósł się z tronu, a wołając na dwóch rycerzy po ich imieniu i nazwisku, przerwał ich uściski. Stanęli u stopni majestatu, trzymając się jeszcze; monarcha rękę do pocałowania im podał, słowa wyrzekł pochwalne, łaskę przyobiecał swoją. W obec wielkiego Zygmunta, pięknej Barbary, sędziego, rycerstwa i ludu, w obec szczęśliwych i ukochanych dziewic, przed wizerunkiem Boga pokoju, dwaj rycerze przyrzekli uroczyście dozoną przyjaźń i dotrzymali słowa. Pojedynek ten głośnym był nie tylko po całej Polsce, ale i dalej. Jak pisze Wargocki: „Daleko ta szła po tym monomachia. Bo y listy ią do rozmaitych nacy niosły, przyległe państwa niemieckie wierszami y obrazem zaraz konterfektowały, cnotę y męstwo dwu Polaków, Tarnowskiego i Pieniążka świata pokazywały.“ I słusznie czynili, bo rzadkim prawie i cudownym jest widok serca ludzkiego, które pełne pychy i przeszdzonej miłości własnej, przejmie się nagle szacunkiem dla spółzapaśnika i już nie przodkować, ale iść w równi pragnie.

OBJAŚNIENIA.

O pojedynkach. Jak wszędzie w rycerskich wiekach, tak i u nas pojedynki nietylko używane, ale i pozwalane bywały; jeszcze w roku 1252 Bolesław Wstydlivy udzielił takowego przywileju Klemensowi z Ruszczy; król Aleksander w księdze ustaw narodowych szczególne rozdziały ich uroczystościom poświęca; Krzysztof Warszewicki świadczy, że niejaki Neptycki, dworzanin króla Zygmunta I-go, był przyjętym sędzią pojedynkowych prawideł; są dowody w metryce koronnej p. 556, jako za wyrokiem Zygmunta Augusta z dnia 13 stycznia 1559, Mikołaj Brzostowski dziedzic z Gulezicz, odbył pojedynek z Stanisławem Pszonką z Babina. Ale ten, jak się zdaje, był ostatnim urzędowym pojedynkiem; jeszcze za Zygmunta I-go, podnosić się zaczął głos opinii publicznej przeciw temu nierozsądnemu szermierstwu; pisał w tej materii Mikołaj Radziwiłł, Frycz Modrzewski, Wawrzeniec Goślicki, Paprocki i inni, a w roku 1588 stanęło prawo znoszące pojedynki w słowach: „Iż się to między ludźmi rozbieżało, że jeden drugiego na pojedynek wyzywał nad prawo chrześcijańskie; tedy uchwalamy, aby żaden szlachcic szlachcica na duellum nie wyzywał; a wyzywany aby się nie stawiał, oprócz, żeby to było komu przez nas dopuszczono. A ktoby się przeciw temu postanowieniu ważył tego uczynić, tedy ma siedzieć pół roku w wieży i 60 grzywien dać, o co forum w ziemstwie.“ (*Wypis z rozprawy o pojedynkach, w rękopiśmie będącej*).

O Barbarze. Barbara córka Stefana Zapolskiego wojewody Siedmiogrodzkiego, zaślubiona Zygmontowi I-mu roku 1512, umarła 1515. Zostawiła dwie córki: Jadwigę zaślubioną Joachimowi elektorowi brandeburskiemu, i Annę, zmarłą w piątym roku życia. (*Albertrandi*).

O Spytku Tarnowskim. Był to mąż bardzo znakomity, synowiec wielkiego hetmana, wojewoda i podskarbi koronny. Wielkiej używał wziętości i sławy. Z Tatarami szczęśliwie się potykał, a w czasie morowej zarazy króla Zygmunta z królową Boną i całą rodziną królewską przez 16 niedziel w dobrach swoich dziedzicznych Wielowski podejmował. Żonę miał Barbarę z Szydłowieckich. (*Niesiecki*).

O Janie Pieniążku. Potomek starożytnego rodu Pieniążków, herbu Odrzywąg czyli Odrowąg, dziedzic Próchnika zamku i miasteczka. W wojsku cesarskiem czas niemały na rycerskich sztukach strawił i w nich był wielce biegły; złączył się dożywotnie z Anną Fredrówną, kasztelaną Sanocką. (*Niesiecki*).

Barbara Radziwiłłówna.

r. 1545 — 1550.

Zygmunt I-szy, już od czterdziestu lat dzierżył berłem Polskiem, szczęśliwi poddani przez tak długi przeciąg czasu, same prawie pomyślne liczyli chwile. Tłum wojowników z zwycięstw sławnych, mężowie słynący nauką, cnotą i wymową, otaczali tron, zdobili dwór już i tak świetny okazałością i powagą. Wyniosła Bona, druga wielkiego króla małżonka; z innych miar szkodliwa krajowi, smak kunsztów i sztuk nadobnych przywiozła z Medyolanu. Polska zewnątrz poważana, wewnątrz używała pokoju, szczęścia i swobody. Zygmunt August syn i następca króla, rządził Litwą; zapatrując się na ojca i dziadów przykłady, uczył się wczesnie, jak uszczęśliwiać poddanych. Polacy z żalem, ale bez strachu na obciążonego laty spoglądali Zygmunta, kiedy August w kwiecie wieku, wszystkie ojca obiecywał cnoty. Tak Rzym niegdyś nie strwożył się Wespazyana śmiercią, bo mu Tytus został. Przyjaciel nauk, sam biegły w obcych językach i umiejętnościach, lubiący nad wyraz nadobne kunszta, osobliwie téż muzykę, wiódł August przyjemne życie, i z uczonymi przedstawiał mężami; dwór jego równał się prawie królewskiemu w świetności; lecz więcej nad okazałość, kunszta, nauki, Barbara dni książęcia i Wilno zdobiła.

Barbara córka Jerzego Radziwiłła, kasztelana wileńskiego, wdowa po Stanisławie Gastoldzie wojewodzie trockim, rzadkiem i szczęśliwém zdarzeniem, łączyła w swojej osobie wszystko, co niewiastę miłą i doskonałą uczynić

może. Czułość serca, wielkość duszy, słodycz w obcowaniu, umysł ozdobny, postać ciała czarująca; wszystkie te dary tak drogie, które często rozrzucone po kilku widzimy istotach, zebrane w niej były, i dziwiąc wszystkich, jęj tylko nie dziwiły. W pierwszym związku, w poranku prawie życia zawartym, nie sercu, ale woli rodziców powolną była Barbara; Gastold już był w wieku, przywiązała się jednak do starca młoda dziewczica. Pilnie słuchając rozsądnych jego uwag i napomnień, nabyła przy nim tęg znajomości ludzi, tęg trafności w sądzeniu rzeczy, które najczęściej wiek sędziwy mieć i udzielać może. Gdy po trzech latach małżeństwa, umarł wojewoda, szczeremi łzami skrapiała Barbara grobowiec jego, i już ostygły Gastolda popioły, a żal jęj jeszcze nie ostygł. Jednak rok żałoby się skończył, wymogli na młodej wdowie rodzice, aby pokazała się u dworu niedawno przybyłego do Litwy, lecz już wdowca Zygmunta Augusta. Sam książę słysząc tyle o wdziękach i cnotach Barbary, ciekawy był ją poznać; powątpiewał cokolwiek, aby mogła niewiasta na tak wielkie zasługiwać pochwałą.

Czegoż doznał, gdy Barbarę zobaczył? uczuł, że jeszcze nie dosyć ją chwalono, i że żaden język oddać nie zdołał, nie tylko wszystkich, ale jednego jęj wdzięku. Barbara z swojej strony książęcia dorodniejszym, miłszym nad wszystkie znalazła opisy; spodziewała się w nim widziéć poważnego i strach wzbudzającego monarchę, ujrzała najprzyjemniejszego z ludzi. Tyle był piękny, rozumny, cnotliwy, iż się zdawało, że on mitrom i koronie blasku mógł dodać, a nie one jemu; i że dla tego tylko niebo na taką wyniosło go dostojność, aby te przymioty znanemi były całemu światu. W młodych i czułych sercach, z uniesienia krok jeden do miłości; przebyli go wkrótce August i Barbara: ledwo kilka minęło tygodni, jak się pierwszy raz ujrzeli, a już im się zdawało, że całe życie z sobą przepędzili. Wszystkie chwile, które książę staraniom państwa mógł odjąć, biegł je po-

święcać kochance. Gusta, zdania, skłonności, mieli jednakowe; Barbara równie jak August kunszta i nauki lubiła; gdy głos miły z wdzięczną łączyła lirą, nie dziwił się już książę, że muzykę nad wszystkie przekładał kunszta; gdy piękne jej usta powtarzały wiersze Reja, pierwszego poety, który ojczystym pisał językiem; lubił więcej książę rymotworstwo, słodkim znajdował język polski i starał się o rozkrzewienie mowy, którą Barbara tak upięknąć umiała.

Wkrótce córka Radziwiłła równie potrzebną stała się życiu książęcia jak powietrze, którym oddychał. Znając wyniosłe widoki dumnej Bony, swojej matki, wiedział August, że nigdy nie dopuści, aby ojciec na związek syna z poddanką zezwolił; wiedział także, że już nie było w mocy ludzkiej rozłączyć go z kochanką; nie chciał skracać pierwszym nieposłuszeństwem dni szanownego Zygmunta: zaślubił więc potajemnie Barbarę. Litwa i Polska o małżeństwie jego wiedziały, królowi tylko nie było wiadomem. Czas jakiś spędził August, najpomyślniejsze wiodąc życie; żona kochanką być nie przestała: bliższe poznanie tysiąca cnót i przymiotów dotąd ukrytych, sposobność widzenia jej ciągle, odbierania nieustannie dowodów czulego przywiązania, słodka poufałość między dobranymi panującą małżonkami, nie uczyniły zapewne uczuć Augusta żywszemi, bo to już być nie mogło, ale im trwałości nadały, a przyjaźń i szacunek łącząc do miłości, złożyły te ścisłe i tak rzadko widziane więzy, które śmierć tylko rozerwać potrafi. Lecz nie tak prędko nie mija, jak pomyślne chwile; zdaje się że czas zawsze wojnę z człowiekiem toczy: w nieszczęściu żółwim postępuje krokiem, w szczęściu leci jak ptak drapieżny, porywa nielitościwie miłe sercu godziny, ledwie go okiem dosięgnąć, ledwie myślą uchwycić można. Już trzy lata jak Barbara jest żoną Augusta, ledwie im się trzema dniami ten przeciąg czasu wydaje, gdy niespodzianie przybyły goniec z Krakowa, smutną wiadomość śmierci króla

oznajmia. Jak ze snu zachwycającego, nagle przebudzony książę, biegnie do stolicy, nie chce w smutku rozłączyć się z ulubioną małżonką; pragnie także żeby jak najprędzej korona uwieńczyła jej skronie, bierze ją więc z sobą. Kto zupełnie szczęśliwy, kto nabył cokolwiek doświadczenia, ten ze strachem zwykł na wszystkie spoglądać zmiany: trwożliwa Barbara, lęka się téj podróży, nie zdaje jej się podobnym do prawdy, aby na inném miejscu, toż samo szczęście napotkać mogła; jedzie jednak z mężem, bo czémżeby dla niéj życie bez Augusta było?

Skoro zwłokom ojca ostatnią oddał młody król posługę, zaraz wszystkie łoży starania, do uzupełnienia swych żądań. Zwoływa sejm. Pewny, że Barbara nietylko Polski, ale całego świata berła godna; nie wątpi, że ją Polacy chętnie za panią swoją uznają. Wyniosłość chytréj niewiasty, ciężkie i nieprzewidziane w dopełnieniu jego życzeń, stawia mu przeszkody. Bona w ostatnich dniach zeszłego małżonka, przyzwyczaiła się władać berłem w drżącój już od starości będącém ręce. Lubo wielka zdaje się być różnica, między młodocianym i zgrzybiałym wiekiem; słabość którój oba podpadają, pewną im styczność nadaje: spodziewała się dumna królowa, że czego *już* uczynić nie mógł sędziwy ojciec, młody syn zdziałać *jeszcze* nie potrafi; karmiła więc w swém sercu wyniosłą nadzieję, że lubo korona na inną się przeniesie głowę, najwyższa władza w jej ręku zostanie. Młoda, piękna, nadewszystko z zapalem kochana małżonka, zniszczyć łatwo mogła te dumne widoki; z niechęcią ujrzała ją Bona. Młodość Barbary, jej wdzięki, słodycz ujmująca każdego, nie zmięczyły twardéj téj duszy. Żądzą panowania zajęta, wszystko prócz pychy, obcém jej było; wszystko gwałtownéj téj namiętności poświęcić była gotowa. Liczne pieniądze na zdzierstwach zebrane, na przekupienie użyła. Gdzie tylko ludzie, tam cnota i występki się mieści; znalazła Bona cheiwe złota istoty, a tych co przekupić nie

śmiała i nie mogła, prośbami, czułą mową, tak zniewolić umiała, że gdy młody król oświadczył zgromadzonym stanom, zamiar ogłoszenia Barbary królową, wszystkich głosy przeciw sobie znalazł. Powstała niezmierna wrzawa, marszałek Kmita równie jak drudzy, poduszczony przez Bonę, najgwałtowniejszym był jój dowódcą. Śmiało sprzeciwiali się monarsze poddani, pod pozorem, że śluby z niewiastą nie w królewskiej zrodzoną kolebce, uwłaczały powadze majestatu; jakby cnota i wdzięki nie były pierwszą i najważniejszą kobiety godnością? Pomimo najgorętszych usiłowań senatu, najzarliwszych sprzeczek i zatargów sejmujących, król stał niezłamany w swoim przedsięwzięciu.

Gdy Piotr Boratyński śmiał Boskiego wezwać imienia i zaklinać w długiej mowie Augusta, żeby się rozwiódł z Barbarą; gdy inni posłowie łącząc usilne prośby, ukłękli przed tronem, zdziwiony król temi krótkimi odpowiedział słowy: „Co się stało, odstać się nie może: a wam przystało nie o to mnie prosić, iżbym żonie wiarę złamał, lecz o to iżbym ją każdemu człowiekowi na świecie chował. Przysiągłem żonie, téj nie odstąpię póki mię Pan Bóg na świecie zachowa: a miłsza mi jest wiara moja, niż wszystkie na świecie królestwa.“ Nie zdziały żadnej odmiany tak pamiętne słowa, codzien wzmagały się kłótnie; Barbara troskliwa o małżonka, o Polaków szczęście, codzien więcej spokojnej w Litwie żałowała pomyślności. August chociaż potężnym został monarchą, nie był jednak droższym jój sercu; jeden jego rzut oka, jedno uściśnienie, nad wszystkie przekładała wielkości: z chęciąby tronu się wyrzekła, gdyby jój tylko ulubiony został małżonek. Już nieraz widząc zatargi króla z narodem, zatargi których ona była przyczyną, nieraz myśl miała odstąpienia dobrowolnie tronu, i serca tak jój zaprzeczonego; ale na tę myśl samą, krew ze wszystkich żył cisnęła się do serca, i taką go napełniała gwałtowną boleścią, iż jój się zdawał że rozdwojonem od żalu zo-

stanie, i przeżyć jęj nie dozwoli tak okropnej ofiary. Sejm rozszedł się na niczém, król przekonany, że słuszności od narodu wymagał, znieść nie mogąc radości chytręj Bony, ciężką znajdując koronę, której z Barbarą nie dzielił, rozgniewany na poddanych, już bez zezwolenia stanów chciał ogłosić małżonkę królową, gdy prośby sędziwego Jana Tarnowskiego, zniewoliły go do zwołania drugich narodowych obrad. Nie mogli Polacy opierać się długo słuszności i prawdzie, nie mogli nie być tknięci niczem nie zgiętą stałością króla, nie przekonac się, że cnoty godną tronu Barbarę czyniły; uznali ją więc królową. Skoro się dowiedziała o tęg szczęśliwej zmianie Barbara, padła na kolana; wynurzając swą radość Niebu; nie dziękowała mu, że ją świetnym otacza blaskiem, że na wysoką wynosi godność, ale że jęj żyć bez przeszkody z Augustem pozwala i koniec kładzie kłótniom z jęj przyczyny dzielącym króla z narodem.

Wkrótce po tęg uznaniu, nastąpiła uroczysta w Krakowie koronacya: król z upodobaniem obsypywał honorami żonę, z rozkoszą ukazywał ją poddanym. Widząc ją Polacy nie dziwili się, że tak stale przy takiej obstawie małżonce. Barbara ceniła te oznaki wielkości, bo nowym były dowodem przywiązania Augusta, bo z jego pochodziły ręki. Jedna tylko podła dusza nie dzieliła powszechnęj radości, i upokorzona Włoszki wyniosłość, czarną knowała zemstę. Bona była matką, musiała choć cokolwiek kochać syna; lecz obrażona duma, stokroć mocniejsza w obrzydłym jęj sercu niż wszystkie uczucia i przywiązania, zerwała nawet ogniwa macierzyńskiej miłości. Mało dbała o szczęście własnego dziecięcia, byle zemście dogodziła. Już od kilku miesięcy, Zygmunt August najśłodsze z ulubioną małżonką dędził chwile, wróciły się dla Barbary miłe dni dawnęj pomysłności. Nowe przekonanie o miłości męża, droga dla czulęj duszy możność czynienia więcęj dobrego, żywszém jeszcze niż w Wilnie jęj szczęście czyniły: używać i cenić

go umiała. Czerstwe siły, wiek młody, długie jój pasmo pomyślnych dni obiecywały. Często August zwiedzał wraz z żoną założone przez ojca w Łobzowie, wiejskie dla królów mieszkanie; jednego poranku, wsparta na małżonka ramieniu, przechadzała się Barbara po pięknym miejscu tego ogrodu. Miłość ich wzajemna, szczęście którego używali, przedmiotem były miłej rozmowy.

„Nigdy nie było szczęśliwszej nademnie niewiasty—rzekła z uczuciem królowa—serce Augusta, prawdziwych przyjaciół, zdrowie, koronę dziedzicę; wkrótce zapewne pozwolą mi Nieba odrodzić się w podobnej tobie istocie: jakże tyłu szczęściom wydołać potrafię!“ Ledwie wyrzekła te słowa Barbara, alic nagle ciemna powłoka oczy jój zakrywa, siły traci, pada na małżonka łono!... Przelękniony August woła; krzyk ten okropny boleści i trwogi, wnet jest usłyszanym od dworzan: zbiegają się ze wszech stron lekarze, domownicy, każdy z pośpiechem niesie ratunek ulubionej od wszystkich królowej; lecz próżne są zabiegi i starania, zjadliwa trucizna we wszystkich już płynie żyłach, już nic Barbary do życia przywrócić nie może: leży bez przytomności. Zdaje się jednak że głos Augusta słyszy, chce gwałtem rozedrzeć zlepiające się snem wieczystym powieki, żeby raz jeszcze spojrzeć na niego; chce otworzyć zamykające się usta, aby raz jeszcze zapewnić go o swojej miłości; lecz okrutna śmierć i tej rozkoszy jój odmawia: kona Barbara w srogich boleściach. Ściśnięcie Augusta ręki, ostatnim jest jój życia dowodem, tak jak miłość ku niemu, ostatnim serca uczuciem. Na ten widok, traci król zmysły; odzyskuje je niedługo aby się gwałtownej oddać rozpaczy: nie odbiera sobie życia, bo dla ojczyzny żyć musi, ale już nigdy ani serca podobnego sercu Barbary, ani cienia utraconego szczęścia znaleźć nie może. Obrzydła Bona chcąc uniknąć widoku ciężkiego żalu syna, żałoby całego narodu, pochwał dawanych hojnie zmarłej królowej, oddała się z Polski; lecz

przed wyrzutami sumienia nigdzie uciec nie może: ścigają ją do zgonu a cień synowej dzień i noc dręczy czarną jej duszę.

OBJAŚNIENIA

do powieści o Barbarze Radziwiłównie.

Wielka to szkoda dla młodych czytelników dzisiejszych, że gdy pani Hofmanowa obrazek niniejszy kreśliła, nie mogły jeszcze być jej znane *Pamiętniki o królowej Barbarze* przez Michała Balińskiego w r. 1838 po raz pierwszy ogłoszone, a listami autentycznymi Zygmunta Augusta, dwóch braci Radziwiłłów i samęże Barbary poparte. Nie wątpliwą jest rzeczą, że gdyby je miała w ręku, gdyby chociaż według nich ułożony *Szkic historyczny* Karola Szajnochy, znakomita autorka byłaby zbogaciła literaturę naszą utworem równie cennym może jak Dziennik Franciszki Krasieńskiej. Przy świetle rzeczywistości, postać Barbary nie tak heroicznie i anielsko wygląda, jak w tragedyi Felińskiego, jak pod piórem pani Hofmanowej; niemniej jednak zyskała droższy nad to wszystko wdzięk prawdy i taka jaka jest, więcęj budzi zajęcia. Widać, że była tylko słabą, drażliwą, zupełnie tak dziś zwaną *nerwową* kobietą; moralne jej pojęcia niezbyt wysoko sięgały; że dwa lata przed ślubem tajemne już w ogrodach Radziwiłłowskich miewała z Zygmuntem schadzkę; po ślubie aż do unizoności względem męża pokorna, a dumna i nieprzystępna dla drugich, na korzyść własnej rodziny jedynie wyzyskiwała łaskę królewską. Wpływ jej nie zapowiadał krajowi zbawiennych dobrodziejstw; owszem skarżono się na nią, że króla od spraw ważniejszych odwozi; nieraz panowie radni po godzinach całych czekać musieli, nim go z komnat swoich krotochwilną rozmową bawionego wypuściła. Umysłem swoim nie dorosta do wysokości osiągniętego urodą stanowiska. Była zawsze więcęj kochanką, niż ślubną żoną monarchy. Zbywało jej na cnotach królewskich, ale też za to umiała kochać jak zwyczajna z całego serca kochająca niewiasta. Trwożyła się o zdrowie, niepokoila o stałość, frasowała byle plotką, nabięrała otuchy, wiary i dumy na pierwsze słowo ulubionego; a każdy dowód jego pamięci, niby rzecz niespodziewana do głębi serca ją wzruszał: a że, jeżeli trochę ze swojej winy, to daleko więcęj, daleko okropnięj z niesprawiedliwości ludzkiej przecierpiała, że mało bardzo chwil szczęścia zliczyła, że młodo umarła i żal nieukojojony w opusto-

szalęm sercu króla zostawiła po sobie: imię jęj dla rodaków, bądź cobądz, wiecznie pono urok swój zachowa. Nie jeden z czytelników, nie jedna z czytelniczek pani Hofmanowej postara się o to zapewne, by chociaż w wymienionych przez nas dziełach Balińskiego i Szajnochy, historycznej prawdy o Barbarze się dowiedzieć. Dla tych jednak, którzy niedość prędko, lub wcale dzieł tych dostać nie będą mogli, w krótkości jedynie przedstawiamy tu zarys biograficzny, poprzednią powieść dopełniający i prostujący zarazem.

Rok urodzenia Barbary nie jest stanowczo wiadomy: jedni go w 1520 inni w 1522 oznaczają. Ojcem jęj był Jerzy Radziwiłł, książę na Birzach i Dubinkach, kasztelan wileński, hetman, w trzydziestu bitwach zwycięzca; matką jęj była Barbara Kolanka z Podhajec Wolska, kasztelanka sandomierska, dziedziczka Szczuczyna. Starszy jedyny rodzony brat Barbary Mikołaj, Rudym zwany, został później wojewodą wileńskim, hetmanem i kanclerzem w. księstwa litewskiego; siostra Anna, młodsza od nięj, poszła najpierw za księcia Holszańskiego, potem za Piotra Kiszkę. Z bliższej rodziny najwięcej się w jęj życiu zaznaczył i do ślubnego związku z Augustem przyczynił brat stryjeczny, Radziwiłł z Nieświeża, Mikołaj także z imienia, ale przydomek Czarnego noszący. W r. 1538 wydano Barbarę za Gastolda, wojewodę nowogrodzkiego, który niebawem wojewodą trockim został. Ojciec Barbary umarł w 1541 roku; mąż przy końcu 1542 bezpotomnie zszedł ze świata. Młoda wdowa opuściła Gastoldowe Geranony i zamieszkała w domu rodzicielskim pod opieką matki i brata. Tutaj poznał ją Zygmunt August za życia pierwszej żony swojej Elżbiety Rakuszanki, córki króla rzymskiego Ferdynanda. Nie możemy się wstrzymać przy tém wspomnieniu od nawiasowej chociaż uwagi, że dziwnie czasem i zagrobowy sąd potomności losem czy uprzedzeniem się rządzi. Owa Elżbieta ledwie mimochodem w kronikach wzmiankowana, dla której żaden z poetów dwóch wierszy nawet nie poświęcił, jak się teraz pokazuje z wykrytych przez Aleksandra Przezdzieckiego źródła, rzeczywistszego podobno niż Barbara dostarczyć mogła tragedji przedmiotu. Więcej ucierpiała od Bony, gdyż z nią ciągle przebywać była zmuszoną; żadnej pociechy nie zaczerpnęła w sercu obojętnego i umyślnie zdala od nięj trzymanego męża; kiedy zaś dobra, łagodna i piękna, połączywszy się z nim nareszcie, szacunek jego przynajmniej zdobywać zaczęła, umarła *nagle* w Wilnie (dnia 17 czerwca 1545 r.), lat dziewiętnastu skończonych nie mając. Nie zdaje się wszelako, by przed jej śmiercią jakie stosunki między Barbarą a Augustem już się zawiązały. Dopiero gdy król włowcem został, śmielęj żywшему uczuciu dał przystęp do swego serca. Przez dwa lata widywał się potajemnie z piękną panią Gastoldową w bliskich zamkowi Radziwiłłowskich ogrodach. Powiadają że rodzina Barbary umyślnie na to przez szpary patrzała, by lepiej młodego króla

usidlić. Kiedy się o jego miłostkach coraz wyraźniejsze pogłoski rozchodzić zaczęły, obaj bracia ujęli się nakoniec za krzywdą, jaką takie postępowanie dobrzej sławie ich siostry i czci całego domu wyrządzało. Król odpowiedział, że odwiedziny jego nie hańbę, lecz zaszczyt domowi Radziwiłłom przyniosą, bo chce Barbarę pojąć w małżeństwo — i rzeczywiście roku 1547, przy końcu września ślub tajemny nastąpił. Już w początkach listopada nowożeńiec musiał do Polski na sejm odjeżdżać. Poprzedziły go tam wileńskie gadaniny: ojciec wzięwszy go na stronę wypytywał co w nich prawdą być mogło? Syn zaprzeczył wszystkiemu i stary król do śmierci nie wiedział, że ma drugą synową. August zwierzył się tylko hetmanowi Tarnowskiemu i kanclerzowi Maciejowskiemu, biskupowi krakowskiemu. Matka jednak pokątnymi drogami prawdy się dowiedziała i zaczęła gromadzić żywioły późniejszych zawichrzeń.

Tymczasem Barbara z rozkazu męża, na cały czas jego nieobecności zamieszkała w Dubinkach pod opieką Mikołaja Rudego i najwierniejszego z dworzan Dowojny. Pasma ciężkich udręczeń już się snuć dla niej zaczęło. Przebyła niebezpieczną chorobę; postradała nadzieję, że kiedyś z synkiem na rękę męża swego powita; dochodziły ją wieści iż ten mąż zrażony trudnościami zupełnie dla niej obojętnie: odbierała wprawdzie częste od niego listy, ale na powrót, dłużej niż się zdawało, czekać jej przyszło. Król w marcu dopiero do Wilna wrócił, a przez ostrożność jeszcze kilka tygodni tam przesiedział, nim żonę z Dubinek zawezwał. Śmierć Zygmunta Starego (1 kwietnia 1548 r.), znowu ich rozłączenie spowodowała. August skoro tylko urzędową o niej wiadomość otrzymał, natychmiast w obec zebranej rady litewskiego senatu uroczystie małżeństwo swoje ogłosił. W dziedzicznej Litwie nikt przeciw woli panującego z oporem nie wystąpił; wszyscy Barbarze cześć jako królowej złożyli, ale już w dziesięć dni potem (28 kwietnia), mąż jej musiał do Polski się wybrać, żeby ster rządu objąć i pogrzeb ojcu wyprawić. Cicho jeszcze było w kraju o małżeństwie króla, niemniej przeto inne sprawy czas mu zajęły i dopiero we wrześniu mógł żonę do Radomia sprowadzić. Cały październik zszedł im spokojnie i błogo. Odwiedzali panów radomskiej ziemi, jednali sobie stronników, a Bona tymczasem poduszczala im zawziętych nieprzyjaciół. Nakoniec ściągana przez nią burza wybuchnęła. Pierwszego listopada rozpoczął się ów sławny sejm piotrkowski, którego szczegóły wszystkim u nas są znane. Mowę Piotra Boratyńskiego, zaciętość Kmity, piękne słowa Augusta, każdy zapewne z czytelników tej powieści pamięta. Zachwiałby się był w posiadach swoich tron ostatniego Jagiellona, gdyby go Jan Tarnowski wraz z Samuelem Maciejowskim silną ręką nie wsparli. Kmity rzucił laskę, nie chcąc jej nosić kiedyś przed Radziwiłłówną; szlachta i panowie, żeby sądy królewskie zatamować, a tem samem wykonanie władzy królewskiej

zawiesić, porozjeżdżali się w różne strony: Tarnowski z Maciejowskim sami tylko w tej ważnej chwili nie odstępując króla, pomagali mu sądzić sprawy, nie licznie wprowadzając wnoszone, ale zawsze potwierdzające władzę nowego monarchy. Tak zeszedł grudzień i styczeń, Barbara najpierw w Radomiu oczekiwała rozstrzygnięcia swego losu; potem z rozporządzenia mężowskiego przeniosła się do Nowego Miasta Korczyna nad Wisłą. Był to czas najokropniejszy w jej życiu; z niespokojnością łączyło się upokorzenie, z pociechą na widok stałości męża, śmiertelna trwoga o jego wielkość i władzę – a trzeba pamiętać, że to wszystko razem odbijało się o miękkie, wrażliwe, wcale nie bohaterskie serce dumnej, lecz obok tego tkliwie kochającej kobiety.

Król nakoniec opuściwszy Piotrków jechał prosto do Barbary i 9-go lutego stanął w Korczynie. Odtąd przyszłość rozjaśniać się niby zdaje. Nieugiętość Augusta zażegnała nawałnicę. Odprawia z Barbarą wspaniały wjazd do Krakowa: i lud i możniejsi wszyscy razem się cisną na tę uroczystość; zaraz potem wywozi żonę do Niepołomic; w ustroni wiejskiej Barbara po raz pierwszy spokojniej oddychać zaczyna: ale też po raz pierwszy objawiają się zarody groźnej choroby, mającej ją o śmierć przyprowadzić. Odebrana z Litwy wiadomość, że matka jej, którą bardzo kochała, w połowie kwietnia umarła, jeszcze bardziej stan jej zdrowia pogorszyła.

Król się lękał nowych zgiełków i krzyków, dla tego też choć się bardzo dopominano, drugiego sejmku nie zwoływał, na prośby Tarnowskiego jednak rozesał w maju uniwersały. Sejmiki wszędzie cicho i zgodnie się odbyły. O sprawie małżeństwa, która tyle narobiła hałasu, ledwo gdzie niedzie ubocznie kto wspominał; na samym zaś sejmie zupełnie mowy o niej nie było. Barbara wprowadziła nie towarzyszyła królowi do Piotrkowa, została w Krakowie, lecz położenie jej zupełnie już inny miało charakter. Król wracał do niej z całym panów orszakiem i ci, pisze Górnicki „którzy pierwsi przeciwni byli Radziwiłłównie, teraz uczciwość jej czynili, co królowi bardzo było po myśli.“ Najdłużej się opierał Jan Tenczyński wojewoda sandomierski. Kmita uległ; przyjechał do Niepołomic z żoną swoją Barbarą Herburtówną, powinowatą królowej, a potem do Wiśnicza oboje królestwo zaprosił, i wspólnie z królem obmyślał, jakby to usunąć trudności przeszkadzające jeszcze koronacji Barbary. Bona też sama zaczęła się opamiętywać, widząc jak wszyscy ku wschodzącemu słońcu się zwracali; syn jej wszelako nie dowierzał; ciągle trucizny się lękał; czuwał nad żoną jak nad dzieckiem i kiedy wreszcie przyszło do układu z matką, koniecznym wymagał, żeby się Bona nie widywała z Barbarą, lecz obiedwie tylko przez listy się znosić miały. Dnia 7-go grudnia Prymas Dzierzgowski uroczystie nakoniec koronował młodą królowę. Zygmunt August z radością marzył o chwili, w której do Litwy ją zawiezie i otoczona blaskiem majestatu przed-

stawi spotwarzającym ją dawniej zazdrośnikom: Barbara nie miała tój nadziei. Już w czasie koronacyi była bardzo chorą i na powinszowania odpowiadała każdemu: „Do inněj mnie korony Pan niebieski powoła, proścież Go tedy za mną, aby to berło ziemskie na palmę niebieską zamienił, a miłego męża mojego w żalu po mnie utulił.“ Przez styczeń i luty choroba się coraz wzmagala; gorączka była tak silna, że już w marcu zwątpiono o życiu królowej — ów nieuleczony, ów nigdy ofiarom swoim nie przepuszczający, rak okrutny piękne jój ciało trawił. Piotr z Poznania, lekarz nadworny, daremnie wszelkich środków swój sztuki używał; nic nie pomogło: Barbara umarła 8-go maja 1551 roku w Krakowie. Zaklinała męża przed śmiercią, żeby się ożenił i nie zostawiał narodu bez potomstwa. Żal Augusta był niezmierny, a wiemy z dziejów, że trwały. Sam ciało jój przeprowadził do Wilna i złożył obok zwłok pierwszej żony swojej w katedralnym kościele.

„Rozumieli niektórzy, jakoby Barbara struła była przez jednego Włocha doktora,“—mówi Bielski, a stosuje to do Ludwika Monti, sekretarza Bony, który gościł podówczas w Krakowie przy królu; pierwěj też jeszcze uwieziono jakąś mniemaną czarownicę, co z Boną miała stosunki: ale to wszystko dowodu jeszcze nie stanowi. Z przechowanych w opisie choroby szczegółów, widać, że to było rakowe cierpienie. Nie bardzo przecież pomylili się ci, którzy na własne z ust Augusta wybiegłe słowa obwinili mściwą Włoszkę, że w śmierci i pierwszej i drugiej synowej zbrodniczy udział miała. Dla Elżbiety niedość może było obojętności młodego męża i domowem życiem ograniczonych przesładowań, według wszelkiego podobieństwa gwałtowniejszych więc użyto środków. Barbarę struła sejmem piotrkowskim.

VI.

P R Z Y G O D A

Macieja Strykowskiego.

(r. 1551).

Dziedzice Osostowa Strykowscy, już oddawna od lat kilkunastu, prośbami swemi Niebo męczyli; w cudownych miejscach Korony i Litwy, jaśniały ich darami ołtarze;

przy każdej niemal rozstajnej drodze stał krzyż piękny, ich ręką stawiany; bo pełne były ich brogi zboża, pełne tłustego bydła obory; lecz próżne były szczęścia ich serca, próżne nadziei ich życie: nie mieli dotąd dziecięcia, nie mieli dotąd nikogo, ktoby z nimi dostatków używał, ktoby im zamknął powieki. Ale nareszcie Bóg ich wysłuchał; urodziło się im dziecię, syn czerstwy, miły, nadobny. Ledwie odrośł cokolwiek od ziemi, o własnej puścił się mocy, głosem przemówił dziecinny, już wesołością, rozumem, rodziców cieszył, dziwił czeladkę. Świeży jak wiosna, jak iskra żywy, obraz swobody i zdrowia, całym był szczęściem rodziców, całą ich życia przyszłością. Właśnie rok piąty był zaczął; właśnie w Sierpniowym wieczorze, przed modrzewin siedząc dworem, lubą i słodką o synie była ojca i matki rozmowa. W ciągu dnia dał był dowody nadzwyczajnego dowcipu; potem na czterokątnym podwórku, zręczne wyprawiał skoki i płasy; teraz jak hetman pobiegł do sadu, na czele dzieci czeladki: tam ich do boju zwykle szykował, tam z niemi igrał wesoło; rodzice o swych nadziejach mówili. Wtém odgłos przeraźliwego krzyku obija się o ich uszy; był tam szczególniej krzyk jeden, co matki serce wskrósł przeszył: powstaje, drżąc cała, bieży... Ojciec zawsze od niej silniejszy, dziś jej wyścignąć nie może... Jedynek bawił się w sadzie, tam jest głęboka sadzawka... tam dążą, ku miejscu temu zbłąkane zwracają oczy; widzą rozbiegłą dziątek gromadę, jakby przed wilkiem owieczek trzoda: jedno za drzewami stawa, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie co zdążyć może ucieka, a wszystkie płaczą i krzyczą: „Panicz utonął, utonął!“

Już prawie bez tchu rodzice, dwoją swój krok ociężyły, stają nareszcie nad brzegiem wody; z razu nic na powierzchni nie widzą, lecz wkrótce już bez oporu ciało ich syna wypływa. Zanurza się ojciec w wodę; nieszczęsnej matce stać przykazuje, wyciąga dziecię i na brzeg go kładzie. Porywa matka mokre

dzieciatko, woła na niego: nie słyszy; tuli do łona: nie czuje; bierze go ojciec — toż samo! niosą go pędem do domu, a krew w ich żyłach zimniejsza, od zimnej wody co na nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzą zewsząd stare niewiasty; każdy coś rai, wskazuje, każdego ojciec i matka słucha: co tylko radzą, robią, próbują, a dziecię zawsze jakby nieżywe. Sine, odęte i zimne, leży zmartwiałe ciało chłopczyny, każdy go sobie podaje, każdy go cuci, trząsa, naciera; a dziecię zawsze nieżywe. Rodzice rwą włosy i łamią ręce, głowami o ściany tłuką, dawniejsze wznawiają śluby, świętych wzywają pomocy; lecz Niebo głuchem się zdaje, i dziecię leży nieżywe. „Próżne te nasze mozoły, odbiegłej duszy już nic nie zwróci!“ —tak mówią cicho pleban i lekarz, tak cicho mówi czeladka.

Słońce zachodzi, noc cała mija, dzień cały drugi spływa okropny; już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje w duszy zbolalęj matki. Widząc spełnione srogie nieszczeście, troskliwy pleban z lekarzem, rodziców ciągną do drugiej izby, cichaczem trumnę przynoszą. Płacząc sędziwa piastunka, obkleła dziecię w białą koszulkę, zeszkle włoski gładko czesze, równianką z kwiatów go stroi, kładzie w ostatnią ludzi łożnicę. „Tak cię ja kładłam w kołyskę—mówi do niego zalana łzami—tak ty mnie w trumnę położyć miałeś!“ W tej chwili wpada strwożona matka: „Okrutna! cóż czynisz?—boleśnie woła—alboż to dziecię...“—Umarło—pleban dokończy—umarła twoja pociecha. Ten co ją zesłał, przyzwał do Siebie. Ten co pożyczył, odebrać może. Poddaj się woli Pana, niewiasto! szanuj z pokorą wyroki Jego!“

Kłęką niewiasta, obok niej ojciec; oboje ręce do Nieba wznoszą; usta ich razem mówią te słowa: „Panie, mozesz, oddal ten kielich; jednakże nie dziątek woła—Twoja Ojczyźnie, niech się stanie!“ Tak rzekli, wzmocnieni wstają i mówią głośno: „Weźcie już dziecię!“ Ciśnie się tłumem czeladka, do dwóch kościołów pleban znać daje, sam się

w żałobne szaty odziewa; biorą trumienkę domowi, niosą na barkach odkrytą; wybladła matka zwłok się dotyka: drząc cały ojciec żonę podpira. Idzie przez miasto orszak w milczeniu, wybiegli z domów mieszkańce, co krok to grono zwiększają; każdy w cichości dziedzica płacze, a więcej jeszcze jego rodziców. Nagle, w obudwóch kościołach, huczny głos dzwonów powietrze dzieli, a matka czuje zimnych zwłok drgnienie; krzyknęła, stają: lekarz przybiega, kładą na ziemi trumienkę i znowu lekkie czuć drgnienie. Porywa matka z trumienki dziecko, osłania go suknią, rekoma, chce z niem uciekać daleko; wstrzymuje lekarz jej obłąkanie, pomału iść przykazuje, strwożonej reszy krzyczyć zabrania, do swego domu matkę wprowadza: tam w ciepłe łóżce dzieciątko kładzie; tam go sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głosi, milczenie, cichość zaleca: matka i ojciec dech swój wstrzymują. Po krótkiej nad opis chwili, serce dzieciny mocniej uderza, po całym ciałku duch się rozbiega, dziecko do życia powraca. Niknie zwolna siność z twarzy, krew przebijając się zaczyna; odmyka dziecko oczka zawarte, i ku rodzicom je zwraca; blade usteczka napół otwiera, chciało przemówić, uwieźły słowa, lecz się uśmiechnąć zdołało. „O Boże! wszechmocny Boże!“ wyrzekła cicho przejęta matka i łzy uniosły ciężar jej szczęścia..

Zaledwie trzy dni minęło, już na podwórzu biegał jednak, już był na nowo szczęściem rodziców, już nie sama czeladź domowa, wszyscy się nad nim dziwili. W pierwsze zaś po tym dniu święta, pleban licznemu ludowi te księgi Boskiej przeczytał słowa: „Onego czasu, przybliżał się Pan ku bramie miasta *Naim* a oto wynoszono umarłego z miasta, jedynaka swój matki i rzesza wielka szła za nim. Ujrzawszy ona matkę Pan ulitował się nad nią i rzekł jój: „Nie płacz.“ Przystąpił, dotknął się mar i ci co nieśli stanęli. A on rzekł: „Młodzińcze, tobie mówię wstań!“ I usiadł on młozpizieniec który był umarły i począł mówić, a Pan, dał go

matce jego. Zdjął wszystkich strach wielki i wielbili Boga mówiąc: „Bóg nawiedzał lud swój!“ I rozeszła się powieść po wszystkiej okolicznej krainie “

OBIĄŚNIENIA

do powieści Przygoda Macieja Strykowskiego.

Maciej Strykowski urodził się roku 1517, w miasteczku Strykowie, z dawniej szlacheckiej, ale ubogiej rodziny Osostowiczów, dla tego pisał się Osostowicyuszem. Ojciec jego sam za pługiem chodził., widząc wszelako, że syn jedynak nader wątłą i delikatną budowę ciała zapowiada, oddał go do szkoły w Brzezinach, by kiedyś lżejszym sposobem z nauki mógł się chleba dorobić. Tamto, gdy miał rok czternasty, spotkała go znowu nie mniej cudowna od opisaniej w powieści przygoda: dzwon spiżowy oberwał się nagle i stojącego blisko silnie w głowę uderzył. Tak jak pierwój miano go już za umarłego i tak jak pierwój przyszedł do siebie, tylko mu już na całe życie trudna zająkliwa wymowa została. Okropne to zdarzenie nie nadwyrężyło przecież władz jego umysłowych; władze te owszem bujnie się rozwinęły w różnych nawet kierunkach. Nie tylko, że jak wszyscy wykształceni ludzie ówczesni, doskonale posiadał łacinę, mówił prócz tego jeszcze wielu żyjącymi językami; dobrze rysował, malował, znał matematykę i był wcale niezłym inżynierem. Wsiedmnastym roku otrzymał już stopień bakałarza w akademii krakowskiej. Zaraz potem na Litwę się udał i do wojska wstąpił. Czas jego żołnierki przypadł na lata, w których pograniczne wojny przychodziły; korzystał z tego by się swobodniej naukowym pracom oddać. Dziwne miał on, choć nie bardzo szczęśliwe upodobanie w składaniu rymów; później najpoważniejsze pisząc rzeczy, raz poraz prozę wierszami przeplatał, autorski też swój zawód od sielanek rozpoczął, wkrótce bohatera poezya go zniechęciła; chciał opiewać wojny przez bajecznego Lecha prowadzone; wziął się do wertowania starych kronik w tym celu, i powoli zasmakował w dziejowych badaniach. Obfite jeszcze były wtedy po znakomitszych domach zbiory latopisców ruskich i litewskich, przeglądanie ich natchnęło go myślą skreślenia ruskich i litewskich dziejów. Nie poprzestał on jednak na martwej literze zakurzonych pergaminów, pierwszy z naszych, a pono z wszystkich ówczesnej Europy historyków, do żywych źródeł się zwrócił. Przedewszystkiem wyczytał się ruskiego i litewskiego języku, potem słuchał pieśni i podań ludowych, sam zwiedzał miejsca o których mu w dzie-

le jego wspominać było trzeba; to też choć mu zarzucają brak krytyki, łatwowierność i różne niedokładności, każdy jednak przyznać musi, że gdyby nie jego niczem niez mordowana gorliwość, Ruś i Litwa śladu by nawet nie odnalazły wielu bardzo wspomnień swęj przeszłości: on zebrał niktknięte przed nim materiały dziejowe, on uratował dla potomności mnóstwo szczegółów, które dziś jeszcze za objaśnienie lub wskazówkę służą. *Kronika Litwy i Rusi* za najcelniejsze dzieło Strykowskięgo słusznie jest uważaną. Równocześnie wszelako i nad innymi pracował; kończył właśnie opis *Sarmacyi europejskiej* służąc w Witebsku pod rotmistrzostwem Gwagnina. Gwagnin był to człowiek uczony, Włoch rodem, oddawna w Polsce osiadły i zupełnie prawie spolaaczały. Strykowski czytywał mu niekiedy swoję Sarmacyę i Włoch uprosiwszy sobie, aby mu rękopismu do bliższego rozpatrzenia się w nim pożyczyl, zaraz takowy przepisał, niektóre ustępy podmieniał, wszystko na język łaciński przetłómaczył i pod swojęm imieniem ogłosił. Strykowski wielkiego o to hałasu narobił, przykre i długie miał zatargi z Gwagninem, oba swoich rzeczników znaleźli tak, że aż do dni naszych sprawa między nimi stanowczo rozstrzygnięta nie była. Na nieszczęście prawdziwy autor za ogromnego samochwała między współczesnymi uchodził; w pismach zaś jego zbyt wiele śladów tej wady pozostało, by późniejsi z zupełną pewnością korzystny dla niego wyrok ogłosić śmieli, zwłaszcza bacząc na to, iż Sarmacya Gwagnina więcj przedstawia ład, porządku i zdrowej krytyki, niż wszystkie inne utwory Strykowskięgo. Teraźniejsi badacze dopiero przekonali się i wyświecili, iż te wszystkie zalety są jedynie poprawką i ozdobą gdzieniegdzie przez Gwagnina dodaną, lecz rzeczywiście pierwotnej treści Strykowski dostarczył.

Dwukrotnie od śmierci uratowanemu dziecięciu niespokojne jak widać, ruchliwe i bardzo pracowite życie się sądziło: 1574 r. w orszaku poselskim Andrzeja Taranowskięgo do Turcyi zawędrował. Śmierć Sułtana Selima II i wynikięte ztąd rozruchy, lisko przez trzy miesiące poselstwo w Konstantynopolu zatrzymały. Niez mordowany nasz kronikarz zaraz użył tego czasu na zwiedzenie różnych ottomańskiego państwa okolic i bliższe zapoznanie się ze składającą je ludnością. Za powrotem do Polski owoc tych poszukiwań wydał pod tytułem: „O wolności Korony Polskiej i W. Księstwa Litewskiego, a srogiem zniewoleniu innych królestw pod tyrańskim jarzmem tureckim.“ Powtórnie z Polski na Litwę jadącego, znów dziwne i nadzwyczajne wypadki po drodze spotykały. W jednęm miasteczku na granicy pruskiej, szkoda tylko, że nie wiemy z jakiego powodu, cała prawie ludność rzuciła się na niego, a on sam jeden bronił się trzystu napastnikom i dopiero wtenczas ustąpił, gdy mu palec wraz z rękoięścią oręża odcięto; w dalszym ciągu podróży od pięćdziesięciu zbójców napadnięty, a od lękliwszych towarzyszy

opuszczony, z równą odwagą się zastawiając, okrutnie był zrąbany. W domu księcia Jerzego Olelkowicza gościnne znalazł przyjęcie, i został już tam, aż do śmierci samego pana. Gdy książę umarł, Melchior Gedroic, biskup żmudzki wziął go w swoją opiekę i choć świeckiego człowieka, zrobił go naprzód kanonikiem, a potem archidyakonem w swojej dyecezyi, co było wówczas dozwolonem polskiemu kościołowi, gdyż i Kochanowski przecię piastował duchowne godności. Pracowitość Strykowskiego zasługiwała na te względy możnych mecenasów; wiele bardzo zostało nam po nim mniej lub więcej ważnych utworów; a jeszcze drugie tyle przepadło bez śladu i tylko ze spisów, lub z napomknień, które się w ocalałych dziełach spotykają, wiedzieć o tём możemy. To dobrze przynajmniej, że posiadamy najcenniejszą dla nas i pewnie najwięcej też trudów, starań, zabiegów kosztującą go pracę: „Która przed tём nigdy światła nie widziała, Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszystkiéj Rusi.“ Ukończył ją zapewne 1580 r., bo pod tą datą otrzymał od Stefana Batorego przywilej dziesięcioletni na wyłączną jéj własność. Udał się natychmiast do Królewca, w przeciągu dwóch lat dopilnował wydawnictwa tego ogromnego dzieła i jak gdyby już ostateczne zadanie życia swego wypełnił, niepostrzeżony z widowni świata ustąpił. Co się z nim stało po 1582 roku, zupełnie już nie wiadomo. Zapewne przy słabém od dzieciństwa zdrowiu, doznawszy tylu przygod niebezpiecznych, bezpomiarowaną czynnością umysłową wątłe fizyczne siły wyczerpując, w dość młodym jeszcze wieku życie zakończyć musiał.

VII.

JAN ZAMOYSKI

NA KAZANIU

Melchiora Mościckiego.

Było to w czwartą niedzielę Listopada 1582 roku; wielka msza dopiero co odprawiać się zaczęła w kościele Dominikanów we Lwowie, a po pierwszej ewangelii miał mieć

kazanie jeden z najślawniejszych owego wieku kaznodziei. Syn ubogich mieszczan z Przemyśla, Melchior Mościcki czém był, co umiał, własnej pracy był winien; ozdoba duchowieństwa polskiego i Dominikanów zakonu, kilkakrotnie urząd ich prowincyała sprawując, odmówiwszy areybiskupstwo lwowskie *), do królów nietylko wolny, ale śmiały miał przystęp; on na sejmie Piotrkowskim, kiedy Zygmunt August pisma przeciwne wierze chciał podpisywać, pióro z ręki mu wytrącił; on dowcipu ostrego, biegły w świeckich umiejętnościach, głęboki w duchownych, niespracowany w sporach, układny we wszystkich postępkach, przenikliwy w rozwijaniu wątpliwości, dobry przewodnik w tłumaczeniu pisma, i niezmiernie w niem wyćwiczony; młot na przeciwników kościoła, niezwalczony w zapasach z niemi, i roztropny w ich przekonywaniu, już kilka tysięcy kacerzów był nawrócił, przez kilkanaście sejmów kazywał. On i dziś, lubo już starzec siedmdziesiąt letni, miał się dać słyszeć oddawna spragnionym wymowy jego Lwowianom. Natłok téż w kościele był niesłychany: wszystkie ławki, wszystkie miejsca zajęte były; troskliwe matki wносиły niemowlęta w górę, bojąc się by ich nie przyduszono; chociaż mróz tęgi, dech prawie na dworze zamrażał, tu pary z ust idącej widać nie było; ganki kościoła ugiwały się pod ciężarem natłoczonych widzów, a ci lubo spoglądali z góry, przecież prócz kapłana spełniającego świętą ofiarę, niczyjéj całej postawy ujrzeć nie mogli; głowy tylko rozmaitego kształtu wygolone, lub z wymuskanemi czuprynami, w kapikach, w kołpaczkach, w czółenkach, w warkoczach, przedstawiały się ich oczom; za lada popchnięciem przez przybycie nowéj

*) Spytany od Zygmunta Augusta o przyczynę tego odmówienia, „Miłoś ciwy Panie--odpowiedział--wolę być najlichszym u Dominikanów niż kucharzem i cześnikiem szlachty polskiej.“ Spokojność lubiący kapłan, przymawiał tu potrzebie uslawicznego częstowania tych, którzy się w domy osób możniejszych cisnęli.

osoby sprawioném, wszystkie te głowy poniewolnie posuwały się naprzód i znowu w tył wracały, jak kłosa zboża, któremi wiatr kołysze, albo rozbujanój wody bałwany. Wtém, przy drzwiach kościelnych wszczął się szmer jakiś; słowo *Hetman*, lubo cicho wymówione, z ust do ust przechodząc, o sam wielki ołtarz się obilo, i nagle obecni lubo tak ściśnieni, jakby dotknięci cudowną różeczką Mojżesza, rozdwoili się, i wolną wśród kościoła otworzyli ścieżkę. Powstały wprawdzie w tymże samym czasie kwilenia dzieci, skargi niewiast, gniew naciskanych mężczyzn, ale odgłos ten zagłuszonym został szelestem wchodzących, szcękaniem ich pałaszów, brzękiem długich ostróg, obijaniem się butów kowanych o kamienną podłogę; a chociaż w takiej ciasnocie, ledwo oddychać mogący widzowie, wspinali się jeszcze na palce, wyciągali szyje ponad ramiona sąsiadów, ażeby ujrzeć ten świetny orszak świetniejszego jeszcze naczelnika. Był nim wielki Jan Zamoyski. Z zwykłą sobie odwagą i biegłością, szczęśliwą prowadząc wojnę, właśnie przed rokiem po zdobyciu Ostroga hetmanem był został, z tą samą władzą, jaką niedawno piastował tak godnie sławny Jan Tarnowski. Po zawartym w Zapolu pokoju, jechał do założonego przez siebie Zamościa, z orszakiem dworzan i rycerzy; rad był zapewne stanąć jak najprędzej w domu, ale równie pobożny jak mężny, nie chciał gwałcić święta, i w niedzielę przed odbytém nabożeństwem puszczać się w dalszą podróż bez nagłej potrzeby. Nie był mu przecież powrót do domu tak pilny, jak kiedy przed dwoma laty z Połockiej wracał wyprawy; wtedy czekała na niego z utęsknieniem ukochana żona: dziś młodą, piękną, cnotliwą Krystynę *) zimny gład przykrywał, a bohatera, którego cały kraj witał radośnie, w domu tylko własnym nikt powitać nie miał!...

*) Krystyna z Radziwiłłów, druga żona Jana Zamoyskiego, zmarła w ośmnastym roku życia swego.

Jak do przejścia przez kościół, tak i do siedzenia, hetman nim zażądał, wygodne znalazł miejsce; jeszcze nie doszedł do pierwszej ławki, kiedy już próżną była: zajął ją, a nie tylko nikt przy nim usiąść nie śmiał, ale skoro kto z blisko stojących siłą natłoku wepchniętym do niej został, cofał się natychmiast z tęp uszanowaniem, jak gdyby stopni tronu się dotknął. Nie mogły być nie miłe Zamoyskiemu te publiczne uszanowania oznaki; temu, który jak on szablą, piórem, radą, majątkiem, zasłużył się ojczyźnie, temu nagrody i pochwały od spółziomków są tylko należną daniną: nie próżną chlubę, lecz słodkie zaspokojenie w sercu rodzają, gdyż są sprawiedliwości wymiarem. Jednak to nieustanne szamotanie się, przerywało mu pobożne odmawianie łacińskich modlitw z bogatej księgi, którą przed nim jeden z dworzan rozłożył, a widząc obok ławki sędziwego wojownika już niemal zsiniałego od opierania się tłoczącej ciżbie, wskazał mu, że wejść może. Dawny hussarskiej chorągwi towarzysz, okryty głębokimi na twarzy bliznami, skaleczały na jedną nogę, i właśnie pod dowództwem Zamoyskiego przed kilkoma laty w te godła waleczności opatrzony, nie śmiał usłuchać odrazu, ale zachęcony łaskawem hetmana wejrzeniem, wszedł do ławki; dawny wódz spojrzawszy wtedy na nogę jego, dał mu jeszcze znak, żeby usiadł. Już temu nie chciał być powolny sędziwy towarzysz, a cała jego postawa mówiła, że nie zapomniał jeszcze do tego stopnia obowiązków żołnierza dla starszego; lecz Zamoyski trzясając ręką jego, rzekł mu pocichu: „Siadaj bracie, wiekiem i tą blizną starszys ty odemnie; przed laty obok mnie walczyłeś: dziś spoczniej.“ Usiadł towarzysz i podniósł z dumą głowę siwizną okrytą; blade jego lice i poorane czoło przybrały na chwilę barwę młodości, oko pomroką wieku zasute, zabłyśło równym ogniem jak oko mczterdziesto-letniego hetana: poprawił rzemiennego pasa i zakręcił węża.

W tej chwili kapłan sprawiający ofiarę, tyle znaczące życzenie *Pan z wami* oświadczywszy zgromadzonemu ludowi, roztworzył księgę ewangelii, i czytać na głos słowo Boże zaczął. Powstali wszyscy, powstał i Zamoyski, a dzielną prawicą dobył do połowy zawsze zwyciężkiego oręża; niewielu z przytomnych poszło za jego przykładem, bo już u stanu rycerskiego szedł w zapomnienie ów zwyczaj, którym od Mieczysława ojcowie nasi okazali swoją gotowość do bronienia wiary; ale na ten widok łzy rozczulenia stanęły w oczach starego towarzysza i padły na pałasz jego tyle razy w krwi maczanęj, i także napół dobyty: miłą mu była ta pamięć na dawne zwyczaje w młodym jeszcze bohaterze, przypomniał mu się dziad, ojciec i lata młodości... To dobycie oręża hetmana nie tyle miłe sprawiło wrażenie na jednym młodzianie, po drugiej stronie ławki jego stojącym; od przyścia Zamoyskiego do kościoła; czarném i bystrém okiem spoglądał na niego ukradkiem, i drgnął cały, na widok miecza, bo się przeląkł, czy go nie chce za śmiałość jego ukarać? Spozstrzegł hetman ten przestach jego, zdziwił się i rozśmiał, a odtąd mimowolnie spoglądając niekiedy na niego, zobaczył przy nim szesnasto-letniego chłopaka dziwnie ujmującej twarzy, który z równą ciekawością ale jawniej mu się przypatrywał.

Lecz te wszystkie postrzeżenia przerwały się wnet skrzypnięciem drzwiczek kazalnicy; pokazał się oczekiwany mówca i wszystkich oczy wlepiły się w niego. Siedmieszczę lat cnoty i gorliwej w winnicy Pańskiej pracy, ślad szanowny zostawiły na szlachetnej twarzy jego; przyjemna okrywała ją bladość, a świętej spokojności piętno na czole jego jaśniało. Odmówiwszy klęcząc cichą i krótką modlitwę, stanął na środku kazalnicy, obrócił się ku licznie zgromadzonym słuchaczom, znakiem krzyża Śgo czoło, piersi, ramiona naznaczył, wolnym i wyraźnym głosem przeczytał poważnie przypadającą na ową niedzielę o *znakach na nie-*

bie i ziemi czyli o sędzie ostatecznym ewangielię; potem położył świętą księgę, i zaczął mówić z pamięci niezbyt głośno i z spuszczonei oczyma, aby kto pomyśleć nie mógł, iż ma kogo szczególniej na względzie; ale gdy zwykły podział uczyniwszy, postępował coraz dalej w mowie swojej, głos jego i oczy podnosiły się w miarę; słowa wychodziły tém dzielniejsze z ust jego, że je wyrazem twarzy, ruszeniem całym popierał: samą postawą przemawiał do zmysłów słuchaczy, sam czuł mocno, i uczucia swoje w serca przytomnych przelewał. Tak stopniami zagrzewając się i unosząc, gdy nareszcie do najważniejszego miejsca kazania swego przyszedł, do chwili ostatecznego sądu, twarz jego dotąd jeszcze blada, jednym razem żywym zaiskrzyła się rumieńcem, i w oka mgnieniu cały jakby w ogniu stanął. A gdy w ciągu tak straszliwego opisu wypadło mu przytoczyć przykład Korego, Datana i Abirona, los ich do losu wielu grzeszników w owym dniu stosując, z takim wyrazem, palcem wskazał na ziemię, jakby już utworzoną, iż otaczający kazalnicę cofnęli się w tył, i próżne pod nią utworzyli koło; wszyscy obecni struchleli, sam hetman był wzruszony, bo się wszystkim zdawało, że otwiera się przepaść i że porrze ich i pochłonie. Skończył; lubo dosyć długo mówił, każdemu kazanie jego krótkiem się zdało, a wielu z przytomnych, w próżną już kazalnicę jeszcze mieli oczy wlepione.

Zamoyski oswojony od lat kilkunastu z Mościckiego wymową, chociaż słuchał go był pilnie i mocno przejętym został, uważał jednak na młodziana z bystrém okiem i chłopaka z twarzą ujmującą obok jego ławki będących; widział, że nietylko z niepojętém nateżeniem umysłu słuchali Mościckiego, ale że nawet każdy z nich dobył po kawałku pargaminu z kieszeni, a dla ciżby z pleców sąsiada stolik robiąc, coś sobie gryzmolił. Ten widok wzbudził ciekawość jego i po skończoném nabożeństwie, wsunąwszy w rękę starego towarzysza złotówek kopę, dworzaninowi który brał

książkę, szepnął, ażeby tych młodzieńców miał na oku, dowiedział się co za jedni byli i przyprowadził mu obudwóch. Usłuchał natychmiast dworzanin, i właśnie hetman powracał ze wspnianego od Sienińskiego arcybiskupa lwowskiego obiadu, kiedy mu rzeczonych młodzieńców przedstawił.

Młodszy lubo z przyzwoitą skromnością, patrzył jednak śmiało; chociaż poszanowanie w nim wzbudzała wielkiego Zamoyskiego obecność: widać było, że się nie boi nikogo, skoro nic złego nie zrobił; starszy drżał jak listek. Spostrzegł trwogę jego Zamoyski i zawołał: „Młodzieńcze! cóż to, twój kołnierz tchórzem podszyty? Wstydz się! Nie Polska-że to krew w żyłach twoich płynie?“ Gdy drząc zawsze nic na to pytanie nie odpowiadał, dworzanin kłaniając się rzekł: „W Polsce się rodził, Jaśnie Wielmożny Panie, ale... Bogiem się świadczę, że nie wiem wcale jak to Waszój Miłości powiedzieć, on jest...“ „Mów! czémże.“ „Żydem — wymówił nareszcie z trudnością dworzanin—nie takimci żydem jak inni, bo chodzi po naszymu, i chce się wychrzcić, ale zawsze żydem.“ „Snadno to było odgadnąć jeszcze i w kościele — przebaknął z uśmiechem hetman — ale tém lepiej, dopomóż mu mogę. Jakaż jest professya twoja? — dodał uprzejmie, obracając się do niego—maszli rodziców, z kąd jesteś rodem, czy sam z siebie, czy z namowy jakiej wychrzcić się pragniesz? Mów śmiało.“ Zachecony tą łagodną mową, młodzieniec, odpowiedział: „Jestem rodem z Lubomli z Rusi, mam tylko matkę; czytając chrześcian księgi, i słysząc często tu i owdzie księdza Mościckiego kazania, poznałem że jestem w błędzie; musi to być i Boskie natchnienie, bo niczego tak żywo nie pragnę, jak, żebyśmy matka moja i ja jak najprędzej chrzest przyjęli.“ „Dobrze! bardzo dobrze!—powiedział hetman. A ty chłopcze, coś za jeden? jak się zowiesz?—rzekł do drugiego — tobie nieźle z oczu patrzy.“ „Jam rodowity Polak—odpowiedział śmiało — zowią mnie Fabjanem Birkowskim; rodziłem się tutaj,

mam młodszego od siebie brata Szymona; już od lat kilku odumarli mnie rodzice; miałem stryja bardzo dobrego, wysłał mnie do Krakowa na naukę, ale otóż i on niedawno umarł: jam tu przybył dowiedzieć się, czy nie dostanę jakiej puścizny? lecz mnie z kwitkiem odsyłają i nie wiem co poczną!“ „Biedne błopczysko! — zawołał hetman.—No! teraz kiedym już wszystkiego o was się dowiedział, powiedzcież mi, cóżeście to gryzmolili w czasie dzisiejszego kazania?“ Na to zapytanie oba rumieńcem splonęli, nie odpowiadając i słowa. „Kiedy nie chcecie mi powiedzieć—dodał hetman, to przynajmniej ukażcie mi te wasze gryzmoły.“ Usłuchali: Zamoyski wziął pergamin, czytać zaczął i uśmiechał się nadobnie. „Walnie chłopcy! walnie!—zawołał skończywszy, i wziął ich z lekka za gęstą czuprynę—a to widzę te młodzienaszki, jak najwyborniejszą treść dzisiejszego kazania wypisali. Radbym, ażeby każdy bakałarz z akademii krakowskiej zarówno takowej rzeczy podołał. Mości Panie! — rzekł obracając się do podskarbiego swego — biorę tych dwóch młodzieńców na moję porękę; będęłożył na ich naukę, naprzód do Krakowa, później do Włoch ich poślę; dopomogę im, do jakiego powołania będą mieli ochotę; tego sam do chrztu trzymać będę; na żołnierza on się nie przygodzi, zda mi się, że i Fabian nie będzie do szabli, ale dali-pan, jednako z naszym Mościckim, będą może obadwa kiedyś duchowieństwa polskiego ozdobą, wiary prawdziwej podporą. Zaręczam waszmościom, nie będą te role chwastu rodziły, kiedy w nich ziarno słowa Bożego tak łatwo się przyjmuje“ *).

Zgadł dobroczynny Zamoyski. Za jego opieką i nakładem, oba do sławy i znaczenia doszli. Seweryn Lubomilczyk (jak go później nazwano), wyszedł na znakomitego pi-

*) Własne Zamoyskiego słowa.

sarza, na pobożnego kapłana; szczylił się nim zakon Dominikanów, do którego w dojrzałym wieku już wstąpił, i uważał go za szczególny dar Niebios; poważała go ojczyzna, używając go do posług swoich: pozostałe po nim pisma pobożne i uczone, niepojętą biegłość w Piśmie Świętém i w teologii dowodzą. Doczekał się nawrócenia matki, które przykładem i wymową sprawił, doczekał się sędziwego wieku. Fabian Birkowski zaś, który także księdzem i Dominikanem został, był niezłym poetą, filozofem, łacinnikiem i w greczyźnie bardzo biegłym, sławnym kaznodzieją, a co lepsza, cnotliwym człowiekiem. Kaznodziejską pracę i sławę zaczął jeszcze w Krakowie; za powrotem z Włoch, zajął Warszawską kazalnicę. Zygmunt III wówczas panujący, przydał go królewiczowi Władysławowi za nadwornego kaznodzieję; znajdował się z nim na wyprawach wojennych, podczas których usługi duchowne pełnił często z narażeniem życia. Powzięte dla niego wtedy przyjaźń i szacunek, Władysław wstąpiwszy na tron zachował, i nie przestał dawać mu uczuć swoich dowodów.

Nie skończył jednak Birkowski życia na dworskim chlebie; na dwa lata przed śmiercią 1634 r. powrócił do zakonu. „Rozdzielił się z królem i nie rozdzielił (mówi dawny jeden pisarz), bo zawsze trzymali się siebie; a przez częste listy tak o nim Władysław wiedział do śmierci, jak gdyby go miał przy boku swoim.“ Wśród dworskiego zgiełku kochał osobność i miał upodobanie w uczonej pracy; w klasztorze rzadko go było widać za celą, w celi prawie nigdy bez książki, dnie i noce między naukę i nabożeństwo dzielił; nie dbając bynajmniej o majątek, po śmierci brata swego Szymona (który za staraniem jego wyszedł był dobrze), nie chciał się tchnąć pozostałych po nim sprzętów, mówiąc: „Jam jeszcze pierwiej od niego światu i bogactwom jego umarł.“ Łagodny, uprzejmy, umiał żyć w zgodzie ze wszystkimi; daleki od zazdro-

ści, czczył wymowę i siwiznę Skargi, którego po zejściu jego zupełnie u dworu i na sejmach zastąpił. Kazania jego w wielkiej w czasie swoim wziętości będące, dotąd w każdej bibliotece zakonnej napotkać można; jest ich do tysiąca, niepospolite mają zalety: wymową swoją uczcił każde znakomite w ojczyźnie zdarzenie, śmierć każdego męża; tak i na pogrzebie dobroczyńcy swego, mógł dogodzić wdzięcznemu sercu, przemawiając publicznie o cnotach i zasługach jego. To kazanie pogrzebowe, tém zakończył dobrego Polaka życzeniem: „Daj Panie doczekać pociech Koronie Polskiej z domu Zamoyskiego, jako przedtem. Pamięć jego weźmy do rozumu naszego, a Jego sprawy i rady pamiętając, rzućmy się do naśladowania. Pana Boga prosimy, aby podał do serca króla, tego, któryby mógł nastąpić na miejsce tak wielkiego senatora, hetmana i kanclerza.“

VIII.

K o l e j e ż y c i a .

(Od r. 1623 — 1690).

W jednym z zamków obronnych do majątniejszej należących szlachty, które sterczały niegdyś w okolicach Przemysła, mieszkali Małachowscy. Mąż, żona i syn jedyny, składali tę małą w liczbie, lecz zamożną w szczęście, w znaczenie i w cnoty rodzinę. Małachowski żadnego nie piastował urzędu, ale siłą zbrojna którą utrzymywał, pośpiech z jakim niósł pomoc będącym w potrzebie, waleczność i mężstwo tyle razy doświadczone, brama zamku jego dotąd dzielnie przed nieprzyjacielem kraju zamknięta, dla przyjaciół, rodaków, włościan i nieszczęśliwych zarówno z sercem

otwarta, zjednały mu dobre imię, wziętość, szacunek powszechny i miłość poddanych. Do pozyskania i utrzymania tych drogich skarbów, do zapewnienia słodszej nad wszystko pomyślności domowej, niemało się przyczyniała młoda jeszcze Małachowska żona. Całym wdziękiem płci swojej świetna, więcej jeszcze cnoty jej przywoitemi jaśniała. Świat w domu widząc, prawie nigdy za progi jego nie wyszła; oddana gospodarstwu, czuwała troskliwie, aby nie marniały dawne dochody, aby nowych przybywało; często pierwsza w zamku całym zrywała się rano z miękkiej pościeli, chcąc dojrzec licznej czeladki i pracować z nią wspólnie; często przędąc przy świetle wielkiego ogniska w długie wieczory zimowe, wyprzedzała najbiegłejsze prządki; a pochwała męża, sposobność wspierania potrzebnych, dobry byt otaczających ją, miłość domowych i względy licznych gości, były dla niej zupełną codziennych i nieustannych trudów nagrodą. I syn ich jedyny Janek ośmioletni, już umiał serca wabić i szczęścia przysparzać. Wprawdzie nie było w nim ducha rycerskiego ojca; ale każdy upatrywał słodycz i łagodność matki, jej smak w pracy; każdy uwielbiał posłuszeństwo dziecięcia dla rodziców i starszych, jego rozsądek i tkliwą serca dobroć: każdy go kochał, a ojciec i matka nad własne ceniąc go życie, w nim wieniec swego szczęścia widzieli.

Lecz kóżto, gdzie i kiedy, doznał w szczęściu stałości? Nikt, nigdy i nigdzie, zwłaszcza téż Polak mieszkający w ruskiej ziemi, w pierwszej połowie XVI-stego wieku. Panował wtenczas Zygmunt III, który słabością i uporem, temi wadami sprzecznemi napozór, a jednak często zgodnemi z sobą, tyle przyszłych nieszczęść gotował Polsce, tylu obecnych stał się przyczyną. Kiedy upadać zaczynająca ojczyzna, zewsząd zagrożona, bez wojska i dostatecznej była obrony, on zbytęzną gorliwością przejęty, potężnym cesarzom kwiat polskiej młodzieży posyłał; a tak niewcze-

snemi posiłkami nietylko kraj własny mężnych pozbawiał obrońców, ale jeszcze nowych wzbudzał mu nieprzyjaciół *).

Między niemi pierwsze i najokropniejsze trzymała miejsce sroga dzicz tatarska, ta powódź krwawa, od lat tylu śmierć i pustoszenie nieszczęsnej Polsce niosąca. Tatarzy to pomimo zawartego niedawno chocimskiego pokoju przy zwłokach wielkiego Chodkiewicza, najeżdżali polskie ziemie, a szczególnie bliższą nich Ruś Czerwoną. Tam niszczyli i palili wszystko, zabijając mieszkańców lub biorąc ich w ciężką i wieczną niewolę. Ci, którzy miecza albo kajdan ująć zdołali, nieśli swe skargi przed tron królewski; ale Zygmunt słuchał ich obojętnie; ruska ziemia do unii **) przystąpić nie chciała: miecz tatarski zdawał mu się być mieczem Bożym. Rok 1623 najokropniejszym był dla tej krainy: wpadli Tatarzy nagle w niezwyčajnej liczbie, rabując, pałac, pustosząc wszystko. Uciekał lud strwożony jak trzoda spłoszonych owiec, a potężny i okrutny nieprzyjaciół, dopiero w okolicach Przemyśla, w zamkach warownych szlachty, pierwszy znalazł odpór. Lecz i ten nie mógł być długim i skutecznym. Cóż podoła odwaga kilku przeciw

*) . W owym czasie Zygmunt III dał cesarzowi Ferdynandowi II posiłki z 8000 kozaków Lisowczyków, tak od rotmistrza swego Lisowskiego nazwanych. Ci Lisowczykowie, ze samej szlachty polskiej pod różnemi dowódcami, dzielnie się w Węgrzech, na Szlązku i Czechach popisywali, niemałe zwycięstwa cesarskiemu wojsku odnosić ułatwili. Te zwycięstwa przeszkody stawiając Betlemowi Gaborowi księciu siedmiogrodzkiemu w jego zamysłach, powodem się stały, że Turków i Tatarów nieustannie przeciwko Polsce poduszała. (Historja Polska Ks. Wagi, k. 243.)

**). Wiadomo z dziejów ówczesnych, z jaką gorliwością Zygmunt III pracował nad unią kościoła greckiego z rzymskim, ile ta gorliwość krwi kosztowała, i jak się przyczyniła do podkopania budowy całego Królestwa, zaszczipiając stronnictwa i nienawiść między możnemi rodzinami, zmuszając prześladowanych od własnego króla do szukania wsparcia i opieki u obcych.

krociom sile? I mężny Małachowski w grodzie swoim, pomimo bohaterskiego męstwa i stałości unyśłu, za ledwie jeden opierać się zdołał. Już prawie wszyscy jego żołnierze, śmierć ciskający z wałów zamku na otaczających go, sami śmierć ponieśli; już w środku ciemnej nocy podpalone bramy podwoje wnet runąć miały, otworzyć wejście zemsty i krwi chciwym najezdnikom, a on jeszcze uchodzić z domu ojców nie chciał, z tego domu, gdzie lat tyle był panem, dokąd tyle razy powracał zwycięzcą! Siadł na krzesło w izbie, w której zwykle wydawał rozkazy, wsparł głowę na ręce i zdawało się, że żadna moc ludzka z tego miejsca go nie poruszy. Napróżno klęcząca przed nim żona, wieśniaczym ubiorem odziana, kilku sług starych i włościan, zaklinali go, aby korzystał coprędzej z poświęcenia się celniejszych poddanych, a w ich szaty przebrany, uszedł wraz z niemi tajemnym wyjściem zamkowym, i pozwolił się zaprowadzić do Przemyskiej cerkwi; nie ulegał bynajmniej ich prośbom, sądzić nawet było można, że ich nie słyszy. Wtedy nieszczęsna żona, syna przed jego oczy stawiała. „Ojczy bez litości!—rzekła,—chcesz, aby to niewinne dziecko łupem ich się stało? Chcesz, aby od wyznania prawego Boga odbiegło, ażeby życie ledwie zaczęte, w niewoli spędziło?“

Na ten widok, na te słowa, powstał Małachowski; w jednym mgnieniu oka strój rycerski okrył grubą siermięgą, na mężne czoło czapkę kmiecią nasunął, a porywając syna na dzielne barki, jedną rękę podał żonie, drugą szablę uchwycił, i tak poszedł w milczeniu za idącą przed nim czeladką. Jednak w ciągu drogi, słaba i drżąca małżonka, ciągnąć go nieraz z całych sił musiała, zachęcać przyszłych zwycięstw nadzieją; tak nie nawykły był do ucieczki, ani krok ani umysł jego, taką miał ochotę wracać do zamku, skoro głosy i krzyki radośne tryumfujących nieprzyjaciół uszów jego dochodziły... Nareszcie doszli szczęśliwie do murów Przemyśla, a dzięki ciemności nocy, do-

wcipowi i wierności przewodników, weszli do świątyni. Ogołoconą była z ozdób i ludzi; ale wnet napełniły ją uciekające z poblizszych ulic różnego stanu i wieku osoby ze skarby swemi; rozeszła się bowiem wieść straszliwa, że wszystkie zamki, przedmurze miejskie stanowiące, zdobyte zostały; że może téj saméj jeszcze nocy nieprzyjaciół na miasto uderzy.

Małachowski na widok nowych niebezpieczeństw, obudzonego czując w sobie ducha, obrał się wodzem strwożonej rzeszy zgromadzonej w świątyni; w niéj do ostatniego bronić się umyślił; a gdy już napełniła się zupełnie, zawarł mocno drzwi, za wielki ołtarz ukrył żonę, syna, ile się zmieścić mogło niewiast, starców i dzieci; sam zaś z kilkunastą zbrojnemi stanął na stopniach, na wszystko baczne mając oko, głębokie nakazując milczenie: ażeby i słyszeć co się działo i nie przyciągnąć nieprzyjaciela. Nie łatwo było utulić krzyk tylu dzieci, płacz tylu niewiast, jęk i narzekania tylu strwożonych; ale przecież następowała właśnie chwila zupełnej cichości, kiedy przerwały ją nagle tentent i rzenie koni, szcęk zbroi, krzyki i odgłos okropny nieprzeliczonych siekier i toporów, we drzwi kościelne z olbrzymią siłą bijących. Ten sam oddział Tatarów, który zamku Małachowskiego dobył, w najsroźszym gniewie iż nie zastał wodza, ze shańbienia którego miłą obiecywał sobie igraszkę, odkrywszy niewątpliwe jego ucieczki poszlaki, ruszył pędem do cerkwi przemyskiej.

Wnet runęły z gromowym łoskotem ciężkie drzwi świątyni i powaliły będących przy nich blisko; zwycięzcy uradowani tym pierwszym szczeblem swego pochodu, wstąpili hurmem na leżące podwoje, miecze i rozpalone trzymając kagańce; a za ich pomocą torując sobie drogę przez środek kościoła, dążyli ku wielkiemu ołtarzowi, domyślając się, iż tam zastaną Małachowskiego. Po stosach zemdlonych i rannych, zabitych i konających, wśród jęku, bólu, rozpaczcy i trwogi, sami tylko

radości piekielnej wydając okrzyki, doszli do celu swego. Tu dopiero wszczął się bój zacięty; Małachowski i wszyscy jego, zdawali się nadludzką siłą wzmocnieni, tak dzielnie przystępu bronili; ale nareszcie jeden ze starszych tatarskich, boleśnie przez bohatera skaleczony, z całą wściekłością nienawiści, zemsty i bólu, doparł go, uchwycił za ramię jedną ręką, a drugą chciał mu już cios zadać śmiertelny..... Wtém wśród tój wrzawy, tego jęku, tych krzyków, całej podobnego widowiska okropności, daje się słyszeć głos wielki, głos potężny, głos naczelnego wszystkich Tatarów wodza, wspaniałego niekiedy Giereja: „Zaprzestańcie mordów — woła — bo zśmierć was ceka! Gdzie tu Małachowski? jego ocalić!“

Na pierwsze to wołanie, wściekły Tatarzyn trzymający walecznego Polaka, wstrzymał raz swój zabójczy; ale posłyszawszy dalsze, nie chcąc by uszła zemsty jego ofiara, uderzył! i gdy przybiegł Gierej do wielkiego ołtarza, już Małachowski w samo serce ugodzony, leżał bez duszy; już nie słyszał łkań i krzyków wybiegłej z za ołtarza żony, nie widział płaczącego syna, a zabójca jego skrył się w natłoku. Wódz naczelny, który posłyszawszy o nadzwyczajnych cnotach Małachowskiego, z unysłu śpiesznie do Przemyśla przybył, ażeby życie jego ocalić, widząc go zabitym, wpadł w gniew srogi na ten oddział żołnierzy własnych, i będącym przy boku swoim katować ich kazał. Nowe jeszcze powstało w świątyni zamieszanie, nowa okropność i wrzawa. Przy niepewném świetle kagańców, trudno było rozpoznać Tatarów od mieszkańców Przemyśla; każdy się bronił, każdy zabijał, każdy nadewszystko chciał ująć z kościoła, i co mógł unosił; synowie brali ciała poległych ojców, mężowie nieśli zemdlące żony, matki porwały dzieci. Dwaj pozostali wierni słudzy Małachowskiego, widząc go bez duszy, choć z żalem zostawili ciało jego, a wzięwszy zemdląłą żonę i syna, wynieśli je ze świątyni

Chcieli przez boczne ulice zanieść je pod jaką ubogą strzechę, tam potrzebnego udzielić ratunku, a nazajutrz do wspa-
niałości odwołać się Giereja. Lecz w ciągu ich drogi napadł
ich liczny poczet nieprzyjaciół; napróżno usta ich wymówić
chciały na obronę imię Małachowskiego: oszczepy zabójcze
przerwały im mowę, polegli, drogo sprzedając swe życie...

W lat trzydzieści po tym okropnym Tatarów napa-
dzie, po tój krwawej powodzi, która aż bramy Lwowa zbro-
czyła, za panowania Jana Kazimierza, owego monarchy,
któremuby króla męczennika i proroka dać można przydo-
mek, biskup czyli władyka przemyski, w licznym ducho-
wnych i dworzan orszaku, wracał do pałacu swego po uro-
czystém nabożeństwie w cerkwi odprawioném *). Modlił
on się gorąco, jak zawsze w tём miejscu zwykł był czynić
za dusze rodziców, których w dzieciennym będąc wieku utra-
cił, lecz których dotąd zgon okropny pamiętał. Niedawno
zasiadł stolicę przemyską, bo tóż prawie w młodym jeszcze
był wieku; powołany został do tój godności odgłosem po-
wszechnego szacunku: miły, łagodny, światły, prawdziwie
pobożny i dobroczynny, godzien był tak wysokiego urzędu.
Wchodząc we drzwi pałacu swego, spostrzegł opartą o ścia-

*) Jan Małachowski, szlachcic herbu Pruss 2-gi, nic nie miał
wspólnego ze znaną dzisiaj rodziną Małachowskich herbu Nałęcz.
Wstąpiwszy do Bazylianów, wyszedł z koleji na sekretarza zakonu
i w tym charakterze znajdował się na kongregacyi generalnej zakon-
ników ruskich w Brześciu Litewskim, pod przewodnictwem nuncjusza
Antoniego Pignatallego, odbywanęj roku 1666. Na uchwałach tój kon-
gregacyi imie swoje po imionach nuncjusza, metropolity i konsultato-
rów podpisał. Został później archimandrytą żydaczowskim; a biskupem
przemyskim i samborskim mianowany w r. 1670, po śmierci Terle-
ckiego. Umarł roku 1692.

nę dziwnęj postaci, w szczególnęj odzieży kobietę; głowa jęj okryta była zawojem, a z pod niego śnieżne wymykały się włosy; twarz może niegdys piękną zorało nieszczęście, nędza zczerniła; obcego narodu podarta i wypełzła katan-ka, wisiała na ciele tak osłabioném, że wyglądać tylko należało chwili kiedy opuści je dusza.

„Miłosierdzia! miłosierdzia!“—te jedynie słowa z wielką trudnością zsiniałe jęj usta wyrzec potrafiły i padła bez czucia.

Biskup litością przejęty, kazał natychmiast służącym i dworzanom wziąć nieszczęśliwą, wszelkie dać jęj wygody, nadwornego przywołać lekarza. Dwa dni niewiasta bez żadnej była przytomności, lubo czucie wnet wróciło; ale trzeciego odzyskała zupełnie zmysły i mowę, tylko bez sił żadnych; i lekarz osądził sam w sobie, że ten powrót przytomności umysłu był znakiem rychłej śmierci: owóm jakby pożegnaniem duszy, które zwykle przed ostateczném opuszczeniem ciała następuje. Oświadczył to pytającemu się codziennie o nieszczęśliwą biskupowi, i ten powiedział: że sam ją chce przysposobić do śmierci. „Bóg przeznaczył jęj oczywiście — rzekł — dom mój na ostatnią w tém życiu gospodę; muszę więc sam ją opatrzeć w daleką podróż, w którą się wybiera.“ I poszedł natychmiast do umierającęj, rozkazując ażeby ich zostawiono samych.

Przejęta taką dobrocią i łaskawością niewiasta dziękować mu chciała, uniżyć się przed nim, ale on powiedział: „Powinnością to jest moją; byłżebym sługą tego Boga, któremu żywot poświęciłem, gdyby kto wzywał naprózno miłosierdzia mego?“ — Ach! Panie! — zawołała umierająca, — jakaż to dobroć wasza! — jaki głos i mowa miła! jakże dawno uszy moje nic podobnego nie słyszały? O Boże! jakaż opatrność Twoja, że mi dozwalasz na łonie chwalących Ciebie umierać!“ I tu krople łez potoczyły się na

bladych jej licach, złożyła wychudłe ręce i modliła się cicho.

„Któż jesteś? i gdzie byłeś dotąd?“ — spytał jej zdziwiony biskup. — „Nie jestem, a przynajmniej niegdyś nie byłam, czém się dziś być zdaje — wyrzekła. Wiosna dni moich spłynęła w szczęściu, bogactwie, wolności; byłam panią, byłam żoną, byłam matką... lecz dalsze lata zgarnęło sieroctwo, nędza i niewola... Oto właśnie trzydzieści lat temu, w tém mieście Przemyślu, w cerkwi poległ mąż mój!... — „Jak się zwał mąż twój?“ — przerwał jej z pośpiechem biskup. — „Cóż pomoże, choć powiem imię jego; już nieraz je mówiłam od czasu jak na ruską wstąpiłam ziemię, a nikt wierzyć mi nie chce!“ — „Mów tylko spiesznie!“ powiedział biskup. — „Małachowski“ — wyrzekła. — Wielki Boże! — zawołał kapłan, — a syna czy miałaś? — „Miałam jedynaka, i on się przeniósł do wieczności; widziałam go nieraz we śnie między aniołami; Janek mój miły! Janek mój jedyny!“ — „Matko!“ — krzyknął biskup, i uchwycił złożone ręce niewiasty, przyciskał je do ust i oblewał łzami. — Czy to jeszcze jeden z tych snów błogich, któremi Bóg w niewoli mnie cieszył? czyli też już umarłam i w niebie jestem? — pytała przerywanym głosem niewiasta — na tę ziemię, to szczęścia zanadto! Jabym jeszcze miała syna?“ — Tak jest, bez wątpienia — odpowiedział biskup — jam syn twój, tyś matką moją! I ten dobry i wszechmocny Bóg, który cię tu tak cudownie przyprowadził, i mnie również cudownie zachował, udzielić ci raczy zdrowia i życia, abyś jeszcze na tej ziemi szczęścia używała.“

I tak się stało; nie zawiódł Bóg ufającego w Nim sługę, nagroził długie pobożnej niewiasty cierpienia. Biskup przemyski był owym Jankiem, ośmioletnim Małachowskich synem. Tatarzy nie widząc go może w ciemnościach nocy, lub też mając za umarłego, ile że krwią zboczony, był bez zmysłów, zostawili go w owej bocznej ulicy, unosząc tylko

matkę jego zemdloną. Znaleźli go tam nazajutrz włóścianie ojca, którzy i ciało pana uczciwy pogrzeb sprawili; za ich staraniem dostał się wnet sierota do krewnych; przez nich wychowany starannie, doszedłszy do lat młodzieńczych, obrał sobie stan duchowny, a przez cnoty i światło doszedł do biskupiędz godności. Bez zmysłów wtedy gdy matkę porwano, wraz ze wszystkimi sądził że nie żyje, i pomnik jędz nawet wspaniały obok grobu ojca wystawił. Jędz zaś Tatarzy wprowadzili aż do najdalszych siedzib swoich; ztamtędz pomimo najusilniejszych starań wydobyć się nie mogąc, przez lat trzydzieści żyła w ciężkiej niewoli. Nie nawykła jednak do niędz, i choć już blisko sześćdziesiąt lat liczyła, gdy się jędz trafiła nareszcie pomyślna do uciezki pora, użyła jędz; a mil tyle piechotę, sama, w tym wieku uszedłszy, nie dziwnego, że jędz sił zabrakło, gdy zaszła do miasta, gdy się ujrzała w miejscu, gdzie tak odmienną ludzie jędz znali. — Ale radość wielka i niespodziana wróciła jędz, siły i życie; w niedługim czasie przyszła do zupełnego zdrowia. Jeszcze przez lat dwadzieścia i kilka cieszył się nią syn ukochany; dom jego stał się dla niędz ostatnią i miłą gospodą; otoczona tkliwemi staraniami jedynaka, uwielbieniem powszechném, byłaby może i zapomniiała długich lat niewoli, gdyby częste opowiadanie nie było wznawiało icę pamięci. Jan Małachowski zaś, naprzód biskup przemyski, a później chełmiński, dla wiecznej pamięci, dla uwielbienia dróg Opatrzności i przedstawienia odmiennych życia kolei, w księdze Żywotów świętych Piotra Skargi, opisał na okładkach tę całą rodziców i swoją przygodę; a kiedy w późnej starości kończył cnotliwe życie, czując że chwila skonania już blizka, kazał sobie tę księgę pod głowę położyć, i tak ufny w miłosierdziu Boga, oddał Mu ducha.

IX.

Nocleg w Kromolowie.

(rok 1669).

„Ostrożnie! ostrożnie! pomieście mi wszystko! dajcie temu pokój! niech sam Raczek przy pytle stoi!“ — Tak wołała średniego wieku niewiasta, na prostym drewnianym siedząca stołku, pośród worków zboża i mąki, na dorodnego młodzieńca i dorodniejszą jeszcze dziewczynę, którzy odgarniali na wyścigi, sypiącą się naprzód szarawą, potem białą jak śnieg, teraz znowu mniej piękną mąkę; ale szum wody, kół warczenie, stępów bicie, cały hałas młyński nie dozwalał im słyszeć jej głosu: „Dajcie pokój! mówię“ — krzyknęła już trochę z gniewem. Na ten raz usłyszeli młodzi, a odstępując wszystkiego, z pośpiechem ku niej pobiegli.

„Przepraszam was, kochana matko!“ powiedziała z nieśmiałością dziewczyna, całując ją w kolana. „Nie gniewajcie się, pani stryjenko! — wyrzekł młodzieniec, kłaniając jej się do nóg — my dobrze chcieli. Wszak i bratanka Anna zna się już na gatunkach mąki, i was samych nie w jedném wyręcza.“ „Jeszczeby też! — odezwała się niewiasta, ruszając ramionami — a byłaby warta żyć na tym świecie, gdyby się na gospodarstwie nie znała? baj bardzo! żeby też szesnasto-letnią dziewczką wyręczyć się nie można? Anna wszystko niemal tak dobrze potrafi jak ja, ale kiedy waści nie ma; bo skoro waść jesteś z memi dziewczętami, juści psot i figłów pełno.“ „Już nigdy nie będziemy — szepnęła Anna, całując powtórnie matki kolana“. „Nigdy! nie mów

nigdy! — rzekła już z uśmiechem niewiasta — to rzecz daremna, zwłaszcza w takim razie; a na przeprosiny, poustawiajcie mi dobrze te worki, każdy według znaku swego, żebym wiedziała, ile mam mąki i jakiej? Święty Michał za pasem, prowiant to na całą zimę. Bóg dał tego lata pszeniczkę piękną, zebrało się sucho, będzie co jeść, a jest też komu. Pocziwa Raczkowo! — dodała wołając na przedącą opodal młynarkę, — dajcie mi krédki, zrachuję sobie na stole, wiele korezyk wydał?”

„Wzięli się młodzi do ustawiania worków, nie bez wesołości, szeptów i śmiechu, ale już bez psoty; a niewiasta rachowała pilnie, wzywając pomocy krések, karbów i palców, i przytykając często rękę do czoła. Wtém wbiegł do młyna zadyszany pokojowiec; skłonił się głęboko, położył na stole list odpieczętowany znacznej wielkości, i powiedział: „Księżna pani przysłała waszmości to pismo, abys go najrychlej odczytała i spieszyła do dworu. Byłaby przysłała powóz, ale wszystkie konie w robocie.“ „A toż znowu zkąd? — zawołała z niesmakiem niewiasta — bodajże to! właśnie już ładu dochodziła z moim rachunkiem. Stanisławie! — rzekła do młodzieńca — przeczytajże mi waść owo pismo tak pilne. Od kogóż przecie?“ „Od króla!“ zawołał Stanisław, biorąc list w rękę; a te słowa: *od króla!* przechodząc z ust do ust po całym młynie, jak pociąg czarowny zebrały wszystkich przytomnych w jedno grono; odbiegł Raczek pytla, żona jego kądzieli, zeskoczył z drabiny syn ich jedynak Maciej, rzucili worki z mąką parobcy i stanęli ubieleni; a wszyscy wlepiwszy oczy w Stanisława i wielkie otworzywszy gęby, słuchali co następuje:

*Najukochańsza Matko nasza i osobliwsza
Dobrodziejko!*

„Jadąc z Warszawy do Krakowa na koronację, która odprawi się, da Bóg, w święto naszego patrona, obraliśmy

drogę na Częstochowę, aby przed solenném tój frasobliwój korony przyjęciem, polecieć się Onój potężnej Królowej nieba i Polski patronki. Od Tój jednéj Matki, mając już dziś otrzymać ostateczne błogosławieństwo, przez ręce wielobnego tutejszego przeora, chcielibyśmy jutro wieczorem otrzymać wasze, najukochańsza Matko nasza i osobliwa Dobrodziejko! Przeto wysyłamy naszego pazia, który powinien na cztery godziny przed nami w Kromołowie stanąć, gdzie jak nam wiadomo, jeszcze gościecie. Radzono nam tu, ażebyśmy was zjechali znienna, ku większej radości, ale ponieważ dosyć znaczny orszak nam towarzyszy, baliśmy się nabawić jejmość panią starościnę a siostrę naszą kłopotu, zwłaszcza że nocleg w jój domu wypada. Nie chcąc spóźniać tego uwiadomienia, kończymy to pisanie nasze, zostając dozgonnie

Waszój Książęcój Mości najukochańszėj Matki
i osobliwėj dobrodziejki pełny respektu
syn

MICHAŁ król.

Dan w Częstochowie, dnia 20 Września 1669 r.,
panowania naszego pierwszego.

„Zawsze dobry i pamiętny!“ zawołała niewiasta, wstając spiesznie ze stołka, rzucając karty i krédkę. Szkoda jednak, że się choć do jutra nie wstrzymał; trzebać mi to biedz prędko, do dworu kawał drogi, i przyrządzić wszystko na przyjęcie króla brata. Jeszcze u mnie nie był od czasu, jak mu ta korona z nieba spadła... Ale w co się moja mąka obróci? zostawiłaćbym tu Annę albo Stanisława, lecz z pośpiechu pomięszaliby mi wszystko; zresztą znajdzie się dla nich w domu robota. Mój Raczku! jużto na nikogo nie padnie tylko na ciebie; dopilnujże mi dobrze: król brat wiezie ludu dosyć, a każdemu dać trzeba uczciwą wieczrę. Anno! wybierz worek najpiękniejszej mąki; tój w spi-

żarni braknąć może, a musimy i ciast napiec. Idźmy! bywajcie zdrowi, poczciwi ludziska! a nie zmażcie tego com nakreśliła na stole; przyjdę ja tu jutro, da Bóg doczekać! Czegoż mnie tak za nogi ściskacie? Czy chcecie czego?“

„A juźci, jaśnie wielmożna pani!“ powiedział młynarz skrobiąc się w głowę. „To mówcie, tylko prędko!“ „Oto, kiedy z woli Boga i narodu, brat jaśnie wielmożnej pani królem naszym został, chcielibyśwa, żeby z onego szczęścia i na ród nasz trocha się sypnęło. Mamy jedynaka syna Macieja; zna go dobrze jaśnie wielmożna, dziarski chłopak; miałci on być młynarzem po mnie, jak całemu miastu wiadomo; ale kiedy taka pora się zdarza, już oddawna mówiła mi moja kobieta, czemuby nie miał być dworakiem? I zapewne, juźci większa sława królowi służyć, niżli pytliska pilnować.“

„Może sława większa — odpowiedziała niewiasta — lecz czy chleb pewniejszy, to wielkie pytanie! Jednak kiedy chcecie, wspomnę o tém, ale niech mi tymczasem pan dworak mąki dobrze pilnuje, bo go nie polęcę królowi bratu. Bywajcie zdrowi!“ I poszła z Anną i Stanisławem; pokojowiec wziął worek z mąką i ruszył za niemi. Ciągła była przez długą drogę rozmowa: jak wszystko rozporządzić, ułożyć, jakie dać potrawy, a szmer słów głuszony był tylko odgłosem szybkiego stąpania i szelestem pęku kluczy, wiszących u pasa niewiasty.

Czytelnicy może jeszcze niezupełnie się domyślają, o kim tu mowa? jak pogodzić rodzinę królewską, z młynem, z kluczami? To zdarzenie jest jednak zupełnie prawdziwe i wcale nie nadzwyczajne, gdy wspomnimy na dawnych czasów dziwne wypadki, a proste obyczaje. Jeszcze dziś na pół drogi między Częstochową i Krakowem, przy źródle rzeki Warty, jest miasteczko Kromołów zwane; jeszcze dziś stoi młyn *Raczkim* od rodziny młynarskiej przed laty tam zamieszkałej, przewzany; jeszcze dziś pokazują w nim miejsce, gdzie na prostym drewnianym stołku siedziała raz

pani Tarłowa, starościna goszczyńska, pilnując dokładnego mlewa swojej pszenicy i mąk odbierania, kiedy jój znać dano, że zjedzie na nocleg do jój domu król, a brat jój Michał. Nie była ona jednak rodzoną, ale stryjeczną jego siostrą. Michał Korybut Wiśniowiecki był jedynakiem; lecz wychowana przez matkę jego Gryzeldę z Zamoyskich księżną Jeremiową Wiśniowiecką, przez nią za mąż wydana, od niej jako córka, od jój syna jako rodzona siostra uważaną była. Księżna Jeremiowa z bogactw przywiedziona do niedostatku, z szczęścia pogrążona w niedolę, zawczesną śmiercią męża, zawsze znajdowała w Kromołowie przytułek i pociechę. Przyjmowana jakby matka od starosty goszczyńskiego, dopóki żył, nieinaczéj witaną była od zacnej i prostomyślnéj wdowy jego; a trzy ich córki: Anna, Maryanna, Helena, syn jedyny Józef, który był w szkołach w Warszawie, i bratanek Stanisław Tarło, często u stryjenki bawiący, patrzyli na nią ze czcią i poszanowaniem. Nawykli z dzieciństwa widziéć w niej ozdobę ich domu, głowę całej rodziny, każde jój słowo było wyrokiem, każde życzenie rozkazem. Teraz już od dwóch miesięcy w Kromołowie gościła. Doczekawszy się w Warszawie więcéj jeszcze požądanego niżli spodziewanego wyniesienia syna, dawszy mu błogosławieństwo, nie mogąc zaradzić jego królewskiéj nędzy, znieść jój widoku nie mogła. Te dary, które on od poddanych przyjmować musiał, zamiast je rozdawać, raniły jój duszę; sama téż nie będąc bynajmnieéj w możności ukazania się w stolicy, na stopniu matki panującego, wolała schronić się do wiejskiéj i rodzinnej zagrody, gdzie wyższym umysłem i wiekiem tyle miała przewagi, że już jój zwiększyć nie zdołała wiadomość, czém jój syn został. Nadzieja rychłego oglądania tego syna, serce jój napełniła radością. Starościna goszczyńska przyszedłszy do dworu, zastała ją swobodnéj myśli, wspanialszéj niż kiedy postawy i suto przybraną. Włożyła suknię z złotéj materyi, kontu-

sik z karmazynowego aksamitu sobolami podbity, i taką czapkę z kosztowném spięciem. Z dwiema młodszymi starościankami kończyła właśnie urządzać swoją komnatę, ustawiać w niej rzędem wysokie krzesła dębowe, złotym adamaszkiem obite, przykrywać stoły jesionowe bogatemi kobiercami, bo w niej miała zamiar przyjąć króla; i słusznie, gdyż ta komnata w całym dworcu największą i najwygodniejszą była.

„Patrzcież kochane dziatki—rzekła do wchodzących—jakie mi Pan Bóg zsyła niespodziewane wesele; oddajcież mi list króla, a syna mego; niech mi go Stanisław raz jeszcze odczyta; a ty kochanko, spiesz rozporządzić wszystko: będzie do trzydziestu osób, drugie tyle ludzi i 150 koni, jak mi paż króla Imci powiadał. Już mówiłam Marysi i Halce, żeby się ogarnęły; i ty Anno ubierz się w co masz najlepszego. Wszak usłuchasz rady mojej, kochanko, i oddasz ją do dworu, skoro król a syn mój przyzwoite zawrze małżeństwo?”

„Wiecie dobrze, księżno stryjenko—odpowiedziała starościna—że jako matkę was uważając, rad waszych zawsze chętnie słucham; ale w tém wybaczyć raczycie, moje dziewczęta prostaczki jako i ja, źleby u dworu szpilowały. Ś. p. ich ojciec zawsze mawiał: „Niech domu pilnują; da Bóg, zajedzie po nich i do Kromołowa szlachcie jaki uczciwy. A nie zajedzie, mniejsza o to: nie przykrzyć mi się żadna.“ „Jak chcesz — wyrzekła z przyciskiem księżna—ale nie zapomnijże przynajmniej mościa pani innych szat przywdziać: te co masz na sobie zupełnie umączone.“ „Nie zapomnę—zawołała starościna z uśmiechem, a to mówiąc, pocałowała rękę poważnej matrony, i poszła skwapliwie do zatrudnień gospodarskich, zacząwszy je od dobrego uczęstowania przybyłego pazia.

Nie ma potrzeby opisywania, w jakim był ruchu dom cały kromołowski. Wszystkie sepety, skrzynki, szafy w ścia-

nach, kantorki pootwierano; dobyto zaśniedziałe srebra, od dawna w butwiejących puzdrach zamknięte puhary, zakurzone odwieczne szkła czeskie, dawne makaty, kobierce, holenderskie obrusy, serwety. Służebne, pokojowcy, pacholiki, czeladź cała, a nawet sam paż królewski, wszystko to biegało i krzątało się. Ta na folwark po mleko i śmietangę, ten do księdza proboszcza po sztucce i opłatki, tamten do młynarza po miski; ci do żydów miejskich po mięso i jaja; owi na wieś jedną i drugą po drób i skopy; tamci do stawu i rzeki po ryby; inni do ogrodów i sadu po warzywa, jarzyny, owoce; te z wielkimi miotłami dobywały z kątów szanownych dawnością, śmieci, tamte okurzały ściany i obrazy; ci piaskiem wysypywali sień i podwórzec, owi cienkimi pręcikami kanapy i krzesła trzepali. I paniątka nie próżnowały; pan Stanisław odczytawszy list księżnie, udał się do piwnicy, kazał wytoczyć dwie beczki wystającego miodu, baryłkę wiśniaku, do stołowej zanieść je izby; a wszystkie okna i pułki pozastawiał okrytymi sędziwą pleśnią butelkami. Najmłodsza z starościanek Helena, acz z ukrytym żalem, z rozkazu matki została przy księżnie dla jój posługi, a dwie starsze uniosłszy kontusików i zawinawszy rękawy, pracowały niepomału; Marysia zabrała się do ciast i do przygotowania *bijanki* *), Anna dobywała specyały z będącej pod jój kluczem apteczki. Obwarzanki migdałowe, biszkopty białe i żółte, konfekta czyli różne smażone owoce na sucho i w syropach, cukier kolo-

*) *Bijanka*. przysmak ówczasowy; oto jój przepis: „Ryż suszony utłucz i przesiěj; w wrzącą wodę, gdy zwierac będzie, wlej wody różanej, włóż cukru i syp tę mąkę, a mięszaj pilnie na węglu; gdy uwre, miej formy na to zgotowane, które oblewaj wodą różaną i wlewaj w nie tej materyi; postaw na zimnie, gdy stężeje przełóż z formy na półmisek, i daj zaraz bo ostabieje.“ — Obacz dzieło: „Zebranie potraw Czernieckiego“ kuchmistrza.

rowy piżmowany do ciast posypywania, cukierki na migdałach, cynamonie, anyżu, kołędrze; pierniki różnej wielkości i kształtu, i wiele innych przysmaków, na skorupkach ku temu przeznaczonych ułożone zostały. Ich obfitość, rozmaitość kolorów i symetria z jaką za pomocą bratanka *), ustawiła je Anna na stole w podkowę urządzonym, pochwaliła sama nawet księżna, gdy z ciekawości przyszła zastawę wieczerzy obaczyć.

Lecz ze wszystkich osób nad przygotowaniem uczytu pracujących, bez wątpienia najwięcej zajęta była sama pani starościna, o której głowę wszystko się obijało. Ale nawykła jak każda ówczesna polska gospodyni, do licznych i nagłych zjazdów, przezorna, rozgarniona, skrzątna i rządna, rada w domu a bez pretensyi, bo pewna swojego i gości swoich serca, nie zaszła w głowę; owszem, pamiętała o wszystkiem, ze wszystkiem zdążyła. Już wszystko było w pogotowiu, wszędzie porządnie, ciasta rosły w piecu, bijanka tężała na zimnie, ubiór niewiast był odmieniony, kiedy na koniu pędem biegnącym, wpadł na podwórzec hajduk suto przybrany; a nim jeszcze spieniony rumak stanął jak wryty przed dworem, on już wielkim głosem zawołał: „Król jedzie.“ Wyszła natychmiast przed ganek pani starościna z rodziną i czeladką; księżna wierna rodzicielskiej powadze, została w komnacie; napełnił się wnet podwórzec cały, i przyległa do niego lipowa ulica, powozami, końmi i ludźmi; z pierwszej i najwspanialszej kolébki, wysiadł pan suto przybrany, młody jeszcze, dorodnej postaci; oczy jego ciemne, wzrok miały więcej łagodny niż żywy, twarz miłą choć bladą, upiękniał wyraz otwartości.

Był to król Michał; przywitał się serdecznie z siostrą,

*) Ten sam Stanisław Tarło był później kuchmistrem koronnym — z młodu okazywał skłonność do tego urzędu.

pozdroził ją i dziatki najmilszemi słowy; skłonił się łaskawie wszystkim i pospieszył do matki. Sędziwa matrona wystąpiła na środek komnaty; król rzucił jęj się do nóg: podniosła go i kazała usiąść przy sobie; weszli panowie dworscy, a po długich ukłonach i komplementach, zajęli wskazane sobie przez nią miejsca. Utrzymywała ciągłą rozmowę matka królewska; a wypytując się o to co w kraju się działo, czy uspokojeni książęta ubiegający się o tron? co Turek porabia? gdzie wielki hetman Sobieski? czy prymas Prażmowski jeszcze zagniewany? co myślą zdziałać na sejmie koronacyjnym? czy wynagrodzą tym, których dobra obcy zabrali? czy zapobiegną wolności zrywania sejmów? zdawała się tylko rozumować o dobrze jęj znanych wypadkach. A kiedy król przez dobroć lub nieśmiałość uchybił sam sobie, okazywał wstręt, nienawyknięcie do swęj godności, kiedy któremu z panów obecnych pozwoilił sobie w najnniejszęj rzeczy ubliżyć, pokrywała zřęcznie słabość jego, i podsuniętęm słówkiem umiała go wesprzęć i zastanowić. Bo matka Michała nie była zwyczajną kobietą; córka Tomasza Zamoyskiego i Katarzyny księżniczki Ostrogskiej, rodzona wnuczka sławnego Jana, wdowa po walecznym Jeremim, tylu rycerzy godnym potomku, łączyła w sobie dumę, chęć sławy, wielkość tych trzech rodzin; słabość umysłu jedynaka, byłaby rada własną krwią zatrzyć; a widząc w nim cnoty łagodne, rozsądek, naukę, ale żadnej ambicyi, żadnej tęgości umysłu, zupełną nieudolność do utrzymania królewskiej powagi, wątpić czasem miała ochotę, czy on był istotnie jęj i Jeremiego synem.

Prawda, że Michał przyszedł na świat słaby i matka jego ulegając na ten raz zwyczajnej matkom tkliwości, myślała długo raczęj o tęg, żeby żył, jak żeby po rycersku żyć umiał; prawda, że ona tylko wychowanie jego zaczęła, a dziecię więćej przejmować zwykło od tęg co je wychowa, niżeli od tęg, co urodzi, wykarmi i wypiastruje. Kiedy Je-

remi Wiśniowiecki, za ledwie lat 39 mający, zapadł na gwałtowną gorączkę i po ośmiu dniach skonał w Pawłowicy dnia 22 sierpnia 1651 r., wdowa jego w ciężkim żalu po jego stracie, i po zniszczeniu widoków wielkości, o których ciągle marzyła, na syna jedynaka przelała wszystkie nadzieje. Wtedy dopiero przyglądając mu się pilnie, ujrzała z boleścią, że dla wzmocnienia ciała, zaniedbała hartowania ducha; wtedy chciała wynaleźć sposób wynagrodzenia tej omyłki. Małżonek jej nie był dobrze widziany u dworu, zazdrość potrafiła wystawić go niebezpiecznym tak w oczach Władysława IV jak i Jana Kazimierza, i chociaż tyle zwycięstw odniósł, przecież minęła go buława. Ale małżonek jej sam przez siebie dzielny i wielki, gdyby nie śmierć zawczesna, byłby pokonał swych wrogów i najwyższych doszedł szczytów. Po synie spodziewać się tej dzielności nie mogła; stałość umysłu, zdolność do wykonania wielkich rzeczy, już się w dziecięciu objawia: nie widziała ich w nim wcale; upatrzyła więc dla niego inną do wyniesienia drogę. Syn ten, w czasie śmierci ojca dopiero 12 lat mający, wdzięcznej postaci, za matki staraniem pozyskał łaski królewicza Karola Ferdynanda, biskupa płockiego; który go dnia jednego bratowej swojej Maryi Ludwice, żonie Jana Kazimierza przedstawił. Ta królowa nie mająca sama potomstwa, a może przeto samo więcej jeszcze obce dzieci lubiąca, upodobała sobie niezmiernie książęcego sierotę i narpała się go koniecznie. Król jej małżonek tkliwy i rzetelny, rad był sposobności wypłacenia synowi w czem mimowolnie uchybić mógł ojcu; uprzejmie więc prosili oboje wdowy Jeremiego o powierzenie im jedynaka. Nie wzbierała się długo. Ta prośba dogadzała skrytym jej widokom, wreszcie ujętą została grzecznością królestwa; duma wielkich zwykła nikać, jak płomień świecy przy słońcu, przed względami tych, których możniejszymi od siebie uznają. Chociaż więc kochała syna z zapalem, rozłączyła się z nim

chętnie, królewskie ręce obcemi jęj się nie zdały; ich dary nie były dla nięj ani ciężarem, ani upokorzeniem i nieraz nasuwała jęj się myśl, dla wszystkich smutna, dla nięj uroczą, że Jan Kazimierz nie ma dzieci, że nie było dotąd wiadomego na tron polski następcy... a przed myślą tak świetnej przyszłości, niknęło obecne poniżenie.

Lata najważniejsze dla mężczyzny, te, w przeciagu których dziecię w człowieka się zmienia, Michał Wiśniowiecki przepędził u dworu. Ulubiony od królowej i jęj niewiast dla dobroci i uprzejmości swojej, mało z ich pokojów wychodził; a wię każdy, jak w ciągłym i wyłącznym towarzystwie kobiet, dusza najmężniejsza słabieje. Uczył on się wprawdzie i uczył się dobrze, bo miał rozum pojętny lubo nie bystry; ale uczył się tego najwięcej, co opiekunce jego i jęj orszakowi podobać się mogło. Biegły w językach, a osobliwie w francuzkim, w literaturze czasowej, umiał śpiewać pięknie, tańczyć zręcznie, potrafił rozmawiać przyjemnie, a nawet rozumować rozsądnie; lecz nie byłby zdołał przemówić dzielnie wśród zgromadzonych obywateli, zbijać zarzuty, stać przy własnym zdaniu, tłumaczyć prawa i ustawy krajowe, lub tęż wojsko do zwycięztwa prowadzić. Parę lat za granicą i w akademii Pragskiej przebyte, dla dokończenia tego wychowania, wyćwiczyły go w przymiotach jakie już miał, ale nie dały tych na których mu zbywało. Matka patrząc tylko z daleka na to prowadzenie syna, hudiła się zawsze nadzieją, że ciągły widok majestatu królewskiego obudzi w nim nareszcie uspioną dumę, że przestając ciągle z możnemi, także możnym być zapragnie. Ale takowy widok na nieśmiałej z natury duszy zwykł czynić przeciwne wrażenie.

W najpomyślniejszej dobie rosna troski koło tronu; cöz dopiero dzieje się wtedy, kiedy losy są przeciwne! któz nie wię jakim pasmem nieszczęść było panowanie Jana Kazimierza? Młody książę nie widział tęż bynajmniej bla-

sku, tylko ciernie korony; przysłuchując się nieraz narzekaniom króla, świadek próżnych jego usiłowań, towarzyszył tułactwa, raczej wstąpił do tronu, niżeli jego żądzą się przejął. Światło które posiadał, nauki których nabył, jeszcze go mocniej przekonywały: że wtenczas Polsce trzeba było wielkiego króla, Zygmunta Starego albo Stefana, lub też dzielniejszego jeszcze. Przeto, kiedy z powszechnym zadziwieniem, za jednym Jędrzeja Olszowskiego pismem *) (ale może nie za jednym matki zabiegiem) Michał Wiśniowiecki wykrzykniony został królem, na równinach pod Wolą, w wigilią Bożego Ciała r. 1669; kiedy młodzieńca bez dóbr, bez urzędu, bez pomocy, bez przyjaciół, bez zalecenia od postronnych, naród zgromadzony wyniósł na tron, przekładając go nad Filipa Wilhelma Falcgraffa, Karola księcia Lotaryńskiego, i wielkiego Kondeusza, on z płaczem wyprasał się od tej dostojności; mówił w szczerości ducha: „Niech odejdzie ten kielich odemnie!“ **) Uciekać chciał od tej korony, której tak pragnęli drudzy.

Matka od niejakiego czasu w Warszawie goszcząca, wstrzymała go na tym upragnionym od niej szczycie; w dniu elekcyi, skoro ten Król z musu uwolnił się od otaczającej go pompy, udał się do niej, choć już było po północy; a tam odebrawszy z rąk jej chrześcijańskie błogostawieństwo, słuchał przez godzinę całą wyniosłej i mężkiej duszy rad i napomnień. I dziś kiedy już po ostateczne utwierdzenie tej cierniowej korony jechał, kiedy mu dokuczali panowie, zwłaszcza wielki hetman i prymas, i do wszystkiego co chciał przedsięwziąć dla dobra kraju, zapory mu

*) Przed elekcyą, Jędrzej Olszowski biskup chełmiński wydał był księgę, w której po roztrząśnieniu przymiotów ogłoszonych kandydatów, dowodził tego, iż najprzyzwoitsza rzecz byłaby Polaka obrać; w szczególności zaś Księcia Michała Wiśniowieckiego wychwalał. (*Albertrandi* k. 240.)

**) Własne Michała słowa. (*Bandtkie* Tom II. k. 386.)

stawiano, wstąpił umyślnie do Kromołowa, ażeby znękaną duszę wzmocnić mężką księżnej dzielnością. Od chwili przyjazdu wyglądał tajemnej i pokrzepiającej z nią rozmowy. Jedyne przez wrodzoną sobie dobroć, ukształconą jeszcze dworską grzecznością, siedział bez okazania tęsknoty i niecierpliwości przy wieczyście dłużej o trzech daniach wieczerzy, z których każde po ośmnaście półmisków miało. Jedyne skutkiem tejże dobroci pozwalał na nieprzeliczone wiaty, wnoszone ochoczo przez młodego Stanisława Tarłę, miejsce gospodarza trzymającego; i przelykał jadło i trunki, do których przymuszała go nielitościwie z jak najlepszego serca, siedząca przy nim starościna. Już kilka razy chciał się jój oprzeć, chciał talerz kopiasty paziom oddać, kwartowy puhar do góry dnem przewrócić; zwłaszcza kiedy z żalem wymawiała te słowa: „Królowi bratu już nie smakuje chleb chudopacholski.“ Gwałt więc czyniąc sobie, jadł, zapijał i chwalił.

Aleć wszystko musi mieć swój koniec; skończyła się wieczyście długa wieczerza; król wstał uradowany: podziękowawszy uprzejmie siostrze, zostawił ją z panami dworskimi, którzy dopijali miodu i wina, a sam udał się z matką do jój komnaty. Ona pierwsza głos zabrała; piękną była jój mowa, godna mężkiego pióra. Mógłby kto myśleć, że Sparty córkę, lub rzymską matronę słyszy; słowa swoje opierała na przykładach, dodawała im dzielności wskazując na wizerunki zdobiące ściany jój komnaty, rozjaśnione blaskiem kilkunastu świec jarzących. „Niech się gmin dziwi,—mówiła nakoniec—żeś ty królem zostałeś; tyś bynajmniej dziwić się temu nie powinien: nie jedn król potężny, nierównie dalej od tronu się rodził. — Od kogożto ród Wiśniowieckich początek swój wie dzie? od tych samych książąt, z których powstał ów król Jagiełło, którego dzielne potomstwo Polsce, Czechom, Węgrom, królów,—Litwie i Rusi tyle książąt wydało. Z kim łączyli się ołowice twoi? z krwią książąt

udzielnych, z krwią Chodkiewiczów. Kto był naddziadem twoim? oto patrz, ten Dymitr, który razem męczeńską i bohaterską śmierć poniósł; którego drgające serce Turcy z przebitego strzałami ciała dobyli, a pokrajawszy jedli, chcąc nabyć odwagi jaka w nim była *). Któż był ojcem twoim? bohater, który od dzieciństwa wojennym tchnął duchem, którego spojrzenie, choć słabo pędzłem tu zatrzymane, jeszcze do męztwa zagrzewa. Onto nie po cze i błache nauki, ale po wywyczenie się w sztuce rycerskiej do obcych jeździł krajów. On pierwsze stawiając pole, tak się dał nieprzyjacielowi ojczyzny we znaki, że go do błagania po-

*) Dymitr Wiśniowiecki syn Aleksandra księcia i Skorucianki, był wielkim mężem; szczodroblivością i wspaniałością serca równał się królom, odwagą i męztwem, nikt z nim równać się nie śmiał. Tatarów, Turków, Wołochów, własnym żołnierzem gromił; od Cara Iwana praeciw Tatarom był wzywany, i dopomógł mu do ich zwyciężenia. W roku 1562 ciężko zachorował; troskliwy o tak drogie dla ojczyzny zdrowie, Zygmunt August swoich własnych lekarzy mu posłał... Sławą jego imienia wzbudzona Wołosza, ofiarowała mu gospodarstwo; on je przyjął; ale większa liczba Wołochów ogłosiła w tymże samym czasie hospodarem niejakiego Tomszę, który wojsko miał liczne. Nie ustąpił jednak śmiały Dymitr, z garstką żołnierzy potykał się z Tomszą, lecz uledek musiał przemocy, zwłaszcza że i chorym był jeszcze. Pojmanych jego żołnierzy, poobrzynawszy im nosy i uszy, poodsyłał Tomsza wolnych do Polski, ale Dymitra i towarzysza jego Jana Piaseckiego, herbu *Zabawa*, do Stambułu jako buntownika odesłał. Tam z jednéj strony wszelkie łaski i dary, z drugiejj śmierć mu stawiano, jeśli wiary Chrystusa dla Mahometa nauki nie odstąpi; on zaś jako rycerz chrześcijański wzgardził wielkością, uchwycił się śmierci. Zawiesili go więc Turcy przez pót na haku żelaznym nad odnogą morską ku Galacie idąc. Gdy tak na powrozie wisiął, pytali go się jeszcze czy uzna Mahometa? on zawsze Chrystusa wielbił. Po dwóch dniach prosił, żeby mu łuk z strzałami podano; i lubo zawieszony, kilku Turków zaibił: rozruszeni bisurmanie zaczęli także strzelać na niego ciskać; mówią że sam wielki Sultan Selim tę rzucił, która mu śmierć zadała. Turcy wyjęli mu serce, a dzieląc się niem pożywali je.

(*Niesiecki*).

koju przymusił. On zbił Omera Agę, wodza tatarskiego pokonał, Zbaraża dziedzicznego miasta obłączenie dzielnie wytrzymał. On tak był wspaniały, że co rok z dochodów własnych 180,000 złt. między rycerskich ludzi rozrzucił; a gdy raz na wykupienie dziesięciu rodaków z tatarskiej niewoli, nie stało mu już pieniędzy (bo więcej jeszcze książęcy był umysł jego niżeli majątek) sygnet ślubny, z skarbcu Zamoyskich mu dany, zdjął z palca, i oddał bez wahania; wiedział że wdzięczną mu będą za ten uszczerbek miłości dla sławy uczyniony. A kiedy już blizkim był skonania, pamiętasz jakie były jego słowa?—„O! czemuż na łożu z niekczemnej gorączki, jak podły nędzarz umieram? czemuż mnie nie ugodził w bitwie oszczep Tatarzyna? Opowiedzcie żal mój synowi... niech on przynajmniej umiera inaczej!“ A matką swoją wiesz kto jest? wiesz czyj żywot cię nosił? czyje piersi karmiły?—Zamoyskiej. O! zapewne nie zemnie wzięłaś twą skromność zbytęcną. Ów wielki Jan, ojciec ojca mojego, który ród nasz tak podniósł, wynioślejszych myśli od wnuczki swojej mieć nie mógł! owa żona jego Gryzelda, której imię mi dano, lubo synowica królewska, więcej królewskich uczuć nie miała: wzbudź więc i ty synu ducha twego, zrównaj go z twoją godnością; pamiętaj, że na wysokim stopniu podlejszą jeszcze słabość się wydaje: chwalebna jest skromność w pospolitych ludziach, ale w takim jak ty niewczesną. Kto na samym sobie nie polega, któż na nim polegać zechce? Zaufaj przecież raz sobie, połącz się z jakim panującym domem, choćby z cesarskim; staw się dzielnie panom i szlachcie; przymuś prymasa do żebrania łaski twojej; niech cię, broń Boże, żaden nie przewyższy poddany, a zwłaszcza ten chorąży, którego niecna żona nienawidzi mnie i ciebie, bom niegdyś przeciwną była jej związkowi z moim bratem; niewiasta rozumna i piękna, lecz chytra i przebiegła, swemu tylko narodowi życziwa, która patrzy z zawiścią na wyniesienie nasze, która tą jedynie

żyje nadzieją, że jój mąż a raczej ona kiedyś panować będzie: bo i w Janie Sobieskim obok męzkiego ramienia niewieścia jest dusza *). Wyrodziło się już dzielnych Polaków plemię! więcej dziś w białogłowach męztwa. Biada nam! ach biada!“...

Tu wzruszona umilkła; ale król Michał nie przerwał jój milczenia; znużonego drogą, zmęczonego jadłem, rozmarzonego trunkami, ukołysała mowa matki: usnął mimowolnie, sam niewiedząc kiedy, usnął jak najsmaczniej. — Na ten widok mocny rumieniec okrył twarz księżny, krew ledwie jój z oczu nie trysła. — „O Boże! — wyrzekła z boleścią—takiż to owoc wszystkich zabiegów moich! takie zwyciężenie! o my nędzni ludzie! Jakże często wysłuchując żądań naszych, srogo nas karzesz Panie?“

Kiedy tak skłoniwszy głowę gorzko dumiała, uchyliły się zwolna drzwi od komnaty, i słowa: *Czy wolno?* wyszły z ust jaśniejącej radością starościny. Opoiwszy, nakarmiwszy gości swoich, troskliwa o wywczas stryjenki i brata, odważyła się przerwać im rozmowę, chcąc do spoczynku nakłonić. Nie zadziwił ją wcale stan uśpiania królewski. „Niebożatko! — powiedziała zcicha, — już ci to dobrze po północy, kur piał dwa razy.“ A zwoławszy służebnych dworskich, zanieść go kazała z krzesłem do przeznaczonj mu sypialni; i nie odeszła dopóki go nie zobaczyła wygodnie leżącego na własném jój łóżku. Napół tylko ocknął się król Michał, i w śnie głębokim resztę przepędził nocy. Podobnyż sen ogarnął wnet wszystkich, i panów dworskich leżących pokotem w jadalnój izbie, i starościnę z córkami mieszczącą się na ten raz w ciasnój komorze, i całą pod-

*) Marya Kazimiera d'Arquin była najprzód żoną Jana Zamoyskiego syna Tomasza, wuja króla Michała; gdy w powtórne śluby weszła z Sobieskim w r. 1667, on był dopiero chorążym.

choconą służbę królewską w stajniach, spichlerzu i stodołach rozkwaterowaną, i zmęczoną czeladkę; jedna tylko księżna nie zmrużyła oka, nie położyła się nawet.

Kiedy nazajutrz wraz ze wschodem słońca, syn wszedł do niej na dobry dzień i pożegnanie, nie wyrzekła słowa o tém co się stało; chciał ją przeproszać za mimowolne uchybienie—nie dała; ale błogosławiła go z uczuciem. On zaś ucałował jej nogi, pożegnał się serdecznie z siostrą, dziękował za miły i wygodny nocleg, gościnne przyjęcie, siostrzenicę i wszystkich domowych udarował hojnie; synowi młynarza Raczka zaraz z sobą jechać kazał, a łzy rozczulenia mając w oczach wsiadł do powozu. Zostawił starośćinę uszczęśliwioną, długo o czém wspominać miała; długo opowiadać Raczkom, znaczniejszym mieszczanom, sąsiadom, księdzu proboszczowi, jak wszystko tego wieczora szło jej jak z płatka, jak się ciasta udały, nie przegotowały ryby, jak dobrze Marysia utrafiła bijankę, jak król brat rad był wszystkim, jadł i pił smaczno, a panowie dworscy jak byli weseli i podochoceni. Lecz w księżnie Wiśniowieckiej widoczna od téj pory zaszła odmiana: smutna, mało mówiąca, nie długo nawet w Kromołowie gościła; udała się do Warszawy a tam zamknięta w PP. Wizytek klasztorze, jedynie postom i modlitwie oddana, zdała się zapominać zupełnie że matką jest królewską: nie ucieszyła się tém nawet, kiedy jej w niedługim czasie znać dano, że syn jej poślubił sobie Eleonorę, córkę Ferdynanda III, a nim minął rok trzeci, zakończyła życie. Ubolewała nad jej oddaleniem i stratą dobra starościna; ubolewała niemniej nad niedolą i wczesnym zgonem króla Michała; ale jak wyniesienie jego nie miało wpływu na jej życie i szczęście domowe, tak i śmierć w niczém ich nie zmieniła. Jedyne odmiany, jakie zaszły w Kromołowie, kiedy brat jego dziedziczki zszedł z tego świata i z tronu, były te: Maciej Raczek wrócił do pytla, a wesele Anny z Stanisławem Tarłem, które długo

dla blizkiego pokrewieństwa przeszkód doznawało, jeszcze o sześć tygodni się zwlekło.

X.

L I S T Y

ELŻBIETY RZECZYCKIĘJ

DO

przyjaciółki swojej Urszuli ***

za panowania Augusta III pisane.

L I S T I.

Ze Lwowa, 8 Lutego 1753 r. w Piątek.

Zdarza mi się sposobność pisania do ciebie, złota Urszulko; opuścić jój nie mogę, ile że gdybyś tu była jakim cudem, miałabym dziś wiele do mówienia z tobą. W dziwném jestem położeniu: nie wiem czy się mam cieszyć, czy smucić? czy skakać, czy płakać? Rzecz jest taka. Przyjechali wczoraj do Lwowa państwo Podstolstwo, moi rodzice chrzestni i za dni kilka wracają na Ukrainę; ojciec mój prosił ich usilnie, żeby mnie z sobą zabrali, i oni przyrzekli mu to uczynić, jako dla kumy i dla sąsiada. Na pierwszą wieść wyjazdu z klasztoru, skoczyłam radośnie i klasnęłam w dłonie, ale potem ni ztąd ni zowąd łzy mi się zakreśliły w oczach. Prawda, zobaczę dobrą i kochaną matkę, ojca, siostrę, braci, długą podróż odprawię, nie będę zamknięta; w miejsce małego panien Dominikanek ogrodu, będę biegała po łąkach, po polach; ujrzę znowu piękną Granowa

okolice, sąsiadów, czeladkę naszą: jakże się tu nie cieszyć i nie podskoczyć? Ale z drugiej strony porzucę na zawsze przywiązaną ciotkę przeoryszę, która jakby drugą matką jest moją, tak mnie kocha, uczy troskliwie i pieści; porzucę tyle młodych panien tu do nowicyatu się gotujących, a które prawie wszystkie serdecznie polubiłam; porzucę pieaszoty zakonnice nadskakujących mi, jak zwyczajnie bratanice przeoryszy; porzucę to wszystko; i co jeszcze, przestanę się uczyć, a wiesz jaką mam niezmysloną do nauki ochotę i skłonność. Jakże się tu nie smucić i nie zapłakać? Już też w domu podobno i nie zobaczę książki. Pamiętasz, jaki ojciec ma wstręt szczególny do ksiąg i do pióra. Te trzy lata, które bawię w klasztorze, i uczę się nietylko samych robotek, ale i czytać, pisać, rachować, to matka na klęczkach uprosiła; i nie uczynił on tego dla jęj miłości, lecz przez wzgląd na swoją siostrę przeoryszę, która mnie koniecznie przy sobie mieć chciała, a którą on wielce poważa, bo starsza od niego. Ale co to było korowodów, nim on przystał na jęj prośbę, jak wiele listów ciotka pisać musiała, jak przedstawiać korzyści nauki!

„To brednie—mówił zawsze ojciec—co dziewczynie po tych subtelných robotkach, po wszelkiej nauce? niech ona umie prząść, szyć, kołaczę piec, koło gospodarstwa chodzić, to dosyć!“ A kiedy już znudzony zezwolił nareszcie, i gdym wyjeżdżała, zaklął mnie, żebym przynajmniej nie ważyła się uczyć po łacinie. „Kobieta mądra—powiedział wtedy—jest w moich oczach największą poczwarą; mniszki też z ciebie zrobić nie pozwolę, tego już na mnie przewielebna siostra nie wymoże. Nie do habitu moja czarno-brewa; ona musi jeszcze za mego żywota, bitnego pojąć wojaka: ja sam wyuczę wnuka jeździć konno po tatarsku! Dziewczyno! — dodał biorąc mnie obiema rękami za ramiona, (i jeszcze pamiętam jak mi surowo spojrział w oczy). Dziewczyno! jeśli

mi się poważysz otworzyć *Alvara* *) albo brewiarz ciotuleńki, to zobaczysz co cię spotka.“ Usłuchałam wiernie zakazu ojca! Namawiała mnie nieraz ciotka i inne zakonnice, żebym się uczyła po łacinie, namawiały mnie także, żebym została zakonnica; ale że mi dobrze tkwiły w pamięci słowa ojcowskie, słuchać nawet ich mowy nie chciałam; lubo ci się przyznam szczerze, że mnie nieraz brała pewna chęćka, nie do habitu, broń Boże! ale do łaciny. Ja lubię niezmiernie czytać, i nie dziwnego, żebym w każdej książce wszystko zrozumieć chciała.

Dawniejsze pisma polskie jako Skargi, Górnickiego, Kochanowskich, Fredry i innych, to rozumiem co do słowa, bo całe po polsku pisane; ale tych wszystkich co teraz i od kilkunastu lat piszą i drukują, to żal się Boże, głupiemu czytać: tak sadzą łaciną, że dojść składu i domyśleć się rzeczy nie można, tym którzy nie tak mądrzy jak oni. Ale wracając się do mego położenia, powiem ci, moja Urszulko, że gdyby nie żal po ciotce, po przyjaciółkach, po nauce, i nie bojaźń ojca, tobym się już serdecznie na powrót do rodziców cieszyła; mówią ludzie: *Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej!* ale tak, to raz na tę, raz na ową stronę się ważę, i dotąd nie wiem co się ze mną dzieje? Wiem jednak iż się cieszę, że państwo Podstolstwo kilka dni we Lwowie zabawia; w poniedziałek wielka uroczystość odprawi się w klasztorze, płakałabym miesiąc cały, gdybym od niej odjechać musiała. Donosiłam ci już, że tu od roku odprawia swój nowicyat znakomita rodem i cnotami pani, Leszczyńska z domu, dwa razy wdowa, raz po księciu Radziwille, drugi raz po księciu Wiśniowieckim, kasztelanie krakowskim, z pięcią królami złączona, powinowata najpierwszych

*) Pisarz, według zasad którego w owym czasie po łacinie uczono.

domów, przejęta nabożeństwem i pokorą chrześcijańską, postanowiła wyrzec się świata, bogactw, zabaw i zostać zakonnicej. W poniedziałek będą jęj oblóczyzny; już przygotowania robią, cały klasztor w ruchu, ciotka przeorysza ledwie w głowę nie zachodzi; będzie mnóstwo znakomitych osób, wielka parada: opiszę ci ten cały obrządek, a teraz bywaj zdrowa!

Dnia 13 Lutego, we Srodę. Spóźnił się jeszcze o dni kilka wyjazd państwa Podstolstwa, mego listu nie wzięto; dopiszę ci więc obiecane szczegóły wspomnianej uroczystości. Jużto nie dospałyśmy dwóch ostatnich nocy, tak było wiele do roboty, ale mi nic nie żal; i ciotka przeorysza pomimo wielkiego zatrudnienia, cały czas była dobrej myśli, gdyż niezmiernie się cieszy, że tak znakomita pani do jęj zgromadzenia przybyła. W samęj rzeczy, to blask rzuca na cały klasztor Dominikanek i na ród Rzeczyckich. Co to jest być przelożoną księżny! starszą od krewnęj pięciu królów!...

Oblóczyzny były wspaniałe, jeszcze jak żyję nie widziałam tyle światła, tyle pań, tylu panów, tak wiele klejnotów i bogactw. Cały prawie kościół był adamaszkiem wyłożony, a u dołu galony i frendzle złote; gdzie najmniejszy gzyszik, tam wszędzie były lampy, a świec jarzących tysiące. Tak wiele nastawiali światła, że się aż ciepło w kościele zrobiło, chociaż mróz był tęgi. O godzinie jedenastej przed południem, kiedy już wiele było ludu, przybył ksiądz arcybiskup lwowski, otoczony biskupami, kanonikami i licznym duchowieństwem, i zasiadł na tronie z umysłu dla niego suto przystrojonym. Wtém od furty wyszły kolejno trzy

panie bogato przybrane, a same księżne; niosły paradne poduszki, na nich mitry, znaki książęce, herby, krzyże dyamentowe; za nimi ukazała się wolno idąca sama księżna Wiśniowiecka; już nie młoda, ale poważna i miła; tak była bogato ubrana, że kapłało złoto z jój sukien. Syn jój zrodzony z pierwszego męża, książę hetman Radziwiłł, prowadził ją z jednéj strony, a pan Potocki wojewoda kijowski z drugiéj. Dwie wnuczki, jak aniołki paniątka, niosły długi ogon od sukni. Za nimi zaś wysypali się książęta, wojewodowie, kasztelany i mnóstwo urzędników. Szli tak przez cały kościół, przesłicznie było patrzeć; przechodząc mimo tronu arcybiskupa, księżna się zatrzymała i prosiła go o błogosławieństwo. Otrzymawszy, udała się na miejsce jój przeznaczone. Była sunna, którą sam arcybiskup odprawił, kapela precudna brzmiała na chórze, zdawało się że już w niebie. Nasz prowincyał miał bardzo długą mowę, co w niéj było—nie wiem, bom nie zważała, mając na tyle osób, na tyle rzeczy patrzeć, a osobliwie na przesłiczną świecę dyamentami nasadzaną, którą księżna przez cały czas w ręku trzymała. Po téj mowie, ksiądz prowincyał, ciotka przeorysza i druga jeszcze zakonnica, oblekli księżnę w zakonny habit. O! jakże dziwnie ta czarna suknia wyglądała po tych aksamitach i klejnotach? Dali jój imię Taidy: którém to imieniem wszystkim nazywać się każe, ale prawie wszyscy jeszcze księżną ją zowią. Po obłóczynach, gdy już wejść miała za klauzurę zakonną, stanęła, i wymówiła tak głośno, że wszyscy słyszeli, te słowa z Pisma Świętego: „Tu mój odpoczynek na wieki wieków, ten pokój obrałam sobie: w nim mieszkać będę!“ Weszła i zamknęły się za nią drzwi z trzaskiem; aż mnie dreszcz przeszedł...

W klasztorze witały ją i pozdrowiały wszystkie zakonnice, i ona zaraz następnie dała dowód posłuszeństwa. Chciała bowiem iść do kraty i pożegnać się z rodziną

i z przyjaciółmi, ale ciotka przeorysza widząc ją bardzo zmęczoną, iść nie pozwoliła. Usłuchała ją z pokorą, jako przełożonej, i poszła do swjej celi, która nie jest ani większą ani piękniejszą od innych, tylko tyle, że dosyć w niej jest książek, bo siostra Taida bardzo uczona. Moja Urszulko, we Lwowie kobieta uczona nie jest żadną nowiną: na tych obłóczynach, prócz samėj księżny było ich trzy; ale to co się zowie mądrych, bo nietylko czytają i piszą jak się zwyczajnie pisze, ale co one napiszą, to zaraz drukują; przypatrywałam się im tóż niezmiernie; przecież żadna nie wydawała mi się poczwarać: zupełnie tak wyglądają jak inne. Było ich więc trzy: księżna Radziwiłłowa, pani Niemierzycowa i pani Drużbacka. Powiem ci o każdėj co mi się słyszeć zdarzyło, bo wiem, że cię te szczegóły zabawią. Księżna Radziwiłłowa jest synową naszėj siostry Taidy, i bodaj czy jeszcze nie mędrsza od świekry. Umie wybornie po łacinie, w Piśmie Św., w prawach kościelnych i świeckich, niezmiernie jest biegłą; ma doskonałą znajomość wszystkich ustaw sejmowych: słowem, jest jakby mężczyzną w robronie i w kornecie. Jak byłam wczoraj na obiedzie u moich chrzestnych, to właśnie jeden z jój dworzan tam będący powiadał, że ma w swojėj bibliotece dwa tysiące dzieł, i że wszystkie przeczytała. O! moja Urszulko, jak jój tóż głowa nie pękła! Nie dosyć na tém; w Nieświeżu, gdzie ona wraz z mężem mieszka, jest teatr; grywają na nim tragedye, komedye, a ona je sama wymyśla i pisze, niektóre mają po siedem aktów: był jeden jegoś u państwa Podstolstwa, który mówił że trochę zawiele, ale dworzani utrzymywał, iż pomimo tego, te dzieła księżny Radziwiłłowej bardzo są piękne, i że musi koniecznie otrzymać od niój pozwolenie ogłoszenia ich drukiem.

Pani Niemierzycowej także co do nauki niczego; po-

dobno nie umie po łacinie, ale trzema innymi językami mówi, a najlepiej po francuzku; najwięcej też francuzkich książek czyta. Już dziesięć lat temu, wydrukowano tu we Lwowie jęj *Pieśni Duchowne*; ciotka przeorysza obiecała mi je dać; przetłómaczyła ona także z francuzkiego jakąś powieść: *Piękny Polak* czy *Polka*, ale jęj czytać nie będę; nie ma jęj ciotka: tam jest o miłości, a wiesz, że to rzecz niepotrzebna dla tak młodej jak ja dziewczyny, i zakazana w klasztorze. Teraz tłómaczy *Rady dla swojej przyjaćiotki*. Co pani Druźbacka, to mi się najlepiej podobała. Najprzód bardzo przyjemna, choć już stara, a powtóre, nie umie ani po łacinie, ani po francuzku, tylko sobie po polsku; ja zaś nie wiem czy z ojca, czy z siebie, ale wielką skłoność do takowych kobiet czuję. Wszyscy mówią, że ona lepiej i od księżny Radziwiłłowej i od pani Niemierzycowej pisze, że ich dzieła zaginą, a jęj wiecznie trwać będą. Ona pisze wierszami i nikt ją tego nie uczył, tylko tak sama z siebie; a powiadają, że to najlepiej. Opisała życie Dawida króla, wiosnę i wiele innych rzeczy; są jęj dzieła drukowane: muszę koniecznie je czytać. Teraz nic nie pisze i sprawami żadnymi trudnić się nie chce; osiadła w klasztorze w Tarnowie, i tam życia na modlitwie dokonać pragnie: do Lwowa na parę tygodni tylko przyjechała. Mnie się zdaje, że ją toby i ojciec polubił; bo też Bogiem a prawdą, ona nie jest mądrą, nie umie po łacinie.

Ale co ci powiem dziwnego, moja Urszulko: te obłóczyzny siostry Taidy, lubo takie paradne, zasmuciły mnie; już trzeci dzień się zaczął, a ja jeszcze słyszę jak się zamykają drzwi z trzaskiem za tą zakonnica: zdaje się, że ona już na wieki gdzieś w ziemię wpada. O! wdzięcznam bardzo kochanemu ojcu, że nie chciał pozwolić żebym mniszką została. Można być w klasztorze szczęśliwą, ale trzeba

mieć powołanie, którego ja jak widzę, nie mam wcale. Od tego też czasu, więcej nierównie się cieszę, aniżeli trapię moim wyjazdem. Niezawodnie za trzy dni nastąpi.

L I S T D R U G I.

Z Topolówki, 18 Marca 1753 r. we Wtorek.

Już niedługo będzie miesiąc jak jestem w domu u kochanej matki, droga moja Urszulko, i już mi nic nie żal klasztoru. Jednak wyjeżdżać bardzo mi było przykro. Ciotka rzewnie płakała, zakonnice, panny serdecznie się ze mną żegnały; tyle mi nadawały specyałów, upominków! musiało mi być bolesno. „Mój Boże!—mówiła ciotka załamując ręce—jam sobie pochlebiała, że nie wyjdzie mój wysoki urząd z Rzeczyckich imienia, że moja Elżbietka będzie kiedyś po mnie Dominikanek przeoryszą, a nielitościwy brat zepsuł moje szyki. Na co ci się przyda twoja umiejętność? mogłabyś być później ozdobą naszego zgromadzenia!... A jak mi tu będzie smutno bez mojej Elżbietki! kto mnie zabawi? kto mi posłuży?...” Kochana ciotka! Płakałam też i ja długo wsiadłszy do kolaski moich chrestnych; i w tej chwili dla tego jedynie żem pomyślała o tym wyjeździe, liter nie widzę, takie mi łzy stanęły w oczach. Przez kilka dni w drodze byłam smutna, bo też i droga była niegodziwa; z początku flagi, a potem nagle mrozy; ale im więcej zbliżaliśmy się do granic Ukrainy, tém mi lżej było na sercu: wjechawszy w wojewódzwo Braclawskie, zdało mi się że lepsze w niém jak gdzieindziej powietrze. Cóż dopiero gdym zobaczyła miłą Topolówkę, gdym stanęła przed domkiem naszym, gdym matkę ujrzała: zapomniałam o wszystkiém.

Wszystkich Bogu dzięki, w dobrém zastałam zdrowiu;

wszyscy mnie poznali odrazu, nawet Bidak pies nasz stary; mówili tylko wszyscy, że m bardzo urosła. O! i bracia i siostra niezmiernie urosli. Stanisław już ojca dogania, a Anulka głową tylko odemnie niższa. Najukochańsza matka zdrowiuteńka, zdaje mi się, że ją teraz daleko więcej niżli dawniej kocham i poważam; ale bom też i starsza, to się lepiej znam na dobrém. Nawet i kochanego ojca nierównie mniej się boję, i on też na mnie daleko łaskawszy. Lękał się cokolwiek, czy mnie ciotka gwałtem w klasztorze nie przytrzyma, i taki rad temu że m wróciła, że słowa łaciny nie umiem, iż się już o nabyte moje umiejętności nie gniewa. Owszem spodobały mu się podarki, którem mu przewiozła: woreczek na pieniądze z kolorowych jedwabiów ze srebrem, z herbem jego i cyfrą, i torbę myśliwską z sarniej skórki, zieloną siatką powleczoną; piekłam mu także już po kilka razy pieprzowe pierniczki, klasztornym sposobem, i bardzo mu smakują; a nawet od jakiegoś czasu, kiedy wieczorem wróci do domu i położy się przy kominie na ławie, to pozwala sobie powiastkę jaką albo wierszyki powiedzieć lub przeczytać. Najczęściej wtedy usypia; ale przebudziwszy się mówi zawsze łagodnie: „Bóg zapłać, moja dziewczeczko.“

Już mnie dwa razy zszedł nad książką i wcale nie łajał; jednak powiada, że mu się daleko miłszą wydają, kiedy mnie przy kądzieli zastanie, lub w czeladniej izbie z matką i z dziewczkami. Ja też niewiele czytam, piszę tylko tyle, żeby nie zapomnieć; prawie cały dzień mi schodzi na gospodarstwie i na robocie. Wstajemy o piątą godzinie, ojciec natychmiast klęka przed obrazem Matki Boskiej; my za nim, mówimy różaniec, potem dalej do śniadania; matka, ja i Anulka, jemy najczęściej polewkę piwną, ojciec z braćmi bigos hultajski, który wódką popija. Po śniadaniu każde idzie do swego zatrudnienia. Ojciec najczęściej gdzie jedzie, czasem pójdzie w pole, ja krzątam się z matką koło

domu, usługuję gościom na których nie zbywa; jednak w ciągu dnia, zawsze dopaść muszę książki albo pióra. Wieczór zaś wesoły bywa, jeszcze go jest godzin kilka; schodzimy się więc do czeladniej izby; przychodzą prządki ze wsi całej, matka i nam i im zadaje robotę: drzazgi i łuczywa się palą, a my przędziemy na wyścigi. Co śmiechu! co zabawy! więcej przez wieczór jeden, jak przez cały miesiąc w klasztorze. Matka i starsze prządki dziwne nam opowiadają rzeczy o strachach, o dawnych ludziach; jest jedna szczególna historia o *Mazepie*, hetmanie Ukraińskim, ta nie bardzo dawno się stała! Opowiem ci ją, jak się kiedy obaczmy, bo już ją z dziesięć razy słyszałam, a zawsze mnie bawi; często także śpiewamy sobie różne pieśni i dumy: nauczyłam się jednę bardzo smutną o *Morozie*. Był to wódz kozacki sławny w Ukrainie, bitny i waleczny, miał matkę i żonę, był bogaty, ale cóż? chcesz wiedzieć co się z nim stało? — przeczytaj:

D U M A

o

O MOROZIE KOZAKU.

Pasą się na stepach konie,
 Pasą się wesoło;
 Wino, miód, Kozaki piją,
 I płasają wkoło.

Mówią do Morozy żony:
 „Pij miód, wino z nami;
 „Idź do tańca, wszakeś młoda?
 „Nie siedź tak ze łzami!“

„Jakże ja mam iść do tańca!
 „Pić miód, wino z wami?

„Kiedy gdzieś tam mój Moroza
„Na wojnie z *Laszkami!*“ *)

I owóz Moroza z za gór
Przez głębokie jary,
Wyjeżdża ze swym poczem,
Koń go niesie kary.

Wyjechał — i głowę schylił,
Schylił aż do grzywy:
„Wszak tu *Laszków* wojsko stoi?
„Ach! ja nieszczęśliwy!

„Tam nad jarem, nad głębokim,
„Ich okopy, szańce;
„Nie ujdzie z nas żywa dusza,
„Albo pójdziem w brańce!“

Laszki Morożę zoczyli
Było to w Niedzielę;
Otoczyli go biédnego
I rokoszan wiele.

„Przedawajże trzody, stada,
(Pisze on do matki)
„Przedawaj cielice, woły
„I wszystkie dostatki.

„Przybywaj wybawić syna
„Z nieszczęśliwej doli!
„Wykupić go, on się dostał
„Do ciężkiej niewoli!“

Matka wyprzedaje stada;
Czuła litość matki!
Przedaje cielice, woły
I wszystkie dostatki.

*) Tak Kozacy zwykli nazywać Polaków.

Okup *Laszki* nie przyjęli,
 Bo innym na grozę,
 Jego skarać się uwzięli
 I stracić Morozę.

Ej! Morozo, Morozeńku,
 Ty sławny Kozacze!
 Ciebie bitnego mołodca
 Ukraina płacze.

Ale nie tak Ukraina,
 Jak twa krasna żona,
 Siedząc nad twoją mogiłą,
 W żalu pogrążona.

Prawda, Urszulku, że to smutna дума? codzien ją śpiewamy? Ale otóż macie; tyle rzeczy chciałam ci donieść, a widzę ojca wracającego z jarmarku i z gośćmi: biedz muszę dopomódz matce do ich przyjęcia. O! wiele ci mam o sobie i o domu prawić. Wkrótce znowu pisać będę.

L I S T T R Z E C I.

Z Topolówki, 2 Kwietnia 1753 r. we Wtorek.

Mam czas wolny, ojca w domu niéma, piszę więc co tchu do ciebie. Ty nic nie wiesz, moja Urszulko, że ja uchodzę za bardzo umiejętną w całym sąsiedztwie. Moja chrześtna najwięcej mi tój sławy narobiła; i właśnie wczoraj będąc u nas mówiła do mojej matki: „Walna dziewczyna z naszej Elżbietki; wiele ma wiadomości, zręczna, układna, nie poszła w las klasztorna nauka; ale to mi się nadewszystko w niej podoba, że się nie chełpi z tego co umie, nie zadziéra nosa, i równie jest potulna jak dawniej w do-

mu i z sąsiadkami.“ — Mój Boże! — pomyślałam sobie słysząc te miłe słówka — a jażbym się z czego chełpić miała? Uczyli mnie i umiem, wielka rzecz! moich sąsiadek nikt nie uczył i nie umieją; a cóż one niebogie temu winny? Wreszcie wieluż ja to rzeczy nie umiem? Siostra Taida, księżna Radziwiłłowa, pani Niemieryczowa, ciotka przeorysza, to mądre, one i po łacinie i po francuzku, i Bóg wie po jakiemu czytają i piszą; a przecież sama ciotka przeorysza mi mówiła, że są ludzie daleko od niej i od tych pań mędrsi. I ślicznieżby to były skutki nauki, gdyby ktoś dla tego, że cokolwiek uczony, zadzierał nosa, był hardy, nieusłuchany i pogardzał wszystkimi? Zapewne to takowych skutków umiejętności obawiał się ojciec, kiedy mnie nie chciał do klasztoru puścić, i słuszna była jego obawa. „W każdym, a osobliwie w kobiecie—mówiła często ciotka przeorysza — „dobroć sto razy więcej od nauki popłaca!“ żebym ja miała być złą i krnąbrną, dla tego że gładko czytam, nie źle piszę, trochę rachuję i wiele wykwintnych robótek umiem, tobym wołała wszystkiego zapomnieć a być dobrą.

Żebyś wiedziała, droga Urszulko, jaka ta Anulka dobra i wyśmienita, jaką jest matce pomocą, chociaż jeszcze i jednę literę nie zna. Ale przyznam ci się, że mnie to trochę korci. Jakoś nie dobrze, kiedy jedna siostra co umie a druga nic; i kochanej matce to przykro; ale zajęta przedziwem, nabiąłem, pasieką, czeladką, niema czasu dukwieć nad Anulką; wreszcie sama mówi, że już zupełnie zapomniała tego, czego ją kiedyś w domu rodzicielskim dyrektor nauczył, i żeby nie potrafiła nikomu pokazać jak czytać i pisać. Jużesmy między sobą ułożyły, że jak kiedy ojciec będzie dobrej myśli, będę go prosiła o pozwolenie uczenia Anulki. Święta wielkanocne nadchodzą, będę tak gorliwie matce pomagać do święconego, taki zrobię wyborny kołacz, ug nauki siostry Łucyi, szafarki Dominikanek), że

sobie zupełnie łaski ojca zaskarbię; i pozwoli żeby Anulka także czytać i pisać umiała, a wielką ma dziewczę do tego ochotę.

Ojciec teraz często jest dobrej myśli, dobrze mu się powodzi; właśnie ci o tém donieść jeszcze w ostatnim liście chciałam! Już nie na pana dzierżawcę, więcj na dziedzica patrzy; dom nasz zastałam nierównie zasobniejszy; przybyła, kanapa trypaną żółtą wybita, sześć takichże krzeseł, stół piękny jesionowy z klapami, dwie szafy w których ustawiona porządnie cyna gdańska; aż się lśnią ściany od mis talerzy i innych cynowych sprzętów; przybył także przesliczny zegar ścienny: za każdą godziną wychodzi kukulka, i ile jest godzin, tyle razy kuka; obadwa nasze wielkie sepety prawie pełne, po ścianach wiszą piękne zbroje, komora nie próżna; wódki gdańskiej nawet mamy puzderko i parę gąsiorków Wołoszyna; w piwnicy zawsze jest kilkanaście beczek miodu, wiśniaku i krupniczku czyli zaprawnej gorzałki.

Powiadam ci, moja droga, że jakeśmy na Najświętszej Panny Zwiastowanie na odpust do Granowa pojechali, było na co patrzeć. Ojciec na dzielnym koniu cisawym w rzęd pozłocisty przybranym, jechał naprzód z tęgą miną; miał kontusz popielaty z galonikiem srebnym, robotą u kołnierza z Tatarska, żupan różowy grodeturowy w kostki, pas złocisty; na to kireja zielona wilkami podszyta z potrzebami jedwabnemi; karabela miepospolita u boku, dwa pistolety w mosiądz oprawne za pasem, a na głowie czapka wysoka z siwym barankiem. My za nim w porządnój bryce krytej czterokonnój jechałyśmy żywo. Matka miała na sobie jubkę szafirową, siwemi barankami podszytą, kontusik i kołpaczak amarantowy z sobolem. Anulka i ja włożyłyśmy także na ten dzień nowe czerwone kuczbajki i kontusiki barankowe. A i braciom było niczego w nicowanych świeżo żupanach, w porządných czapkach i pasach. Wszy-

scy w domu Bożym mieli na nas oczy zwrócone. Mamy teraz i pacholka, ale nie takiego warchoła jak dawniej; ten bardzo porządnie ubrany, ma węgierkę z siwego sukna, potrzeby u niej zielone, guziki cynowe, kamizelka zielona, pas zielony rasowy. Ta barwa wisi zawsze na kołku w jadalnej izbie, ale skoro są goście, zaraz się w nią ubiera! i nie wiem czy jęć będzie miał na długo, bo jak ci już pisałam, na gościach u nas nie zbywa. Są jeszcze w komórze dwie hajduckie barwy; i jak już wielki jest zjazd, kładzie je pastuch i pacholek od koni: anibyś zgadła, że jeden dopiero z pola przygnany, a drugi przed chwilą gnój wyrzucił. Zdaje się, iż zawsze chodzą w tych sukniach, tak im przystały; ale co w usługach, niekoniecznie szykowni; przecież liczba służących choć takich, okazalszą postawę domowi daje; a miło na sercu, kiedy człowiek na większego pana wygląda, jak nim jest w istocie.

Pytałam się matki z kąd nas tak Pan Bóg obdarza? powiedziała mi że to najprzód ojciec, lubo nie bardzo gospodarstwem się trudni, i więcej facyami, sejmikami, niżeli rolą zajęty, przecież na dzierżawie trochę zarabia. Książę August Czartoryski wojewoda ruski, do którego cały klucz Granowski należy, pan dobroczynny i niezmiernie bogaty, na niską cenę folwarki swoje szlachcie wypuszczać każe, łatwo więc wyjść na swoje; a powtóre, ojciec miał zawsze wielkie szczęście do koni, i w tych leciech pięknej się dochował stadniny. Ma teraz jeden zaprzęg sześćcio-konny tak piękny i tak dobranej maści, że sam książę wojewoda pewnie niema piękniejszego; ma także kilku paradnych wierzchowców, jeden szczególnie gniady ze strzałką na czole, prześliczny! Królewicz mógłby się na nim przejechać. Prócz tych, ma jeszcze kilka ostatnich zaprzęgów, kilkanaście pojedynczych koni. O! nie mało szlachty przybywa do nas po te konie; jedni chętnieby dali pieniądze gotowy, drudzy zyczą sobie zamianę nabyć, ale wszyscy chcie-

liby tanio, a ojciec się droży, bo ma z czém. Nieraz tyle się ich nazjeżdża, że aż ciasno w naszych izdebkach; wrzawa straszna, klótnie, pijatyka; już od tego czasu jak ja do domu wróciłam, pękły cztery gąsiorzy krupniczku, miodu, prostej gorzałki coniemiarą; i nie możemy nastarczyć z matką pierniczków, kołaczy, wędlin i gęsi karmnych. Jużem teraz zupełnie do tych biesiad napowrót nawykła; w nich się wychowałam, ale przyzwyczaiwszy się przez trzy lata do klasztornej ciszy, z pierwszego razu dziwne mi się wydawały. Jeszcze się tak wydarzyło, że najpierwszy zjazd po moim powrocie był najburzliwszy. Było kilkunastu sąsiadów, między niemi pan Wojski, chciał nabyć owego gniazdego wierzchowca, i w układy z ojcem przy szklanicy wchodził. Ojciec przy pierwszym słowie obstawał, nic nie odstępował, a tamten nic nie chciał postąpić. Przyszło do przymówek i nareszcie pan Wojski poważyl się powiedzieć memu ojcu: „Waszmość targujesz się jakby żyd.“ Ledwie wywócił te słowa, kiedy mój ojciec powstał z ławy, węża zakręcił, pasa poprawił, rękawy od kontusza zarzucił, stanął w śródku izby, i zawołał groźnym głosem: „Pokażę ja natychmiast Waści jaki to żyd ze mnie!“ i to mówiąc wyzwał go. Silny, barczysty, wzrostu i mocy niezmiernej, pewna byłam że na miazgę pana Wojskiego zgniecicie; przestraszona uciekłam aż pod strych i nie wyszłam póki się nie rozjechali. Nie stało się przecież żadnej krzydy, przytomni pogodzili zwaśnionych, i nazajutrz ojciec mnie bardzo łąjał za to zem uciekła. „Otóż to takie — mówił do matki — owe zachwalone klasztorne wychowanie; śliczna z niego pociecha: tchórza mi zrobili z mojej czarnobrewej! „Dziwczyno! — rzekł do mnie — pamiętaj żeś szlachcica polskiego, żołnierza z pancernej chorągwi córka; jednej żyłki bojaźliwej nie powinno być w całym ciebie ciele twojem. Straszne rzeczy, że my tu biesiadujemy wesoło? Wiedz, że Polak podochoci sobie, przemówi się z sąsiadem, dobędzie kara-

beli, ale kobiety nie skrzywdzi. Nie uciekaj mi więc pod strych dziewucho, bo ja ci odwagi napędzić potrafię.“ I wtedy wyjął bat z zapasa, i pogroził mi nim.

We dni kilka był znowu zjazd, było huczno, a ja nie uciekałam i nic mi się nie stało. Odtąd zawsze dotrzymuję im placu, i właśnie onegdaj w Niedzielę, ojciec chcąc doświadczyć mojego mężstwa i dać dowód swojej zręczności, kazał mi wejść na stół, stać spokojnie, i strzelał do korka mego trzewika; trafił, a ja tylko tyle żem drgnęła. O! niesłychanie był kontent, wziął mnie obiema rękami za szyję, podniósł w górę, pocałował w głowę, i powiedział: „Już przecie zapomniała o klasztorze, już przecie znać że w niej polska i szlachecka krew płynie!“ I wzięwszy ustrzelony mój trzewik, wstawił w niego kielich, i wniósł prawdziwych Polek zdrowie. Pili wszyscy, i tyle prawili o mężstwie i odwadze babek i prababek naszych, że mnie aż chęćka do pałasza wzięła. Ale matka już mi się dwa razy pytała: „Cóż ty téj swojej Urszulce tak długo piszesz?“ Muszę jej te banaluki odczytać. Bywaj zdrowa!

L I S T C Z W A R T Y.

Z Topolówki, 11 Lipca 1763 r. we Czwartek.

Donoszę ci droga Urszulko, żeśmy wszyscy z łaski Pana Boga zdrowi; już bardzo dawno nie pisałam do ciebie, bom nie miała sposobności. Święta wielkanocne były paradne, gości bez liku. Drugiego dnia się zjechali, mieli wyjeżdżać nazajutrz, ale jakeśmy zaczęli molestować i prosić, bawili do Przewodniej niedzieli. O! była co się zowie hulanka! dogodziło się sercu mojemu, bo było czém często-

wać i kogo. Ojciec wyciągnął z komory puzderko gdańskiej wódki; wysączyliśmy sześć flasz co do kropli; wydobył i Wołoszyna z piwnicy: to takie słodkie i dobre winko, że i my dziewczęta jakieśmy zaczęły go kosztować wieczorem, sen nas zmorzył i spałyśmy czternaście godzin jednym ciągiem. Było też huczno i wesoło; jeszcze mi nogi drgają jak sobie wspomnę!

Nasz domek niekoniecznie obszerny; cztery tylko mamy izby: sypialna, bawialna, jadalna i czeladnia, alkierz i komorę; w każdym też kąciaku pełno było. Rodzice ustąpili starszyźnie sypialnej komnaty i łóżek, a reszta gości i my, spaliśmy w drugich izbach na ziemi pokotem. Słomy nam nanieśli, kilimkami i skórąmi przykryli; i nasz król August nie śpi tak smaczno w swoich niemieckich pierzach, jak my smacznie spali. Świącone było wyborne i obfite; mój kołacz wielki jak stół karczemny, udał się wyśmienicie; we środę świąteczną już nie było i okruszyn z niego. Ojciec niezmiernie był kontent, i jak się goście rozjechali, i dom nasz cokolwiek do porządku wrócił, pozwolił mi uczyć Anulkę; ale dawszy to pozwolenie powiedział do niej; „Dziewczyno! zgadzam się wreszcie na to, żebyś się uczyła; ale żebyś mi przy tej nauce nie zarzucała gospodarstwa, bo natychmiast wszystkie książki i pióra popalę. Zapatruj się na siostrę, jak ona, czytajże już i pisz, kiedy taki nowy nastał teraz obyczaj, ale jak moja czarnobrewa, nie leń się do pracy.“ Skłoniłam się ojcu do nóg za te słowa, aż mi się coś w sercu rozśmiało; a on jeszcze pogłaskał mnie po twarzy, i kochaną dziewczką swoją mnie nazwał: wtenczas też zapłakałam, alem wybiegła co tchu z izby i przemyłam sobie oczy u studni, bo ojciec nie cierpi kiedy kto płacze; powiada że to znak słabego serca, a takiem polskie i szlacheckie być nie powinno.

Anulka uczy się bardzo chętnie, już całe abecadło poznała i zaczyna dobrze litery składać; dziwnie mi miło

ją uczyć! szkoda tylko, że mało mamy książek, uczy się na kantyczkach. Przewybornie dnie spływają, a tak prędko, że się i obejrzeć nie ma czasu; nie dawnośmy sieli, a wkrótce wypadnie myśleć o żniwie. Wprawdzie nie modłę się tyle co w klasztorze, nie tak często mszy słucham, ale matka mówi, że zarówno chwale Pana Boga, bo nigdy nie próżnuję, i złego jak ognia się strzegę. I tu jak w klasztorze Pan Bóg na mnie patrzy; i na naszych ścianach popisane są te słowa wielkimi literami. Nieraz jak jestem w izbie, spojrzę na to pismo, to choćbym miała co złego zrobić, daję pokój. Wczoraj naprzykład dziewczucha nasza Zofka tak pomotała śliczne nici na pończochy, że strach było patrzeć. Matka mi je dała do rozplątania; byłam sama, zaczęłamże się niecierpliwić, szarpać, ciągnąć ów mot iędny, i plątać go jeszcze gorzej. Wtém, przypadkiem spojrziałam na ścianę i przeczytałam te słowa: „*Pan Bóg na nas patrzy.*“ Upamiętałam się natychmiast, zaczęłam zwijać pomału i uważnie, i doszłam do ładu.

Od niejakiego czasu więcj mam chwil wolnych, bo sąsiedzi już rzadzėj nas odwiedzają; każdy w domu siedzi gospodarstwem zajęty: urodzaje będą wielkie w tym roku. Ojciec się zawczasu troszczy, bo trzeba będzie kopać nowe doły do chowania zboża, a wszystko na gorzałkę nie potrafi wypalić. I owoców będzie mnóstwo; cieszę się na nie, osobliwie na czereśnie, bom do nich we Lwowie nawykła, i na śliwki Darmanckie, których jest kilka drzew w naszym sadzie. Ojciec je sam pielęgnuje, gdyż to owoc rzadki, pierwszy raz obrodził tego roku. Od ciotki przeoryszy raz tylko miałam wiadomość, zdrowa, ale pisze że jēj niesłychanie smutno bezemnie, i żeby mnie rada widzieć znowu w klasztorze. Ja jēj tego nawzajem napisać nie mogłam, bo chociaż ją kocham serdecznie, bardzo mi w domu wesoło, i za góry złota nie odjechałabym już od rodziców. Siostra Taida jak ciotka donosi, zupełnie szczęśliwa z obra-

nego stanu; nie światowych wielkości i zabaw nie żałuje, a pokorą, posłuszeństwem i pobożnością, zbudowaniem jest całego zgromadzenia.

I my tu bylibyśmy zupełnie szczęśliwi, ale od kilku dni mamy pewien kłopot. Ojciec mówi że niesłuszny, ja się jednak cokolwiek turbuję, bo matka nim wielce zafrasowana. Straszą nas hajdamakami: jest to zgraja hultajów, łotrów, zbiegów, Bóg wie nie zkad, którzy już od niepamiętnych czasów na granicach Ukrainy po stepach się kryją i żyją jedynie kradzieżą i łupieństwem. Coraz bliżej ku naszym stronom podchodzą; łączą się z niemi w wielu miejscach, chłopci tak hardzi jak wiesz w tej krainie, i razem z niemi domy pańskie i posiadłości palą, rabują, pustoszą a nawet czasem samych panów zabijają. Mówią o kilku takich przygodach, truchlejemy z matką; ojciec i bracia nie każą nam wierzyć tym wieściom, a wreszcie mówią, że nas obronią. Jeszcze wczoraj, przy wieczerzy matka błagała ojca, żeby pozwolił wywieźć do Winnicy kosztowniejsze rzeczy, i sam przeniósł się tam z nami na czas jakiś; kiedy mu przedstawiała, że jest niepodobieństwem, ażeby on z kilkoma ludźmi od tej hołoty nas obronił, powstał na nią z okropnym gniewem i zawołał: „Cóż to kobieto! zapominasz że ja Polak, że ja żołnierz pancernej chorągwi; mam jeszcze nad łóżkiem mój kaftan żelazny, mam całą zbroję, mam szablę, mam nawet łuk i sajdak ze strzałami, których już mało u kogo ujrzeć można; ramiona też nie dla kształtu noszę, a ta ręka nie jednemu dała się we znaki. I ja miałbym umykać z mego domu przed tą nędzną hołotą? Ja szlachcic polski! A wiesz waszmość co to jest szlachcic polski? Ja mogę być obrany posłem, rzeczypo-spolitęj sprawy urządzać, jednem słowem cały sejm rozerwać, a co więcej, mogę być sam królem. Taki dobry Rzeczycki jak Sobieski, a lepszy pewno od Wiśniowieckiego. Nie doczekasz się Waś, żebym ja przed kim zmykał; ja

nie przy kądzieli, ale w obozach wychowany; gromiła dobrze Szwedów ta karabela, da radę tym łotrom. Niech tylko zajrzą do naszej wioski, zobaczą jak ich przywitam!“ Kiedy sobie przypomnę te słowa ojca i tęgą jego minę, nabieram odwagi: i żeby się tylko matka nie bała, jabym wszelkięj zaniechała bojaźni.

L I S T P I Ą T Y.

Ze Lwowa, 18 Października 1753 r. w Piątek.

O! moja Urszulko! jakże cię ten list i zadziwi i zmar-twi. Jakież o kropne Pan Bóg zesłał na nas nieszczęście! Ojciec, kochany mój ojciec nie żyje! zginął, a jeszcze jakim sposobem! Te łotry, ci niegodziwi hajdamacy, zabili go! Właśnie dziś dwa miesiące jak się to stało, a mnie się zda-je, że to wczoraj, bo jeszcze mam serce wskroś żalem prze-jęte. O! kochany ojczel! czemużeś przynajmniej nie zginął w bitwie jakiej z nieprzyjaciołmi ojczyzny, nie zdawałby nam się zgon twój tak srogi; nie byłaby twoja żona taką wdową, twoje dzieci takimi sierotami, bo znalazłaby opiekunów w królu, w hetmanach: byłaby chwała, pociecha: nie byłoby żalu do nikogo za śmierć twoją. Ale tak żal jest do sa-mego ciebie, jest chęć zemsty w dzieciach, a nie wiedzieć na kim jęj poszukiwać, gdzie tego zbójcę żyda wysledzić, tych łotrów dogonić, jak poznać tego, który cię tą bezecną pałką ugodził!...

Wybacz mojej boleści, kochana Urszulko, sama nie-wiem jakie słowa pióro moje kreśli; jeszcze dotąd o tém nieszczęściu spokojnie myśleć nie mogę: będę jednak się starała opisać ci porządnie wszystkie jego szczegóły. Do-

nosiłam ci, że nas straszą hajdamakami, a ojciec nie chce tym wieściom wierzyć; tymczasem codziennie się pomnażały; nareszcie dowiedzieliśmy się, iż w samym województwie Braclawskim o dziesięć mil od nas, ci hultaje wpadli do wsi jednej, zupełnie ją spalili, zabiwszy pana i żonę jego; przelękniona matka uprosiła ojca, że jej pozwolił pieniądze i co było w domu droższego zakopać w sadzie, i żeśmy nigdy nie nocowali we wsi. Przed zachodem słońca wynosiliśmy się wszyscy w pole, codziennie w inne miejsce; ojciec z braćmi, z bronią, z końmi i ludźmi gdzieindziej, matka z nami dwiema i z czeladką gdzieindziej, tak nawet, że jedni o drugich nie wiedzieli. Okropne to było życie! Wniwecz się obrócił porządek cały: ani ładu, ani składu, ani roboty, ani nauki, ani wesołości; trwoga sama i niespokojność; nie sypiałam nawet dobrze. Ileż razy, kiedy wiatr długimi liśćmi trawy zaszeleścił, kiedy zając przebiegł, myślałam że już hajdamacy napadają! śmiertelne poty występowały na mnie, a całując szkaplerze, polecałam się Najświętszej Panny opiece.

Już matka nie chcąc nas tak dłużej poniewierać, chciała odwieźć mnie i Anulkę do znajomych swoich do Winnicy, kiedy jednej nocy słyszemy nagle w niejakiem oddaleniu gwar straszny; tentent i rzenie koni, szczęk pałaszów, huk samopałów, świst kańczugów, razy pałek, krzyk, jęk, wrzawa, wszystko to razem obiko się o nasze uszy. Już nie było można wątpić, że najechali hajdamacy. Matką biedzą chciała ratować ojca, lecz nie uszła i dwóch kroków, padła; ja z siostrą nie miałam nawet siły się podnieść, wszystkie trzy i czeladka koło nas będąca, straciliśmy przytomność, i dopiero pierwszy brzask dnia wrócił nam zmysły. Wkrótce podstarości, z kilkoma parobkami, wszyscy zbici i pokaleczeni, przywlekli się do miejsca gdzieśmy byli. Matka spostrzegłszy ich, zawołała: „A mąż? a synowie?“ a nie odbierając odpowiedzi padła znowu jak bez duszy;

przyszła wnet do siebie, gdy jój podstarości powtarzał, że żyją paniątka; ale o ojcu już nie wspomniał... Ojca już nie było!...

Właśnie téj wiosny, ojciec wybił żyda pachciarza za oszustwo, brodę mu ogolić kazał i ze wsi wypędził; ten mszcząc się, poszedł do zgrai tych łotrów i podjął się naraić im gracką zdobycz i hulankę; nie przepomniał o piękném stadzie naszym, o paradnym zaprzęgu, o ślicznym wierzchowcu, o domu zasobnym, o pełnych sepetach, cynie gdańskiej, porządnych sprzętach i rzadkiej broni; słowem, namówił ich, żeby na Topolówkę napadli, pana dzierżawcę tego zbili, cały dobytek mu zabrali, a on żeby z tego skorzystał. O niecnota! żeby przynajmniej tego łotra złapać można, ale tak uciekł, że ani śladu. Onto znając wybornie całą okolicę, wyszpiegował miejsce, gdzie na tę noc ukrył się był ojciec, doprowadził do niego tych hultajów, a sam zwyczajnie jak żyd, zemknął. Stało się nad żądania jego! Ojciec skoro napadniętym został, tak się bronił dzielnie, że przez czas jakiś kilkunastu się opierał, dwóch śmiertelnie zranił, każdego ugodził; lecz napróżno pomagali mu bracia, napróżno zasłaniać go chcieli, sami kilkakrotnie ranieni, czuli że tracą siły; i kiedy Stanisław połą od żupana okręcał sobie szyję z której krew się lała, jeden z tych łotrów ugodził ojca w głowę pałką; padł natychmiast, bełkotnął słów kilka, zapewne o Bogu, o swojej hańbie, o nas, jęknął i skonał... Obaczywszy to hajdamacy, zlekli się i do ucieczki zabierać się poczęli; gonili ich bracia z podstarościm i z ludźmi, ale znękani bólem i żalością, dogonić ich nie mogli; tymczasem jeden ich oddział zabrał stadninę, broń, rzeczy wszystkie które przy ojcu były, a drugi zrabował dom nasz do szczeru; zabrali wszystko co do nitki, a czego wiaść nie mogli, to porąbali, popsuli. Szukali oni i nas, ale rzecz szczególna! żyd choć wiedział gdzieśmy były ukryte, nie chciał wydać, bo matka która tak jest dobra,

że nawet dla żydów ma litość, raz jego żonę lekami swemi z niebezpiecznej choroby wyprowadziła, i on jęj to pamiętał. Dowiedzieliśmy się tego wszystkiego od jednego z łotrów, którego żywym na placu bitwy zastali; ale szczęściem dla niego, we dwa dni umarł, wszystkie sakramenta przyjąwszy.

Wystaw sobie moja droga Urszulko, co się z nami działo. Widać że boleść nie zabija, kiedyśmy ten cios przeżyły. Pomimo ciężkiego żalu, matka opatrywała sama ciało ojca, chcąc dojść jakiego śladu życia, ale napróżno, już oddał ducha Bogu. O moja złota! żebyś stu lat doczekała, nie zapomnę nigdy tego ciała bez życia, téj głowy zsiniałej i rozstrzaskaniej, tych oczów wyszłych z miejsca, tych rąk pokaleczonych. Jeszcze mi się co noc wydaje, że przychodzi do mnie ojciec skrwawiony, słyszę jęki, widzę rany; jeszcze co noc powstaje drżąca z mego posłania, budzę Anulkę, z którą w jedném łóżku spiam, i mówimy razem pacierz za duszę ojca... A bracia! bracia! jak okropnie wyglądali! O życiu Franciszka wątpiliśmy dni kilka. O! już nigdy nie umrę, kiedyś wtenczas nie umarła. Ale nie tu koniec nieszczęść naszych. Matka jak wiesz, zakopała w sadzie pieniądze i co było w domu droższego; była tam i beczka miedzi, którą dla mnie na wiano uciułała, i półbeczek dla Anulki, nie tyle się trapiła okropną na majątku szkoda, pewną będąc, że jako tako biędę połata; ale kiedy na kosztą pogrzebu ojca, poszła do sadu odkopać te rzeczy, nic a nic nie znalazła. Zostaliśmy więc ogołoceni do szczętu. Dzierżawa od roku płaconą nie była, bo ojciec oglądał się zawsze na sprzedaż koni; na ten rachunek zaciągnął także tu i owdzie dłużków nie mało, jeszcze więc mniej jak nic zostało.

Cieszyli matkę przyjaciele i sąsiedzi, którzy hurmem nas odwiedzali, tém, że dziedzic, książę wojewoda, panem jest miłosiernym i sprawiedliwym; ale ten dziedzic może

o sto mil był wtedy, w jakichciś dobrach swoich w Puławach, a tymczasem bliższy komissarz granowskiego klucza, dokuczył nam srodze. Skoro się dowiedział o śmierci ojca, przysłał natychmiast pachółków z rozkazem, żeby matka zaraz zapłaciła roczną dzierżawę, i ustąpiła ze wsi, bo już ma innego dzierżawcę, marszałka ostatniego sejmiku. Biedna matka odpowiedziała, że ustąpi, ale zapłacić nie może. A kiedy prosili za nią przyjaciele i sąsiedzi, on im odpowiadał, że nie ma żadnej przyczyny być litościwym dla pani Rzeczyckiej: mąż zabity, synowie niedorostki, cóż z nich przyjdzie księciu wojewodzie? Ale wszyscy mówią, że on nie dobrze o swoim panu trzyma, bo on nie taki jak inni panowie, którzy tylko dla pozyskania stronników dobrze szlachcie czynią; on nie swego, tylko ich patrzy interesu. Ale jakkolwiekby, komisarz chciał matkę do sądu pozwać, jeżeli choć połowy należytości nie złoży. Nie wiem coby się było stało, gdyby sąsiedzi nie byli zaręczyli za matkę. Rodzice moi chrzestni i ten sam pan Wojski, który od czasu owój kłótni z ojcem, zawsze z nim był na bakiem, ofiarowali nam w swoich domach przytułek, ale matce tak zbrzydła Ukraina, tak wszędzie nowej tych łotrów napaści się boi, tak wreszcie zbliżyć się pragnie oddawna do Przemyskiej ziemi, gdzie się rodziła, że byłaby chciała ptakiem z tamtych stron wylecieć. Sprzedawszy więc niektóre z pozostałych manatków, któreśmy same wyratowały, zebrała trzysta tynfów, zapłaciła niektóre pilniejsze długi a z resztą i z nami dwiema ruszyła do Lwowa, szukać u ciotki przeoryszy schronienia.

Już parę niedziel jesteśmy w klasztorze; kochana ciotka bardzo nam rada, chociaż się serdecznie spłakała nad śmiercią brata i nad smutnym naszym losem. Mamy osobną naszą izdebkę. Drugie zakonnice dosyć łaskawem okiem na nas patrzą. Przychlebiam się im też jak mogę. Nie jest nam wesoło, nie jest nam w setnej części jak było w domu, ale

przynajmniej cicho i spokojnie, i nie bojemy się niczego. Bracia zostali na Ukrainie, Stanisław bawi przy moich chrzestnych, Franciszka napał się koniecznie pan Wojski; wszyscy i tam i tu matce radzili i radzą, żeby się udała prosto do samego księcia wojewody: on pewno zlituje się nad jej niedolą, rok ten dzierżawy daruje, da sposób spłacenia dłużków i dalszego życia.

Nie wiem czy wiesz, kochana Urszulko, że brat mojej matki jest *szatnym* *) przy tym księciu; przez niego więc poskarży się na komisarza, o sprawiedliwość i zlitowanie prosić będzie. Już pisała wczoraj do niego, a raczej ciotka przeorysza za nią napisała. Kochana matka! jedyną jej pociechą teraz jest myśl, że bawiąc w klasztorze czas zapewne dosyć długi, i ja i Anulka poduczmy się lepij wszystkiego. Ile ojciec ksiąg nie lubił, tyle w nich smakuje matka; musi mieć to upodobanie od rodzica swego, który bardzo chętnie czytał i pisał. Miał on nawet zwyczaj — wielu dawniej, a podobno i dzisiejszej szlachcie wspólne — wpisywania w wielkie księgi cokolwiek za czasów jego napisano lub powiedziano z rzeczy ważniejszych; i to rok po roku. Zostało po nim dwie księgi takowych pamiątek i te matce się dostały. Ma je dotąd; uszły rąk hajdamaków, bo jak relikwii ich strzegąc, zawsze je ma koło siebie. Jest tam wiele ciekawych rzeczy, niektóre czytać matka mi pozwala; różne mowy sejmowe, listy, paszkwile, wiersze; szkoda tylko, że i do nich łacina się wkręciła: nie wszystko czytać mogę, a i tego co czytam, często nie rozumiem. Kochana matka chcąc się rozerwać, wolnego czasu w klasztorze używa, na przypomnienie sobie dawnych umie-

*) Szatnym zwał się ten, który miał dozór nad sukniami i sprzętem pańskim; kiedy był szlachcicem i po polsku chodził, wtedy miał rangę między ofycyalistami. Obcych, lub w francuzkim stroju się noszących, zwano *kamerdynerami*, i już należeli do liberyi.

jętności, i już zaczyna gładko czytać w tych rękopismach. Łacinę ciotka przeorysza nam tłumaczy, i nie jeden wieczór zszedł nam mile przy tém czytaniu. O! ciotka! ciotka! jak też rada temu zem ja do klasztoru wróciła! już mi zaczyna w tém przedstawiać zrządzenie jakieś Boskie: „Kto wie—mówi ona—czy Pan Bóg nie objawia tym sposobem swoją woli, żebyś zakonnica została?“ Widzę w jej słowach i matki życzenia, lubo zawsze powtarza: że jedno tylko szczerzejniejsze powołanie przynaglic nas może obie do pójścia wbrew woli ojca, który tak stale nie chciał mnie widzieć mniszką. Ja tak jeszcze jestem strapiona, przejęta, znękana, nie swoja; sama nie wiem czego mam żądać? Będę się szczerze modliła do Trójcy Świętej, będę słuchać matki, a Pan Bóg wszystko na dobre obróci. Oby tylko matka zdrową była! te kłopoty dużo ją zmęczyły. Osiwiała prawie zupełnie, a dotąd czarne jak kruk miała włosy; z dziesięć lat przez parę miesięcy jej przybyło.

L I S T S Z Ó S T Y.

Ze Lwowa, 23 Listopada 1753 r. w Sobotę.

Jużeśmy przecie weselsi, kochana Urszulko; Pan Bóg łaskaw na nas sieroty: matka zdrowsza, lepiej wygląda, ja spokojniej po nocach sypiam, już nie budzę Anulki, nie widzę tak zawsze ojca przed oczyma, a kochana ciotka codzień dla nas lepsza. Kto wie czy to już taka wola Boska, żebym ja zakonnica została; cały klasztor zacząwszy od ciotki zgadza się na ten wniosek, bo posłuchaj tylko co mi się onegdajszéj nocy śniło. Śniło mi się, zem była niby w Topolówce, niby w klasztorze, niby w izbie, niby w lesie,

a raczej w mieście czyli też w ogrodzie. Długo szłam z matką i ciotką, ale niewiedzieć jakim sposobem straciłam je z oczu; dogonić i znaleźć chciałam a nie mogłam. Wiele napotykałam ludzi, wszyscy na mnie tylko patrzyli, a ja nie byłam dobrze ubrana. Czasem zdawało mi się, że niby widzę habit ciotki przeoryszy, ale wkrótce znikał. Przechodziłam przez różne domy dla skrócenia drogi, widziałam wiele naczyń srebrnych bardzo do naszej cyny gdańskiej podobnych, słyszałam zegar zupełnie tak bijący jak nasza kukułka; w jednej stajence nadybałam na konia, był to niby nasz wierzchowiec, ale tylko o dwóch nogach; nareszcie zaszłam niby do jakiegoś lasku: patrzę, a tu na ziemi jagody rosną, a za jagodami strumień, a za strumieniem ksiądz jakiś; zerwałam parę jagód, zjadłam, a chcąc przejść strumień po kładce, spojrzałam w niego, zobaczyłam siebie lecz z siwemi zupełnie włosami: zdziwiona, krzyknęłam, obudziłam się.

Przy śniadaniu opowiadałam ten sen ciotce, aż się zaczerwieniała z radości; bo jak piszą w senniku: widzieć naczynia srebrne i godziny bijące słyszeć, znaczy stan odmienić; konia spotkać o dwóch nogach, to jest wielkie wyniesienie; zbierać jagody, to samo co wielkiego nieprzyjaciela pokonać; włosy zaś siwe u siebie zobaczyć, znamionuje urząd wysoki. A do tego ten habit, ci ludzie, ten ksiądz, czyż nie oczywiście mówią, że wejdę w stan duchowny? Tym nieprzyjacielem jest — mówi ciotka — ta skryta chętką zabaw światowych, która mnie od tak świętego powołania odwodzi; a urząd wysoki, godność przeoryszy, którą kiedyś piastować może będę. Zupełniem przekonana, i doprawdy, że mi się zaczyna podobać życie klasztorne. Zbawienie pewne, cicho, spokojnie, o nic głowa nie zaboli, robota żadna nie nagli; niektóre zakonnice sprzeczne, to prawda czasem strasznie się kłócą, bo często od plotek cały klasztor się trzęsie, ale która lubi pokój i chce go, to go i ma.

Siostry Taidy naprzykład jakby tu nie było. Schodzi się z innymi na naznaczone godziny do chóru, do refektarza, odwiedza prawie codziennie ciotkę przeoryszkę, zresztą siedzi sobie w celi, czyta, pisze, modli się, robotki robi, nie wie o żadnych plotkach, i mówi, że jak żyje, tak szczęśliwą nie była.

Szczególne się też tego lata zdarzyło względem niej zjawisko, i przydało jej dziwną zaletę w oczach całego zgromadzenia. Przed oknem jej celi, w ogrodzie klasztornym urodziła się lilja biała nadzwyczajnej wysokości; łodyga jej spłaszczona jakby deska, na wierzchu sześćdziesiąt siedm kwiatów wydała, a zapach nierównie był od pospolitych lilji piękniejszy. Uważają to wszyscy za dowód jako Pan Bóg przyjmuje mile jej śluby. Może kiedy przed nią całą jeszcze piękniejsza lilja wyrosnie? Cobądź, jej szczęście i swoboda bardzo mnie do habitu zachęca. Kiedy ona, księżna i tak wielka pani, może żyć bez zabaw światowych, czemużbym ja biedna dziewczyna obejść się bez nich nie mogła? I Anulka ma do klasztoru ochotę, ta jej chęć mnie zachęca; byłybyśmy zawsze razem. O! gdybym tylko wiedziała czy dusza ojca gniewać się na mnie nie będzie? ale skoro matka zezwoli, czegożbym się bać miała? Ona jest mi teraz i matką i ojcem. A wreszcie okoliczności rzeczy zmieniają, jak mówi ciotka. Dawniej było wiano, był ojciec, to wojak chętnie byłby się posunął; ale teraz kiedy hajdamacy wszystko zabrali, i ojca nie ma, trudniejsza będzie sprawa; a w klasztorze chleb do śmierci pewny. Od wuja jeszcze odpowiedzi nie ma.

L I S T S I Ó D M Y.

Ze Lwowa, 21 Grudnia 1753 r. w Niedzielę

Droga Urszulko! zmieniło się wszystko. Sen mara, Pan Bóg wiara,—i dobrze się stało; jednak gdzie niema woli ojca choćby i zmarłego, tam zapewne i woli Boskiej niema. Już nie będę ani zakonnica, ani przeorysza; będę wcale czém inném: posłuchaj. Był odpis od wuja. W nim pisze, że książę wojewoda tak jest sprawiedliwy i dobry, że niezawodnie skoro się dowie o niedoli naszój, nagrodzić każe matce jój straty i krzywdy, i wróci ją do dzierzawy; ale jak ciotka mówi, z wujaszka dobrodzieja cały dworak. On pisze, że dla rodzzonego ojca nie poważyłby się powiedzieć co wbrew księciu wojewodzie, na komisarza klucza granowskiego; bo książę pan, wielkie w tym człowieku położył zaufanie; ale dodaje, że będąc sam dosyć dobrze widziarny od księżnej Imości, ma nadzieję wyrobienia u niój, iż mnie w liczbie swoich panien dworskich pomieści. Wystaw sobie Urszulko, ja będę panną dworską u tak wielkiej pani; to lepiej jak zakonnica... Może wreszcie nie lepiej dla zbawienia; droga cnoty u dworu ma być bardzo śliska... Ale pamiętam, że ksiądz Skarga, ten mąż taki mądry i pobożny pisze: *W każdym stanie zbawionym być można, byle kto chciał szczerze*; jakoż pisząc Żywoty Świętych nie o samych zakonnikach mówi. Święta Anna miała męża; a! i święta Elżbieta patronka moja miała męża i syna. Bez wielkiego więc strachu udam się do dworu; na tój śliskiej drodze rękami i nogami trzymać się będę; przy pomocy Boskiej nie upadnę, i tём większą załugę pozyskam: kochana matka wcale nie od tego; ale bo tём i wujaszek Dobrodziej bardzo jój córeczce pochlebił. Oto masz kawałek z jego

arkuszowego listu; jak pisma i mowa wszystkich dzisiejszych mądrych ludzi nastrzępiony jest łaciną. Ciotka przeorysza nam ją wytłómaczyła. „Elżbietka—pisze on—jak mi *vox populi*— to ma być *głos ludzki*— donosi, dobrze się zowie *Rzeczycka*, bo jest panna wcale do *rzeczy*, posiada wysokie umiejętności; zatém wpaść może *in favorem*—czyli *w łaski*—księżnej pani; a ztąd lustr padnie na jój ród cały...”

Tak wiele sobie nie obiecuję; ale to być bardzo może, że jak raz będę przy księżnie, sprawa matki łatwo dobry obrot weźmie; zdarzy się niezawodnie sposobność opowiedzenia jój całej naszej niedoli; ona to powtórzy księciu wojewodzie, albolitéż zajmie się sama polepszeniem losu matki: naprzód, że klucz granowski ona księciu w wianie przyniosła; a powtóre, że to ma być pani cnót rzadkich, i niesłychanie bogata. Jój szkatuła odpowiada sercu a serce szkatule, pisze wuj w swoim liście; a ciotka przeorysza mówi, że to prawdziwe zjawisko. Kochana ciotka! strapiona tą zmianą, ale nie traci nadziei i powiada, że kiedym z Ukrainy wróciła do klasztoru, to tém łatwiej z Puław powrócę.

Przyznam ci się, że ja wątpię; już ani mogę myśleć o celi i o habicie: zupełnie co innego zajęchało w głowę. Może to jakieś szczęśliwe przecucie, ale nawet lubo wiem, że mi żal będzie opuścić matkę, Anulkę, ciotkę, przecież od tego listu jak inna jestem; tyłem o wielkich panach słyszała, a raz tylko na obłóczynach siostry Taidy widziałam ich kilkunastu. Z wielką panią żadną nie rozmawiałam, prócz kilku słów z siostrą Taidą, ale ona już téż nie jest wielką panią. Bać się téż ich ani myślę: naprzykład jak będę przedstawioną pierwszy raz księżnie pani, wcale się ani zmieszam, ani zleknę; i jeśli to się przyzwolicie da zrobić, opowiem jój zaraz całe nasze nieszczęście. Cuda wszyscy prawią o dobroci jój serca: jaka to ma być żona, jaka matka, jaka obywatelka! Ojciec jój Adam Sieniawski hetman wiel-

ki koronny, ostatnim był z znakomitego rodu Leliwczyków Sieniawskich, a na niej jedynaczce dwóch imion Marya-Zofia, kończy się i linia żeńska tego domu. Ona już drugiego ma męża. Pierwszym był Stanisław Dönhoff wojewoda płocki i hetman polny litewski, a powtórny ślubem pojęła małżonka, jakiemu równego w uczynności, hojności i dobrym rządzie niema podobno Litwa i Korona. Mówią, że trudno pojąć ile on świadczy, jaką jest obywateli podporą... Wiész co on robi drobnej szlachcie? Nie potrzebując nigdy cudzych pieniędzy, bo ma swoich zadosyć, bierze jednak chętnie gdy mu kto chce oddać jaki kapitalik; ale cóż z nim poczyna? oto nie wyjmując i grosza z worka, przywiązuje do niego karteczkę, gdzie nazwisko właściciela, ilość summy, dzień i rok w których te pieniądze złożył są zapisane, i kłaść go każe do wielkiej skrzyni, od której klucz zawsze przy sobie nosi; na pierwsze zawołanie szlachcica, oddaje mu jego pieniądze z należytym procentem. A jaki zamożny! Powiadają, że jak wjeżdża czasem do Warszawy, to z takim taborem, że już pierwszy powóz jest w bramie pałacu jego na Krakowskiem-Przedmieściu będącego, a ostatni jeszcze na Pradze za Wisłą; blisko ćwierć mili zajmuje orszak i dwór jego. Ach! jak to będzie dostać się do tak dobrych, do tak wielkich panów! Ale czy tylko się dostanę? Wszystko jak widzę niepewne na tym świecie! Ojciec się troszczył, że nie będzie miał gdzie chować zboża, a końca żniwa nie doczekał. Mnie się już tak na pewno śniło, że będę zakonnicą, a dalej, dalej, przeoryszą: a coś się na to wcale teraz nie zanosí. Wuj jednak jak pisze, ma wielką mego przyjęcia nadzieję; bo skoro kto zaleci księżnie wojewodzinie panienkę uczciwego wychowania, ubogą a szlachciankę, natychmiast ją bierze. Ja to wszystko mam za sobą. Nie odrzuci mnie więc księżna. Wszak prawda, Urszulko? Co bądź się stanie, nie omieszkam ci donieść, a teraz bywaj zdrowa!

L I S T Ó S M Y.

Ze Lwowa, 6 Lutego 1754 r. we Czwartek.

Kochana, złota, najmilsza Urszulko! już jak gdybym była u dworu; dwa tygodnie temu matka odebrała pomyslną od wuja odpowiedź: księżna pani przystała na przyjęcie Jmć Panny Elżbiety Rzeczyckiej, siostrzenicy pana szatnego, który — jak pisze — w coraz wyższych jest faworach u Ichmość księstwa. Przystała na to! czy słyszysz Urszulko? czemuż tu nie jesteś? uściskałabym cię. Bo zważ tylko ile dobrych rzeczy ztąd wypaść może; matka wróci na swój chleb, będzie się znowu miała dobrze, bracia nie będą się czepiać po cudzych domach, będziemy wszyscy razem, a to wszystko przezemnie. Bo ja ani myślę wiekować u dworu; jak tylko otrzymam czego pragnę, wrócę, podobno już nie do klasztoru, ale do kochanej matki. Pan szatny pisał: „że w pierwszej fortunnej chwili, gdy zobaczy, że się może dyspensować przez czas jakiś od ważnych obowiązków urzędu swego, złoży submissyą księciu wojewodzie, i sam po mnie zawita do Lwowa.“ Księstwo bawią teraz w Puławach, i ja tam pojedę; podobno 36 mil ztąd drogi. Nie pisałam do ciebie natychmiast po odebraniu tej pomyslniej wieści, naprzód zem nie miała sposobności, a powtóre, czasu mi nie pozostawało.

Dzień i noc prawie ciągle szyjemy i pracujemy z matką i z Anulką, żeby przecie jako tako u dworu wystąpić. Wuj napisał, że o to najwięcej starać się należy, bo dworacy po sukni o człowieku sądzić zwykli. Dziwni to muszą być ludzie!... Pan Szatny przysłał na moję wyprawę 40 tyńfów w podarunku; niech mu Pan Bóg stokrotnie zapłaci! Ciotka przeorysza dała cò mogła tak w pieniądzech jak w rzeczach, nie wiele wprawdzie, ale z jak najlepszym sercem; ona nieboga i tak się lęka, żeby jęj drugie zakon-

nice nie miały za złe, że przez długi już czas troje krewniaków żywi, i Bóg wie póki dwoje żywić będzie musiała! Już i tak parę razy słyszałam siostrę szafarkę jak sobie mrucała pod nosem: „Nastarczyć teraz niczego nie można, tyle gąb do jadła przybyło!“ Niechże się to już prędko zakończy!...

Moja chrestna jeszcze przy wyjeździe naszym z Ukrainy, dała mi swój kontusik grodeturowy niebieski w białe kwiaty, królikami podszyty i obłożony, i jubkę drojetową czarną. Matka też miała jeszcze ślubną suknię kamlotową białą, trochę brabanckich koronek, i cienkiego płótna własnej roboty, wszystko to mnie dała; i ja pewna jestem, że żadna księżniczka w Litwie i Koronie, już sutszój nie może mieć wyprawy, jak ja będę miała. Niech ci tylko napiszę Będę miała cztery koszul, wszystkie cienkie i białe do połowy; będę miała trzy pary pończoch, sama nici na nie uprzedłam, a Anulka zrobiła; będę miała dwie pary trzewików na korkach, dwie spódnice dymowe białe z szerokimi falbanami, dwie kuczbajki, jedna biała, druga czerwona; trzy kontusiki, jeden na zimę niebieski z królikami, drugi na święta kamlotowy biały, trzeci na codzień barakanowy ciemny, i salopkę drojetową czarną. Dotąd nie miałam nigdy więcej nad dwie spódnice i jeden kontusik, nie wiem też sama co robić z radości? To mnie jedynie trapi, że matka ogołociła się ze wszystkiego dla mnie, i że Anulka nic takich piękności niema; możeć też Pan Bóg mi pobłogosławił a jak mi się u dworu powiedzie, to i matce i siostrze pomocą będę; a tym wszystkim, którzy mnie teraz darami obsypują, w trójnasób się wyplacę. Gorąco o tę łaskę Trójcy Świętej błagam! a skoro się uspokoje, zacznę odmawiać codzień Koronkę do Trzech Królów. Ciotka przeorysza mnie jěj nauczyła i powiada, że to sposób najlepszy, żeby się w sprawach majątkowych dobrze powodziło. Sama odmawia ją codzień od młodości. Bywaj zdrowa, moja Urszulko, nie mogę pisać dłużej, mam jeszcze wiele do roboty. Dopieroż-

to przy dworze, będę ci miała co prawić; już też z klasztoru żadnego odemnie nie odbierzesz listu.

L I S T D Z I E W I A Ź Y.

Z Puław, 24 Kwietnia 1754 r. we Czwartek.

Już tedy od tygodnia jestem u dworu i dobrze mi się powodzi, chociaż mi jakoś smutno. Wuj dobrodziej przyjechał po mnie w pierwszych dniach kwietnia. Oj! serdecznie też płakała wyjeżdżając ze Lwowa; byłby mądry, ktoby był zgadł, że sobie tak życzyła być u dworu. Ale bo też kochana matka jak się żegnała ze mną, jak mnie błogosławiła, napominała: „Elżbietko!—mówiła—bądź nabożna, pracowita, potulna, skromna, grzeczna z pannami z tobą będącemi, ale bez żadnej poufałości; pamiętaj żeś uboga, i nie zadzieraj nosa; pamiętaj żeś szlachcianka, i nie bądź podła; z dworskimi nie wdawaj się wcale; nie dopuść się niczego złego, i na każdy moment myśl sobie, że los twojej matki i rodzeństwa, od twego postępowania zależy. A żeś jeszcze dziewczucha młoda i swoją głowę nie zajechałabyś daleko, słuchaj starszych, jakich nad sobą mieć będziesz; słuchaj wuja dobrodzieja i wzywaj Boskiej pomocy: ja tu codziennie modlić się będę, żeby cię Duch Święty prowadził i oświecał, żeby ci się wszystko według tego powiedziło, jak matka cię kocha i błogosławi!“ W mojej książeczce do pacierza zapisałam sobie te słowa kochanej matki, jeszcze je teraz słyszę. Powiedziawszy je, pocałowała mnie serdecznie w czoło, nie przytrafiło mi się to szczęście jak w Topolówce, kiedym z klasztoru do domu wróciła; dotąd też myjąc twarz, omijam zawsze to miejsce, żeby nie zatrzeć tego świętego śladu. A! żebyś wiedziała, droga Urszulko, jak wuja zaklinała żeby mnie pilnował i lajał! Znosiłam

się prawie od płaczu; strofował mnie zaraz jeszcze na miejscu wujaszek, że faworów fortuny szanować nie umiem, ale cóż, kiedy mnie było niezmiernie żal matki, siostry, ciotki i wszystkich. W drodze jednak odmiana, myśl że tyle dziwnych rzeczy obaczę, psikusy które na każdym noclegu i popasie wujaszek żydom i żydziakom wyrządzał i dykteryjki jego bardzo zabawne, uspokoiły mnie nieco. Co on mi też o całym rodzie książąt Czartoryskich nagadał? Zapomniałam już połowy, ale com spamiętała to ci napiszę, żebyś i ty wiedziała u jakich ja panów jestem.

Być przy ich dworze, prawie równy zaszczyt, jak być przy dworze królewskim. Niezmiernie są dawni, pochodzą od Jagiełłów, którzy i w Litwie i w Polsce kilkaset lat panowali, i coraz się pomnaża ich znaczenie i majątek. Wiele blasku im nadała matka dzisiejszego księcia wojewody, Morsztynówna z domu, pani bardzo piękna i rozumna; ale co bogactw, to najwięcej im przyniosła księżna pani; ona złączyła w sobie trzy majątki: po matce Lubomirskiej z domu, po ojcu ostatnim z Sieniawskich i nareszcie po pierwszym mężu Dönhofie. Wkrótce też po owdowieniu swoim, wielu miała znakomitych zalotników; księżę wojewoda dobrze fałdów przysiedzieć musiał, nim jęj dostał, pojedynkował się dla niej i wielkie dziwy wyprawiał. Ale nic się nie dziwię, że ona sobie jego z pomiędzy wszystkich wybrała, chociaż miała bogatszych, bo on ją kochał bardzo i jakież to pan? Takie ma znaczenie w kraju, taką powagę i miłość u ludzi, że przynajmniej czwarta część naszej szlachty jest na jego zawołanie; gdyby tylko był chciał, dawno byłby królem i najpewniej, że dobrym. On pomimo obszernych w Litwie i w Koronie włości, taki jest rządny i gospodarny, że niemal sam wszystkiem się trudni; a chociaż wiele świadczy i czyni, suto żyje, przecież nie traci, ale przysparza majątku. Księżę wojewoda nie jedynak, ma brata i siostrę. Wujaszek mi także bardzo wiele o tym bracie mówił. Na imię mu Michał, jest

wielkim kanclerzem Litewskim, i ma wielką głowę. Wujaszek powiada, że lubo nie u niego służy, przecież mimowolnie tak go szanuje jak samego księcia pana. Ma on mieć oko niezmiernie bystre: jak spojrzy, zdaje się że wskroś przenika człowieka, odrazu go pozna i z duszą i z ciałem, a taką ma osobliwą pamięć, że więcej niż stu tysięcy szlachty pamięta postawę, związki, nazwisko, sposób myślenia, i zawsze stosownie z każdym z nich się rozmówi. Książę kanclerz ma żonę i miał córkę; tę wydał był za Jerzego Fleminga, synowca ministra nieboszczyka króla; ale ta pani w kwiecie wieku, pięć lat temu umarła na ospę, zostawiła jedynaczkę córkę Izabellę, chowa się przy babce księżnie kanclerzynie; wujaszek ją widział kilka razy: ma to być dziecię wielkich nadziei, nad wszelki wyraz dowcipne i przyjemne. Siostra zaś księcia wojewody poszła za mąż z miłości za Poniatowskiego, człowieka szczególnego; Karol XII król szwedzki bardzo go lubił, ale majątku nie miał żadnego i ród jego nie osobiwszy. Szkoda, że moja głowa i pamięć choć w dziesiątej części nie taka jak u księcia kanclerza, prawiałabym ci do wieczora o tém co mi wujaszek w czasie podróży naszej ze Lwowa do Puław powiedział; ale kiedy mój rozum nie z największych, musisz na tém przestać, a teraz ci będę o moim przyjeździe, o Puławach, o dworze i o księżnie mówić.

Po czterech popasach i trzech noclegach, stanęliśmy tu, wczoraj tydzień minął; droga jak na wiosnę była niegodziwa, więźliśmy po kilka razy i w dziurawych mostach zapadały nam często konie; ale przecież nie dozналиśmy żadnego szwanku; ruszając z każdego noclegu i popasu, wuj śpiewał grubym głosem, a ja za nim cieniutenkim: *Kto się w opiekę poda Panu swemu!* cóż więc złego stać nam się mogło? Przyjechaliśmy tu po obiedzie, pogoda była śliczna i niezmiernie mi się podobały Puławy. Wisła którą wtedy pierwszy raz zobaczyłam, płynie poważnie i szeroko; to rzeka wspaniała; nieró-

wnie jest większa od Dniepru i Bohu, a Pełtwa co pod Lwowem płynie, to jak strumyk przy niej. Po prawym jej brzegu ciągnie się pasmo gór, i na jednej z nich jest pałac bardzo okazały; odnoga czyli łacha od Wisły płynie niedaleko; ogród nie osobliwszy, jużem widziała piękniejsze; koło pałacu na górze jest kilka ulic lipowych, a dalej sady i dziczyna dosyć smutna: świerki, sosny, jałowce. Oboje księstwo nie kochają się zbyt w ogrodach; ale ja chociaż prostą dziewczyną jestem, przecież widzę, że gdyby tylko kto chciał i umiał, prześliczne rzeczy mógłby tu porobić. Możeć w samym rodzie książąt Czartoryskich zjawi się kiedy takowa osoba; godne tego zjawiska Puławy, bo już same z siebie mają wdzięków wiele: czémże byłyby, gdyby ich kto z gustem przystroił i ozdobił? Ale więcej jeszcze od piękności położenia, zajęła mnie okazałość dworu; o moja Urszulko! tu zawsze luda jakby na jarmarku, a wystrojeni jak gdyby na odpust. Co oficyalistów, co dworzan, co liberyi, hajduków, kozaków, laufrów, Bóg wie jak ich tam zowią; a wszyscy suto przybrani w barwie książąt Czartoryskich, zielona z czerwonym, szamerowana srebrem. Co koni, powozów, żołnierzy! bo książę pan ma swoją nadworną piechotę węgierską; doprawdy nie wiem jak tam już być może dworniej i sucięj u króla. Do tego jeszcze po świętach wielkanocnych, które księstwo tu przebyli, wiele zostało znakomitych gości. Goście tu bywać radzi, księstwo oboje tacy gościnni; jak kto zajedzie do Puław, to mu się już wyjechać nie chce.

Nazajutrz rano po naszym przybyciu, wuj mnie zaprowadził do księżnej pani, weszliśmy do pałacu, przeszłam przez kilka wspaniałych pokoi, a w dwóch pierwszych liberya stała rzędami; gdzieś się podziało zuchowactwo moje, miałam się nic nie bać, a drżałam jak listek i myślałam że padnę, gdym już weszła do księżnej pani pokoju. Haftowała w krosnach, na małym stoliczku niedaleko stojącym, leżała

otwarta książka do pacierza i bardzo piękne paciórki do rożnięcia. Księżna pani nie bardzo jeszcze stara, niskiego wzrostu, otyła, ale poważna i wspaniałej miny jakby królowa, a przytém łagodna jak anioł. Po wielkich ukłonach i długich komplementach wujaszka, z których tylko dosłyszałam słowa *Wasza Mość* i *submissya*, spytała mi się: „Jak ci na imię?“ „Elżbieta“ odpowiedziałam. „Elżbieta—powtórzyła—a to družba mojej córki! A wiele masz lat kochanko?“ „Na szesnasty.“ „Cóż też przecie umiesz?“ „Czytać, pisać, trochę rachować, prząść len i wełnę, szyć i różne klasztorne robótki.“ „A haftować umiesz?“ „Umie, nawet kratkowo i knopfsztychem.“ „A katechizm?“ Na to wujaszek kłaniając się do samej ziemi, powiedział: „Umie go mościa księżno i dobrze, bo ma zaszczyt być bratanką przewielebnej przeoryszy panien Dominikanek we Lwowie.“ Księżna pani zdawała się być temu rada. Przyszła ochmistrzyni panien dworskich, niewiasta już w wieku będąca; kazała jej mieć o mnie szczególne staranie, mówiąc, że jej się bardzo podobała. Obróciwszy się potem do mnie, tak powiedziała: „A ty moja panienko, słuchaj jejmości we wszystkim, a spodziewam się, że ci u mnie dobrze będzie.“ Chciałam jej paść do nóg, lecz nie pozwoliła. Podała mi rękę do pocałowania: jeszcze tak pięknej nigdy nie widziałam. Już wtenczas daleko mniej się bałam, ale przecież o matce nie mówić nie mogłam, i pomimo całej usilności, ukośnych i groźnych spojrzeń wujaszka, łzy puściły się z moich oczów. „Cóż ci to Elżbietko?—spytała się księżna pani — może ci żal rodzicielskiego domu?“ Nie mogłam nic odpowiedzieć dla wielkiego płaczu; byłabym chciała żeby wujaszek był co zaczął o matce, ale on nie mówił i słowa, tylko się kłaniał, ile razy księżna spojrzała na niego. „Dobra jakaś dziewczyna!“ wyrzekła jeszcze ta kochana pani, i kazała mi pójść za ochmistrzynią.

Poszłam do oficyny niedaleko pałacu będącej, tam panny dworskie mieszkają; są duże dwie izby: w jednej

●sypialnia, w drugiej na robotę. Gdy weszła, wszystkie ciekawie na mnie patrzyły, osobliwie też na mój ubiór; szturchały się w bok, szeptały sobie do ucha, śmiały się nawet, i przyznam ci się kochana Urszulko, że już łzy były niedaleko. Poratowała mnie ochmistrzyni, wzięła mnie za rękę, zaprowadziła do drugiej izby, pokazała mi łóżko, stolik, stołek i skrzynkę, które już od tego czasu mojami się stały. Pacholik wuja przyniósł moje manatki, i rozłożyłam się z niemi; ilem dotąd widzieć mogła, niektóre tu-tejsze panny sutszą daleko od mojej mają garderobę: niech tam sobie mają, ja im pewno zazdrościć nie będę. Niezmiernie szczęśliwa z łóżka, bo z frankami; zawiesiłam sobie w niem Matkę Boską i Pana Jezusa, co mi matka i ciotka dały, i tam co rano i co wieczór pacierz mówię i płaczę, a nikt mnie nie widzi. Jednak już od dwóch dni bardzo mało płaczę, zaczynam się przyzwyczajając; czas wielki! tydzień minął jak tu jestem.

Księżnę panią codziem widuję, często do mnie przemawia; ale cóż na to powiesz? jeszcze jój nic o matce nie mówiła, jeszcze jój się boję. Te bardzo wielkie panie coś dziwnego mają w sobie, niezmierny strach wzbudzają. Poczekawszy, nadzieja w Bogu, że się ośmielę. Prosiłam wujaszka żeby zaczął; ale on powiada, że lepiej czekać aż wpadnę w fawory u księżnej: już to on widzę i słówka nie piśnie; boi się narazić, ani wiem kiedy przystąpię do rzeczy... ale Bóg dobry, w Nim ufać trzeba. Koronkę też codziem odmawiam pobożnie. Jest nas tu panien kilkanaście starych, młodych; młodszej odemnie nie masz, i serce moje do żadnej jeszcze nie przystało. Wstajemy rano, prawie codziem słuchamy mszy w pałacu; jest tam bardzo piękna kaplica, bo co kościoła, nie masz wcale w Puławach: wieś to licha i źle zabudowana, jeden pałac się świeci. Odmawiamy także codziennie różaniec, towarzyszymy czasem księżnie pani na przechadzkę, i robimy różne roboty. Zastałam rozpoczęty cały aparat kościelny, ornaty,

kapę; na różowym aksamicie haftują panny liście zielone i różne kwiaty złotem i jedwabiami. Księżna pani odnawiać każe z gruntu kościół w poblizkiej wiosce, w Końskiej woli, i już parę lat, jak samemi ozdobami kościelnymi i ona i jej panny zajęte. Zaraz pierwszego dnia zasadziła mnie ochmistrzyni do krosien, starałam się robić jak najlepiej.

Księżna pani codziennie do nas choć na pół godziny przychodzi i roboty ogląda. Bardzo jej się mój ścieg podobał, a więc jeszcze moja pilność, bo i ona wie, że *dwa razy czyni, kto z ochotą*. Właśnie wczoraj głośno mnie pochwaliła; inne panny mi zazdroszczą, i widzę żeby mnie w łyżce wody utopić chciały. Wujaszek powiada, że to znak wyśmienity, gdyż widać, że zaczynam wchodzić w pańskie fawory. Dobrzećby to było z jednej strony; ale jednak szkoda, że u dworu jak widzę pogodzić trudno łask pańskich z przychylnością dworzan: takby miło było wszystkim mieć za sobą. Możeć kiedy przyjdzie do tego... Dziwują się i tu mojej umiejętności, ale przecież nie tyle co w Topolówce. Zabawiła mnie ochmistrzyni; zrazu przekonana była, że ja tylko na jednej książce czytać umiem: od tego czasu jak doświadczyła, że i na Złotym ołtarzu i na Żywotach świętych i na Przysłowiach Fredry i na Dworzaniu Górnickiego, a nawet na pisanem równie gładko mi idzie, z wielką jest dla mnie jak sama wujaszewi mówiła—konsyderacją. Bardzo dobra niewiasta, a! za wszystkie grzechy nie chciałabym być na jej miejscu. Wielkać to prawda, że wielki urząd, wielka niewola; co ona też ma kłopotów nieboga! Panny często się swarzą, kłócą, skarżą jedna na drugą. Ona te wszystkie sprawy godzić musi.

Widzę, że prawie wszędzie to samo się dzieje; u dworu jak w klasztorze, wszędzie się kłócą, zazdroszczą sobie: z tego co znam dotąd, najlepiej mi się życie domowe u rodziców spodobało. Cóż? kiedym go tak krótko używała; dawniej, byłam dzieciakiem, wszystko mi było jedno, a jak rozum przyszedł,

tak szczęście poszło... Ale wie Pan Bóg co robi; On najlepiej radzi o swojej czeladzi—mawiała zawsze kochana matka, będzie wszystko dobrze. Przynajmniej się spodziewam że na mnie skarg nie będzie; księżna pani nigdy złego słowa na mnie nie usłyszy; a niezmiernie jej się wszyscy boją, ma tę powagę która pewny strach wzbudza, i tak przystoi takiej wielkiej pani. Ja sobie zupełnie postępuję według nauki matki; słucham ślepo ochmistrzyni, z pannami jestem grzeczna bez poufałości; które mnie proszą, to ich chętnie robótek jakie umiem uczyć. Dworskich mężczyzn bardzo mało widzujemy, chyba przez okno, w kaplicy, albo w ogrodzie, kiedy z ochmistrzynią się przechadzamy. Stoły osobne dla kobiet, osobne dla mężczyzn, i to' wielkie szczęście. Powiadają, że po innych dworach gdzie jedzą pospołu, nieszczęśliwe panny więcej się wstydu, niżeli potraw najedzą, takie śmieszki, takie żarty nieprzystojne. Tu wszystko się odprawia skromnie i przyzwoicie, księżna pani i ksiądz kapelan najmocniej tego pilnują. Stół obfity i porządny: codzień w dniu mięsne barszcz albo polewka, mięso wołowe, dobra jarzyna z wędzonką, pieczeń, piwo, miód, a w dniu świąteczne i wino i ciasta dają; w postne na rybach nie zbywa, i mogę powiedzieć śmiało, że mi tu dobrze będzie, skoro się odtęsknię; co zapewne niedługo nastąpi.

Księżstwo mają tylko dwoje dzieci: córkę i syna. Córka, moja družba, na święty Antoni będzie rok jak poszła za męża za księcia Lubomirskiego, strażnika W. Korony; są tu oboje; widziałam ją kilka razy, przystojna pani, ma najwięcej lat dwadzieścia, i przepysznie się ubiera: dziś na przykład że to jeszcze rano, ma dezabilkę białą z mnóstwem falban z brabanckich koronek, taką samą salopkę; we włosy trefione wpięta iglica z drogiemi kamieniami, którą trzyma rączka murzyńska; tak właśnie przechadza się w tej chwili z mężem w ogrodzie pod naszymi oknami: zapewne gdzie pojadą, bo na długiiej wstążce niebieskiej kapeluszu sło-

miany wisi na jej ręce, a w drugiej prześlicznego mopka trzyma. Chwalą ją wszyscy, że ma być dobroczynna i uczonna. Powiadają, że tak mówi gładko po francuzku, jak kto inny po polsku nie potrafi. Synowi naszego księstwa Adam na imię, od dziadka hetmana Sieniawskiego: nie ma go teraz w kraju, drugi rok temu jak pojechał za granicę, różne dalekie królestwa objeżdżać, i rozumu od obcych się uczyć; bo mówią, że go tam daleko więcej mają jak u nas; młodszy od księżnej Lubomirskiej, niedługo ma wrócić i bardzo go ciekawa. Przepada za nim dwór cały, chociaż to ma być figlarz i psotnik, jakiemu równego trudno; na wołowej skórze-by nie spisał wszystkich jego konseptów, a jedne dowcipniejsze od drugich; ale serce ma nieoszacowane, każdemu do niego łatwy przystęp, i nikt jeszcze źle na jego figlach nie wyszedł. Kiedy komu figla zrobi, to w trójnasób nagradza, a od samego dzieciństwa taki miłosierny i dobroczynny, żeby duszę gotów ubóstwu oddać. Matka kocha go niezmiernie i on ją nawzajem: często bardzo do niej pisuje, a kiedy list przyjdzie, w całym dworze radość.

Właśnie przy mnie była już wiadomość od niego, i zaraz się po całych Puławach rozniosło: „że młody książe zdrow, że był u papieża; że papież z wielką przyjął go grzecznością, a po audyencji oświadczył, iż z książąt i z kawalerów z obcych krajów przybywających, ten mu się osobliwie podobał.“ Sam książe wojewoda to mi pan wspaniały; tylko dwa razy go widział; ale jeszcze więcej wzbudza bojaźni jak sama księżna! O! ani wiem, ani przewiduję, kiedy się odważy co im o matce powiedzieć...

Moja Urszulko, nie tak tu dobrze pismo idzie jak w klasztorze, bo wielki hałas; już trzeci dzień nad tym listem dukwię; tyle kobiet, to nieustanna gadanina; wreszcie mamy pilną robotę, dopadkami jedynie pisać mogę, a do tego ty-lebym ci jeszcze miała rzeczy prawić, że nim jedną namażę, druga mi z głowy wyleci. Byłam wczoraj w pałacu, bo księż-

two ze wszystkimi gośćmi pojechali w sąsiedztwo na obiad do księstwa Lubomirskich do Janowca za Wisłę; wspaniałe są bardzo pokoje w pałacu, osobliwie jedna sala złota z pięknymi malowaniami; ma być taka sama gdzieś tam daleko w Paryżu, w pałacu królewskim; stołki i kanapy wyłaczane, okryte są pyszną materyą amarantową ze złotem; zwierciadeł jest kilka bardzo wielkich, a okna wychodzą na ganek, z którego wiłok na Wisłę prześliczny; w tój sali zwyczajnie tańczą, kiedy się dużo gości zjedzie: muzyka jest nadworna i huczna.

Chociaż ten list bez ładu i składu napisany, wiem jednak że cię zabawi i że będziesz mu rada, bo uczciwie długi; jeszcze dłuższy napisałam do matki i do ciotki. Wujaszek je dziś weźmie i odeśle za najpierwszą sposobnością. Miłość mi jest, że przecie choć jego mam tu ze swoich; bo lubo wszyscy dworscy grzeczni, układni, miłą się i kłaniają, przecie nie lgnie serce do żadnego; jakoś im i wierzyć nie wielka jest ochota; nie wiem sama dla czego, ale zdaje mi się, że oni wszyscy nieprawdę mówią: w klasztorze wierzyłam wielu, w domu wszystkim, a tu prawie nikomu. Może się to z czasem odmieni, to wiem jednak dobrze, że żadnej panny, żeby tam ona była i święta, nie będę tak kochać jak ciebie.

L I S T D Z I E S I Ą T Y.

Z Puław, 8 Maja 1754.

Wyjeżdżamy ztąd pojutrze, i wielka z tego powodu zazdrość w sercu pańien dworskich, a w mojem radość i nadzieja. Przyszła wiadomość że książę wojewodzie w tych dniach wraca do kraju; będzie jechał na Warszawę, a po-

nieważ księstwo o milę ztamtąd mają włość Willanów, oboje umyślili tam naprzeciw niego pojechać, żeby go prędzej zobaczyć. Księżna pani mianowała tych wszystkich, którzy z nią mają jechać, a między pannami dworskimi mnie, mnie samą, raczyła wymienić. Chociaż przy najpiękniejszej wiosnie Puławy są teraz prześliczne, przecież wyjadę z nich bez żalu, bo wujaszek utrzymuje, że ten wybór jest wielkim dowodem łaski; zakazał mi z całą powagą ojcowską, żebym się nie ważyła słowa o matce teraz powiedzieć. „Stoisz na drabinie faworów—powiedział mi poważnie—ale stoisz jeszcze słabo, i dopiero na pierwszym szczeblu; ławo zatem niewczesna prośba zrzucićby cię mogła; milcz więc póki się w tym losie fortunnym nie utwierdzisz.“ Będę więc milczała czas jakiś. Miałam wiadomość ze Lwowa, matka i wszyscy zdrowi; i Anulka do mnie pisała; prawda, że duże jeszcze stawia litery, ale mi niezmiernie były przyjemne. Kochana matka tak temu rada, że ja przy takiej wielkiej i dobrej pani zostaję, iż zapomina o sobie; rozkazuje, żebym o nią nie wspominała, póki się dobrze w umyśle księżnej nie ugruntuje: bei się, żebym sobie nie zaszkodziła chcąc jej dopomóc. Anulka mi pisze, że im smutno bezemnie, ale że się mojem powodzeniem zupełnie pocieszają.

Mnie co dzień weselęj, przyzwyczajam się. Ochmi-strzynię już prawie tak kocham jak ciotkę przeoryszę, i są tu dwie panienki, niezmiernie dobre, z temi najlepszą jestem. Jedna z nich jedzie z nami. Ta podróż wielce mnie raduje: najprzód jest dowodem łaski, powtóre sposobnością zwiedzenia kraju. Będziemy pewnie w Warszawie; może i króla i królowę zobaczę; tego roku sejm, przyjadą niezawodnie z Drezna. Królowej najbardziej ciekawa jestem, bo ma być niezmiernie dobra i pobożna, i chociaż nie piękna, mąż i wszyscy bardzo ją kochają. Żebym ja potrafiła wszystko opisać co widzieć i słyszeć będę, dopiero moje listy byłyby zabawne. Bywaj zdrowa,

kochana Urszulko. Pan szatny jedzie także z nami, będziesz więc zawsze miała wiadomości odemnie.

L I S T J E D E N A S T Y.

Z Willanowa, 1 Czerwca 1754 r. w Niedzielę.

Już blisko dwa tygodnie jak tu jesteśmy, kochana Urszulko; jużem widziała nieraz młodego księcia wojewodzica, i bardzo mi się spodobał. Jużemy go tu zastali; księżna pani dojeżdżając do Willanowa, ledwie ze skóry nie wyskoczyła z niespokojności, a jak już zobaczyła syna, rozplakała się z wielkiej radości. Rzucił się książę obojgu rodzicom do nóg, a oni go podnosząc ściskali serdecznie. Mnie patrząc z daleka, przypomniało się jak rok temu witałam się z matką i z ojcem w Topolówce, i zapłakałam rzewnie. Cóż to odmian od tego czasu! Wielki Boże! niech Cię to wszystko chwali! Drogę odbyliśmy wybornie, z taką wygodą, z kucharzami; aż mi było żal, że Willanów tylko o ośmnaście mil od Puław; aniby zrachować można liczby pojazdów, bryk, wozów; a z jakim uszanowaniem byli dzieci, dzierzawcy, karczmarze dla nas; jak nam się wszyscy kłaniali! i mnie się zdawało że wielką panią została.

Część dworu ruszyła prosto do Warszawy, dokąd się księstwo na przyjazd królestwa i na sejm wybierają, a część tu została. Ślicznieć to w tym Willanowie. Pałac i ogród bardzo piękny; zbudował go i założył sławny Jan III; niewolnicy Tureccy nosili cegłę, kamienie, materyały do tej roboty; wspaniała Wisła, którą w Puławach polubiłam, i tu płynie niedaleko pałacu; topole nadwiślańskie i lipy ręką króla sadzone, znacznej są wysokości. Pałac zewnątrz

i wewnątrz bardzo piękny; mówią że jest zupełnie w włoskim guście; pokoje w których królestwo mieszkali nietknięte, wszystkie sprzęty stoją tak jak za nich stały: książe wojewoda szanuje te pamiątki, bo dobrym jest Polakiem. Słyszałem, że Wilanów weźmie w posagu księżna Lubomirska, zapewne i ona i jej dzieci, jak ich kiedy mieć będzie, zarówno będą umiały szanować tak drogie pamiątki. Szkodaby też było zacierać ślady tego walecznego króla; ja go bardzo kocham, chociaż wiele osób mówi, że on lepszy był na hetmana, jak na monarchę; bił się walnie, ale panować nie umiał, nietylko nad narodem, ale nawet w domu.

Tu jest murgrabia bardzo stary, wybornie go pamięta, i różne o nim i o Maryi Kazimirze, żonie jego, rzeczy rozpowiada; trudno uwierzyć żeby człowiekiem, który tysiące Turków zwyciężał, jedna kobieta rządziła. Nasza ochmistrzyni bardzo często tego murgrabiego zaprasza do siebie; jak sobie trochę miodkiem podochooci, to dużo mówi; a ja się ich rozmowom przysłuchuję: niezmiernie lubię starych ludzi, którzy o dawnych rzeczach prawią. Król Sobieski umarł w Willanowie pięćdziesiąt ośm lat temu; z młodu miał być bardzo wspaniały i piękny, ale na starość niezmiernie się roztył; królowa także była ładna, cóż z tego kiedy niedobra. Są tu i ich dzieci portrety; prosiłam żeby mi pokazali najmłodszego królewicza Konstantego, bo jemu jak mówił murgrabia, król Szwedzki po śmierci ojca ofiarował Polską koronę: ale ponieważ on miał dwóch braci starszych, Jakóba i Aleksandra, którzy wtenczas siedzieli więzieni przez Augusta II, nie chciał jej przyjąć uważając to za uchybienie. Lepszego brata pewnie świat nie widział.

Bardzo dobrze się tu bawię, moja Urszulko, i codzień jestem weselsza; księżna pani wyraźnie mnie lubić zaczyna; wiele gości bywa; nowin, ploteczek bez liku: ja na wszystko otwieram i oczy i uszy, żebym miała na długo co matce i siostrze prawić; zupełnie jesteśmy jak na przedmieściu

warszawskiem, ledwie się stanie co w mieście, my natychmiast wiemy. Królestwa obojga spodziewają się nie żartem, już rozmaite przygotowania robią: czyszczą, zamiatają ulice, o różne łaski prosić zamyślają. Będzie sejm, będą uczty, gale; już wielu panów miało się pojeżdżać; wszystko to wiem od znajomych naszej ochmistrzyni, która rodem jest z Warszawy i wiele odbiera odwiedzin. Jedna z nich powiadała właśnie wczoraj zdarzenie bardzo przykładne, które muszę i ciotce przeoryszy donieść, bo wiem, że ją ucieszy. Był w Warszawie generał wojsk saskich i pułkownik artylerji koronnej, Jauch, bardzo światły i zacny człowiek, ale luter; ten się rozchorował, i w przeciągu ośmioletniej choroby Bóg go natchnął, żeby prawdziwą wiarę przyjął; nie odrzucił tego natchnienia, użył czasu słabości na wyuczenie się religii katolickiej, i w dniu pierwszym maja zrzekł się dawniej wiary, i przyjął nową z rąk księdza kapucyna: trzeciego dnia potem z jak największą spokojnością i przy zupełnej przytomności umysłu skonał, mając lat 69. Zostawił żonę niepokieszoną, i jedynaczkę córkę, która już jest za mężem, za konsyliarzem Lelewalem. Niezmierne dary kościołom poczynił, między innemi księżom Bernardynom dał fundusz na okna zwierciadlane.

Druga znowu znajoma naszej ochmistrzyni, żona bogatego warszawskiego rzeźnika, powiadała nam przypadek, który ję się w tamten tydzień trafił. Niezmiernie lubi karpia, i co Piątek, choćby to kilkanaście złotych kosztować miało, musi mieć pięknego karpia na obiad. W tamten tydzień na całych Rybakach jeden tylko był piękny; targowała go rzeźniczka, targował go i kucharz pani marszałkowej Bielińskiej; a że rzeźniczka postąpiła parę złotych więcej niżli dawał kucharz, kupiła rybę i zjadła. Nazajutrz rano kiedy w najlepsze kiełbasy uprawiała, przychodzi do niej hajduk pani marszałkowej Bielińskiej, z rozkazem stawienia się w ję pałacu o pierwszej godzinie z południa. Wylękała się

strasznie kobieta, bo trzeba ci wiedziéć, że pan Bieliński jest marszałkiem policyi, rzetelnie swój urząd sprawuje, ale bardzo ma być surowy; i z nim i z żoną jego żarty niebezpieczne. Jednak rzeźniczka nastawiwszy dobrą minę, powiedziała hajdukowi, że przyjdzie; i ubrawszy się jak mogła najlepiej, poszła o godzinie naznaczonej. Zastaje w przedpokoju tego samego hajduka, ten prowadzi ją do sali jadalnej i tam czekać jej każe; stół był nakryty, liberya się uwijała, wkrótce dano wazę, i weszła pani marszałkowa z synowcami i z dworem. Rzeźniczka stała w kącie. Pani marszałkowa zobaczywszy ją, powiedziała: „A jesteś tu waść, siadajże z nami do stołu!“ i posadziła ją obok siebie. Gdy po rybniej polewce dano ogromnego karpia—pani marszałkowa kazała najpierw rzeźniczce półmisek podać. Ona nie tracąc fantazyi, wzięła sobie głowę, a zabierając się do jej objedzenia, zaczęła od oka. Ledwie to zobaczyła pani marszałkowa, zawołała na głos: „Masz waść szczęście! podkupiłaś mnie wczoraj, z twojej łaski nie miałam pięknego karpia na stole; czekała cię kara za tę śmiałość, ale kiedy znasz się na rzeczy, i wiesz co najlepszego w karpniu, wartaś go jadać, i nic ci nie będzie!“ Rzeźniczka na te słowa ochłodziła i ze smakiem dokończyła karpiej głowy; ale powiada, że nie była tak dobrze przyrządzona jak u niej, i mówiła także: iż wróciwszy szczęśliwie do domu po tym niespodzianym honorze, na trzy msze do Pana Jezusa do Fary poszła. — Już jabym tam nie chciała być w jej skórze podczas tego obiadu, strasznie się wielkich panów boję, chociaż już od sześciu tygodni codziennie na nich patrzę.

Wujaszek mój bardzo zajęty; książę pan nowe suknie sprawiać sobie każe na przyjazd królestwa, żeby suto wystąpić; niema jednak dnia, żeby mnie choć na chwilę nie odwiedził. Zawsze mi zabrania mówić księżnie pani o matce, ja też nie mówię, i nie byłoby kiedy; księżna bardzo sy-

nem, gośćmi zajęta. Bywaj zdrowa, moja Urszulko. Bodajbyś mnie tak kochała jak ja ciebie.

L I S T D W U N A S T Y.

Z Warszawy, 21 Czerwca 1754 r. we Wtorek.

Moja kochana Urszulko, sprowadziliśmy się do Warszawy prędzej niż się każdy spodziewał. Księżna strażnikowa Lubomirska 4 czerwca nagle zachorowała i powiła córkę; natychmiast dano znać do Willanowa, księżna pani tu śpiesznie przyjechała, a za nią my wkrótce. Księżna pani uszczęśliwiona z wnuki, ale książę strażnik ma żałować, że nie syna żona mu urodziła. Warszawa bardzo mi się spodobała, większa nierównie od Lwowa i ma także wiele pięknych kościołów i pałaców; bardzo jest obszerna ale niejednostajnie zabudowana; obok najwspanialszego pałacu jest lichy dworek, obok zamieszkałej ulicy gołe pole, a za tém polem znowu domy. Pałac gdzie mieszkamy, i który księżna pani przyniosła księciu wojewodzie w wianie, jest na najznacniejszej prawie ulicy, na Krakowskiem-Przedmieściu, okazały i obszerny ale smutny, osobliwie panien dworskich pokój. Cała jedna strona pałacu wychodzi na wąską i błotnistą uliczkę; tam na dole jest bardzo wiele pokoi; w jednym z nich osłonionym kratą żelazną, my mieszkamy; ta przynajmniej jest w nim dogodność, że okno otworzyć można, a nikt z przechodzących ani zajrzeć bardzo blisko do pokoju, ani téż zagadać może. Przy pałacu jest ogród pomierny, wiele mi przyjemności sprawia, bo się po nim codziennie przechadzamy.

Nie można w Warszawie tak wybiegać śmiało na dwór jak w Puławach albo w Willanowie, i ja jeszcze

nie widziałam całej Warszawy; najlepiej się przypatryłam tej ulicy, na której mieszkamy: na jej początku są dwa kościoły, księży Dominikanów i Święty Krzyż, a na końcu statua Zygmunta III-go, którą mu syn Władysław IV postawił; za tą statuą jest brama do tej części Warszawy, którą Starém Miastem zowią, i która niedawnemi czasy była fortecą; tam zamek królewski, kościół Farny, Jezuicki i Augustyanów; domów, sklepów i mieszkańców najwięcej; ale ulice bardzo ciasne, sam rynek nie duży i większą jego połowę zabiera ratusz. Kościół Farny czyli św. Jana, z wierzchu nie jest bardzo osobliwy, wewnątrz piękniejszy, bo niezmiernie wielki; a kapliczek, nagrobków, ołtarzy, napisów takie mnóstwo, że ledwie napatrzeć się można. Niedaleko drzwi wchodowych, wisi chorągiew turecka, którą waleczny król Jan pod Wiedniem zdobył. Po lewej stronie wielkiego ołtarza jest kaplica i w niej cudowny Pan JEZUS; księżna najlepiej lubi w niej mszy słuchać, i mnie tam dziwnie miło się modlić; jak tylko mogę, to z ochmistrzynią idę do Fary na mszę i w tej kaplicy mówię pacierz za matkę. Królestwa dziś niezawodnie się spodziewają, ale najpewniej że ich nie zobaczą, bo jakby sowy, zwyczajnie po nocy przyjeżdżają. Ja myślałem że oni w zamku królewskim mieszkają, a oni w pałacu, saskim nazwanym, który bardzo blisko jest naszego; stajnie królewskie na naszą uliczkę wychodzą. Ojciec terażniejszego króla August II-gi, ten pałac wystawił, bo królewicz Jakób Sobieski po śmierci ojca zamknął się w zamku, i nie chciał go puścić; musiał więc rad nie rad o inném myśleć mieszkaniu, i tak polubił ten pałac, że później chociaż mógł być przenieść się do zamku, najczęściej tam przemieszkiwał. Syn jego, dzisiejszy król nasz, toż samo robi, bo on w wielu rzeczach ojca naśladowuje. Księżna pani, która tak jest łaskawa, że chce ażeby jej panny co tylko jest ciekawego w Warszawie widziały, pozwoliła nam iść wczoraj

zobaczyć ten pałac, i ogród za nim będący. Udało nam się nawet być w niektórych królewskich pokojach, bardzo wspaniałe; ale uważałam że największy zbytek w porcelanie. Ogród królewski który pospolicie saskim zowią, jest dosyć piękny i zupełnie uszykowany do zabaw, w których król najczęściej smakuje; bo trzeba ci wiedzieć że polowanie i strzelanie najmiłą jest jego rozrywką. Polować w ogrodzie saskim nie można, bo zbyt mały, ale król całe dni tam trawi, na strzelaniu do celu; jest po lewej ręce ulica z kasztanów, w której zwykle te ćwiczenia odbywa: kamienna figura na końcu jęj będąca za cel mu służy. Królowa ma być bardzo dobra, jak ci już donosiłam, ale tak jest surowa, że nigdy nawet nie zagada do kobiety o której ludzie źle mówią. Sama też najlepszy przykład daje, bo i skromna i pobożna. Obok ogrodu saskiego jest kościół ojców Reformatów, pokazywał nam wujaszek fórtkę wyrobioną w murze; królowa wydeptała do nięj ścieżkę, bo tamtędy prawie codzięń chodzi na mszę do tego kościoła. A i innych nie zaniedbuje; do Pana JEZUSA u Fary szczególne ma mieć nabożeństwo. W tęj samęj stronie jak kościół Reformatów, jest pałac Orzelskięj. Nieboszczyk król kazał go postawić dla swojęj kochanki. Stanął w sześciu miesiącach; dla większego póspiechu przy pochodniach go budowano; ponieważ cały blachą pokryty, jeszcze częścicęj błękitnym go zowią; było z niego do saskiego pałacu przejście podziemne, ale już się zawaliło.

Cóż mówisz, moja Urszulko, czyż napróżno w Warszawie siedzę; albożem ci nie nakłęciła huk rzeczy, które nietylko w głowie, ale w pięcie nam nigdy nie powstały. Dobrze to jednak trochę świata przewidzięć; od tego czasu jak jestem przy dworze, a szczególnięj tęż w Warszawie, prawdziwie dziwy w mojęj głowinie się dzieją; zdaje mi się, że mi ktoś otwiera jakieś zamknięte dotąd kryjówki, i tak jestem jak gdybym się na nowo urodziła. Wujaszek

mówi, że się to nazywa nabierać światła i poloru; nie jestem przeto weselsza, owszem daleko mniej się śmieję jak dawniej, pókim głupszą była; ale bo też i trudno być wesołą kiedy matka na cudzej łasce, a nawet kiedy nie wiem jak się mięwa, bo już od pięciu niedziel nie miałam od niej wiadomości.

L I S T T R Z Y N A S T Y.

Z Warszawy, 1 Lipca 1754 r.

Donoszę ci najprzód, kochana Urszulko, że miałam przecie wiadomość od matki; zdrowa, ale już jej się przykrzy jeść tak długo chleb cudzy. Ciotka przeorysza mocno chorowała i przez ten czas dały się we znaki i matce i siostrze inne zakonnice. Już teraz Bogu dzięki, ciotka wstaje; i ona pewnie prędzej ozdowieje, niżli matki serce, bo go strasznie wymówkami i przycinkami ubodły. O! Boże litościwy, połóżże tym cierpieniom koniec! Mam nadzieję że to lada dzień nastąpi, tak szczerze się modlę! a nawet zaraz odebrawszy ten list ze Lwowa, poszłam z ochmistrzynią do Farnego kościoła i tam dziwne miałam zdarzenie. Było to w piątek po obiedzie, bo u Fary co tydzień bywa o tej porze nabożeństwo; spóźniłyśmy się, już się ludzie rozeszli, kilka tylko osób modliło się po kątach: ja poszłam do kaplicy Pana Jezusa, a ponieważ była zamknięta, kłękłam sobie cichuteńko z boku przed kratą, i zaczęłam się modlić serdecznie. Zaczynając mój pacierz, zdawało mi się, że niema nieszczęśliwszej nademnie; bo małoć to jest: ojca, majątek, posag stracić, oddaloną być od swoich, i wiedzieć, że tam gdzieś daleko matka cudzym chlebem się dławi?

Ale im więcej się modliłam, tém jakoś bardziej świat się rozjaśniał przedemną, tém lżej i miłej na sercu mi było. Kiedy mi się tak działo, usłyszałam jęk i płacz tak żalony, że mi napaść hajdamaków zupełnie przypomniał; patrząc z kądy wychodził i przy świetle gasnącej już prawie lampy, widzę czegom dotąd dla własnych łez spostrzedz nie mogła: widzę kobietę, pięknie lubo w czerni ubraną, która na stopniach ołtarza, w kaplicy zamkniętej, klęczy, a ku samej ziemi schylona, modli się gorliwie, i żałośnie. Żkania i jęki wznosiły jęj piersi i twarz zmieniały, a łza żadna nie szła z oka. „O! — pomyślałam sobie — ona nieszczęśliwsza odemnie, kiedy nawet i płakać nie może!“ Westchnęłam więc szczerze do Boga, żeby jęj żalowi ulżyć raczył! Jak gdyby mnie wysłuchał, bo wkrótce puściły się łzy obfite z jęj oczów, przestała łkać i jęczyć, i widziałam oczywiście, że ją Bóg pocieszył. Ochmistryni siedząca w ławce w kościele, przysłała wtenczas powiedzieć mi, że już czas odejść; ja jęj mimowolnie wskazałam na tę kobietę. Skoro ją postrzegła, wzięła mnie co tchu za rękę i powiedziała: „Cicho, cicho, odejźmy: to królowa!“ Zdumiałam i słowa wyrzec nie mogłam; nie wiem sama jak przeszłam przez kościół, jaki pokłon oddałam Bogu wychodząc, bom prawie od zmysłów odeszła. Nareszcie już będąc na ulicy, zawołałam: „To być nie może! królowa taka nieszczęśliwa?“ — „Alboż to myślisz, moja dzieweczko — powiedziała ochmistryni — że im pan większy tém szczęśliwszy? oh! co nie, to nie; mają oni tak dobrze za swoje, jak i my chude pachołki. Królowa naprzykład jest córką cesarską, do kilku koron ma prawa, a wszystkie jęj druga jakby z pod nosa wzięła; i na innych zmartwieniach jęj nie zbywa: oto i teraz córka jęj ukochana Delfinowa francuzka chora, a ona do nięj jechać nie może, i kto wie, może ją już nigdy w życiu nie zobaczy; ma też prócz tego i różne domowe kłopoty: jedyną jęj pociechą jak i nas biednych

jest modlitwa, i często ją w tój kaplicy zdybać można.“ Podczas całej tój mowy, powtarzałam niekiedy: „Ach mój Boże! królowa nieszczęśliwa.“ Niechciało mi się to jakoś pomieścić w głowie; przeszłyśmy i Święto-Jańską ulicę i Krakowską bramę, minęłyśmy króla Zygmunta, a ja jeszcze z mego zadumienia wyjść nie mogłam. Dopiero gdyśmy już do pałacu przyszły i ja po wieczery w łóżko się położyłam, dopiero wtedy zastanowiłam się jak należało. Moja Urszulko, wszystkich widzę ludzi Pan Bóg strapieniem dotyka. Każdy ma swego móla, który go niszczy, a im kto większy, tём i mul jego większy; mnie tylko półbeczek miedzi zabrano, a królowej kilka koron; ja matkę choć ubogą zobaczę kiedyś, ona swojej córki Delfinowej nigdy: jam więc jeszcze szczęśliwsza od niej. Szczęśliwsza od królowej? uwierzysz temu Urszulko. W podobnych myślach i w wielu innych, usnęłam wtenczas i bardzo miałam sny dobre, ale od tego klasztornego, nie tyle im wierzę.

Widziałam i drugi raz królowę z królem, także u Fary, ale już w łoży, koło wielkiego ołtarza, zkąd zwyczajnie w święta mszy i kazania słuchają: napatrzyłam im się dowoli: królowa prawda, że nie piękna, ale miłą ma twarz, król piękniejszy, ale nie tyle przyjemnym mi się wydawał, oboje już wcale nie młodzi. Dwóch synów, królewicza Karola i Ksawerego, przywieźli z sobą z Drezna, i tych widziałam; ci bardzo jeszcze młodzi i przystojni, osobiwie książę Karol, ale nie mają przecież tój wspaniałej miny naszych polskich panów, i nasz książę wojewodzie więcej nierównie od nich na królewicza patrzy. Królestwo już tu są od dziesięciu dni, w nocy przyjechali; sto razy uderzono z armat, jak w mieście stanęli: jam tego nie słyszała, bo mam znowu teraz napowrót sen twardy, i żeby się świat przewracał to się nie obudzę, póki mną kto dobrze nie szarpnie i nie zawoła: Elżbietko! Elżbietko! Od czasu przyjazdu królestwa ciągle u nich sute i wspaniałe obiady; senatorom,

ministrom, innym panom dają audyencyą; już oboje księztwo byli u nich po kilka razy. Księżna się bardzo pięknie ubiera, a mnie coraz lepiej lubi; bo zawsze się wkęcę do pokoju, gdzie jej gotowalnia stoi, i zawsze znajdę sposób przypodobania i przysłużenia jej się. Czynię to z wuja rozkazu i z własnej chęci, bo ją serdecznie kocham. A wreszcie jeśli ma dla mojej miłości jaką łaskę matce wyświadczyć, toć trzeba żeby mnie pierwój pokochała; a pewnie mnie nie pokocha za nic, bo nic darmo na tym świecie, jak mówi wujaszek.

Zebyś ty wiedziała, kochana Urszulko, co to jest ubiór tak wielkiej pani, wiele to do niego rzeczy, czasu potrzeba? Sam fryzyer, co on ma żelazek, papilotów, pomad, proszków, śpilek; godzinę a czasem i dwie, włosy fryzuje, tapiruje, czesze, zawija, smaruje, posypuje; ale też jak usadzi fryzurę w melon na pół łokcia, jak czoło wymuska, a na wierzchu głowy przypnie pióro, kwiatek, albo świecidło jakie, to jest na co patrzeć. A nie na tém jeszcze fryzowania koniec; obok pokoju gotowalnianego jest mały gabinet, a prędzej korytarz wązki a długi, w nim nie ma tylko pułki, a na nich puder; jak już księżna ufryzowana, kamerdyner porusza ten puder w owym gabinecie, księżna przechodzi się po nim parę razy, i wychodzi cała biała, Boże przepuść, nieprzymierzając jak młynarz. Po ufryzowaniu jak zacznie kłaść rogówki, jubki, kontusiki, suknie z fałdami i z ogonem, gorsy koronkowe, mankiety, salopki, jak nawiesza zausznic dyamentowych, pereł uryańskich, łańcuchów; jak na wszystkie palce sygnety pokładzie, i na ogromnych korkach trzewiki weźmie: to trudno jej się ruszyć i nie w każde drzwi się zmieści, ale też każdy w niej pozna wielką i bogatą panią. A w pokojach jak też pięknie; jeschcem ci podobno o tém nigdy nie pisała; sama nie wiem które śliczniejsze, czy w Puławach, czy w Willanowie, czy w Warszawie? Ściany prawie wszę-

dzie przykryte umyślnie do nich robionemi obiciami. Te obicia pospolicie adamaszkowe, karmazynowe albo niebieskie, a wszystkie gzymsy złożone, gdzieniegdzie są *gobeliny*: jest to robota przepyszna z włóczek wyrobiona jakby igłą, wystawia różne figury: zdaleka zdają się jak gdyby żywe, a zbliżka jak najcudniej malowane; stołki, kanapy złożone, adamaszkiem pokryte, lub też pięknymi samą księżną i jej matki haftami; stoły marmurowe, zegary, obrazy, zwierciadła w złotych ramach, pająki kryształowe, szafy złociste ze srebrem, z kosztownymi sprzętami, z księgami. A jakie klejnoty! i jakie ich mnóstwo! Księżna pani ma sporą szafeczkę, w której jest kilkadziesiąt szufladek i kryjówek, a w każdej inne i piękniejsze kanaki. Łóżko z złotogłowiu z bogatemi frankami i frendzlami. Cóż dopiero wspomnieć o szatach; jakie suknie lite! jakie szuby sobolowe! co koronek! W Warszawie najwięcej się tym ślicznościom przypatrzyłam, bo wszystkie tu zwieźli i całą garderobę księżną odnawiali i wietrzyli. Księżna pani sama wszystko przeglądała i rachowała, i rozdała część jedną. Mnie się dostała jubka tryumfantowa; na dnie kawowem rzucane są różne kwiaty, najmniejszy z nich piwonja; prześliczna ta jubka i bardzo mało podszarzana, niema też jeszcze lat trzydziestu, bo z wyprawy księżnej pani. Ja jej się nie tchnę, ale ją w całości matce dochowam; kazała mi księżna dać przytém dwie pary trzewików i nici na pończochy; bardzo mi się przydadzą, bo już te com przywozła z klasztoru, dziękują za służbę. Strasznie się u dworu drze obuwie, nie można ani na chwilę boso, ani nawet przybos chodzić, a do tego bruk warszawski jakby nożycami podeszwę kraje. I nogi niepospolicie od niego bolą, ale już się zaczynam przyzwyczajać. Ze wszystkiém oswoić się można.

L I S T C Z T E R N A S T Y.

Z Warszawy, 26 Lipca 1754 r. w Piątek.

Moja kochana Urszulko, jaka téż to prawda, że z wielkich rzeczy czasem bardzo mały bywa początek; wystaw sobie moje szczęście: jestem w największych u księżnej pani łaskach, u księżnej pani! Po kilka godzin z nią, w jój pokoju siedzę; mówi do mnie, ja jój odpowiadam: może nie długo w jednej karecie z nią jeździć będę, a co było do tego powodem? ani zgadniesz. Wołę ci opowiedzieć rzecz całą, jakem ją już matce opisała. Ach! matka, kochana matka! jak téż ona będzie szczęśliwą! Ale słuchaj: księżna pani jak rano pacierze odbędzie, sprawy domowe załatwi, tak siada do krosien i haftuje; wtedy ją zwyczajnie bliscy krewni albo poufalsi przyjaciele odwiedzają, a kiedy niema nikogo, lubi bardzo żeby jój czytano głośno książkę albo pismo jakie. Ma kapelana, sekretarza, który zwykle tę przysługę jój oddaje; ale tydzień temu, księżna zasiadła do roboty, nikt z gości nie przyszedł, a żadnego z czytelników nie było. Bóg dobry — bo któżby inny? — tak zrządził, żem właśnie weszła z ochmistrzynią do pokoju, ukończony ornat pokazać, kiedy do panny służącej mówiła: „Wyszedł wczoraj Kurjer Polski, radabym go słyszała, z robotą się śpieszę, a czytelnika niema.“ — Nie wiem zkąd? pewnie z Boskiego natchnienia wyrwałam się z temi słowy: „Jeśli księżna pani pozwoli, ja jój Kurjera przeczytam.“ — Czy doprawdy moja dziewczynko, tak biegła jesteś?“ — „O! tak mościa księżno, odezwała się tu pocziwa ochmistrzyni, panna Rzeczycka w każdej książce, a nawet i pisane gładko czyta.“ — „Kiedy tak, przeczytajże mi tę gazetę!“ powiedziała księżna, i podała mi półarkuszek dosyć drobno drukowany. Stałam obok niéj, zaczęłam czytać; drżał mi głos, tchu mi brako-

wało, ale jednak prawie bez omyłki cały przeczytałam. Zważałam że księżna pani pomimo pilnej roboty przestała niekiedy haftować, i patrząc się na mnie uważnie, słuchała. Gdy skończyła, rzekła łaskawie: „Bardzo dobrze moja dziewczeczko; bardzo dobrze! nie spodziewałam się po tobie takiej umiejętności; nie tylko czytasz gładko i wyraźnie, ale i rozumiesz co czytasz, i miło cię słuchać. Codzień odtąd możesz o tej godzinie do mego pokoju przychodzić, i czytać mi kiedy nikogo nie będzie.“ To mówiąc pogłaskała mnie po twarzy, jam jej się skłoniła do nóg, i powiedziałam, że to dla mnie największym szczęściem będzie. Nie zmyślałam wcale, bo jakież to zaszczyt księżnie pani czytywać! a powtóre będąc z nią codzień, często sam na sam, możeć się kiedy odważyć co jej powiedzieć o matce; dotąd i to mnie wstrzymywało, że zawsze nas kilka koło niej. Jakże tu w obec tylu oczów ni ztąd ni zowąd paść do nóg i o łaskę prosić?

Wuj niezmiernie się ucieszył, gdy mu o swoim szczęściu powiedziała; aż mu się najeżyła czupryna z radości, i bił się po brzuchu: „No, teraz moja Elżbietko— powiedział — odrazu kilka szczebli drabiny faworów przeskoczyłaś; trzymajże się dobrze, upatruj fortunnego momentu, i schwytaj go, skoro będziesz mogła; bo fortuna jest to szklanka, wysliznie się łatwo, a jak upadnie, już amen! niema się po co i schylić.“ Kazał mi być jeszcze pokorniejszą, niżli byłam dotąd, jeszcze więcej księżnie pani nadskakiwać, żadnych sobie nie dawać tonów, nie wynosić się z mego szczęścia, nie chełpić przed panami dworskiemi. Ja zupełnie tak robię; już tydzień moje fawory trwają, żadnej jeszcze nie miałam przykrości. Co nawet powiem ci dziwnego; teraz kiedy byłoby czego zazdrościć, żadna z pań starszych, dawniejszych, godniejszych odemnie, bynajmniej mi nie zazdrości; ani przycinków, ani przytyków żadnych, jak to bywało z początku: owszem grzeczniejsze

dla mnie jak nigdy. Chwalą mnie, całują, mówią że księżna pani ma gust wysmienity kiedy mnie polubiła. Kiedym to onegdaj wujaszкови mówiła, „Fiu fiu!—zawołał zdejmując czapkę i kłaniając mi się—Imość panna Rzeczycka nie żartem w faworach: już jój się łaszą!“ — „Gdzież tam, powiedziałam mu, a mnie biednej dziewczynie o cóżby się kto miał łasić?“ „O niewiniątko!—zawołał raz jeszcze—to ty nieboże myślisz, że one się tak w tobie raptem rozmiłowały? nie, kochaneczko, boją się żebyś im u księżnej pani nie zaszkodziła i dla tego tyle ci afektu okazują. Oho! nie darmom ja szpakowatym przy dworze zostałam! szpak też ze mnie niepospolity, znam się dobrze na tych wszystkich dworskich manewrach: nikt mnie w pole nie wywiedzie.“

Nie wiem sama czy wierzyć wujowi, juźci on starszy odemnie, więćej musi mieć rozumu, i zapewne słusznie mówi. Prawda, żem młoda dziewucha, ale się też nic a nic na dworszczynnie nie znam. Bądź cobądź, to pewna, że jestem w łaskach u księżnej pani; od tego dnia szczęśliwego (który żebym stu lat doczekała całe życie suszyć będę) codzień do jój pokoju przychodzę, codzień śmielėj czytam, i księżna codzień na mnie łaskawsza; już nawet gdy kto z gości przyjedzie, to mnie zostawać każe. Ten numer Polskiego Kurjera muszę koniecznie zkąd dostać; złożę go w kilkoro i wszyję sobie w szkaplerz; jest z siedmnastego Lipca, a jak gazeciarz pisze, z siedmnastego *Julii*; bo i on bardzo często łaciną sadzi; i doprawdy nie wiem jak mnie tam księżna pani rozumie, bo słowa łacińskie tak czytam, jak mnie Pan Bóg nauczył. W tym numerze było prócz różnych nowin z Warszawy, z Poznania, z Lublina, z Piotrkowa, było mówię doniesienie, że we Lwowie wyszła książka pod tytułem: *Rady mądrości albo zbiór maxym Salomonowych*. Po francuzku była ta książka napisana, ale przełożyła ją ojczystym językiem wielka książęcego rodu dama, która już niejedną pracą taką nas zbogaciła. Założyłabym

się że to siostra Taida, bo ona zawsze w swojej celi czyta i pisze. Żebyś wiedziała moja Urszulko, jakem zobaczyła w Polskim Kurjerze wiadomość ze Lwowa, ucieszyłam się niezmiernie, bom pewna była że tam o matce co znajdę, ale nie; gazeciarz chociaż wszystko wie, nie mówił nic przecie w tym numerze o Panien Dominikanek klasztorze. Jest i druga gazeta: *Uprzywilejowane wiadomości z obcych krajów*, tegoż samego; i tę księżnie pani czytam: ale mnie Kurjer nierównie więcej bawi, bo on tylko o Polsce pisze, a mnie daleko bardziej obchodzi co się w moim kraju dzieje, jak to co tam za granicą, i księżna pani tak samo mówi.

Daleko częściej teraz wyjeżdżam z domu, bardzo często ciekawe rzeczy widzę; i tak, wczoraj byłam świadkiem prześlicznego obrządku. Trzeba ci wiedzieć, kochana Urszulko, że tu w Warszawie od lat już kilkunastu jest ksiądz Francuz, nazywa się Bodue, żywy anioł z nieba; przyszło mu na myśl, gdyż ma serce niezmiernie dobre, żeby dla biednych dzieci dom wystawić, taki jak święty Wincenty Paolo wystawił w Paryżu; bo zapewne nie wiesz jak i ja nie wiedziałam, że we wszystkich wielkich miastach są tacy nielitościwi rodzice, którzy dzieci własne topią, zabijają, dla tego jedynie, że ich chować nie chcą, albo téż nie mają za co. Ale ten ksiądz Bodue był ubogi, nic nie miał prócz serca swego; zaczął więc chodzić po domach panów, kupców, rzemieślników: wszędzie prosił żeby mu dawali pieniądze na dom dla sierot. Chodził tak długo, wiele obelg poniósł, złorzeczeń, śmiechu, ale nie zraził się niczém; przy Boskiej pomocy tyle uzbierał pieniędzy, że już założyć ten dom może. Właśnie onegdaj królewiczowie Ksawery i Karol, imieniem króla, pierwszy kamień zakładali; królowa przyjechać nie mogła, bo słaba, ale nie pojmuję jak król ścierpiał, żeby przy tém nie być. To był prześliczny widok; biskup smoleński Hilzen ceremonię odprawił; najeżdżało się mnóstwo panów, a pospólstwa było jak maku. Dom ten będzie stał

w gołym polu, za kościołem Świętego Krzyża, trochę w bok; widziałam rysunek jego: będzie obszerny, wygodny, w czworogran zabudowany; w środku kościół, od ulicy, koło do wkładania weń małych dzieci, a na facyacie ten napis z Psalmów Dawida: *Ojciec mój i matka moja opuścili mnie, Pan Bóg zaś przyjął mnie*; zwać będą ten dom *Dzieciatko Jezus*; bo i Chrystus Pan nasz, także był dzieciatkiem i ubożuchnym na ziemi. Szare Siostry doglądać tych dzieci będą, a jeśli starczy funduszów, mają tam być później i chorzy i waryaci, i wszelkiego rodzaju nieszczęśliwi. O! dajże Panie Boże! żeby te dochody zwiększały się dobroczynnością panów i królów polskich, żeby ten cały zakład utrzymywał się sumieniem i dobrym rządem przełożonych! Bo jakieżto dobrodziejstwo ochronić rodzicom tak szkaradnej zbrodni, niewinnemu dziecku ocalić życie, i dać biédnej sierocie sposób utrzymania się; bo tam dziewczęta robót, a chłopców rzemieślni uczyć mają.

Żebyś ty była widziała, złota Urszulko, tego księdza Bodue onegdaj, jaki on był szczęśliwy! zdawało się po jego twarzy, że już jest w niebie, Boga i aniołów widzi. Jak on kiedy ten dom wystawiony zobaczy, i w nim sierot kilkadziesiąt jego staraniem żyjących i szczęśliwych, to chyba z radości oszaleje. Bo moja droga, musić to być wielkie szczęście własnem staraniem i zabiegami szczęście bliźnich zapewnić; taki człowiek doskonale pokazuje, żeśmy na obraz i podobieństwo Boże stworzeni. Nasi Księstwo nie mało się przyczynili do tego zakładu; jaki ten cały ród książąt Czar-toryskich dobroczynny, to nie do wypowiedzenia; wszak ci to szpital Świętego Rocha, który tu jest w Warszawie naprzeciwko Świętego Krzyża, gdzie wielu chorych wszelką na wygodę, matka naszego księcia wojewody własnym kosztem założyła. O! księżna pani uszczęśliwiona, że przychodzi do skutku zamiar księdza Bodue. Właśnie wczoraj, gdy jój Kurjera czytała, wszedł książę wojewoda i rozma-

wiała z nim o tém: „Szkoda jednak — powiedziała — że nie jaki Polak ten dom założył, nie tak miło brzmią te francuzkie imiona.“ „Moja panno! — rzekł na to książę — wszystko to jedno; kto zrobił, to zrobił, byle ludzkość na tém skorzystała.“ Bywaj zdrowa, moja Urszulko; radabym, żeby ten list ptakiem poleciał i doszedł cię jak najprędzej; matka już wiedzieć o mojem szczęściu musi: ach! jak ona cieszyć się będzie, że i księżna pani się dowiedziała o umiejętności jój Elżbietki.

L I S T P I Ę T N A S T Y.

Z Warszawy, d. 12 Sierpnia 1754 r. we Wtorek.

Bóg widzi, kochana Urszulko, że jeszcze ani razu nie brałam się z taką skwapliwością do pióra, jak dzisiaj; co ja ci też mam rzeczy napisać, a jakich mądrych! czego ja przez jeden dzisiejszy poranek się dowiedziałam, nauczyłam, to podobno więcej niżli przez całe życie? Kogo ja widziałam? kogo ja poznałam? Widziałaś ty kiedy wielkiego człowieka? pewno nigdy; a no! ja widziałam dziś rano. Jakem tylko przysła według zwyczaju do księżnej pani, natychmiast mi powiedziała; „Pośpiesz się z czytaniem moja dziewczeczko, bo wnet ma tu przyjść człowiek, którego wszyscy Polacy uwielbiaćby powinni, prawdziwie wielki człowiek.“ Wielki człowiek! — pomyślałam w duchu — jakżem go ciekawa! Widziałam wielkich panów, widziałam kobiety piszące książki, widziałam cnotliwego księdza, widziałam króla, królowę, ale wielkiego człowieka nigdy. Ukłoniłam się więc księżnie pani i spytałam jój się: „Czy mi pozwoli zostać w pokoju, jak ten wielki człowiek przyjdzie?“ „I owszem,

powiedziała ta kochana pani—zostań! Pan Bóg ci dał wcale dobrą główkę, możesz skorzystać z jego rozmowy.“ Pocałowałam ją w kolana za to pozwolenie, a ośmielona jej łaskawością, poważylam się zapytać jak się ten wielki człowiek nazywa?—„Stanisław Konarski, odpowiedziała łaskawie; jest to ksiądz Pijar, wielki człowiek, gdyż pomimo największych przeszkód, wiele bardzo dobrego zrobił krajowi i chce jeszcze zrobić!“ Tu księżna pani zaczęła wyliczać to wszystko; a ja ci to opiszę, jak potrafię i spamiętam.

Najprzód, trzeba ci powiedzieć rzecz bardzo smutną, której ja się bynajmniej nie domyślałam i która cię także pewno zmartwi; nie dobrze z naszą Polską się dzieje, już oddawna nachyla się ku upadkowi: nie ma porządnego wojska, długim pokojem gnuśnieją Polacy, panowie zbyt kuja, drobna szlachta w ubóstwie, chłopki jak bydłota w nędzy i uciemiężeniu; młodzież chowa się jak sama chce, bez karności, bez porządku; nie ma zgody w narodzie, nie ma rządu; król bezwładny, choćby chciał, nic dobrego zrobić nie może; każdy gada o wolności, obstaje za nią, każdy chce być panem i jest nim, bo robi co mu się podoba; a bardzo ma być źle krajowi, gdzie każdy jest panem; bo nie wiem jakim się sposobem dzieje, ale tam każdy jest niewolnikiem. Sejmy lubo częste, nic złemu nie zaradzają; gdyż taki osobliwy wkraść się do nich obyczaj, że choćby co najlepsze uradzili, jak jeden poseł powie: *Nie pozwalam!* tak wszystko za nic. Bodajby nie żył ten poseł Siciński, który go pierwszy wprowadził; już to sto dwa lat temu, za Jana Kazimierza. Chociem dziewczyna młoda i nie uczona, przecież sama widzę jakim to głupstwem, jaką przeszkodą do wszystkiego jest ten przywilój *Liberum veto* zwany; niektórzy Polacy, osobliwie książęta Czartoryscy, widzą to oddawna z boleścią, ale cała szlachta dałaby się zabić za ten przywilój, nikt więc nie śmiał odzywać się głośno przeciw niemu; pierwszy ksiądz Konarski miał tę odwagę; nie be-

dąc ani bogatym, ani zamożnym, pierwszy się naraził dla prawdziwego dobra Polaków, na ich nienawiść i zemstę: napisał całą księgę przeciwko *Liberum veto*. Szlachta sromotnie gniewa się na niego, pali na sejmikach to pismo; ale on się nie zraża, ciągle pracuje nad zwalczaniem tój poczwy: spodziewa się tego doczekać, czy później, czy prędzej, i w tój nadziei nic mu przykrém nie jest.

Ale nie tu koniec szanownych dzieł jego, posłuchaj jak wiele zrobił ksiądz Konarski, dla lepszego wychowania młodzieży, dla podniesienia języka polskiego, za co serdecznie go kocham. On urodził się 1700 roku, ma teraz lat 54. Do trzydziestego roku życia swego, lubiący nauki, ksiądz, umiejąc dobrze po łacinie, pisał tak jak prawie wszyscy dziś piszą, co to polszczyzna łaciną nastrzępiona. Ale wysłany do Włoch przez zgromadzenie Pijarów, w tym kraju, gdzie wielu ma być uczonych, jak gdyby przejrzał. Wrócił do Polski innym człowiekiem, i w r. 1741 wydał dzieło: *O poprawie wad wymowy*, po łacinie, żeby od mądrych czytane było. Ta jego księga wiele narobiła hałasu, wiele nieprzyjaciół; ale on nie zważając na nic, wydał drugą: *O sztuce dobrze myślenia* i zupełną wypowiedział wojnę terażniejszemu sposobowi pisania, który się *makaronizmem* zowie. Nie dosyć na tém; zostawszy naczelnikiem zgromadzenia Pijarów, urządził jak najrozsądniej ich szkoły; bo jak ci wiadomo, Pijarzy i Jezuiaci trudnią się wychowaniem pierwszych paniczów naszych: to jego urządzenie cztery lata temu, sam papież Benedykt XIV potwierdził i już teraz wszyscy szanować go muszą. Uczono dawniej w szkołach według reguł *Alvara* (tego samego, co to ojciec tchnąć mi nie kazał), te reguły miały być bardzo trudne; ksiądz Konarski napisał sam gamatykę łacińską i teraz według nię się uczą i daleko jest lepiej. Otóż tego człowieka, który tyle dobrych rzeczy zrobił, który tak szlachetnie myśli, że nawet o pieniądze nic nie dba, i biskupstwo odmówił, tego

człowieka, którego po wszystkie wieki, wielkim zwać będą Polacy, ja dziś poznałam.

Szkoda kochana Urszulko, żem zaraz pisać nie mogła tego co oni mówili (bo prawie razem z księdzem Konarskim, przyszedł książe wojewodzie); długo i żywo rozmawiali, a księżna pani tylko im niekiedy dogadywała. Jaki zapał w mowie tego człowieka! jak on kocha swój kraj, jakby chciał ofiarą własnego życia, kupić dla ojczyzny szczęście i wielkość prawdziwą! jak czuje konieczną potrzebę odmiany rządu, zaprowadzenia porządku; jak zagrzewał młodego księcia, żeby on się do tego dzieła przyłożył. „Panie Adamie!—powiedział do niego—zazdroszczę ci tego młodego wieku, jeszcze tyle lat możesz służyć miłej ojczyźnie, tyle dobrego zrobić rodakom; ja już z pola schodzę i nie wiem czy owoc prac moich zobaczę... Ale rośnie młódź szlachetna, która pomyślne nadzieje wróży i ufam w Bogu, że za jej pomocą, oeucony naród polski z letargu lat kilkudziesiąt, albo odzyska dawną świetność, albolitéż — jeśli winą ojców naszych gmach tak podkopany, że koniecznie upaść musi—runie przynajmniej z chwałą i szlachetnym uzacni się zgonem.“

Uważasz Urszulko, jak mi się udało spamiętać te ostatnie słowa; powiem ci jak się stało. Powiedziawszy je ksiądz Konarski się zatrzymał, łzy mu stanęły w oczach i milczał długo. Ja przez ten czas powtórzyłam je sobie kilka razy pocichu i spamiętałam co do litery. Wkrótce zaczął znowu mówić i wyliczał tych młodzieńców, w których pokłada nadzieję zwalenia *Liberrum veto*, ustalenia porządku, poprawy wychowania, oświecenia narodu. Zapewne wielu z nich przepomnę, ale o tych, których nazwiska spamiętałam, napiszę co on mówił. Już to najprzód wymienił księcia wojewodzica, powiedział mu w oczy: „Panie Adamie! bardzo młodym jesteś, lubisz zabawy płoche, rozrywki zajmują cię, ale znam serce twoje; znam duszę prawdziwie polską; wiem że pomimo tego, wcześniej ojczyźnie użytecznym będziesz, wiele nadużyć po-

prawisz, więcęj zrobisz niż ktokolwiek bądź dla wychowania publicznego, dla nauk godnym się okażesz ojca i stryja, i imię swoje w sercach Polaków wyryte zostawisz!“—Młody książę na te słowa rzucił się na szyję księdzu Konarskiemu, dziękując mu, że tak dobrze o nim tuszy; mówił, że to wszystko uczyni, że najprzód musi być posłem i marszałkiem sejmowym, że pod jego laską musi być *Liberum veto* zniesione: że urządzi sam taką szkołę dla młodzieży, jakiej jeszcze w Polsce nie było; że będzie zachęcał nauki, kunszta, będzie wspierał uczonych, będzie śledził we wszystkich klasach ludzi zdatnych, będzie sam pisał.

Trzeba było widzieć radość księdza Konarskiego, gdy on tak z zapałem mówił; a księżnie pani jak się zaiskrzyły oczy, chociaż łyzy jak groch na krosna kapąły, przecież jaśniały jak dwie świece. Ksiądz Konarski wspominał potém o młodych Poniatowskich, o synach siostry księcia pana; jeden z nich Stanisław, który teraz jest w Petersburgu, ma mieć nadzwyczajne w naukach i pięknych sztukach upodobanie. Jeśli ten kiedy zamożnym zostanie, powiedział, uczeni będą się mieli od niego dobrze. Wspominał także z pochwałą o jednym młodym Pijarze, zowie się Onufry Koczyński; ma dopiero lat dziewiętnaście, a tak już wiele łacińskich pisarzy czytał i nad językiem polskim tak pracuje, że ksiądz Konarski widzi w nim nowego ojca mowy ojczystęj. Mówił potém o Jezuitach, ci jako dawniejsi, więcęj jeszcze mają od Pijarów zdatnych i wiele obiecujących subjektów, tak z księży jako z uczniów. Między piérwszymi wymienił księdza Wyrwicza, który ma być tak uczony, jak mało kto na świecie; księdza Naruszewicza, ten do wiersza wielką ma ochotę, i w dziejach świata i polskich bardzo się zagłębiać lubi; księdza Albertrandego: o tym długo mówił, bo księżna nigdy jeszcze o nim nie słyszała. Ojciec jego jest Włoch i nawet nie szlachcic, ale on rodził się w Warszawie, ma polskie i szlachetne uczucia; pamięć zaś nadzwyczaj-

czajną, pracowitość niepojętą, objęcie niesłychane. Bóg wie jakimi językami mówi, a chociaż tak młody, największe ma upodobanie w starych szpargałach; żeby niewiem jak był zamazany rękopism, nikt go nie przeczyta, ksiądz Alberty odrazu, jak gdyby drukowane. Między uczniami zaś mają Jezuici kilku niepospolitych: Ignacego Krasickiego na przykład; on uczy się we Lwowie, wielkiego jest rodu — ma mieć dowcip i zdatność do wiersza rzadką. „Ręczę, że ten będzie nad wszystkich naszych pisarzy sławny!” mówił o nim ksiądz Konarski. Osobliwszy ma mieć także dar ten Krasicki spostrzegania śmieszności i wyszydzenia ich z ręcznie. „A takiego nam też właśnie dowcipu potrzeba — mówił jeszcze — bo mamy wiele śmieszności.“ Drugi znowu także we Lwowie, Grzegorz Piramowicz, rokiem od Krasickiego młodszy; ten rozsądkiem i dobrą postępowaniem nad wszystkiemi celuje i do nauk wielką także okazuje skłonność; przywdzieje niedługo sukienkę: ksiądz Konarski bardzo się z tego cieszy, powiada, że to będzie wzór księży.

No! moja Urszulko, czym ci nie siła mądrych rzeczy nagadała? Co ty mówisz na te dziwy, które się z twoją Elżbietką dzieją? Miałam ci ja mądrego prapradziada. Andrzej Rzeczycki, zdaje mi się w 1585 roku, wydał w Krakowie książkę prawną, bardzo piękną, łaciną napisaną; może więc i ja zostanę kiedy mądrą? ale nie, nie chcę, bo ojciecby się na tamtym świecie gniewał; a wreszcie jakżebym mogła pisać po łacinie i o prawie, kiedy ani jednego ani drugiego nie rozumiem?

L I S T S Z E S N A S T Y.

Z Warszawy, 19 Sierpnia 1754 r. we Wtorek.

Teraz chętnie i co tydzień pisałabym do ciebie, kochana Urszulko, bo mam o czém; codzień siedząc parę go-

dzin u księżny pani, czytając jej różne księgi i pisma, widując znakomite osoby, dowiaduję się bardzo wielu rzeczy; a do tego stopnia jestem w łaskach, że m onegdaj z księżną panią w karecie jechała. Ach! jak też byłam szczęśliwa! jednak cały czas żał mi było, że mnie ani matka, ani ciotka, ani Anulka, ani ty widzieć nie mogli. Wujaszek tylko z moich mnie widział i cieszył się serdecznie. Byliśmy w bibliotece Załuskich; księżna pani powiedziała wyjeżdżając: „Elżbietko! lubisz książki, jedź ze mną, napatrzysz się ich dowoli.“ O prawda! co książek w bibliotece! aż w głowie się przewraca; ma być do dwóchkroć sto tysięcy dzieł, a samych polskich 20,000. Trzebaby żyć ze trzysta lat, żeby to wszystko przeczytać. A jak tam pięknie! jakie są figury kamienne! wszystkich królów polskich widziałam popiersia. Moja Urszulko, jam bardzo temu rada że mnie Pan Bóg Polką stworzył, bo wielu jest cnotliwych Polaków, i wszystko dla miłej ojczyzny poświęcić gotowych. Wystaw sobie, że wszystkie te książki dwaj bracia zebrali; zowią się Załuscy: jeden z nich Józef jest biskupem kijowskim; zbierali je z wielką pracą, z wielkim kosztem i w kraju i za granicą. Biskup wszystkie pieniądze jakie tylko miał, na ten cel obracał, i nieraz na wieczerzę zjadł tylko kawałek sera i chleba, a za to coby miał jaki przysmak sobie kupić, wolał książkę albo rękopism sobie nabyć. O pocziwil niech ich Bóg błogosławi. Już jedenaście lat temu jak ta biblioteka została otworzoną dla całej publiczności: kto chce, może iść do niej i czytać co mu się podoba; mówią że nie jest jeszcze zupełnie dobrze ułożona, ale biskup kijowski właśnie się stara o człowieka zdatnego do jej ułożenia, i podobno że ksiądz Albertrandy będzie do tego użyty. Kiedy lubi stare rękopisma, to się tam nasyci, bo widziałam ich stosy. Księżna pani mówiła, z wielkim szacunkiem o tych Załuskich, oni niezmierną liczbę ksiąg polskich od zupełnego zatracenia wyratowali; a potem wiele bardzo dzieł, które dotąd

pisane tylko były, oni drukować pozwalają: tym drukiem trudni się niejaki pan Mitzler, i prawie w każdej gazecie jest doniesienie o nowej jakiej książce.

Gazety mnie zawsze bardzo bawią, przyjemnie jest wyczytać drukowane te nowinki, które się pierwój słyszy, a przytém wiele innych. Sejm będzie niezawodnie. Bardzo mi się podobał uniwersał króla, czyli odezwa jego do wszystkich swoich poddanych: „Składa on sejm walny zwyczajny na dzień 30 Września 1754 r., zaprasza wszystkich posłów do wspólnego i szczerego nad szczęściem ojczyzny pracowania; powiada, że cokolwiek dobrze życzący synowie, wynajdą do uszczęśliwienia matki sposobów: on do wszystkiego się skłoni, bo w tój okazji bierze na siebie kochającego ojca postać. Pragnie żeby ten sejm nie był zerwany jak przeszły, który wstydliwą zostawił pamięć, ale żeby stał się szczęścia początkiem, i żeby urodzeni posłowie, wybór narodu polskiego, użyli mocy wolnego głosu na ożywienie, a nie na zabicie ojczyzny!“ Prawda Urszulko, że to bardzo pięknie? i w całej odezwie nie ma i słowa łaciny; aż miło! widać że napomnienia księdza Konarskiego skutkują. Mówią że wielu posłów na ten sejm zupełnie polskie będą miewać mowy; daj Boże! albowż to każdy po łacinie umie? Na tego gazeciarza to mnie czasem złości biorą; zwyczajnie w najciekawszym miejscu słowo łacińskie wsadzi, i wiedzieć nie można co pisze. Naprzykład bardzo często są takie kawałki: „Jaśnie Wielmożna ta a ta Pani, tego rodu, tych cnót *falis cessit* albo *desiit vivere*; Jaśnie Wielmożny ten i ten Pan *super-venerunt*, albo *perrexit*. Trzeba być prorokiem, lub też umieć po łacinie, żeby wiedzieć co im się stało. Ale co uważałam szczególniej w Kurjerze Polskim? pełny jest szafunku łask króla; najwięcej takich znajdziesz artykułów: „Jaśnie Wielmożny ten i ten, otrzymawszy od Króla Jego-mości, to starostwo, ten urząd, tę godność, wyjechał z Imością swoją do dóbr tych i tych.“ Jak się ci panowie nie

wstydzą tak brać a brać, kiedy już tyle mają. Już teraz się nie dziwię, że szlachta uboga a chłopci w nędzy; panowie wszystko zabierają, cóż im się ma zostać niebożętom?

Zaczynają mnie bawić i wiadomości z obcych krajów, a wiesz dlaczego? bo w niektórych kobiety panują. W Austrii, Marya Teressa z mężem wprawdzie, ale jakoś więcej o niej mówią; na tronie francuzkim zasiada Polka; choć nie ona rządzi, przecież wiadomości z Paryża najciekawsze są dla mnie; bo zawsze myślę, że się czegoś o Maryi Leszczyńskiej dowiem? Rzadko jednak gazeciarz o niej wspomina, częściej panowie polscy przybywający z obcych krajów o niej mówią. Ma to być rzadkiej cnoty i pobożności pani, a nie bardzo szczęśliwa; mąż jej Ludwik XV nie kocha jej, a Pan Bóg zabiera jej dzieci; dwa lata temu, straciła córkę Henrykę 24-letnią: teraz mówią, że Delfin syn jej ukochany, a mąż córki naszego królestwa, słaby, gaśnie pomału. Stanisław Leszczyński jej ojciec, były nasz król, siedzi sobie spokojnie w Lunewilu. Polacy się na nim nie poznali a Lotaryńczycy, których jest księciem, uwielbiają go jak jakie bóstwo; i Marya Leszczyńska i on wcale nie zapomnieli o Polsce: niezmiernie Polakom radzi, jak na ich dwór zawitają. Królowa pisuje tu do swoich krewnych po polsku, i takby rada światło rozkrzewić w Polsce, że niedawno księżom Missyonarzom tutejszym, przysłała w podarunku bardzo wiele ksiąg o wysokich naukach i narzędzia do tych nauk. Takiż sam dar spotkał Jezuitów w Poznaniu. Bardzo ją kocham, gdybym kiedy królową została, taką byłabym jak ona.

Od czasu ostatniego mego listu, widziałam raz księdza Konarskiego; mówił wiele i pięknie: jaka szkoda, że ty choć portretu jego mieć nie możesz, a twarz jego bardzo miła i otwarta. Coraz więcej go uwielbiam i kocham; ale prawda, że wielu ma nieprzyjaciół, sam wujaszek mój nie bardzo mu sprzyja: właśnie wczoraj, kiedym mu

powtarzała jego słowa, on powiedział: „Książd przemądrzał, i nie wie sam co baje! lepiejby patrzył brewiarza. Nasi ojcowie, którzy trochę więcej mieli od niego oleju w głowie, zawsze mawiali: *Polska bezrzędem stoi!*”

„Kto ma słaby umysł, kto chce koniecznie słuchać, i jakby do tego się urodził, ten naszój wolności przygania; a to *Liberum veto*, które onby chciał zwalić, to klejnot szlachectwa, najdroższe oczko nasze, i chyba książd nie szlachcic, kiedy takiego przywileju chce szlachtę pozbawić.“ Moja Urszulko, komu tu wierzyć? prawdziwie aż się w głowie przewraca; byłam daleko sobie swobodniejsza, kiedy o tém wszystkiém niewiedząc, Bogu duszę byłam winna; a przecież zapomnieć tego wszystkiego bym już nie chciała, bo mi się wydaje, że dwa razy tyle warta jestem teraz. Bywaj zdrowa!

Tego samego dnia w wieczór. Dopisuję jeszcze słów kilka do mego listu i wiem, że się o to gniewać nie będziesz; posyłam ci bowiem kopią listu królowej francuzkiej: wystaw sobie, zem jej własnej ręki pismo widziała, czytała i przepisała. Pismo królowej! Patrz, na co to twoja Elżbietka wyszła. Dziś rano gdym była u księżnej pani, przyjechała księżna Jabłonowska kasztelanowa krakowska, kuzynka królowej francuzkiej i ten list, który wczoraj odebrała przywiezła. Księżna kazała mi go przepisać: jakem się też siliła i starała, ale mi się wcale nie zgorzój udało. Oto jest ten list. Czy też ty myślałaś kiedy, że ja ci królewskie pisma przesyłać będę.

„Już wiele, kochana kuzynko, jakem do ciebie nie pisała; przypominam tu moje lenistwo i dziękuję za to coś mi przysłała, jestto bardzo ciekawe. Radam tu bardzo naszym paniom polskim; jedna już odjeżdża. Księżna Lubo-

mirska i pani Stumieniecka jeszcze tu zabawią, dla zdrowia mając do wód jechać; grzeczne obydwie, każda w innym sposobie. Wiesz kuzynko, jak kocham Polskę, sądzić więc możesz, jak jestem szczęśliwą widzieć je: ale coby za moja pociecha była, gdybym cię jeszcze raz widzieć mogła. Przepraszam cię kuzynko, za mój styl tak poufały, ale się tak jeszcze lepiej wyraża. Ściskam cię serdecznie kochana kuzynko.

Paryż, 10 Czerwca 1754 r.

M A R J A.

Prawda, Urszulko, że widać po tym liście, że królowa dobra być musi. Książę pan mówił, że ten list niekoniecznie dobrze napisany, a młody książę powiedział: że to z francuzka po polsku—ale jakże się temu dziwić, królowa szósty rok miała, jak wyjechała z Polski; od tego czasu nieboga zawsze koło siebie szwargotanie francuzkie słyszy. Dobrze że nie zapomniała zupełnie!

L I S T S I E D M N A S T Y.

Z Warszawy, 29 Sierpnia 1754 r. we Środę.

Moja kochana Urszulko, jak się kiedy zobaczymy, to ty mnie pewno nie poznasz, ja zupełnie wymądrzeję; jak ja też wielu rzeczy dziwnych i pięknych się napatrzę! możnaby sto lat w klasztorze siedzieć i nie widzieć nic podobnego. Przez ten jeden tydzień byłam dwa razy w teatrze, i widziałam rozmaite ciekawości, a zawsze z księżną panią. Raz byłam w teatrze w kollegium księży Pijarów, a drugi raz

u dworu. Sama nie wiem gdzie się lepiej zabawiałam. Śmie-
sznać to rzecz widzieć grających. Z początku śmiać mi się
chciało, myśląc sobie, że ci studenci poprzebierali się i uda-
ją; ale potem zapomniałam zupełnie, że to udanie, i spłaka-
łam się serdecznie. Bo u Pijarów to nie aktorowie płatni,
ale studenci, najpierwszych domów panicze, dla zabawy i dla
ćwiczenia się w pięknej mowie, różne tragedye i komedye
grają. Tego wieczora grali Alzyrę, bardzo piękną i praw-
dziwie chrześcijańską sztukę; uczy doskonale jak chrześci-
janin największym nieprzyjaciołom przebaczać powinien.
Ten pan Wolter, który ją w francuzkim języku napisał, musi
być człowiek bardzo pobożny. Wystaw sobie, że mężczyźni
udawali kobiety; Jan Sołłohub, bardzo ładny kawaler, prze-
brany był za Alzyrę, a kasztelanie Konarski za jej powier-
nicę. Na teatrze dworskim przyznam ci się, więcej mnie
bawiło uważać na osoby patrzące niżeli na aktorów, bo mó-
wili i śpiewali po włosku; a jak wiesz, ja zupełnie tyle
umiem po włosku co i po łacinie, to jest ani słowa. Je-
dnak i tam być bardzo zabawnie i zaszczyt wielki, znajdo-
wać się w jednej sali z królestwem i z tylą znakomitych
panów. Przymem też roznoszą różne chłodniki i łakocie;
częstują niemi wszystkich, i ja tyle słodyczy zjadłam, że mi
aż ckliwo się robiło. Ale co ci powiem szczególnego? nie
wiele było osób patrzących; pierwsze miejsca pełne, a dal-
sze prawie zupełnie próżne. Król jednak chciałby koniecznie
żeby sala napełnioną była; dworskim swoim, dworzanom
wielkich panów, wojskowym rozdawać każe bilety, oni prze-
cież nie przychodzą. Wujaszek naprzykład dwa razy na ty-
dzień we Wtorek i w Piątek mógłby bywać na tym teatrze,
a nigdy nie bywa. Pytałam go się właśnie wczoraj o przy-
czynę? „Moja dziewczeczko! — odpowiedział mi — kiedy czło-
wiek nad wieczorem uwolni się od ważnych obowiązków
służby swojej, woli sobie pójść do jakiej gospody, albo do
przyjaciela, pogawędzić, naśmiać się dowoli, podochocić

sobie wytrawnym miodkiem, albo węgryzнем. Co mi za niewola iść na ten teatr! siedzieć jak lalka na niemieckim kazaniu, i oblizać lodów albo limoniadki; to istna ślinka: ani to człowieka pożywi, ani zagrzeje, ani rozweseli. Jak mi kto zaśpiewa krakowiaka, mazura albo polskiego utnie, to mi aż nogi drgają; ale tych włoskich trelów polskie ucho bynajmniej nie rozumie.“ Poniekąd to on i słusznie mówi, bo napatrzwszy się raz królestwa i przytomnych panów, nudno być musi nie rozumieć tego co aktorowie prawią; i mnie to już ku końcowi zaczynało korcić.

Moja Urszulko, w tej Warszawie, człowiek często ma tę przykrość, że nie rozumie co koło niego mówią; mężczyźni najczęściej między sobą prawią po łacinie, wielkie panie prawie wszystkie, osobliwie też młode, szczebiocą po francuzku, na teatrze dworskim mówią i śpiewają po włosku, a wojsko konderują po niemiecku. Dziwnie się to wydaje, mając swoją mowę, szukać obcych; ale cóż poradzisz, już taki Polaków obyczaj; możeć da Bóg, że się kiedyś z tego nałogu poprawią, osobliwie jeśli więcej będzie obywateli do księdza Konarskiego podobnych; i w moich przynajmniej oczach to zupełnie rzecz szczególna kochać kraj swój, a nie miłować języka. Ale na początku tego listu pisałam ci, że różne ciekawości widziałam. Widziałam najprzód nosorożca; jest to zwierz ogromny, koloru czarniawego, bez sierci, skórą grubą jak dłoń przykryty, prawdziwie straszny; na nosie ma róg, a oczy bardzo małe; zjada na dzień 70 funtów siana i 26 funtów chleba, wypija 14 wiader wody; ma dopiero lat 15, a może żyć 150. Mój Boże! on nas wszystkich przeżyje! Jego może jeszcze za pieniądze pokazywać będą, kiedy moje kości, a co gorsza twoje, już oddawna zgniją w ziemi. Ale on też jak raz padnie, to i powszystkiem, a nasze dusze wiecznie żyć będą. Lepiej więc żyć krótko na tej ziemi, a być człowiekiem! Oby tylko Bóg dopomódz raczył do pozyskania szczęśliwej wieczności!... Widziałam także Anglika, który

na rozciągniętym drucie chodzi, tańczy i dziwne sztuki wyprawia, jakichby drugi na podłodze nie potrafił; widziałam jeszcze pieska bardzo umiejętnego: imiona składa z liter jakie chcesz, i rachunki umie doskonale. Bardzom temu rada żem te dziwy widziała; a na te wszystkie ciekawości dla panów niema żadnej tacy; zostawiona jest ich grzeczności i pańskiemu humorowi: i wybornie właściciele na tym koncepcie wychodzą. Panowie polscy tacy wspaniali i szczerzy! Jakeśmy byli, książę pan rzucił sześć holendrów na tackę, a nie było nas jak czternaście osób, nawet już z liberyą rachując.

Poznałam także temi dniami drugiego brata księcia pana, o którym dawniej mówi ci przepomniałam, księcia Teodora biskupa poznańskiego. Ochmistrzyni nasza szczególnie mi o nim opowiadała rzeczy. Jest to wielki pan, mający znaczne dochody, chowa dwór znaczny i żołnierza nadwornego; ale ma osobliwe jakieś upodobanie żywić i utrzymywać ludzi nie patrząc na nich. Ma około Poznania wieś Ciążeń zwaną, z wspaniałym pałacem i ogrodem, rezydencyą biskupów poznańskich, ale on tam nigdy nie mieszka; chociaż tam bawi dwór jego cały, tam kuchnia, piwnica, kapela, stajnia: on sobie siedzi w Dolsku, miasteczku o siedm mil odległym, o jednym dworzanie, o dwóch lokajach i hajdukach, o jednym strzelcu i kucharzu, i o jednym zaprzęgu koni. Kiedy chce wyprawiać ucztę obywatelom albo przyjacielom, wtedy pisze do marszałka, żeby przybywał z częścią dworu; a po skończonej gali, wysyła go jak najprędzej na powrót do Ciążenia; kiedy zaś ma zjechać do Warszawy na sejm, albo na jaką uroczystość, wysyła naprzód dwór swój: ten paradnie, powoli, w niezliczonych powozach gościńcem prostym ciągnie; a on zaś inną drogą, jedną kareta i kuchennym wozem najczęściej pocztą pędzi. Już ten nie urodził się na pana polskiego; ja daleko więcej humoru pańskiego w sobie czuję: gdybym się była urodziła księżną, musiałby

mnie otaczać zawsze dwór liczny, i byłoby u mnie suto i wesoło. Pannom dworskim wyprawiałabym co tydzień wieczere z tańcami, i musiałyby nietylko porządnie, ale pięknie być ubrane. Ale inaczej się stało, książę biskup ze swoją skromnością wielkim jest panem, a ja z moim pańskim humorem ubogą dziewczyną. Musi tak jednak być lepiej, kiedy Bóg tak urządził. On wie lepiej od człowieka, czego każdemu z nas potrzeba. I żarty na stronę, mnie się tam ani śni o wielkich bogactwach, o dworze okazałym; wioszczyne małeńką z ladajakim domkiem, gdziebym przy matce i z siostrą spokojnie mieszkać mogła, rodzicielski chleb jeść, to wszystkie życzenia moje, i nadzieja w Bogu, że się spełnią czy prędzej czy później.

L I S T O Ś M N A S T Y.

Z Warszawy, 5 Września 1754 r. we Środę.

Kilka liter dziś do ciebie napiszę, nie więcej, złota Urszulko, bo jutro wyjeżdżamy z Warszawy. Książę pan i książę wojewodzie zostają, ale księżna jedzie do Puław, gdzie się znakomitych spodziewa gości; a ztamtąd do Sieniawy, do dóbr, które ma po ojcu. Ja się niezmiernie z tego cieszę, bo Sieniawa tylko o ośm mil od Lwowa; może Bóg da że kochaną matkę zobaczę, a będąc bliżej, prędzej o nią księżnie pani co powiem. Gdyby nie ta nadzieja, żałowałabym trochę Warszawy, a jeszcze w czasie blizkiego sejmu, mogłabym nabyć wiele nowych wiadomości; ale ponieważ księżna pani ciągle na mnie łaskawa, czytywać sobie każe

i rozmawia ze mną, wszędzie rozumu przybywać mi będzie. Bywaj zdrowa; mamy wiele roboty przed wyjazdem: spieszyć się trzeba.

L I S T D Z I E W I Ę T N A S T Y.

Z Sieniawy, 1 Października 1754 r. we Środę

Już blisko od dwóch tygodni jesteśmy w Sieniawie, kochana Urszulko, a ja matki jeszcze nie widziałam i nic o niej księżnie pani nie mówiłam. W Warszawie zdawało mi się, że skoro za rogatki wyjedziemy, zdarzy mi się sposobność przemówienia, a teraz widzę, że daleko było łatwiej mówić w Warszawie, i ani wiem dlaczego tego nie zrobiła; tam był i wujaszek, tam był i książę pan. O Boże! Boże! kiedyż ja co powiem za matką, kiedy ja się z nią zobaczę? Drży mi serce gdy sobie pomyślę, że ona tak blisko; radabyłam ptakiem do Lwowa polecieć, ale nie mam skrzydeł i nie mogę. Tak mi było pilno przyjechać do tej Sieniawy, jak gdybym do matki jechała; a przyjechawszy widzę, że to jedno, czy być o 50 czy o ośm mil: tak samo matki ztąd nie widzę, jakiem jej nie widziałam z Warszawy. Jechaliśmy tu prawdziwie rzemiennym dyszlem, bośmy wstępowali w różne miejsca, czasem o kilka mil z drogi. Byliśmy najprzód w Sulgostowie u wojewody Swidzińskiego; zacy też to pan; ma dwóch synów: Michała i Ignacego, dwie córki młodzusięńkie, Bonę i Maryannę, urodziwe, dziwnie przyjemne i dobre paniątka. Tam nam radzi byli, co się zowie; księżna pani pół dnia tylko bawić miała, ale ani jej chciał puścić pan wojewoda: pozdejmować kazał koła od powozów i musiała na noc zostać. Podobno ani ona, ani

nikt z jej dworskich nie gniewał się o to, bo nam wszystkim w Sulgostowie bardzo dobrze było. Zamożni państwo, a hojni i gościnni, aż miło. W Puławach także byliśmy, jak gdyby wstępując tylko na dwa dni; ale te dwa dni huczne były. Żona ministra królewskiego *Brühla* i grafowa *Bellegarde*, zjechały tam; to bardzo znakomite osoby. Wymyślała też im księżna pani różne zabawy: sprosiła całe sąsiedztwo; były tańce; kazała przyjść całemu dworowi do złotej sali: tańcowaliśmy na zabój, a dla zabawy gości, chłopcy nawet pokojowi, umiejący gładko tańczyć kozaka, mazura i krakowiaka, popisywali się ze swoją umiejętnością. Nie pamiętam jak żyję, żebym się tak wytańcowała i tak zabawiła; aż mi smutno było nazajutrz, bo nogi drgały jeszcze do tańca i muzyka szumiała w uszach, a tu jechać kazali.

Wstępowaliśmy wyjechawszy z Puław jeszcze we dwa miejsca; a już niedaleko będąc Sieniawy, księżna pani zboczyła do Jarosławia, miasta do niej należącego i tam zjechała się z panią ordynatową Zamoyską. Byliśmy świadkami tkliwego obrządku. Pani ordynatowa właśnie wyprawiała za granicę syna swojego Andrzeja. W kościele Panny Maryi była msza śpiewana, słuchał jej młody ordynat kłęcząc przed ołtarzem; po mszy świętej dał mu ksiądz błogosławieństwo, matka go także przeżegnała i uścisnęła, i prosto z kościoła ruszył w drogę, w towarzystwie jakiegось barona *de Saint Pol*. Pewna jestem, że mu się nic złego w podróży nie stanie. Kto z Bogiem i z matką, ten bezpieczny. Biędna pani ordynatowa, tak rzewnie płakała; syn kilka lat w cudzych krajach ma gościć. Księżna pani bardzo młodego ordynata chwaliła; ma mieć duszę wielką, sposób myślenia szlachetny, w naukach wielkie upodobanie; choć taki młody, już bardzo lubi zgłębiać rozmaite prawa, któremi ludy się rządzą. Nie zawstydzi on pięknego rodu Zamoyskich i może kiedy Andrzej stanie obok wielkiego

Jana. Księżna pani mówiła: „Bardzo żałuję, że niemam drugiej córki, zarazbym mu ją dała.“

W Sieniawie podobne prowadzimy życie jak i wszędzie, z tą jednak różnicą, że księżna pani więcej ma czasu i dłużej sobie czytywać każe. I tu nam przysyłają z Warszawy Kurjera i Gazetę, a oprócz tego czytujemy różne książki. Pan Nicolai księgarz warszawski, wydaje w kilku tomach: *Zbiór Rymów wierszopisów żyjących*, lub naszego wieku zeszytych; księżna pani przywiozła z sobą dwa tomy: pierwszy, zawiera w sobie godne prace i poetyczne zabawy pani Drużbackiej; drugi, rozmaite trajedye i dramy, a najwięcej nabożnych, jako to: Józef od braci poznany, Ofiara Abrahama, Męka Zbawiciela, Nawrócenie ś. Augustyna; w świąteczne dni i piątki czytać sobie każe księżna pani nabożne rzeczy, a w powszednie świeckie. Pani Drużbackiej pisma najmiliej mi czytać, dla tego żem ją widziała.

Prawie tu równie dworno jak w Puławach i w Warszawie, gości huk; w Przemyskiej ziemi bardzo zaeni i majetni obywatele mieszkają, i bardzo do księcia jako do swego wojewody przywiązani; od tego też czasu jakieśmy do Sieniawy zjechali, śpieszą z powitaniem księżnej. Ona wszystkich uprzejmie wita, łaskawie przyjmuje i powiada, że nigdzie jej nie jest tak dobrze jak w Sieniawie, nigdzie tak wesoło się nie bawi. Wierzę, tu dziecinny wiek spędziła, i pierwsze lata małżeństwa swego z księciem wojewodą; Sieniawa od jej ojca wielkiego hetmana imię i początek wzięła; ja tylko tyle żem się urodziła w Topolówce, i kilkanaście lat w niej strawiłam, a tak ją serdecznie kocham; i lubo nas tam srogie nieszczęście spotkało, przecieźbym ją kiedy obaczyć rada. Prawdę jednak mówiąc, nie bardzo to piękne miejsce ta Sieniawa; ani jej równać można z Puławami albo z Willanowem: smutna, niepozorna; jeden San, który płynie niedaleko ożywia ją nieco; dom

obszerny ale nie wspaniały, ani podobny do książęcego pałacu; zabudowania drewniane i niskie, ogród nie wielki i niezbyt dawno założony; są w nim już jednak dosyć piękne piramidy świerkowe. Z całej Sieniawy najlepiej mi się podoba dziedziniec, obszerny i piękny, zasadzony lipami szczególnego gatunku. Sprowadzono dawniej te lipy z Gdańska na statkach wracających Wisłą do Polski; zowią je holenderskiemi, rosną niezmiernie wysoko i liść mają większy nad pospolity. Widziałam w Wysocku chłodnik z takich lip, zasadzony ręką króla Sobieskiego, kiedy z wiedeńskiej wyprawy powrócił. Wysock jest to wieś o dwie mile od Sieniawy leżąca, należy także do księżnej pani: byłam tam z nią w zeszłą niedzielę, i bardzo mi się podobało. Ten chłodnik szczególnie, który *lipnikiem* zowią, dziwnie już jest piękny i wspaniały. Kocham króla Jana, że tak drzewa lubił i tyle ich sadził; po całej Polsce miłe i trwałe zostawił po sobie pamiątki.

Od księcia pana i od księcia wojewodzica częste bywają listy. Posłowie zjeżdżają się na sejm, onegdaj miał się rozpocząć. Nuncyusz papieżki arcy-biskup Serra, wjazd swój odprawił do Warszawy; szkoda żem tego nie widziała, bo jak piszą, było paradnie. Książę wojewodzie wybornie się bawi, poluje z królewiczami w okolicach Warszawy; często bywają u dworu koncerty, *asamble*, dwa razy w tydzień komedye. Nie obiecują się tu książęta, aż po wyjeździe królewskim, chyba na święta Bożego Narodzenia. Do téj pory pewno się już coś w moim losie wyświęci.

L I S T D W U D Z I E S T Y.

Z Sieniawy, 17 Listopada 1754 r. w Piątek.

Nie pisałam już do ciebie kochana Urszulko czas bardzo długi, dla dwóch przyczyn. Najprzód wujaszka tu nie ma, został z księciem panem w Warszawie, trudniej mi więc przesyłać listy; powtóre, smutna jestem: a po co pisać, kiedy kto smutny, i martwić kogoś drugiego? Już drugi miesiąc jak blisko matki jestem, a raz tylko miałam od niej wiadomość; zdrowa wprawdzie i ciotka przeorysza toż samo; ale już ten chleb z łaski, kością w gardle jój staje, i już mnie sama przynaglać zaczyna, żebym mówiła; a ja milczę gdyby mruk jaki; codziem sobie mówię wstawszy rano: już dziś księżnie pani wszystko powiem; idę na zwyczajne czytanie zawsze w tój myśli, a jak zasiądę przy niej, odkładam do jutra; i tak dzień za dniem schodzi: każdego wieczora gniewam się na siebie, każdego poranku to samo robię.

Dziś i przez tydzień przynajmniej niepodobieństwo wyrzec i słowa; żebym się z taką prośbą wybrała, bo księżna pani bardzo zmartwiona: właśnie dziś bojar z Warszawy przyjechał i przywiózł jój listy i gazety. Sejm się już rozszedł, przerwał go pan Strawiński, poseł starodubowski i sam uciekł. Pięć tygodni zeszło izbie poselskiej na niczém, na samych sprzeczkach, kłótniach; nawet na obranie marszałka zgodzić się nie mogli. Przewodził przez cały czas marszałek starój laski, to jest zeszłego sejmu, Massalski, i nic a nic nie uradzili. Księżna pani i smutna i gniewa się. „Żeby białogłowy z całej Polski się zjechały—mówiła—toby może więcej dobrego zrobiły!“ Kiedym jój czytała ostatnią mowę marszałka Massalskiego (bo przy-

słał ją książę pan) rozplakała się rzewnie; prawda, że i ja bez łez czytać jój nie mogłam. Marszałek wyraził żal i nieukontentowanie króla, i tak powiedział żegnając izbę powska: „Pókiż Opatrzność cierpieć będzie rozpasaną na występki rzeczpospolitę? do jakiego końca pędzą nas te niepołamowane nałogi? obraca się walna rąda w urąganie, sejmy imieniem tylko, nie rzeczają się szczyją. Łatwo zgadnąć co nas czeka, a nie postrzeżemy zguby naszój, chyba w środku upadku!“... „O! niechże ja już wtedy nie żyję!“ zawołała księżna pani, gdym jój te słowa czytała. Książę wojewodzie pisał także z wielkim gniewem na ten sejm ohydny! Co tam z księdzem Konarskim dzieć się musi? Ubędzie mu na dziesięć lat życia z wielkiego zmartwienia. Nie mogę dłużej pisać, księżna pani tak na mnie łaskawa, że ze wszystkich panien swoich, mnie jedną dopuściła do zaszczytu pomagania jój w bardzo pilnej i pięknej robocie. Robi dla księcia pana prześliczny czaprak; na ponsowym aksamicie haftuje jedwabiami, srebrem i złotem, cyfrę, herby księcia wojewody, a to wszystko w precudnych wieńcach. Przy tak krótkim dniu wolno jój idzie robota, wezwała mnie więc do pomocy. Jakże jój z całego serca pomagam, jak się sadzę, jak się staram, łatwo pojdziesz. Jeszcze bardzo mało zrobionego, biegnę więc do krosien. Bywaj zdrowa!

LIST DWUDZIESTY PIERWSZY
I OSTATNI.

Dnia 28 Grudnia 1754 r. z Sieniawy.

O kochana Urszulko! jaki téż ten Bóg dobry! jacy księstwo jedyni! co za szczęście niepojęte i niespodziewane! Wnet droga matka wróci do dawnego bytu swego, bę-

dzie miała własny kawałek chleba, i to przezemnie... O Boże! Boże! nie posiadam się z radości; nie wiem sama co piszę, nie wiem jak ci to wszystko porządkiem opowie dzieć potrafię!.. Jużem do matki pisała, sam książę pan kazał wysłać bojara do Lwowa, przypisał się do mojego listu... Matka tu przyjedzie, ja ją zobaczę, ja jój nogi i ręce ucałuję, już nie będzie na łasce... O Boże! Boże! czyż ja godna takiego szczęścia?... Ale niechże ci powiem jak to się stało? Pisałam ci podobno o tym czapraku; dobrzem robiła, zem się do niego śpieszyła; warto było i oślepnąć nad nim: on szczęście matki sprawił... Drogi czaprak! na zawsze drogi! pocałowałam go wczoraj, jak nikt nie patrzył. Ale cóż? ja widzę, że nigdy nie zacznę.

Otóż jak wiesz, pracowałam koło tego czapraka przez miesiąc cały, od rana do wieczora nad nim siedziałam, a nawet księżna pani także codziennie pilnie koło niego robiła, ale jeszcze daleko mu było do końca. Wtém przyjeżdża bojar z doniesieniem, że książę wojewoda niezawodnie na wigilję zjedzie i solenizanta księcia wojewodzica przywiezie. Trzy dni tylko było do wigilii, księżna pani się cieszy, że mąż i syn przyjadą, ale się trapi, że czaprak nie będzie skończony. Widząc to, proszę ja kredencera o świec woskowych kilka, przysiaduję w nocy, i właśnie w poranku dnia tego, kiedy książę pan przyjechał, kończę robotę. Księżna pani była uszczęśliwiona, darowała mi prześliczną suknię i pocałowała mnie w czoło. Ale nie na tém miał być koniec. Dzień przyjazdu książąt był dniem powszechnej radości. Księcia wojewody dawno tamtejsi dworscy i obywatele nie widzieli, a co młodego księcia, to już od lat kilku. Cisnęli się więc goście tłumem, by ich powitać i zjazd był niezmierny, cisnęli się też i domowi. W wieczór suta była wieczerza, książę pan bardzo żałował, (a my dziewczęta jeszcze bardziej), że adwent, bo bylibyśmy tańcowali. Obiecał nam to nagrodzić w dzień świętego Szcze-

pana, jakoż i tak się stało; ale wróćmy do szczęścia mego. Nazajutrz rano po przyjeździe książąt, ledwie wstała i ubrać się zdążyła, przysłała księżna pani hajduka, z rozkazem, żebym do niej przyszła. Biegnę, wchodzę do jej pokoju i zastaję księcia pana. Stał przed stołem, na którym czaprak był rozłożony, chwalił niezmiernie robotę, a księżna pani mu mówiła: „nie miałbyś go i za rok, gdyby nie Elżbietka: oto jeszcze czerwone ma oczy, tak nad nim ślepią!”

„Bardzo ci wdzięczny, moja panno—powiedział na to książę—kazaliśmy cię przywołać, bo radbym ci tę piękną pracę odsłużył, a nadewszystko tę przychylność ku mojej żonie i ku mnie nagroził. Wiem, że cię księżna jmość lubi, więc tobie moja panno na niczém nie zbywa; ale musisz mieć rodziców, braci, możebym się im przysłużyć potrafił. Mów śmiało!” Nie mogło być pory lepszej do wynurzenia téj prośby, która już od ośmiu miesięcy na mojem sercu ciężyla; westchnęłam szczerze do Boga i całą przygodę naszą od początku do końca opowiedziałam, z większą śmiałością, niżlim się kiedy spodziewać mogła. Był to prawdziwie cud łaski Boskiej. Rozczulili się księżtwo oboje, księżna pani mnie łajała, żem jej przez tak długi czas nic o tém wszystkiém nie mówiła; książę pan zdziwił się zaś mocno nad nieludzkością komisarza klucza gronowskiego. Natychmiast kazał zawołać pana szatnego, który wraz z książętami przyjechał; przyszedł wuj, i lubo przez zęby cedził słówka, przecież potwierdził prawdę powieści mojej. Książę pan tak mi wtedy powiedział: „Bądź zupełnie spokojna moja dzieweczko, sprawiedliwość zostanie wymierzoną matce twojej; ja o niej i o całym twém rodzeństwie będę miał staranie.” Księżna pani dodała łaskawie, że sądząc po mnie, cała rodzina Rzeczyckich godna jest opieki.

Co się ze mną wtenczas działo, tegoby i siostra Taida i pani Drużbacka, opisać nie potrafiły. Byłam jak błędna;

tyle razy mi się już śniło, żem księżnę panią za matką prosiła, że nie wiedziałam sama czy wierzyć, czy nie wierzyć temu co się działo? czy Bogu, czy księstwu dziękować? Padłam nareszcie na kolana i wiem, że jakby zapomniawszy o przytomnych, podniosłam ręce do nieba, i te słowa tylko wyrzekłam: „Dobry Boże! zapłać im!“ Pamiętam, że księżna pani miała łzy w oczach i że mnie jak rodzoną córkę uściskała. Wiem od wuja, że książę pan już wydał rozkazy stosowne do wypełnienia swojej obietnicy. Jeżeli matka będzie chciała, to wróci do dawniej dzierżawy; jeśli nie, to jój książę dożywotnie na niską cenę w kluczu wysockim wioskę z domkiem porządnym wypuścić każe. Zapewnie to obergerze, bo rodem jest z przemyskiej ziemi, ma tu pewno krewnych jakich, a Ukraina na śmierć jój zbrzydła.

Wysłuchał więc Bóg dobry życzeń moich. Wuj szczęśliwy i powiada, żem to wszystko winna jedynie radom jego. Książę pan, braci obudwóch chce wziąć do dworu swego, ale co ja, to nie będę z matką mieszkać; księżna pani mi już wyraźnie oświadczyła, że mnie nie wypuści, póki mi się dobry mąż nie zdarzy, a wtedy i wianem opatrzy. Wystawże sobie złota Urszulku szczęście moje, nie długo matkę zobaczę, bo niezawodnie lada dzień tu zjedzie; nie będzie już nigdy na cudzym chlebie, będę ją mogła widywać często, bo księżna pani zabawi czas jakiś w Sienawie. O wielki Boże! dziękuję Ci za te wszystkie łaski Twoje! Dziękuję Ci, że tak dobroczynnych panów dajesz Polsce! błogosław, przechowuj ród książąt Czartoryskich w najdłuższe lata! niech wnuki, prawnuki, piastują cnoty babki i dziada, niech będą zawsze przez dobroczynność swoją, nieszczęśliwych pociechą i podporą, Polski chlubą i chwałą!

OBJAŚNIENIA

do dziewiątego listu Elżbiety Rzeczyckiej.

Czas, który pani Hofmanowa za tło listom Elżbiety Rzeczyckiej obrała, był przeważnie, rzechy można, czasem oligarchicznym dziejów naszych. Jakkolwiek w Piastowskich już wiekach możnowładztwo rozwinęło się w Polsce i zawsze pomimo wrzekomiej równości szlacheckiej na kierunek jej losów wielki wpływ wywierało, nigdy przecież cała historia narodu tak zupełnie w historię pojedynczych rodzin nie wsiąknęła, jak właśnie w tej epoce, od powtórnego objęcia rządów przez Augusta II-go, Sasa, aż do śmierci jego syna i następcy Augusta III-go. Gorliwie też polecamy czytelnikom i czytelniczkom niniejszej powieści, aby się starali koniecznie z biografiami wszystkich w niej wspomnianych wielkich panów zapoznać, a tymczasem uzupełniamy tylko, lub prostujemy niektóre szczegóły odnoszące się do głównie występujących w niej osób, to jest mianowicie do rodziny Czartoryskich; posłużyć to może nawet do lepszego zdania sobie sprawy z następującego zaraz po Listach dziennika Franciszki Krasińskiej.

Elżbietka o nich pisze to, co wówczas upowszechnionem było mniemaniem, że od Jagiellonów pochodzą, najpoważniejsi historycy nasi jednak początkowy rodowód Czartoryskich za dość niepewny uważają. Czy się słusznie od Lubarta Gedyminowicza wywodzą, czy od Korygiełły, jednego z sześciu synów Olgierdowych, czy są wreszcie potomkami Rurykowiczów na Czartorysku Wołyńskim osiadłych, niema na to wszystko dość wiarogodnych dla badacza świadectw; pierwszemu takiem świadectwem jest przywilej przez Władysława Warneńczyka braciom Czartoryskim za wierność i męstwo wydany, w którym to przywileju, król ich raz *fratres* (braćmi), drugi raz *consanguinei* (pokrewnymi) i *duces, ducali status* (książętami książęcego stanu) zowie. *Fratres* i *consanguinei* mogło być tylko jak powiadają uprzejmem wyrażeniem, zwykle przez monarchów używanem, ale to przynajmniej stanowczo pewnem zostaje, że książętami byli. Książąt takich wszelako wiele się wówczas na Litwie i na Rusi uwijało, a bardzo mała ich liczba z dziejowego zapomnienia na wierzch wypłynęła. Czartoryscy też przez długi czas ani bogactwem, ani wpływem swoim nie dorównywali innym wielko-pańskim rodom Rzeczypospolitej. Są niejaki ślady, że działali w kierunku nieprzychylnym dla Polski i brali udział w separystycznych matactwach Gasztołda; lecz już za Zygmunta Augusta, dwaj bracia Czartoryscy *Aleksander* i *Iwan Fedorowicze*, szczerze do Polski przyłgnawszy, nietylko połączenie obu krajów, ale nawet wcielenie Wołynia wraz z Podlasiem do Korony gorliwie popierali i mieli tę pociechę, że oba na akcie unii lubelskiej podpis swój położyli. Linia Aleksandra wcześniej wygasła; Iwana dziś jeszcze w po-

tomkach swoich się rozradza. Syn Iwana książę *Jerzy Iwanowicz* stanowi epokę w dziejach swego domu, pierwszym był albowiem z rodziny, co przyjął obrządek łaciński i gorąco się do wiary katolickiej przywiązał. Żona jego Aleksandra księżniczka Wiśniowiecka, Oleksiniec na Wołyniu posagiem mu wniosła. Od Jerzego rodzina Czartoryskich coraz wyżej wznosić się zaczęła; pomogły jej do tego bliższe z dworem stosunki, a nadewszystko świetne bardzo małżeństwa. Syn Jerzego, *Mikołaj*, poślubił Izabellę księżniczkę Korecką, siostrę sławnego Samuela, i wyznaczony testamentem na opiekuna małoletnich jego sierot, zjednał sobie wielkie względy u drugiego współopiekuna, Stanisława Albrychta Radziwiłła, przemożnego wpływem swoim za pierwszych Wazów kanclerza.

Radziwiłł niedość że Mikołajowi drogę do dostojęństw utorował, ale i dwóm starszym synom jego w zajęciu świetnych stanowisk dopomógł. Najstarszy Floryan za wstawieniem się kanclerza, biskupem poznańskim przez Władysława IV w młodym wieku zamianowany, dalej już własną posuwał się zasługą. Wkrótce po wstąpieniu na tron Jana Kazimierza objął dycezyę Kujawską, i jako biskup kujawski najwięcej jest znany z tego, że łagodnością swoją, duchem pojednawczym i wymową, usmierzył bunt niepłatnego wojska, które się pod łaską Samuela Swiderskiego skonfederowało i bez względu na ucisk niewinnego ludu dobra królewskie i duchowne niszczyło. Pomimo serdecznych z dworem stosunków nie dał się książę Floryan wciągnąć Maryi Ludwice w jej skryte o zniesienie wolnej elekcji zabiegi. Szczerym i wiernym był też obranego później Korybuta przyjacielem; na sejmach równie jak w gronie panów zawsze go bronił; do konfederacyi Gołzbskiej nie należał, lecz gdy się skutkiem téjże wielka rada w Warszawie zebrała, wszelkich sił dokładał na pojednanie rozjątrzonych umysłów i najwięcej się przyczynił do ocalenia Grzymultowskiego i Morsztyna, których sprawę z czasów ostatniego króla podniesiono i surowo o zdradę kraju sądzić chciano. Może to stało się później uzuchwalającą bezkarności przykładem, ale na razie od wielu zawichrzeń kraj ochroniło. Po śmierci prymasa Prażmowskiego, król Michał powołał Floryana na arcybiskupstwo gnieźnieńskie; lecz nim rok upłynął i król umarł, i w kilka miesięcy po królu nowy Prymas życie zakończył 1674 r. Drugi syn Mikołaja *Michał*, dalszą linię książąt Czartoryskich na Klewaniu poprowadził. Radziwiłł umieścił go przy boku Władysława IV-go i wyswatał z panną Fekenberg, po śmierci Cecylii Renaty przy małym królewiczu Zygmuncie zatrzymaną austriaczką. Na pierwszy zadatek względów pańskich za to, młody książę otrzymał od Władysława IV-go starostwo Krzemienieckie, a choć pierwsza ta żona niedługo żyła, na coraz wyższe odtąd godności ciągle postępował i w sędziwym wieku wojewodą sandomierskim umarł. Trzy razy jeszcze po śmierci

austryjaczki w związku małżeńskie wstępował; powtórne śluby zawarł z Eurofryną Stanisławską, wdową po staroście sniatyńskim, Potockim; gdy i ta umarła, pojął Koniecpolską, a gdy i Koniecpolską stracił, ożenił się z Joanną Olędzką wdową po Oleśnickim, tą samą, do której Stefan Czarniecki synowca swego zalecał. Wziął po niej w posagu miasto Siedlce i oczekiwał się nakoniec potomstwa: córki Zofii i syna Kazimierza; um. 1692.

Najmłodszy z synów Mikołaja *Jan Karol*, podkomorzy krakowski, zasłużył sobie na świadectwo, że deputatem koronnym będąc „każdego bez respektu sądził.“ W posagu po pierwszej żonie swojej Zebrzydowskiej, dostał Kalwaryę Zebrzydowską; z drugiej Magdaleny Konopackiej, wdowy po zamordowanym hetmanie Gosiewskim zostawił córkę i trzech synów; od najmłodszego *Józefa* poszła linja Czartoryskich, którzy się pisali *Książętami na Korcu*, od Korca, miasteczka wołyńskiego, dziedzictwa ich babki Izabelli Koreckiej. Linja ta w potomkach płci męskiej wygasta na księciu *Józefie Klemensie* zmarłym roku 1810; nie dorównała ona w świetności i znaczeniu linii starszej Klewańskiej, jakkolwiek ostatni jej przedstawiciel prawdziwie obywatelskie w kraju położył zasługi; w r. 1764 posłował do Rzymu; w 1788 wyznaczony znów posłem od Rzeczpltej do Berlina, jeździł i zawsze pilnie powierzonej sobie sprawy doglądał, a co więcej znaczy — w życie prywatne się cofnąwszy, ład i dobrobyt w rozległych majątkach swoich zaprowadził, ognisko fabrycznego życia na Wołyniu rozniecił; do wysokiego stopnia podniósł fabryki, o jakich pierwój w Polsce słyhać nie było: fajansu, porcelany, mebli, nie mówiąc już o fabrykach płótna i sukna. Stary swój Korzec do wzorowego porządku doprowadził; dla włościan był dobrym panem; kmieci od ciężarów uwalniał i magazyny dla nich zakładał, tak że wioski jego od sąsiedzkich pięknie wszędzie odbijały; tylko na widowni politycznej, równie jak cała ta linja, książę Klemens dość czynnej i wybitnej roli nie przedstawił. Tymczasem właśnie dla starszej linii epoka największej politycznej przewagi otwiera się z księciem Kazimierzem, synem Michała i Joanny Olędzkiej; sam on wprawdzie nie upamiętnił się znakomitemi czynami, ale pojął za żonę kobietę bogatą, rozumną i ambitną, która wniósłszy ogromny swój majątek do domu Czartoryskich, całe życie nad jego wywyższeniem pracowała. Tą kobietą była Izabella Morsztynówna, podskarbianka koronna, córka smutnie wstawionego Jędrzeja, co głównie z łaski biskupa Floryana, sądu i może hańbiącej śmierci uniknął, kraj rodzinny na zawsze opuścił, we Francyi osiadł, i francuzem został. Wspomnienie biskupa wpłynęło zapewne na skojarzenie tego związku między młodym wojewodziecm sandomierskim, a jedną z najbogatszych w Rzeczpltej dziedziczek. Księżna Kazimierzowa wychowana na dworze Ludwika XIV, przywiozła z sobą do kraju wer-

salskie obyczaje: wystąpiła ze skromnego półcieniu, w którym się zwykle poważne nasze matrony trzymały i całą ich energię, zabieźność i bystrość umysłową z zakresu spraw domowych w zakres spraw publicznych przeniosła: otworzyła w Warszawie nieznany pierwój *salon*, wersalskim wzorem gromadzący koło niej wszelkie znakomitości i osobliwości czy to rozumu, czy mody, wpływu czy znaczenia; silną dłońią ujęła ster rodzinnych losów, zarząd swego dziedzicznego majątku i kierunek wychowania swych dzieci. Książę Kazimierz wprowadził różne na Litwie otrzymany godności: był podczaszym W. K. L., podskarbm W. K. L., został nakoniec kanclerzem wileńskim; ale ułomny, cichego usposobienia, wielce poboźny, rad na boku się trzymał, ciągle prawie w Warszawie mieszkał, a większą część czasu jaka mu od dworskich domowych przyjęć zostawała, po kościołach przesiadywał: dumna Morsztynówna za siebie i za niego czuwała nad przyspożeniem wielkości rodzinie. Dzieci mieli księstwo pięcioro; trzech synów: Fryderyka Michała, Aleksandra Augusta Kazimierza Teodora i dwie córki: Ludwikę i Konstancję. Ludwikę i Teodora przeznaczyli do stanu duchownego; pierwsza wstąpiła do Wizytek, drugi został ostatecznie biskupem poznańskim, a choć istotnie większy jeszcze był dziwak niż go Elżbietka Urszulce opisała, niemniej wszelako odznaczał się wspólną wszystkim Czartoryskim skłonnością do zmian i ulepszeń; był światły, bez fanatyzmu, i dobre swęj dyccezyi zostawił wspomnienie; do spraw braci wszelako nie mieszał się prawie i bracia też niewiele na niego mieli względu. Troje z rodzeństwa wydatniej odziedziczyło po matce jęj zdolności, jęj rodową ambicyę i daleko sięgające zamysły; do tych trojga od r. 1720 przybył jeszcze Stanisław Poniatowski. Zaszczytne dał on się poznać w kraju i za granicą — przy boku Karola XII-go, z męztwa i talentów wojskowych — w stosunkach z Portą Ottomańską, z politycznego rozumu. Wszędzie rozpowiadano sobie jak ocalił króla szwedzkiego, z pod Pułtawy do Benderu go przeprowadzając, jak w pokoju nad Prutem zawarty wyjednał zawieszenie warunku, na mocy którego wojska Piotra W. z obrębu Rzeczypospolitej ustąpiły. Aż po ostatnią chwilę dochował wiernęj Karolowi i Leszczyńskiemu przyjaźni; dopiero gdy Karol na szanćach Fryderykszalu poległ, a Leszczyński wszelką królowania nadzieję straciwszy, sam go do powrotu w ojczyste progi namawiać zaczął, Poniatowski rady usłuchał; z rycerską szlachetnością usługi swoje Augustowi II-mu ofiarował i najlaskawiej, a nawet radośnie przyjęty, i postradane dostojęństwa odzyskał i na drodze ku coraz wyższym stanął (*). Konstancya

(*) Nowsi badacze dziejów naszych, względy królewskie dla Poniatowskiego temu przypisują, że zwrócił on Augustowi II akt abdykacyi altranstadzkiej, tajemnie z papierów Leszczyńskiego uwieziony.

Czartoryska zakochała się w tym licznych przygód bohaterze; choć był wiekiem dwa razy starszy od niej, za zezwoleniem rodziców oddała mu swą rękę. Bracia bardzo niechętnem okiem na to małżeństwo patrzyli, lecz Poniatowski wkrótce potrafił serca obu szwagrów ku sobie skłonić. Oddawną dzielił ich przekonania — teraz wszedł w ich zamiary i wszystkie zabiegi, wszystkie nadzieje podzielił. To był pierwszy związek, tak zwanęj później przez kraj i przez historję *Familii*. Głową jęj pozostała aż do śmierci swojej t. j. do roku 1758, matka rodu, księżna Kazimierzowa. Bez jęj wiedzy niczego nie przedsięwzięto; zawsze raz na tydzień w jęj pokoju odbywały się narady i ona w nich głos bardzo stanowczy miewała. Synowie z zadziwiającą zgodą i bezstronnem ocenieniem własnych zdolności podzieliłi między siebie pracę i obowiązki.

Książę Michał rozumny, niezłomnej woli, przez stosunki ze starym saskim ministrem Flemingiem, wtajemniczony we wszystkie skrytości i obroty ówczesnej dyplomacyi, prowadził część polityczną wspólnego zadania: sejmiki, trybunały, układy z własnym lub jakim zagranicznym dworem, to wszystko do niego należało; książę August w tęg mierze spuszczał się zupełnie na brata, wierzył w jego wysokie zdolności, a sam obdarzony wielkim administracyjnym talentem, kierował prywatnemi interesami rodziny i dostarczał pieniędzy, gdy było trzeba, bo nigdy mu ich nie brakowało; miał po żonie ogromny majątek, rządził się gospodarnie, oszczędnie, i z ładem rzadko gdzie u nas widywanym. Poniatowscy nie mieli stale wyznaczonego zakresu: gdzie było można, gdzie książę Michał zażądał, tam współdziałaniem służyli *Familii*. Nazwanie to *Familii* wyszło początkowie od niechętnych jęj przeciwników; Radziwiłłowie i Potoccy przyzwyczajeni dzierżyć w rodach swoich wielkie i polne buławy, pieczęcie kanclerskie i laski marszałkowskie, przyzwyczajeni „protegować“ Czartoryskich i trząść szlachtą na sejmikach, znieść tego nie mogli, że dawniejsi „protegowani“ tacy wnukowie Michała, co za wstawieniem Radziwiłła jedynie pokojowym królewskim został, całe prowincye teraz z pod ich wpływu usuwali i do współzawodnictwa równą potęgę stawić mogli. Kiedy wszystkie dzieci Morsztynówny zgodnie, karnie, razem jak jeden człowiek do działania wystąpiły, przewano ich *Familiją*, trochę przez szyderstwo a więcej jeszcze dla tego, by podobnem orzeczeniem ich szeroko sięgające plany w ciasniejsze zaprzęć granice i przedstawić narodowi jako intrygi mające tylko wyniesienie jednej familii na celu. Orzeczenie się przyjęło i dotychczas jest używane, gdy o stronnictwie reformy rządowej za panowania dwóch Sasów mówimy. Istotnie Czartoryscy nad reformą głównie pracowali; chcieli tęg sobie wprawdzie władzę i panowanie zapewnić, ale jeszcze więcej chcieli zmienić cały ustrój rządowy Rzeczpltej, wytępic za-

korzeniony w nięj nieład, znieść *liberum veto*, ustanowić dziedziczną, silną, jakkolwiek prawami ograniczoną monarchję. Przez jakiś czas mieli nadzieję, że to z pomocą króla Augusta II przeprowadzą i szczerze widoki jego popierać byli gotowi. August II sam dla własnej korzyści ustalenia dziedzicznej korony pragnął; nie mogąc jednak osobiście działać, wzmacniał przynajmniej i obsypywał łaskami partyę Czartoryskich; Poniatowskiego chciał nawet wielkim hetmanem kor. zrobić, ale Potoccy, którzy do tej godności prawo sobie rościli, ciągle sejmy zrywając, nie dopuścili nominacyi parweniusza. Skuteczniej użył król swego wpływu, żeby nawzajem Potockim się sprzeciwić i córkę hetmana Sieniawskiego, wdowę po wojewodzie połockim Denhoffie, skłonić do oddania ręki księciu Augustowi Czartoryskiemu. Małżeństwo to ugruntowało potęgę Familii.

Odtąd dwa tylko domy: Potockich na Krystynopolu i Radziwiłłów na Nieświczu mogły z nią iść w porównanie. Ponieważ dobra młodej pani głównie na Rusi leżały, książę August w kilka miesięcy po ślubie, godność wojewody ruskiego otrzymał. Między dworem a Familiją najlepsze więc panowały stosunki; książę Michał zupełnie już się godził na dziedziczość Saskiej dynastyi, wszedł nawet w jakieś piśmienne zobowiązania, lecz choroba królewska przerwała układy; potem choć król wyzdrowiał, przestał się równie pilnie tą sprawą zajmować, co widząc książę Michał, zaczął właśnie jeszcze pilniej o koronie, ale dla siebie samego myśleć. Nagła śmierć króla zaskoczyła go niedość przygotowanym. Naród z zapalem ogłosił Leszczyńskiego. Czartoryscy ustąpili Potockim, stanęli po stronie Piasta i co więcej, poparli go całym wpływem swoim: najdłużej mu wiernymi pozostali. Ks. August wraz z żoną towarzyszył mu aż do Gdańska, nawet i w Gdańsku podówczas syn mu się, Adam, urodził. Bo też trzeba przyznać, że Leszczyński był właśnie takim królem, jakiego Czartoryscy życzyć sobie mogli, gdy sami jeszcze nie mogli być królami. Dzielił wszystkie ich pojęcia o konieczności reformy rządowej, a nie miał syna i wstąpieniem swoim na tron im właśnie drogę do tronu torował. Kiedy Francya najniebezpieczniej w świecie opuściła swego kandydata, kiedy Leszczyński musiał z niebezpieczeństwem życia kraj rodzinny po drugi raz rzucić; książę Michał przekonał się, że na francuzkie stosunki niema co liczyć; wyraźnego wstrętu nabral do wszelkich z Francją przymierzy i zaczął coraz chętniej na Rosyję się oglądać. Przedewszystkiem Familija pogodziła się ze wspieranym przez Rosyję elektorem saskim. Książę Michał znowu chciał się oprzeć na nowym królu i pod zastoną jego władzy, reformę przeprowadzić; cóż, kiedy spotkał się z zupełną w tej mierze obojętnością. Augustowi II zbywało na zdolnościach, lecz był przynajmniej ambitnym i sam zmiany pragnął; syn jego nie był ani zdolnym, ani ambitnym nawet: był leniwym, małomównym, nic go niezajmowało: lubił tylko namiętne po-

lowanie, a zresztą wszelkie sprawy państwa zdawał na wolę ministra swego, ulubieńca i pochlebcy Bryła. Czartoryscy starali się przeto zjednać Bryła dla swoich planów; drogo ich to kosztowało, bo Brył za wszystko płacić sobie kazał; do pewnego czasu jednak mieli tym sposobem w swoim ręku rozdawnictwo urzędów, o co im bardzo chodziło. Przeciwnie stronnictwo zaczęło się domagać zupełnego usunięcia przedajnego cudzoziemca; książę Michał wyrobił mu wtedy indygenat, to jest przyznanie szlachectwa polskiego, na mocy sfałszowanych dowodów, ma się rozumieć; ale Brył zhardział wydawszy córkę swoją za Jerzego Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego, zaczął na własną rękę działać; Czartoryscy go opuścili; Radziwiłłowie za to i Potoccy weszli w serdeczniejsze z dworem stosunki.

Książę Michał już od r. 1752 był kanclerzem W. Ks. L. i ostro z przeciwnikami walczyć zaczął; żeby znieść kiedys nadużycia, sam na nieszczęście przed żadnym nadużyciem się nie cofnął. Onto wynalazł ów smutny sposób stanowienia trybunałów przez gwałtowne obieranie marszałka i deputatów. Służba jego, ze szlachty dobrze osiadłej złożona rozbiegała się zwykle po powiatach i województwach przed sejmikami, pojąc braci szlachtę, wywołując nieraz krwawe bójki, zmuszała aby wszędzie obierano stronników Familii. Kiedy wybory według myśli stanęły, sądzono sprawy, nie po słuszności i prawie, ale tak, jak tego interes partyi wymagał. Druga partya odwzajemniła się pięknem za nadobne; Radziwiłłowie zaczęli także swoje trybunały stanowić i cała Litwa między dwiemożne rozdarła się rodziny. Na trybunale Czartoryskich, wszyscy Radziwiłłowscy przepadali, na Radziwiłłowskim wszyscy przyjaciele Czartoryskich. Kanclerz kłócił się ciągle z Bryłem o urzędy; kupował je czasem gotówką, bo minister wszystko puszczał na licytację, ale też czasem musiał je na przebój zdobywać; dla swoich popleczników potrzebował starostw i godności, bo tylko przez tych, co mieli władzę, mógł działać na Rzeczplątą. Trzymał się zdaleka od dworu, a za jego przykładem poszli inni polscy ministrowie i dwór osierociał; król bez ministrów nic nie mógł, i Brył musiał kanclerzowi na Litwę przysyłać do zapieczętowania wszelkie nadania królewskie: przywileje na starostwa, krzesła senatorskie i t. p. Żeby jeszcze być pewniejszym że nic jego dozoru nie ujdzie, kanclerz przeprowadził był na podkanclerstwo litewskie Michała Sapiechę, wojew. podlaskiego; ożenił go potem ze swoją córką i odtąd zupełnie był pewnym zięcia, który mu ulegał jak w patryarchalnych czasach. Kiedy w r. 1760 Sapiecha umarł, przez cztery lata miejsce jego zostało opróżnione, bo książę Michał pieczętował go nie chciał nikomu z dworskich, a dwór znowu nie chciał oddawać pieczęci komuś ze strony kięcia. Starał się August III w r. 1758 o księstwo Kurlandzkie dla swego syna królewicza Karola, kanclerz opornie przeciw temu wystąpił; utrzymywał on, że to jest lenność korony, a nie króla; że król więc niema

prawa nią rozporządzać, a Rzeczplta nie może, bo za carowy Anny oddała to księstwo Bironowi, i chociaż Biron jako poddany rossyjski na Sybir wysłany został, nie utracił przecież praw swoich jako lennik Rzpltej polskiej. Król a raczej Bryl przemógł na ten raz kanclerza; królewicz Karol otrzymał inwestyturę, ale kanclerz widząc nową siłę w grę losów kraju wchodzącą, zaraz też zużytkować ją dla siebie zapragnął: wszedł w związki z Rossyą, z cesarzową Elżbietą i sądził, że za jej wsparciem dokona reformy rządu. Odtąd już Czartoryscy wszelkimi sposobami o sojusz z Rossyą starać się zaczęli. Ciągłe tam posyłali swoich i zabiegali o przyjaźń ministrów lub mających wpływ u rządu ludzi; skutkiem tego nowego planu wyrobił kanclerz swemu siostrzeńcowi Stanisławowi Augustowi poselstwo od Rzeczpltej do Petersburga. Familja sądziła, że na tronie osadzi którego z Czartoryskich. Książę Michał nie mając syna ustępował miejsca bratu. Książę August zlewał tę nadzieję na jedynaka swego Adama, generała ziem podolskich; nie domyślali się wtedy, że syn ich siostry Konstancyi pierwszeństwo otrzyma. Tymczasem rozterki między dworem a Familją, coraz bardziej się zajątrzały. Dwór pomimo najusilniejszych przynagleń, pieczęci mniejszej nie oddawał, a wojewodą wileńskim (za drogie pieniądze dla Bryla), zrobił księcia Karola Radziwiłła „Panie kochanku.“ Familja oburzona, czynnej ręki przyłożyła do wypędzenia ks. Karola z Kurlandyi, niedość na tém, postanowiła samego nawet Augusta detronizować i już myślała o tém, żeby szlachtę, co do Piotrkowa na trybunał zbiegła, wyciąć, a konfederacyę ogłosić, kiedy król umarł. Przeciwnicy bardzo silnie z pierwszą zaraz chwilą bezkrólewia wystąpili. Radziwiłłowie i Potoccy mieli za sobą hetmana W. Ks. Jana Klemensa Branickiego. Konstancya Poniatowska, choć był już starcem sędziwym oddała mu w małżeństwo jedną z młodych córek swoich, w nadziei, że go dla sprawy Familii pozyska, ale płonną okazała się ta nadzieja. Hetman Branicki niezłomnie dotrwał w przywiązaniu do starych praw narodowych i na poparcie Francyi z niezachwianą liczył pewnością. Familja przywiedziona do ostateczności ściągnęła obce wojska do kraju. Pod ich osłoną przeprowadziła reformy, od których wszystkie późniejsze początek swój biorą: zaprowadziła komisye rządowe, ograniczenie *liberum veto*, podniesienie dysydyntów; książę Michał na sejmie konwokacyjnym sam własną władzę kanclerską ograniczył; ale to wszystko już we dwa lata potem upadło. Zadanie dziejowe, które Familja pierwsza odważnie podniosła, w inne potem przeszło ręce.

Należy się tu jeszcze podać niektóre szczegóły z osobistej obu braci biografii, te zwłaszcza, które w listach Urszulki albo pominięte nie słusznie, albo tylko zaciekawiająco nadmienione zostały. A najprzód książę-

że *Michał Czartoryski* wielki kanclerz litewski ur. się r. 1696, został najpierw podstolim w. l. Prawdopodobnie za wpływem ciotki swojej marszałkówny W. Kor. Kazimierzowej Bielińskiej, Morsztynówny z domu, zasiadł na krześle kasztelanii wileńskiej. Nie wiele sobie ceniąc ten urząd bezczynny, wkrótce pomieniał się z ojcem, oddał mu senatorską godność a zajął jego ministeryjne miejsce, jako podkanclerzy litewski. Umiał już wtenczas utrzymać swoją powagę, chociaż dwadzieścia ośm lat miał dopiero; raz gdy się z uznanym synem królewskim Maurycym, sławnym później marszałkiem Saskim we Francyi (Maurice de Saxe) pogniewał, nie ustąpił mu wcale i przyszło do tego, że król synowi kazał księcia przeproszać. Rodzice starali się dla niego o Łaszczównę wojewodziankę bełzką. Książę Kazimierz sam przez małżeństwo się podniósł, więc chciał i syna tak podnieść, gdyż Łaszczowie byli nadzwyczaj bogaci; nie przyszedł jednak ten związek do skutku. Łaszczównę dostał Stanisław Potocki syn Józefa woj. kijowskiego a książę Michał w r. 1726 ożenił się z Eleonorą Waldsteinówną czeszką, od sławnego Wallensteina ród swój wywodzącą. Świetne to było pochodzenie, ale posag mały; książę też wówczas sam był dosyć ubogi, rodzice nic mu na zapomogę nie dali, tylko ciotka żony księżna Sapieżyna wypuściła mu w dzierżawę dwa swoje starostwa na Żmudzi, głównie jednak przesiadywał, albo w dziedzicznym Czartoryskich miasteczku na Podlasiu, Wołczyźnie, zkąd nawet gardlującą za nim szlachtę „wilkami wołczyńskimi“ zwano, albo też w Przybysławicach pod Łuckiem, wsi starostwa, którą wziął przywilejem z r. 1729 po śmierci hetmanowej Ogińskiej i przez całe życie trzymał. Wielkim kanclerzem lit. został dopiero w r. 1752. W czasie konfederacyi Barskiej cały swój wpływ utracił, pieczęci wszelako nie złożył, był jej ministrem przez lat pięćdziesiąt, co się nikomu przez ciąg tylu wieków nie zdarzyło. Umarł d. 13 sierpnia 1775 r. złamany więcej troskami niż wiekiem, choć miał już lat 80. Z żony swojej miał książę kilku synów, którzy młodo pomarli i trzy córki. Dwie były za Flemingiem, synowcem ministra, najpierw podskarbin litewskim, a następnie wojewodą pomorskim; córka drugiej z nich, Antoniny, Izabella, ta właśnie o której Eizbietka raz wspomina, była potem wydana za księcia Adama generała ziem podolskich, stryjecznego brata swjej matki; onato najwięcej upiękniła Puławy i napisała „Pielgrzyma w Dobromilu.“ Trzecia córka księcia Michała, Aleksandra, zaślubiona Michałowi Sapieże, gdy wdową została wyszła potem za Michała Ogińskiego hetmana wiel. lit. Ta po ojcu odziedziczyła Siedlce, gdzie przed niedawnymi jeszcze laty wspomniano o wspaniałości jej dworu i gościnie otwartych dla każdego stołach.

Czartoryski Aleksander August urodził się r. 1697. Służył najpierw w wojsku austriackim, wybrał się potem na Maltę i został

kawalerem maltańskim. Rodzice może chcieli tym sposobem niepodzielny majątek dla potomstwa starszego syna zachować, a nadewszystko spodziewali się, że młodszemu ułatwią objęcie wielkiej ordynacyi ostrogińskiej, która po wygaśnięciu dwóch rodzin spadkobierczych, według zapisu i konstytucyi koronnych, miała być zakonowi maltańskiemu przeznaczona. Książę August liczył na to, że zostanie w niej komandorem, przeorem, słowem panem dożywotnim; dowodził więc gorliwie praw Malty, ale nic dla niej nie wyrobił, mimo królewskiego poparcia. Przez dzieść lat występował jako kawaler maltański, nakoniec porzucił tę drogę, został pułkownikiem gwardyi i w bardzo krótkim czasie 1729 r. generał majorem wojsk koronnych. Zaczęły się wtedy długie jego starania o rękę Zofii, ostatniej z Sieniawskich, wdowy po Denhoffie wojewodzie połockim. Była to pani niezmiernie bogata, bardzo wysokiego rodu w Koronie i znakomitych stosunków. W czasie wojny z Karolem XII Piotr Wielki trzymał ją do chrztu w Jaworowie i sam ją potem Denhoffowi wyswatał; trzeba albowiem przypomnieć tu, że tak Sieniawski jako i Denhoff wielkie wtedy przysługi domowi Saskiemu, a tém samem i Rossyi oddali, za co też ciągnęła łaską obu monarchów sprzymierzonych zaszczytani byli. Denhoff pochodził z pruskiej, dobrze w kraju zasłużonej rodziny; ojciec jego zginął pod Parkanami, gdzie ofiarą własnego życia, życie króla Jana ocalił. Syn w domu ojczyma chowany, w bardzo młodym wieku za elekcją Sasa wystąpił. Kiedy Szwedzi do Polski wkroczyli, obrany marszałkiem konfederacyi Sandomirskiej, która za Augustem przeciwko Leszczyńskiemu się zawiązała, wiernie bił się w imie swego króla i nawet wtenczas broni nie złożył, gdy August pokojem Albrandstadzkim rzekł się tronu polskiego. Na czele konfederackich oddziałów tu i owdzie ucierał się ze Szwedami, a kraj łupił i pustoszył tém bezkarniej, że hetman wiel. kor. Sieniawski razem z nim spiski knował.

Powrót Augusta II, buława polna lit., którą w nagrodę od tego króla otrzymał, nie powściągnęły jego nadużyć; dopiero konfederacya Tarnogrodzka rozbiła jego groźną wojenną dyktaturę, a sejm niemy zupełnie władzę z rąk mu wytrącił. Zawsze jednak zostały Denhoffowi ogromne skarby, które na marszałkostwie zebrał i te właśnie przekazał drugiej żonie swojej Zofii, córce hetmana wiel. kor. Dziedzictwo takie z dziedzictwem Sieniawskich połączone, stawiało młodą wdowę w rzędzie najmajątniejszych na całą Rzeczpospolitą partyi. Co było w kraju znakomitszej młodzieży, to wszystko się o jęj względy ubiegało. Głównym zalotnikiem był najbogatszy z Potockich Salezy starosta bełzki (późniejszy woj. kijowski, ojciec Szczęsnego). Współzawodnictwo księcia Augusta oburzało go, chciał śmiesznością upokorzyć jego ubóstwo w oczach pięknej wdowy; codziennie przekupywał kogoś ze służby księcia, żeby

mu donoszono jak ma być tenże ubrany, i zaraz tak samo całą służbę swoją ubrawszy, szedł do wojewodziny połockiej o tój porze, o której wiedział, że go u niej spotka. Ztąd przyszło do pojedynku, a pojedynek wcale niezaszczytnie dla możnego pana się zakończył; książę August poprzestał na tём że go wstydem okrył, i życie mu darował. Z jednej strony to zajście rozgłośne, z drugiej namowy królewskie, to sprawiły, że wojewodzina, generałowi gwardyi koronnej rękę swoją oddała. Przez to małżeństwo książę wyszedł na jednego z pierwszych panów polskich. Wypadało szlachtę oslepiac i podbijać, więc książę na to nic nie żałował, trzymał dwór wspaniały; cała Polska znała świetne jego pałace w Sieniawie, Brzeżanach, Puławach, które od niego wznosić się zaczęły, i w Willanowie, gdzie pamiątki po Janie III, przyszlą królewskość wróżyć się zdawały. Obok tych wydatków na świetne utrzymanie, zasilał pieniędzmi jako się wspomniało, brata swego działania i starczyło mu na wszystko, bo nadzwyczaj był oszczędny, nawet za skąpego uchodził. Bezkrólewie po Auguście drugim na kilka lat wytrąciło go ze zwykłej życia kolei. Był w Gdańsku kiedy go Munich oblegał; rad nie rad ostatecznie musiał się upokorzyć królowi Sasowi i na wierność złożyć przysięgę. Po uspokojeniu Rzeczypospolitej długo i często podróżował za granicą, odwiedzał i Drezno a dwór bardzo mu wiele przychylności okazywał, i król mu liczne starostwa ponadawał: Kałuskie na Rusi, Kościerzynskie na Pomorzu, Lucyńskie na Inflantach i inne.

W r. 1742 odbył książę wjazd na starostwo Warszawskie, lecz w ośm lat później, gdy polityczne stosunki tego wymagały, odstąpił go małoletniemu synowi Bryła, Fryderykowi a wziął generalstwo ziem Podolskich, które znów po ośmiu latach odstąpił, lecz tym razem swemu własnemu synowi. Po zerwaniu z Brylem i ze dworem marzył książę o tём, że z pomocą cesarzowej Elżbiety królem polskim zostanie; wielkości tój dla syna pragnął jedynie: syn ten był spadkobiercą planów i nadziei całej rodziny. Dla niego działając wystąpił książę jawnie po śmierci Augusta IIIgo. Kiedy stronnictwo hetmana Branickiego usunęło się z konwokacyi, a zawiązała się na sejmie konfederacya generalna koronna, książę został jój marszałkiem. Kiedy sejm konwokacyjny odebrał władzę hetmanowi, książę został generalnym regimentarzem wojsk koronnych. Sypał nie mało wtedy ze swój szkatuły na poselstwo do Turek, do Krymu, na inne potrzeby Rzeczypospolitej, ale obca ręka nie według jego życzeń losami kraju pokierowała. Pod zasłoną konfederacyi odbył się sejm elekcyjny i wyniósł na tron Stanisława Augusta. Wczasy gdy głosy województw zbierano, jeden tylko szlachcic z województwa ruskiego wystąpił i głosował za wojewodą ruskim, który mu za to serdecznie podziękował, bo szlachcic szczerze w prostocie ducha to zrobił. Jakkol

wiek Familija poszła górą, książę August czuł boleść zawodu; nigdy obojście Stanisława Augusta nie lubił: teraz w nim widział upokorzenie własnego syna. Przez elekcyję i po elekcyi często z pogardą o nim się odzywał. Przyszło nakoniec do zupełnego zerwania między wujami a siostrzeńcem, ale już pierwój ci wujowie wpływ swój polityczny stracili. Na radzie senatu w marcu 1768 r. pierwszy książę August żądał współdziałania wojsk przeciw Barowi; konfederaci za to niechęcią przeciw niemu tchnęli i bezwłocznie zabrali mu w Brzeżanach całą załogę i artyleriją. Tak się książę nastraszył tój niechęci, że siedział ciągle w Warszawie i przez cały czas konfederacyi bał się nawet zajrzeć do Puław. Rola jego polityczna zupełnie się już skończyła. Było jakieś podobieństwo, że go w roku 1771 kasztelanem krakowskim zrobią; lecz i do tego nie przyszło, i spotkało go ciężkie domowe zmartwienie, bo stracił żonę, której tyle był winien: umarł sam r. 1782 licząc 84 lat życia. Zostawił tylko dwoje dzieci, bo ich kilkoro wczesną śmiercią pogasło: jedną córkę *Elżbietę*, wydaną za Stanisława Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego i jednego syna księcia *Adama*, znanego w dziejach i w literaturze a generała ziem podolskich. Córka odziedziczyła Willanów i umarła w Wiedniu 1816 r. mając lat 83. Syn zostawił w kraju bardzo chlubne wspomnienia, jako założyciel i kierownik szkoły kadetów; bezstronny choć surowy sędzia na trybunale litewskim z 1781 r.; gorliwy krzewiciel światła i nauki, szczodry dobroczynca uczonych i nieszczęśliwych, sam pisarz zdolny i dowcipny. Kiedy najnikczemniejsza intryga oburzyła go na Stanisława Augusta, (jakaś Drogumowa francuzka oskarżyła księcia, że króla otruc zamierzał i król udawał, że temu wierzy) książę opuścił Warszawę, przeniósł się do Galicyi; wezwany przez cesarza Józefa IIgo na dowódcę podarowanego mu pułku, został wkrótce posunięty na stopień feldmarszałka; cesarz Franciszek II dał mu order Złotego runa a sejm Węgierski r. 1788 uznał go wraz z potomstwem za obywatela i magnata królestwa węgierskiego. W czasie wielkiego sejmku jednak wrócił do Warszawy, obrany posłem z Lubelskiego; stanął w rządzie najzacniejszych kraju przedstawicieli. Po Targowicy znowu zerwał wszystkie z dworem stosunki, wyjechał na czas jakiś zagranicę; później w różnych dobach swoich przemieszkował, a najwięcej w Puławach, które przytułkiem wielu znakomitości literackich owczesnych się stały i najwyższego szczytu świetności osiągnęły. Zgromadzał w nich kosztowną bibliotekę z namiętnością prawdziwego bibliofila, żona zaś Izabella z Flemingów urządziła Sybillę i domek gotycki; Aleksander I-szy w 1805 r., odwiedzał Puławy; w r. 1817 oddał je książę starszemu synowi i osiadł w Sieniawie, gdzie roku 1823, bardzo już pierwój na umyśle podupadłszy, bez choroby i cierpienia życie zakończył.

D Z I E N N I K

FRANCISZKI KRASIŃSKIEJ,

w ostatnich latach panowania Augusta III-go pisany.

1 Stycznia 1758 r., w Maleszowskim zamku, w Poniedziałek.

Tydzień temu, w same Święta Bożego Narodzenia, Jmć dobrodziej ojciec mój kazał przynieść sobie ogromną księgę, w którą już od lat kilkunastu, obyczajem wszystkich niemal panów polskich wpisuje własną ręką, rozmaite publiczne i prywatne pisma; są w niej mowy, manifesta, uniwersały, listy, paszkwile, wiersze, wszystko porządkiem dat ułożone; pokazywał nam ów zbiór szacowny, czytał niektóre kawałki. Bardzo mi się podobała ta myśl zapisywania ciekawszych zdarzeń i okoliczności; a ponieważ już od lat kilku i po francuzku i po polsku dosyć gładko pisać umiem, i niezmiernie pisać lubię; ponieważ i we Francyi wiele białych głów podobne rzeczy piszą: przyszło mi na myśl, czybym i ja też coś takiego według możliwości mojej rozpocząć nie mogła? Uszyłam sobie zatem duży sekstern; umieszczę w nim jak najdokładniej cokolwiek się mnie i bliższej mojej rodziny tyczy, wspomnę jak potrafię o rzeczach publicznych. Jmć dobrodziej, jako mężczyzna i człowiek stateczny, niemi wyłącznie swoją księgę zajmuje; on ją układa dla wszystkich, i sposobem poważnym: ja jako panna nieuczona i młoda, moję ramotę jedynie dla własnej zabawy pisać będę, ale z głowy, szczerze i bez pretensyi: będzie to prawdziwy dziennik, bo go prawie codzień pisać zamyslałam. Dziś właśnie nowy rok i poniedziałek, wyborna pora do zaczęcia porządnie jakowej rzeczy; już tydzień jak

ją w umyśle układam, trzeba raz z nią wystąpić: zaczynam więc; mam czas wolny, nabożeństwo odbyte rano, pacierze pozostałe odmówię na nieszperach; jużem ubrana i ufryzowana; właśnie dziesiąta bije na zamkowym zegarze, dwie godziny mam jeszcze do obiadu: napiszę dziś co tylko wiem o sobie, o rodzinie mojej, o domu naszym, o Rzeczypospolitej, a potem pisać będę kolejno cokolwiek nam wszystkim ciekawego się przydarzy.

Rodziłam się 1743 roku, mam więc rok szesnasty; na chrzcie świętym dano mi imię Franciszki. Słyszałam już nieraz, żeś gładka i dorodna, i nieraz jak spojrzę w zwierciadło, mnie samej zdaje się żeś ładna. „Panu Bogu dziękować, mówi Jmć dobrodziejka, a nie chełpić się. On nas stwarza nie my siebie.“ Mam czarne oczy i włosy, płeć białą, żywe rumieńce; chciałabym jeszcze być nieco wyższą, bo lubo wysmukła i wcięta w stanie, są wyższe odemnie białogłowy; ale mnie straszą, że już nie urosnę. Idę nietylko ze szlachetnej, ale z bardzo dawniej i zacnej rodziny Korwinów Krasińskich; to znakomite nazwisko nosząc, broń Boże! abym go kiedy splamić miała, owszem radabym uświetnić go jeszcze; i dlatego żałuję czasem, żeś nie mężczyzną, gdyż snadniejby mi to przyszło. Jmć dobrodziej i Jmć dobrodziejka, tak są przejęci zacnością domu Korwinów Krasińskich, tak często o tem i oni sami i dworscy i goście nawet mówią, tak naganną znajdują rzeczą o swoich antenatach dokładnie nie wiedzieć, że wszystkie mamy tą wiadomością głowy nabite. Ja genealogią Krasińskich, i historią każdego z nich tak umiem jak pacierz i łatwiejby mi było poczet przodków moich, niżli kolój królów polskich wymienić. O! niech tylko sprobuję erudycyi mojej w tej mierze! niech zaczną nie skończę tak prędko... Wreszcie pewna jestem, że niektóre szczegóły nigdzie nie są zapisane, tylko w pamięci naszej; lepiej im więc choć białogłowskiem piórem trwałości nadać. Może kiedy po mojej już śmierci,

kto ten dziennik znajdzie, i wnuki nowe w nim dla siebie wyczytają rzeczy?... Dziwna myśl... nie pomału mnie zajęła; któżby miał za lat kilkadziesiąt po śmierci mojej czytać ten dziennik? A czemuż nie? wieleżto listów, pamiętników we Francyi podobny los spotkał. O! trzeba pisać starownie i wyraźnie, szkoda tylko, że w styl nie tak wprawna, jak naprzykład pani *de Sevigné* albo *Motteville*; kto wie? możeby i mnie lepiej po francuzku się udało? bo i pewnie... Ale nie; nie wypada żeby Polka, żyjąc w Polsce, przestając z Polakami, nie po polsku dziennik swój pisała; wreszcie francuzki język dziś jest w wielkiem używaniu pomiędzy panami; ale ta moda minąć może, i zapewneby się kto w późniejszych czasach ze mnie zgorszył. Jeśli więc ten sekstern myszy nie zjedzą, lub też przy tylu fryzurach kto na papiloty nie podrze; jeśli go kto kiedy znajdzie i przeczytać zechce, niech wybaczy nieumiejętności mojej w wielu rzeczach, niech pamięta, że się nigdy pisać dziennika nie uczyła, że jeszcze lat szesnastu nie mam, i że co mnie dziś bardzo zajmuje i obchodzi, jemu w innych stosunkach i po tylu latach zapewne obojętnem się wyda... Ale co mnie się też zawsze po głowie uwija; jakież dziwactwa na myśl mi przychodzą? Wystawiam sobie rzeczy, które nigdy nie będą; ja bardzo lubię tak bujać, a to nie ma czasu na te urojenia; lepiej wrócić do rzeczy, do zaczętego rodziny mojej opisu: już ani zбочę z drogi, wszystko jednym ciągiem pióra napiszę.

Ród Korwinów znany jest w Polsce od Bolesława Wstydlwego; za jego panowania Warciśław Korwin, z starodawniej rzymskiej idący familii, przybył tu z Węgier; przy Konradzie księciu Mazowieckim był najprzód marszałkiem dworu, później hetmanem; ożeniwszy się z Pobożanką szlacheckiego rodu panną, herb swój, kruk z pierścieniem, a inaczéj *Stepowron*, wyniosł nad *Pobogiem* herbem żony swójej, i taki jest dotąd herb nasz. Wnuk owego Warci-

sława, Sławomir, od jednych z dóbr swoich *Krasno* nazwany, pierwszy Krasińskim nazywać się zaczął. Wnuk zaś jego Andrzej Krasiński, hetmaniąc ludziom księcia Konrada, poległ mężnie na Bukowinie r. 1497, w owej niepomyślniej za Jana Olbrachta przeciw Wołochom wyprawie, w której nie mało walecznych Polaków zginęło. On był dziadem Franciszka biskupa krakowskiego, którego ja bardzo kocham. Wizerunki wszystkich sławniejszych Krasińskich, wiszą w bawialnej sali naszej *); ale ja na obraz biskupa z największym upodobaniem patrzę, i bardzo się cieszę, że jest jego družbą. On zostawszy księdzem i kanonikiem, dwa razy od całego duchowieństwa polskiego jeździł do Pawła IV Papieża, i bardzo dobrze się sprawił; potem od Zygmunta Augusta wysłany posłem do Maksymiljana Cesarza, sprawy sobie zleczone uspokoił; zostawszy biskupem, bardzo wiele do tego się przyłożył, iż w r. 1569 doszła do skutku na sejmie Lubelskim, Unia Litwy z Koroną. Król Zygmunt August, szacując wysoko wielkie jego przyniosy, wyniósł go na biskupstwo krakowskie, a sam niedługo potem umierając w Knyszynie, od niego na śmierć był przygotowany i Sakramentami opatrzony. Łagodnego charakteru, on jeden z biskupów na sejmie Warszawskim r. 1573, w czasie bezkrólewia, podpisał artykuły pokoju z różnowiercami, a gdy mu to wymawiano, usprawiedliwił się oczywiście, iż tak dla prawdziwego dobra Kościoła uczynił. Ojczyznę bardzo kochał, nieraz na jej obronę wysyłał własnym kosztem uzbrojonych żołnierzy. W Krasnem wymurował kościół, szkołę i szpital założył. Dwór chował liczny, ubogim znaczne sypał jałmużny; nie stracił braciom i synowcom majątku, ale

*) Kopje ich widzieć można w sali pałacu JW. hrabi Wincentego Krasińskiego w Warszawie.

téż go nie przysporzył, i po jego śmierci bardzo mało w szkatule pieniędzy znaleźli.

Jeden z synowców biskupa, Jan kanonik był sekretarzem Stefana Batorego; bardzo uczony, dosyć pism zostawił; w jedném pod tytułem: *Polska*, drukowaném w Bononii, opisał prowincye, rządy, obyczaje kraju swego wyborną łaciną, i przypisał je Henrykowi Walezyuszowi, żeby i on i jego Francuzi obeznali się z Polską. To dzieło bardzo już rzadkiém się stało; Jmć dobrodziej jeden tylko ma egzemplarz, i jak relikwie go chowa; pisał on i o elekcyi Stefana i o śmierci Henryka: wszystko pięknie i po łacinie. Drugi synowiec biskupa, Stanisław wojewoda płocki, wiele podróżował, Malte, Sycylją, brzegi Afryki zwiedził, a z dwóch żon, pięć córek i dziesięciu synów zostawił; siedmiu z nich się ożeniło, mieli potomstwo, i rozkrzewili bardzo ród Kraszińskich; jeden z nich Aleksander, towarzysz Usarski, za nieszczęsnego panowania Zygmunta IIIgo, w tym samym Maleszowskim zamku, w którym ja dziś tak spokojnie piszę, Tatarom, zagony swoje aż po te strony zapuszczającym, tak mężny i dzielny dawał opór, a w wycieczkach swoich tak srodze ich porażał, że wódz przymuszony odstąpić od zamku, nie mógł przenieść na sobie, ażeby nie zostawił panu jego dowodu swego szacunku. Przez powiernika, także Tatarzyna, przysłał mu w darze co miał najdroższego: zegar, prostój wprawdzie roboty, ale u nich natenczas za dziwowisko miany. Ten zabytek szczególny, ten dar od nieprzyjaciela, od Tatarzyna, który brać, nie dawać umiść, chowany jest dotąd z wielką starannością w naszej rodzinie; dwa razy tylko widziałam go, tak go Jmć dobrodziej pilnie chowa, i wiem żeby go nie oddał za dziesięć zegarów Paryzkich z kurantami. Mężny ten antenat nasz zginał na wojnie nie zostawiwszy potomstwa, czego wielce żałuję; miłoby mi było iść w prostój linii od tak walecznego męża. Synowiec jego, Jan Bonawentura wojewoda połocki, w War-

szawie znacznym nakładem bardzo piękny i wspaniały pałac w włoskim guście wystawił, z dosyć sporym ogrodem. Nie byłam nigdy w Warszawie, więc nie wiem czy to prawda? ale już od wielu osób słyszałam, że jest jednym z najpiękniejszych gmachów stolicy, nierównie piękniejszej architektury od pałacu Saskiego, a nawet od zamku królów.

Ten Jan miał dwóch braci; jeden zostawił dwóch synów: Michała podkomorzego Ciechanowskiego i Adama biskupa kamienieckiego dotąd żyjących; biskup w wielkim jest u wszystkich szacunku, i nieraz Jmć dobrodziej mówi: że *Kamieniecki* jeszcze przejdzie *Krakowskiego* w sławie; drugi brat Jana Bonawentury, Aleksander podkomorzy sandomierski, był rodzonym moim dziadem, bo syn jego, Stanisław starosta nowowiejski, praszynski, ujski, jest Jmcią dobrodziejem, najukochańszym ojcem moim. Pojął za żonkę Anielę Humiecką, sławnego wojewody podolskiego córkę, Jmć dobrodziejką matkę moję; ale ta linja Krasińskich na nim zgaśnie z wielkim żalem moim, bo nie mamy brata; za to jest nas siostr cztery: Basia najstarsza, ja druga z kolei, Kasia i Marynia. Sługi i dworscy powtarzają mi często, że ja mam być najpiękniejszą, ale ja doprawdy że tego nie widzę; wszystkie jesteśmy ułożone jako na panny wysokiej kondycyi, na starościanki przystało; wszystkieśmy proste jak trzciny, zdrowe jak rybki, białe jak mleko, rumiane jak róże; każdą z nas, zwłaszcza kiedy ją *Madame* dobrze wysznuruje, jak to mówią: rękąby objął w stanie. Na pokojach, przy gościach umiemy dygać nisko i z *degagé*, siedzieć spokojnie na samym brzeżku stołka, oczy spuścić w ziemię, usteczka ścisnąć, rączki ułożyć; mogłoby się wtedy zdawać komu, że żadna z nas trzech zliczyć nie umie, i chodzić dla niej trudnością; ale niechby nas kto widział, kiedy w poranki letnie bez sznurówek, bufonek i fryzur, bez trzewików na korkach, ale w rannéj dezabilce i w wygodnych patynkach pozwolą nam państwo iść do

lasu, po górach się drapać; biegamy jak łanie, śpiewamy na humor, a biędna *Madame* ledwie nóg i piersi nie straci, tak za nami dąży i woła. Ja i młodsze moje dwie siostry jeszcześmy mało z domu wyjeżdżały; *Końskie* gdzie mieszka ciotka nasza, pani wojewodzina Małachowska, i gdzie dwa razy do roku bywamy; *Piotrkowice*, wieś do nas należąca, w której Jmć dobrodziej, wróciwszy z Włoch, piękną na wzór Loretańskiej wystawił kaplicę, w której częste bywają odpusty i wiele ludu; *Lisów*, dokąd parafia *Maleszowój*, to cała nasza publika; ale Basia, jako najstarsza, już kawał świata zwiedziła: była dwa razy w *Opolu*, u ciotki naszej księżnej Lubomirskiej, wojewodziny lubelskiej, którą Jmść dobrodziej nietylko jak starszą siostrę, ale jak matkę kocha i poważa; była przez rok cały w Warszawie u Panien Sakramentek; najwięcej też z nas wszystkich umieć, najniżej dyga, najprościej się trzyma i najwięcej ma prezencyi Myślą państwo, żeby i mnie gdzie na dokończenie edukacyi oddać i lada dzień spodziewam się że powóz zajdzie. Jmść dobrodziejka wsiąść z sobą każe, i do Warszawy albo do Krakowa pojedziemy. Wybornie mi w domu, ale Basi i w klasztorze było wyśmienicie; będzie tak i ze mną; a co się wydoskonałę w francuzkiej mowie, (bez której, jak mówią, dorzecznej białogłowie już żyć na świecie trudno), w menuecie, w muzyce, co wielkie miasto zobacę, to będzie moje. Ponieważ dotąd nic prawie prócz *Maleszowój* nie widziałam, sądzić nie mogę, czy piękna czy nie? wiem tylko że mi się bardzo spodoba.

Niektórzy mówią, że nasz zamek o czterech piętrach, z czterema narożnikami, otoczony rowem pełnym wody, z mostem zwodzonym, w kraju skalistym i wśród lasów położony, jest nader smutny; ja tego bynajmniej nie doświadczam; mnie tak na świecie wesoło, żebym chętnie cały dzień skacząc śpiewała. Słyszę państwa mówiących nieraz, że im niedosyć wygodnie; w samej rzeczy, są cztery pię-

tra w naszym zamku, na każdym sala, sześć pokoiów i cztery gabinety w narożnikach; jednak ponieważ nas jest bardzo wiele, nie możemy wszyscy i ze wszystkiem na jednem piętrze się mieścić: na innem jadamy, na innem się bawimy, a my panny aż na trzecim mieszkamy. Państwo oboje już nie młodzi, przykro im tak codzień wchodzić i schodzić, ale mnie te wschody niezmiernie bawią; kiedy jeszcze rogówki nie mam, to często, jak się uchwycę poręczy, w mgnieniu oka jestem na dole, nie dotknąwszy nogą ziemi. Pomimo tego, że goście często w ciasnocie mieścić się muszą, bywa ich bardzo wiele i nie wiem czybyśmy w wielkich gmachach lepiej bawić się mogli? czyby Maleszowski zamek, choćby trzy razy był większy, mógł być świetniejszy? tak w nim huczno, dworno i okazałe, że go sąsiedzi *małym Paryżem* zowią; osobiwie jak Bóg da zimę, to już kapitan dragonów naszych, mostu przed wieczorem spuszczać nie każe, tyle się zjeżdża osób; kapela nadworna ma co do roboty, gra codzień, a my tańczymy do upadłego. I lato nie jest bez przyjemności: chodzimy, jeździmy, poobiedzia trawimy w naszej sieni, która jest wyborna; niezmiernie wysoka, bo przez wszystkie piętra zamku idzie, oświetlona z góry: w największe upały tak w niej chłodno jak w piwnicy *). A i dworu naszego przepomnieć nie mogę; stosownie do majątku państwa, który jest bardzo znaczny, do mnóstwa osób, które prawie nieustannie w Maleszowskim zamku goszczą, musi być liczny i okazały; jest też takim, i nie wiem, czyby wielu panów w Polsce przejść nas mogło w tej mierze?

Dwór nasz składa się z *dworzan* i z *dworskich*; dworzanie w większej są powadze; jedni są *respektowi*, drudzy

*) Zamku Maleszowskiego już niema; przedostatni właściciel rozrucić go kazał; ale żyje jeszcze wiele osób, które go w całości widziały.

platni, wszystko sama szlachta z szablą u boku; niektórzy z nich byli wprawdzie przedtém czynszowi czyli okoliczną szlachtą, lecz Jmć dobrodziej powiada: „szlachcie na zagrodzie równa się wojewodzie;“ nikt im więc żadnego zarzutu nie czyni, uchodzą za szlachtę, na sejmikach mają głosy, i dobrze ich mieć za sobą. *Respektowych dworzan*, których jest kilkunastu, taka cała funkcyja: przyjść na pokoje, czekać przybycia Jmć dobrodzieja, prezentować mu się w przyzwoitym ubiorze, z miną do usług gotową, wykonać śpiesznie rozkaz jego, jeśli da jaki; jeśli nie, rozmawiać z nim, grać w karty, towarzyszyć mu w czasie odwiedzin albo przejażdżki, bronić go w każdej potrzebie, głosować za nim na sejmikach, i jego i gości, kiedy są, bawić. Tęj ostatniej powinności najlepiej dopełnia nasz *Macieńko*; szczególny to człowiek, a powiadają, że dawniej takich ludzi bardzo wiele bywało, i nie mógł się żaden dwór obejść bez takowego: niby on jest głupi, niespełna rozumu, a tymczasem bardzo trafnie o wszystkiém sądzi, i często bardzo dowcipnie się odezwie. Żaden z dworzan jego przywilejów niema; jemu zawsze wolno mówić i to prawdę. Dwór cały zowie go błaznem, ale my zowiemy go *Macieńkiem*, bo mu Maciej na imię i na tamten przydomek bynajmniej nie zasługuje.

Do respektowych dworzan należy sześć panien dobrego urodzenia, które z nami mieszkają, pod naszój *Madame* są okiem, i dwóch karłów. Jeden z nich ma lat 40, twarz starą, a wzrost czteroletniego dziecka, ubierają go po turecku; drugi ma lat 18, bardzo foremny i ładny, po kozacku chodzi: często na zabawę Jmć dobrodziejka stawiać go każe na stole w czasie obiadu, i on tak się przechadza pomiędzy półmiskami i butelkami, jakby po ogrodzie. Dworzanie respektowi nie biorą żadnych zasług; prawie wszyscy są synami dosyć majątnój szlachty, oddani do naszego dworu, dla nabrania ułożenia i dla promocyi do urzędów. Daje im się jednak obrok na parę koni, i dwa złote na tydzień

na masztalerza albo na pacholika, którego sobie utrzymać powinni. Każdy ma swojego służkę, jeden go po węgiersku, drugi po kozacku ubiera; to moja największa zabawa patrzeć jak każdy z nich w czasie obiadu lub wicherzy za panem swoim stoi, zagląda na jego talerz ciekawie, oblizuje się i łyka zawczasu, i radby wydrzczyć oczami każdy kawałek, który on do gęby kładzie; bo to, co mu pan zostawić raczy, całém jest jego jadłem: dla tych służków stołu osobnego niéma. Macieńko codzien dziwne rzeczy ze swoim pacholikiem wyprawia, często boki zrywamy śmiejąc się z nich obydwóch. *Płatnych dworzan* jest więcej niżli respektowych; ci nie siadają do stołu, prócz kapelana, doktora i sekretarza; marszałek i piwniczny stoją za stołem, chodzą, patrzą czy gdzie komu czego nie brakuje; państwu i gościom codzien i gęsto wina dolewają; dworskim tylko w dni świąteczne, i to po małej lampeczce. Komisarz, podskarbi, koniuszy, rękodajny *), szatni, wszystko to u marszałkowskiego stołu siada. Jużto i ci dworzanie co z nami siadają honoru mają wiele, ale korzyści nie dużo, bo niezawsze jedzą to samo co my, chociaż z tego samego półmiska; na przykład na pieczone kucharz ułoży na wierzchu drób i zwierzyne, a pod spodem jest pieczeń wołowa albo wieprzowa; dla tego też kawał stołu, przy którym siedzą, *szarym końcem* się zowie. Chociaż na dwóch ogromnych półmiskach każdą potrawę obnoszą, i z początku zdaje się niepodobieństwem żeby zniknąć miały te fury zrazów albo bigosu, bardzo często ostatniemu ledwie łyżka strawy się dostanie. Potężnie wszyscy jedzą, i czy jak codzien kucharz da cztery potraw, czy siedm w dniu świąteczne, czy dwanaście, kiedy wiele gości, jeszcze nie pamię-

*) Rękodajnym zwał się dworzanin, wyznaczony do asystowania pani domu i powodowania ją za rękę, gdy gdzie szła lub jechała.

tam żeby co kiedy zeszło ze stołu. Panny służebne w równej są u nas godności jak dworzanie respektowi, bo do naszego stołu siadają.

Dworzanie płatni wcale sute biorą zasługi, od trzechset do tysiąca złotych, obrok dla koni, barwa dla służącego; ale też Jmć dobrodziej wymaga, żeby porządnie chodzili, i osobiwie kiedy są goście aby się prezentowali suto i modnie. Kiedy z którego kontent, to znajdzie łatwo sposobność obdarzenia go, a co rok w dzień imienin swoich, hojne im daje podarunki, to z garderoby, to w gotowiźnie. *Dworskich* nierównie jest u nas więcej jak dworzan, wszyscy pod jurysdykcyą marszałka, który ma moc strofować ich i karać; w pierwszym rzędzie są pokojowcy, ci zwykle są szlachta, i tylko w téj służbie jakby nowicyat odprawiają, niedłużej na trzy lata: wszystko chłopcy młode od lat 15 do 20. Tych choć marszałek bić każe jak i innych, skoro przewinią, nie rozciągają na gołej podłodze jak liberyą prostej kondycyi, ale na kobiercu. Nasz marszałek dosyć jest surowy, częste plagi rozdaje; powszechnie jest zdanie, że tak czynić z młodzieżą przystoi, dla utrzymania jój w przyzwoitej ryzie. Jmć dobrodziej zawsze powtarza, że w całym zamku Maleszowskim niema pokoju, niema stołka, na którymby plag nie dostał; może dlatego taki dobry?..

Pokojowców mamy kilkunastu; jednemu z nich, Michałowi Chronowskiemu, dorodnemu ale ubogiemu szlachcicowi, w dzień Trzech Króli, nowicyat się skończy: będzie ceremonia wyzwolenia. Całą służbą pokojowca jest: być na pokojach pańskich, dobrze ubranym, prawie od rana do wieczora; kiedy jedziemy powozem, asystować konno albo pieszo, i być zawsze gotowym do posyłki; bo czy państwo list mają pilny, czy chcą gości jakich zaprosić, czy podarek komu posłać, zawsze pokojowców używają. Reszty dworzan i wliczyć trudno; doprawdy ani wiem, jak wiele u nas kapeli, kucharzy, hajduków, kozaków, pacholików, chłopców, gar-

derobian, dziewcząt służebnych? wiem tylko, że jest pięć stołów, a dwóch szafarzy od świtu do południa mają co robić z wydaniem na obiad i na wieczerzę. Bardzo często Jmć dobrodziejka jest przy tém, zwłaszcza kiedy nowe do magazynu przywożą prowianty; klucz zaś od apteczki, gdzie korzenie, specyałki i dobra wódka, zawsze przy niej, a co rano marszałek podaje jój spis potraw, jakie mają być na obiad i na wieczerzę? a ona z radą Jmć dobrodzieja zmienia je lub pochwała.

Porządek naszego życia jest zwykle taki: wstajemy letnią porą o szóstej, zimową o siódmej godzinie; wszystkie cztery sypiamy razem w jednym pokoju na trzecim piętrze, wraz z *Madame*; każda z nas ma łóżko żelazne z firankami; Basia jako najstarsza ma dwie poduszki i becik mantynowy; my po jednej i kołdrę flanelową; wstawszy i ubrawszy się naprędce, mówimy z *Madame* pacierz francuzki, poczem zaraz do nauki. Dawniej dyrektor uczył nas wszystkie, po polsku czytać, pisać i rachować, a ksiądz kapelan katechizmu; ale teraz tylko Kasię i Marynię uczy, a Basię i mnie sama *Madame*. Uczymy się na pamięć rozmów i wokabuł z gramatyki, słów i anegdot z nomenklatora, a o ósmej godzinie schodzimy na dół do państwa na dobry dzień i na śniadanie. Polewkę piwną w zimie, mleko w lecie, prawie codziennie jadamy, w dnie postne żurek bardzo wyśmienity; po śniadaniu idziemy wszyscy na mszę do kaplicy zamkowej, która jest bardzo piękna i z chórem; tam po mszy, kapelan czyta modlitwy po łacinie; cały dwór i my mówimy je głośno za nim: muszę się też kiedy spytać co one znaczą? Po tém nabożeństwie wracamy na górę uczyć się wokabuł i słów niemieckich; piszemy też i listy na zadania; *Madame* nam wiersze poety francuzkiego *Malherba* dyktuje; mamy też klawicymbał i metra do niego Niemca, który oraz kapeli nadwornej przewodzi, i trzysta złotych na rok bierze. Wszystkie się uczymy grać, Basia wcale niczego brzdą-

ka; potem kładziemy podwłosniki, i fryzyer nadworny po starszemu nas fryzuje: często ból srogi ponieść wypadnie, osobliwie kiedy nową jaką tworzy fryzurę. Ja mam najdłuższe i najgęstsze włosy, po ziemi się włóczą, gdy na taborecie przed gotownią siedzę, na mojej też głowie zwyczajnie swoje próby robi; ale prawda, że dziwnie piękne i sztuczne układa fryzury; dzisiejsza, naprzykład, w moim guście najpiękniejsza, bo jakaś jakby z niechcenia: włosy wszystkie szesane do góry, część ułożona w pukle na wierzchu głowy, część zawinięta, spada kręcąc się na kark i na ramiona: pudru w nich z pół funta. Ubiór nasz trwa parę godzin, przez ten czas uczymy się na pamięć przysłówiów różnych francuzkich, a bez pamięci, cierpliwości; jak teraz, to czas gotowni krótszy mi się wydaje, bo nam *Madame* czyta głośno dzieło najnowsze, dziwnie zabawne i arcy-moralne: *Magasin des Enfants* przez panią *de Beaumont* napisane. Są to rozmowy guwernantki z elewkami; wyborne rozpowiada im bajki.

O dwunastój, skoro na Anioł Pański zadzwonią, odmówiwszy go, schodzimy na dół na obiad, i już do końca dnia państwo u siebie bawić nam pozwalają. Dwie godziny siedzi się zwykle u stołu, potem przechadzka, jeśli pora sprzyja. Many też raz naraz pilną robotę do naszego kościoła do Piotrkowic, haftujemy w krosnach póki tylko widno, a przy świecy robimy siatki na wysćigi; świec pali się zawsze kilkanaście w srebrnych pająkach; chociaż żółte, bo z naszego wosku i domowej roboty, przecież bardzo widne: ja téj już zimy wieczorami do całej komeszki zrobiłam siatkę z pokrzywki, i posyłam ją w drobne muszki. Wieczera o siódmój i zimą i latem; po wieczery już nie ma roboty, tylko zabawa: gramy w karty w maryasza albo w drubarta; warto widzenia jakie miny *Macieńko* wyrabia, kiedy ma dolę albo siódemki: ja pękam od śmiechu. Kiedy nadejdzie dzień, w którym pokojowiec wysyłany co tydzień do

Warszawy powraca, kapelan czyta Gazety, Kuryera, listy; niektórym wiadomościom bardzo chętnie się przysłuchuję. Często także czyta nam Jmć dobrodziej stare kroniki, czasem nudne, ale czasem wcale zabawne; wyznam jednak, że mnie francuzkie daleko więcej od polskich zajmują, i nierównie więcej ich czytałam: nasza *Madame* ani słowa po polsku nie umie, z państwem raz w tydzień, a z nią codziennie czytujemy. Jak w zapusty to jeszcze rzadsze czytanie, gości pełno, a wtenczas gry, muzyka, taniec. Ani sobie wystawiam jak się bawią w Warszawie, u dworu; bo oczywiście że jeszcze lepiej i huczniej jak w Maleszowskim zamku: radabym z duszy przez ciekawość samą zakosztować kiedy tych zabaw... Ale co słyszę? już na dwunastą dzwonią; trzeba pióro rzucić, Pozdrowienie anielskie co tchu odmówić, fryzury poprawić, biedz na dół, i zostawić na jutro com dziś jeszcze w tym dzienniku napisać zamierzała.

2 Stycznia, we Wtorek.

Wczoraj byłam zajęta, jak Jmć dobrodziej zowie *prywatą*, to jest domowemi rzeczami; dziś zajmuje mnie *publika* czyli rzeczy publiczne. Nie byłabym godną być Polką, gdyby mnie nie obchodziło to, co z krajem moim się dzieje; często też o nim w domu naszym mowa: ja zawsze przysłuchiwałam się temu pilnie, ale od czasu jak ten dziennik pisać zamierzyłam, dwa razy więcej nadstawiam ucha. Mam więc co powiedzieć.—Dziś u nas panuje August III Elektor Saski, siedmnastego tego miesiąca 25 lat się skończy, jak go biskup krakowski koronował. Przeciwna jemu partya, jak niegdyś ojcu jego Augustowi II, chciała po drugi raz wynieść na tron Stanisława Leszczyńskiego; lecz August potężne miał wsparcie, i przy nim korona została. Leszczyński, któremu nawet przeciwna strona nic zarzucić nie może, jedno to, iż nie miał pieniędzy i wojska, wrócił do swoich

Lotaryńczyków, których dotąd uszczęśliwia. Do ubiegania się o koronę Polską, na którą dzisiejszy król po śmierci ojca obojętnie miał spoglądać, powiadają, że go najwięcej namówiła żona jego Marya Józefa, a téj pani powszechnie tę oddają sprawiedliwość, że była godną być królową Polską. Kochała Polaków, intryg nie lubiła, męża odwodziła od złego ile mogła; miłosierna, dobroczynna, pobożna, dobra żona, dobra matka, surowych obyczajów, zbiorem cnót niewieścich nazwać ją było można; drugi rok temu jak umarła w Dreźnie: czternaście dzieci miała, jedenaście zostawiła żyjących, siedm córek i czterech synów. Pamiętam dobrze, jakim żalem jéj śmierć wszystkie serca napełniła. Po wszystkich kościołach żałobne za nią odprawiło się nabożeństwo; w naszych Piotrkowicach były sute exekwie, ubodzy szczególnież rzewnie płakali, bo prawdziwą w niéj matkę stracili.

Król bardzo ma być łagodnego i dobrowolnego umysłu, polega téż zupełnie na zdaniu ministra swojego Brühla; ten prawdziwie i nim i Polską i Saxonią rządzi. W Saxonii teraz bardzo źle się dzieje; Prusy, owe nowo powstałe państwo, dziś prawie Europą trzęsie. Wielki jak mówią człowiek nad niém panuje. Kurfirszt Brandeburski 1701 roku tytuł króla Pruskiego przybrał, i sam sobie na głowę koronę włożył. Rzeczpospolita dotąd tego tytułu nie przyznała, a dziś następca jego podług upodobania gotów drugim korony kłaść lub zdejmować; sam opiera się Austrii, Saxonii, i Rossyi, i codzién kraje swoje powiększa: zręczność jego, biegłość w polityce, znajomość sztuki wojennéj ma być niepojęta, a przytém filozof uczony, i charakteru dzielonego. Słyszałam już nieraz mówiących: „Oj! Fryderyka Wielkiego by teraz Polsce na króla potrzeba!“ Ale kiedy nietylko nie mamy go na naszym tronie, ale owszem na przeciwnym sobie, dodają także mądrzy ludzie i te słowa: „bodajbyśmy z łaski jego późniéj czy prędzej nie zginęli!

bodajby to państwo które z Polaków powstało, nie zgubiło kiedy Polaków!“ Bo jak ciż sami mądrzy ludzie do ucha sobie szepcą, źle z Rzeczpospolitą się dzieje, a co jest najgorsza, i na to życie i na tamto, co do wszelakię wielkości największą bywa przeszkodą, coraz mniej w Polakach ma być starodawnę cnoty; wszyscy prawie szukają dogodzenia własnej ambicyi, własnego zysku, zapominają o wspólnej matce; aby im dobrze było, o ogół nie stoją; sejmy choć się zbiorą, nie dochodzą, nic więc dobrego uradzić nie mogą. Naprózno głos księdza Konarskiego, i kilku prawdziwych Polaków woła na tych obłąkanych! nie słyszą go, bo już przeważyla złych i podłych szala, i patrzeć tylko chwili, kiedy wszystkich za sobą pociągnie. Jednak jest jeszcze nadzieja, może być ratunek. Nasz tron jest elekcyjny, król dziś nam panujący bardzo stary, ma lat 63; nie długo więc może być inny. Ten, jeśli będzie wysokiego umysłu, cnoty stałej, niepospolitego męztwa, potrafi wybawić Rzeczpospolitą. Jeszcze w granicach swoich jest nienaruszona, jeszcze ogromny kraj posiada. Pan Bóg dobry i miłosierny udzielić raczy dzielności głowie narodu, zgody członkom, i ocaleni będziemy. Już téj głowy narodu, tego przyszłego króla, wszyscy wypatrują ciekawie; kilku mają na oku, mnie o dwóch słyszeć się zdarzyło: jednym jest Stanisław Poniatowski, syn kasztelana krakowskiego, który w takich był łaskach u Karola XII i księżniczki Czartoryskiej; drugim, jeden z synów naszego króla, królewicz Karol. Nie wiem dlaczego ku temu drugiemu serce moje więcej się skłania, chociaż tamten bliższy, bo rodak; ale już wiem dlaczego? więcej przymiotów w nim wszyscy upatrują. Osoby, które kiedyś rządzić nami mogą, obchodzić nas muszą; napiszę więc tutaj, co tylko wiem o obydwóch.

Poniatowski jest młody i bardzo piękny, uprzejmy, zwiedził wiele krajów, przejął grzeczność francuzką i białołowom szczególnie dziwnie podobać się umie; nauki

i uczonych bardzo lubi: przeszło cztery lata ciągle w Petersburgu gościł, jako sekretarz Rzeczypospolitej poselstwa, teraz niedawno odwołanym został. Królewicz Karol ma lat 26, z czterech synów dorosłych króla on jest trzeci z rządu, najwięcej od ojca i od wszystkich kochany, i jak mówią, najgodniejszy kochania; postawa jego ma być okazała, twarz nadzwyczajnie przyjemna, łagodna, obejście się z każdym miłe. Rzadki ma dar serc ujmowania; prawie od urodzenia ciągle bawi w Polsce, kocha Polaków, zna nasz język; w Rzeczypospolitej i na grzecznym dworze chowany, ani jest dumny, ani nadto się pospolituje. Uznawszy w nim te przymioty, król nasz, który synów swoich przy różnych dworach mieścić się stara, tego przeznaczył do służby w wojsku rossyjskiem, i do zarabiania na życzliwość dworu, na którego opiekę najwięcej rachuje. Rok będzie niedługo jak go pierwszy raz do Petersburga wyprawił; miał w tém jeszcze i inne widoki: chciał żeby królewicz księciem Kurlandyi mógł zostać. O tém księztwie Kurlandzkim, jak sobie zapamiętam, tak mówiących słyszę, i oto jest, co mi o niém zostało w pamięci. Księstwem Kurlandzkim, państwem hołdowniczém Polski, król nasz, nie wiem doprawdy jakim sposobem, miał prawo raz już tylko rozporządzić. W roku 1737 oddał go prawem lennem hrabi Bironowi i potomstwu jego płci męzkiej; ale Biron, niegdyś faworyt Imperatorowej Anny, wpadł w niełaskę, i wygnany wraz z rodziną na Syberyę został: tam już lat kilkanaście siedzi, a księstwo Kurlandzkie dotąd było bez pana. Król nasz namawiany oddawna do rozporządzania niém na nowo, nakłonił się dać je synowi swojemu; ale do ważności tego daru przychylenia się Rossyi i Stanów Kurlandzkich trzeba było; gdyż Biron był tylko jakby tymczasowo z téj godności wyzuty. Król mógł snadniej to przychylenie sprawić od królewicza Karola, który tak skłaniać serca ku sobie umie? Jadąc do Petersburga, zatrzymał się czas jakiś w Mitawie,

stołeczném mieście Kurlandyi, i ujął sobie znaczniejszych obywateli. Przyjechawszy do Petersburga, zaledwie kilka tygodni zabawił, kiedy Imperatorowa Elżbieta oświadczyła publicznie, że już nigdy ani Birona, ani synów jego nie odwoła z wygnania, i że żąda nawet, aby król Polski synowi swemu księstwo Kurlandzkie nadał.

To jój oświadczenie i zalecenie uroczyście było oddane w roku przeszłym królowi w chwili kiedy się sejm zgromadzał; ale że ten według panującego od jakiegoś czasu obyczaju, zerwanym wcześniej został przez Podhorskiego posła wołyńskiego, nie mogła być ta okoliczność na nim roztrząśnięta; zwołano więc radę senatu. Wielkie były spory; niektórzy senatorowie, osobliwie książęta Czartoryscy dowodzili, że król nie ma już prawa rozporządzać Kurlandją, zwłaszcza bez sejmu; że Biron, nie wytrzymawszy procesu kryminalnego i sądu, nie może być pozbawionym nadanego sobie raz księstwa; że wreszcie nadanie go królewiczowi trwałem nie będzie, bo ze śmiercią panującej Imperatorowej wszystko odmienić się może: nic to nie pomogło, 5 tylko głosów było przeciwko królewiczowi, 128 głosów za nim, oczywiście więc przeważyli. Wielki kanclerz koronny *Diploma* na to księstwo mu oddał, a dziś właśnie jest dzieńznaczony na *Investyturę*: wielkie uczty mają się odprawiać w Warszawie. Król z radości, że doszła część wido-ków jego względem ukochanego syna, mówią, że o dziesięć lat odmłodził. Ja wiedziéć nie mogę, czy to źle, czy dobrze się stało? To wiem, że bardzo z tego kontenta, bo dobrze królewiczowi życzę. Nie wiem doprawdy, zkaąd, za co i dlaczego, ale mocno mnie obchodzi; zdaje mi się, że los Rzeczypospolitój wkrótce od niego zależeć będzie, że on burzę Polakom grożącą odwróci, rząd dobry, prawa nam nada: tego wszystkiego nie będzie mógł zrobić, jeśli królem Polskim po ojcu nie zostanie, a wszyscy mówią, że księstwo Kurlandzkie bardzo mu może posłużyć za stopień

do tronu. Bądź cobądź, żal mi trochę, żem w téj chwili nie w Warszawie; ciekawabym była uczt, festynów, króla, dworu, a nadewszystko królewicza. Będziemyż przynajmniej zdrowie jego u stołu spijać i głośne wykrzykiwać wiwaty.

Dnia 3 Stycznia.

Wczoraj, kiedy w najlepsze przy odgłosie nadwornéj kapeli i strzelaniu naszéj dragonii piliśmy wraz z gośćmi zdrowie księcia kurlandzkiego, pokojowiec wysłany do Warszawy wrócił, i przywiózł listy donoszące, że dla słabości królewicza odłożona uroczystość inwenstytury na 8 Stycznia. „To jakaś nie dobra wróżba, powiedział Macieńko, usunęła się mitra, wysunie się korona.“ Jam się zasmuciła. Ale nie mogłam być długo smutna; po obiedzie przyjechało więcej gości: przyjechała pani podczaszyna z synami i córką, i nareszcie pan Świdzinski, wojewoda braclawski z synowcem księdzem Wojciechem jezuitą; ten już był w Maleszowie kilka razy: bardzo zacny i pobożny. Państwo niezmiernie go lubią i szacują wysoko; chociaż jeszcze nie stary, wszyscy jako księdza całujemy go w rękę; na Basię szczególnie łaskaw, przywiózł jéj różaniec, i nową książkę do pacierza, *la Journée du Chrétien*; przy wieczerzy siedział przy niéj, i kilka razy do niéj przemówił. Nic dziwnego, Basia najstarsza, najlepsza, wszyscy zawsze dla niéj najgrzeźniejsi.

Dnia 5 Stycznia, w Piątek.

Ciągle bawi pan wojewoda z synowcem i inni goście, a dziś podobno nowi przybędą. Przyjadą obadwa synowie pana wojewody, starszy starosta radomski, młodszy pułkownik wojsk króla JMCI. Pan wojewoda, wdowiec od lat

kilkunastu, ma prócz tych synów dwie córki; obie już za mężem: starsza Bona jest za Granowskim wojewodą rawskim, młodsza Maryanna za Lanckorońskim kasztelanem połanieckim: téj niedawno odprawiło się wesele. Tych panów Świdzińskich bardzo jestem ciekawa, bo obadwa chowali się we Francyi, w Lunewilu; zupełnie inaczej muszą wyglądać jak nasi Polacy. Dobry król Stanisław, choć w obcym mieszka kraju, przecież swoim rodakom chce być użytecznym; utrzymuje własnym kosztem kilkunastu z młodzieży polskiej, tam im najpiękniejszą edukacją dawać każe; panice z najpierwszych familii ubiegają się o ten zaszczyt, wynajdują sobie pokrewieństwa z Leszczyńskim, choćby najdalsze; i niema dla młodego kawalera lepszej rekomendacyi, jak kiedy powiedzieć o nim można: *edukował się w Lunewilu, był w Paryżu*. Już natenczas pewnie grzeczny, umie po francuzku i z gracyą tańczy menueta i kontredanse. Wszyscy téż kawalerowie z Francyi przybyli, wielki, zwłaszcza u białychgłów mają sukces, i powtarzam żem niezmiernie panów Świdzińskich ciekawa.

Dnia 6 Stycznia, w Sobotę.

Przyjechali wczoraj po obiedzie, nie mogę powiedzieć żeby byli zupełnie tak jakem ich sobie wystawiła, zwłaszcza pan starosta. Jam myślała, że zobaczę jakiegoś młodego, wysmukłego trefnisia, podobnego do księcia *Chéri* (tak ślicznie wystawionego przez panią Beaumont), który nieinaczej tylko po francuzku mówić będzie, a pan starosta już nie młody, ma lat trzydzieści, dosyć otyły, tańcować nie lubi i nawet nie wiem jak mówi po francuzku, bo się ani razu z francuzczyzną nie odezwał; łacinę tak mieszka jak i ojciec jego. Pan pułkownik lepiej mi się podobał: młodszy, w mundurze, i przecież parę razy po francuzku przebąknął. — Dziś Trzy Króle, dzień wesoły, odprawi się

ceremonia wyzwolenia Michała Chronowskiego, i ogromny placek pieką w kuchni z migdałem; kto też go dostanie? Ach! mój Boże! gdybym ja królową została! mnieby wieniec na głowę włożyli, jabym miała prawo przez cały wieczór rej wodzić w zabawach! o! dopiero byłyby tańce!... może i tak będą, bo bardzo wiele spodziewamy się gości. Mruzczał sobie stary nasz kredencierz pod nosem, że przed kościołem w *Piotrkowicach* pełno ma być karet, kolasek i bryczek; on już zawnazę zrzędzi, i narzeka na robotę; a ja z radości skaczę: mój Boże! jak to jedna rzecz jednego martwi, a drugiego cieszy.

Dnia 7 Stycznia, w Niedzielę.

O! w samą rzecz pełno było i jest gości, staremu Jacentemu przybyły dwie nowe zmarszczki na czole, ale my zabawiliśmy się cudownie. Nie ja, lecz Basia została królową, i równie wesoło zszedł mi wieczór, jak gdybym ja nią była. Kiedy przy końcu obiadu, po rozdaniu placaka, Basi *migdał* się dostał, jakby we krwi stanęła; a gdy to nasza *Madame* przy niej siedząca na głos oświadczyła, wszyscy będący u stołu, nawet dworscy za stołem krzyknęli *wiwat!* Macieńko opowiedział z uśmiechem: *kto dostał migdała, dostanie Michała*. Bo to podobno jest taka wróżba: której pannie w dzień Trzech Króli migdał się dostanie, ta jeszcze w te same zapusty za mąż pójdzie. O! dałby Bóg żeby się ta wróżba na Basi ziściła! mielibyśmy wesele.— Pan starosta ciągle mi się nie podoba, taki poważny; wczoraj tylko polskie tańce tańcował, o Paryżu, o Lunewilu bardzo mało rozprawia, z nami pannami wcale się nie wdaje, do żadnej nie przemówił; z państwem jedynie rozmawia, gra w maryasza, gazety czyta: zawsze powtarzam, że już wolę brata; naprzód młodszy i przecie na nim znać więcej Paryż i Lunewil. Ale... zapominam o Michale Chronowskim;

ceremonia wyzwolenia jego odbyła się po obiedzie, ubawiła mnie bardzo. Wszyscy goście zebrali się na sali i zasiedli; Jmć dobrodziej zajął nieco wyższe krzesło w środku, otworzyły się podwoje, marszałek, dworskich kilku, wprowadzili wyzwolenca już nie w barwianych, ale w paradnych sukniach: ukląkł przed Jmć dobrodziejem: ten go uderzył z lekka w twarz, żeby pamiętał łaskę jego, przypasał mu szablę do boku, wypił do niego spory kielich wina, i ofiarował konia z siedzeniem i drugiego z masztalerzem, którzy już w tę chwilę czekali przed zamkiem na nowego pana: zapytał go się potem czy chce pozostać u naszego dworu, czyli téż woli iść w świat? Chronowski odpowiedział że lubo mu bardzo tu dobrze, przecież życzyłby sobie szukać promocyi, i żądał rekomendacyi do księcia Lubomirskiego wojewody lubelskiego, szwagra Jmć dobrodzieja; przyobiecał ją, a wsunąwszy mu w rękę 20 czerwonych złotych, prosił ażeby w zamku Maleszowskim do końca zapust gościć raczył; przyjął Chronowski te zaprosiny z wielką radością, a skłoniwszy się do nóg obojgu państwu, i wszystkie przytomne damy pocałowawszy w rękę, przypuszczonym został do naszój kompanii i w wieczór dzielnie z Basią mazura i krakowiaka wywijał: przyznać mu trzeba, że nikt tak gładko i ochoczo nie tańczy jak on; Basia także dziwnie w tańcu szykowna, i pięknie im było razem.

Dnia 8 Stycznia, w Poniedziałek.

Już téż rzecz niepodobna, żeby komu wróżba migdała prędkiej się ziściła; Basia tych zapust jeszcze pójdzie za mąż, i za kogo? za Michała; bo panu staroście Świdzińskiemu Michał na imię, a on wczoraj wieczór Jmć dobrodzieja o jój rękę prosił; przysłali po nią państwo dziś rano przed śniadaniem, oświadczyli jój tę jego prośbę, i zaręczyny odprawią się jutro. Basia zapłakana wróciła do nas;

powiedziała nam po co ją wołał pokojowiec; mówiła mi, że się boi iść za męża, że jęj bardzo żal będzie domu rodzicielskiego, ale że niepodobna tēj partyi omijać, kiedy ją oboje państwo zapewniają, że będzie bardzo z panem starostą szczęśliwą. Ma być człowiek pobożny i uczciwy, łagodny; familja jego szlachecka, dawna, majątna; pod Chocimem, pod buławą sławnego Chodkiewicza, trzej bracia Świdzińscy: Aleksander, Michał i Antoni polegli; majątek piękny, już ma wypuszczone od rodziców dobra *Sulgostów* z wspaniałym pałacem, a oprócz tego król mu dał niezłe starostwo, i czekać tylko rychło kasztelanii dostanie. Pan wojewoda i ksiądz Wojciech jedynie tu po to przyjechali, już oddawna ten projekt mieli, i bardzo sobie gorąco życzą, żeby doszedł do skutku. Panu wojewodzie niezmiernie miała Basia do serca przypaść; jak ją pozna, pokocha ją jeszcze lepiej. Będziemy więc mieli wesele; o! cieszę się niesłychanie; odprawi się w Maleszowskim zamku 25 lutego, w same ostatki: będziemy tańcować!... Basia zostanie panią starościną; to jedyna szkoda, że już jęj nie będzie wolno Basią nazywać. Żal mi teraz tego com o panu starości w tym dzienniku napisała— ale cóż? nie jest ci to nic tak bardzo złego? Wreszcie kiedy się Basi podoba, to i dosyć; ona mówi, że się zawsze młodych bała, że lubi takich poważnych mężczyzn, i Jmć dobrodziejka powiedziała, że tacy najlepszymi bywają mężami. Może być, ale ja jednak wesołych i fertycznych wolę; każdemu swój gust mieć wolno... Ale, ale... dziś tęż niezawodnie odprawi się w Warszawie inwestytura królewicza Karola na księstwo Kurlandzkie; już wyzdrowiał; pan pułkownik Świdziński zna go z blizka, odchwalić się nie może jego przyjemności: pan wojewoda i starszy syn jego nie są jednak za tēm, żeby on był po ojcu królem Polskim, mówią że rodak lepszy.

Dnia 10 Stycznia, 1750 r. we Środę.

Już więc po zaręczynach: odprawiły się wczoraj. Do obiadu wszystko było jak zwyczajnie, Basi tylko, gdyśmy na pokoje się zeszli, Jmć dobrodziejka dała do zwinięcia motek splątanego jedwabiu. Basia wzięła się do téj roboty, cała w płomieniach; oczów na nikogo podnieść nie śmiała, tém bardziej, że oczy wszystkich a szczególniej pana starosty na nią zwrócone były. Wolała więc patrzeć jedynie w swój jedwab i w ziemię; a do tego niegodziwy *Macieńko* sprzeciwiał jój się niesłychanie, żarciki sobie z niéj stroił, z których wszyscy śmieli się serdecznie: ja tych żarcików po większej części nie rozumiałam, ale jednak śmiałam się może więcéj od wszystkich. Po obiedzie Basia usiadła przed zwijadełkiem w oknie, pan starosta zbliżył się do niéj i powiedział dosyć głośno: „Czyż prawda, że wć. panna dobrodziejka nie sprzeciwiasz się szczęściu mojemu?“ — „Wola najukochańszych rodziców była zawsze dla mnie najświęszém prawem,“ odpowiedziała Basia cichym i drżącym głosem, i skończyła się narzeczonych rozmowa.

Gdy się liberya i dworscy rozeszli, i zostaliśmy sami z gośćmi, pan wojewoda z księdzem Wincentym powstał z miejsca swego, wziął za rękę pana starostę, stanął z nim przed państwem, którzy właśnie razem na jednéj kanapie siedzieli, i tak powiedział: „Oddawna serce moje najszczerzym afektem, najgłębszém uszanowaniem ku przezacnemu domowi Korwinów Krasieńskich jest przejęte; oddawna życzę sobie gorąco, ażeby skromny mój *Fółkozie* *) uświetnił się ich zacnym *Śtepowronem*; i niewymowną jest dla mnie satysfakcją, iż precudowna łaska jww. państwa dobrodziej-

*) Herb Swidzińskich.

stwa tój konsolacyi dziś zakosztować mi pozwala. Macie przecażną córę, Barbarę, ja mam syna Michała, który jest chlubą i pociechą moją; raczyliście się już przychylić do połączenia dozgonnie tój młodej pary: raccie dziś potwierdzić tę obietnicę. Oto pierścień, który przed laty od rodziców, dla zmarłej już niestety! lecz żyjącej jeszcze w sercu mojem oblubienicy, w podobnymże razie dostałem: pozwólcie aby go syn mój na zadatek ściślejszego związku córce waszój ofiarował.“ To mówiąc, dobył kosztownego pierścienia z brylantami, i złożył go na tacy, którą trzymał ksiądz Wincenty; ten przemówił także do państwa, ale że wiele przymieszał łaciny, nie zrozumiawszy, nie mogłam słów jego spamiętać. Jmć dobrodziej zaś tak obudwom odpowiedział „Com onegdaj wyrzekł, to i w tój chwili powtarzam; przeciwko dozgonnemu związkowi córki mojej z zacnym starostą nic nie mam: daję mu ją chętnie z życzliwem błogosławieństwem, i całe moje prawo ojcowskie nad nią zlewam na niego.“—, „I ja toż samo z serca czynię, dodała Jmć. dobrodziejka; oto pierścień, klejnot w domu moim najdroższy, bo go ojciec mój Stefan Humiecki, wojewoda podolski, z rąk ś. p. Augusta II-go dostał, kiedy do skutku pakta karłowieckiego doprowadził, i Kamieniec Podolski ostatnio Turkom odebrał. Tym pierścieniem ja zaręczoną zostałam, ten pierścień najstarszej córce mojej daję z macierzyńskim afektem i z szczerą prośbą do Wszechmocnego Boga, ażeby jój szczęście podobne mojemu przyniósł.“ I położyła na tacy pierścień z ogromnym dyamentem, pod spodem którego jest miniatura nieboszczyka króla.“

— Basiu! chodź tu wasze!“ zawołał wtenczas Jmć dobrodziej;“ wstała, poszła, ale nie wiem jak mogła przejść pokój, tak była zmieszana, tak się chwiała, że idąc ledwie nie upadła. Ksiądz Wincenty wyrzekł nad pierścionkami łacińskie błogosławieństwo, dał pierścień z brylantami panu starości, który go na mały palec u lewej ręki, *serdecznym*

zwany, siostrze mojej włożył, pocałowawszy ją pierwej w tęż rękę, a Basi dał pierścień z portretem, mówiąc żeby go panu staroście oddała; na sam koniuszcek palca go włożyła, ale pan starosta skoro go odebrał, raz ją jeszcze pocałował w rękę, potem upadł do nóg państwa, dziękował im, świadczył się Bogiem, że będzie się starał córkę ich uszczęśliwić. Tymczasem pan wojewoda całował w czoło drżącą Basię, i pan pułkownik i ksiądz Wincenty śliczne jej komplimenta prawili. Jmć dobrodziej wziął wielki puhar, nalał go starym węgrzynem, wniósł zdrowie oblubieńców, i wszyscy spełnili go kolejno. — Tak to wszystko było uroczyste i tkliwe, że mnie patrzącęj zdaleka cały czas łzy się z oczów toczyły. „Nie płacz Franulku, powiedział *Macieńko*, (który był cały czas w pokoju, ale przecie milczał) nie płacz, i z Imościanką tak najdalej za rok będzie!“ — Za rok, to jeszcze zaprędko; ale za parę lat, to się i nie rozniewam, jak się ze mną tak stanie.

Cała rodzina Świdzińskich niepojęcie dla Basi uprzejma i grzeczna, państwo oboje pocałowali ją wczoraj w twarz, jak im dobrej nocy życzyła; w całym domu wszyscy dla niej od dnia wczorajszego mają jakieś względy, o nikim tylko o niej mowa: wszyscy jej winszują, wszyscy się jej polecają, każdyby rad żeby go do swego przyszłego dworu przyjęła. Jmć dobrodziej dobył z sepecika tysiąc dukatów holenderskich, zalecając Jmć dobrodziejce, żeby porządnie i uczciwie opatrzoną córkę z domu wyprawiła. Oboje naradzali się nad wyprawą godzin kilka. Jutro panna Zawistowska, białogłowa bardzo zacna, koło trzydziestu lat mająca, w domu państwa od maleńka wychowana, i która będzie wyprawną panną Basi, pojedzie z komisarzem do Warszawy, dla zakupienia potrzebnych rzeczy. W skarbcu naszym stoją już oddawna cztery wielkie kufry srebra dla każdej z nas; kufer Basi przeznaczony, kazał Jmć dobrodziej otworzyć, przepatrzył sam wszystko, i naczynia po-

trzebujące naprawy lub odczyszczenia, także do Warszawy pójdą. Pan wojewoda jutro wyjeżdża wraz z panem starostą, żeby dom Sulgostowski na przyjęcie Basi urządzić. Jmć dobrodziej gotuje listy, i pokojowców po wszystkich stronach Polski z niemi rozsyła; wszystkim osobom, które pokrewieństwem, przyjaźnią, zażyłością z domem naszym są związane, donosi o tym wypadku i na wesele zaprasza. Najurodziwszy zaś z dworzanów naszych, koniuszy, suto wyekwipowany, wyjedzie za parę dni z listami do króla i królewiczów, do prymasa i celniejszych senatorów; w nich Jmć dobrodziej uwiadamia ich o przyszłym postanowieniu córki, prosi o błogosławieństwo temu związkowi, ale wyraźnie nie zaprasza, zostawując to łasce tak dostojnych osób. Ach! żeby też który z nich przyjechał, naprzykład książę Kurlandzki, dopiero uświetniłoby się wesele. Ale najpewniej że tylko posłów swoich przyślą, którzy w takim razie takie mają miejsce i honory, jakieby się niemal należały tym, których reprezentują. Jaka to będzie wesołość, jakie ucztę! jak już radośnie i huczno w naszym zamku, aż miło.

Każdej z nas siostr śliczne dał upominki pan starosta: jam dostała kosztowną spinkę z turkusami, Zosia krzyż rubinowy, Marysia łańcuszek wenecki, państwu nawet ofiarował podarki i raczyli je przyjąć: Jmć dobrodziejowi puchar bardzo piękny, Jmć dobrodziejce szkatułkę z narzędziami do roboty, wszystko w niej z perłowej macicy w złoto oprawne. O *Madame* nawet nie zapomniał, blondynową salopkę dziś rano na łóżku swoim znalazła; wysławia też hojność polską: to jest jedna rzecz, którą w narodzie naszym chwali. Choć to nasza *Madame*, i z innych miar bardzo ją szanuję, przecież za tę pogardę Polaków nie lubię jej. Wczoraj była paradna wieczórka, kapela grała prześlicznie, spijano za zdrowie przyszłej pary; dragonia nasza strzelała, a rotmistrz dał za hasło rocie swojej *Michał* i *Barbara*. Już i Basia trochę śmielsza, wstydzi się jeszcze swego pierścionka;

kryje go jak może, a każdy go widzi, bo dyamenty jak gwiazdy jaśnieją. Dziś rano wszyscy na szczęście Basi pojechali na polowanie. Mówią, że dawniej był taki zwyczaj, że panna w takim razie koniecznie strzelcom nóżkę swoją pokazać musiała, ale ten zwyczaj nieskromny ustał, chwała Bogu! Basia spiekłaby się od wstydu; a ten Macieńko taki pocieszny, że koniecznie się tego domagał, i mówił: iż skoro ta formalność nie dopełniona, polowanie się nie powiedzie, bo niema szczęścia. Nie zgadł jednak, tak było pomyślnie, jak rzadko kiedy: zabito dzika, dwie sarny, jednego rogacza, zajęcy mnóstwo; sam pan starosta dzika zabił, i tę zdobycz u nóg Basi złożył.

O! przekonałam się, że z pana starosty zuch wielki. Wyprowadzić kazał Jmć dobrodziej dla myśliwych wszystkie konie ze swojej stajni, w sute rzędy przybrane; był między nimi jeden śliczny, ale prawie zupełnie dziki; koniuszy na nim jeździć nie śmie, bo wszystkich zrzuca; pan starosta powiedział że go pokona: jakoż wsiadł, pomimo przedstawień przytomnych osób, i tak go dzielnie ujął, że wśród skoków, pierzchań, wybryków jego, trzy razy w około bez najmniejszego szwanku zamek Maleszowski objechał. Pięknie było na to patrzeć. Basia trochę zbladła jak wsiadał na tego dzikiego konia, ale gdy zobaczyła, że tak nim kierować umie, gdy zaczęły się rozlegać przytomnych oklaski, żywy rumieniec twarz jej okrył, tém żywszy, że wszyscy prawie na nią spojrzeli. Od tego czynu pozyskał zupełnie moje łaski pan starosta; kto tak mocno siedzi na koniu i taki śmiały, temu już wybaczyć można, choć menueta i kontredansa tańczyć nie lubi. Jmć dobrodziej darował przysłemu zięciowi tego konia z bardzo bogatym rżędem i masztalerzem. Zasłużył sobie na ten podarek.

Dnia 20 Stycznia, w Niedzielę.

Więcej niż tydzień nie pisałam Dziennika mego, bośmy wszyscy bardzo zajęci. Gości moc niezmierna, z nimi więc poobiedzia i wieczory schodzą, a poranki oddane robocie. Zarzucone zupełnie nauki, Nomenklator, Gramatyka francuzka, sama nawet pani *de Beaumont* leży w kącie; każda z nas trzech chce koniecznie Basi, podarkiem własnej pracy do wyprawy się przysłużyć. Ja jój haftuję dezabilkę linową z falbanami w robotki; wstaję téż rano i przy świecy pracuję, żeby koniecznie na czas wykończyć; Marysia wyszywa rańtuch bardzo ładny, na izabelowym muslinie, będzie arabesk złotem i ciemnymi jedwabiami; Zosia haftuje szydełkiem przykrycie do gotowalni. Jmć dobrodziejka od samego rana otwiera sepety, kufry i szafy, dobywa z nich płócien, materyi i futer, makat, kotar, kobierców; wiele ma rzeczy pozostałych z własnej wyprawy, wiele także po zameęciu nabytych, bo już od lat kilkunastu zbiera na wyprawy nasze piękności rozliczne. Prawdziwie jest czemu się przypatrzyć! a co mnie najmocniój zajmuje, kiedy mnie Jmć dobrodziejka do pomocy wezwać raczy, to jój baczność, ażeby żadnej z nas na włos nie ukrzywdzić; wszystkie te bogactwa na cztery części dzieli i nieraz aż Jmć dobrodzieja i księdza kapelana prosi, żeby dali zdanie swoje, czy wszystkie części równe, czy nie? Krawca i kuśmierz państwo sprowadzili z Warszawy, i ci tyle mają do roboty, że ledwie za miesiąc wszystko wykończą. Wielkie szczęście iż bielizna prawie cała już uszyta, przez dwa lata panny dworskie ją szyły; teraz ją znaczą niebieską bawełną w oczka, spodziewam się że się wprawia w litery B. K. Bardzo piękna będzie wyprawa. Basia nie pojmuje co z tyłą sukniami pocznie? bo dotąd wszystkie mamy po cztery pary, dwie sycowe ciemne na

codzień, i czarne do nich mantynowe fartuchy; jedną białą kartonową od Niedzieli, drugą linową od większych świąt i uroczystości, i bardzo nam dosyć; ale Jmć dobrodziejka jęj mówi: że pani staroscina piękniej powinna się ubierać od Basi i że co dla panny wyborne, dla mężatki już nie przystoi. Basi kazała Jmć dobrodziejka z owego jedwabiu starganego sakiewkę dla pana starosty zrobić, jest nią zupełnie zajęta, bo pięknieby ją wydać rada. Z taką cierpliwością ten jedwab zwinęła, że chociaż zielony, nic koloru nie zmienił, i ani razu nie urwany. Śmiało może iść za mąż, sam Macieńko jęj to przyznaje. Pokojowcy i koniuszy z listami już pojechali; bardzom ciekawa odpowiedzi. Basia truchleje, żeby który z królewiczów nie przyjechał, a jabył tak rada.

Ale inwestytura królewicza Karola na księstwo Kurlandzkie odprawiła się ósmego bieżącego miesiąca uroczyscie. W wigilją dnia tego nasz pociot, książę Lubomirski, wojewoda lubelski, marszałek królewicza, dawał suty bal; gale, festyny, obiady, trwały więćej niż tydzień. Nowy książę kurlandzki miał jedną mowę po polsku, czém wszystkich przytomnych niewypowiedzianie uradował. Już teraz zupełnie jest uważany jako książę udzielny, i z wielką przyzwoitością miał odegrać tę całą rolę. Jest w *Kuryerze Polskim* obszerny dyaryusz tęg inwestytury; gdyby czas był potemu, przepisałabym go tutaj, bo mnie bardzo zajął. Prawdę mówiąc, wolałabym jeszcze być świadkiem tego wszystkiego, bo dwa razy lepiej widziéć rzecz jaką aniżeli czytać o niég. Ale kiedy to być nie może, rada jestem przynajmniej, że się już ta inwestytura odbyła.

Prócz tęg dobrej wiadomości, niéma żadnéj i żal serce mi ściska, kiedy nagląc z moją dezabilką, słucham jak kapelan gazety czyta. Zewsząd ubliżają powadze Rzeczypospolitéj. Lecz co tam o tég myśleć i trapić się, lepiej jak Jmć dobrodziej mówi używać obecnych momentów, cieszyć się, radować póki pora służy. Bo i prawda! prawią poką-

tnie o jakichciś nieszczęściach, bédach, a tymczasem Polska cała w ucztach, festynach, biesiadach. Może téż oni wszyscy tak robią jak nasz Macieńko; on kiedy ma jakie zmartwienie, to kieliszka z ręki nie wypuści, powtarzając: *dobry trunek na frasunek*, i im więcéj strapiony, tém więcéj pije.

Dnia 25 Stycznia, w Piątek.

Pan starosta wczoraj w wieczór przyjechał, dwa duże srebrne kosze cukrów i pomarańcz Basia dziś z rana na swoim stoliku od roboty zastała; wszystkie te specyały rozdzieliła między nas, panny dworskie i służebne; robota téż piorunem idzie, i moja dezabilka prawie przez połowę gotowa. Z własnego gospodarstwa będzie miała Basia pościel: już bardzo dawno jak każda z nas ma swoje gęsi a nawet łabędzie; mamy téż w garderobie biédną głupowatą Marynę, która nic innego robić nie umie tylko piérze drzéc; każda z nas ma osobną beczkę na piérze, osobny worek na puch, i tyle się każdéj uzbierało, że Basia będzie miała dwa napchane piernaty, ośm dużych puchowych z gęsi poduszek, a dwie małe z łabędziego puchu; nasypki będą z gęstego płócienka domowój roboty, poszewki z karmazynowój mantyny, a powłóczki z cienkiego holenderskiego płótna z falbanami. Te falbany, panny teraz właśnie obrzucają szydełkiem.

Dnia 2 Lutego, w Sobotę.

Pan starosta bawił blisko tydzień i pojechał; jak powróci, to już nie odjedzie sam, tylko z Basią. Zdaje mi się rzeczą niepodobną, żeby ona sama z mężczyzną nas odjechała, wierzyć mi się temu niechce; ale jak zobaczę, to będę musiała uwierzyć. Basi szacunek i przyjaźń dla pana starosty codzien większy, codzien jéj się lepiej podoba, chociaż kiedy tu jest, bynajmniej z nią nie mówi, tylko

z państwem cała rozmowa; im wszystkie swoje attencye okazuje, wszystkie affekta wynurza. Jak mówią, zawsze tak w każdej uczciwej konkurencyi się dzieje, bo jakiż lepszy sposób pozyskania serca córki, jak podobać się jój rodzicom? Za trzy tygodnie wesele, i ja i wszystkie siostry będziemy miały nowe suknie. Basia nam je sprawia, jako i wszystkim pannom dworskim. Już z gości zaproszonych wielu odpisało, że przybędą; ale król i królewicz posłów tylko przyślą, z wielkim moim żalem. Wątpię także żeby księżna wojewodzina Lubomirska zjechać mogła, bo im nie wypada teraz opuszczać Warszawy; ale bardzo pochwała wraz z mężem zamećcie Basi: piękny list napisała z błogosławieństwem, z czego Jmć dobrodziej niewymownie był szczęśliwy. Moja dezabilka będzie gotowa na czas, lecz fałdów przysiedzieć muszę, ile że Jmć dobrodziejka tak na mnie łaskawa, że mnie często do swojej pomocy i usługi wołać raczy; dotąd Basia jedna jako najstarsza tego szczęścia używała, ale teraz państwo chcą, żebym ja się wprawiała i umiała potem ją zastąpić. Już dwa razy miałam sobie powierzony klucz od apteczki; zdaje mi się też od tego czasu żem spowaźniała, i że mi przynajmniej z rok przybył. O! muszę się pilnie przyglądać temu wszystkiemu co Basia dla państwa robi, jakie usługi im czyni, żeby jak ją nam pan starosta zabierze, nie tyle jój straty uczuli. O to tylko idzie, czy im tak potrafię dogodzić jak ona?

Dnia 12 Lutego, we Wtorek.

W Warszawie z powodu zapust, a szczególnie z powodu szczęśliwie doszłej inwestytury królewicza, uczt, bałłów, zabaw bez liku; pełne gazety opisów tych uroczystości. Do nas też niepomaha zjeżdżają się goście i nieladajakie robią na wesele przygotowania. Już prawie wszystkie pokoje gościnne zajęte, albo przeznaczenie swe mają;

folwark, probostwo; lepsze chałupy nawet użyte będą, jak się więcej zjedzie; kucharze i cukiernicy już zaczynają przyrządzać różne na te dni specyały; wielkie pranie w domu: ogród, podwórza zasute sznurami z bielizną. Praczki wróżą Basi wielkie w małżeństwie szczęście i wielką miłość przyszłego męża, bo jak tylko prać zaczęto, z czasu mglistego zrobił się najpiękniejszy, mroźny, ale jasny, suchy, i jej bielizna będzie taka biała jak śnieg, który w tej chwili wszystko pokrywa. Już niemal cała wyprawa skończona, dziś właśnie Jmć dobrodziejka wysłała do Sulgostowa łóżka, kuffer jeden srebra i dwa ogromne kufry z pościelą, z makatami, kobiercami i t. p. rzeczami. Łóżka będą bardzo piękne, żelazne, firanki do nich, kołdry i podniebienie adamaszkowe niebieskie, a na czterech rogach pęki piór strusich białych i niebieskich. Basia prawie co chwila ma za co całować ręce i nogi państwa, tak ją obdarzają. Jmć dobrodziej własną ręką w wielkiej księdze całą wyprawę spisuje; na początku są te słowa: „Spis wyprawy, którą ja Stanisław z Korwinów Krasiński etc. etc. i Aniela z Humieckich, małżonkowie dajemy najstarszej i najukochańszej córce naszej Barbarze, oddając ją w dożywotni związek jw. Michałowi Świdzińskiemu staroście radomskiemu, i wzywamy dla tej najukochańszej córki naszej błogosławieństwa Niebios i błogosławimy ją sami rodzicielskim afektem w Imie Trójcy Przenajświętszej, w Imie Ojca i Syna i Duchy Świętego, Amen.“ Wypisałabym tu chętnie cały ten spis, ale naprzód nie mam czasu; powtóre, sama kiedyś podobnej spodziewając się wyprawy, i spis taki, a co lepsza takie błogosławieństwo otrzymam.

Dnia 20 Lutego, we Środę.

Już za pięć dni wesele, a pan starosta przyjechał wczoraj; zadrżała Basia jak listek, gdy go pokojowiec wpro-

wadził do sali: dziś spodziewamy się pana wojewody, pułkownika, księdza Wincentego, pani wojewodziny Granowskiej siostry pana starosty z mężem. Druga jego siostra pani Lanckorońska kasztelanowa połaniecka, zjechać nie będzie mogła; bawi teraz na Podolu z mężem w dobrach jego w Jagielnicy. Basia bardzo żałuje, że jej nie pozna, bo tyle dobrego wszyscy o niej mówią. W piękną familję Basia wejdzie, sami zacni i pobożni ludzie, i tak dla niej grzeczni i uprzejmi, jak gdyby księżniczką była. Już wyprawa zupełnie ukończona; to co jeszcze nie poszło do Sulgostowa, ułożone w kufrach, i klucz oddany pannie Zawistowskiej. Bardzo Basi miło, że ją mieć będzie; nawykła patrzeć na nią od dzieciństwa, będzie jej się zdawało, że jakąś część domu rodzicielskiego w niej zawiezie na nowosiedliny swoje. I wiele innych osób z Maleszowój z sobą zabierze: dwie pokojówki, dwie dziewczynki, córki swoje chrzestne, już edukowane do robót knopfsztychowych; garderobiane i panienkę wcale dobrego urodzenia, dziwnie żwawą i fertyczną, Ludwisię Linowską, która od lat kilku jest u nas i Basię kocha nad życie. I więcej się tu kobiet przyszlęj pani staroście zaleca; gdyby tylko państwo pozwolili, mogłaby ich mieć ze dwanaście. Jak ja kiedy będę szła za mąż, to muszę wziąć jeszcze więcej; już trzem dziewczętom uroczyście przyrzekłam że je wezmę: jedna z nich jest córką naszego Jacentego, który mi za to przyrzeczenie do nóg się skłonił, i pierwszy raz w życiu rozmarszczyło mu się czoło.

Dnia 24 Lutego, w Niedzielę.

Jutro ślub Basi, gości nazjeżdżało się co niemiara, już są wszyscy posłowie; posłem króla jest minister Borch, księcia kurlandzkiego kasztelanic Kochanowski, zausznik jego, bardzo przystojny i grzeczny kawaler, prawdziwie *jaki pan*,

taki kram, że innych pominę. Wszyscy jakby słowo sobie dali, przyjechali wczoraj; wjazd ich był prawdziwie wspa-
niały. Państwo uprzedzeni będąc o dniu i o godzinie, wszystko kazali mieć w przyzwoitym porządku; oni jeszcze zbliżając się do zamku dawali znać o sobie; przed każdym występowała nasza dragonia, bito z armat i z ręcznej bro-
ni, muzyka brzmiała. Najwięcej jednak odebrał poseł kró-
lewski: Jmé dobrodziej z odkrytą głową czekał go na mo-
ście, a skoro wstąpił, zebrani goście, dworzanie, dworscy, liberya w szereg ustawieni do samych drzwi wchodowych, krzyknęli „*Wiwat!*“ i skłonili się do ziemi. Dziś w przyto-
mności wszystkich, przed wybranymi na to świadkami, pi-
sana była intercyza czyli kontrakt ślubny: co zawiera nie
wiem, bo nic jój nie zrozumiałam; wiem tylko że nasza
panna młoda prześlizne dostała podarunki: od pana sta-
rosty trzy sznurki pereł uryzańskich, zausznicie modne dya-
mentowe, i różyczki także z uszkami u spodu do nawle-
kania; od pana wojewody krzyż dyamentowy suty i egretka
na głowę z trzęsidłami dyamentowemi; od pana pułkownika
zegarek paryzki z emalją i z łańcuszkiem białogłowskim;
od księdza Wincentego różne relikwie, od każdego z kre-
wnych upominek: zarzucona jest niemi, ani śmie wierzyć
że tyle bogactw do niój należy. Jedynym jój kanakiem do-
tąd (prócz pierścienia którym zaręczona) był pierścionek
z Matką Boską, i dla tych przecież nowych i pysznych
klejnotów starego przyjaciela Basia nie porzuci. Dłużej
pisać nie mogę, właśnie mi pokojówka dezabilkę wypraną
i uprasowaną przyniosła: prześlizna; trzydzieści jest w niój
gatunków kratek i robótek, muszę wykostkować sama nie-
które, a potem zaniosę pannie Zawistowskiej, żeby ją pan-
nie młodej na jutro rano nagotowała. Już widzę jak jój
ślicznie w niój będzie.

Dnia 26 Lutego, w ostatni Wtorek.

Otóż już panny Barbary na sto koni nie dogoni, jak mówi Macieńko; już panią starością. O! ślicznaż to, uroczysta i tkliwa rzecz, takie wesele! a co wesołości, zabawy, tańców! ale wszystko muszę opisać porządnie. Wczoraj raniuteńko pojechaliśmy wszyscy do kościoła do Lisowa, państwo młodzi spowiadali się i do Komunii przystąpili; przez całą Mszę śpiewaną klęczeli razem przed wielkim ołtarzem, a po Mszy świętej nasz proboszcz dał im błogosławieństwo. Panna młoda była w mojej dezabilce, w której zgadłam że jej przesłicznie; szkoda tylko iż dla zimna musiała wiaść na wierzch salopę białą grodeturową z lisami białymi, i trochę się pogniotła; na głowie miała piękną fryzurę, a na wierzchu długi welon koronkowy. Wróciwszy do zamku, po sutém śniadaniu przystąpiono do ubioru panny młodej. Dwanaście pań poważnych ją ubierało, a Jmć dobrodziejka na czele. Miała suknię przepyszną z materyi białej w szerokie pasy atłasowe i morowe z wielkim ogonem, a u dołu falbana z koronki brabanckiej z kampanką srebrną; na przodzie bukiet z rozmarynu, a na samym środku głowy wianeczek takiż na łubku złotym, na którym wierszami życzenia dla Basi, dzień i rok ślubu. Bardzo jej było do twarzy. Klejnotów żadnych Jmć dobrodziejka wiaść nie pozwoliła, bo kto się w nie do ślubu stroi, kwaterką łez potem każdy odpłakać musi. Basia i tak dosyć płakała, aż jej oczy zapuchły. Nim jej Jmć dobrodziejka wianek przypięła, starym obyczajem, włożyła w środek dukat z roku urodzenia się Basi, chleba kawałek i soli bryłkę, ażeby jej nigdy na tych potrzebnych rzeczach w tym nowym stanie nie zbywało, a chcąc przykrości małżeństwa (które mają być bardzo wielkie) zawczasu córce osłodzić, przydała i cukru kawałek.

Trochę pierwój przed Basią my druchny zeszyliśmy na dół; dwanaście nas było, wszystkie w bieli przy bukietach i w kwiatach na głowie, a najstarsza z nas lat ośmnaście niedawno skończyła: u drzwi bawialnej sali czekały nas dziewosłoby czyli swaty, ksiądz Wincenty i pan pułkownik. W sali zastaliśmy już pana młodego z dwunastą družbami i całą kompanią. Niesiono za nami tace ogromną bukietami przepełnioną, każdy z nich rozmaryn, mirt, cytrynowe, pomarańczowe gałązki i barwinek w sobie mieścił, każdy białą wstążką był związany. Te bukiety przeznaczone były dla młodych kawalerów i panien obecnych na weselu, a każda z nas druchen uzbrojona była w pewną liczbę iglic szczerozłoty, pozłacanych, srebrnych, aby niemi podług dostojęństwa osób te godła weselne przypinać. Jmć dobrodziejka i poważne panie uczyły nas długo, jaki porządek w tój posłudze zachować należy, żeby komu nie uchybić, a dając mniej znakomitemu pierwszeństwo, nie stać się powodem do urazy, o którą w wielkiem zgromadzeniu tak łatwo. Zdawało nam się żeśmy te nauki dobrze pojęły, ale wszedłszy do sali zapomniało się wszystkiego; przypinałyśmy bukiety poważnie z początku, z uśmiechem później, z pustotą nareszcie: nie obeszło się bez tysiąca uchybień, ale je wszystkie przebaczone, bo już dawno to uważam, że na młode a zwłaszcza ładne panny nikt nie ma serca się gniewać. Nasza wesołość tak wszystkich ogarnęła, iż i żonaci i sędziwi mężowie, i młode mężatki, i poważne białogłowy, którzy żadnego prawa do bukietów w takim razie nie mają, dopominać się ich zaczęli: jakże było im odmówić! kto się nadarzył, bukiet dostał; znikł więc wnet ów stos z tacy, za nim drugi i trzeci z gotowalni przyniesiono, zabrakło igliczek choć tyle ich przygotowano; trzeba było prostemi śpilkami przypinać, ale i te z rąk naszych mile przyjmowane były. Nareszcie dogodziło się wszystkim, każdy był kontent, każdy przy bukiecie; sala ogrodem się

być zdawała, radość była powszechna: prawdziwe wesele. Ale mijam się z prawdą; nie wszyscy byli weseli: Macieńko stał w kącie smutny; chociaż kawaler, bukietu nie dostał, i tak wyglądał jak gdyby nie należał do godów. Przyszłam do niego, a on mi powiedział do ucha pocichu i z serdecznym żalem: „Że inne druchny o mnie zapomniały, nie dziwię się; ale panna Franciszka, którą na ręku nosiłem, którą od tylu lat bawię i rozśmieszam... nie będę też na jój weselu, choćby za królewicza iść miała.“ Zapłonęłam się na te słowa, miło i przykro mi się zrobiło; pobiegłam sama do garderoby, ale jak na nieszczęście już i jednego bukietu nie było; Jmć dobrodziejka posłyszawszy o tém co się działo w sali, sobie i poważnym paniom asystującym ubiorowi panny młodój, resztę kwiatów przypinała; do ogrodnika daleko posyłać, a chciałabym koniecznie żeby Macieńko miał bukiet. O pewno! nie za płochą jego wróżbę; jam nie Radziwiłówna, i teraz nie te wieki, kiedy królowie pojmwali cnotliwe Polki i z niemi byli szczęśliwi... Przyszła mi myśl przedziwna: porwawszy kawałek białej wstążki i śpilkę, wróciłam z pośpiechem do sali; odpięłam własny bukiet, podzieliłam się nim z Macieńkiem, przypięłam mu go złotą iglicą, sobie prostą zachowując śpilkę; uradowany, zawołał: „Franusiu, nie dosyć żeś piękną, zawsześ dobra. Ja czasem bywam prorokiem; oby się spełniły i wróżby i życzenia moje!.. Co bądź to bądź, schowam ten bukiet do twego wesela, i kto wie czém będziesz, gdy ci go oddam...“ Dziwna rzecz! te jego słowa pomimo tylu roztargnień brzmią jeszcze w uszach moich, i kiedy tylko o Basi pisać powinnam, o sobie prawie... Czas wrócić do niej.

Otóż już wszyscy przy bukietach, oczy mają na drzwi wchodowe zwrócone: otwierają się podwoje, wchodzi zapłakana Basia nieśmiała, wspierana, otoczona od pań poważnych, a pierś jój okazuje swém poruszeniem tłumione łkania; przystępuje do niej bolejący na jój cierpienia pan

młody, bierze jęj rękę, z nią razem ojcu, matce czołobitność oddaje, o błogosławieństwo prosi, i od rozrzewnionych odbiera; udają się potém do nas, do krewnych, obchodzą wszystkich gości, domowych, i nie było nikogo ktoby nie błogosławił szczerze, i łez w oczach nie miał. Wtém otworzono kaplicę. Ksiądz Wincenty włożył koronkową komeżkę i bogatą stulę; stanął przed ołtarzem i wezwał nas. Minister Borch jako poseł króla, lubo żonaty a zatém nie družba, i pan kasztelaniec Kochanowski, wzięli pannę młodą pod ręce; mnie i wojewodziance Małachowskiej, starszym druchnom, kazano poprowadzić pana młodego. Państwo, obie rodziny, reszta gości szli za nami, trzymając się w pary; głębokie nastalo milczenie: słyhać było każdy krok, każdy chrzęst materyalnych sukien, szelest nawet piór i bogatych trzęsidel, które panie miały u fryzur swoich.

Doszliśmy do ołtarza, gorzał od mnóstwa świec jarzących, a wszystkie paliły się wybornie; złotolitym kobiercem okryte były stopnie, na najwyższym leżały dwie aksamitne ponsowe poduszki: na jednej herb Krasińskich, na drugiej herb Świdzińskich były złotem wyszyte. Państwo młodzi uklękli, my druchny stanęłyśmy po prawej, družbowie po lewej stronie ołtarza; jam trzymała na tacy złotej dwie ślubne obrączki; państwo stali za panną młodą, pan wojewoda za panem starostą. Zagrano *Veni-Creator*, poczem ksiądz Wincenty miał długą przemowę, prawie całą po łacinie; po niej zaczął ślub dawać. Basia chociaż zapłakana, dosyć wyraźnie mówiła: „*Ja Barbara, biorę sobie, ciebie* i t. d. ale pan starosta nierównie wyraźniej.

Po ślubie i po włożeniu obrączek, państwo młodzi padli do nóg najprzód państwu, potém panu wojewodzie i od wszystkich trojga błogosławieństwo otrzymali; wtedy marszałek dał znak: kapela na chórze i śpiewacy włoscy umyślnie sprowadzeni zagrali i zaśpiewali marsz tryumfalny, a dragonia

nasza dała suto ognia z armat i z ręcznej broni. Gdy się to uspokoiło, i właśnie młoda para przed państwem stała, Jmć dobrodziej, jak zwykle w takiem zdarzeniu się dzieje, przemówił w te słowa: „To powołanie, które już kościół Boży ratyfikował i pobłogosławił, niechże Panu rządzącemu nieba obrotami i tym świata padołem, wieczną chwałę przyniesie! Już tedy Bóg życzenia i affekta wasze uświęcił Sakramentem, utwierdził zobopólną przysięgą. Niechże ich skutki chwałę Mu przyniosą. To staranie do was obojga należy, szczególnież też do jwmmcpana. Mcpanie młody, który od téj chwili nietylko małżonkiem, lecz ojcem, przewodnikiem małżonce twój będziesz; znając cnoty i przymioty jwwe pana, nie wątpię że temu zadosyć uczynić potrafisz, i zupełnie spokojny jestem! A co zaś twoich obowiązków się tyczy, corko najukochańsza, oto najprzód: miej wdzięczność ku Jmć matce twojej, za edukację tobie daną, troskliwość od najpierwszych lat aż dotąd około zdrowia i potrzeb twoich; niech ci równem będzie ukontentowaniem moment, który cię ogłosi wyborną Antygona, jak ten, kiedy cię precudowną Eponiną nazwą. Bądź cnotliwa; cnota jest to skarb nieprzebrany, przyjaciel prawdziwy, ciężar niefatygujący, droga niebłądząca, sława nigdy nieustająca. Staraj się ażebyś w słowach ostrożność i roztropność, w uczynkach skromność i powolność, a we wszystkim rzetelność zachowała. Naostatek chwał Boga, kochaj i słuchaj męża, jakieś dotąd względem rodziców czyniła; nienawidź przywary, miej władzę nad sobą samą: bądź stałą w przeciwnościach, sprzeciwiaj się pokusom świata.

„I niechaj cię rozsądek, miłość, wiara wstawi,
A jako teraz Ojciec, niech Bóg błogosławi.“

Na te ostatnie wyrazy, Basia ciągle płacząca głośno, jęknęła, i raz jeszcze do nóg państwa upadła; chciała coś

mówić, zapewne o tém, że będzie się starała wypełnić żądania najukochańszego ojca, ale jednego słowa dla wielkiego placzu z ust dobyć nie mogła. Potém nastąpiły wzajemne uściskania, ukłony, winszowania; ksiądz Wincenty pokropił nas wszystkich święconą wodą, i dał patynę do pocałowania; chybił w tém tylko, że podał ją pierwój stolnikowej Jordanowej niżli pani kasztelanowej Kochanowskiej matce posła królewicza; Jmć dobrodziejka to postrzegłszy, prosiła ją za to, żeby z panią wojewodzina Granowską pana młodego odprowadziła; jakoż tak się stało, i wszelkich uniknęło się niesmaków: pannę młodą wziął poseł królewski i wojewoda Małachowski, i wróciliśny do bawialnej sali.

Wkrótce dano znać do stołu. Stół był ogromny w literę B. ustawiony; zastawa wspaniała. W środku stała dwutygodniowej inwencyi i pracy naszego cukiernika francuza, wysoka na dwa łokcie piramida wystawiająca świątynię Hymenu, z rozmaitemi ozdobami i figurkami; były herby Krasińskich i Świdzińskich, i różne napisy w francuzkim języku wyrażone. Prócz téj piramidy stały na stole różne inne ozdoby, kosze srebrne, porcelanowe figurki, aż ciasno było, i nasz karzełek Piotruś jużby się tego dnia nie był mógł z wygodą przechadzać. Potraw ani podobna zliczyć, gąsiorów i butelek wina niewiem czy się sam piwniczny dorachuje. Prócz innych, wypili przy tym jednym obiedzie antał wina *winem panny Barbary* zwanego; to jest wybornego węgrzyna, które Jmć dobrodziej według staropolskiego zwyczaju, roku narodzenia się Basi umyślnie kupił na to, żeby go na jój weselu wyprózniono. Każda z nas ma także takąż beczkę, piwniczny nieraz mi mówił, że jeśli moje jeszcze z parę lat postoi, będzie wyborne. Jmć dobrodziej częstował z niepospolitą ochotą, a goście pili z równą. A dopiero jak się zaczęły *wiwaty*, państwa młodych, Rzeczypospolitéj, króla, księcia kurlandzkiego, królewiczów, prymasa, duchowieństwa, gospodarstwa, dam, a za każdym

huczne wykrzyki, tłuczenie kieliszków i butelek, bicie armat, odgłos kapeli, wrzawa jakby na Sądzie ostatecznym.

Nareszcie już po rozniesieniu wetów, wszystko na chwilę ucichło, i wszyscyśmy myśleli że czas wstać, kiedy Jmć dobrodziej dał znak marszałkowi: ten postawił przed nim pudro czarną skórka powleczone z mosiężnemi ozdobami, któregom jeszcze nigdy nie widziała; Jmć dobrodziej otworzył go i wyjął puchar szczerozłoty kamieniami wysadzany, w kształcie kruka; powiedział: że była to jeszcze po rzymskich Korwinach pamiątka, i że nie był z pudra dobyty od czasu jego własnego wesela; potem wzięwszy z rąk piwnicznego butelkę kwartową, pleśnią okrytą, stolecniem, jak mówił napełnioną winem, wylał ją całą, dolał jeszcze z drugiej i wniósł wiwat: *pomyślność młodej pary*. Przyjęto go z okrzykiem, kapela brzmieć zaczęła, uderzono z armat, każdy spełnił to zdrowie duszkiem; pękło butelek kilkadziesiąt, i po tym ostatnim wiwacie, kto mógł, wstał od stołu. Już była noc zupełna. Damy poszły się przebrać, panna młoda i my druchny zostałyśmy w naszych strojach; koło siódmj godziny, gdy mężczyznom trochę wyszumiało wino, zaczęto mówić o tańcu, wnet się też rozpoczął ochoczo. Panna młoda z posłem króla jmci bal otworzyła, i przez cały czas zawsze w pierwszej tańcowała parze. Z początku były same polskie, menuety, kontradanse, ale potem przy coraz większej ochocie, przy wznowionych kielichach, wzięto się do mazura i do krakowiaka: kasztelanic Kochanowski wybornie krakowiaka tańczy, i tak jak zawsze czynić należy, skoro w pierwszej jest parze, śpiewa piosnki w téjże chwili złożone; tak wczoraj tańcząc z panną młodą zaśpiewał:

Dziś nie chciałbym być królem ani wojewodą,
Tylko se starostą z taką panną młodą.

Po długich tańcach, sutój częścacyi, kapela grać ustała; postawiono stołek na środku pokoju, panna młoda usiadła na nim, my druchny otoczywszy ją, zaczęłyśmy włosy jój rozpinać, i śpiewać żałośnie znaną piosnkę:

Ach! Basiu, już cię tracimy i t. d.

Jmć dobrodziejka zdjęła jój wianek z głowy, a pani wojewodzina Małachowska czepiec koronkowy na to miejsce włożyła. Zdawało mi się, że na żart tak się przebrała, i gdyby nie to że nieboga zalewała się łzami, byłabym się śmiała serdecznie; do twarzy jednak Basi w czepku i wszyscy mówili, że mąż ją będzie kochał: o czém ani wątpię, bo któżby takiój dobrój kochać nie miał. Po *oczepinach*, dla uczczenia panującego domu, obyczajem przez niego wprowadzonym, kazano pannie młodej tańcować drabanta z posłem króla jmcí, potem z upodobaniem do ojczystych przechodząc zwyczajów, kapela zagrała *Polskiego*, bardzo poważnego. Zacząwszy od pana wojewody Świdzińskiego, panna młoda kolejno ze wszystkimi obecnymi mężczyznami tańcowała, aż nareszcie przyszła do Jmć dobrodzieja; ten prze-tańczywszy z nią raz, przyprowadził ją do pana starosty, i oddał mu ją, nietylko na ten taniec, ale na całe życie: na tym polonezie skończyła się dla nas panien tego dnia zabawa. Jmć dobrodziejka kazała nam pójść spać; poważne panie wzięły pannę młodą, żeby ją zaprowadzić do pokojów dla niej i dla pana młodego przeznaczonych: tam udały się wszystkie mężatki i poważniejsi goście, i jak mi dziś powiadano, tam były jeszcze mowy przy oddawaniu panny młodej, podziękowania w imieniu pana młodego, kielichy kolejne, co późno w noc trwało. Wyborniem téż spała po tém zmęczeniu; tańcowałam do upadłego, a prawie mnie nic nogi nie bołą. Tańczyłam ze wszystkimi, najwięcej jednak z posłem królewicza, z kasztelanicem Kochanowskim; wie

le rozmawiał ze mną; był w Paryżu i w Lunewilu, dopiero rok jak z zagranicy wrócił: spędził go przy księciu kurlandzkim i bardzo wychwała swego pryncypała. Jeśli jeszcze grzeczniejszy jak on, to niech go nie znam. Już się cieszę na wieczór, a wcześniej trzeba zacząć tańce; w ostatni wtorek do dwunastej tylko tańcować wolno. Basi, a raczej pani starościny, (bo tak ją państwo zwać przykazali) jeszcze dziś nie widziała; dziwno mi, że jój z nami niema; odziedzyczyłam za to jój łóżko, jój stolik do roboty, wszystkie prawa starszeństwa: już mnie teraz wszyscy panną starościanką zwać będą, a dotąd wołano na mnie: panno Franciszko, a najczęściej Franusiu. Jedno choć trochę wynagrodzi drugie.

Dnia 27 Lutego, we Środę.

Już Popielec; szkoda! dopiero za rok takie tańce i zabawy będą. Już się goście zaczynają rozjeżdżać, już poseł króla jnci wyjechał, państwo młodzi wyjadą pojutrze, ale my ich odprowadzimy do Sulgostowa. Pan starosta gości żadnych nie prosił, bo w post nie przystoją huczne zabawy, sama tylko będzie familja; wprosił się jednak i pan kasztelaniec pod pozorem towarzystwa szkolnego, jakoż w Lunewilu rok jeszcze był razem z panami Świdzińskimi, rok pierwszy swego tam pobytu, a ich ostatni, bo nierównie od nich młodszy. Bardzo się na *przenosiny* cieszę, gdyżem ciekawa wsi, pałacu, gospodarstwa najukochańszej siostry. Z trudnością mi przychodzi przyzwyczajając się do zwania ją *panią starościaną*, ale inaczej już mówić nie wypada, państwo nawet tak ją najczęściej zowią. Bardzo spoważniała po ślubie, bo też zawsze chodzi w kornecie, na rogówce w sukni z ogonem; zdaje się, że jój kilka lat przybyło; smutna, mało mówiąca; nie dziwnego: żal jój zapewne z domu rodzicielskiego wyjeżdżać, i oddać się zupełnie mężczyźnie, którego zna tak mało. To niezmiernie musi być rzecz

przykra. Jeszcze bardzo nieśmiała z panem starostą, niktby nie zgadł, że to jój mąż; jeszcze go ani razu tak nie nazwała, on już mówi o niej: „*moja żonka*,” często do niej się przybliża i więcej już z nią niżli z państwem rozmawia. Pojutrze jedziemy do Sulgostowa.

Dnia 9 Marca, w Sobotę.

Wróciliśmy wczoraj wieczór z Sulgostowa, bardzo dobrze się zabawiłam, szkoda tylko, że pani starościna z nami nie wróciła. Już tydzień minął jak na zawsze nasz zamek opuściła. W przeszły piątek kiedy już wszyscy goście się rozjechali, ona raniuteńko pojechała do parafialnego kościoła naszego, do Lisowa, gdzie jest ołtarz św. Barbary, jój patronki; tam zawiesiła pół serca szczerozłotego, w dowód, że tu na zawsze połowa jój afektów zostanie; potem pożegnała się z proboszczem, z każdym z dworzan i z dworskich z osobna, i każdemu dała jakiś upominek, od każdego dobrze usłyszała słowo. Poszła potem do swego gospodarstwa; swoje krowy, kury i gęsi darowała biednemu gospodarzowi z Maleszowój, który niedawno z całą chudobą pogorzał, dwie tylko kokoszki śliczne czubate i łabędzie prosiła żeby jój można do Sulgostowa odesłać; ptaszki swoje i kwiatki, koło których bardzo starannie chodziła, mnie oddała: nareszcie obeszła cały zamek od dołu do góry, jak gdyby z każdym kącikiem pożegnać się chciała. Najdłużej bawiła w kaplicy i w naszym panieńskim pokoju. Gdyśmy naprędce jedli podróżne śniadanie, rzęsiste trzaskanie z bicza słysząc się dało, pokojowiec oświadczył, że już wszystko gotowe; pan starosta szepnął żonie do ucha, że jechać trzeba: ona wtedy z wielkim płaczem rzuciła się do nóg państwu dziękując im za dobrodziejstwa przez lat ośmnaście doświadczone, przepraszając, jeśli ich w czém kiedykolwiek obraziła, i świadcząc się przed Bogiem, że niczego sobie nie

życzy, tylko tak być szczęśliwą w dalszém życiu, jak dotąd nią była. Pierwszy raz widziałam Jmć dobrodzieja płaczącego. O! jak téż oboje ją błogosławili; serce rosło słuchając, a ktokolwiek był przytomny płakał. Wyszliśmy na most, kapitan podnieść go kazał, i nie chciał wypuścić pani młodej, póki mu pan starosta nie dał bogatego pierścienia, jako w zakład, że ją tu przywiezie; przez ten czas przypatrywałam się ekwipażom pana młodego: paradne; jedna karéta żółta, trypą ponsową wybita, na dwie osoby, druga landara na cztery, kolaska do lekkiej podróży, i bryczek kilka. Konie śliczne, osobiwie sześć siwych jabłkowitych u żółtj karety. W téj państwo młodzi pojechali sam na sam, i uwierzyłam czemu wierzyć nie chciałam; za nimi szły pojazdy z froncymere, a my naostatku. Pani starościna tak płakała, że słychać było jój szlochania, ale bo téż wielu z dworskich, kilku z chłopstwa o parę staj ją odprowadzali, błogosławiąc głośno; co miała pieniędzy to im rzuciła, i pan starosta sypnął także suto, a pierwój jeszcze od szafarza do pomywaczki, od marszałka do stróża, każdego obdarzył podarkiem. Gdziekolwiek stanęliśmy na popasie albo na noclegu, wszystko staraniem pana młodego już było gotowe; żyd wyforowany z karczmy, z betami i z bachorami swemi; stoły zastawione, liberya: nareszcie drugiego dnia wieczorém wjechaliśmy do Sulgostowa. Już z popasu pan wojewoda z księdzem Wincentym wyjechali najpierwsi, żeby panią starościnę na jój nowosiedlinach przyjąć; na granicy sulgostowskiej gromada wiejska z sołtysem na czele zatrzymała karetę państwa młodych, ofiarowano jój chleby, a jeden ze starych gospodarzy miał oracyą, po której wszyscy krzyknęli: „Niech żyją sto lat nowożeńcy!“

Za ich wjazdem na dziedziniec, kompania huzarów, którą pan starosta na dworze swoim trzyma, dała ognia z ręcznej broni; kapitan salutował ich oboje. Przed drzwiami

stał pan wojewoda z synowcem, stał dwór cały i wszyscy radośnie i uprzejmie panią młodą witali. Skorośmy weszli do pałacu, pan starosta przyniósł żonie swojej ogromny pęk kluczy, oddając pod jej dozór dom cały. Zaraz nazajutrz pani starościna objęła rządy i gospodarstwo, i doprawdy, dziwić się należało, jak jej wszystko szło jak z płatka; ale bo téż od małego dziecka Jmć dobrodziejka, jako najstarszą córkę przyzwyczała do wyręczania siebie. Sulgostów w innym położeniu jak Maleszowa, pałac nie zamek, ale wesoło i okazało; dwór liczny, stół dobry, dom zasobny, a co najważniejsza, wszyscy kochanej siostrze przychylni: już widzę, że wkrótce po naszym zamku się odtęskni. Najadłam się i napiłam w Sulgostowie wielu dobrych rzeczy, a między innymi kawy. Państwo nie lubią tego modnego trunku, który się niezbyt dawno w Polsce zjawił, i u nas dają go tylko wtenczas kiedy są znakomici goście; ma téż być bardzo niezdrowy dla młodych panien, szczególnież krew i płuć psuje, i ja dotąd tylko parę razy jakby na żart go skosztowałam. Ale w Sulgostowie napiłam się jej dowoli, cała familja pana starosty przepada za tym trunkiem, i na prośby jego i mnie państwo codzień filiżankę wypić pozwalali. Śmiano się z pani starościny, że nie będzie mogła jak owa *żona* w wierszach naszej poetki, pani Drużbackiej zarzucić mężowi:

Kawy w moim domu nie znajdzie trzech ziarenek,
Piwa mi z sérem każe zagrzac garnek.

i utworzyć sobie z tego punkt do rozwodu. Bardzo nam było smutno powracać. Rozweselał mnie tylko kasztelaniec, który nam konno cały czas towarzyszył; prawdziwie słusznie *szarmanckim* go zowią. Jakiż to musi być pryncypał jego!.. Pani starościna bardzo płakała żegnając się z nami. W Maleszowej jeszcze się nie rozpatrzyła, bośmy wieczór

przyjechali, a dziś raniuteńko to piszę; już wiem naprzód, że mi przez jakiś czas smutno będzie.

Dnia 12 Marca, we Wtorek.

Zupełniem zgadła, bardzo smutno bez najukochańszéj siostry; takie pustki w zamku, jak gdyby nikogo nie było: zdaje się, że z sobą cały dwór nasz, całą wesołość zabrała. I państwo bardzo tęsknią; ona jako najstarsza, najwięcej do nich zbliżoną była, tysiącne im czyniła przysługi; ja lubo się staram ją zastąpić, przecież ani Jmć dobrodziejowi tak dobrze lulki nałożyć nie umiém, ani Jmć dobrodziejce tak zręcznie dobierać kolorów do haftu: z czasem, da Bóg że się wpawię; nie wiem jednak, czy kiedy wyrównam Basi? (bo choć na ten raz tak ją nazwać muszę). Lubo chcę szczerze, o wielu rzeczach zapominam, a ona tak o wszystkim pamiętać umiała! Jak ją téż mile cały dwór wspomina! Ciągła jeszcze o niéj mowa. Już państwo dziś wysyłają pokojowca do Sulgostowa, by się o jój zdrowiu i powodzeniu dowiedzieć; formalna była lukta między niemi który ma jechać, każdy miał niezmyśloną ochotę, a Michał Chranowski, który dopiero jutro do Opola ma wyjeżdżać, żałował, że już nie jest pokojowcem.

Bardzo smutno w Maleszowskim zamku. Kasztelanic pojechał, a przez te trzy dni nikt nie był prócz dwóch kwestarzy i jednego szlachcica z sąsiedztwa, który przyjechał prezentować państwu młodą żonę swoją, bo był niegdyś na ich dworze. Bardzo do rzeczy zdaje się człowiek. „Moje serce, powiedział do żony, — która z wielkiej nieśmiałości ledwie dwa razy otworzyła usta; — jeśli będę dobrym mężem i ojcem, panu staroście za to dziękuj, i oto temu panu marszałkowi: pierwszy mi strofowań, drugi plag z młodu nie szczędził.“ Podobała mi się ta szczerosc jego; udarowali go państwo wspaniale. Zresztą nikt nie był; cicho,

głucho, smutno, jak to zwyczajnie po wielkiej wesołości i wrzawie; jednak już raz uśmiełam się serdecznie. Jmć dobrodziejka całą garderobę panięńską pani starościny, pannom respektowym i służebnym rozdała; przez czas niebytności naszej każda z tych datków coś sobie zrobiła, to jubkę, to kontusik, to fartuch, to salopkę i wszystkie jakby namówione wystąpiły w tych strojach w niedzielę; gdzie rzucić było okiem u stołu, wszędzie był szczątek gerderoby Basi: postrzegł to pierwszy *Mucienko*, westchnął okropnie, a zapytany, odpowiedział; że boleje nad tém rozszarpaniem chudoby ś. p. panny Barbary: wszyscy w śmiech, ja z Teklusią najbardziej, aż nas łąjał Jmć dobrodziej i przypomniał nam to starodawne przysłowie: „Przy stole jak w kościele.“ Ale jakże śmiać się nie było?

Dnia 15 Marca 1759 r., w Piątek.

Wczoraj zdarzyła mi się też nowa i zupełnie niespodziewana przygoda, która w tym dzienniku miejsce zająć powinna. Gdym jak zazwyczaj w południe z *Madame* i z siostrami przyszła na pokoje państwa na obiad, zastałam kasztelanica Kochanowskiego; stojąc w framudze okna z Jmć dobrodziejem, rozmawiał tak żywo, że nie spostrzegł kiedyśmy weszły; nie mogłam dosłyszeć tego co mówili, jednak obiły się o moje uszy te ostatnie Jmć dobrodzieja słowa, które z niejakiem wyrzekł przyciskiem: „O finalnej rezolucyi wnet się WMOść dowiesz.“ I to powiedziawszy szepnął coś do ucha Jmć dobrodziejce; ta kiwnęła na marszałka, dała mu jakiś potajemny rozkaz, i nie długo obiad dano. Pan kasztelaniec naprzeciwno mnie usiadł, i dopiero się dokładnie przypatrzyła, jak był wystrojony. Frak axamitny haftowany, kamizelka atlasowa biała, żaboty i mankiety koronkowe, fryzura jak z pudełka; a szastał się, kręcił, rozmawiał francuzczyzną i dowcipem sadził, dwa razy wię-

cój niż kiedy: bardzo był piękny i zabawny. Obiad trwał dłużej niż zwykle, na piecyste czekaliśmy chwilę i zważałam, że wtedy pan kasztelaniec, lubo prawie nieustannie gadał i śmiał się, przecież mienił się jak cudowny obraz; nareszcie drzwi od sieni się otworzyły, weszli pacholiki z piecystem, a mój kasztelaniec zbladł jak chusta: spojrzałam na półmiski, obaczyłam gęś z czarnym sosem, i domyśliłam się wszystkiego. Nie śmiałam podnieść oczów, dziwne myśli cisnęły mi się razem do głowy; przypomniały mi się owe piękne krakowiaki, zręczne mazury i menuety, wyborne siedzenie na koniu, gładka mowa francuzka, śliczne komplementa, i jakiś żal serce mi ścisnął; nie miałam odwagi wiaśać z półmiska, państwo nawet go się nie tchnęli, i gdyby nie szary koniec, byłyby oba zeszyły całe; ale Macieńko pierwszy napoczął, a za jego przykładem poszli inni; taki nic dobrego, że wzięwszy udko gęsi na głos powiedział: „Twardyc to wprawdzie kawałek, ale i to się strawi.“ Wieki całe siedzieliśmy u stołu, mnie się przynajmniej tak zdawało, bo mnie i ciekawość dręczyła nie pomału.

Nareszcie Jmć dobrodziej dał znak wstania; powstaaliśmy i gdy każdy był zajęty dziękowaniem Panu Bogu, widziałam jak kasztelaniec chyłkiem wymknął się z sali; już więcej nie wrócił, a gdy się dworzanie i dworscy rozeszli, państwo mnie odwołali od mojej roboty, i Jmć dobrodziej tak do mnie mówił: „Mościa panno! pan Kochanowski kasztelaniec radomski oświadczył się dziś o twoją rękę; lubo ród jego jest dawny i znakomity, majątek uczciwy i dosyć stosowny, nie zdała się ta partya ani mnie, ani Jmć dobrodziejce: naprzód pan kasztelaniec bardzo młody, sam z siebie nic nie znaczy, ś. p. ojca swego tylko tytułem się szczyci i nie odebrał jeszcze żadnej gruntownej łaski z szafunku dworu; powtóre, nie wziął się jak przynależy do rzeczy, nie użył ani swatów, ani dziewostębów, sam dziś oświadczył się jakby z kopyta, żądał natychmiast rezolucyi finalnej:

otrzymał też przyzwoitą. Ani wątpimy, że i wcpanna, Fran-
 nulku, tegoż zdania jesteś.“ To powiedziawszy, nie czeka-
 jąc odpowiedzi mojej kazał mi wrócić do roboty. Zapewne,
 zastanowiwszy się, i z obowiązku i z przekonania sposób my-
 ślenia państwa dzieję; ale ponieważ tu wszystko szczerze
 pisać się obowiązałam, wyznam, że wcale nie dla tego, że
 młody, ani téż, że się wziąć do rzeczy nie umiał, ale naj-
 więcej dla tego, iż nie ma sam z siebie znaczenia; jak Ma-
 cieńko powiada to *nic* na którém kończy się *kasztelanic*, nie
 wiele blasku przynosi: mnieby się przynajmniej zupełnego
 kasztelana chciało. Wreszcie Bóg widzi, że jeszcze naj-
 mniejszej ochoty nie mam iść za mąż; tak mi dobrze w ro-
 dzicielskim domu. Kilka dni po powrocie z Sulgostowa smu-
 tno mi było, ale teraz już wracam do dawniej wesołości,
 gram nierównie większą rolę, jak dawniej; kiedy gości nie
 ma, mnie czwartej u stołu półmiski podają, ja teraz z pań-
 stwem wszędzie jeździć będę; szkodaby tego wszystkiego
 porzucić; a potem zameżcie kończy zupełnie zawód biało-
 głowy: skoro pójdzie za mąż, jużci klamka zapada, i po
 wszystkim; wié czém będzie, gdzie będzie do śmierci; ja
 zaś w myśli mojej bujać lubię, i na wołowej skórze nie spi-
 sałby tego, co mi czasem przy krośnach lub przy siatce po
 głowie się uwija. Jmć dobrodziejka wprawdzie bardzo czę-
 sto powtarza: „Pannie dobrze edukowanej i urodzonej nie
 przystoi zabawiać myśli mężem.“ Ja téż doprawdy, że nie
 o mężu myślę, tylko tak o różnych andronach, a cokolwiek
 mi się zdarzy czytać, wszystko to mimowolnie zaraz do sie-
 bie stosuję. Dzieję los wszystkich księżniczek, heroin z dzieł
 pani *de Beaumont*, panny *de Scuderi*, pani *de la Fayette*,
 i często mi się wydaje, żem na takie same przeznaczona
 awantury.

Teraz kiedy już Basia za mąż poszła, większą mam ku
 temu łątwość, ona te bujania zawsze we mnie ganiła i nie
 wiele romansów czytać dawała; lecz dla odwetowania straty

czasu w ciągu jój wyprawy, sama *Madame* wiele mi czytać każe, a im więcej czytam, tém więcej myśli moje rozkołysane. Basia zawsze zupełnie odmienne od mego miała uspo-bienie; ona mi się nieraz przysięgała, iż nigdy o przyszłości, o mężu nie myśli, chyba przy pacierzu; bo trzeba wiedzieć, że z rozkazu Jmć dobrodziejki, każda z nas gdy szesnasty rok zaczyna, do próśby o *rozum dobry, zdrowie dobre, przyjaźń ludzką, dokłada i męża dobrego*. Basia zwała rzeczą bardzo słuszną, prośbę do Boga o to, żeby był dobry ten, który nam kiedyś ojca i matkę ma zastąpić, z kim żyć trzeba do śmierci, kogo słuchać i kochać należy; ale nigdy w życiu nie powstało jój w głowie, gdzie go pozna, jak i kiedy? czy jój się zdarzą jakie szczególne przygody, czy nie? mowiła zawsze: jak się trafi, dosyć będzie czasu. Bardzo dobrze na tém wyszła; takiego słusznego dostała człowieka, pisała do państwa, że skoro się odtęskni od ich domu, nie będzie nad nią szczęśliwszej białogłowy: widać że coraz bardziej kocha pana starostę, i że zupełnie z losu swojego kontenta. Kto wie? możebym ja takim losem zaspokojoną nie była?... co bądź to bądź, bardzo dobrze państwo zrobili, że odmówili kasztelanikowi; żal mi trochę nieboraka, iż taki wstyd poniósł, ale nadzieja w Bogu, sprawdzą się słowa Macieńka i on strawi ten przykry kawałek.

Dnia 17 Marca, w Niedzielę.

Jużeśmy wczoraj do wieczerzy siadać mieli, kiedy nas zajechali arcy-przyjemni i zupełnie niespodziewani goście: księżna wojewodzina lubelska, z mężem, ciotka moja. Dla ważnych spraw i obowiązków, a najwięcej dla obecności królewicza, nie mogąc być na weselu p. starościны, gdy on do Kurlandyi wyjechał, zjechali tu umyślnie, chcąc sobie to nagrodzić i państwu powinszować wydania córki za

mąż szczęśliwie. Przyjazdem tych znakomitych gości, znowu się nasz zamek ożywił; Jmć dobrodziej nie posiada się z radości i prawdziwie miejsca księżnie znaleźć nie umie: radby jęj Nieba przychylił, tak ją uwielbia i poważa. Książtwa wojewodowie już pięć lat w Maleszowój nie byli, ja przez ten czas z dziecka na pannę wyrosłam, dosyć się też nademną wydziwić nie mogli; wstyd mi wyznać, ale mnie tak z urody chwalili, żem nie wiedziała gdzie się podziać?... Bardzo są przyjemne te pochwały, ale kiedy je człowiek jakby przypadkiem słyzy; wręcz powiedziane, niemal przykre; i milěj mi teraz wspominać je sobie, jak było wczoraj ich słuhać. Książę wojewoda powiedział baz żartu, że gdybym się pokazała w Warszawie, zgasałaby i starościanka Wesłowna i krajczyna Potocka i księżna Sapieżyna żona kanclerza, które za pierwsze piękności uchodzą; księżna zaś uznała, że mi tylko niedostaje lepszego trzymania się, ułożenia, poloru. Jak żyję, tyłem pochlebnych nie słyzała rzeczy, i wcalem sobie nie wystawiała, żebym tak dalece piękną była. Widziałam jak na te pochwały rosło z radości serce Jmć dobrodzieja, ale co Jmć dobrodziejka, to mnie kazała przywołać dziś rano do siebie, i mocno napominała, żebym tym słówkom zupełnej nie dawała wiary, zowiąc je dworszczyną.

Coś mi się wszystko wydaje, że są na mnie jakieś projekta. O! jakbym je też wiedzieć rada? Niespokojności mnie aż biorą, i prawdziwie, że tēj nocy dobrze spać nie mogłam, takie mi się dziwy snuły. Ale, bo co też książtwa naopowiadali rzeczy ciekawych, zabawnych; państwo chcieli, żebym jak zwykle o dziesiątėj z *Madame* i z siostrami na górę spać poszła, ale książę wojewoda uprosił, żem do końca wieczora siedziałam. Jakie to były w Warszawie uczy, bale, z powodu inwestytury królewicza; nie pamiętając od dawna tak świetnych zapust: w ostatki we wszystkich kolegjach grano tragedye i komedye, i taki jest powsze-

chny do królewicza zapął, że wszędzie były do niego przystosowania. Tak w ostatni poniedziałek (właśnie w dzień wesela Basi) u księży Jezuitów grano tragedję Antygone, w której Demetriusz rycerz wielki, ojca swego od nieprzyjaciół obrania, i państwo mu przywraca; na końcu więc takie do królewicza powiedziano wiersze:

Nie u samych synowie wierni byli Greków,
 Są Demetryuszowie i u nas tych wieków.
 Ty, nam Wielki Karolu, ten przykład wskrzesiłeś,
 Gdy lepszego niż Greczyn ojca krzywd bronieś;
 Bądźże Ojcem Ojczyzny, tój, króluj nad nami:
 Wszyscy za Ciebie będziemy Demetryuszami.

Już więc królewicz głośnych ma stronników, mnie coś do ucha szepcze, że on królem Polskim będzie; słuchałam z wielkiem upodobaniem pochwał, które mu dawał książę wojewoda: to mój bohater, i ón wyjdzie na wielkiego człowieka. Ale cóż? kiedy to u nas o zgodę tak trudno; po kilku drobnych rzeczach dostrzegłam, że księżna wojewodzina nie jest tego zdania, innego króla życzy rzeczypospolitej, nie królewicza ani Poniatowskiego, zdaje mi się, że jakiegoś trzeciego ma na oku. Czyje też widoki i życzenia Bóg spełni? prawdziwie rzecz ciekawa.

Dnia 19 Marca, we Wtorek.

Wyjechali księstwo przed pół godziny; jeszcze wczoraj wyjeżdżać chcieli, ale Jmć dobrodziej koła z ich powozów pozdejmować kazał i przekonał, że w poniedziałek puszczać się w podróż niebezpieczno, bo to jest dzień feralny. Do końca bardzo na mnie byli łaskawi, szczególnie książę wojewoda. Tyle państwu głowę kłócili, że kto wie, czy dla dokończenia edukacyi, nie oddadzą mnie na pensyą do Warszawy. Od niedawnego czasu niejaka panna

Strumle cudzoziemka, którą, lubo pannę, wszyscy *Madame* zowią, założyła pensyą panien, bo dotąd po klasztorach tylko się chowały: ta jęj pensya w wielkięj jest renomie. Z najpierwszych domów córki nabywają tam talentów i poloru; niepospolite subiekta ztamtąd wychodzą, i dla młodej panny być czas jakiś u *Madame Strumle* taka zaleta, jak dla kawalera być w Lunewilu. Do nięj książe wojewoda choć na rok oddać mnie radzi, tam mam nabrać tego wszystkiego co mi niedostaje. Państwo woleliby do Sakramentek, w klasztorze zawsze przyzwoicięj; nie wiem zatęm na częm się skończy, wiem tylko, żem jakaś niespokojna: nie tyle uważam tego, co czytam, robota nie tak dobrze mi idzie jak dawnięj; więcęj myślę o tęp, co będzie, jak o tęp co jest: tak jestem jak gdyby mi się co dziwnego stać miało. Nie trzymałam tak dobrze o sobie przed pobytęm księztwa, a daleko z swojej osoby kontentnięszą byłam. Doprawdy, że sama siebie nie rozumięm.

Dnia 24 Marca, w Niedzięle.

A! Bogu dzięki! pojutrze jedziemy do Warszawy; koniecznie musiałam potrzebować tego wyjazdu, bo od czasu jak postanowiony, zupełnie jestem spokojna. Nie wiem jeszcze gdzie oddaną będę, ale rzecz pewna, że do Maleszowęj nie tak prędko wręcę, bo Jmć dobrodzięjka całą moję garderobę zabrać kazała, i z jęj sukien dwie dla mnie przerobiono. Państwo niespodzianie powołani zostali do Warszawy dla interesów sukcesyi po ś. p. Błazęju Krasińskim, stryjeczny m naszym, który zszedł bezdzietnie, i znaczny majątek zostawił. Takam szczęśliwa że jadę, może tęp dla tego, że zboczymy do Sulgostowa. Pani starościna właśnie wróciła z bardzo miłęj podróży; obwoził ją pan starosta po krewnych, sąsiadach, przyjaciołach swoich; wszędzie jęj radzi byli: teraz już ciągle w domu siedzięc będzie, i bardzo się z tego cieszy; na wyborną gospodynię się zanosi, pan

wojewoda Świdziński z takim o niej uniesieniem pisał, z taką wdzięcznością, że się aż państwo rozplakali nad jego listem, a to jedynie z radości. Miło kiedy rodzice nad dzieckiem łąy radości leją. Basia do innych łąz, nigdy państwu powodem nie była, chyba wtedy, jak ztąd wyjeżdżała. Bardzo się cieszę, że ją zobaczę.

Dnia 7 Kwietnia w Niedzielę, z Warszawy.

Sama temu wierzyć nie śmiem, już od wczoraj bawię na owęj sławnęj pensyi u *Madame Strumle*; księztwo wojewodowie tak dobrze wszystko ułatwili, żem odrazu wstęp znalazła, a na słowo księżnej, Jmć dobrodziej Sakramentek odstąpił. Radość moja niewypowiedziana, bom sobie tego gorąco potajemnie życzyła. Jadąc do Warszawy, byliśmy w Sulgostowie; pani staroscina wesoła, szczęśliwa, jak tęż była państwu rada! powiedziała mi, że kto tego nie doznał, wystawić sobie nie może, co to jest za szczęście, rodziców w własnym domu przyjmować? Wszystkie potrawy, wszystkie trunki i przysmaki, które państwo lubią, wszystkie były na stole przez te trzy dni; nie zapominała o niczém, coby im przyjemność zrobić mogło, a na wyścigi z panem starostą usługiwała im, dogadzała. Słyszałam jak dobrodziejka mówiła do niego, że Basia jeszcze lepsza od tego czasu jak za mąż poszła. „Nie lepsza, odpowiedział, już ją taką z rąk państwa dobrodziejstwa dostałem; ale ma teraz większe pole okazania przymiotów swoich, a jaką jest przez te parę dni dla rodziców, taką dla mnie codzien.“ Widać tęż, że ją serdecznie kocha, a ona jak ojca szanuje go, słucha, poważa. Już się zupełnie rozgospodarowała, i bardzo dobrze umie domem zarządzać, gości przyjmować. Państwu nie chciało się wyjeżdżać; ja wyznam szczerze, że mi było bardzo do Warszawy pilno, i bardzo byłam temu rada, gdy ich listy do wyjazdu przymusiły. Miałam się do czego śpie-

szyc, tu prawdziwie ukształcę się, wydoskonale, a ja dosyć mam ochotę zostać niepospolitą białogłową. Chcąc się do tego przysposabiać, wzięłam się szczerze do nauki, i zawierając na czas wszystkie myśli, bujania, całą przyszłość, chcę zająć się jedynie tém, co jest, nie tracić napróżno ani chwili. Wczoraj, jako w dzień w który tu oddaną zostałam, Jmć dobrodziejka zawiozła mnie do kościoła; spowiadałam się i komunikowałam z jej rozkazu na tę intencją, żeby nauki i światło, których mam tu nabrać, na dobre nie na złe mi wyszły. Usłuchałam, lubo tego nie pojmuję jakby inaczej stać się mogło? Skoro się rozpatrzę na tych nowosiedlinach, opiszę wszystko—dotąd jestem odurzona. Przywykła widzieć zawsze znajome twarze, wydziwić się nie mogę, iż tu nie znam nikogo.

Dnia 12 Kwietnia, w Piątek.

Już zupełnie się rozpatrzyłam i nieco oswoiłam z nową siedzibą moją. *Madame Strumle* bardzo mi się podoba, do rzeczy białogłowa, i dziwnie na mnie łaskawa. Nie tak tu dworno, wspaniale, huczno jak w Maleszowskim zamku, ale ucziwie i dosyć wesoło; mnie sama nowość bawi; na przykład: nie ma ani pacholików, ani hajduków, tylko do stołu i wszędzie same usługują kobiety. Jest nas panien kilkanaście, wszystkie z najpierwszych domów i młodzieńcze. Bardzo tu często wspominają siostrę pana starosty, pannę Maryannę, dzisiejszą kasztelanową Połaniecką; była na tej pensyi przez parę lat, i w sercu *Madame* i towarzyszek swoich słodką i niewytartą pamięć zostawiła. Ma to być dobra, rozsądna, wesoła, ze wszech miar przyjemna i nieoszacowana osoba; bardzo dobrze nauki przyjęła. Państwo przypatrzwszy się tej pensyi, zupełnie zaspokojeni zostali; już w klasztorze nie może być panna lepiej strzeżona. *Madame* nosi w kieszeni klucz od drzwi

wchodowych, nikt bez jój wiedzy, ani wyjść ani wnijsć nie może; gdyby nie kilku starych metrów, możnaby zapomnieć jak mężczyźni wyglądają: krewnym żadnym płci męzkiej bywać nie wolno. Metr od tańca chciał już przy mnie, żeby panowie Potoccy, w kolegium Jezuitów będący, mogli tu bywać i z siostrami swemi razem kontradansów się uczyć: *Madame Strumle* ani słyszeć o tém chciała. „Ci panicze nie są braćmi wszystkich pensyonarek moich, tylko dwóch, powiedziała, a zatem przystępu do mego domu pozwolić im nie mogę.“

Mam metra od francuzkiego i od niemieckiego języka, od tańca, od rysunku, od haftu i od muzyki; śliczny tu jest klawicymbał, nie taki szpinet jak w Maleszowój, ma aż pół-szóstěj oktawy, a tony 23 razy odmieniać można. Kilka jest panien, które już polskiego tańca wcale nie źle zagrać potrafią, i to nie z palców, ale z nut. Metr mi obiecuje, że najdalej za pół roku dojdę i ja do tēj doskonałości; miałam tēz i z domu jakie takie początki. Rysuję dotąd same wzorki, i dosyć zręcznie mi to idzie; ale nim dokończę edukacyi, muszę koniecznie tyle się nauczyć, żeby zrobić farbami suche drzewo, na gałęzi zawieszony wieńiec z kwiatów, a w środku cyfra państwa, i ofiarować im to dzieło w nagrodę poniesionych kosztów, bo zapewne dosyć znaczne będą. Księżniczka Sapieżanka tu od roku będąca, robi właśnie takąż malaturę dla rodziców, i mnie aż zazdrość bierze, ile razy spojrzę na tēj jój robotę. Jakby dobrze się wydawała w bawialnėj sali w naszym zamku, pod tym wielkim mego ukochanego biskupa obrazem.

Metr od tańca prócz menuetów i kontradansa, uczy nas chodzenia, kłaniania się; ja dotąd na jeden tylko manier się kłaniam, a to ich jest kilka: inaczěj królowi, inaczěj królewiczom i innym panom i paniom; o ukłon królewiczowski najpierwěj prosiłam i najlepiėj go umiem; może

téż choć raz księciu kurlandzkiemu się uklonę. Nieustannie zajęta, chciwa nauki, czas mi prędko i dosyć mile schodzi. Jmć dobrodziejka już raz mnie odwiedziła, bardzo zakłopotana sprawami. Wyznam szczerze, że pierwszych dni dziwno mi tu było: te ciągłe przestrzegania, pokuty, ten krzyż żelazny w który mnie ubrano, żebym się prosto trzymała: ta machina, w której po godzinie stać potrzeba, żeby się nogi prostowały (choć moje zdaje mi się, że dosyć są proste): wszystko to nie szło mi w smak. Na weselu Basi i po jój odjeździe, zupełnie na słuszną pannę wyszłam; oświadczenie kasztelanica Kochanowskiego, pochwały i szep-tania księcia wojewody, wszystko gdzieś daleko myśl zawiodły; jużem sądziła, że jestem czemciś, aż tu nagle zdziecinniałam: *Madame Strumle* nawet z pacierza prośbę o *dobrego męża* wyrzucić kazała, a na to miejsce *naukę dobrą* włożyła. I tu prawdziwie o czém inném jak o nauce myśleć niepodobna.

Dnia 28 Kwietnia, w Niedzielę.

Już trzeci tydzień pobytu mego na pensyi się kończy, a ja ani słowa w tym dzienniku nie napisałam; bo dni zupełnie jednakowe prędko schodzą, ale mało rzeczy do opisu podają: oto i w téj chwili dumam nad tém co piszę? Państwo nie długo wyjadą. Księżna wojewodzina raczyła mnie odwiedzić, i uważała, że się lepiej trzymam; metro-wie ze mnie kontenci, *Madame* bardzo łaskawa, panny przy-chylne i grzeczne: zresztą nic a nic nie wiem. Zdaje mi się niepodobną rzeczą, żebym ja w Warszawie była, bo z publicznych rzeczy nierównie mniej wiem, i znakomitych ludzi nierównie mniej widzę jak w Maleszowěj. Królestwa oko moje nie ujrzało. Księcia kurlandzkiego wcale niema, i nie tak prędko powróci.

Dnia 9 Czerwca, w Niedzielę.

Gdybym zawsze na pensyi zostać miała, wnetby ustał mój dziennik, a szkoda że nie mam co w nim pisać, bo może zupełnie po polsku zapomnę; prócz listów do państwa, którzy już wyjechali, gdyż urządzenie téj sukcesyi nie tak prędko się ułatwi; prócz rozmowy z garderobianką moją, i tego dziennika, nigdzie ojczystej mowy nie używam: wszędzie i zawsze po francuzku. W naukach znaczne postępy czynię, a co mnie mocno cieszy, księżna wojewodzina, która mnie przez miesiąc cały nie widziała, zapewnia, że znacznie urosła, i że już bardzo dobrze się trzymam; prawda, że teraz ze wszystkich panien tu będących najwyższa, a moja przepaska łokcia nie trzyma. Teraz kiedy tak pięknie i zielono na świecie, czasem nie wiedzieć zkąd jakaś tęsknota mnie napada; chciałabym być ptaszkiem, wylecieć daleko i znowu do mojej klatki powrócić; ale nic z tego: trzeba siedzieć, a jeszcze na takiej ulicy? na Bednarskiej, podobno z całej Warszawy najbrzydszej. Na przyszły rok da Bóg doczekać, będzie inaczej.

Dnia 26 Lipca, w Piątek.

Przy zatrudnieniu, choć bez zabaw i nowin, dni jak widzę bardzo prędko mijają; dziś za głowę się wzięłam, kiedy po tak długim milczeniu, chcąc coś napisać w tym dzienniku, szukałam w kalendarzu jaki dzień mamy? i dowiedziałam się, że już siedm niedziel jak się go ani tchnęłam; dzisiejszy dzień jednak pamiętnym mi będzie: dziś jak żyje na tym świecie, pierwszy list do siebie pisany odebrałam. Nieoszacowana pani starościna zrobiła mi tę przyjemność, i na kopercie napisała mój adres. Już więc na pocztę wiedzą, że jest w Warszawie *Mademoiselle la Comtesse Fran-*

goise Krasieńska; skakałam z radości ten list odebrawszy: schowałam go wraz z kopertą na wieczną pamiątkę. Pani starościna zdrowa, szczęśliwa i taka łaskawa, że z intrat ogrodowych, które jój pan starosta do rozrządzenia oddał, przysłała mi cztery dukaty w złocie, żebym z niemi zrobiła co mi się podoba. Pierwsze to pieniądze których panią jestem, i te nie mało mnie ucieszyły. Co téż na nich miałam projektów? zdawało mi się że całą Warszawę zakupię! Dla siebie nic nie potrzebuję, bo z łaski państwa mam wszystko; ale chciałam każdój pannie zostawić upominek, i dać każdój po pierścionku złotym. *Madame* mnie zmartwiła mówiąc, iżby ledwie dla czterech wystarczyło; chciałam potém kupić dla *Madame Strumle* salopkę blondynową, alem się dowiedziała że taka kilkadziesiąt dukatów kosztuje; nareszcie po długich wahaniach tak się namyśliłam: dukata poślę do Fary do Pana Jezusa na Mszą, żeby państwa interesa dobry obrót wzięły, i pani starościna zawsze tak szczęśliwą była jak teraz; dukata zmienię na tynfy, i rozdram między służebne tego domu, a za dwa dukaty w Niedzielę małą ucztę wyprawię: będzie kawa, którój tu nigdy nie pijamy, będą ciasta, owoce; już *Madame Strumle* zezwoliła na ten użytek pieniędzy. Niech Bóg da zdrowie kochanój pani starościnie, że mi taką przyjemność sprawiła, bo jak mnie się zdaje, większój nie ma nad częstowanie i obdarzanie drugich; jeśli sobie życzę dostać męża jeszcze bogatszego od siebie, najwięcej dla tego, żebym pieniądze i podarki suto rozdawać mogła.

Moja edukacja znacznym postępuje krokiem, już kilka kontradansów i menuetów gram z nut, a wkrótce zacznę się uczyć najmodniejszego teraz polskiego tańca, nie pięknie bo *Stu diablów* zwanego; najdalej za miesiąc suche drzewo z wieńcem będzie w robocie; haftuję téż na kanwie strzelca z fuzyą i z chartem na smyczy; czytam wiele, piszę pod dyktacją, przepisuję, po francuzku gładziej mówię

niżli po polsku, i w tém dowodzę, że nie długo do dobrego tonu należeć będę mogła. O taniec ani się pytać, nie wiem czy mi metr nie pochlebia, ale mówi zawsze iż w całej Warszawie niema takiej jak ja tancerki. U księstwa bywam czasem, ale rano kiedy nikogo niema; zawsze tam wiele miłych nasłucham się rzeczy, osobliwie od księcia, który jużby miał ochotę żeby mnie odebrano z pensyi, ale księżna i państwo zimy chcą czekać. Dopiero koniec Lipca, to bardzo daleko. Czy téż ta zima przyjdzie kiedy?

Dnia 26 Grudnia, we Wtorek.

Przyszła nietylko zima, ale i chwila opuszczenia pensyi; przyszedł ten moment pożądany, w którym inne zupełnie rozpocznę życie. Dziennik mój nawet zrobi się obfitszym, zabawniejszym, i także z tego niezmiernie się cieszę. Nie wrócę do Maleszowskiego zamku, aż Bóg wie kiedy; księstwo tak łaskawi, iż żądali koniecznie i otrzymali od państwa pozwolenie zatrzymania mnie przez tę zimę u siebie, i wprowadzenia w wielki świat, i osiadę na dobre u księstwa. Żal mi trochę porzucać *Madame Strumle* i pannen z którymi się zaprzyjaźniłam, ale wyznam szczerze że radość wydobycia się z téj klatki, poznania tego świata o którym już tak dawno słyszę i myślę, zupełnie żal przemaga. Wnet zobaczę króla, królewiczów, będę u dworu; księcia kurlandzkiego codzień się spodziewają, i jego poznaję. Ach! jakże od tych dni kilku, co wiem że już rzucę pensyą, czas pomалу idzie.

Dnia 28 Grudnia, w Sobotę.

Dzisiejszy dzień na zawsze dla mnie pamiętny: z rana przyjechała sama księżna wojewodzina i wzięła mnie; przy niej żegnałam się z pannami, z *Madame Strumle* i po-

mimo tego, żem tój chwili od tak dawna żądała, od łez wstrzymać się nie mogłam. Po drodze wstąpiliśmy do kościoła, ale nie byłam zdolną modlić się dobrze, bo myśli dziwnie były rozbujane. Jużem usadowiona; księstwo mieszkają w swoim pałacu na Krakowskiem - Przedmieściu *), prawie naprzeciwko pałacu księcia wojewody ruskiego, nie zbyt wielki ale wcale piękny; z drugiej strony ma widok na Wisłę i maleńki ogród. Ja mieszkam w ładnym pokoju, który w lecie osobliwie, dziwnie musi być przyjemny, bo z gankiem i wyjściem do ogródka; z jednéj strony mam komunikacyą z księżną, z drugiej z służebną moją. Już był krawiec, brał mi miarę i dziwił się nad szczupłością i giętkością stanu mego; zrobi mi sukien par kilka, nie wiem jakie będą, bo księżna sama dysponuje, a takie uszanowanie (bodaj czy nie strach) we mnie wzbudza, że i spytać jój się o nic nie śmiem. Książę choć mężczyzna, daleko mi mniej imponuje, bo też bardzo łagodnego charakteru, i wiele przyjemny; żał mi że go teraz w Warszawie nie ma: pojechał do Białegostoku, naprzeciw księcia kurlandzkiego; w tych dniach oba wrócić mają: w wysokich jest łaskach u królewicza. Jutro mamy jechać na wizyty, księżna mnie obwiezie po znaczniejszych domach, gdyż tak się zawsze czyni, kiedy kto chce być znanym, i na kompanie proszonym. Trochę się lękam tych wizyt, a oraz i cieszę się niemi; będą mi się przypatrywać, ale i ja też wiele rzeczy i osób zobaczę: początek każdój rzeczy jest przykry.

Dnia 29 Grudnia, w Niedzielę.

Trzy dobre nowiny mam do zapisania: królewicz Karol wczoraj o godzinie pierwszej z południa przyjechał;

*) Dzisiejszy pałac Tarnowskich.

z nim książę wojewoda, który mnie jak rodzoną córkę w domu swoim witał, i już po wizytach; oddaliśmy ich kilkanaście; nie wiem czy potrafię wszystkie domy wyliczyć, zwłaszcza że były takie, gdzie nas nie przyjęto; jak to u posła francuzkiego i hiszpańskiego, którzy tu są z żonami, u prymasa i u wielu innych: tam księżna zostawiać kazała karteczki ze swoim tytułem i nazwiskiem. Naprzód byliśmy u pani Humieckiej miecznikowej koronnej, jako u wujenki mojej, potem u księżnej strażnikowej Lubomirskiej, bratowej księstwa; ta jako młoda, przystojna i księżniczka Czartoryska z domu, rej między młodemi paniami wodzi i niezmiernie francuzczyznę lubi. Bardzo mi się przydaje moja umiejętność w francuzkiej mowie, której już dobre początki wywiezłam z Maleszowej, a wydoskonaliłam się na pensyi. Tu, im dom znakomitszy, im gospodyni młodsza, tém więcej po francuzku mówią, a jak mężczyźni poważni łączą strzegą mowę swoją, tak młodzież francuzczyznę. Wolę ten zwyczaj, bo rozumiem co mówią.

Byliśmy u hetmanowej Branickiej; jój mąż hetman wielki koronny, jest jednym z najbogatszych panów w Polsce, ale dwór źle go widzi. Byliśmy i u księżnej wojewodziny ruskiej, u tej rozmowa była co do słowa po polsku; bo też to już stateczna pani: podobała mi się niezmiernie. Poznałam u niej jedynaka jój syna, dziwnie przystojnego i grzecznego kawalera; wiele mi pięknych rzeczy powiedział, i podobnom na tej wizycie najlepiej się zabawiła. Ale źle mówię, zabawiłam się równie dobrze u kasztelanowej krakowskiej, Poniatowskiej. To białogłowa niepospolita, wiele i z zapałem mówiąca; zastaliśmy ją w wielkiej radości, gdyż w gronie familii witała ukochanego syna, który niezbyt dawno z Petersburga powrócił, owego syna, o którymto mówią cichaczem, że królem może będzie. Przypatrywałam mu się pilnie; nie mogę powiedzieć żeby mi się podobał, ale przyznać muszę że piękny i greczny. Nie wiem czy to

tak z natury, czyli téż udanie, ale zdawało mi się jakby już coś królewskiego miał, czy chciał mieć w sobie: wspa-
niała i układna nad wiek postawa, chód i ukłon inny jak
u wszystkich. Zabawiłam się także wybornie u wojewodziny
podolskiej, Rzewuskiej, bośmy zastali i męża jej hetmana
polnego. O przygodach dzieciennych lat jego, jak w dobrach
ojca między wiejskimi dziećmi ukryty, bosy chodził; o męż-
twie, zahartowaniu, tyle słyszałam od Jmć dobrodzieja, iż
dziwnie mi było go widzieć. Ma lat przeszło 50, zdrów
i silny; obyczajem dawnych Polaków brodę nosi, co mu po-
wagi dodaje; ma być i niepospolicie uczony: książę woje-
woda mi powiadał, że wcale piękne tragedye pisze. Byliśmy
i u pani Brühlowej, żony ulubionego ministra króla Jmci;
choć jego nikt nie szacuje, u niej wszyscy bywają i z po-
winności i chętnie, bo bardzo grzeczna osoba. Byliśmy tak-
że u pani Sołtykowej kasztelanowej sandomirskiej. Już wdo-
wa, ale jeszcze młoda i przystojna; prezentowała nam swe-
go syna Stasia; stryj jego biskup krakowski chce koniecznie
wziąć go do siebie na edukacyą, a matce żal niezmierny
z nim się rozłączyć. Chłopczyna mieć może lat dziewięć,
a już grzeczny i rozmowny; jeszcze nie siedziały poważne
panie, kiedy on już dla mnie krzesło przysunął: powiedział
mi gładki komplement, i pani kasztelanowa mówiła, że nie-
zmiernie piękne twarze i czarne oczy lubi.

Byliśmy u podskarbini wielkiej koronnej, Moszyńskiej,
także wdowy; ona najczęściej w Dreźnie gości; łaskawie,
czule nawet mnie przyjęła: jakiś nadzwyczajny afekt cią-
gnie mnie do niej: zdaje mi się jakbym ją oddawna już
znała. I ona uspokoić się nad moją urodą nie mogła; już
to prawdę powiedziawszy, wszędzie o niej mówiono, lubo
nie wszędzie głośno; alem ja się zawsze tego domyślała:
wyznać téż trzeba, że nigdy w życiu, nawet na weselu Ba-
si, nie byłam tak pięknie ubrana, nie było mi tak do twa-
rzy. Miałam suknię grodeturową białą z szerokimi gazo-

wemi falbanami, niebieską turkiezę z ogonem, a na głowie perły. Zupełnie byłabym kontenta z tych wizyt, gdybym była gdzie księcia kurlandzkiego spotkała; a z tą nadzieją wyjeżdżałam, ale omyloną została. Po długim niewidzeniu się z ojcem, z królem Jmcią cieszy się teraz, i nie wyjeżdża z królewskiego pałacu. Łatwo to pojąć, i mnie już nieraz (osobliwie na pensyi) bardzo było do państwa tęskno. Ale wkrótce karnawał się zacznie, balów, asambłów będzie bez końca; królewicz Karol na wszystkich prawie bywa, gdyż jak książę wojewoda mówi, bardzo bawić się lubi: poznam go więc bezwątpienia.

Dnia 1 Stycznia 1760 r., we Środę.

Otóż spełnione życzenia moje, i jak! Nietylko poznałam królewicza, ale mówiłam z nim; nietylko mówiłam z nim ale i.... Lecz nie będzie to zbyt śmiałość napisać to, do czego bym się może nikomu nie przyznała, czemu zaledwie śmiem wierzyć, co mi się może jako niedoświadczonéj dziewczynie przyśniło?... Oj! nie przyśniło się! co nie, to nie! Ja zawsze wiem dobrze kiedy się komu podobam, jeszcze się nigdy w téj mierze nie omyliła; miałaby to być raz pierwszy? i proszę, cóżby w tém było tak dziwnego, że kiedy mnie Pan Bóg piękną stworzył, i wszyscy mnie za taką uznają, królewicz patrzył na mnie takimi oczyma jak wszyscy! Jak wszyscy? Oj! podobno w oczach jego coś więcej jak we wszystkich było. Może też to oczy takie; pierwszy on królewicz, którego w życiu widziałam i słyszałam; na tym balu maskowym nie było innego: zapewne każdy z nich taki uprzejmy i grzeczny.... Takąby wielką między nimi i innymi ludźmi miała być różnica?... Ale rzecz każdą zawsze porządnie opisywać należy, trzeba więc wszystko powiedzieć kolejną.

Wczoraj rano, księżna kazała mnie zawołać do siebie

i tak mi powiedziała: „Dziś jako w ostatni dzień roku, bywa zwyczajnie reduta czyli bal maskowy; wszyscy panowie, król nawet i królewicze bywają na nim, i wcpanna będziesz z nami ubrana za Dziewicę słońca.“ Ucieszyłam się niesłychanie i pocałowałam księżnę w rękę. Niedługo po obiedzie zabrano się do ubioru mego; zupełnie on był od zwyczajnego odmienny, bo bez pudru, bez rogowki... Księżna mi powiedziała bardzo poważnie: że lubo strój mój wcale nie jest przyzwoity, i zgubioną byłaby białogłowa któraby w innej okoliczności podobnie się ubrała, ona się spodziewa, że ja najmniejszej nieprzyzwoitości nie popełnię, i układnością twarzy i postawy nagrodzę co strojowi na powadze zbywa. Usłuchałam jęj wiernie; chociaż wesołą i żywą jestem, umiem przybrać wspaniałą minę, i tak mi się to udało tego wieczora, że wiele osób słyszałam pytających się: „Cóż to za przebrana królowa?“ Nie przyszło mi to dotąd do głowy, a teraz mnie ta myśl zmartwiła... Nie sposób tak codzień chodzić; a może w tym ubiorze ładniejszą byłam jak codzień?... Ładniejszą jak ładniejszą, ale zupełnie inną. Włosy z pudru wyczesane jak kruk czarne, spadały wijąc się na czoło, szyję i ramiona; suknia gazowa biała bez ogona, w stanie bogatą przepaską ściśniona; na piersiach słońce złote, a na głowie wielki welon przezroczysty i biały, który owijał mnie całą jakby obłokiem. Nie poznałam się, gdy po skończonym ubiorze pozwolono mi się przejrzeć w zwierciadle; możeby mnie dziś niepoznano?...

Gdyśmy weszli do sali, już była prawie pełna; odurzałam na to mnóstwo osób pięknie i rozmaicie ubranych, w maskach, bez masek, w strojach zwyczajnych i nadzwyczajnych; nie wiedziałam gdzie wzrok obrócić, komu się przypatrywać najpierw? Wtém szmer się zrobił, „książe kurlandzki!“ powiedziało głosów kilka, i w gronie dorodnej i bogato przystrojonej młodzieży ujrzałam go. Lubo w mało co odmiennym od otaczających go ubiorze, odrazu go po-

znałam, bo wzrostem, kształtną i okazałą postacią, łagodnością dużych oczów niebieskich, słodyczą uśmiechu, różnił się od wszystkich. Pótem na niego patrzyłam, póki on mnie nie zobaczył; ale skoro się oczy nasze raz spotkały, już przypatrywać mu się nie mogłam, bom zawsze jego wejrzenie spotykała; widziałam jak się o mnie pytał, i kogóż? księcia wojewody: widziałam wyraz radości na twarzy jego, gdy się dowiedział kto jestem, i jeszcze ten wyraz nie znikł, kiedy przystąpił do księżnej, przywitał ją uprzejmymi słowy i głosem nad wyraz miłym. Zaraz po pierwszych komplementach, wzięła mnie księżna za rękę i prezentowała jako siostrzenicę swoją; ani wiem jak się ukłoniłam, podobno nie tak jak mnie metr uczył, bom bardzo była zmieszana; nie wiem także co królewicz do mnie mówił, tylko że otworzył bal z księżną, a drugiego polskiego tańca już ze mną tańczył; i czegobym się nigdy nie była spodziała, on mówił do mnie, a ja mu dosyć śmiało i gładko odpowiadałam. Pytał się o państwo, o panią starościnę, o jój wesele? dziwno mi było z kąd to wszystko mógł wiedzieć, ażem sobie przypomniała że kasztelaniec Kochanowski zausznikiem jest jego. Taki pocziwy, że nietylko strawił gęś z czarnym sosem, ale jeszcze jak najlepiej królewicza o wszystkich nas uprzedził; mnie bardzo zachwalił, lecz jak mówił królewicz, ani przez połowę jak należało. O! jak też wiele podobnych powiedział mi rzeczy, i w czasie tego tańca i innych, bo prawie z nikim, tylko ze mną i menuety i kontradanse tańczył, a usta mu się nie zamknęły.

Kiedy o północy uderzono z armat na znak, że rok nowy starego pokonał, powiedział mi: „O! na zawsze tę noc pamiętać będę, nie tylko Nowy Rok, ale nowe życie rozpoczęła dla mnie;“ A jak wiele do ubioru mego zręcznych przystosowań; ani podobna wyrazić tego po polsku, bo on ciągle po francuzku mówił: nie to złoto na piersiach, ale oczy moje były słońcem; ich spojrzenie ogień wieczny w ser-

cach wznieca, i tysiąc podobnych rzeczy; piękniejszych komplementów ani w romansach pani *Scuderi*, ani w pani *de la Fayette* nie czytałam. Miałaby to wszystko być dworszczyzna? udanie? miałaby te przyjemne słówka mój ubiór jedynie sprowadzić? Bięda mi wielka, że nie mam się kogo o to zapytać; państwo w Maleszowój, księżnej się boję, księciu jako mężczyźnie takich rzeczy mówić nie śmiem; sama sobie zostawiona, tydzień temu jeszcze na pensyi, wśród nauk, metrów, dziś już grająca jakąś rolę na świecie, zupełniem omamiona. Za dziesięć dni najdalej Basia ma tu zjechać; ona rozsądna, ona mnie pewno oświeci; cieszę się niezmiernie z jęj przyjazdu; już trzy kwartały jakem nie widziała tęj ukochanej siostry, wiem tylko, że coraz szczęśliwsza, coraz więcej od męża kochana... Mój Boże! czy ja tęż jeszcze kiedy królewicza obaczę? czy on mnie tęż pozna w zwyczajnym stroju moim?

Dnia 3 Stycznia w Piątek 1760 r., w Warszawie.

Ciekawość moja nie długo natężoną była, widziałam królewicza, już nawet dwa razy, i poznał mnie. Ani pojmuję zkąd mi takie dziecinne obawy przyjść mogły do głowy? gdyby się on niewiem jak przebrał, wszakbym go poznała; dlaczegóż on miał być mniej uważnym? Ledwem w dzień Nowego Roku dziennik pisać skończyła, kiedy przyszedł do mego pokoju książę wojewoda. „Franusiu! powiedzia! przeszedł wszelkie spodziewanie; ułożenie twoje na wczorajszym balu było wyborne, podobałaś się powszechnie, a nawet znakomitym osobom. Wracam w tęj chwili z pokojów, gdzie wraz z senatorami i ministrami, królowi Jmci powinszowania składał; Jego królewiczowska Mość książę kurlandzki przyszedł sam do mnie, i wyznał, iż nie widział nigdy nic podobnego tobie; i gdyby nie etykieta dworska, która go przymusza cały dzień dzisiejszy z kró-

lem Jmcią strawić, złożyłby ci osobiście powinszowanie swoje.“ Myślałam, że mi krew wytryśnie z twarzy, takim rumieńcem spłonęłam na te przyjemne słowa; książę zaś jakby tego nie widząc odszedł, a mnie zostawił z radością i z myślami memi... Nie omyliłam się więc w niczem... Nie tylko na balach, ale w domu widywać będę królewicza! „Nie widział nigdy nic mnie podobnego!“ te ostatnie wyrazy nieustannie dotąd słyszę, jakby mi je kto ciągle powtarzał; a pochlebne słówka tak mile w ucho wpadają.

Dano wnet znać do stołu, nadzwyczaj byłam wesoła, księżna aż strofowała mnie kilka razy; zaraz po obiedzie pojechaliśmy znowu na wizyty, aleśmy tylko dwa razy wysiedli; bo wszystkie osoby, którym księstwo powinszowania złożyć chcieli, wyjechały w tymże samym celu; spotykaliśmy się na ulicach; zatrzymywały się karety, często kilka się ich zjechało; oddawano sobie nawzajem bilety: wielki był krzyk, śmiech, wrzawa. Powiększyła się jeszcze uciecha, gdy się ściemniło; bo wtenczas hajduki i laufry pozapalali pochodnie, i pięknie było patrzeć na to mnóstwo migających się świateł, wśród tego natłoku powozów, jezdnych, liberyi i koni. Było nawet przypadków kilka, ale nam Bogu dzięki, nic się nie stało. Już o późnej porze wróciliśmy do domu; zmęczona, usnęłam prędko, lecz dziwne marzenia uwiijały mi się we śnie... Nazajutrz o samém południu, kiedy już na cały dzień ubrana, siedziałam z księżną w dużym bawialnym pokoju, którego okna na ogród wychodzą, i nową w krosnach rozpoczynałam robotę, wpada z pośpiechem pokojowiec i woła: „Jego Królewiczowska Mość książę kurlandzki!“ Księżna zerwała się i pobiegła przyjąć go u drzwi przedpokoju; ja w pierwszym poruszeniu schronić się chciałam, ale ciekawość przemogła bojaźń, i zostałam. Wszedł; natychmiast przystąpił do krosien, pytał się o moje zdrowie. Lubo zmieszana, odpowiedziałam wyraźnie; a gdy usiadł przy krosnach, zajmując się moją robotą, tyłem na sobie

przemogła, że pomimo rąk drżenia, kilka cieniuchnych igieł dosyć grubym jedwabiem nawlekłam odrazu; królewicz chwalił moją zręczność, bawił z pół godziny, i chociaż najwięcej z księżną rozmawiał, znalazł przecież sposobność umieszczenia wielu grzecznych dla mnie słówek; mogłam się przekonać, że mnie strój nie odmienił w jego oczach: żegnając się oświadczył, iż spodziewa się widzieć nas dziś jeszcze na balu? Dowiedziałam się wtedy, że poseł francuzki margrabia *d'Argenson* daje bal, i że ja mam być na nim: jakoż byłam.

Niech się schowa wesele Basi; nie co do parady, ale co do grzeczności i zabawy. Jakże to wszyscy w tej Warszawie wysoko edukowani! co kto usta otworzy, to komplement; najpiękniejsze jednak królewicza komplementa; ale nie mógł tyle ze mną rozmawiać jak na balu maskowym ja mu też nie odpowiedziałam tak śmiało: naprzód już nie byłam *Dziewicą Stońca*, tylko sobą samą, bo teraz inaczej; a powtóre zawsze się tak zdarzało, iż która z dam obecnych stała tuż koło nas, jakby podsłuchiwać chciała. To mi się nie podobało; brzydko tak być ciekawą, zwłaszcza osobom wysokiej edukacyi. Księżna w bardzo dobrym humorze, królewicz z nią tylko jedną z poważnych pań na wczorajszym balu tańcował. Książę jeszcze łaskawszy na mnie jak zwykle, ale i zapytań wszelkich unika, i żadnych mi rad nie daje; coraz z większą niecierpliwością kochanej siostry wyglądam. Cóżbym ja jej też rzeczy powiedzieć miała!... Dopiero dziś tydzień jakem pensją opuściła, zdaje mi się, że już miesiąc; tyle przez ten czas myśli się przesunęło, tyle uczuć doznało, tak zupełnie inną jestem, tak rzeczywistość przechodzi nawet marzenia.

Dnia 5 Stycznia, w Niedzielę.

Ktoby to zgadł? Przez cały dzień wczorajszy, królewicz, bale, zabawy i wszelkie marzenia, zniknęły mi zupeł-

nie z myśli; zajęta byłam siostrą jedynie, lubom jój wcale dotąd nie widziała. Przyjechała wczoraj zrana wcześniej niż przyjechać miała, bo niespodzianie zasłała; ledwie stanęła w mieszkaniu swoim, cierpienia jój się wzmogły: przybiegli tu dać znać. Księżna natychmiast pojechała do niój na cały dzień; jam koniecznie także jechać chciała, ale mi nie pozwolono: w okropnych niespokojnościach byłam do północy: do trzech kościołów posyłałam na msze, nareszcie o pierwszej wróciła księżna z pomyślną wiadomością, że Basia zdrowa, i córkę powiła. Dziś prawie na klęczkach prosiłam, żeby mnie do niój puszczone, ale odpowiadano mi, że ją nie tak prędko zobaczę, gdyż nie przystoi panie dobrze wychowanej odwiedzać położnicę. Pan starosta był tu na chwilę uszczęśliwiony że ojcem został; dziewczynka ma być śliczna, tłusta, rumiana, będzie się zwała Aniela, dla kochanej matki naszej; żeby mi przynajmniej ją widziéć dano: cóż mi z tego żem ciotką, kiedy nie znam mojej siostrzenicy. Królewicz dziś rano przysyłał tu winszując wnuczki, i dowiadując się o nasze zdrowie? Jak mi przykro, że siostry widziéć nie mogę, wyrazić nie potrafię; takem jój wyglądała niecierpliwie, i na cóż mi się zda jój przyjazd?

Dnia 8 Stycznia, we Środę.

Kochana siostra codzién zdrowsza, ale jeszcze w łóżku leży; królewicza raz tylko przez te dni widziałam: wyjeżdżał onegdaj na polowanie z królem, ale za to wczoraj był znowu niespodzianie z wizytą i więcéj niż godzinę bawił. Jaki on téż dobry być musi, jak ojca kocha! O ś. p. królowej ze łzami wspominał; widać równie że wielką skłonność do Polaków czuje, że mężną ma duszę. Ach! wszystko com kiedykolwiek o nim słyszała, com tu sama zapisała w tym dzienniku, wszystko to szczerą jest prawdą; owszem zamało go jeszcze chwalono, bo któżby opisać potrafił

wdzięk jego głosu, uśmiechu i słodycz spojrzenia; ani się dziwię, że się Imperatorowej podobał, że serce Kurlandczyków skłonił, ani się dziwić będę, gdy po śmierci ojca, Polacy królem go swoim wykrzykną... I jam mu się podobała! czasem mi się zdaje, że to być nie może... jednak mi to wczoraj jeszcze oczy, mowa jego, i słowa księcia wojewody stwierdziły.

Księżna mnie nieco zasmuciła, bo jakby niechcący powiedziała u stołu, że królewiczowi barżo wiele białogłów się już podobało, i zawsze ta, którą ostatnią pozna, najpiękniejszą mu się wydaje... Ale jaka ja też dziecinna! czegoż się tóm smucić? czyż na całym świecie mnie jedną tylko ładną Pan Bóg stworzył; w moich oczach wszystkie trzy warszawskie piękności: starościanka Wesłowna, krajczyna Potocka, księżna Sapieżyna, daleko odemnie piękniejsze; i co jeszcze? umięją wszystkie dodać sobie wdzięków, a ja téj sztuki bynajmniej nie znam: królewicz mówi, że w tём mój wdzięk największy; jednak mnie się wydaje, że mój rumieniec gaśnie przy ich licach. Osobliwie na balu posła francuzkiego, krajczyna była zachwycająca, i królewicz tańcował z nią dwa razy. Niepodobna żeby oczu nie miał; a wreszcie czegoż ja to pragnę? Dawniej, jedyném życzeniem było widzieć go; potem życzyłam sobie od niego być widzianą i ukłonić mu się; nareszcie zaczęło mi się zachciewać żeby mnie pochwalik: wszystko to się stało a ja nie przestaję na tём, i zdaje się jakbym czegoś więcej oczekiwać śmiała. Dobrze to ktoś powiedział: życzenia człowieka granic nie mają.

Dnia 19 Stycznia, w Niedzielę.

Już téż spodziewam się, że teraz powinnam być kontentą; we czwartek na balu u księcia wojewody ruskiego, królewicz ze mną tylko tańcował; w piątek był znowu z wi-

zytą, wczoraj przysłał nam przez swego adjutanta inwita-
 cją na nową operę włoską Semiramidę, którą wystawiono
 na teatrze dworskim. Tam królewicz mną jedynie był za-
 jęty, tam prezentowaną byłam królowi, który bardzo dla
 mnie był łaskaw; pytał się o obojga państwa, szczególniej
 o Jmć dobrodziejkę, a przed godziną przyjechał tu pan sta-
 rosta z oświadczeniem, iż królewicz chce koniecznie trzymać
 sam do chrztu maleńką Anielkę, i to ze mną. Ze mną, broń
 Boże z kim innym: taka wyraźna jego wola. Ja z królewic-
 zem w jednej parze?... a trzeba wiedzieć że chrzest będzie
 paradny, w kościele kolegiaty królewskiej. Miało być wię-
 ciej par w kuny wezwanych, ale przez uszanowanie dla króle-
 wicza, jemu tylko zostawiony ten zaszczyt; inni będą świad-
 kami, i w tym celu zaproszą wiele znakomitych osób: cała
 Warszawa o tych chrzcinach mówić będzie, zapewne i Ku-
 ryer Polski tak wielką nowinę umieści. Co też tam *ma-
 dame Strumle* i panny z pensyi na to powiedzą? co państwo?
 co wszyscy w Maleszowskim zamku? co *Macieńko* poczciwy?
 on gotów utrzymywać, że to skutek wróżb jego.

Oj! ten *Macieńko!* jak on mi często ze swemi słówkami
 na myśli staje; on tych wszystkich niespokojności moich
 jest przyczyną; bo gdyby nie on, nigdyby mi żadne niedo-
 rzeczne myśli nie powstały w głowie. Kiedy ja też ledwie
 parę minut z tych chrzcin nawet uradowaną byłam; księ-
 żna powiedziała, nie wiem zkąd i dlaczego, że kumostwo
 do małżeństwa jest przeszkodą, i ja na te słowa zadrżałam...
 Rzecz niepojęta! co się to w téj głowie roi! co się w tém
 sercu dzieje! ta nieustanna wątpliwość, to nieustanne prze-
 chodzenie z radości do jakiejś obawy: nieznośne! Czasem
 wysokich nadziei, wesołych myśli natłok, i w jednej chwili
 jakby kto uciął, smutek i niesmak unysł zajmuje. Ale co
 mnie cieszy, obaczę przecież kochaną siostrę, choć na chwile;
 po chrzcinach pojedziemy do niej, już wstała, zdrowiu-
 teńka, ale jeszcze nie tak prędko wyjeżdżać będzie.

Dnia 15 Stycznia, we Środę.

Wczoraj odprawiły się zapowiedziane chrzciny; wiedziałam Basię: jaka też śliczna! wybielała, zeszczuplała; a zawsze dobra jak anioł, i szczęśliwa jak gdyby królowa jaka. Chociaż królewicz prosił bardzo, żeby jej córeczce moje imię dano, Basia oparła się temu, bo komuż jeśli nie matce pierwszeństwo się należy; skłonił ją przynajmniej do obietnicy, że gdy drugą córkę mieć będzie, Franciszką ją nazwie: przyrzekła, a tymczasem tę ochrzcił ksiądz Szembek *Anielką*. Ładna dziewczynka, ale niezmiernie czerwona; podczas całej ceremonii bardzo krzyczała, znać że się wychowa: daj Boże! bo już ją kocham serdecznie. Nie wiedziałam jak sobie dać z nią radę, pierwszy raz w życiu dziecko trzymałam, aż mi królewicz pomagać musiał, tak mi ręce mdlały. Jaki on też dobry! Jak mi dziwno było stać wraz z nim przed ołtarzem, w przytomości tylu osób; w wielkiej księdze obok jego imienia swoje położyć: otóż to zapewne do tej osobliwości ściągają się wróżby *Macieńka!* Wszyscy mi tego honoru bardzo winszują; królewicz od tego czasu nierównie grzeczniejszy, nieco poufalszy: nie nazywa mnie inaczéj tylko *piękną kumę swoją*, a maleńka, to *nasza Anielka*. I pani starościnnie i mnie piękne podawał podarunki, kobięcie podającéj dziecko, otaczającym ją dworzanom i ubogim sypnął po królewsku, a panu staroście obiecał wyrobić u króla kasztelanią radomską. Ja tyle świadczyć nie mogę, choćbym z duszy rada, ale i moje krzyżmo dla Anielki, biała sukieneczka haftowana, nie jedną mnie godzinę kosztowała; w tak krótkim czasie trzeba ją było wykończyć. I królewicz pochwalił tę robotę. Później i czapczkę jej zrobię w same robótki; czasem jak pomyślę o tylu zaszczytach i honorach, zdaje mi się, że to wszystko snem tylko...

Ale zapominam o bardzo ważnej okoliczności: od kilku czasów przedmiotem rozmów wszystkich w wysokim towarzystwie Warszawy, są łowy, które książę Hieronim Radziwiłł, chorąży wojska litewskiego, gotuje, dla ucieszenia króla i królewicza. Tysiące, krocie łoży, żeby z czemciś paradnem wystąpić; zwierza dzikiego z głębi Litwy niemal o sto mil sprowadza, i to polowanie ma już być jutro. Czas piękny, mroźno, sanna wyborna; królewicz koniecznie radby swoją kumę powiózł, i tak się stanie. Cztery piękności warszawskie (bo do trzech dawnych już mnie jako czwartą liczą) w jednych saniach pojedą, a królewicz końmi kierować będzie. Wszystkie cztery będziemy miały jednego kroju ubiór, ale każda innego koloru; jam sobie obrała amarantowy, krajczyna niebieski, księżna zielony, starościanka brązowy. Będziemy miały szuby aksamitne, do stanu zrobione, z sobolami i także same kołpaczki. Szkoda że Basia tego wszystkiego widzieć nie będzie, ale ona taka ze swojej Anielki szczęśliwa, że już niczego więcej nie żąda.

Dnia 17 Stycznia, w Piątek.

Jak żyję na tym świecie, nic podobnego nie widziałam, i już podobno nie zobaczę; jakże te łowy były wspaniałe! Wyjechaliśmy o godzinie dziewiątej z rana; aniby nikt zliczył mnóstwa sań i koni, nasze jednak były najpiękniejsze, i zaraz za królewskimi jechały. Królewicz w myśliwskim stroju, zielonym aksamitnym, nadzwyczaj pięknie wyglądał; pojechaliśmy daleko, daleko za kościół Ś-to Krzyżki: tam między Szulcem i Ujazdowem, sunąwszy się z góry, na której leży cała Warszawa, jest równe pole *), zwykle zbo-

*) Dziś Łazienki.

zem zasiewane; to pole książę Radziwiłł ogrodzić kazał, i to ogrodzeniem prześliczném, z herbami i napisami. W pośró d tego pola wystawiono zieloną altanę *) żelazną, na wszystkie strony otwartą, rogatkami żelaznymi przeciw dzikiemu zwierzowi obronioną; wewnątrz jak na dole tak w górze zielonym aksamitem była wybita, a dno przedniami krzyżakami wysłane. Tam wszedł król z królewiczem; dla przedniejszych panów było miejsce koło altany, niedźwiedziami zasłane, a dla dam i reszty panów amfiteatr z obu stron ogrodzony; cały był pełny: przyległe góry zupełnie okryte ciekawym ludem. Tém piękniejszy był widok, iż zostawiwszy plac wolny koło altany, dalej wysadzono drzewami ulic kilkanaście; wysokie sosny wizerunek prawdziwego lasu przedstawiały...

Ledwieśmy przyjechali i zasiedli miejsca swoje, kiedy za danym znakiem z rogów i trąb myśliwskich, z miejsc gdzie zwierza trzymali strzelcy księcia Radziwiłła, puszczone ośmiu łosiów, trzech niedźwiedzi, wilków dwudziestu pięciu, dzików dwudziestu trzech. Psy wyuczone, przez knieje napędzały zwierza przed altanę; ani podobieństwo opisać tego ryku, téj psów i dzikiego zwierza zajadłości, krzyku niewiast, téj całej wrzawy; król strzelając z altany sam ubił trzech dzików; pod wystrzałami królewicza padło kilkanaście zwierza, a niedźwiedzia jednego wziął na oszczep, co jest rzadkiej siły i zręczności dowodem: skórę jego będę miała pod nogi. Przeciągnęła się ta zabawa aż do czwartéj po południu; rozdawano mięsiwa, ciasta i różne rozgrzewające napoje; strzelców i strażników księcia Radziwiłła było 84, w barwę jego suto przybranych, ze strzelbą i z dzidami. Prawdziwie każdy z łatwością mógł poznać, że bo-

*) Tę altanę przed kilką laty widzieć było można w Łazienkowskim lasku.

gaty i wspaniały książę, królowi swemu ucztę i zabawę wyprawia. Bardzo wiele wierszy łacińskich i polskich napisano na to polowanie, te mi się najlepsze zdawały:

Tu gdzie kłęski liczne zwierza i zawody,
 Niedawno się pierzchliwe śmiele pasły trzody;
 Tu gdzie gaj zielonemi cień podaje drzewy,
 Niedawno się w kształt fali bujne chwiały siewy.
 Sławo! któraś Rzymianów widoki wielbiła,
 Te nam widzieć przewaga daje Radziwiłła,
 Czy spojrzysz na patrzące, na zwierze, na lasy,
 Nic wspanialszego dawne nie widziały czasy;
 Czem sławne były gmachy i gonitwy w Rzymie,
 Toś zniósł wszystko na ten plac, wielki Hieronimie!

Wilją rocznicy koronacy królewskiej tak suto obchodził książę Radziwiłł, z tej okazji będzie i dziś bal u marszałka Bielińskiego: proszonam na niego.

Dnia 19 Stycznia, w Niedzielę.

Bal był wspaniały. Królewicz wesoły, szczęśliwy, bo król go w tym dniu udarował kosztowną gwiazdą orderową z samych brylantów. Wieczera była suta, tém szczególniejsza, że jako w Piątek ani kawalka mięsiwa nie dano. Ja bardzo wiele tańcowałam, serdecznie też nogi mnie bolały; żal mi jednak, że mi się z tém wymówiła, bo już mam zapowiedziane dziesięć dni siedzenia w domu i odpoczynku. Księżna się boi, żeby mi nie zaszkodziły te nieustanne tańce i niewczasy; jakoż w samej rzeczy zbladły cokolwiek moje rumieńce. Mieliśmy listy z Maleszowój; Jmć dobrodziejka sama pisać do mnie raczyła, bardzo mi zaleca aże bym zdrowia ochraniała, a nadewszystko żebym troskliwą była o moją sławę i szczęście, żadnej się nie dopuściła płochości, i wiary zupełnej nie dawała pochlebnym słowom, które się o moje uszy obijają. Jmć dobrodziejka mówi, iż

często nie piękność prawdziwa, ale jakieś uprzedzenie sprawia, że pannę za piękną okrzyczą; że bardzo często ztąd wypływa nieszczęście, bo zawróci jej się głowa, gdzieś wysoko swoje widoki zamierzy, i najczęściej osiada na koszu. Mam w Panu Bogu nadzieję, iż ze mną tak nie będzie; choćbym nawet zbyt wysoko moje widoki zwróciła, i nie udały się, niktby tego po mnie nie poznał. Jednak do łez mnie rozrzewnił list Jmć dobrodziejki, noszę go zawsze w kieszeni i często odczytuje; dobrze to Pan Bóg zrobił, że słowa matki albo ojca tak prosto do serca trafiają: szczęśliwa młoda panna, która rodzicielskiego nie opuszcza domu; pomimo wszystkich sukcesów moich, bardzo często Maleszowskiego zamku żałuję.

Dnia 29 Stycznia, we Środę.

Skończyło się przecie dziesięć dni rekolekcyi moich, przez ten czas cztery były bale; jeden z nich maskowy, gdzie w kadrylu szkockim ja z trzema pięknosciami figurować miałam; zastąpiła mnie wojewodzina Małachowska, a ja przez te dni nogą nie ruszyłam, bo pomimo prośb usilnych królewicza i Bóg wie nie czyich, księżna przebłagać się nie dała: jak raz co powie, nie zwykła odmieniać zdania. Żal mi było trochę tych balów, szczególnież maskowego; ale nikt tego po mnie się nie domyślił, bo to wstyd, słuszną panną będąc, dziecinne okazywać żale: wreszcie królewicz tak często bywał, i tę moję stałość i męstwo tak wysoko cenił, iż nie mogłam być smutną. Od czasu chrzcina znika codziennie bardziej ten wielki przedział, który syna króla, księcia udzielnego, przyszłego może następcę tronu, od starościanki Krasieńskiej dzieli; coraz mniej między nami etykiety; królewicz chce być za równego miany: jaka to niepojęta dobroć! Nad wyraz też mile godziny w jego towarzystwie schodzą; mówi nam o Peters-

burgu, o Wiedniu, gdzie także czas jakiś gościł; opisuje pocziwych Kurlandczyków, a zawsze choćby dwadzieścia było osób, umie wsunąć słówko jakie pochlebne, którego znaczenia podobno nikt nie zgaduje, tylko ja jedna. Jak on zna dobrze, co się w nieszczęsnej Rzeczypospolitej dzieje; jedynie przez uszanowanie dla ojca nie śmie mówić wyraźnie.

O Boże! wielki Boże! żeby on téż został królem! Księżna powiada, że ztąd pochodzą wszystkie jego nadzwyczajne grzeczności, iż sobie zawczasu partyą chce robić, i że gdyby kiedy był królem, możeby na nas i nie spojrział: o! co temu wcale nie wierzę. Jużto ja dobrze widzę, iż księżna mu nie sprzyja; wszystko mi się zdaje, że ona Lubomirskiego chciałaby widzieć królem. Wątpię, żeby się spełniły jęj życzenia. Dziś jest wieczorna zabawa u panien Kanoniczek, tam będę; bardzo dom przyjemny i uczęszczany: ksieni panni Komorowska, prawdziwie godna i szanowna białogłowa.

Właśnie wczoraj przy stole mówiono wiele o Kanoniczkach. Z Zachorowskich, ordynatowa Zamoyska, bardzo dobroczynna i światła dama, ufundowała to Zgromadzenie, i przepisała mu prawa na podobieństwo takiéjże, dam świeckich kapituły, w mieście *Remiremont* w Lotaryngii będącęj. Mówią, że jęj powodem do téj fundacyi była litość nad młodą panną, która ze wstrętem, z rozpaczą prawie szła za mąż, jedynie dla tego, iż sierotą zostawszy, nie czując w sobie żadnego do życia klasztornego powołania, a dla wysokiego rodu iść w służbę nie mogąc, nie miała gdzie się umieścić. Chcąc dla podobnie opuszczonych i równie zacnie urodzonych dam z narodu polskiego przytułek otworzyć, gdzieby z chwałą Boga, z honorem swoim i domów swoich, chrześciańskie życie prowadzić mogły, nie obowiązując się do klauzury zakonnęj, ani do przystojnego małżeństwa drogi sobie nie zawierając, ordynatowa Zamoyska ten Zakład

uczyniła. Kupiła Marywil, wielką budowlę na ulicy Senatorskiej będącą. Założoną przez Maryę Kazimirę Sobieską, kaplicę, którą na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem stawiać zaczęto, dokończyła, część pałacu przerobiwszy na mieszkania dla Kanoniczek, dochód z wynajęcia reszty, im oddała. Składa się to Zgromadzenie z dwunastu dam; jedna ksieni, jedenaście Kanoniczek. Ażeby panna była tam przyjętą, powinna mieć lat 15-ście, być nietylko z urodzenia szlacheckiego, ale dowieść trzeciego pokolenia z ojców i z matek. Jest jeszcze w tém Zgromadzeniu 8 panien, które *chór niższy* składają, i te powinny być szlachcianki; one czynią posługi domowe i doglądają służebnych. Dziadek nawet kościelny powinien być szlachcicem ubogim. Już prawdziwie szlachecki Zakład.

Dnia 19 Lutego, w Wstępną Środę.

A! Boguż dzięki! już po zapustach! widzę że i zabawy naprzykrzyć się mogą; nie wiem czybym zrachować potrafiła, na wielu byłam balach przez te trzy tygodnie? a tak mnie zmęczyły, że już nic robić mi się nie chciało, a raczej na nic czasu znaleźć nie mogłam, bo mnie zajmowały stroje, wizyty, asamble i inne gale. Życie takie z razu przyjemném się zdaje, ale jakiś niesmak wewnętrzny zostawia; nie pamiętam, żebym kiedy tyle chwil smutnych, tyle godzin nudnych spędziła, a tymczasem tyle osób mnie ma za najszcześliwszą, tyle mi zazdrości. Podobno to Basia tego mi narobiła, już od dwóch tygodni bywam u niej dosyć często, ona się lęka o mnie; sama tak szczęśliwa, iżby koniecznie rada żeby mój los podobnym był do jęj losu; a to bodaj już rzecz niepodobna: trwoję i niespokojność swoje w moje serce przelała i ja coś przemyśliwać zaczynam... Jak téż krajczyzna Potocka piękną była na wczorajszym balu maskowym... ubrana za sułtanę, zdawało się, że panuje

nad innemi białogłowami. Wszyscy byli w zachwyceniu. Jak wiele tańczyła! Ja oprócz jednego poloneza nie tańcowałam wcale, noga mnie zaboląła; wielu mnie prosiło i królewicz zapraszał w końcu, alem już nie chciała. A! Boguż dzięki, już po zapustach!

Dnia 29 Lutego, w Sobotę.

Choć słów kilka naprędce: niespodzianie jadę na parę tygodni do Sulgostowa; wczoraj jeszcze o tém wzmianki nie było, chociaż państwo starostwo już tu byli z pożegnaniem; ale dziś rano przyszedł do mego pokoju książę wojewoda i powiedział, że niezmiernie o tę łaskę siostra i szwagier proszą, że tam może i państwo przyjadą, a zatem zobaczę się z niemi. Nawykła powodować się wołą księcia, który wiem iż tylko dobra mojego pragnie, usłuchałam i jadę. Księżna także wyjazd mój pochwała; korci mnie tylko że królewicz o niczém nie wie, a nie śmiałam zalecić nikomu, ażeby nieznacznie o tém wspomniał... Księżnaby to najlepiej potrafiła, ale cóż? kiedy tak jej się boje!.. Może on też nie bardzo moim odjazdem się zmartwi, może i uważać go nie będzie.... tyle pięknych białychgłów w Warszawie.... Krajczyna nigdzie nie jedzie... Ale już na mnie wołają, trzeba się pakować.

Dnia 15 Marca, w Niedzielę.

Od dwóch dni jestem napowrót w Warszawie; nie wiem jakim cudem dziennik mój, który zdaje mi się żem włożyła do sepecika, został tu w kantorkn, i w Sulgostowie nie pisać nie mogłam. Blisko trzy tygodnie tam bawiłam, zdało mi się że dłużej; państwa nie widziałam, dopiero za cztery dni zjadą do starostwa, a książę wojewoda sam po mnie przyjechał, i pół dnia czekać nie chciał; rozstawionemi koń-

mi w dniu jednym przylecieliśmy tutaj. Królewicz był zaraz nazajutrz, uważałam że zmieniony, zdaje się że słaby; dał mi do zrozumienia, iż wyjazd mój nagły bez pożegnania tak go zmartwił; powiedział mi z goryczą, iż więcej względów mieć należy dla kuma, dla przyjaciela... Przyjaciela? Królewicz przyjacielem moim! O! teraz żal mi żem odjeżdżała... chociażem tego nieraz już i w Sulgostowie serdecznie żałowała... Książę wojewoda mówi jednak, że bardzo dobrze się stało; przyznaję się, że często go nie rozumiem, ale słucham ślepo, bom sobie wystawiła oddawna, iż on w układzie losu mojego wielką grać będzie rolę. Księżna łaskawie mnie przyjęła. W Sulgostowie najwięcej mi czasu zeszło na pieszczeniu się z Anielką — która przedziwna dziewczynka — i na robocie; już dawno jak obiecałam na pewną intencją wyhaftować poduszkę do Pana Jezusa do Fary; u Basi—bo tak się zwać pozwala—znalazłam wszystko co mi było do tego potrzeba, i tak pracowałam pilnie, żem skończyła. To były najmilsze moje momenta; zdawało mi się, że każdy ścieg przyśpiesza spełnienie tajemnych życzeń, których tu i wypisać nie śmiem... W Sulgostowie obchodzono suto rocznicę wesela Basi, dużo się gości zjechało; co to odmian w tym roku? najwięcej ich w sobie samém spostrzegłam; i co dziwnego? rok temu nierównie byłam weselsza, a przecież nie chciałabym może być taką jak wtenczas, nie chciałabym do téj nic nieznaczącej swobody powracać. Jednak wtedy daleko byłam szczęśliwszą; bo byłam nią ciągle i zawsze, a teraz tak krótkie szczęścia, takie długie niespokojności, obawy, i niesmaku chwile.

Dnia 19 Marca, we Czwartek.

Królewicz wczoraj tyle był wesół i przyjemny, jak w początkach poznania się naszego, a ja oddawna równie miłego dnia nie pamiętam. Był najprzód zrana, ale tylko

na godzinę, bo z królem wybierał się na polowanie do puszczy Kampinowskiej; w wieczór zaś gdyśmy się go ani spodziewali przybiegł, ja myślę że piechotą, bo sam, bez żadnego hałasu. Polowanie bardzo się udało, i przedziwne było zdarzenie. Kampinowska puszcza graniczy z lasami jakiegoś Zaborowa, dziedzic jego ma być szlachcic wcale do rzeczy; ten mając już kilka razy króla na gruncie swoim, i zawsze częstując go suto, w altanie umyślnie (na to wystawioną przy drodze *), przymawiał się już kilka razy o jakąś nagrodę: król mu starostwo obiecał ale pod warunkiem żeby niedźwiedzia zabił w jego lesie; już kilku ubito, a król obietnicy zapomniał; nareszcie dziś w oczach króla, szlachcic zabił sam ogromnego niedźwiedzia; nie tracąc i chwili, przyciągnął zwierza pod jego nogi, i powiedział: „Najjaśniejszy panie! *Ursus est, privilegium non est.* Niedźwiedź jest, a przywileju niema.“ Król się rozśmiał serdecznie, i święcie starostwo przyrzekł. Przeszło dwie godziny bawił królewicz; teraz nieco jest wolniejszy, może niekiedy wymknąć się z pokojów królewskich, bo dwaj jego bracia Albrycht i Klemens są teraz w Warszawie. Królewicz Klemens dziwnie ma być dobry i nabożny; do stanu duchownego ma powołanie, i zapewne księdzem będzie. Słuszna rzecz ze strony króla, iż kilku mając synów, jednego na służbę Boską poświęci. Dobrze jednak, że ta kolój nie na królewicza Karola padła.

Dnia 24 Marca, we Wtorek.

Chociaż to w post, bardzo mi wesoło dnie od mego powrotu ze wsi schodzą. Królewicz jak tylko może wyrusza się z królewskiego pałacu, i do nas przybiega; mówi

*) Miejsce gdzie była ta altana jeszcze jest widoczne.

zawsze, iż mu ciąży bardzo ta dworska etykieta, ale już od dnia jutrzejszego ustaną nasze zabawy. Księżna ma parę pokoików ciągle dla siebie gotowych u pp. Sakramentek, i tam co rok przed Wielkanocą, na ośm dni się zamyka, dla przygotowania się dostatecznego do spowiedzi; wszystkie pobożniejsze panie tak robią, i ja naturalnie że księżnie towarzyszyć będę. Przez ośm dni będziemy tylko widzieć księży, czytać książki nabożne, robić sprząty do kościoła, albo co dla ubogich.

Dnia 2 Kwietnia, w Wielki Czwartek.

Już nasze rekolekcyje odbyte, spowiedź Wielkanocna odprawiona, i nie pamiętam dawno, ażebym tak spokojną, tak swobodną myśli była. Wielkie to i nieocenione dobro w zgodzie być z sobą i z Bogiem! O! jak miłe, jak słodkie, jak poważne obrzędy wiary naszój, jakie szczęście wychowanym być w ich pełnieniu! Wybornego miałam spowiednika, księdza Bodue; on jest w modzie bo Francuz, ale i bez mody zawsze byłby przewodnikiem duchownym z mego wyboru, gdyż prawdziwie święty człowiek; a w takim z łatwością uznać Namiestnika Boga: takiego rad skwapliwie się słucha! Nie mało godzin mi zeszło na osobnych z nim rozmowach. Jak też trafić umiał do serca mojego, jaką skrucą go przejął, jak wchodził w moje położenie, jak zbijał próżność, miłość własną! Jak mnie przeświadczyć potrafił o marnościach rzeczy ludzkich, o niebezpieczeństwach świata, o słodczy życia poświęconego Bogu!... Doprawdy, było kilka momentów w których miałam ochotę Szarą Siostrą w jego szpitalu zostać. Już nad tém nie żartem dumalam, przechadzając się żywym krokiem po izdebce mojej; czemuż w ten moment weszła pokojowa, i o strzelcu królewicza coś mówić zaczęła: rozerwała świątobliwe myśli moje, i jużem ich potem uchwycić nie mogła... Jednak sam

ksiądz Bodue mówił mi nieraz, że i żyjąc w świecie, zbawionym być można, byle w niczem cnocie nie uchybić; i że taka świętość jeszcze więcej ma zasługi, bo trudniejsza: dlaczegóż nie mam się odważyć na trudniejszy zawód, kiedy czuję w sobie dostateczne siły; już ja nic podłego, nic niegodnego Krasieńskich imienia nie zrobię: jeśli grzeszę, to nie tćm że nisko, ale prędzej tćm, że wysoko patrzę. Ksiądz Bodue i tego nie gani; on powiada, że nie szkodzi dążyć do wysokiego szczytu, byle iść do niego drogą cnoty, byle nad nim widzić zawsze Boga, i być gotową bez szemrania wrócić na dół, gdyby taka była wola Jego. W takim ja tćż zupełnie stanie zostaję, i doprawdy, tak jestem dziś lekka, swobodna, tak mi oddychać łatwo, iż mi żal że ten tydzień już minął, lubośmy nikogo a nikogo przez ten czas nie widziały; dziś to wszystkich zobaczą. Będziemy w zamku na zwykłych Wielko Czwartkowych ceremoniach: bardzom ich ciekawa.

Dnia 10 Kwietnia, w Piątek.

I wielki tydzień i Wielkanocne święta minęły. Nie mogę mówić, żeby te dni były bez przyjemności; owszem miałam wiele chwil szczęśliwych, ale ta spokojność umysłu i serca, ta już gdzieś uleciała... już się tćż i nagrzeszyło nie mało: ten bićdny człowiek taki słaby i ułomny! pomimo najstalszych przedsięwzięć i zamiarów, za najmniejszą okazją do dawnego się wraca. Naprzykład, czy to rzecz slychana, w Wielki Czwartek, nazajutrz po spowiedzi i komunii, dałam się unieść próżności; doprawdy, że czasem gniewa mnie ta uroda. Gdym tego dnia ubierać się miała, w żałobę, jak zwykle w tej porze, weszła do mego pokoju księżna, za nią jćj panny słuźebne, i przyniosły mi ubiór przepyszny, zupełnie biały: suknia atlasowa z wielkim ogonem, wieniec z róż białych na głowę, takiż bukiet do boku,

i długi blondynowy welon; zdziwienie moje księżna zaspokoila, mówiąc: że jest taki zwyczaj u dworu, iż w Wielki Czwartek po skończonem w kaplicy pałacowej nabożeństwie, król i wszyscy schodzą się do wielkiej sali, w której już zastają przy nakrytym stole dwunastu starców; król umywa im nogi naśladując pokorę Zbawiciela naszego, usługuje gdy jedzą, a podczas tej ceremonii jedna z znakomitych pierwszego towarzystwa panien, biało i pięknie ubrana, chodzi do przytomnych panów z tacą, i prosi o dar jaki dla ubogich. Król sam zawsze tę pannę wymienia, i na ten raz mnie *kwestarłą* mianować raczył; zebrane zaś pieniądze, zawczasu księdzu Bodue na szpital jego już na dokończeniu będący, przeznaczył. Ucieszyłam się niezmiernie tą wieścią; ale cóż? wcale nie w tej myśli, że przyłożę się do tak miłosiernego uczynku, lecz że się nie pokażę światu w żałobie, w której mi nie do twarzy, że w gronie tylu dam, ja jedna pięknie i biało ubrana będę, a zatem najpiękniejsza. Nie byłaz to niesłychana próżność, zwłaszcza w dzień taki?... Lżęj mi na sercu, zem ten błąd tu wypisała.

Kwesta udała się jak najpomyślniej, do czterech tysięcy dukatów zebrałam; sam książę Karol Radziwiłł mówił do mnie: „Panie kochanku! trzebać co dać tak pięknej damie!“ sypnął odrazu pięćset sztuk złota, aż się taca ugęła. Z początku byłam nieśmiała, nogi mi drżały przy niskim ukłonie, który przed każdym uczynić wypadało; ale potem ośmieliłam się, i dopiero w ten dzień przydały mi się prawdziwie metra od tańca nauki. Marszałek dworu oprowadzał mnie, wymieniał każdego z panów i prosił za mnie; bo już co mówić, tobym nie była potrafiła; a kiedy taca zdawała się zbyt ciężką, wypróżniał ją w osobny worek. Nasłuchiwałam się komplementów co nie miara; król-wicz mi powiedział, że szczęście wielkie zem pieniądze nie serca zbierała, bo każdy byłby musiał oddać mi swoje; ja mu na to: „Nie prosiłabym nigdy o rzecz takową, bo któżby

dbał o uproszone serce?“ Podobała mu się ta moja otwartość; dziwię się jednak, jak mógł sądzić, żebym ja inaczej myśleć mogła? Niewieście prosić kogo o serce? choćby króla samego, miałabym za podłość! Przyjąć kiedy się dobrowolnie odda, i kiedy się przyjąć godzi, to co innego... Ale gdzie się myśli moje zapędzają, wcale o czém inném pisać wypada.

Ceremonia umywania nóg dziwnie mi się podobała; ten król schylony u nóg ubogich starców, stojący potem za ich stołkami, jeszcze mi dotąd tkwi w pamięci; a do tego nasz August III, choć już nie młody, bardzo piękny, poważny, i wszystko mu przystoi. Królówicze Karol zupełnie się wdał w ojca. W Wielki Piątek obchodziliśmy groby, w grubiej żałobie; w siedmiu kościołach byliśmy, w każdym odmawiając po pięć pacierzy; u Fary klęczałam godzinę całą przy grobie Pańskim. Rezurekcyja była paradną w Wielką Sobotę w wieczór, muzyka dworska prześliczna. Święcone u nas było okazałe, i do wczorajszego dnia ciągle zastawiano stoły ciastami i mięsiwem.

Ktoby mi też był powiedział rok temu, kiedy właśnie jako w trzeci dzień mojego na pensyę przybycia, smutnie u *madame Strumle* nad skromnym święconym dumałam, że ja w ten Poniedziałek świąteczny z królówiczem dzielić się będę; a był u nas dnia tego: jedliśmy z jednego talerza. Jak mi też smakuje mięso po tych czterdziestu dniach postu; w wielki tydzień tak tu jak w Maleszowej z olejem jedliśmy, a w Wielki Piątek wcale z suchotami. I królówicze pościł; zdaje mi się też że dużo zmizerniał. Właśnie wczoraj z niespokojnością wpatrywałam się w niego, myślałam, że tego nie zważał bo rozmawiał z księciem, a on mi potem za tę niespokojność dziękował. Ażem się zawstydziła; jak też to młodej panie baczna być trzeba: nie dosyć jej w słowach być ostrożną, jeszcze i oczu pilnować musi. Proszę, na co się przydać mogą w takim razie guwernantki?

Dobrze księżna mówi, że która panna siebie nie strzeże, tej i dziesięć guwernantek upilnować nie potrafi.

Dnia 15 Kwietnia, we Środę.

Jutro wyjeżdżamy z Warszawy, księżtwo jadą do dóbr swoich do Opoła, i ja z niemi; był list od Jmć dobrodzieja do księżnej, w którym zezwala na to, abym bawiła przy niej, póki się jej nie naprzykrzę, i sama mnie nie wypędzi: spodziewam się, że to nie nastąpi, bo staram się jej przypodobać jak tylko mogę i umiem. Księżna wzbudza we mnie szczególne jakieś uszanowanie i bojaźń; wołałabym niewiem co zrobić jak ją obrazić, a kiedy na mnie łaskawie spojrzy, i widzę, że ze mnie kontenta, jakby mi się niebo otwierało. Jeśli kiedy sędziwych lat doczekam, chciałabym mieć tę wspaniałość; sam królewicz jej się boi. Nie wiem jak to wytłómaczyć, alem kontenta z tego, że nie do Maleszowej jadę. Nabila mi się głowa tą myślą, że tam wracać nie powinna taką samą, jak wyjechałam; a gdybym teraz wróciła, żadnejby odmiany nie było? Żadnej? ach! jest i wielka!... ale cóż z niej?... Nie sposób jednak, żeby rzeczy w tym stanie długo zostały; musi koniecznie nastąpić jakaś stanowcza zmiana: pomyślna mnie już nie zdziwi, przeciwną znieść potrafię, bom szlachetnie urodzona, bom chrześcijanka. Ale jakie ja tu kreślę zagadki: gdyby też komu dostał się ten dziennik w rękę, myślałby że niepełna rozumu; a ja właśnie dla tej obawy, tak niewyraźnie piszę: ja kiedy myślę o *nim*, to się boję, żeby kto myśli mojej nie usłyszał, a pisaćbym zaś miała? I to już zanadto, lepiej przestać, i pod cztery zamki ten papier schować! Chwilka dłużej, a wydałaby się tajemnica.

Dnia 24 Kwietnia w Piątek, w Opolu.

Blisko od tygodnia tu jesteśmy, miejsce dosyć przyjemne, mnie jednak nie bardzo wesoło, bo mi się też nie darzy. Drzewa powinnyby się już zielenić, a jeszcze zupełnie czarne, powinnyby być ciepło, a zimno; chciałam zacząć haftować, brak mi najpotrzebniejszych jedwabiów; chciałam grać, klawikord odstrojony, dopiero do Lublina posła po organistę. Jest tu biblioteka dosyć znaczna, ale klucz od niej u samój księżnej a boję się prosić o niego. Książę ma różne nowe książki francuzkie, dzieła Woltera najślawniejszego autora we Francyi; za kilkanaście tomików w moich oczach, dał sześć dukatów w złocie: księżna czytać mi ich nie pozwala. Co gorsza, przyszedł świeżo z Paryża romans, za którym wszyscy przepadają: *Nowa Heloiza*, przez jakiegōs Russa napisana; jużem go miała czytać, ale cóż? sam autor umieścił w przedmowie te słowa: żadna matka nie da tój książki córce swojej; i księżna zakazała mi ją surowo. Do tych wszystkich przeciwności, cóż jeszcze zdarzyło mi się wczoraj? Księżnie, doktorowie warszawscy kazali, gdy będzie na wsi, konno jeździć dla zdrowia; ona śmiała się z nich, mówiąc, że tego nigdy nie uczyni: oni jednak obstawali przy swoim, i książę kupił dla niej śliczną powolną klaczkę z wygodném siodłem. Przeprowadzili ją tu, księżna jednak jeździć nie chciała, ledwie ją namówili, żeby się przejeżdżała po ogrodzie, co od kilku dni codziennie czyni; ale mnie, która się koni nie boję, przyszła niezmierna ochota jeżdżenia konno; odezwałam się z nią wczoraj: księżna mnie strofowała, zowiąc tę zabawę bardzo nieprzyzwoitą dla panny, i pożegnać się z tym projektem musiałam; a jak też zawrócił mi głowę, jak już w myśli dokazywałam na tym koniu, jeździłam na polowanie i z kim jeszcze?...

Bardzo tu dworno i wiele osób się zjeżdżało jako do wojewody; nie wiem dlaczego mnie to wszystko nie bawi; widziałam i Michała Chronowskiego, owego niegdyś pokojowca naszego; zupełnie się odmienił: ksiązę za rekomendacją Jmć dobrodzieja, oddał go do Palestry Lubelskiej, i on tam dobrze się ma kierować, ale wychudł, nachylił się, jakichciś rumieńców osobliwych dostał i kilka kryś ma na twarzy. Ani razu od ślubu Basi nie tańcował; już teraz nie mazury, nie krakowiaki, ale ex-dywizye, kondemnaty, kaduki ma w głowie: strasznie się nudny zrobił, bo nie można zrozumieć co mówi. Kto bywa w Opolu bardzo przyjemny i zabawny, to książe Marcin Lubomirski, brat stryjeczny księcia, ale znacznie młodszy; znałam go już w Warszawie: księżna zawsze coś w nim do nagany znajdzie, mnie zaś on się niesłychanie podoba; ma tu niedaleko hrabstwo janowieckie, i bardzo nas do siebie zaprasza: może pojedziemy. Z nim rozmawiać miło, bardzo lubi zabawy, niezmiernie wesoły, wielki przyjaciel królewicza; jak go też chwali, to aż serce rośnie!

Dnia 1 Maja w Piątek, w Janowcu.

Od dwóch dni bawimy w Janowcu, i książe Marcin zawczasu oświadcza, że nas nie tak prędko puści. Piękniej tu nierównie jak w Opolu, a równie dworno. Nie wiem czy jest w świecie kto chojniejszy, weselszy i gościnniejszy od księcia Marcina. Pieniędźmi tak sypie i sieje, mówi księżna, jak gdyby się spodziewał, że mu wyrosną i że je zbierze. Co on też teraz robi? Przez śliczny las, który ma niedaleko zamku, każe wycinać wielką perspektywę; z gabinetu gdzie mieszkam i piszę, widzę właśnie w tej chwili, jak padają wspaniałe drzewa pod siekierami przynajmniej stu robotników; na jój końcu stawiają pałacyk, ale z takim pośpiechem, że się zdaje, że w oczach rośnie; z Warszawy

i Bóg wié nie zkąd nasprowadzał majstrów, przepłaca ich; ale założył się z księciem wojewodą, że w przeciągu czterech tygodni pałacyk stanie, i ja pewna jestem, że wygra. Cały ten las ma kazać ogrodzić i *zwierzyniec* w nim założyć; okolica obfituje w dzikiego zwierzca, ale on rozesłał ludzi swoich w dalekie strony, żeby mu i łosiów i niedźwiedzi sprowadzono. Wszystko mi się zdaje, że w stawianiu tego pałacyku, i w zakładaniu tego zwierzynca jest jakaś tajemnica, i raczej ją przeczuwam, niżeli zgaduję.

Daleko mi weselój w Janowcu: prześliczne miejsca, zamek wspaniały na górze nad Wisłą, starożytny bo jeszcze po Firlejach; widok ztąd na Kaźmierz, na Puławy ks. Czartoryskich, bardzo przyjemny; sal i pokojów bez końca, malowania i sprzęty przepyszne. Ale podobno w całym zamku mój pokoik najmiłszy, jest w wysokiej wieży; zdaje mi się, że mam jakąś romansową heroiną, od czasu jak w nim mieszkam; są w nim okna na trzy strony, z każdego czarujący widok: w jedném najczęściej siedzę, bo mnie nad wszelki wyraz ta perspektywa i ten wzrastający pałacyk zajmuje. Na ścianach jest Olimp. *Wenery mu dotąd brakowało, teraz ją posiada*, powiedział grzecznie książę Marcin, gdy mnie tu wprowadzał. Dziwnie mi było w tém oknie, w tym gabinecie; zdaje mi się, jakby w Janowcu coś dobrego przytrafić mi się miało.

Dnia 3 Maja, w Niedzielę.

Nie wiem czym kiedy w życiu tak rano wstała, dopiero trzecia bije na zamkowym zegarze, a ja już siedzę i piszę. Jeszcze nie było zupełnie widno, kiedym się snuła po długich tego zamku korytarzach, jak widmo jakie. Bo trzeba wiedzieć, że jest tu sala prześliczna i wielce szacowna. Książę Marcin, idąc za miłym i nauczającym przodków naszych obyczajem, którzy przechowywali starannie portrety znaczniej-

szych z rodziny osób, i pamięć znakomitszych ich czynów, umyślił wszystkie podobne zabytki Lubomirskich rodu, w jednej zgromadzić sali. Sprowadził sobie z Włoch biegłego malarza, wezwał pomocy człowieka uczonego, który nietylko był wyćwiczony w dziejach rodu Lubomirskich, ale i w historii narodu naszego, i po długich naradach, ten zamiar wykonany został, sześć lat temu 1756 roku, jak świadczy napis nad drzwiami. Szkoda tylko, jak mówi księżna, że nie olejno na płótnie, ale *al fresco* na ścianach, te wszystkie portrety i obrazy; już ich przenieść nie można, i przechować trudniej. Ale nie myśląc o przyszłości, teraz ta sala przeszliczna; wczoraj po obiedzie książę Marcin, wraz z księżną i z księciem wojewodą tłumaczył i opowiadał mi wszystko, a ja sobie zaraz ułożyła, że to wszystko zapisać muszę. Wstałam więc przed słońcem, przysłam na palcach do tej sali, i kiedy wszyscy śpią jeszcze, nakreślę w tym dzienniku com słyszała i co widzę. Naprzód na wszystkich rogach jest herb Lubomirskich, *Srzeniawa bez krzyża*, herb prawdziwie Polski, nadany im podobno za zwycięstwo, które ich naddziad odniósł nad brzegiem Srzeniawy, rzeki wpadającej do Wisły o siedm mil od Krakowa. Najpierwszy obraz, — bo książę Marcin samój już tylko chciał prawdy—wystawia *trzech braci Lubomirskich*, młodych i dorodnych mężów, którzy w przytomności licznych świadków, w obliczu Sieciecha wojewody krakowskiego, siedzącego na ławicy sądowej, dzielą się dziedzictwem po ojcu; i ten dział urzędownie uczyniony, dwóch pisarzów wojewody na pergaminie kręśli. To ich pismo od roku 1088, od panowania Władysława I syna Kazimierza Mnicha, przechowało się dotąd; i ponieważ jest najdawniejszém pismem urzędowém znaném w naszym kraju, którego powaga niezaprzeczona, księżęta Lubomirscy bardzo się niém szczycą, i mnie książę Marcin tłumaczenie jego z łaciny dał do przepisania. W tych jest słowach:

„My Sieciech wojewoda krakowski, wódz wojska, wia-

domo czynimy i oświadczamy komu o tém wiedzieć należy, wszem w obec i na przyszłe czasy uznawać to potrzebującym: że kiedyśmy na ławicy sądowej zasiadali, przed nasze i zasiadających z nami oblicze, przybyli znakomici rycerze herbu *Srzeniawa*: Joachim, Jacek i Przeclaw, Adryana, z Lubomira pana, chorążego krakowskiego synowie, zdrowi na ciele i na umyśle; i za poradą życzliwą swych przyjaciół uznali: jako oni dobra niżej wymienione prawem Boskiem i przyrodzonem ze spadku ojcowskiego na siebie przypadające, między siebie takim sposobem podzielili; to jest: Joachim wziął miasto *Lubomir* z przyległościami, i dom w Krakowie, w którym ojciec ich zwykł przemieszkiwać. Pan Jacek zaś *Lipie* z przyległościami, i 93 grzywien pieniędzy, które Mikołaj z Morawicy ojcu ich winien; pan Przeclaw *Wieruszycę* podobnie z przyległościami; i będą odtąd w następne czasy każdemu z nich tak wydzielone ich dziedzictwa, i w nich każdy panem i dziedzicem wraz z potomstwem swoim pozostanie, posiadać je będzie spokojnie, jak są oznaczone granicami swojemi; ani z nich który może mieć prawa jakie do majątku drugiego, lecz na swój części pozostawać ma on i następcy jego. Do czego w naszej obecności ciż Joachim, Jacek i Przeclaw obowiazali się nawzajem.“

„Dan w Krakowie dniem przed Oczyszczeniem N. Maryi Panny, roku Pańskiego 1088. W przytomności tych świadków: Jana z Wielopola stolnika krakowskiego, Spytkę z Zakliczyna, Szymona z Gajów, Andrzeja z Żydowa dziedziców; Eustachego i Rudolfa, pisarzów naszych.“

Po obrazie tego działu, następuje cały rząd portretów, mężów z rodu Lubomirskich: jedni byli sławni w boju, drudzy znakomici w radzie, przymioty Srzeniawczykom właściwe; dla tego téż ich pominę. Ale któż jest ta białogłowa, którą pierwszą wystawioną w obrazie tu widzę? to *Zofja zakonnica Norbertanka*; w szesnastym wieku żyjąca, wielką świę-

tobliwości słyneła; leży już bez duszy na śmiertelném łożu, a twarz ję nadobną jakaś jasność otacza: chorzy dotykają się ję ciała i są uzdrowieni. Obok nię portret wielkości naturalnej ję brata *Mikołaja kanonika*; trzyma w ręku księęę otwartą, której tytuł: *Hymeneus na weselu księżnej Ostrogskiej 1598 r.* Miał być uczony, i wiersze pisał gładko. Pięknny jest obraz pod nim będący: przed ołtarzem Matki Boskiej klęczy małżeństwo; już 13 lat żyje *Joachim* z żoną swoją *Zofją Staszkową*, a jeszcze potomstwa nie mają; modlą się więc razem; Święta Dziewica uśmiecha się do nich i są wysłuchani: w kilka czasów rodzi się syn *Aleksander*.

Widzę tu na drugiej ścianie wizerunek jego w ubiorze rotmistrza pancernę chorągwi. Ale *Sebastjana*, który kupiwszy *Wiśnicz*, tytuł *hrabiego na Wiśniczu* dla siebie i dla potomstwa otrzymał, aż w dwóch widzę obrazach: raz otaczają go księę, sieroty, ubodzy, studenci, a on im wszystkim stosowne dary sypie; drugi raz w późnej starości, pięćset ludzi własnym kosztem uzbrojonych, co więcę, dwóch synów swoich wysłał pod chorągwie *Zygmunta III*. Jednego z tych synów, *Joachima* młodzieńca dwudziestoletniego spostrzegam nieco dalej; ale jakże zmieniony! ledwie siedzi o swęj mocy, na obozowém łożu pod uchylonym namiotem; gorączka śmiertelna go trawi, już prawie kona! Bratu schylonemu nad nim, szablą którą z pracą unosi, wskazuje nieprzyjaciół zdaleka się snujących; twarz jego i to ruszenie malują boleść widoczną, że nie wśród nich, nie od żelaza umiera. Szczęśliwszy brat jego *Stanisław*; to on który może śmiercią *Joachima*, poznawszy jakie szczęście żyć dla ojczyzny i chwały, oddał się im zupełnie; i tyle zasłużył, że gdy w czasie *Chocimskiej* wyprawy wielki *Chodkiewicz* przeniósł się do wieczności, on hetmanem na jego miejscu ogłoszonym został. Wystawił marlarz tę chwilę, kiedy mu Polacy z radością buławę oddają; sam królewicz *Władysław* ściska mu rękę i okazuje swém wejrzaniem, jaką ufność w nim pokłada; Litwini tylko nie-

chętnie nań patrzą, a on wskazując na czarnym kirem okryte zwłoki zeszłego hetmana, zdaje się mówić: *starać się będę Jemu wyrównać*, i wyrównał, jak świadczą dzieje.

Przy innéj zabawie wystawiony jeden z trzech synów jego, *Aleksander* wojewoda krakowski; stały i w nieszczęściu Jana Kazimierza przyjaciel; on długo nie mając dzieci, ślub uczynił, a gdy mu się potomek urodził, dopełnia go: w kaplicy Matki Boskiej w Częstochowie odważa tyle złota, ile syn jego nowo narodzony waży. Tego syna *Józefa*, marszałka koronnego, widzę tu gdy do ślubu młodą oblubienicę prowadzi; wdowa po księciu wiśniowieckim, siostrzenica króla Jana, księżniczka ostrogska i zasławska, wielki majątek i znakomite pokrewieństwo w dom Lubomirskich wniosła; znajduje się osobny jéj portret: więcej była bogatą niż piękną. Ale raz jeszcze wystawił malarz *hetmana Lubomirskiego*, w wieku sędziwym; siedzi na łożu, na którym już od 10 lat ciężka choroba go trzyma, i ani radą, ani ręką ojczyźnie służyć nie pozwala. Czując się bliskim śmierci, cały swój majątek równo między trzech synów rozdzielił, trzy tylko rzeczy zostawił nad podział: *namiot* wzięty Turkom pod Chocimem, *laszkę* marszałkowską, i *kamienicę* w rynku krakowskim; dwie pierwsze, rysunek trzeciej, leżą koło niego, on pokazuje je otaczającym go synom i jakby mówi: *ten je dostanie, kto się ich godnością dokupi*. Wszyscy na nie patrzą chciwie, ale w wydatnej twarzy *Jerzego* coś więcej jak w innych się maluje; on téż później te wszystkie trzy rzeczy odziedziczył: *laszkę* jako *marszałek*, *namiot* jako *hetman*, *kamienicę* jako *starosta krakowski*, a przez zasługi swoje w ojczyźnie, nieustraszone męstwo, niezgiętą stałość odziedziczył i sławę. Potrafili go jednak zawistni poróżnić z Janem Kazimierzem, pomimo iż on tyle razy w sprawie tego nieszczęśliwego króla, życie i majątek łożył; wyzuto go z honorów: rozgniewany, zebrał wojsko swoje, uderzył na królewskich i rozsypał ich. Widzę go jednak po téj wygranej

składającego szablę zwyciężką u nóg króla, który go z dobrocią przyjmuje.

Obok tego obrazu jest portret drugiej żony Jerzego, *Barbary Tartłownej*; ona wniosła w dom Lubomirskich ten Janowiec, w którym dziś piszę: na pamiątkę tego, niemal w każdym pokoju jest jój wizerunek. Ale więcej chluby białogłowom tego domu, przyniosła córka Jerzego i pierwszej jego żony Ligezianki, *Krystyna*; dwa razy ją też malarz wystawił; pierwszy obraz jest taki: W pośród panien i dziewcząt służebnych siedzących nad robotą, stoi dziecina nadobna; twarz jój z przyrodzenia żywa i wesoła, przemijającą powleczone jest posepnością; po nóżkach widać żeby chciały biegać, a tylko tupać mogą, bo dziecinę za jój psoty przywiązała do nogi stołowej, poważna i sędziwa osoba, ciotka jój, księżna kanclerzyna Radziwiłłowa, i surowo na nią patrzy. Na drugim już co innego. Wyrosło żywe i niesforne dziewczę, a czytaniem ksiąg nabożnych, napomnieniami starszych zniewolona, kłęczy sama w pokoju przed Matki Boskiej obrazem; zapal małuje się w jój pięknych oczach, z palca iglicą złotą przekłutego, zbiera krew piórem, i takim piśmem poprawę i wieczną służbę przyrzeka. Dotrzymała słowa; wydana za hetmana Feliksa Potockiego, słynąca pięknoscą, wzorem była pobożności i cnot wszelkich; nie było nad nią zręczniejszej w robotach ręcznych, nie było bieglejszej w muzyce, a Bogu wszystkie te poświęcając zdolności, kościoły Jego zdobiła, o Nim i Świętych Jego wiersze składała i śpiewała; dobrych jój uczynków ani wyliczyć można; klasztorów kilka założyła, a jój własny spowiednik życie jój szeroko napisał: mógł śmiało, bo same cnoty miał wyjawiać. Tak zacna siostra, sławnego miała brata; jest obraz jego w naturalnej wielkości, a pod spodem *Katona i Słomona Polskiego* przydomki. *Stanisław Lubomirski* zasłużył na nie, tak obywatelstwem, miłością ojczyzny, jako też rzadką mądrością; widzę przed nim stos ksiąg wielki: na jednej *Przy-*

słowa moralne, na drugiej *Próżność i prawda*, na innych nabożne tytuły, a nad nim wznosząca się sława, wieńczy go laurowym i dębowym liściem, wielbiąc w nim pisarza i obywatela. I drugi brat Krystyny *Hieronim* także jej go-dzien; towarzysz Jana III-go, z nim tu wystawiony, kiedy pod Wiedniem przyglądają się oba wziętej Turkom Mahometa chorągwi; chlubna radość jaśnieje w oczach Polaków: wstyd, boleść i jakby zdziwienie, że żyć jeszcze po takiej stracie można, wyrażają twarze kilku schylonych jeńców Tureckich opodal stojących.

Ale szczególny obraz kończy ten zbiór szacowny, — bo żyjących jeszcze książąt Lubomirskich późniejszy dopiero pędzel wystawi—oto wśród ogołoczonego przez zimę lasu, niedźwiedź rozjuszony, toczy walkę z dorodnym hajdukiem; już zdaje się, że go ma pokonać, kiedy zastępuje z tyłu niedźwiedziowi młoda jeszcze niewiasta w myśliwskim ubiorze, i dwie krucice przykłada mu do uszów. Z daleka widać konia przełęknionego, który z przewroconemi saneczkami pędem ucieka. Prosiłam o dokładne tego obrazu wytłómaczenie, bo mnie wielce zajął; taka cała historia. Jedna księżna Lubomirska miała upodobanie w myśliwstwie; wyjechawszy raz na polowanie na niedźwiedzia, gdy wracała do domu jednokonnemi saneczkami, z jednym tylko hajdukiem, rozjuszony przez strzelców niedźwiedź wypadł na nią; koń przełękniony saneczki wyrzucił i uciekł z niemi; księżna i hajduk zostali wystawieni na zapalczywość dzikiego zwierza, ale wierny i odważny sługa, wymówiwszy tylko te słowa: „Mościa księżno! pamiętaj o żonie mojej i dzieciach!“ rzuca się do niedźwiedzia, na dwóch łapach ku nim idącego, chce z nim walczyć i pastwą nawet jego zostać, byle pani czas do ucieczki miała. Odważna Polka, godna tego imienia i poświęcenia się słu-gi, opuszczać go nie chce; owszem zajmuje się jego obroną: dobywa parę krucic z za pasa, zachodzi z tyłu, przykłada je niedźwiedziowi do uszów, i na miejscu zabija. Doprawdy, że

jój tego czynu zazdroszczę... Niema zdaje się potrzeby dodać, że hajduk na całe życie z żoną i dziećmi dobrym bytem opatrzoney został, mógł był nawet nie służyć, ale tak będąc przywiązanym, nie chciał pani swojej odstąpić do śmierci.

Ale już od chwil kilku słyszę hałas w zamku, już nawet słyszałam i głos księcia Marcina, jak z swemi psami rozmawia; kocha je i pielęgnuje jak dzieci, znany też jest w całej okolicy jako najlepsze charty mający; zagorzały myśliwy: prawdziwy post dla niego czas terażniejszy, w którym się najzapaleńsi od łowów wstrzymują. O! już potrzeba kończyć, już i około téj sali chodzenie słyszę; już też piąta godzina.

Dnia 14 Maja, w Czwartek.

Jeździliśmy do Opola na dni kilka, i znowu nas książę Marcin do Janowca koniecznie sprowadził, żebyśmy świadkami byli ukończenia pałacyku; już z okien gabinetu mego zupełnie ukończonym się wydaje, bo wewnątrz tylko niedostaje mu niektórych rzeczy. Wygrał zakład książę Marcin, i nie wiem co się to ma znaczyć, ale już kilka razy mówił do mnie, że już co ten wydatek, to wcale nie był napróżno, jak mu wiele takowych wymawiają, gdyż sowitz się spodziewa nagrody za koszta w tym celu poniesione; a odbierze ją za moją przyczyną. Doprawdy, że i samęj siebie i tego co się koło mnie dzieje, pojąć często nie mogę.

Dnia 16 Maja, w Sobotę.

A! już też prędzej śmierci mogłam się spodziewać jak zdarzonego wczoraj szczęścia. Królewicz przyjechał, królewicz jest tu; ten pałacyk, ten zwierzyniec, wszystko to dla niego, a raczej dla mnie; bo już trudno taić się: on mnie kocha, on nie mógł dłużej znieść mojej niebytności, i książęta

chcąc mu się przypodobać, wynaleźli ten sposób zbliżenia go pozornie do przedmiotu tak niepojętego kochania. O Boże! do czegoż to mnie przeznaczasz?... Szczęście, wielkie szczęście, że już było ciemno jak przyjechał; byliby wszyscy obaczyli mój rumieniec, moje pomieszanie, byłby i on zbytęczą radość w oczach moich obaczył. Jeszcze go nigdy tak dla siebie czułym nie widziałam; co to z tego będzie? na czém się ta miłość skończy?... Dotąd udawałam zawsze, że nie rozumiem rzeczy dwuznacznych które mi mówił, starałam się pilnie ukrywać to, co czuję; ale czyż tak dłużej potrafię, osobliwie teraz kiedy codziem w każdej chwili widywać go będę, i to przez czas nie mały, bo tu i królewicze bracia jego zjadą: wielkie będzie polowanie na zwierza, umyślnie na to sprowadzonego, a którego jeszcze nie zwieźli... Jakże utrudza i męczy ta nieustanna praca nad sobą, to ukrywanie uczuć, które gwałtem dobywają się z serca; ta niepewność przyszłości, ten dalszy los, który raz tak świetnym się wydaje, że się go aż lękać trzeba, drugi raz tak ponurym, że aż dreszcz przechodzi; ta bojaźń skryta czy się nie błądzi, czy się źle nie czyni? wszystko to umysł w taki wprowadza odmęt, że rozpoznać myśli swoich nie zawsze można. Żebym przynajmniej komu zwierzyć się miała? Ale prędzej umrzeć jak słowo podobne księżnie powiedzieć; ona już dziś kilka razy napomykała, że szaloną byłaby ta, któraby miłości królewicza dała wiarę, i że jego żona będzie najniešťęśliwszą. Książę zdaje się że zwierzienia mego unika; prawda, zawsze coś powie takiego, co mnie zachęci, w nadziejach utwierdzi; ale ufności mojej nie wzywa: zdaje się, że tyle polega na moim rozsądku i cnocie, iż mu się wydaje, że nie potrzebuję rady i sama najlepiej sobie poradzę: ani wypuszczę z rąk szczęścia, które mi Niebo podaje, ani też najmniejszej nie popełnię płochości. Bóg więc jedyna ucieczka moja; dziś prawie noc całą na modlitwie spędzi-

łam. On mnie oświecić, poprowadzić raczy. O! jaka szkoda, że tu księdza Bodue nie ma!

Dnia 13 Maja, w wieczór.

Mamże wierzyć temu co się stało? temu co się stanie? Ja Franciszka Krasińska, nie żadna nawet księżniczka, ja będę żoną królewicza, księżną kurlandzką, a może kiedyś i czém więcej?... ja, tak od niego kochana, że dla mnie zapomina o Ojcu, o nierówności stanów naszych, o wszystkim. O Boże! mocny Boże! czy tylko mi się to wszystko nie śniło? Prawdaż to, żeśmy pojechali dziś wszyscy po obiedzie do zwierzyńca. Księżna wchodząc na schody źle stąpiła, i zostać w pałacyku musiała z panną respektową, która zawsze i wszędzie z nami, a książęta, on i ja poszliśmy chodzić po lesie; książę Marcin zatrzymał się, żeby pokazać księciu wojewodzie przygotowania do łowów, królewicz powiedział że chodzić woli, i wziął mnie pod rękę. Długo milczał, jam dziwiła się temu, bo zawsze wiele zwykł mówić, szczególniej téż ze mną; nareszcie zapytał się: „Czy nigdy zrozumieć nie zechcę, do kogo on tu przyjechał i po co?“ Zwyczajem moim odpowiedziałam: „Że zapewne do księcia Marcina, dla zabawy polowania, które tak lubi.“ A on już ani tając się, ani dwuznacznie tłómacząc, jak najwyraźniej oświadczył: że przyjechał jedynie dla mnie i po szczęście całego życia... Zdumiałam się na te słowa. „Gdzieżby to być mogło? wyrzekłam, książę, czyż zapominasz czém jesteś, czém być możesz? Królowy dla ciebie...“ „Ty królową moją, zawołał z zapalem, tyś naprzód wdziękami zajęła te oczy, a potem skromnością i cnotą opanowałaś serce. Nawykłem że mnie szukały inne kobiety, skorom przemówił do nich. Ty jedna, luboś mnie może więcej od tamtych kochała,

unikalaś mnie zawsze, zgadywać trzeba było co czujesz. Tyś godna pierwszego tronu świata, i jeśli królem polskim być pragnę, to dla tego najwięcej, bym to piękne czoło koroną uwieńczył...“

Jakże ja nie mam myśleć że mi się to wszystko śniło?... Kiedym osłupiała, odpowiedzi znaleźć nie mogłam, książęta zbliżyli się do nas. „Was i Niebo biorę za świadków, wyrzekł królewicz, jako innej żony mieć nie chcę, tylko tę Franciszkę Krasińską stojącą tu przed wami; dla okoliczności łatwych do zrozumienia, żądam sekretu do pewnego czasu, wy tylko o miłości i szczęściu mojem wiedzieć będziecie, a kto mnie wyda, za nieprzyjaciela go poczytam.“ Książęta kłaniać mu się zaczęli, mówić o wielkim zaszczyście, zapewniać że ukryją tajemnicę; szepnęli mi oba do ucha: „Godnaś tego!“ i nieznacznie odeszli.

Jam jeszcze stała zdumiona, ale nareszcie trzeba było oczywistości uwierzyć, trzeba było odpowiedzieć czułym królewicza wyrazom; musiałam nawet wymówić że go kocham, i to oddawna; i zdaje mi się żeć można uczynić takie wyznanie przysłemu mężowi. Mężowi? znowu odchodzę od siebie; czy nie czary to jakie?... Ale co słyszę. Północ bić będzie na zamkowym zegarze, jeśli to sen albo czary, mówią że moc ich o tej godzinie się kończy i znika... Słuchajmy... Już wybiła dwunasta, a nie skończyło się szczęście moje, nie znikła wielkość... A ten pierścionek odmieniony cóżby znaczył? Miałam od Basi pierścionek z złotego węża, w Sulgostowie mi go dała; uważał go królewicz: taki sam zrobić kazał; wryto w środku *na wieki!* i wziął mój a ten mi włożył. Tych skromnych zaręczyn naszych drzewa i słowiki jedynemi były świadkami... I ja tego wszystkiego, nikomu, księżnie nawet powiedzieć nie mogę; ani Basia, a więcęj ani państwo o tém nie wiedzą. Pierścionków tych nikt nie poświęcił, nie ojciec kochany oddał mnie przysłemu mężowi, nie pobłogosławiła mi matka!... O, już teraz wierzę!... nie

sen to, ani czary; żal serce ścisnął, łzy obfite z oczów mi płyną... prawda!... wszystko prawda!...

Dnia 25 Maja w Poniedziałek 1760 r., w Janowcu.

W tak ciągłym byłam omamieniu, tak przeznaczeniem mojem, tém co jest, tém co kiedyś będzie, odurzona, że nie wiem czy to moja, czyby téż polskiego języka wina? ale niestawało mi wyrazów do opisania tego wszystkiego jakby należało. Tydzień minął, ani jednego słówka nie nakreśliłam w moim dzienniku; a był to tydzień takiego szczęścia, tak godzinę wspomnienia! I we środę, i przedonegdaj i wczoraj brałam pióro w rękę; zawsze tyle się natłoczyło myśli i uczuć, iż nimem ładu z niemi doszła, nimem stosowne znalazła wyrazy, czas z trudnością na to upatrzony upłynął, i wstać trzeba było od stolika. Dziś pierwszy raz uderzyła mnie myśl okropna, że to szczęście moje podobno uleci, i dziś pisać mogę. Dziwna rzecz, bojaźń i smutek miałyżby mieć więcej słów od szczęścia?... Królewicze Klemens i Albrycht przyjechali tu we Czwartek; w tenże sam dzień zwierza dzikiego ze wszech stron nazwożono; przez Piątek i Sobotę polowanie się odbywało: dziś dwaj królewicze wyjeżdżają, jak mi pokojówka oznajmiła to przed chwilą, i mnie dziś pierwszy raz ta myśl uderzyła, że i on odjechać może...

Przez ten tydzień cały, omamiona obecnem i przyszłym szczęściem, zajęta staraniem ukrywania go przed obcemi, wreszcie po raz pierwszy w życiu, grająca rolę gospodyni domu, bo księżnie od tego stąpienia tak noga spuchła, że aż w łóżku leży, i ja zastępować ją muszę, nie miałam bynajmniej czasu myśleć o tém, co nastąpić może, i nie wiem doprawdy czym myślała, że to już rzeczy tak nazawsze zostaną? czy téż podobno nie myślałam wcale; ale to wiem, iż bojaźń i smutek zupełnie mi wyszły z pamięci; dziś, jakby

ze snu temi słowami pokojówki obudzona, czuję nieznośne udręczenie. Cóż to będzie jak królewicz pojedzie? z jakąż ja myślą się obudzę? po co wstanę? dla kogo się starannie ubiorę? kim, czém przez dzień cały zajęta będę? Ani wiem, ani wystawiam sobie, ani pojmuję... aż mi nie dobrze... okno otworzyć muszę. A!... oddycham, lepiej mi teraz; choć dopiero szósta godzina, już postrzegłam w oknie pałacyku, w tym pokoju gdzie on od przybycia braci mieszka, powiewającą chustkę białą. Taki co rano znak na *dobry dzień* mi daje; nie przyznam mu się nigdy do tego, broń Boże! iż dopiero raz jeden znak ten już zastałam wstawszy; nie chcę go zawstydząć, żem od niego ranniejsza...

Ale któż to tak pędem, perspektywą przez las wyciętą na koniu jedzie? może on? nie, to strzelec ulubiony jego; zapewne z bukietem dla mnie: wiem, że po niego o mil kilka do jakiejś oranżeryi posyłał. Czegóż ja się też troszczyłam? po co te obawy? on tu jest jeszcze; od nikogo nie słyszałam żeby miał wyjeżdżać; może wcale nie pojedzie, a przynajmniej nie tak prędko: ani wątpić, będę jeszcze miała i drugi i trzeci i czwarty takiego szczęścia tydzień.

Dnia 27 Maja, we Środę.

O nie! skończyło się na tym jednym! a już widzę, że pamięć jego, wszystkie następne w porównaniu z nim, czarne i posępne uczyni! Ale bo to najgorzej, kiedy się od Ponedziałku źle darzyć zacnie. Te słowa pokojówki były pierwszymi, które usłyszałam w ten tydzień, i odtąd same złe nowiny słyszę; zaraz tego dnia dowiedziałam się z pewnością i od strzelca, który mi bukiet przywiózł, i od samego królewicza, że wyjechać wkrótce musi: zaledwie pod różnemi pozorami trzy dni po braciach miał tu bawić, te jutro dopiero się skończą, a on już dzisiaj wyjeżdża. Król przysłał w nocy sztafetę z rozkazem, żeby wracał jak naj-

prędzej; pojechał raz jeszcze do pałacyku, bo tam ważnych papierów zapomniał, za pół godziny wróci, a potem pojedzie. Sam nie wie kiedy się zobaczymy. Ach! czemuż to dni szczęścia krótsze są od innych?

Dnia 7 Czerwca, w Niedzielę.

Już blisko dwa tygodnie jak królewicz pojechał, dwóch posłańców było od niego, dwa liściki wsunął do mnie pod kopertę księcia wojewody. Ale cóż to jest list? jakże to w nim słów i rzeczy mało dla tych, którzy rozmawiać, wszystko sobie zwierzać przywykli, i czytam je i odczytuję, zawsze toż samo. List tak mało zastąpi rozmowę, jak portret osobę; zostawił mi swoje miniaturę królewicz, dosyć podobna: ale cóż mi z niej? ja mam twarz jego jeszcze podobniejszą w pamięci wyrytą, a ten portret zawsze jednakowy, ani mówi, ani się uśmiecha. A nadto, jakże to czczą rzeczą jest list, na który odpowiedzi dać nie można, to istna z niemym rozmowa; bo co już tego, to przenieść na sobie żadnym prawem nie mogłam: zdawałoby mi się, że mi ręka uschnie, gdybyż bez wiedzy ciotki, rodziców, starszej siostry, do kochanka jedną literę napisała: powiedziałam królewiczowi, że listu odemnie mieć nie będzie, dopóki żoną jego nie zostanę, i choć Bóg jeden wie ile mnie to kosztuje, dotrzymam słowa... O! jakże po wyjeździe jego dzień każdy był nieznośny... byłabym chciała jakim cudem przespać czas jego niebytności... Mamże powiedzieć, co mnie z tego letargu obudziło! Księżna nagle zapadła, w skutku tego nieszczęsnego stąpienia; nie umiano się obchodzić z tą nogą odrazu, spuchła i zaogniła się tak mocno, że księżna dostała gwałtownej gorączki, i przez trzy dni była bardzo źle. Ani wyrazić potrafię, co się ze mną przez te trzy dni działo? Nie sądziłam żebym o czyje zdrowie, prócz o zdrowie państwa, siostr i kogoś jeszcze, tak niespokojną być mogła.

Przez te trzy dni nie tęskniłam do królewicza, co więcej rada byłam temu że go tu niema; bo w jego przytomności nie byłabym mogła tak zupełnie zająć się księżną. Myśl, że ona umrzeć może, w rozpacz mnie wprowadzała; bo pomimo tego wszystkiego, co ksiączęta, co królewicz codzień mówili mi i mówią, ja znam dobrze że ją milczeniem mojem obrażam, i ta myśl trucizną jest dla mnie, bo nie ma zgryzoty nad zgryzotę sumienia. Od samego początku cieszyłam się jedynie nadzieją, że przyjdzie dzień, w którym i jej i państwu i kochanej siostrze do nóg upadnę, i mimowolny błąd wyznam; przez te trzy dni kiedy w niebezpieczeństwie była, ta nadzieja za każdą chwilą spełznąć mogła. Ach! cóżby się natenczas ze mną stało? Opanowała mnie także nie wiem z kąd ta myśl sroga, że i państwo już nie młodzi, że i ich nagła choroba, śmierć zaskoczyć może. Piekielne męki przez te trzy dni wytrzymałam; księżna zdrowsza, z Maleszowój były dobre wiadomości: ożyłam.

Doprawdy, gdyby dziś powiedziano mi, że król pozwala synowi publicznie żenić się ze mną, nie mogłabym serdeczniej Bogu dziękować, jak kiedy doktor zaręczył, że księżna zdrową będzie; chociaż tanta wiadomość celem jest życzeń moich: bo cóż się to w sercu królewicza dziać musi? on który pewny jest, że nietylko ukrywaniem swojej miłości, ale samą miłością srogo obraża ojca!... truchleję na tę myśl. O Boże! czemuż mi te uwagi dawniej nie stawały w pamięci? czemuż mi nie powstały w głowie przy królewiczu? pocóż on odjechał? póki tu był, los mój tak świetnym, tak szczęśliwym mieniłam; teraz zdaje mi się często, że nie ma nademnie nieszczęśliwszej istoty. Bo téż tak jest. Obrażać najlepszych rodziców, ukochaną siostrę, szanowną ciotkę, być przyczyną tego, iż syn, dobrego ojca, poddany króla swego obraża, to boleść dotkliwa, niepojęta; czemuż ja jej nie przeczulałam? czemu mnie kto nie ostrzegł?... A gdy sobie przeszłość przypomnę, jakże gorąco pragnęłam tego, co

dzisiaj dzieje się ze mną; od jak dawnego to już czasu ta myśl wyniosła, jak wróg jaki opanowała mój umysł. Nieszczęsny Macieńku! tyś ją podobno pierwszy mojej próżności podsunął.

Szczęśliwa Basiu! czemuż królówiczy nie urodził się równym moim? Równym? czy szczerze chciałabym tego? Ach! jak też dobrze, że nikt prócz Boga i nas samych w głębi serca czytać nie może; Bóg przez nieskończoną dobroć, my przez słabość tak wiele sobie wybaczymy!... Ale już pół godziny, jakem od księżnej odeszła; ona lubi mnie mieć koło siebie, nikt jej tak jak ja dogodzić w niczym nie umie, i prawdziwie, mnie już teraz nigdzie tak nie jest dobrze, jak przy jej łóżku: tam czuję się być potrzebną, tam widzę z radością, że serca mego nie opanowało wyłącznie jedno uczucie.

Dnia 18 Czerwca we Czwartek, w Opolu.

Księżna tak już znacznie do sił i zdrowia przyszła, iż przedonogdaj przyjechaliśmy tutaj; żal mi było wyjeżdżać z Janowca. W ostatnim liście zastraszył mnie królówiczy, że do księstwa swego na parę miesięcy jechać będzie musiał; głowę sobie łamie, jakimby sposobem widzieć mnie przed odjazdem; dopieroż to te miesiące żółwim krokiem iść będą; trapi mnie nadewszystko jego zmartwienie. Jest tu kilka osób z Warszawy, jest nawet i biskup kamieniecki, tak godzien poważania i szacunku; uspokoić się nie mogą nad zmienieniem się królówicza: mizerny, smutny, od ludzi stonni, i to wszystko z mojej przyczyny. Ach! doprawdy, wielki kłopot, kochać kogo bardzo; wszystko w dwójnasób się czuje, a ponieważ więcej złego niż dobrego na tym świecie, trochę radości, wiele zmartwienia z każdym kochaniem przybywa. Co się też i ze mną stało? wszyscy mnie mizerną znajdują; kochana księżna składa tę zmianę na niewczas

i trudy przy niej poniesione: każda podobna jej mowa, każda pochwała przywiązania mego ku niej, jakby sztyletem serce mi przesywa. Kiedyż się te okoliczności odmienią? kiedyż szczęście wróci? kiedy na tém sumieniu tak niegdys lekkim, nie ciężym nie będzie?

Dnia 11 Lipca, w Sobotę.

Zabłysła chwila szczęścia i minęła: był tu, ale tylko dwie godziny; w tę Środę wyjechał z Warszawy, niby do Kurlandyi, a on tymczasem wysławszy tylko ekwipaże swoje, sam zamiast na północ, na południe się udał; przyjechał tu, a teraz dniem i nocą dąży, żeby razem z dworem swoim w Białymstoku stanął. Widziałam go tak krótko, że mi to widzenie snem się wydaje; przebrany za swego strzelca przyjechał, nikt go nie poznał, nikt też poznać nie był powinien, prócz mnie i księcia. Jak też mnie błagał, żebym pisywała do niego, płakał; szczęście wielkie, że tak mało czasu byliśmy z sobą, bo kto wie, czybym się była dłużej łzom jego oparła. Trzy miesiące, czas najkrótszy pobytu jego w Mitawie; ileżto dni w trzech miesiącach! ile godzin, ile minut! Niczem jeszcze byłoby samą cierpieć, ale jego to oddalenie tyle martwi: prawda że zmizerniał do niepoznania.

Dnia 3 Września, we Czwartek.

Nie pisałam blisko dwa miesiące; minęły, bo widzę że wszystko mija na świecie i złe i dobre; czy smutno? mówić o tém nie trzeba; ale kiedy te minęły, możeć minie i ten jeszcze, który mnie od szczęścia dzieli. Królewicz ile razy do mnie pisze, zawsze upewnia, że w Październiku wróci; dziś tak się ucieszyłam, zobaczywszy w tutejszym ogrodzie kilka liści suchych na ziemi: zdało mi się, że to już Paź-

dziernik; nie długo pojedziemy do Warszawy, księżna zapomniała że słabą była. Miałam przez ten czas wielką biedę; trafiała mi się znakomita partya: księżna, która od czasu słabości swojej dwa razy tyle mnie pokochała, zniósłszy się z państwem, wraz z biskupem kamienieckim, wszystko ułożyła, i była pewną, że ja przystanę na te układy z radością.

O Boże! jakże mi było bolesno zniszczyć te wszystkie jej plany, znieść jej gniew słuszny, słuchać uwag, napomnień, a nadewszystko przycinków dla królewicza i milczeć. A do państwa jakże mi trudno było list z przeproszeniem napisać? Udałam się w pokorę; słusznie mówią, że ona Niebiosa przebija; Jmć dobrodziejka odpisać mi raczyła łaskawie, z żalem, ale bez gniewu: „Rodzice którzy wypuszczają córkę z rąk swoich, dziwić się nie mogą (pisze na końcu), jeśli ich woli nie słucha.“ Zwyczajne błogosławieństwo, krzyżyk macierzyński przesyła mi, a na gorące prośby moje zapewnia i ręczy, że Jmć dobrodziej się nie gniewa. Czym ja też przewidzieć mogła, że to co szczytem szczęścia mieniłam, w taką otchłań utrapień mnie wrzuci; z owej pomyślności usnuło się zupełnie jakieś pasmo zmartwień; dzień każdy, nowe, niespodziane do dawnych dodaje, a końca nawet przewidzieć nie można.

Dnia 22 Września we Wtorek, w Warszawie.

Od kilku dni gościmy w Warszawie; z jakąż radością zbliżałam się do niej, jak mi się piękną zdawała! Tu królewicza obaczę; w ostatnim liście zaręczył mi, że na pierwszego Października przyjedzie: to za tydzień; gdyby też nie ta nadzieja, uschnąćby już trzeba, a w Warszawie sto razy mi gorzej jak na wsi. Te wizyty, te asamble, te ubiory, które dawniej tyle mnie bawiły, dziś mi są nieznośne; zdaję się, że każdy tajemnicę moją z mych oczów czy

ale w zły jakiś sposób, bo jakby sobie szydzili ze mnie, osobliwie téż białogłowy. Jedna tak mi dopiekła wczoraj pytaniami, troskliwością swoją, że już łzy na doreczu były; a działo się to w obliczu pięciudziesiąt osób: nie wypiszę jój nazwiska, radabym go i z pamięci wymazać, gdyż wielką mam skłonność do nienawidzenia jój; a tego uczuciaby mi téż jeszcze do zupełnej niedoli potrzeba. Książę wojewoda ulitował się nademną, i w pomoc mi przyszedł; niech mu Bóg stokrotnie tę dobroć zapłaci: zginęłabym już oddawna; gdyby nie on; zawsze w najtrudniejszym razie ratuje mnie; to tylko bięda, że wcale zmartwieniom moim nie daje wiary, i kiedy się przed nim użalać chcę, on mnie dzieckiem zowie: już mu nigdy nic nie powiem.

Dnia 1 Października, we Czwartek.

Przyjechał, widziałam go, zdrów, ale cóż? widziałam go przy licznych świadkach, i kiedybym była chciała wybieść naprzeciw niego na dziedziniec, trzeba było czekać spokojnie przy stole, aż wejdzie do pokoju, z księstwem się przywita, i ukłonić mu się niziuteńko. To przynajmniej dobrze, że przyjechał, i że zdrów; wszystko weselszém mi się wydaje, wszystko dobrze będzie.

Dnia 20 Października, we Wtorek.

O Boże! jakież ja to słowa wyrzekłam przed chwilą! jakąż obietnicę dałam! cóż to się stanie za dni kilkanaście? czwarty Listopada jakież to dzień będzie? to imieniny królewicza, i jakiegoż on wiązania się domaga? Oto ręki mojej; akłął mnie na Boga, na rodziców, powiedział, iż zwątpiz o mojem przywiązaniu, jeśli tego nie uczynię: zmiękczonea łzami jego, zachęcona naleganiami księcia wojewody, obiecałam, i już obietnicy mojej żałuję; ale on, jakże szczęśli-

wy odszedł. Jednak i królówicuz musiał coś uczynić dla mnie: chciał naprzód, żeby się to wszystko odbyło bez wiedzy państwa, tylko z wiedzą książąt Lubomirskich; już co temu oparłam się zupełnie; powiedziałam mu wyraźnie, że wolałabym raczej odrzucić miłość jego, zakonnica zostać: pozwolił więc napisać do państwa i obiecał przypisać się do mego listu. Wyznam szczerze, że obraził mnie tćm nieco; wszak to zawsze kawaler pokornie prosi rodziców panny o jej rękę; prawda, kawaler ale nie królówicuz: dziś pierwszy raz uczulałam z przykrością różnicę, jaka jest między nami, i to że on łaskę mi robi, żeniąc się ze mną. Była chwila, w której cofnąć się chciałam, wszystko zerwać, ale już było za późno, jużem dała słowo. Teraz pisać do państwa trzeba, wyznać im tak długo tajoną miłość, taką ich obrazę, takie przestąpienie ufności i uszanowania, jakie dziecicę każde rodzicom winne. O Boże! wielki Boże! natchnij mnie! dodaj siły! nie wiem czy ten winowajca, którego przed sąd prowadzą, może więcej drżćć odemnie? czy nieszczęśliwszym być może?

Dnia 22 Października, we Czwartek.

Już pojechał zaufany pokojowiec księcia wojewody do Maleszowćć; ja dosyć byłam kontenta z mego listu, ale królówicuz go zganił: powiedział, że zbyt pokorny, i jabym tćż była miała ochotę zganić nawzajem przypisek jego i powiedzieć, że zbyt królowski; ale mi książę usta zamknął. Jaka tćż będzie ich odpowiedź! czasem mi się zdaje że nie pozwolą; bo dziwna rzecz, iż od jakiegoś czasu, wszelka próżność znikła z serca mego: to mi się zdaje niczćm, że on jest królówicuzem, księciem kurlandzkim, że królom Polskim być może; a to wszystkićm, że on zezwolenia ojca, ja błogosławieństwa rodziców nie mam. Jedna rzecz przynajmniej nieco mnie pociesza: Bóg natchnął mnie myślą, żeby

prosić, czyby nasz proboszcz Maleszowski nie mógł tu przyjechać i dać nam ślubu? Książe powiedział, że to uczyni; będzie przynajmniej jakieś wyobrażenie rodziców, jakiś cień przyzwoitości: jakże mi teraz często los Basi w pamięci staje! ja myślałam, że ona mi mało życzy, a ona mi wiele życzyła, kiedy powtarzała: „Obyś tylko tak była jak ja szczęśliwą!“

Dnia 28 Października, we Środę.

Jest list od państwa, zezwalają, życzą nam szczęścia; ale w ich błogosławieństwie nie ma tej czułości, której Basia tyle doznała, i słusznie: jam na nią nie zasłużyła. Król wicz spodziewał się osobnego do siebie listu, nie ma go; obraził się tém cokolwiek, i wiele mówił z księciem o dumie niektórych panów polskich. Już przynajmniej szczęśliwam z tego, że państwo wiedzą o wszystkim: kamień spadł mi z serca; obiecali dochować sekretu, póki ich sam król wicz nie uwolni; w ich wyrazach przebija nieco radości i zdziwienia nad związkiem tak zaszczytnym, ale szczególnie w słowach kochanej matki jest jakiś żal rozlany; te mnie najmocniej dotknęły: „Jeśli będziesz nieszczęśliwa, mówi do mnie, nam swego nieszczęścia przypisać nie będziesz mogła; jeśli zaś, (o co Majestat Boski błagać nie przestanę), szczęście w tém postanowieniu znajdziesz, rodzice cieszyć się nad tobą będą; ale nie tyle co nad innymi, boś im nie dozwoliła pociechy przyłożenia się w czém do szczęścia twego.“ Już prawie tych słów w liście państwa nie znać, tyłem łez nad niemi wylała; w sercu zostaną na wieki. Proboszcz przyjedzie, od dziś za tydzień już będzie po wszystkim. Książe o indult się wystara; sekret dochowuje się dotąd wybornie, mnie samęj wierzyć się nie chce, że ja panną młodą wnet będę; żadnych przygotowań do wesela: wszystko cicho, głucho, to też wesela nie będzie!

Mój Boże! na tydzień przed ślubem Basi, co się działo w Maleszowskim zamku!

Żebym przynajmniej królewicza codzień widywać mogła, ale czasem i dwa dni miną, bez widzenia go. Boi się niezmiernie obudzić troskliwość króla, a bardziej jeszcze Brühla, więc i w publicznych miejscach mnie unika i u księstwa rzadziej bywa. Tak się też to dobrze udaje, że wczoraj na wieczorze u pani Moszyńskiej, którą bardzo kocham, usłyszałam przypadkiem taką rozmowę. Jakiś pan mnie nieznanym, mówił do drugiego: „Ale starościanka Krasińska dużo spasowała.“ „Nic dziwnego, odpowiedział tamten, wszyscy mówią, że pannie księżę kurlandzki zawrócił głowę, on zaś kogo widzi pięknego, to kocha: oto i teraz udaje się do krajezyny, i schnie niebożátko.“ Chociaż wiem że królewicz tak umyślnie dla niepoznaki robi, zimny dreszcz przeszedł mnie na te słowa; wreszcie jakże przykro pannie uczciwój być żarcików celem!... I nikogo, przyjaciółki żadnej, żeby jój się zwierzyć, rady zasięgnąć; pokojówkę, którą dotąd miałam, głupiuteńką (bo nie domyśla się niczego), księżę aż gdzieś do Litwy odsyła, a za dni kilka mam mieć jakąś dobrego urodzenia pannę służącą, mężatkę, już w wieku, bardzo do rzeczy, ale której nie znam wcale. Nie mam nawet z kim się naradzić, jak się ubrać do ślubu? Pytałam się księcia, on mi powiedział: „Jak codzień.“ O! jakże dziwne przeznaczenie moje? robię najświetniejszą partyę w całej Litwie i Koronie, a córka mojego szewca świetniejszą mieć będzie wyprawę i wesele.

Dnia 4 Listopada, we Środę.

Już stało się, jużem żoną królewicza: on mnie, ja jemu przed ołtarzem, przed Bogiem, nie ma temu jak godzina, wieczną poprzysięgliśmy wiarę i miłość. Okropny jednak był ten ślub! z takim strachem, tak nagle! jeszcze drzę cała

i myśli moich rozpoznać nie mogę... Już dwa dni nie widziałam była królewicza; udawał chorego na mocną fluksyą, krokiem nie wyjeżdżał z domu i na dziś od obiadu u księcia prymasa i u posła hiszpańskiego, od balu u pana hetmana się wymówił... Pokojówkę moję onegdaj odesłano, a wczoraj przybyła owa panna, która księciu przed krucyfiksem zatajenie wszystkiego co widzieć będzie, przyrzekła... Dziś o piątą rano, zastukał do drzwi moich książę wojewoda; już byłam ubrana, i na nogach od dwóch godzin. Udało nam się wyjść cichuteńko, królewicz i książę Marcin czekali u bramy; wiatr był niezmierny, ciemno zupełnie, szczęściem przynajmniej że deszcz nie padał. Poszliśmy piechotą do Karmelitów, pojazd byłby narobił hałasu; to kościół najbliższy: tam nas czekał poczciwy proboszcz; choć tak blisko, gdyby nie królewicz, byłabym kilka razy upadła. A w kościele jakże okropnie! cichość i ciemność grobowa, na ubocznym ołtarzu świec tylko dwie, nikogo prócz księdza i zakrystyana; rozlegał się odgłos naszych kroków, jak gdyby w odludnej jaskini. Nie trwała ceremonia i dziesięciu minut; ledwie się skończyła, jak gdyby nas kto gonił, uciekaliśmy z kościoła. Królewicz odprowadził nas do bramy; książę Marcin gwałtem prawie go przymusił żeby odszedł, i wrócił do swego pałacu, bo stał długo i odejść nie chciał.

Ubiór mój był codzienny, nawet nie biały; gałązkę tylko rozmarynu wetchnęłam naprędcie we włosy: wczoraj przypomniawszy sobie ślub Basi, nagotowałam sama sobie ze łzami dukat, kawałek chleba, trochę soli i cukru, ale dziś z wielkiego pośpiechu wziąć zapomniałam. I teraz jestem znowu w moim pokoju, nikt mi nie wina, nikt nie błogosławi, wszyscy śpią; dnieje, a świeca się pali jakby przy umarłym, i gdyby nie ten dreszcz zimny, którego się od wczoraj pozbyć nie mogę; gdyby nie ta złota obrączka, którą niedługo zdjąć i schować wypadnie, nie wierzy-

łabym, że jużem na wieki z królewiczem złączona, że wracam od ślubu, żem jest mężatką.

Dnia 24 Grudnia w Poniedziałek, w Sulgostowie.

Już nie miałam pisać wcale dziennika; pozyskawszy dozgonnego przyjaciela, któremu wszystkie myśli zwierzałam, nie widziałam nawet potrzeby pisania go, ile że królewicz (bo już podobno tak go całe życie zwać będę), nie umie tak dobrze po polsku, żeby go mógł czytać i rozumieć; ale od dwóch dni los srogi, który mnie ciągle prześladowuje, oderwał mnie od ukochanego męża. Bóg wie, kiedy się znowu z nim złączę, trzeba do dawnego wrócić powiernika. O! jakże te dni ostatnie były okropne! co wypadków! co ciosów! Prawdziwa Opatrzność Boska, żem nie dostała zupełnego pomieszania zmysłów; jednak tu przyjechawszy, tak byłam dziwna, że gdym Basię i jej męża do osobnego pokoju wezwała, gdym im zaczęła opowiadać, że mnie księżna wojewodzina z domu swego wypędziła, żem ja niewinna, że jestem żoną królewicza; nieboga siostra niewiedząc o niczém, zdumiała: przestraszona, chciała biedz po ludzi, po ratunek, bo przekonana była, że mam waryacyą. Teraz kiedym im wszystko opowiedziała, kiedy wszystkiemu uwierzyli, ich rozsądek rozum mi przywrócił, i może potrafię tu zapisać tę straszną przygodę. Jak kiedy Bóg pozwoli, iż zupełnie szczęśliwą i spokojną będę, (o czém wątpię, żeby to kiedy nastąpiło), miło mi będzie odczytać te dawnych prześladowań losu opisy, chociaż najdoskonalsze szczęście nie potrafi wymazać ich z pamięci.

Już szósty tydzień od okropnego dnia ślubu naszego się skończył; król, dwór, Warszawa cała, nikt w domu nawet ani się domyślał tego co się stało, ja zawsze jak i dziś jeszcze starościanką Krasieńską od wszystkich zwana. Królewicz nigdzie prawie nie uczęszczający, pod pozorem zdro-

wia; nasze schadzki przez księcia wojewodę ułatwiane, i jemu tylko wiadome; ale tydzień temu, królewicz wyjeżdżać zaczął, i jak dawniej i księztwu oddał wizytę. Byłam natenczas w pokoju, pierwszy raz od dnia jak mężem moim został; widziałam go w przytomności obcych, nie mogłam ukryć pomieszania, nie mogłam nie spojrzeć na niego mile, i księżna to spostrzegła. Gdy odjechał, nie szczędziła łajań, napomnień, słów przykrych; ja pewna niewinności mojej, odpowiedziałam zbyt hardo: nieszczęsna! dałam nawet do zrozumienia, że nie płocha miłość z królewiczem mnie wiąże, i ta odpowiedź przyczyną się stała całego nieszczęścia.

Księżna przez dzień następujący niezmiernie była pomieszana, nazajutrz królewicz znowu przyjechał; miał mi jakąś dobrą nowinę donieść: pewny, że dnia tego nie będzie mógł mówić ze mną na osobności, bilet napisał, a bawiąc się z koszykiem moim do roboty, wsunął go zręcznie. Nie uszło to bacznego oka księżnej, ledwie wyszedł, porwała koszyk, a przeczytawszy na bilecie podpis: *Pour ma bien-aimée*, już nie mogła gniewu położyć granic; nie wiem jak mnie nie zabiły na miejscu jej słowa, bo mnie nazwała zakąłem, hańbą, wstydem rodu Krasińskich; bo mi powiedziała, że ojca i matkę w grób wpędzę. „Ale nie udadzą ci się te fortele, dodała jeszcze, (gdy ja wskroś przejęta tym obelg nawałem, mogąc usprawiedliwić się jedném słowem, milczałam jednak, bom mężowi milczenie przyrzekła), „nie udadzą ci się, zapobiegłam ich skutkom; oto kopja listu, który dziś rano Brühlowi posłałam: w nim uwiadomiam go, że uczciwość i honor nad wszystkie familijne przekładając związki, nad wszystkie wielkości widoki, mam sobie za święty obowiązek donieść mu, że królewicz w tobie się kocha; błagam go, by wyrwał księcia z tych siideł, czynił co mu się zdawać będzie, byle przerwać tę miłość póki czas jeszcze, byle mnie usprawiedliwić, zem do tój podłej intrygi nie należała, i chyba zbytęczném zaufaniem

w nocie własnej siostrzenicy zgrzeszyłam! Tak o wstydzie twoim i szalonej dumie, może już teraz i król uwiadomiony!“ „Król! zawołałam odchodząc zupełnie od siebie na te słowa; niechże mu przynajmniej nikt nie powie, że już jego żoną!“ a klękając przed księżną, z wielkim płaczem i łkaniem ściszałam jej kolana. „Żoną? powtórzyła za mną,—żoną? byłabyś żoną królewicza!“

Na to zapytanie objęłam dopiero myśl okropną, iż zdradziłam tajemnicę; przełknięta widząc już także przed sobą rozgniewanego męża, zdało mi się, (znając szczególnie z kim miałam do czynienia), że cały ratunek jest tylko w zupełnym wyznaniu. Zawsze więc u nóg księżnej, wyznałam jej wszystko, błagając o darowanie i o sekret przed światem całym. Bądź obrażona tak późnym i wymuszonym zwierzeniem się, bądź mając żal do samej siebie za porywczosć swoją, a nie chcąc go przyznać, zdziwiła ją, lecz nie ułagodziła mowa moja. Prawda, wstać mi kazała mówiąc, że nie przystoi tak wielkiej pani czołgać się u nóg czyich; przeproszała mnie, iż nie wiedząc o godności mojej, uchybiła mi nieraz, ale ręki swojej pocałować nie dała; a pod tym błahym pozorem, że dom jej nie godzien być królewiczowej, księżnej udzielnnej, przyszłej królowej polskiej przytułkiem, natychmiast wszystko do odjazdu mojego przygotować kazała. Potrafiłam się wstrzymać od najmniej przykrego słowa, za co Bogu dziękować wiecznie będę; bo jakżeby dla słów kilku tyle dowodów przywiązania zapomnieć! z uległością szesnastoletniej panienki przysposabiać się do podróży zaczęłam, lubom wcale nie wiedziała gdzie jechać?

Nie wiem, czy ja, czy księżna wspomniała na szczęście *Sulgostów*; marszałek, który przyszedł po rozkazy pani swojej, usłyszał to słowo, i w chwili jednej w przedpokoju i w garderobach ułożono, że ja do *Sulgostowa* na święta Bożego Narodzenia jadę. Szczęśliwa z tego wniosku, po-

twierdziłam go; napisałam tylko długi list do królewicza na ręce księżnej, okazałam mu potrzebę zwierzania się siostrze i szwagrowi, i nie wyszło dwóch godzin, a zamknięta w karecie z panną moją, jechałam śpiesznie, ledwie wiedząc, co się dzieje ze mną. Dopiero zobaczywszy Sulgostów, przyszło mi na myśl, jak ja to wszystko siostrze i szwagrowi powiem? Nic nie wymyśliwszy, stanęłam przed ich pałacem; dla tego też Basia za waryatkę mnie wzięła. Już teraz tak dalece przyszedłam do siebie, żem się serdecznie z tój imaginacyi wraz z nią dziś śmiała; ale przez dwa dni śmiechu nie było, i teraz jeszcze nie bardzom do niego skora, bo żadnej nie mam od królewicza wiadomości: zapewne go strzegą. Kamienne prawdziwie mam zdrowie, że mi te wszystkie wzruszenia mało co szkodzą; druga delikatna osoba mogłaby i śmierć znaleźć, nimby się owego szczęścia doczekała. Czy i ja doczekam go kiedy? to wielkie pytanie. Te nadzieje swobody i wielkości, spełnią się kiedy?

Dnia 30 Grudnia, w Niedzielę.

Jadę do Maleszowój, może tam lepiej niż tu mi będzie; Basia miała także jechać, ale ponieważ spodziewa się słabości, mąż jój nie pozwala jechać. Miałam list od królewicza, w rozpaczy żem wyjechała, w gniewach na księżnę, w obawie wielkiej, czy Brühl wszystkiego nie odkryje? Ja koniecznie potrzebuję ztąd wyjechać; tak jestem nieszczęśliwa, że obraz powodzenia ukochanej siostry trucizną jest dla mnie. Ten jój dom tak dobrze urządzony, te starania ta miłość familii męzowskiej, te dowody nieustanne przywiązania państwa, troskliwości o jój zdrowie, ta Anielka taka przedziwna, która ją tak kocha, z której ojciec taki szczęśliwy: to wszystko rozdziera mi serce; a jednak Bóg widzi jak serdecznie siostrę kocham, jak gorąco się modłę, żeby zawsze tak szczęśliwą była. Może gdy usłyszę z ust

kochanych rodziców słowa przebaczenia, może gdy ich nogi ucałuję, spokojniejszą będę; może też rok z nimi zaczęty, równie szczęśliwy będzie jak owe lata, które niegdyś tak swobodnie w Maleszowie płynęły.

Dnia 5 Stycznia 1761 r., w Maleszowskim zamku.

Już tu jestem od dni kilku i podobno pojutrze wrócę do Sulgostowa, bo tu jeszcze gorzej. Nie dla tego, żeby mnie państwo źle przyjąć, źle traktować mieli; owszem bardzo są na mnie łaskawi: ale tu czuję mocniej niż gdziekolwiek, jak świetny jest los mój w imaginacyi, jak nędzny w istocie. Mała naprzykład rzecz napozór, ale niesłychanie dotkliwa: przyjechałam do rodzicielskiego domu prawie po dwóch latach niebytności, a żadnego gościńca nie przywiozłam siostróm młodszym, ani nikomu. Pieniędzy wcale nie mam; panną będąc nie potrzebowałam ich, księżna na wszystko łożyła, mnie tylko do ręki co miesiąc dwanaście tynfów dawała; na Styczeń już i tego nie dostałam; a wolałabym umrzeć, jak królewicza albo państwa o pieniądze prosić; im też to jakoś do głowy nie przychodzi, muszą wzajemnie myśleć, że w nie dostatecznie opatrzona. Basia, prawda, jak od Sakramentek wróciła, chociaż mniej jeszcze odemnie pieniędzy miała, niemal każdemu jakiś podarek przywiozła; ale z nią wcale było co innego: ona sobie była młodziuchną panienką, niczém nie miała ani zajętej ani nabitej głowy, i sama swemi rękami moc drobnostek narobiła. Ja choćbym była wiedziała że tu przyjadę, nie miałabym była do podobnej pracy ani czasu, ani głowy, a kto wie, może i ochoty. Wystawiałam sobie zawsze, że jak do Maleszowskiego zamku po ślubie zawitam, każdemu z dworzan i dworskich sypnę po królewsku; chłopki miały nawet dostać piękne czepki, dziewczki wstążki, gospodarze czapki, a tu na to wszystko złamanego nie mam sze-

łaga. O! co się tężto w tēj głowie uwijało; jakże prawda mało do tych marzeń podobna!...

Od tego czasu jak tu jestem, jeszcze oczów z łez nie osuszyłam. Państwo tak szczególnie mnie witali; jam do ich nóg rzucić się chciała, i takby mi dobrze tam było, a oni nie pozwolili, i Jmć dobrodziej jakby obcej, niziuteńko mi się kłaniał. I teraz jeszcze wstaje jak ja wchodzę, nie usiędzie blisko przy mnie, i ten pierwszy hołd uszanowania królewiczowskiej godności mojej oddany, srogą boleść mi sprawia. O! jeśli wszystkie hołdy i honory takie gorzkie będą; wolałabym prostą być szlachcianką!... Przy pierwszym obiedzie, który razem jedliśmy, (i który jak mi z przykrością uważać przyszło, niespokojną czynił Jmć dobrodziejkę, czy dosyć dobrym będzie), szepnął mi do ucha: „Mógłbym kazać stoczyć niby na próbę, butelkę wina z beczki panny Franciszki; przykro mi go nie skosztować przy *pierwszym obiedzie*, ale zwyczaj jest, że pierwszy kieliszek pije ojciec a drugi pan młody; inny porządek za złą wróżbę miany... Ale czy przyjdzie kiedy podobna chwila?...“ dodał, i westchnął tak głęboko, że mnie łzy puściły się z oczów. Zupełnie jeść mi się odechciało, a przymuszałam się do jedzenia, bom widziała niespokojność kochanej matki, i bałam się ją obrazić. O! ten obiad i wszystkie inne, prawdziwą dla mnie męczarnią! Już mnie i *Macieńka* koncepta nie rozśmieszają, bo i jemu się tęż nie klei. Jmć dobrodziej coraz na niego mruga, żeby co dowcipnego powiedział: on się sili, ale mu się nie udaje.

Wczoraj i on mnie rozczulił; szpak wielki, zatém domyśla się wszystkiego: przyszedł cichuteńko do mego pokoju kiedy nikogo nie było, klęknął przedemną na obadwa kolana, a z miną napół bufońską, napół smutną, wyjął z zannadrza pęczek uschłych kwiatów i liści, białą wstążką związany, złotą iglicą spięty. Z razu nie wiedziałam co się to znaczy, aż przypomniałam sobie ów bukiet z wesela Basi;

on wymówił tylko te słowa: *Ja czasem bywam prorokiem!* oddał mi go a zawsze na klęczkach posuwając się w tył, doszedł do drzwi. Ileż mi rzeczy ten bukiet przypomniiał, ile podał myśli! Wstałam, a biegnąc za *Macienkiem*, wyjęłam kosztowną śpilkę brylantową, którą mi dał królewicz, i wpięłam ją w kontusz jego. Ani on, ani ja, nie wymówiliśmy i słowa, ale podobno każde z nas dumało nad tem, że jeśli dziwną było rzeczą, iż spełniła się płocho wróżba jego, dziwniejsza jeszcze, że lubo spełniona, żadnym oczekiwaniom zadosyć nie uczyniła. To pisanie moje przerwała mi kochana matka, o! jakże dobrocią swoją ubodła mnie w serce; przyszła tu ukradkiem tak obładowana, że ledwie iść mogła: naznosiła mi różnych kosztownych materyi, klejnotów, koronek, a złożywszy je na stołkach, z nieśmiałością powiedziała: „Przyniosłam tu częśćkę rzeczy, każdój z córek naszych należących się; przyniosłabym i więcej, ale cóż, kiedy to wszystko nie wydaje mi się dosyć piękném; a nic piękniejszego, Bóg widzi, w całym domu nie mam. Jużem mówiła z Jmć dobrodziejem; przeda wiosek parę, żeby jak pora szczęśliwa przyjdzie, i rzecz się wykryje przed światem, i druga córka nasza stosowną do wysokiego zameńcia dostała wyprawę.“

Zalana łzami, całować chciałam jój kolana, a ona mi nie pozwoliła, i ciągle mnie przepraszała za te nędzne (jak ich zwała) podarki... O! już pojutrze niezawodnie wyjadę, bo i oczu dworzan, i wykrzykników *Madame*, siostr i starych sług nad bladeścią moją, nad tem, zem jeszcze za mąż nie poszła, znieść nie mogę. Były téż u mnie i owe trzy dziewczęta, którym przyrzekłam, że je wezmę do siebie skoro za mąż pójdę; stary Jacenty przyprowadził sam swoją córkę. O! jakże mi te ich odwiedziny przykre były; jakżeby się zdziwiły, dowiedziawszy się że mam już męża, a jednak ich nie biorę do siebie, bo ten mąż—królewicz.

Dnia 9 Stycznia we Środę, w Sulgostowie.

Już wróciłam do siostry, i nie zastałam listu od królewicza; nie wiem czy nie chory, albo czy też król o wszystkim się nie dowiedział, i nie kazał strzedz go surowo. Wielka mi bięda, że księcia wojewody od połowy Grudnia aż dotąd w Warszawie nie ma; onby pewnie do mnie napisał: książę Marcin roztrzepany, szczęśliwie zapomniał. Z pożegnania się z państwem nicom więcej uradowana, niżli z powitania; ale najmilsze chwile spędziłam w Lisowie: chciałam odwiedzić proboszcza w domku jego; zastałam go sadzącego świerki w swoim ogrodzie, pozwolił mi jeden najpiękniejszy na cmentarzu koło kościoła posadzić, i uczyniłam to własną ręką: smutną po sobie zastawiam pamiątkę *), ale bo też i ja smutna jestem. Wiele słów pocieszających usłyszałam z ust proboszcza, i jakaś mężniejsza i szczęśliwsza z domku jego wyszłam. O! gdyby tylko wiedzieć, że królewicz zdrów!

Dnia 15 Stycznia, we Wtorek.

A! już też zupełnie nową walkę przez te dni wytrzymałam! czyż już żaden rodzaj udręczenia i boleści nie ma mi być obcym? Zupełnie niespodzianie, w chwili kiedyśmy do obiadu siedli, hałas się zrobił w sieniach, usłyszeliśmy trąbkę pocztarską; drzwi się otworzyły, i wszedł do sali minister królewski *Borch*: zgadłam odrazu cel jego odwiedzin, i zadrżałam jak listek; on zaś ukrył go pozorem chęci oddania swojej attencyi państwu starostwu, na których ślubie znajdować się miał zaszczyt. Taką grał rolę, póki się

*) Ten świerk dotąd cieni tę starożytną budowę.

obiad nie skończył, pókiśmy nie zostali sami; ale wtedy zaprosiwszy mnie do gabinetu pana starosty, powiedział zaraz z góry, że i on i *Brühl* uwiadomieni o wszystkim, ale się śmieją z tego; że to całe małżeństwo za dziecinną igraszkę uważane być powinno; że ślub taki bez wiedzy rodziców, nie od miejscowego pasterza dany, nic nie znaczy, i z jak największą łatwością zerwany być może. Przyznaję, że w pierwszym momencie, uwierzywszy niejako podobieństwu tych słów, ledwie nie padła nieżywa; ale nagle przypomniawszy sobie z czyim posłańcem mówię, objąwszy tę myśl, że od stałości obecnej los całego życia mego zależy; stawiałam się mężnie, ośmieliłam się obwinić i jego i *Brühla* o podstęp, o chęć złudzenia nieświadomej białogłowy. „Ale nie jestem tak dziecinną i nierozsądną jak świat sądzić może, dodałam w końcu, a on mnie słuchał zdziwiony; wiem, że ślub mój już ważny, bo był w kościele, za pozwoleniem rodziców moich i biskupa, przez pasterza mojej parafii, przy dwóch świadkach zawarty; wiem że są rozwody, ale wagi nie mają, póki obie strony aktu nie podpiszą; a mego i królewicza na rzecz takową podpisu, ani gwałt, ani prośby żadne nie wymogą.“

Dziwię się sama teraz mojej śmiałości, Bóg mnie natchnąć musiał; *Borch*, który był przekonany, że odrazu do podpisania rozwodowego aktu mnie skłoni, zwłaszcza gdy mi znaczny zapis w nagrodę pokaże, zdumiał się i dalszych namów zapomniał; dwa dni tu siedział, i codzień podobne słowa słyszał odemnie: nareszcie téj przynajmniej żądał obietnicy, że gdyby kiedy królewicz na rozwód przystał, ja się sprzeciwiać nie będę. Na to zezwoliłam, i on poprzestał na podobnym oświadczeniu na piśmie. O tom się najwięcej bała, żeby Basi ten przestach nie zaszkodził; ona tak żywo dzieli wszystkie moje zmartwienia i kłopoty, to prawdziwie *druga ja*; ale zdaje się, Bogu dzięki, że jój nic nie będzie. Biędny p. starosta, tak już był o nią niespokojny;

nad życie ją kocha!... O! smutne! smutne przeznaczenie moje! zamiast pociechy i swobody, trwoga i niepokój zupełnie za mną chodzą!

Tu się kończy *dziennik* Franciszki z Krasińskich królewiczowej polskiej; smutek dalszych jej przeznaczeń odjął jej ochotę i siłę zwierzania papierowi nieustannych, a coraz nowych udręczeń: najdotkliwszą z nich była zmiana uczuć tak gorąco kochanego męża, i obawa rozwodu, którą mimo tkliwego niedowierzania swego, po kilka razy zagrożoną była. Pomimo tak świetnego napozór losu, nie jeden przykry i uciążliwy rok minął, nim się przecież przewinąć zdołało to długie pasmo udręczeń, nim snuć zaczęła dni swobodniejsze; zawsze jednak bardzo dalekie od owej świetności, którą żywa jej wyobraźnia obiecywała niegdyś zbyt łatwowiernej dumie. Oto są niektóre szczegóły jej dalszego życia, od czasu w którym *dziennik* ten się kończy; możeby ich więcej czytelnicy żądali, ale niech wybaczyć raczą niemożności wydawcy.

Po odjeździe *Borcha*, królewiczowa czas długi w Sulgostowie gościła; tam Barbara Świdzińska powiła naprzód syna, potem drugą córkę, a dotrzymując obietnicy danej, *Franciszką* ją nazwała; tam ciągle widok szczęścia domowego, którego używać nie miała ani rychłej, ani pewnej nadziei, przykry był jej sercu, i tém przykrzejszy, że sobie wymawiała to mimowolne uczucie. Gdy też postępowanie królewicza najdotkliwszą boleść utwierdziło w jej duszy, sama sobie nie miła, przejeżdżała się z miejsca na miejsce. Ubyło jej właśnie w tym czasie najprzyzwoitsze schronienie, doświadczyła srogiego nieszczęścia, poniosła niepowetowaną stratę: umarli jej zaci rodzice, umarli, nie dozna

wszy radości uściskania znakomitego zięcia, nie odebrawszy od niego żadnego hołdu uszanowania.

Osierocona córka, nie mając w domu męża przytułku, prawdziwą tułaczką przez czas długi była. Klasztor Sakramentek w Warszawie, klasztor Franciszkanek w Krakowie (dokąd kochająca ją siostra, małą Anielkę dla rozrywki jej przywiozła), Częstochowa, Opole, gdyż zacna, lubo żywo czująca ciotka, nie długo na ulubioną bratanek gniewać się mogła, kolejno były jej mieszkaniem; lecz nigdzie szczęścia znaleźć nie zdołała; a lubo wszędzie z wyższych rozkazów, kryła los swój i znakomite imię, każdy się ich domyślił po smutku. Wprawdzie królewicz w samęj nawet niestałości, niestały, wracał niekiedy do nięj z czułością. Wtedy znowu, nad rzadką sposobnością widywania się z nim, bolała, a gdy wzmagała się w nięj nadzieja dzielenia kiedyś przeznaczeń jego, wrodzona duma cierpiała, iż tym przeznaczeniem codzieln i w obecnej chwili i na przyszłość świetności ubywało. Bo według słów prorockich *Macieńka*, na-przód mitra, potem korona wysunęła się królewiczowi; Biron został powtórnie księciem kurlandzkim, a gdy August III umarł w Dreźnie 5 Października 1763 roku, w następującym, Stanisława Poniatowskiego ogłoszono królem polskim.

Tak w przeciągu lat kilku obalił się cały gmach wielkości, którym przez tak długo młoda królewiczowa się łudziła; ale nowa obawa zmiany uczuć męża, spełnienie tych nadziei zapewne mniej przykrém czyniła. Bo ta jest przynajmniej wielkich nieszczęść korzyść, że nam uboczne przykrości obok nich nie tyle dolegać potrafią. Dotąd królewicz składał na bojażń skrócenia życia sędziwego ojca tajemnicę, którą swoje małżeństwo okrywał; ale już lat kilka od śmierci Augusta minęło, już cała rodzina królewska, cały dwór Saski przeniósł się był do Dreznia, i królewicz

tam mieszkał, a żona jego tułała się jeszcze bez nazwiska. Zadrżeli o szczęście, o los dalszy ukochanej bratanki księstwo Lubomirscy, natenczas kasztelaństwo krakowscy, tém bardziej, że sierotą była, i nie miał się kto bliższy za nią upomnieć. Księżna kochała ją na nowo jak córkę, książę niemniej przywiązany, miał jeszcze powód większy do zajęcia się jęj losem, bo znał dobrze, że to małżeństwo, z którego on tyle obiecywał sobie, bez jego zachodów i pomocy nie byłoby nigdy doszło do skutku; widząc, że spełzły zaszczyty, które powinowatej swojej niegdyś zapewnić pragnął, chciał przynajmniej żeby jęj szczęście domowe zostało. Użył ku temu, jak mówią wpływu Cesarzowej Maryi Teresy, użył jak się zdaje innych sposobów. Skutkiem ich królewicz wzruszył się i po długim czasie oziębłości i milczenia, napisał nagle do żony list najczulszy, przepraszając ją za dawne uchybienia, błagając ażeby przyjechać do niego do Drezna raczyła. Tam, mówił, nazwie ją żoną swoją; tam, zupełnie się poświęci, by szczęściem reszty jęj życia, wynagrodzić owe lata najpiękniejszej młodości, we łzach i poniżeniu spędzone.

Szczęśliwa z tęj pomyślnęj zmiany, niczem w raz powziętęm przywiązaniu niezmieniona królewiczowa, nie uległa jednak natychmiast żądaniom męża; serce może inaczej mówiło, ale szacunek samęj siebie uznał, że czekać należy powtórnego zaproszenia: może tęż tę radę winną była szlachetnie myślącej ciotce, gdyż właśnie natenczas w Opolu gościła. Nie czekała jednak długo: rozkochany jak w pierwszych dniach poznania się z nią królewicz, dręczony wyrzutami sumienia, naglił jęj przyjazd; każde słowo listów jego żywém tchnęło uczuciem: byłby chciał teraz wszystkie zaszczyty, wszystkie dostatki zsypać na przedmiot wznowionęj miłości. Pensya, którą brał jako książę Saski, nikczemną mu się zdawała, pragnął jęj powiększenia; a odmówienie lektora Fryderyka, który Krasińskięj ani żoną brata przy-

znać, ani tytułu dać nie chciał, taką zgryzotą go napawało, że aż niszczało zdrowie jego. Tytu dowodami wróconej miłości zaspokojona, pragnąca od tak dawna téj chwili, pojechała królewiczowa, otoczona licznym pocztem wysłanym przez męża do towarzyszenia jęj; tkliwym *listem* *) pożegnała ukochaną siostrę, tysiącznemi uściskami tych, którzy dla nięj miejsce zmarłych rodziców trzymali.

Odtąd królewiczowa mieszkała ciągle w Saxonii, w *Elsterwerdzie* albo w *Dreźnie*; w lat kilkanaście dopiero po zamężciu została matką. Powiła mężowi gorąco tego szczęścia pragnącemu, córkę, równie nadobną jak była sama. *Maryja* imię jęj dali; to było jedyne ich dziecię, a miłość zobopólna, szczęście domowe, szczęściem i skarbem jedyném. Nie używała bowiem nigdy marzonych niegdyś honorów i przywilejów, wraz z córką żadnego tytułu nie miała; dochody jęj także w miarę niegdyś spodziewanych dostatków i wrodzonej wspaniałości, bardzo szczupłe były; bo chociaż po rodzicach i krewnych znaczny odziedziczyła spadek, chociaż od cesarzowej Maryi Teresy, od której bardzo kochaną była, piękne dobra *Landskoronę* dostała, mało ją dochodziło gotowych pieniędzy: ten niedostatek ciągle jęj się czuć dawał, a najwięcej dla tego, że licznej rodziny ukochanej siostry podporą być nie mogła. Pełne są podobnych utyski-

*) Przyłączony tu *wierny podpis* tego listu: styl jego i pisownia może się zdawać będą mniej polskie jak w *dzienniku*; mięszanina w nim jest słów i wyrażeń francuzkich. Prócz innych przyczyn, przypisaćby można tę zmianę zupełnemu przez lat wiele zaniechaniu pisania ojczystym językiem, i codzien wzmagającj się w onym czasie nieszczęsnj modzie francuzczyzny. Ubolewając nad tym błędem dawnych Polek, niech mi wolno będzie cieszyć się lubą myślą, że młode czytelniczki *Rozrywek*, już dziś podobnie nie piszą, i że gdy którj z nich życie za lat kilkadziesiąt wyda się godném opisu, szczęśliwsza odemnie autorka, *wierny przerys* jakiego ich listu, czystą polszczyzną napisanego, z rozkoszą umieści.

wań jęj *listy*; pisywała bowiem bardzo często do różnych osób, zwłaszcza do księżnej kasztelanowej krakowskiej, do siostry, a później do chrzestnej córki swojej Anieli z Świdzińskich Szymanowskiej, starościny wyszogrodzkiej. Ta do dnia dzisiejszego pamięta przysmaczki, jakiemi ciotka i matka chrzestna w klasztorze ją karmiła, a więcęj jeszcze jęj przyjemne i miłe z nią i z każdym obejście. W tych *listach*, których kilkadziesiąt mam w tęg chwili przed sobą, przebija zawsze tenże sam charakter, toż samo serce. Żywość wyobraźni i czucia, trafność w sądzeniu, wyniosłość, szlachetność uczuć, wiadomość własnych interesów i rzeczy publicznych, przywiązanie do męża, córki, rodziny, ojczyzny, tkliwa pobożność, i zawsze widoki, nadzieje. Umieszczam tu niektóre z nich wyjątki, jedne z oryginału, drugie tłómaczone.

Do Barbary Świdzińskiej.

Dnia 21 Sierpnia 1781 r.

...Dałby Bóg, abym była kiedy w stanie ziścić to, co moje przywiązanie dla ciebie mi dyktuje; gdy długi spłacę, będę ci pomocniejszą: wdycham za tą chwilą... Moja córka, chwala Bogu! już ma trzy zęby; nic na nie nie chorowała, tylko za każdym ogniopóry dostaje... Czy prawda, że p. pisarz Małachowski *) marszałkiem sejmowym być ma? także on dobry jak dawnięj był? Za twojém mi opisaniem jego sposobu myślenia i dla krewnych przychylności, wyrażę ci pewne moje względem niego widoki...

*) Stanisław Małachowski urodził się dnia 24 Sierpnia 1736 r., zmarł dnia 26 Grudnia 1809 roku; znany jest pod nazwiskiem Arystydesa Polskiego.

Dnia 30 Września.

...Łaska nieboszki cesarzowej przyniosła nam więcej ambarasu niż z bogacenia; kto pieniędzy niema, dóbr nie kupuje; my przeciwnie: czasem znajdziemy znaczny z tych nabytych dóbr awantaż, lecz teraz wiele zmartwienia... Daj Boże! nam raz z tych kłopotów i zatrudnień się wygrzebać, będziemy wam użyteczniejsi; to tak rzetelnie, jak że ciebie kocham, a kocham cię serdecznie: Bóg tej prawdy jest świadkiem.

Dnia 12 Stycznia 1782 r.

Zawsze mi nader miłe twoje odezwy, niemniej i ta ostatnia; jednak w krótkich słowach na nią odpisać muszę; dla dziesięciodniowej i bardzo przykrzej fluxyi oczu, pierwszy raz w tej słabości pióra używam, i gwałt sobie czynię... Już dłużej pisać nie mogę; jak zdrowszą będę, będę więcej pisać: daj nam Boże szczęśliwszy i spokojniejszy zaczęty rok, jak przeszły... Adieu, kochajcie mnie oboje!

Dnia 4 Marca 1789 r.

Zaczynam odpis na twój list od twego zdrowia, artykuł, który mnie, jak me życie interesuje. Kazałam tu zrobić konsultacyą o twojej chorobie, wszyscy doktorowie i chirurrgi drzeźdeńscy zgadzają się w pochwaleniu twoich; zaklinają cię ażebyś w nich ufność miała, że tego tylko, czasu i cierpliwości potrzeba. Rezolucya tej konsultacyi wielce mnie zaspokoila; zmiłuj się kochana siostró, staraj się być spokojną i nie kłopotaj się.

Dnia 10 Sierpnia.

Choroba, która (jak mi księżna kasztelanowa pisze), od czterech niedziel w łóżku cię trzyma, czułym jest ciosem dla serca mego .. dajże Boże, aby cię ten list zdrowszą zastał! Nie mam od ciebie wiadomości, felczer nawet z Warszawy pisze mi, że od twego wyjazdu nie o tobie nie wie. Kochana siostrzo, nie pisuj do mnie własnoręcznie, wiem i znam jak to męczy; ja sama dyktuję moje listy, nawet i do księżnej; polskie tylko sama pisać muszę, bo nie mam nikogo coby język umiał: dyktuje i ty twoje listy do mnie, bylem tylko wiedzieć mogła o twojem zdrowiu.

Do Anieli Szymanowskiej.

Dnia 21 Września.

Sprawiedliwość oddajesz sercu memu, kochana siostrzenico, udzielając mi szczegółów nieszczęścia twego; nikt go szczerzej nademnie czuć wraz z tobą nie może. Bóg zabrał ci męża*), nie mógł sroższym doświadczyć cię ciosem. Ulegnij z uszanowaniem i bez szemrania woli Wszechmocnego: zachowuj zdrowie dla dopełnienia obowiązków, które ci przeznacza. Są to obowiązki matki, córki. Wychowanie dzieci twoich, pielęgnowanie matki chorój, liczną rodziną obarczoną, wymagają całej twój czynności; oddając się tym obowiązkom, wypełnisz miarę poddania się woli Stwórcy, któ-

*) Michał Szymanowski, starosta wyszogrodzki, mąż pelen cnót domowych i obywatelskich, umarł 15 Sierpnia 1787 r.

ry doświadczenia i zgryzoty warunkiem życia ludzkiego uczynił, abyśmy za ich pomocą na wiecznie szczęśliwe zasłużyć mogli. O! kochana Anielo, jakżebym rada dzielić z tobą owe obowiązki, o których ci wspominam...

Dnia 4 Października.

Czuję całe przygnębienie twoje, tak rychło po mężu straciłaś najlepszą matkę *). Ach! i ja w niej straciłam siostrę, która drugą mną była. Szanujmy rękę martwiącą nas! Pocieszajmy się szczęściem wiecznym, którego zapewne już używa. Ten Bóg sprawiedliwy wspierać zechce błogosławieństwy swemi osierociałe dziatki. Brat twój Jan donosi mi o tój wspólnej stracie naszej, ale w żadne szczegóły nie wchodzi: nie lubię tego; raz na zawsze was proszę, zaniechajcie w listach waszych wszelkich komplementów i ceremonii; pisujcie do mnie otwarcie, z ufnością, jako do osoby która was serdecznie kocha. Donieś mi kogo nieboszka opiekunem mianowała **), wiele dzieci jest jeszcze w domu? jak się obróć?... Nie zdaje mi się żeby wypadało siostrą twoim mieszkać przy bracie, on jeszcze na to zamłody; trzeba im obmyślić uczciwe schronienie; za klasztorem-bym jednak nie była: tamby zapomniały co umieją i mogłyby nabrać ułożenia przeciwnego dla tych, które przeznaczone, żeby żonami i matkami były, a nie sądzę, żeby która z nich ochotę miała być zakonnica...

*) Barbara z Krasińskich Świdzińska, naprzód starościana, potem kasztelanowa radomska, umarła 8 Września 1789 roku, zostawiwszy sześć córek: Anielę, Franciszkę, Maryannę, Zofję, Bonę, Krystynę, i dwóch synów Jana i Kajetana.

**) Michał Świdziński, umarł przed żoną 17 Sierpnia 1788 roku.

Do Jana Świdzińskiego,

tego samego dnia.

Odebrałam list, w którym mi donosisz o stracie ukochanej matki: nie chcę rozdzierać serca twego opisem mojej boleści: straciłeś matkę, żyjącą jedynie dla szczęścia dzieci, ja siostrę ukochaną. Tém się tylko pocieszam, że jój cnoty i długie cierpienia otrzymały od Boga zasłużoną nagrodę... Przykład obojga rodziców twoich, ich uczciwość, otwartość i cnoty powinny być ci wzorem; miej ich zawsze przytomnem pamięci, a będziesz żył szczęśliwy i od wszystkich szacowany... Nie wątpię, iż będziesz chciał kierować jak najlepiej interesami rodzeństwa twego; ale młody jesteś, i z najlepszą chęcią w twoim wieku nie można mieć tego doświadczenia, którego położenie twoje wymaga. Proszę cię więc i zaklinam, abyś się radził w trudniejszych razach księżnej kasztelanowej i hrabiego Moszyńskiego: ich zdanie będzie pewne i bezinteresowne. Proszę cię raz jeszcze, kochany siostrzeńcze, skoro czas pozwoli, jedź do księżnej, obchodź się z nią otwarcie, szczerze, z ufnością, a pozyskasz jój przyjaźń. Ta ci do szczęścia posłuży...

Do Anieli Szymanowskiej.

Dnia 15 Października.

Odbieram w tój chwili list twój, donoszący mi o niepowetowanej stracie naszej: mie mówmy już o tém, zbyt to tkliwa strona. Dziękuję ci za użyzione mi o pozostałych dzieciach szczegóły... Wszystkie więc siostry twoje umieszczono... pani Miecznikowa bierze jedną, Grzybowska drugą *), Kuzłowa **) trzecią, a czwarta u ciebie; znajdzie

*) Zofia z Krasińskich Wodzicka starościna grzybowska, siostra królewiczowej.

**) Franciszka z Świdzińskich Kuzłowa, druga córka Barbary Świdzińskiej

w tobie pewna jestem, i siostrę i opiekunkę, nauczysz ją być tak dobrą żoną i matką jak sama jesteś. Zostawmy czasowi i okolicznościom dalsze ich postanowienie, ja sama upatrywać im będę stosowne partye.

Dnia 22 Listopada.

Piszesz mi, że siostrze twojej Maryannie kilka partyi się trafia; życzę, aby wybrała stosowny związek i uczciwego człowieka: to szczęście małżeństwa stanowi.

Do Jana Swidzińskiego.

Dnia 12 Stycznia 1790 roku.

Postępowanie twoje względem brata i siostr, czyni zaszczyt twemu sercu i sposobowi myślenia; czyni tak zawsze z tą samą uczciwą rzetelnością, a będziesz powszechnie szacowany: Bóg ci błogosławić będzie! Skoro się dowiesz, że księżna kasztelanowa jest w Warszawie, jedź tam natychmiast; jej przyjaźń jest nieoszacowana, ale ostrzegam cię, iż chcąc ją pozyskać, trzeba z nią postępować otwarcie i z ufnością.

Do Anieli Szymanowskiej.

Dnia 30 Czerwca.

Odebrałam list twój z doniesieniem o przyszłym zamężciu siostry twojej Maryanny; wyznaję, że spełniły się w tém modły moje, bom dawno życzyła hrabiego Jabłonowskiego dla jednej z siostrzenic moich. Znałam bardzo dobrze ojca jego, równie był szacowany dla przymiotów serca jak dla rozumu; jak mi piszesz, syn je wszystkie odziedziczył... Dziękujmy Bogu za Opatrzność, którą w po-

stanowieniu siostr twoich pokazuje, to ci powinno być pociechą; i druga także, Zofia, idzie za Karczewskiego: tego ojca nie tyle znałam. W rozpaczcy jestem, że nie dla obudwóch w ten moment uczynić nie mogę; ale interesa nasze w bardzo złym stanie, tak z powodu wojny jako i dla smutnych okoliczności, w których się Polska znajduje. Czuję bardzo coby uczynić należało, ale muszę jeszcze czekać owę szczęśliwą porę, kiedy moim użyteczną być potrafię. Jeszcze ich więc dwie pozostanie... Ufność w Bogu! nikt jej więcej nademnie zalecać niema prawa. Bóg kierował przeznaczeniem mojem. On mi dopomógł do przebycia wszystkich udręczeń i zawał losu mojego; nie sądz kochana Aniello, ażebym i teraz bardzo silnych nie napotykała, ale Ten Bóg, który mnie dotąd wspierał, i teraz nie opuści. On dopomocze do przebycia ich. On mi pozwoli zapewnić los córki, i być kiedyś użyteczną moim. Z Jego ręki jedynie spodziewam się tego szczęścia, i mam je za nieochybne... I teraz w wielkich byłam niespokojnościach: córka bardzo mi chorowała ze skutków kataru; kaszle jeszcze, ale mi ręczą, że ani nateraz ani napotém niemam się czego obawiać. O! bodajby żadna z córek twoich nie dała ci nigdy do takiej trwogi powodu.

Dnia 19 Lipca.

Do niczego jestem, tak mnie dręczy niespokojność o zdrowie księżnej kasztelanówéj; przyjaźń twoja, kochana siostrzenico, obudza mnie z tego odrętwienia, bo od ciebie wiadomości o ciotce się spodziewam. Były tu listy z Polski, donoszące, że jej zdrowie w złym stanie; tyś ją widziała, napiszże mi jak najprędzej jak się miéwa? Ach! jakże to przykro daleko być od osób ukochanych! Bywaj zdrowa, kochana Aniello! słabe pióro moje, żeby ci moc przywiązania mego wyrazić mogło.

Do księżnej kasztelanowej krakowskiej.

Dnia 15 Sierpnia.

Prawdziwą radość miałam w odebraniu listu kochanej Cioci dobrodziejki 25 z. m., w wigilią dnia ślubu Zosi pisanego. Winna więc będzie szczęście swoje przywiązaniu i dobroci kochanej Cioci, wdzięczności jej dzielić nie przestanę; tak więc jednej osobie, bratanki i wnuczki winne są szczęście swoje... Donosi mi Ciocia dobrodziejka, że jedzie do Krzeszowic; ach! gdyby skutek tych wód życzeniom moim odpowiedział, trwałoby jej zdrowie przyniosły. Mąż mój i córka zdrowi, pierwszy jedzie na polowanie jelenia o cztery mile ztąd... Nasz książę Antoni wyjeżdża dziś z żoną do Wiednia; ona sama przedziwna osoba, niezmiernie kocha mego męża, i mnie wiele okazuje przyjaźni; mówi, że odziedziczyła względem mnie, babki swojej Maryi Teresy uczucia... Żegnam kochaną Ciocię dobrodziejkę, ściskamy ją wszystko troje serdecznie; racz nas też kochać cokolwiek...

Do Anieli Szymanowskiej.

Dnia 19 Września.

Donoszą mi z Krakowa, że księżna kasztelanowa bardzo chora, że się obawiają, aby nie została gdzie w drodze z Krzeszowic do Opola; donoszą mi także, że nikogo przy sobie niema. Kochana siostrzenico, nie mogłabyś pojechać do niej, zaklinam cię, uczyni mi tę łaskę; sposobem myślenia i położeniem zdajesz się być przeznaczoną na to, ażebyś przynosiła ulgę krewnym w potrzebie. Ach! czemuż tego o sobie powiedzieć nie moge!...

Dnia 14 Listopada.

Jakżeż to wiele od dwóch lat ciosów *)! znosisz je wszystkie, kochana Aniello, z chrześcijanki cnotą, która przykładem naucza; radabym cię naśladować.. Poddajmy się woli Wszechmocnego; ja już przemilczam boleść moją, żeby i twego i swego nie rozdzierać serca. Zajmijmy się lepiej uczczeniem pamiątki ukochanej ciotki, świętym dopełnieniem jej woli.

Dnia 14 Stycznia 1791 roku.

Przyznam ci się kochana siostrzenico, że ów obraz zbrzydł mi, skoro jabłkiem niezgody między rodziną został, bo jabym chciała owszem do zgody między wami dopomagać. Książę Aleksander Lubomirski, pierwszy napisał do mnie prosząc o niego; ponieważ ten obraz umyślnie do pałacu Opolskiego robiony, a Opole jego, przystałam chętnie na tę prośbę. Teraz Grzybowska domaga się koniecznie... Zagódź tę sprawę, kochana Aniello; powiedz mojej siostrze niech mi przyśle miarę, a ja jej przez tego samego malarza *Graaffa*, zrobić każe takiż sam. Będzie nas miała, prawda, wszystko troje kilkoma laty starszych, ale ta sama ręka potrafi też samo uchwycić podobieństwo **).

Do Jana Swidzińskiego.

Dnia 2 Lutego.

Nie mogę, tylko pochwalać i błogosławić uczuciom twoim dla hrabianki Dembińskiej ***). Piszę do jej matki,

*) Księżna Lubomirska naprzód wojewodzina lubelska, potem kasztelanowa krakowska, umarła w tym czasie.

***) Te dwa obrazy są dotąd: pierwszy u JW. hrabiego Wincentego Krasieńskiego, drugi u JW. prezesa Wodzickiego.

***)) Starsza to córka Urszuli z Morsztynów Dembińskiej starościny wobromskiej, która w r. 1762 żoną Tadeusza Czackiego została; Jan Swidziński ożenił się zaś w parę lat później z hrabianką Jabłonowską.

i do biskupa kamienieckiego, którego proszę, żeby się wsta-
wił za tobą... W ostatnim liście nie donosisz mi nic o in-
teresach sukcesyji; już ci przebaczam to milczenie przez
względ na miłość tak dobrze umieszczoną... Ale zaklinam
cię kochany siostrzeńcze, niechże twoją winą podział dóbr
się nie spóźni; niechże wszystko na 10 Maja gotowém bę-
dzie, żebyśmy sobie wymawiać nie mogli nieszczęścia bię-
dnych chłopów, którzy już od trzech lat żyją bez pana,
bez podpory, na łasce pierwszego przychodnia.

Do Anieli Szymanowskiej.

Dnia 15 Sierpnia.

List twój ostatni oznajmia mi, że trafia się partya
siostrze twojej Bonie: drugi Karczewski. Zachęca mnie do
jój przyjęcia i razem mocno cieszy obraz szczęścia, które-
go starsza siostra za starszym bratem używa; szczęście do-
mowe wszystkiem jest w tém życiu.

Dnia 11 Stycznia 1792 roku.

Odebrałam list twój pisany przez twego szwagra, Jó-
zefa Szymanowskiego *). Dziękuję ci, żeś mu zaleciła, żeby
do mnie się udał, bo prócz sposobności mówienia o tobie,
podoba mi się nieskończenie. Wiele nam okazuje przyjaźni,
a ponieważ Mazur, wierzyć mu trzeba. Nie mając żadnego
prawa do jego przyjaźni, jeśli ją pozyskam, tobie to przy-
piszę... Prosił mnie, żebym ci przez niego nasze sylwetki
przysłała; nie chciałabym ofiarować ci główek umarłych, bo
tak sylwetki uważam; ale bądź trochę cierpliwa, a minia-

*) Ten wyborny pisarz rodzonym był bratem starosty wyszogrodz-
go.

tury nasze ci pošę: te ci lepiej twych przyjaciół przypominać będą, bo kolorami łatwiej oddać podobieństwo.

Dnia 23 Marca.

Ten list przez szwagra twego pišę; zleciłam mu wysłowanie ci przyjaźni mojej. Byłabym chciała pošać ci miniatury, ale nieskończone; jednak niedługo mieć je będziesz: tymczasem niech ci nasz wspólny przyjaciel mówi o nas, a obraz wnet przybędzie, i potwierdzi to, co on powie...

Dnia 8 Lipca.

Czekam niecierpliwie na kogo jadącego do Polski, bo już mój portret gotów. Przypominać ci będzie starą i przywiązaną ciotkę. Oby Bóg dał pokój i ułożył tak okoliczności, żebym ci i oryginał wkrótce przedstawić mogła. Jakżebym sobie tego życzyła!...

Dnia 15 Lutego 1793 roku.

...Kochana siostrzenico! jakże mało mogą ludzie na tym świecie! jakież okropności dzieją się wszędzie. Francya jakże nieszczęśliwa! I Polsce Bóg przez straszne próby przechodzić każe, możeć i do wyjścia z nich dopomoże!...

Przestać muszę na tych wyjątkach, są jeszcze niektóre listy, któreby całkiem umieścić należało, bo w nich widać jak rzeczy publiczne mocno ją zajmowały, i jak do końca niemal życia, karmiła się wyniesienia nadzieją. Dla uzyskania pewnych w tej mierze a nie mogących jej szkodzić wiadomości, utworzyła sobie *klucz*, a niby wypytujac się o dobra swoje, badała innych doniesień. Jest dowcip

w utworzeniu tego klucza; i tak *np.* ministrowie byli *Komisarzami*, sejm przeważała *Sądem Gminy*, marszałka *Wójtem*, wojnę *gradem*, pokój *pomyślną porą* i t. p. Ojczyzna i jej dobro wielce ją także obchodziły. Prócz wspólnych wszystkim Polkom, miała do tego przywiązania szczególnie powody. Na sejmie 1776 roku, naród polski szanujący nie tylko królów swoich, ale i tych nawet, którzy mu królować przestaną, wyznaczył pewne dochody dla synów Augusta III, a żonę królewicza Karola *księżną polską* uznał. W tomię ósmym praw i konstytucyi Królestwa Polskiego i W. K. Litewskiego, na karcie 897, taki względem tego czytać można artykuł:

Upewnienie prawa dożywocia dla Najjaśniejszej Franciszki z Krasieńskich, N. Karola Królewicza Polskiego, Księcia Saskiego małżonki.

Gdyśmy dla NN. Królewiczów Polskich, Książąt Saskich summe roczną, ze skarbu obojga narodów w konstytucyi wyrażoną wyznaczyli, z której równa część dla NN. Królewiczów Polskich, Książąt Saskich przypada, zaczym na połowie tegoż N. Królewicza Polskiego, Księcia Saskiego, dla Najjaśniejszej Franciszki, z domu starożytnego Krasieńskich małżonki jego, dożywocie, aż do zgonu życia onęj rozciągamy, i że w przypadku zejścia z tego świata N. Karola Królewicza Polskiego, Księcia Saskiego, połowę summy dla małżonki jego, skarby obojga Narodów wypłacać będą powinny, warujemy i postanawiamy.

Królewiczowa nie doczekała późnego wieku, nie doczekała nawet jedynaczki swojej zamężcia; po dwuletniem cierpieniu, umarła w roku 1796 na jedną z najokropniejszych chorób w świecie: na raka w piersi. Oto jest list

przyjaciółki jej od serca, Moszyńskiej, do Anieli z Świdzińskich Szymanowskiej, opisujący zgon i chorobę jej znakomitą ciotki.

Dnia 8 Czerwca 1796 roku, w Dreźnie.

„Wypełniam rozkazy JWWCPani dobrodziejki, ale nie z małym dla siebie żalem; gdyż jej strata jest także moją, i nigdy dosyć w życiu mojem nieodżałowaną. Choroba N. Królewiczowej od dwóch lat przeszło się zaczęła; w piersi jednej okazały się: guz i twardość; jedni to nazywali rakiem, drudzy twierdzili że to tylko twardość. Operacją czyniła w tej piersi lat temu dwa; po niej dosyć była zdrową, ale to krótko trwało; znowu się guzy pokazały, i po tej stronie wielkie w całej ręce boleści; cierpiała ta pani cierpliwie ale niezmiernie; kuracją zaczęła i przez dwanaście niedziel nikogo prócz domowych i mnie nie widziała. Doktorowie raz powiadali że lepiej, drugi raz że gorzej; narzeczcie gorączka codzienna przyszła, z nią zniszczenie... Dysponowała się na śmierć świętobliwie i z wszelką przytomnością; skonała 30 kwietnia w nocy. Piers się otworzyła kilku niedzielami przed śmiercią. Exenterowano ją i znaleziono tysiączne jak mówią przyczyny do śmierci; ja już tego i słuchać nie mogę, bom najlepiej wiedziała, że inną nad tę pierś nie było... Ale cóż czynić? ta szkoda nieodżałowana już się stała! Ja na to ledwo żyję, i wspomnieć sobie tej pani bez wielkiego żalu nie mogę. Królewicza dotąd nie widziałam; raz mówią że zdrowszy, drugi raz że i on niedługo pożyje. Czemu wierzyć? nie wiem. Księżniczkę Maryę widuję, kocham ją jak moje życie; ale wszędzie na tym miłym świecie są przeszkody, a więc ja tylko codzień raz bywam u niej. Jest nieoszacowana, charakter ma wielki. Królewiczowa umierając oddała ją szczególnej protekcyi królewniej Elżbiety, siostry królewicza. Jakoż ta kró-

lewna bardzo ją kocha; jest to pani wielkich przyniotów; szczerze żałowała królewiczowej i niezmiernie przywiązana do brata... Dopraszając się abyś mnie JWWCPani dobrodziejka przechowała w łasce swojej, zostaje z prawdziwym szacunkiem.

JWWCPani dobrodziejki, najniższą służą
L. Moszyńska.

Szczególném prawdziwie zdarzeniem i jakby w dowód oczywisty, ile się przywiązał do żony królewicz, od jój śmierci mocno chory, umarł po niej w kilka miesięcy. Została bez matki i ojca nieszczęśliwa księżniczka Marya. Bóg wziął ją w opiekę swoją, bo tak zwykł zawsze z sierotami czynić. Ledwie rok od śmierci rodziców upłynął, kiedy goszczący w Dreźnie książę sabaudzki, Karol *de Carignan*, upodobał ją sobie i pojął za żonę. Ta pani żyje dotąd; z dwojga dzieci, które mężowi powiła, córka Marya Elżbieta Franciszka zaślubiła 1820 roku brata cesarza austriackiego, arcy-księcia Rajnera, wice-króla lombardzko-weneckiego; syn zaś Karol Emanuel byłby panował kiedyś na tronie sardyńskim, gdyby śmierć nie była niedawno życia jego przerwała... Barbara zaś Świdzińska, sześć córek, z których pięć dotąd żyje, i dwóch synów powiła; z tych już dziś do sześciudziesiąt wnuków i prawnuków powstało, z tych jako z prawdziwych dzieci swoich, ojczyzna korzysta i korzystać będzie, a płeć żeńska cnót domowych wzory daje.

OBJAŚNIENIA

do Dziennika Franciszki Krasińskiej.

Tej powieści, która bez zaprzeczenia do arcydzieł pani Hofmanowej należy, brakuje przecież w niektórych ustępach dość ścisłej prawdy historycznej. Ciotka jój Lubomirska, naprzykład wystawiona, jakoby

wcale sobie związku swęj bratanki z królewiczem Karolem nie życzyła; a właśnie to jest pewnem, że przeważnie na skojarzenie go wpłynęła; mąż jęj bowiem nigdy bez jęj wiedzy i kierunku sam z siebie nicby przedsięwziąć i wykonać nie był zdolny. Lecz mniejsza zresztą o tę podrzędną niedokładność; więćj daleko żałujemy stokroć ważniejszego opuszczenia. Dziwna rzecz nawet, jak się to stać mogło? Panna Tańska żyła wśród blizkięj i doskonale jeszcze księżnę kurlandzką pamiętajacęj rodziny. Widać, że do *Dziennika* pełno drobnych szczegółów z ustnej zebrała tradycyi. Czemużby przed nią ukryto najwięćj zajmujące wspomnienie? a jeśli nie ukryto, czemużby ona pominęła je dobrowolnie? Choćto zmniejszało romansowy urok powziętęj na niewidziane do królewicza Karola miłości, to drugostronnie podnosiło historyczne znaczenie bohaterki i mogło zbudzić w czytelnikach, stokroć głębsze zajęcie. Alboż to mała chluba dla kobiety być pierwszą, jedyną i ostatnią miłością prawdziwie męzkiego serca? Kazimierz Pułaski miał podobno lat szesnaście, gdy poznał piękną starościankę nowomiejską w Maleszowęj (Maleszowa, ile słyszeliśmy, dziś Tarnoskałą przezwana, leży w obwodzie Stopnickim, w dawnym powiecie Szydłowskim). Poznał, i na całe życie pokochał. Towarzyskie położenie żadnęj zbyt trudnęj do przełamania nie stawiało między nimi zapory. Rodzina Pułaskich, szła z ubogięj wprawdzie szlachty podlaskięj; od wsi Kostro-Pułazic w okolicach Nurca nazwisko swoje wzięła; ale było to przecięz czysto herbownych karmazynów nazwisko, kiedy jw. panna Anna Pułaska rodzona siostra pana Kazimierza, wstępując roku 1755 do Kanoniczek, legitymowała się z ośmiu swoich nieprzerwanych herbów po mieczu i po kądzieli. Prócz tego już od pradziada Pułascy na wierzch wypływać i obywatelskie godności piastować zaczęli. Stryj ojca był pułkownikiem wojsk koronnych i starostą radenickim. Ojciec sam biegły prawnik, rzutki, czynny, niezłomnęj woli, a znakomitęj zdolności człowiek, trudnił się interesami Lubomirskich, Czartoryskich, Bielińskich i innych; lecz to ówczesnych przesądów nie raziło, zwłaszcza, gdy trudniący się był tak, jak Józef Pułaski, sam z siebie i z żony bogaty. Maryanna Zieleńska, krewna Radziwińskich, Rudzińskich, krewna kasztelanów i wojewodów, wniosła mu posagiem wiele wsi po różnych częściach Rzeczpltej, parę miasteczek nawet, a mąż wszystkiego rządnością i dobrą głową przysporzył. Znacząca to już i potrzebna stronictwom krajowym była osobistość, kiedy dwór o jęj zjednanie dla siebie z innemi współubiegał i starostwami darzył. Późnięj ta kolosalna fortuna szlachecka zupełnie się wyczerpnęła, wtenczas jednak gdy młodzieuchny Kazimierz odwiedzał Maleszowę, była w chwilach najpotężniejszego rozrostu, i od Wielkopolski do Podola przeszło sto folwarków i posiadłości ziemskich obejmowała. Stosunki przez Lubomirskich zbliżyły

zapewne starościca Wareckiego do pięknej Franciszki; wiek jego nie dojrzały musiał główną przeszkodę stanowić ze strony rodziców, gdyż nawet pannie daleko więcej się podobał, niż ów pręsuwający się w dzienniku kasztelaniec Kochanowski. Dopiero później, gdy ją wpływ ksiąząt Lubomirskich otoczył, gdy starania królewicza Karola głowę jej zawróciły, wrazenie pierwszych uczuć się zatarło. Po kilkunastu latach Kazimierz Pułaski w przejeździe swoim przez Drezno widział się z księżną kurlandzką, był u niej, parę godzin rozmawiali z sobą, a gdy biedny wrócił do czekającego nań przyjaciela, nie nad swoim, ale nad księżny losem się uzałił. „Purpura i honory nie dają satysfakcyi i ukontentowania. Ta biedna Franusia nie jest szczęśliwą.“ Z majątku i wszelkich funduszów ogołoczonemu, księżna kurlandzka przesała tysiąc dukatów do Frankfurtu. Pieniądze te ułatwiły mu podróż do Ameryki, gdzie w dniu 9 Października r. 1779 przy szturmie Savannach od kuli armatniej mając nogę urwaną, a strzałami karabinowemi pierś kilkakrotnie przeszytą; w niespełna godzinę skonał, z imieniem ukochanej swojej na ustach: „Oh! Franusiu! Franusiu! gdybyś...”

„Basia truchleje, żeby który z królewiczów nie przyjechał, a jabym tak rada. Ale inwestytura królewicza Karola na księstwo Kurlandzkie odprawiła się ósmego bieżącego miesiąca (Stycznia) uroczyscie.“ Żeby i wyniesienie i upadek księcia Karola zrozumieć, młodzi czytelnicy muszą przypomnieć sobie ostateczny układ między Zygmuntem Augustem i Wielkim Mistrzem kawalerów mieczowych Gotardem Kettlerem zawarty. Potem jeszcze wiedzieć im trzeba, że od wstąpienia na tron Augusta II-go Sasa, już zaczęły się pewne względem dalszych losów tej prowincyi zawikłania. W czasie wojen Karola XII-go, Szwedzi zajęli Kurlandya; kilkoletniego *Fryderyka Wilhelma* jej księcia, matka uwiozła za granicę. Po bitwie Poltawskiej, Rosyianie wkroczyli do Kurlandyi; Piotr Wielki jednak obiecał zwrócić ją Fryderykowi Wilhelmowi, jeśli tenże zaślubi synowicę jego Annę, córkę po carze Iwanie, starszym bracie Piotra. Fryderyk zgodził się na ten warunek. Wojska rosyjskie wyszły z Kurlandyi; młody książę pośpieszył do Petersburga, zaślubił carównę Annę; lecz wracając do swych posiadłości, rozchorował się i w Nordköping życie zakończył roku 1711. Tytularnie rządy objął stryj zmarłego książę Ferdynand, ostatni rodu Kettlerów przedstawiciel, stary, beżenny i ciągle w Gdańsku przebywający. W Mitawie zamieszkała księżna Anna, wdowa po Fryderyku; skupowała wszystkie dobra, jakie tylko były na sprzedaż podane, i wkrótce większa

część prowincyi przeszła w jej ręce. Tymczasem stany księstwa, z dwóch stron o swoją oddzielność zaniepokojone, w r. 1726 pomimo zakazu króla polskiego, choć Ferdynand żył jeszcze, obrały mu następcę w osobie Maurycyego Saskiego, który później był tak sławnym, *Maurice de Saxe*, marszałkiem francuzkim. August I-szy wybór stanów unieważnił, a Maurycy po bohaterskiej obronie, ze swojej awanturniczj wyprawy z niczém do Niemiec wracać musiał, a Kurlandya bez księcia obywać się musiała.

W r. 1730 Anna Iwanówna z Mitawy na tron rossyjski niespodzianie wezwaną została. W trzy lata później za jej pomocą August III utrzymał się przeciw Leszczyńskiemu, wywdzięczając się, r. 1736 wniósł na sejmie aby Kurlandya po zejściu ostatniego z Kettlerów miała prawo obrać sobie, on zaś miał prawo zatwierdzić obranego przez nią księcia. Sejm polski, pod grozą świeżych jeszcze wypadków, upadły na duchu, wniosek króla uchwalił. Niebawem też cesarzowa Anna oświadczyła, że prawa do wybierania podatków z dóbr swoich na rzecz Birona odstąpi i stany księstwa panem go swoim obrały. August III wybór ten zatwierdził. Po śmierci Anny, gdy Biron wraz z całą rodziną swoją z majątku wyzuty i na Syberyą wywieziony został, Kurlandya widząc się znowu bez naczelnego władzcy, chciała roku 1741 do rządów księcia Brunświckiego, męża ówczesnej regentki cesarstwa powołać, król polski stanowczo się temu oparł; wyznaczył za zgodą sejmu czterech konsyliarzy, aby sprawom Kurlandyi przewodniczyli, było to jednak zupełnie tylko honorowe przewodnictwo. Przez ten czas jednak zmieniały się postronne okoliczności. Na tron rossyjski wstąpiła Elżbieta Piotrówna; wmięszała się w wojnę przeciw królowi pruskiemu Fryderykowi II-mu i ściślejszą przyjaźnią połączyła się z naciśniętym przez niego domem saskim. W Polsce wytworzyły się dwa nieprzyjazne sobie stronnictwa: tak zwane stronnictwo dworskie i stronnictwo Familii. Oba w nadziejach swoich ku Rosyji się zwracały; pierwsze zabiegało o łaski panującej cesarzowej, drugie jej przysposobionemu następcy, a zwłaszcza żonie jego Wielkiej Księżnie Katarzynie starało się podobać. August III wysłał na dwór Petersburski ulubionego swego syna Karola, by ten próbował szczęścia, czy mu się nie uda przyzwolenia na objęcie Kurlandyi otrzymać. Królewicz Karol istotnie zaskarbił sobie w tym względzie przychylność Elżbiety, ale nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności Wielkiej Księżnie się naraził. Książęta Czartoryscy niechętném okiem na wyniesienie jego patrzeli, utrudniał je wysłaniec ich Stanisław August Poniatowski, a kiedy sprawa Inwestytury pod rozpoznanie senatu Polskiego przyszła, książę Michał Czartoryski w. kanclerz litewski ostro się odzywał, że król niema prawa lennością korony rozporządzać. Pomimo tego pięć głosów tylko poparło w. kanclerza, stu dwudziestu ośmiu senatorów zgodnie z wolą królewską głosowało i król syna swego jako kandydata stanom kurlandzkim

zalecił. Stany zaraz go też wybrały. Królewicz Karol otrzymał inwestyturę, jak to w dzienniku swoim Franciszka Krasieńska wspomina; niezwłocznie do Mitawy wyjechał, i wjazd bardzo świetny na stolicę swoją odprawił. Wkrótce potem wróciwszy do Polski, poznał i tajemnie zaślubił Franciszkę.

Według zdania francuza Rulhiera „piękność tej młodej osoby usprawiedliwiła nieroztropną namiętność, a cnoty zasługiwały na tak świetny związek.“ Co jednak najwięcej dziwiło znakomitego pisarza, to zachowanie się kraju całego w tej okoliczności. Jakkolwiek młoda małżonka nie zmieniła swego nazwiska i ciągle po domach krewnych swoich zamieszkiwała, wszyscy wiedzieli o jej zamęzciu — starego króla nikt przecież o tém nie zawiadomił. Burzyły się namiętności stronnice, dwór miał zawziętych nieprzyjaciół, wielkich panów rody jedne z drugimi w ciągłych żyły zatargach; lecz nie znalazł się ani jeden podstępny donosiciel, aby się ważył spokój rodzinny dogasającego monarchy zakłócać: szanowano cnoty matki i ojcowskie uczucia sędziwego starca. August III zszedł ze świata nie wiedząc wcale, iż syn jego, ze wszystkich dzieci najmilszy mu książe Karol, tak nieodpowiednie dumie saskiego elektora zawarł śluby. Mogły się one z czasem bardzo jednak korzystnymi dla niego okazać, gdyby się naród Polski w normalnym znajdował położeniu. Liczna koligacya Lubomirskich i Krasieńskich po jego stronie stanęła, ogólne współczucie wyraźnie za nim przemawiało i nie bez pewnych zasad mógł obiecywać sobie, że księstwo kurlandzkie pierwszym stopniem do tronu Polskiego będzie mu tylko. Na nieszczęście dla niego cesarzowa Elżbieta umarła. Następca jej Piotr III pozwolił Bironowi z wygnania powrócić, a w akcie inwestytury, czy przez niedbałość, czy przez złe wyrachowanie, prawa księcia Karola oparto nie na zniesieniu wszelkich praw jego poprzednika, ale na deklaracyi cesarzowej Elżbiety, że Biron nigdy nie wróci. Teraz, gdy wrócił, książe Karol poczuł grożące mu niebezpieczeństwo i śpiesznie w drogę do Mitawy się puścił. Został szlachtę kurlandzką niezadowoloną, stany niepodobnych od niego rzeczy wymagające, i niechęć cesarza Piotra w każdym stosunku osobistym i politycznym objawianą. Wrócił do Warszawy, aby się z ojcem o tak smutnym położeniu naradzić. Śmierć Piotra i wstąpienie na tron cesarzowej Katarzyny II-giej, znów go do Mitawy popędziło. Stał w niej jednocześnie z wojskiem rossyjskiem w pomoc Bironowi dodanem. Wtenczas pośród grożących mu niebezpieczeństw, książe Karol rozwinął więcej stałości i energii, niż się po jego dość miękkim charakterze spodziewać było można. Ścisłe we własnym pałacu obłożony, głodem naciśnięty, nie chciał się poddać, ani zrzec godności swojej. Ciekawym ustępem w tych zapasach odwagi i siły było przybycie czterdziestu z głębi Litwy młodych ochotników, którzy w czasie

rozpędzanych przez partję Familii wyborów trybunalskich, posłyszawszy o tćm, co się w Mitawie dzieje, siedli na koń i do księcia z bronią w ręku i z zapasem żywności się przedostali. Nie wiele to jednak sprawie jego pomogło, sejm w Warszawie za wpływem w. kanclerza litewskiego wymógł na królu odwołanie własnego syna; książę kurlandzki o tyle przynajmniej powagę zwierzchniczego państwa utrzymał, że dopiero jako postuszny lennik na rozkaz władzy swojej ustąpił. Dziennik Franciszki Krasińskiej bardzo tćż mało o Czartoryskich wspomina. Panna Tańska nie mogła zmieniać historycznego osćb stosunku, a nie chciała, choćby cudzym głosem, o tćj rodzinie mniej przychylnie się odzywać. Lekką wzmiankę tylko wsunęła, że się bohaterce pan Poniatowski nie podobał, a bohaterowi, t. j. księciu kurlandzkiemu kanclerzyna, czyli właściwiej podkanclerzyna litewska, córka właśnie księcia kanclerza, Sapieżyna, zanadto podobała.

XII.

Obiad Czwartkowy.

Opis wyjęty z nieznaných dotąd pamiętników.

„...Byłem nareszcie i ja na jednćm z owych posiedzeń czyli obiadów czwartkowych u króla Stanisława Poniatowskiego, o których marzyłem w snach moich śpiąc i na jawie, do których należćć sądziłem być najwyższym zaszczytem, których byłem ciekawszy jak Rozyna Paryża, a Muzulman raju. Byłem i przyznam, że co rzadko się trafia, rzeczywistość odpowiedziała prawie zupełnie oczekiwaniu mojemu; tyłkom ja sam nie odpowiedział sobie — bo w moich marzeniach, więććj miałem przytomności i dowcipu. To szczęście, tak oddawna żądane, a którego użyć na chlubę moją wcale nie umiałem, wczoraj mnie spotkało; za świeżćj

pamięci umieszczę w notatach moich, dokładny opis tego wszystkiego com tam widział i słyszał; będzie to niejaki wynagrodzenie za śmieszna w moim wieku nieśmiałość, będzie zasilek do zapasów, które zbieram od lat kilku w celu utworzenia z nich kiedyś zajmującego dzieła pod napisem: „Historya ludzi z którymi żyłem.“

Blisko od tygodnia w Warszawie, zaraz po przyjeździe starałem się być przedstawionym królowi i złożyć mu dzięki za wyświadczone mi dobrodziejstwo; pierwsze udało się: byłem na pokojach w niedzielę; król przyjął mnie uprzejmie i łaskawie; ale co o wdzięczności, ani słowa wspomnieć nie dał, owszem przeproszał, że dary jego tak późno mnie doszły. Historya wyda kiedyś bezstronny wyrok o Stanisławie Auguste, wiele mu zarzucić będzie musiała i dziś ma on już sobie przeciwnych; ale ktokolwiek do jego towarzysztwa jest przypuszczony, kto doznał jego dobroczynności, ten koniecznie powiedzieć musi, że trudno wystawić sobie uprzejmiejszego monarchę, któryby lepiej znał się na ludziach, delikatniej dobrze czynić im umiał, zgoła, wyborniejszego mecenasa. Gdy wychodząc z pokojów, koło mnie przechodził, rzekł łaskawie: „Proszę zawitać na czwartkowe posiedzenie.“ Te słowa niespodzianie w obec tylu wyrzeczone świadków, przejęły mnie radością; skłoniłem się nisko, a dostawszy nazajutrz formalną na czwartek inwitycyę, starałem się dowiedzieć, kto na ten obiad wezwany, do kogoby się przyczepić? Uczeni, ci przynajmniej, którzy mają szczerą intencyę być takimi, tworzą między sobą rodzaj rzeczypospolitej, i bez umowy schodzą się i zbierają w też same miejsca. Tegoż więc dnia zdybałem niemal tych wszystkich, którzy mieli być na czwartkowym posiedzeniu, i dowiedziałem się, że jeden z nich Franciszek *Zabłocki* *),

*) Franciszek Zabłocki, urodzony w r. 1754, sekretarz komisji edukacyjnój, po stracie ukochanej żony, w 36 roku życia swego, kaptań-

ma w ten dzień podać królowi nową komedję swoją, wraz z odą na cześć Monarchy napisaną. Ponieważ nie w jednem miejscu, od dzieci i od starych, od panów i ubogich, ten dobrze widziany i przyjęty, kto z pełnemi rękami przychodzi, umyśliłem na ów mądry obiad przyczepić się do Zabłockiego. Jakoż i on chętnie na to przystał. Z Zabłockim znam się nie dawno; młodszy jest odemnie lat kilkanaście, wabi mnie jednak ku niemu skłonność taka, jak gdybyśmy chowali się razem; on jest dowcipny, wesoły, nawet krotofilny, zwłaszcza między swemi: ja przecież dostrzegłem pod tą ucieszną barwą smutek ukryty i rzewność myśli, i może to ze mną podobieństwo skłonności całej przyczyną. Człowiek rad widzi podobnych sobie. Zabłocki, który ledwie ma lat dwadzieścia i kilka, piękną już pozyskał sławę. Jest dotąd, a może będzie na czas długi, najcelniejszym komicznym pisarzem Polski; łączy znajomość sztuki dramatycznej i serca ludzkiego; panem jest języka, którym włada według woli a zawsze szczęśliwie.

Król zowie go swoim Moliere; bardzo jego prace lubi, i nawet, co nie zawsze drugim pisarzom uchodzi, gminnym i swawolnym mu być pozwala. Jest to może przywilej po mistrzu; a Stanisław August, któryby dosyć pragnął wyjść na Ludwika XIV, może nie śmie delikatniejszych od niego mieć uszów. Niedawno Zabłocki dostał medal z napisem *merentibus*; zaszczyt dotąd znakomitszy od wielu orderów, bo nie tak pospolicie. Bardzo więc byłem rad temu, że taki nawinął mi się przewodnik, i z większą jeszcze niecierpliwością, bo pewniejszy powodzenia, oczekiwałem owego ezwartku. Nadszedł—o trzy kwadransie na drugą ruszyliśmy

ską przywdział suknię i umarł plebanem w Końsko-Woli. Autorem jest wielu dobrych komedyi, pięknych wierszy, i wyborym tłumaczem Amfityryona, Moliere.

remizą w mundurach województw naszych, wyfryzowani i wypudrowani, przy szpadach; zdawało mi się żem podrósł, i na wszystkich których spotykaliśmy, patrzałem z góry. Wjchawszy na dziedziniec, stanęliśmy przed korpusem zamkowym i weszli na marmurowe schody, które lubo bardzo piękne i eleganckie, nie są przecież wspaniałe. Rozstawiona służba pokazywała nam z kolei dokąd udać się mamy; przeszliśmy pokojów kilka: każdy z nich tchnie tym gustem, który odznacza wielkie i drobne dzieła, wykonane pod okiem Stanisława Augusta. Posiada on bowiem ten przymiot w najwyższym stopniu; dostał go od natury, rozwinął sztuką, zapatrywaniem się na piękne wzory i stolica długo jaśnieć będzie tém, co on w nięj zostawi.

Doszliśmy nareszcie do wspaniałej sali pędzlem *Bacciarellego* *) ozdobnej, drogiej każdemu Polakowi, gdzie się uczestnicy czwartkowych obiadów zwykle zbierają. Nie było jeszcze żadnego i rad temu byłem, bom się mógł przypatrzyć pięknym, szacownym malowaniom i popiersiom, myśleć z dumą o czasach i ludziach których wystawiają. Tu Kazimierz Wielki prawa swe nadaje; tu Zygmunt August hołd księcia pruskiego przyjmuje; tu pokój z Turkami przy zwłokach Chodkiewicza zawarty, tam Jan III wyjeżdża do Wiednia, a wkoło na kształtnych podstawach stoją sławnych mężów popiersia. Tu ojciec poetów a przeto i mój, Jan Kochanowski; tam chluba nasza przed obcymi, Kopernik i Sarbiewski, tu mój wzór i rozpacz moja, Sielski Szymonowicz; tam nasz Salomon, mądry Lubomirski.

Kiedym w zachwyceniu chodził od obrazów do popiersiów, więcęj tym jeszcze się przyglądając, stał się jakby cud; jeden z nich ożywiony, stanął przedemną. Był to Na-

*) Marcelli Bacciarelli, Włoch rodem, osiadły w Warszawie, umarł 1798 r. mając lat 86.

ruszewicz *), którego król dosyć uczyć nie może, nad wszystkich żyjących i zmarłych Polaków chciałby go przynieść. Nie przeczę wielkim talentom biskupa smoleńskiego, ale pomimo dworskich pochwał, popiersia i medalu, nie mogę kłaść go wyżej od Sarbiewskiego, a na równi z Krasińskim; złe języki mówią, że pochlebstwo tak wysoko go podniosło i trzyma: jeżeli tak jest, to kiedykolwiek spadnie! pochlebstwa są sztuczne skrzydła... Ale jeżeli spadnie jako poeta, proza utrzyma go zawsze w świątyni sławy, i prace jego historyczne wiecznie trwać będą. O nich też mówiłem mu cokolwiek, a przynajmniej mówić chciałem, gdy zbliżył się do mnie; bo choć już parę razy byłem u dworu, i od dawna z wielkimi panami przestaję, jeszcze nie dworak i podobno nie będę nim nigdy: mniej będzie na starość chleba, ale cnoty więcej.

Wnet po Naruszewiczu przybył Ignacy *Potocki*, ów obywatel prawy, człowiek świątły, uczony, dobrze myślący, przyjemny, który cnoty domowe i publiczne połączyć umie, a którego los tak srodze w najdroższych przesładuje związkach. Smutek był na jego twarzy, i smutek, który jak nudy rodzajem jest zarazy, wszystkich nas przejmować zaczynał, kiedy wpadł wesoło młody, dorodny mężczyzna i wszystkich ożywił. „Co za pomyślne zdarzenie! zawołał kłaniając nam się i modnie i grzecznie; wszakci to pan *Bielawski* **) nie długo przybędzie. Nie mógł mi król Jmć większej sprawić przyjemności jak wzywając mnie z nim razem.“ „Nie dla twoich

*) Król, jak wiadomo, popiersie Naruszewicza, lubo żyjącego w tej sali umieścić.

**) Józef Bielawski, urodzony około 1739 r., zmarły 1809, pisał komedye, które lubo nudne, nie były przecież zupełnie pozbawione zalety; inne jego poema mniej były warte, zwłaszcza poema: *Rzeź Humaniska*, w którym i takie wiersze zdybać można: *A w kraju zniszczonym świnia nie została.*

to pięknych oczu, starościcu, powiedział Naruszewicz, ale króla bawią czasem wasze spory.“ „Ciekawym był jednak, ponowił przybysz, jak Bielawskiego głupi żołądek, strawić może mądry obiad czwartkowy; on kiedy umrze z indygesty w piątek, a ja na grobie jego ten epitaf wyruję:

„Tu leży Bielawski--szanujcie tę cisze,
Bo jak się obudzi, komedję napisze.“

Mimowolnie rozśmieliśmy się wszyscy, nawet smutny Potocki, a ja choćym go nie był widział dawniej, po tych słowach i wierszach poznałbym Kajetana *Węgierskiego* *). „Szkoda tego młodzieńca, szepnął mi Zabłocki, on złą drogą idzie, a dowcip ma wielki: Wolter zawrócił mu głowę, chce być polskim Wolterem; nie mogąc w dobrém mu sprostać, w złém go naśladowuje; Bielawski jest jego Freronem. Prawda, że był autorem pierwszej komedyi graněj przed królem przy odrodzeniu się teatru polskiego; prawda, że mówią iż nieco ma być chciwy, służy panom za przedmiot zabawy a dukaty od nich łąwi; prawda, że nie tęgı poeta: ale przecieź nie godzi się tak z nikogo szydzić, zwłaszcza, kiedy ten cichy i nieśmiały, odcinać mu się nie umie... Ale otóż wchodzi.“

Jakoż drzwi się otworzyły i wszedł chudy, wysoki, pokorny mężczyzna, a nie mówiąc ani słowa, kłaniał się wszystkim uniżenie, Węgierskiemu jeszcze niżej. „Cieszę się ze zdrowia dobrego, Mości Panie Bielawski, wyrzekł zadzierając nosa śpiewak organów, widać że reumatyzmu w krzyżach niema, żeś odpoczął po *rzezi Humaniskiej*. Ślicznież to poe-

*) Kajetan Węgierski, starościc korytnicki, szambelan króla Stanisława, urodził się r. 1755, umarł w r. 1787 w Marsylii, gdzie pochowany, w młodym wieku, bo mało zdrowia szanował. Wybór pism jego drukowany jest w Tomie I Wyboru pisarzów polskich, edycyi Mostowskiego.

ma! a kiedy wyjdzie, bośmy już pieniądze na prenumeratę złożyli?“— „Wkrótce, odpowiedział Bielawski, ręk zaciera-
jąc, Jmć pan *Gröll* *) taki zatrudniony“... — „Może to kie-
szeń Wmćpana w takim stanie, jak kraj w czasie téj
okropnéj rzezi... A teatrum kiedy będziemy mieli, wszak
Wćpan otwierasz nowe?“ „Chciałbym, odpowiedział Biela-
wski, podnieść jeszcze bardziej sztukę dramatyczną w Pol-
sce, ale jeszcze mi się nie bardzo powodzi; myślę Najja-
śniejszego Pana błagać o pomoc...“ „Gdybym miał, jakie
znaczenie u Króla Jmci, użyłbym go chętnie w tak pięknej
sprawie, przerwał Węgierski; smutne téż czasy, już tak da-
wno w stolicy śmiać się z czego nie było. Ale mam obie-
caną Szambelanę, wtedy bliżej monarchy nie przepomnę
teatrum Wćpana.“

Kiedy tak mówił prędko, a Bielawski myślał pomału
czy i jak się odciąć, weszło razem dwóch exzwoleńników Lo-
joli **); oba poważni, a jeden już sędziwy: pierwszym był
znany mi dobrze Karol *Wyrwicz* ***), ów autor pierwszój
w języku ojczystym jeografii politycznéj, krytyk trafny i bie-
gły; drugim Franciszek *Bohomolec* ****), który to prócz in-

*) Gröll, drukarz nadworny królewski, z pod pras którego wiele
wyszło dzieł wzorowych.

***) Zakon Jezuitów został zniesiony w r. 1773.

****) Król Wyrwicz, urodził się 1716 r., umarł 1793, kapłan zgroma-
dzenia Jezusowego, później opat hebdowski, mąż z wielu miar znakomity.
Prócz wzmiankowanej jeografii politycznéj, dzieła wielce użytecznego,
pracował wiele w przedmiotach historycznych i w rodzaju krytycznym. Pa-
miętnik Świtkowskiego, w owym czasie wychodzący, miał w nim biegłego
i surowego sędziego.

*****) Franciszek Bohomolec Jezuita, pierwszy pisarz komedyi w ję-
zyku ojczystym, zostawił ich przeszło 30; jest w nich dowcip, ale prócz
innych ważnych uchybień, brak znajomości świata postrzegać się w nich
daje. Pisał i inne rzeczy, jako to: życie Jana Zamoyskiego, Jerzego Osso-
lińskiego, o języku polskim, zabawy oratorskie i t. d.

nych dzieł historycznych, bardzo gruntownych, pierwszy w języku polskim komedye pisać zaczął; naprzód jedynie dla młodzieży szkolnej, której był nauczycielem, a potem dla wszystkich i to obficie. Ich przytomność nie ukróciła języka Węgierskiego. „Ale, ale Mci panie Bielawski, powiedział na głos, mam też do Wcpana dobr. wielką prośbę.“ „Rozkazać proszę!“ rzekł tamten. „Oto, chociaż ja nie król *), chciój na moją instancję wydać jeszcze jedną komedję, ale w ten sposób: Weź treść z Moliera, niech ci Potocki z Wyrwiczem rozkład zrobią, Karpiński da rymy, Zabłocki wiersz napełni, i napisz u spodu tytuł (którego inwencję ja na siebie biorę): „Na prośbę Jmć pana Kajetana Węgierskiego, Starościca, nie pisałem wcale tej mojej komedyi.“ „Obiecuję ci sutą suskrypcję; sam ją zbierać się podejmę.“

Odpowiedź Bielawskiego już gotową, jakem miarkował po zbladłej jeszcze twarzy i gryzionych wargach, zatrzymało za zębami przybycie kilku dworzan, którzy oświadczyli, że król Jmć przeprasza, jeżeli ci panowie czekają; jest w malarni i wnet przybędzie.“ „To wyśmienicie że jest w malarni, zawołał Naruszewicz, dobrzej myśli w czasie obiadu będzie.“—„W rzeczy samej, powiedział mi wtedy Wyrwicz, do któregoś się był zbliżył, król tak namiętnie lubi piękne sztuki, zwłaszcza malarstwo, architekturę, snycerstwo, że najszcześliwszy kiedy przestawać może z artystami lub przypatrywać się ich dziełom. Co środa daje dla nich obiady, i mówią, że je woli od naszych czwartkowych. Ma zawsze koło siebie kilku sławnych malarzy, którym nieskończone daje roboty. Cassanelli umyślnie z Wenecyi sprowadzony, maluje mu widoki Warszawy i jej okolic; Bacciarelli wykonywa historyczne obrazy, a najczęściej twarze kobiet z pierwszych piękności naszych bierze i wybornie

*) Bielawski napisał i wydał na rozkaz króla komedję *Natréty*.

trafia. Tenże Bacciarelli równie utalentowany jak pracowity, jest na czele malarni zamkowej; tam pod jego przewodnictwem wielu z młodzieży odkrywa, rozwija przyrodzone talenta; król w tój malarni skoro może, całe godziny przesiaduje: sądzi, zachęca, gani, chwali, ocenia. Choć sam nie rysuje, tak biegłym jest znawcą i oko tyle ma trafne, że nieraz samemu Bacciarellemu uwagę jaką robi; ten według niój poprawi, doda lub ujmie, i robota jego zawsze na tój uległości zyszcze. Wszystkie te piękne gmachy za dzisiejszego panowania powstałe, wzory dobrego smaku, chociaż przez biegłych architektów stawiane, nie byłyby przecież takimi, gdyby król sam każdego planu nie był rozważył, poprawił, a często i w wykonaniu zmienił. Pałac w Łazienkach trzeci raz się upiększa, ale tóż i potomność nazwie go bezwątpienia gustowném pieścidle. Patrz w jakie to król szczegóły wchodzi.“ I to powiedziawszy, zaprowadził mnie do marmurowego stolika, na którym był ustawiony model sali Łazienkowskiej; ściany obite jak być miały, obrazy, kolumny, krzesła, inne sprzęty.—„Každy pokój znaczniejszy tak pierwój dla króla wypracowanym bywa, powiedział jeczce Wyrwicz; on co mu się nie zdaje odmienia, co się podoba zostawia, i już potém na pewno wszystko robią.“

Jeszcze to mówił, kiedy hałas dał się słyszcć; podwoje otworzono i król wszedł. Nie jest on wzrostu bardzo wysokiego, ale tak szlachetnej i znaczącej postawy, oczy jego czarne są tak piękne i ujmujące, rysy twarzy tak regularne, i cały układ tyle miły i poważny, że chociaż strój jego przepychem oczu nie zwraca, natychmiast między dworzakami rozeznac go trzeba. Miał na sobie mundur kadecki, order Orła białego, a na szyi orzeł pruski; nosi go zawsze z tój przyczyny, że dostał go nie będąc królem i dla tego jest mu miłym. Dostyc liczny otacza go orszak: doktor nadworny Bekler, adjutant na służbie będący; dwóch szambe-

lanów, uczony Wybicki i wyszarmentowany Kownacki, dwóch paziów, piękny Narbut i śmiały i figlarny Turkuł. Stanęliśmy wszyscy rzędem, król do każdego przystępował, każdemu coś uprzejmego powiedział. Kiedy na mnie kolej przyszła, wyrzekł łaskawie: „Witaj między nami i bądź posiedzeń czwartkowych ozdoba!” Przeszedłszy tak koło nas, udał się do pokoju gdzie stół był nakryty i my za nim poszli. Przechodziliśmy przez inny bardzo zajmujący, w którego ścianach wykładanych marmurem krajowym, oprawiane są w złoto portrety wszystkich królów polskich, pędzla Bacciarellego; jedliśmy zaś w pokoju obok będącym, żółtym adamaszkiem wybitym, gdzie są znowu portrety tych, których król od początku przypuszcza do uczonych obiadów. Po większej części malował je pastelami, *Marteau* francuz, i są wybornie trafione. Konarski, Kopczyński, Piramowicz, Ogrodzki, i inni jak żywi, mowy im tylko brakuje *).

Stół był okrągły, na dziesięć osób nakryty; koło króla, po obu stronach bardzo szerokie zostawione miejsce, dalej stołek obok stołka. Król usiadł, stanęła koło niego i za nim dworska służba, szambelanowie, pазie; stanął opodal Lociński podczaszy, w polskim stroju, poważny, właśnie jak na podczaszego przystało: król wezwał koło siebie Naruszewicza i Potockiego, my umieściliśmy się jak któremu wypadło: jam usiadł między Zabłockim i Wyrwiczem, wprost portretu Konarskiego, który mi jest wielce drogi. Ledwośmy posiadali, i wraz nam było, kiedy król powiedział: „Coś dziś szeroko u stołu mego, trzeba tu kogo jeszcze wezwać. Mości panowie zsuńcie się. Prosić pana szambelana *Łojko* **)

*) Te portrety były później w sali Komisji Oświecenia.

***) Feliks Łojko, mąż wielkich cnót obywatelskich i głębokich wiadomości; sławnym jest jego *historyczny wywód* w r. 1773 wydany. Wielkie materiały zebrał do historii i ekonomii politycznej, ale śmierć zawczesna nie dozwoliła mu wydać owocu tej pracy na widok publiczny.

od marszałkowskiego stołu. Jemu przystoi być na uczonym obiedzie.“ Na te słowa króla, Potocki przeprasząc uprzejmie sąsiada swego Bohomolca, prosił go żeby się odsunął i miejsce dla Łojki obok niego zrobił. Ci dwaj mężowie: Potocki i Łojko, takąż miłością kraju tchnący; równie o dobro jego i sławę troskliwi, lubią być razem: swój swego szuka.

Przyszedł wnet Łojko, podziękował królowi za łaskawe wezwanie, skłonił się nam wszystkim, a zobaczywszy się Potockiego sąsiadem, wyraźnie się ucieszył; oni obadwa zyskali zapewne na tém zbliżeniu, może i Rzeczpospolita zyskała, ale obecni stracili; bo ile przyzwoitość dozwoliła, tyle rozmawiali między sobą, jak widać było o rzeczach ważnych. Gdy usiadł Łojko, król nieznacznie porachował siedzących: „O! mości panowie! zawołał, źle; nie do pary nas jest: dwunastego koniecznie potrzeba. Chciejcie spróbować, pewno jeszcze miejsce się znajdzie.“ Znowu stołki były w ruchu: zacząłem się przysuwać do Zabłockiego, odsuwając się od Wyrwicza jak mogłem najdalej; jakoś mi przykro było: rad byłbym uczynić się maleńkim jak dziecię, i wyznaję, że gdyśmy tak już ściśnięci byli, że łokcie koło siebie trzymać należało, z mimowolną zazdrością patrzyłem na szerokie po obu stronach króla pole, myśląc sobie: „Niedoświadczony może i z dobrego serca przykrość drugim zrobić; boć ta chęć widzenia wielu osób u stołu swego początek ma w dobrém sercu.“ Gdy król zobaczył, że zrobiło się miejsce jakie takie: „Proście pana szambelana *Wojny* *), powiedział; on tu nie zawadzi. Pan Węgierski i Bielawski wpuszczą Wojnę między siebie.“ „I tak już jest oddawna między nami!“ powiedział śmiało Węgierski: rozśmieli się wszyscy, nawet

*) Wojna, szambelan, starosta stanisławski, poseł do Wiednia, znany z nauki i przyjemności rozumu.

Bielawski, który zwykłym sobie cichym głosem tak się odezwał: „Kiedyc ma już być koniecznie Wojna między nami, niechże takiego będzie rodzaju!“ „O, prawda! dodał król, bodaj takie wszystkie bywały!“

Tymczasem zupeł rozdali: był to barszcz wyborny z uszkami, tryumf pierwszego kucharza królewskiego Tremona, który chociaż Szwajcar, doskonale wszystkie potrawy polskie przyprawia.—„Założyłbym się, że w tym barszczu więcej niż dwa grzyby!“ powiedział Węgierski, zbierając brząkającą łyżką ostatnie krople z talerza. „Niezupełnie taki musiał być barszcz u ojców naszych, jeżeli tylko jeden kładli?“ dodał Wojna. „Nie zazdroszczę im téż wcale, ponowił tamten, a i dla barszczu

Bardzo mi jest miło,
Że dziś mi się żyć zdarzyło.“

„Szczęśliwy humor! rzekł poważnie Wyrwicz, bodajbyś, mój starościcu, po najdłuższem życiu to samo powtórzył.“ „Smutne myśli dobywać przy stole, jest to samo co w przedpokoju dobywać szampana,“ odpowiedział żywo Węgierski.— „Zły użytek Wirwicza!“ dodał śmiejąc się Naruszewicz; a w ciągu téj ucinkowej rozmowy wysypały się jakby z rogu obfitości różne przysmaki: wędliny, marynaty, kiszki, kiełbasy, paszteciki różnego rodzaju; wszystko wykwintne i wyborne i dla smaku i dla oka. Król brał ledwie nie z każdego półmiska, jadł jakby nie smakując, ale dużo i nadzwyczajnie prędko. Zważałem jak Bekler obok Naruszewicza siedzący, z niespokojnością na ten pośpiech spoglądał; nareszcie rzekł: „Najjaśniejszy Panie! a *Trales?*“ *) „Poczciwy mój Beklerze! zawołał król na tę odezwę, i uśmiechnął się mile; już lepiej sprawić się zaczę.“—„Cóż to znaczy?“

*) Trales, lekarz najślawniejszy w owym czasie.

spytał się Naruszewicz.—„Nie wiecie, mości panowie, mówił dalej król, co ten Bekler zrobił. Oddawna mnie przestrzega, żebym nie jadł tak prędko jak mam zwyczaj, gdyż to zdrowiu szkodzi; jam go nie bardzo słuchał, lubo mu bardzo wierzę. Cóż on robi? bo przyznaj się Beklerku, że to rzecz ukartowana; namawia sławnego Tralessa, ażeby mnie w tój mierze zastraszył: oddają mi dziś rano list ogromny, w którym z całą nauką swoją, ten mądry lekarz dowodzi mi szkodliwych skutków prędkiego jedzenia, grozi, Bóg wie nie jaką chorobą.“—„Ale coś ten fortel nie bardzo Jmć panu Beklerowi się powiódł;“ wymówił z uśmiechem sędziwy Bohomolec. — „Powiódł się, rzekł na to król, bo mi dowiodły życzliwości przyjaciela, troskliwe jego o moje zdrowie starania.“ I to mówiąc z uczuciem spojrział na Beklera, który także był rozrzewniony, i te jedynie zdołał wyrzec słowa: „Zdrowie dobrego króla zdrowiem jest narodu: wielka odpowiedzialność na lekarzu jego spoczywa.“

Przez ten czas skończyły się wstępne obiady przysmaki, któremi najeść można się było zupełnie; podczaszy Lociński nalał królowi drugi kieliszek wina i nasze powtórnie napełnione zostały; rozszedł się zapach rozmaicie przyprawianych sztuk mięsa; służba pokrajawszy je subtelnie, zaczęła roznosić: jeden z nich ogromny dźwigając półmisek, podając go królowi, wyrzekł uroczyście:—„baran!“ Król odpowiedział wykrzyknikiem: „A!“ i tak działo się z kolei na około całego stołu; a przez minut kilka wyraz baran i wykrzyknik A! jedynie były słyszane; każdy zaś nakładał sobie kopiaste talerze, jadł i chwalił. Spytałem się Zabłockiego, coby to znaczyć miało, czy to ceremonia jaka? „Nie, odpowiedział, ale król nad wszystkie mięsiwa baraninę przekłada; codzień musi być na stole jego, a że Tremon tak ją przyprawą odmienia, iż czasem trudno poznać co to jest? mają rozkaz roznoszący oznajmiania w takim razie godność półmiska po-

dawanego każdemu; a każdy jak widzisz, raduje się, bierze jé i chwali.“

Właśnie dojadła król ulubionéj sobie potrawy, kiedy wszedł Tremon, nadworny kuchmistrz, czyli *Maitre d'hotel*, brat kucharza. Dosyć bowiem szczególném, a wielce pomyslném zdarzeniem, dwóch braci dostało się w służbę króla; jeden urządza, drugi wykonywa: panuje między niemi braterska zgoda; i z téj przyczyny stół królewski tak dobrze urządzony i smaczny, jak rzadko którego monarchy. Szkoda że to szczęście króla Stanisława wyżéj nad stół nie sięga!... Tremon człowiek wcale do rzeczy, pełno i porządnie ma w głowie, jak w dobrze urządzonej spiżarni: botanik biegły; skoro wszedł, król powitał go temi słowy: „Jak się masz Tremonku, uraczyłeś nas dzisiaj; był barszcz, kielbasa, jest baran. Powiesz bratu, dodał, ostatnie kładąc do ust kawałki, że wybornie przyrządzony.“ „Zda mi się, że tu imbiéru użyto, powiedział Naruszewicz i przedziwnie smakuje.“ „Jam téż nigdy jeszcze imbiéru jak rośnie nie widział,“ rzekł król. „Najjaśniejszy Panie, odezwał się na to Tremon, wszak niedawno, w Łazienkowskim trebhauzie pokazywałem WKMości roślinę imbiérową, która jest ślicznie utrzymana.“ „Pamiętajże pokazać mi ją raz jeszcze, bo nic nie pamiętam. Złego ucznia ma Tremon ze mnie, botanika nie chce mi iść w głowę.“—„Tyle w tę głowę już weszło, wymówił tu biskup smoleński, że miejsca zabrakło.“—„Nie żartuj, ponowił król, ale wierz, że do całej ogrodniczéj sztuki ani talentu ani téż gustu nie mam. Nie będą mieli Polacy ogrodów po mnie.“ „WKMość lubisz jednak drzewa i wody,“ powiedział Bohomolec. „To prawda, zwłaszcza téż wody, i wielką w tych dniach z tego względu miałem pociechę. Mój *Merlini* *) mnie

*) Merlini. architektka i hydraulik króla Stanisława. Co obiecywał, spełniło się; później król przemieszkując zwykle przez lato w Łazienkach, bardzo często przyżywał w ten sposób pod zamek Warszawski.

przekonał, że tyle wody będzie w Łazienkach, i takie m potrafi sporządzić kanały i szluzy, że ja wsiadłszy przed pałacem, na bacie wygodnym tu do zamku sobie przypłynę.“ „Ślicznie to będzie, przebąknął Potocki, który na chwilę przerwał z Łojką rozmowę, ale dochodzą mnie posłuchy, że nie bardzo się cieszy *Mokotów* *) na Łazienek piękności.“ „Doszły one i mnie, powiedział król, ale mam nadzieję, że jako między sąsiady krwią i przyjaźnią złączonemi, nie powstanie ztąd żaden proces. A gdyby powstał jaki, mianuję zawczasu wpana, mcipanie Potocki, polubownym na ten kompromis sędzią.“ Skłonił głowę Potocki, a król mówił dalej: „Łazienki są prawdziwie moją rozkoszą; tak się niemi cieszę, jak ojciec tém dziecięciem które najlepiej się uda: upatrzyłem sobie znowu wczoraj śliczny widok na Czerniaków, i wprost wyciąć kazałem.“ „Najjaśniejszy Pan zawsze lubi mieć przed sobą piękne i dalekie widoki,“ odezwał się tu Węgierski. „Wolę patrzeć dalej jak wstecz, albo przed siebie.“ „I słusznie,“ szepnął Łojko do Potockiego; ale tego nikt prócz nas dwóch nie słyszał, chociaż po odpowiedzi króla nastąpiła dosyć długa chwila milczenia...

Jak to zwykle w takim razie bywa, przerwało to milczenie trzy głosy razem; ale ponieważ jeden z nich był królewski, tante dwa w połowie słowa umilkły. Król właśnie coś do mnie przemówił, jam niezupełnie usłyszał, a pytać nie śmiałem; skłoniłem się więc tylko i przebąknąłem kilka słów niewyraźnych, bez związku, za co dotąd na siebie się gniewam; bo czyż nie miałem tyle ułożonych w domu conceptów na każdą okoliczność? Król chcąc zapewne ściągnąć ze mnie pomieszanego uwagę kompanii, odwrócił się do otaczającego go orszaku, a spojrzawszy na szambelana *Kowna-*

*) Właśnie w tym czasie księżna marszałkowa Lubomirska stwarzała *Mokotów*, wodami ściągniętymi z tego miejsca zasilaty się Łazienki.

kiego *), który stał świeży jak z igły zdjęty, a pachniał jak kwiatek włoski, zapytał się czy rybacy nie wyratowali mu czego z Wisły?—„Ta kamizelka i te inne ubiory, w które się dziś wystroił, odezwał się tu Węgierski, to jedne ze stu par, co mu zatoneły; wydobyto je z brzucha szczupaka, połknął je, myśląc na te bławaty, że to już szambelan.“— „Gdybyć choć takim sposobem jakaś partya mojej garderoby wyratowaną była! wyrzekł z westchnieniem Kownacki, ale nie! wszystko stracone!“—„I szambelan zgubiony! jęknął paż Turkuł.—„A, pierwszy raz też głos Turkuła słyszę, wymówił król; dla czegożeś dziś taki posepny i milczący?“— „WKMość więc, choć zapewne nie zna, jaki to skutek głód na Polaku czyni;“ rzekł śmiały paż! „Domyślam się co to ma znaczyć. Podać mi wody!“—Podali paziowie wody, a Turkuł zawołał: „Teraz będę miał rozwiązane usta, ale teraz też odejść muszę.“—A skłoniwszy się nam pociesznie, wyszedł wesoło wraz z drugimi; bo wiedzieć trzeba, że póty nie odchodzą dworzanie na służbie będący do marszałkowskiego stołu, póki król tego znaku nie da.

„Dobry jest bardzo zakład paziów przy dworach, powiedział król skoro odeszli; dwudziestu czterech dziarskiej młodzieży dziką pustynię rozweseliłoby mogło.“—„I Waszój Królewskiej Mości wybór paziów szczęśliwie się udaje,“ rzekł Naruszewicz.—„Mam ich zwłaszcza kilku, których bardzo lubię,“ odpowiedział król; za dniami służby Turkuła niemal tęsknię, bo mnie jego śmiałość i pustoty niezmiernie bawią; ale są między niemi i młodzieńcy z gruntowniejszemi talentami. Nie uwierzcie mości panowi, jak *Lesseur* **) pięknie

*) Kownacki szambelan, głośny wówczas z wytworności w stroju. Przypadek wspomniany przez Węgierskiego zdarzył się istotnie jego garderobie, z wielką uciechą dworu i miasta.

**) *Lesseur*, naprzód paż, potem szambelan królewski, dotrzymał co przyobiecał; miniatury jego od znawców są bardzo cenione, tak dla podobieństwa rysów jako dla delikatności pędzla.

rysuje. Mój Baccierelli mówi, a jemu wierzyć można, że to wielki miniaturzysta będzie. Widziałem dziś jego roboty i bardzo byłem kontent.“—„WKMość dziś długo bawiłeś w malarni?“ odezwał się Wojna.—„Wiele rzeczy mi pokazywał mój Bacciarelli; *Smuglewicz* *), który ciągle bawi we Włoszech, przysłał znowu dowód swego talentu i pracowitości; coraz więcej włoskiem niebem przechodzi. W pracach tutejszych uczniów dostrzegłem także z radością dwa znakomite talenta, młodego *Kubickiego* **) do architektury, *Vogla* ***) do rysunku; obudwóch muszę wkrótce także do Włoch wyprawić.“—„Jak też wiele Polska w tym względzie będzie winna WKMości, powiedział tu Potocki, prawdziwie to panowanie będzie odrodzeniem kunsztów i nauk.“—„Widziéć piękne sztuki i literaturę na wysokim stopniu, przyczynić się do tego, jest mojem najgorętszém życzeniem, odpowiedział na to król. Robię ku temu co mogę, a gdyby mi kto pokazał, co jeszcze uczynić należy, robiłbym i więcej.“—„Wasza Królewska Mość, jeśli sobie pozwolisz powiedzieć, zanadto już czynisz, odezwał się tu Węgierski; nie w sztukach pięknych, bo widać po owocach, że przyzwoite są koło nich zachody, ale w literaturze... Tłum pisarków od lat kilkunastu stopnie tronu WKMości codzién zarzuca szpargałami, coraz mniej godnych przybyszów do mądrych półmisków przypuszczonych widzimy, (tu Zabłocki i ja zmieszaliśmy się nieco), a ty Najjaśniejszy Panie, nie odrzucasz nikogo, na wszystkich jesteś łaskaw, wszystko chwalisz. Pochwałami

*) Franciszek Smuglewicz—jeden z najstawniejszych dotąd malarzy i rysowników polskich.

**) Jakób Kubicki—wspomnieć należy, że gdy szło o plan na gmach wielkiego znaczenia, gdy król mistrzów zagranicznych i swoich wezwa do nakreślenia go, Kubickiego robota pierwszeństwo uzyskała.

***) Zygmunt Vogel, zmarły niezbyt dawno, professor rysunków w uniwersytecie warszawskim.

przecież szafować nie dobrze, zwłaszcza panom, bo wielu chwali dzieło nie dla tego że dobre, ale że się komu znakomitemu podobało, albo że autor jego zjadł obiad mądry obok majestatu.“

Słuchali wszyscy z niejakiem zdziwieniem tój śmiałej i dość długiej mowy; jam się ledwo nie zadławił kością wybornego kwiczoła, bom myślał że to i do mnie przytyk, a król powiedział: „Czemuż tedy wspan, mości panie starościcu, nie piszesz więcéj, i nie pokażesz drugim jak pisać?“—„Od świtu do późnej nocy próżnować, moja robota cała, odpowiedział wesoło.“—„I jeść i zapijać, dodał Wojna, bo w rzeczy samój, w zacznój liczbie półmisków, potraw, jarzyn, ryb, melszpejzów, pieczystego, ciasta, które ciągle roznoszono, on mało który opuścił, każdy dzielnie popijał, a właśnie trzymając biskopt umaczany w winie, w czasie przymówki Wojny, powiedział nie tracąc fantazyi: „Ja nie jestem wcale za pasterskiem, bez kuchni życia:

Wolę biskopt niż zołędzie;
Ktoś zołędz smaczną rozumiał,
Bo chleba upiec nie umiał.“

„I dajesz tego gustu oczywiste dowody, rzekł ze śmiechem Naruszewicz, ale nie wiem czy tak długo udawać ci się będzie. Oto pan Zabłocki, to wzór młodzieży, skromny, mało jé, mało mówi.“ „A wiele pracuje, przerwał Wyrwicz, wiem że i dziś nie z próżnemi rękoma tu przyszedł.“—„Czy tak? zawołał król, cieszę się bardzo. I cóż takiego? czy nowa komedia“—„Tak jest, Najjaśniejszy Panie, odpowiedział Zabłocki podnosząc się, czekam tylko z złożeniem jéj u stóp WKMości końca obiadu.“—„Kiedy nas taki *deser* czeka, kończcież żywo roznoszenie tego co na stole, zawołał król na służbę; wmcpanie Lociński, daj nam *Iopiela*“ (tym przydomkiem król ochrzcił oddawna stare wino węgierskie).

W niedługim czasie postawił Lociński na stole przed królem spleśniałą butelkę, odetkał ją; podano małe kieliszki a król sam je nalewał. Podał naprzód kieliszek Potockiemu mówiąc: „Spodziewam się że do smaku będzie.“ Naruszewiczowi dać się wzbraniał. „Wasza wielebna uczoność pić tego nie zechce, mówił z uśmiechem; nie wierzysz w żadnego *Popiela*.“ — Najjaśniejszy Panie, powiedział dziejopis biorąc niemal gwałtem kieliszek, tego uznaje—a wypiwszy łyk, dodał: „Zaiste! prawdziwy! jeszcze myszką trąci.“ Śmiech powstał ogólny, król przez chwil kilka nalewać nie mógł wina; potem rozesał każdemu, i sam nawet, co bardzo rzadko ma się trafiać, wypił pół kieliszka za zdrowie nas wszystkich.

Gdy się to skończyło, i już szczęściem przestano jedzenie roznosić, król zdjąć kazał nakrycie, obrus sam odsunął i wezwał Zabłockiego do wręczenia mu obiecanego *deseru*. Zabłocki powstał i następującą przeczytał ode:

Wpółśród tylu spraw ważnych, wpółśród starań tyła,
Które Cię zaprzętają, Najjaśniejszy Panie!
Godzi się chociaż jedna odetchnienia chwila,
Godzi się pracy, chociaż na moment przerwanie.
Nadto się wiele trudzisz kwoli Twojej sławie,
Będiesz ją miał, choć oddasz chwilę i zabawie;
Wszak nie zawsze się Jowisz rządem świata trudzi?
Prace i troski jego lubę dzielę wczasy,
Miał i on niegdyś krnąbrny dla się rodzaj ludzi;
Miewał do pokonania zuchwałę gigasy:
Wrócił nakoniec niebu pokój pożądaný,
I pierwszy nad wszystkiemi sam spoczął niebiany.

Muzo! korzystaj z tych chwil; bardzo trudno o nie,
Rzadko naszego Pana w spoczynku widzimy;
I teraz gdy się zdaje bawić w miłych gronie,
Kto wie! jeśli nie myśli, że ma świat olbrzymi;
Że ta, co się w tysiącznych przemianach układa,
Nie przeto, że stłumiona, nie chce broić, zdrada.
Muzo! przerwij te myśli Panu; jego zdrowie

Bardzo długo dla Polskiej jest potrzebne doli:
 Życie wasze jest naszém, o dobrzy królowie!
 Wątlić go nie do waszej zostawiono woli,
 Gdzie wielkość duszy z cnotą, tam i pomoc nieba:
 Masz je, Królu! troskliwych myśli mieć nie trzeba.

Ale zkąd te pochlebne przyszyły mi nadzieje?
 Aby mądrość mógł bawić zkąd to zaufanie?
 Nie przejdęz tém zuchwalstwem śmiałe Bryareje?
 Przez wzgląd chęci, śmiałości racz darować, Panie!
 Wszak dał kto *hekatombe*, czy gołąbków parę,
 Byle to czynił z serca, dobrą dał ofiarę.
 I to mi tylko może służyć za obronę,
 Że się ważę z tém blahém popisywać dziełem;
 Pióro moje przez Ciebie, Królu, zachęczone,
 Wziąłem medal, przeto się samo zadłużyłem;
 I choć Ci terazniejszą ofiaruję pracę,
 Dar Twój wielki: w życiu się całym nie wyplacę.

Gdy odczytał, Monarcha podziękował mu uprzejmie; dano kawę, a skoro każdy wziął filiżankę i król swoją jednym tchem wypróżnił, żądał ażeby Zabłocki przeczytał głośno przyniesioną komedję. Wyszła służba z pokoju, zostali tylko obiadujący; ucieszyliśmy się, a autor czytał swoje dzieło, tak dobrze jak go napisał, czego mu wróciwszy do domu z serca winszowałem. Komedya, *Fireyk w zalotach*, w lepszym nieco tonie od innych komedyi Zabłockiego, gładkim wierszem, prawdziwie po polsku jak wszystkie napisana, żywa w rozmowach, prosta w intrydze, dwa dobrze odznaczone mająca charaktery Fireyka i Podstoliny, tém mocniej słuchaczy zajęła, że jednogodnie wszyscy od pierwszej sceny, w *Fireyku* obraz Węgierskiego upatrzyli. Jakoż lubo Zabłocki bynajmniej téj myśli nie miał, ułożyło się wiele rzeczy ku temu: oba starościce dowcipni, trzpioty, niby filozofy a jak to mówią po prostu, hultaje. Miał Węgierski za swoje, za wszystkie przypinane Bielawskiemu i nam łatki. Częstowano go różnemi przydomkami, Naruszewicz dosypywał soli, czasem i bez miary, nie szcze-

dził i tłustych żartów, a za każdym wierszem do tych np. podobnym:

Ma tytuł starościca jeszcze od pradziada,

Znam go, któżby o tém nie słyszał wietrzniku!

Zacina prawda panicz trochę na szulera,

Kocha młode kobiety, lubi winko stare...

wszyscy wykrzykiwali ze śmiechem: „To on — to“ on. Dopiero w końcu kiedy *Fireyk*, długo bałamut, pierwszy raz miłością szczerą się przejmuje i żeni się, wszyscy powiedzieli: „To już nie on—to nie on;“ jeden tylko poczciwy Bochomolec wyrzekł: „A może i on takim kiedy będzie.“ Po skończonej z zupełnym aplauzem komedyi, król odczytać sobie kazał niektóre kawałki, a między innymi, rozmowę Świstaka z Pustakiem w scenie 1-jej aktu 3-go, z której śmiał się serdecznie, i następujący wyjątek z drugiego aktu, który mi utkwił w pamięci:

F i r c y k.

Powiedział Marcialis i ja za nim idę:

Każdy człowiek jak może swoją łąta biedę.

Lecz nareszcie chcę mówić, filozofie z tobą,

Jak z pełną wielkich maxym, wielkich zdań osobą.

Powiedz mi, co są ludaie, co ten świat nasz znaczy,

Jeżeli nie szulernią mieszkana od graczy?

Wyższe i niższe stany, panowie i kmiecie...

Tęj różnicy nie znano w pierwiastkowym świecie.

Los ślepy zrodził szczęście, od szczęścia dopiero

Ludzie równi naturą, tę nierówność biorą,

Każdy ma z swoją stawką wstęp do jego banku,

Lecz równie tak nie pewny zysku jak i szwanku.

Tym próżne, tym zyskowe wypadną bilety;

Są tam flinty, kaptury, ordery, mucety,

Drogi szkarłat, gronostaj, kożuchy i gunie;

Więc kto co weźmie, samój to winien fortunie.
 Całym światem przypadek i los rządzi ślepy,
 Temu dał łokieć, temu szablę, temu cepy.
 Ci się pocą w usługach, ci w przemocy tyją,
 Oddajże wszystko to co własnością jest czyją.
 Niech swe słuszość w dział ludzi wda pomiarkowanie,
 Wieluby się w przeciwnym mogło znaleźć stanie?
 Co gdy tak jest, formuje sobie *entimema*:
 Gra świat cały? więc w żadnej grze zdrożności niema.
 Z ogólnego podania do szczególnych wniośki,
 Wszak są prawe? wszak taki wyrok filozowski?

A r y s t.

Więc...

F i r c y k.

Więc wszystkim grać trzeba; a ztąd to wynika:
 Kto przegrał, niech nos zwiesi; kto zgrał, niech wykrzyka.

A r y s t.

Co też to się za chaos temu we łbie miesza!
 Cep do szabli przyrównał, łokieć do lemiesza.
 Nie krzywdź ludzi i cnoty, nie powstawaj na nie;
 Ma ona w sercach prawych swą cześć, swe władanie.
 Ty sam, jeźliś krwi zacnej nie wziął przez azardy,
 I cnoty swoich przodków? czemuś z niej tak hardy?
 Czemu się tytułujesz starościcem? czemu
 Tém puszysz, co losowi winienes ślepemu?

Nie, bracie, pobłdziliś w swoim zdaniu mocno,
 Los moźnym, cnotę nadto czynisz bezowocną.
 Lecz wreszcie słuchaj, chcę cię przekonać zupełni:
 Człek, który powinności swoje zna i pełni,
 Który próżen ambitu, bojaźni, nadzieje,
 Na wszystko obojętnie patrzy się i śmieje,
 Czy kto stanął wysoko, czy osiadł na dole;
 Który gotów na szczęście, tak jaką na niedolę;
 Który ma dość sam w sobie aby był szczęśliwy,
 Który w tém wszystko zamknął że został pocziwy:

Taki człek, prawych czciciel cnót, nie zna bałwana
 Fortuny, ni chimerze losów gnie kołana;
 Lecz pan swojego serca, skłonności, obejścia,
 Wbrew losom, sprawcą oraz jest własnego szczęścia.

Po tém odczytaniu i wielu dla autora pochwałach, wszczęła się rozmowa o sztuce dramatycznej w Polsce, i trwała z pół godziny, dopóki król nie wstał i nie pożegnał nas wszystkich. W téj rozmowie Wyrwicz, Potocki, Wojna, Bohomolec, a przed wszystkimi król, okazali wiele erudycyi i smaku; ale tego powtórzyć z pamięci trudno nie będąc tak uczonym jak oni; wiem tylko iżem się tak do tego rodzaju literatury zachęcił i ubóstwo jego u nas uczuł, że muszę napisać komedya, operę, a kto wie, może tragedya. Węgierski serdecznie upokorzony w ciągu téj całej rozprawy milczał, najpierwszy po odejściu króla się wyknął; ale dochodzą mnie wieści, że zaraz wczoraj pomścił się na czwartkowych obiadach, tak je opisując w wierszach do brata:

A uczone obiady? znasz może to imie,
 Gdzie połowa nie gada, a połowa drzemie;
 W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa:
 Dowcipu, wiadomości i wina i mięsa.

Mogą w wielkiej liczbie zdarzyć się i takie, wczorajszy jednak takim nie był. Prawda, że król ze wszystkich najwięcej i najlepiej mówił, jeść i pić dał suto i wybornie; prawda, że byli tacy którzy nie gadali, a tych ja na czele: ale nikt nie drzemał. Nad tym opisem możeby kto ziewnął, ale to nie byłaby obiadu i obiadujących wina, tylko tego co dobrze i dokładnie opisać nie umiał.

XIII.

Rymarz Warszawski.

Powieść historyczna.

W Warszawie, przy ulicy Freta mieszkał poczciwy rymarz liczną obarczony rodziną; pomimo najszczerzych chęci nie mógł ję wyżywić; mało mając znajomych, nie wiele miał roboty, a w owym czasie w kraju, wojnami i ofiarami wycieńczonym, drożyzna była wielka. Najsroższa więc nędza panowała w domku jego: kilkoro dziątek wołających nieustannie o kawałek chleba, żona z pracy i z niedostatku w przykrą pogrążona chorobę, stary ojciec wzywający śmierci, aby przestał być dzieciom ciężarem; taki w nim okropny przedstawiał się widok. Nieszczęśliwy rymarz nie mając żadnej nadziei polepszenia bytu tylu ukochanych osób, zaciągnawszy u sąsiadów dłużków nie mało, naglony od wierzycieli, został przywieziony do rozpacz; odszedł prawie zupełnie od zmysłów, i powziął myśl występłą zakończenia dni swoich. Uciekając z domu, nie chcąc patrzeć ani na ojca, ani na żonę, ani na dzieci, błąkał się po ulicach Warszawskich; kiedy nagle koło kościoła Ś-go Krzyża, obły się o jego uszy wesołe okrzyki. Bolesne są dla rozpacz radości oznaki. Rymarz wskroś przejęty, zdziwiony, że mogli się jeszcze ludzie na tęg ziemi cieszyć, zapytał z gniewem przechodzących, o przyczynę tęg uciechy? — „Czyż nie wiész? odpowiedziało mu głosów kilka, że naczelnik dziś do Warszawy wjeżdża: oto jedzie!“ — Naczelnik! Naczelnik! powtórzyło ust tysiące, i wołali: „Niech żyje! Niech żyje!“ —

Tłumem ludu ściśniony rymarz, stanął. „Dobrze, pomyślał sobie, obaczę go raz jeszcze!“ i wkrótce w pośród mnóstwa żołnierzy i ludu pospolitego, ujrzał dowódcę. Siedział na pięknym koniu, ubiór jego był wieśniaczy, prosta na głowie czapka, ale szlachetna postawa wielkiego męża zdradzała; broń i śmiałe spojrzenie znamionowały rycerza, a uśmiech łagodny o dobroci serca przemawiał. Podniósł oczy biędny rymarz, i zdarzyło się iż spotkały się z jego oczyma. Przejęty tém wejrzeniem, uczuł w sobie jakby cudowną zmianę; ciężar gnębiący duszę jego uniósł się, a usta wyrzekły mimowolnie: „Kościszko!“

Tak, minęły już te czasy kiedy Bóg sam przemawiać raczył do stworzeń swoich, i sam bez niczyjego pośrednictwa ulubionych sobie w trudnych przygodach ratował; teraz dobroć swoją i miłosierdzie przez ludzi dobroczynnych objawia; i zdaje się że są tacy, których przeznacza umyślnie, ażeby obrazem Jego byli na ziemi. Jeśli jednym z tych wybranych był bezwątpienia książę Czartoryski, może mieścić się w téj liczbie, może śmiało iść za nim, prawy uczeń i przyjaciel Tadeusz Kościszko. Imię jego godne stanąć obok najpiękniejszych starożytności i dziejów naszych imion: od żadnego Polaka bez rozrzewnienia i dumy wymówionem być nie może. Wzór obywateli i żołnierzy, przedmiot szacunku monarchów i narodów, godło tkliwéj przyjaźni, skromności i uczuć najszlachetniejszych, imię to miało jeszcze dla ubóstwa i nędzy urok swój szczególny, było jakby zadatkem ulgi i pociechy; bo Kościszko lubo nigdy majątnym nie był, przecież niemal jednakowo z bogatemi świadczył: serce czułe i ludzkości pełne, dowcipu mu dodawało, i nieraz tklivy przebieg, miejsce możności zastąpił. Ta zadziwiająca i przemyślna szczodroblliwość jego, prawie zarówno z dobroczynnością Czartoryskiego sławna, głośna i u obcych, gdzieś lepiéj jak w ojczyźnie znaną być miała?

Wiedział też o niej lud prosty, i zaledwie nieszczęśliwy rymarz wyrzekł imię tego przyjaciela ludzkości, zaledwie spotkał jego wejrzenie, natychmiast rozpacz znikła mu z serca, i obudziła się w nim nadzieja. Zamiast szukania dalej sposobów odjęcia sobie życia, wrócił śpiesznie do domu. „Ojcze! żono! dzieci! zawołał wchodząc, zakończy Bóg cierpienia nasze. Kościuszko jest w Warszawie.“—Kościuszko! powtórzyły klaszcząc w ręce dzieci już obeznane z t^ęm piękn^ęm imieniem; Kościuszko! powtórzyła z słodkim uśm^ęchem schorzała żona, Kościuszko! powtórzył starzec wznosząc oczy ku niebu, i wszystkich napełniła radość.— „Tak, Kościuszko! mówił z żywością rymarz, widziałem go, spojrz^ęł na mnie! wjechał od Krakowskiej drogi, na czele wojska, a lud cały witał ich wesoło. Nie śmiem go dziś trz^ędzić, już późno, dopiero co przyjechał, a ma on ważne na głowie sprawy; ale jutro skoro dzień zaświta pobieg^ę do niego: on pewno da nam wsparcie, on równie dobroczynny jak waleczny.“ — „O, zapewne! zawołał stary ojciec, idź do niego, synu; jeszcze nie było przykładu, żeby Kościuszko wsparcia komu odmówił. Niewiadomo zkąd sposobów bierze? bo poczciwy a nie bogaty... Bóg dobry dla szczęścia bi^ędn^ęych, dostarcza mu t^ęj możności. Dziękujmy niebu że tu przybył, i cieszymy się nadzieją!“ — Tak uczynili, a sen miły zamknął im powieki.

Nazajutrz rymarz wstał pierw^ęj od słońca, lecz nie pierw^ęj od Kościuszki. Już go nawet rymarz otoczonym został członkami Rady Najwyższej; lecz każdy prosty i ubogi człowiek tak wolny miał do niego przyst^ęp, że i on z ł^ętwością posłuchanie znalazł... „Czego żadasz? przyjacielu!“ rzekł do niego łagodnie.— Wsparcia! odpowiedział rymarz kłaniając mu się do nóg. — „Nie schylaj się mój kochany, śmiało opowiedz mi twoją n^ędzę; jam taki człowiek jak i ty.“— „Jestem rymarz ubogi, odpowiedział proszący, mam

przy sobie starego ojca, żonę chorą i drobnych dzieci kilkoro, a żadnej roboty; zadłużyłem się u sąsiadów, i przy tej drożyznie pewno wkrótce pomrzemy z głodu.“—„Biędni ludzie! zawołał bohater z rozrzewnieniem, ach! czemuż nie jestem bogaty!... Weź przynajmniej to co mam przy sobie; jest tu czterdzieści złotych; kup tymczasem chleba ojcu, żonie i dzieciom... Więcej ci dać nie mogę!...“—Wymówiwszy te słowa zamyślił się i zasmucił mąż dobroczynny; ale po krótkim dumaniu rozweseliła się nagle twarz jego. — „Wiesz co? przyjacielu, wyrzekł z radością, kiedy nie pieniędzmi, może choć innym sposobem dopomóż ci potrafię... Gdzie mieszkasz?“ — Na rogu Freta ulicy, po lewej stronie.“ — Przedziwnie! Narób-że jak najprędzej kilkadziesiąt batożków, takich jak jadący konno używać zwykli; niech będą gotowe na jutro rano: ja tam przyjadę. Tylko pamiętaj! Bywaj zdrow, niech ci Bóg dopomaga. Nie dziękuj, bo nie masz za co.“

Odszedł rymarz uszczęśliwiony darem i łagodną mową naczelnika, ale zdziwiony zaleceniem jego. Kupiwszy żywności dla rodziny, opowiedziawszy jej całą przygodę, wziął się skwapliwie do zadanej roboty. Przynajął kilku czeladników, i na dzień następujący wygotował kilkadziesiąt batożków. Stał od rana wraz z ojcem we drzwiach sklepiku; dzieci uwiadomione o obietnicy Kościuszki, biegały tu i owdzie: żona nawet cokolwiek pożywieniem i radością pokrzepiona, zwlekła się z łóżka i siadła w oknie wyglądać zbawcy swojego. Nie czekali długo. Pomimo licznych spraw i zatrudnień, nie dozwoliło nigdy Kościuszcze serce jego zapomnieć o nieszczęśliwym, którego wesprzeć obiecał. Jadąc do okopów, umyślnie Freta ulicą drogę swoją obrócił, i dopiero z Nowomiejskiej wyjeżdżał bramy, kiedy już dziaćki rymarza przybiegły dać znać, że się zbliża; pokazał się wnet tłum ludzi jezdnych i pieszych, widzieli się dał i na-

czelnik. Otaczał go poczet nie mały pierwszej szlachty w kraju i kwiat polskiej młodzieży. Kościuszko poznał zdaleka rymarza, a gdy dojechał do jego sklepiku stanął; zatrzymali się wszyscy, pytając się czegoby żądał? — „Tu mieszka rymarz, odpowiedział, i robi batożki: chciałbym jeden kupić!“ — I kazał pokazać sobie kilka do wyboru. Przyniósł pęk cały posłuszny rzemieślnik, i podał mu go z uszanowaniem.—„Nakryj głowę, rzekł naczelnik, a potem wejdzimy w ugodę. Cóż chcesz za taki batożek?“ dodał biorąc jeden i próbując go. — „Co łaska, jaśnie wielmożny panie“ odpowiedział pomieszany.—„Nie mam czasu się targować, mówił dalej Kościuszko, przyjm to, przyjacielu!“ I dał mu ośmioletowego talara. — Rymarz chciał zdawać resztę, naczelnik nie pozwolił, a obracając się do towarzyszących mu, rzekł: „Wierzajcie mi, mości panowie, że walny batożek.“ To powiedziawszy, zaciął nim konia i ruszył. Wszyscy, którzy z nim byli, zaczęli także kupować sobie batożki. Byli to sami Polacy, żaden nie dał mniej jak talara, a było wielu takich, co i więcej dali. W kilka minut brakło batożków; ci dla których nie stało, zamówili sobie także same na dzień następujący; pojechali potem wszyscy za naczelnikiem, a rymarz został odurzony. W pierwszych chwilach nie mógł pojąć jakim cudem w tak krótkim czasie kieszenie jego, kapelusz i ręce napełniły się srebrem i złotem; zebrane pospólstwo, dzieci, żona, ojciec, sąsiedzi stali również odurzeni.—„To prawdziwie Kościuszki sprawa! zawołał nareszcie głos jeden; tak to on przemyślnymi sposobami dobrze czynić umie: tak władzy swojej nad umysłami używał! „Niech żyje!“ krzyknął, „niech żyje!“ powtórzyło mnóstwo całe.

Sława, która najdrobniejsze czyny wielkich mężów rozgłasza, rozniosła wkrótce po Warszawie przygodę rymarza; mnóstwo takich batożków rozprzedał, wiele osób i inną zaczęło mu dawać robotę, i wkrótce mająteczek zebrał. Żona

mu wyzdrowiała, ojcu kilkanaście lat życia przybyło, długi popłacił, dziatki wychował, a Kościuszko w późniejszych niedolach, kiedy w przyjaźni, w sumieniu i w nadziei szukał jedynej pociechy, wspominając na liczbę szczęśliwych, których w dwóch częściach świata uczynił, nieraz zapewne miłego doznał wzruszenia, rachując między niemi Warszawskiego rymarza.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE CZWARTYM ZAWARTYCH.

POWIEŚCI HISTORYCZNE, PORZĄDKIEM CHRONOLOGICZNYM UŁOŻONE.

	<i>Str.</i>
I. Pielgrzymka do Sandomierza (r. 1398)	5
II. Dwa poranki (r. 1471)	19
III. Trzy Chwile (między rokiem 1480 a 1522)	45
IV. Pojedynek (rok 1513)	54
V. Barbara Radziwiłłówna (rok 1545—1550).	63
VI. Przygoda Macieja Strykowskiego (rok 1551)	74
VII. Jan Zamoyski na kazaniu Melchiora Mościckiego	80
VIII. Koleje życia (od r. 1623—1690)	89
IX. Nocleg w Kromoławie (rok 1669)	99
X. Listy Elżbiety Rzeczyckiej do przyjaciółki swojej Urszuli ***, za panowania Augusta III-go pisane	116
XI. Dziennik Franciszki Krasieńskiej, w ostatnich latach panowania Augusta III-go pisany.	214
XII. Obiad Czwartkowy. Opis wyjęty z nieznanego do- tąd pamiętników	359
XIII. Rymarz Warszawski. Powieść historyczna	382

INSTITUT
BADAŃ FIZYKOCHIMICZNYCH PAN

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr. 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-06-83, 26-52-31 w. 42



F
1085

4